

ABC



Agnieszka Pruska
WAKACJE
z trupami

Oficynka

Agnieszka Pruska
WAKACJE
z trupami



Oficynka

Copyright © Oficynka & Agnieszka Pruska, Gdańsk 2018

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2018

Redakcja i korekta: zespół

Skład: Piotr Geisler/Intergraf

Konwersja do EPUB/MOBI: InkPad.pl

Projekt okładki: Anna M. Damasiewicz

Grafika na okładce © Jan H. Andersen | stock.adobe.com

ISBN 978-83-65891-94-5



www.oficynka.pl
email: oficynka@oficynka.pl

Spis treści

[Strona tytułowa](#)
[Karta redakcyjna](#)
[Wakacje z tupami](#)
[Podziękowania](#)
[Oficynka zaprasza](#)



Obfitujący w ekscytujące i tajemnicze wydarzenia zeszłoroczny pobyt w leśniczówce mojego kuzyna spowodował, że już w kwietniu zaczęłyśmy z Julią kombinować, gdzie pojechać na najbliższe wakacje. Jako nauczycielki miałyśmy znacznie dłuższy urlop niż większość społeczeństwa, w tym mój mąż i facet Julki, więc postanowiłyśmy to wykorzystać i pojechać gdzieś tylko we dwie. I robić, co nam się będzie żywnie podobało. Nie wspominając o tym, że życie osobiste mojej psiapsiółki było trochę bardziej skomplikowane i nawet przy najbardziej optymistycznych założeniach z Dawidem miała szansę spędzić najwyżej dwa tygodnie wakacji. Coś zatem trzeba było zrobić z resztą wolnego czasu. Po ubiegłorocznym poszukiwaniu mordercy wizja spokojnych wakacji jakoś straciła na atrakcyjności. Chciałyśmy czegoś więcej, odrobiny adrenaliny i tego dreszczyku emocji, który bardzo polubiłyśmy. Odpadały więc wszystkie wyjazdy z opcją *all inclusive* i posiłkami sześć razy dziennie. Wyobraziłam sobie nas jako niemiłosiernie upasione serwowanymi przysmakami wczasowiczki i wszystko we mnie zaprotestowało. Pomijając to, że takie wakacje są najczęściej bardzo tuczące, to jeszcze jest się w pewien sposób uwiązany do stołu. Jasne, że nikt nikomu nie każe jeść śniadania, drugiego śniadania, lodów i ciasta w czasie pozostałym do obiadu, obiadu, oczywiście z czymś słodkim, podwieczorku, kolacji i jeszcze jakieś wieczornej przekąski, ale po co w takim razie to *all inclusive*? Lepsza wydawała nam się opcja śniadania i obiadokolacje.

Siedziałyśmy w kawiarni i próbowałyśmy coś ustalić.

- Jak zgłodniejemy, to przecież zawsze możemy sobie coś kupić.
- Chyba że pojedziemy w jakąś głuszę - zauważyła Julia, która

przyrodę kochała miłością szaloną.

- Nawet gdyby, to nie sądzę, żeby hotel, w którym się zatrzymamy, nie serwował niczego do jedzenia pomiędzy posiłkami. W jaką głuszę chcesz jechać? - Ostatnie zdanie przyjaciółki mnie zaniepokoiło.

- Nie wiem jeszcze, tak tylko teoretyzuję.

- Ja bym wolała średnio odludną okolicę.

Tak naprawdę nie wiedziałyśmy, gdzie chcemy pojechać. Nęciły nas wycieczki zagraniczne, ale wakacje to sezon i dwutygodniowy wyjazd wiązał się z wydatkiem rzędu kilku tysięcy na głowę. Chciałyśmy wyjechać na trzy lub cztery tygodnie, więc koszt wyprawy od razu by się zwiększył. A pensja nauczycielska nie rozpieszczała. Alternatywą były wakacje w Polsce i tu zaczynały się schody. Mimo że zwiedziłyśmy już całkiem sporo, to okazało się, że w kraju jest jeszcze dużo miejsc, które wypadałoby zobaczyć. Problemem były nasze sprzeczne pragnienia. Chciałyśmy jednocześnie zwiedzać i leniuchować, chodzić po lesie i oglądać miasteczka, rozmawiać z ciekawymi ludźmi i odseparować się od społeczeństwa. To ostatnie wiązało się z przesytem, jeżeli chodzi o kontakt z młodszą częścią ludności. Jak co roku swoich uczniów zaczynałyśmy mieć pomalą dosyć. Po ostatniej reformie uczyłyśmy nie w gimnazjum, a w liceum, z czego byłyśmy zdecydowanie zadowolone. Niemniej jednak na wakacje czekałyśmy z takim samym utęsknieniem jak młodzież.

- Daleko czy blisko? - spytała Julka.

To pytanie padało już wielokrotnie i nie potrafiłyśmy się zdecydować. Wakacyjny wyjazd kojarzył mi się z długą podróżą, nawet z nocowaniem po drodze, a nie przejechaniem stu kilometrów. Jednak we względnym pobliżu Gdańska też były miejsca warte zobaczenia, nie wspominając o tym, że Rafał i Dawid mogliby przyjeżdżać na weekendy. Rzucić kostką?

- A czort wie. - Wzruszyłam ramionami i nabrałam na łyżeczkę kawałek sernika. - Ja bym chciała, żeby się coś działo.

- Niby co? - Julia spojrzała na swój talerzyk po cieście, jakby chciała go wylizać i siłą się powstrzymała. - Znowu jakieś zwłoki?

- Może niekoniecznie od razu trup, ale jakąś zagadką bym nie pogardziła. Ja wiem? Jakaś tajemnica rodzinna właścicieli hotelu, w którym się zatrzymamy?

- Tak, na przykład nieślubne dziecko albo mąż rogacz. - Julia była najwyraźniej zdegustowana. - Jakoś nie bawią mnie historie rodem z wydumanych seriali.

- Mam gdzieś tego typu tajemnice. Chodzi mi o coś naprawdę ciekawego.

- To znaczy jakiego?

- No nie wiem właśnie. Z wątkiem historycznym albo kryminalnym, albo sensacyjnym, albo jakimś takim.

- No, szczególnie jakimś takim. - Julka zamówiła sobie drugi kawałek sernika, najwyraźniej nie obawiając się kalorii. - A te pierwsze wątki to miałaś rok temu.

- I co? Źle było?

- Jak czasem.

- Nie narzekaj, morderca złapany, przyjacielskie kontakty z policją nawiązane, same plusy.

Julia nie zaprzeczyła. Szczególnie te kontakty z policją sobie chwaliła, bo Podgórskiemu niedawno udało przenieść się do Gdańska.

- Nie licz na to, że co roku będziemy trafiały na takie dziwne zwłoki - uprzedziła mnie, zamiast rozwinąć wątek policyjno-osobisty. - W ogóle mowy nie ma, żebyśmy znowu znalazły jakiegoś nieboszczyka.

- Dlaczego nie? W sumie ktoś przecież musi ich znajdować? - zaprotestowałam pro forma.

- Czyś ty oszalała? Myślisz, że jakieś służby SPECJALNIE szukają trupów? I tak ci zależy na znalezieniu obcych zwłok?

Julia od razu się nastroszyła, a ja wyobraziłam sobie facetów z tych jakichś służb w czarnych uniformach przeszukujących lasy, pola, miasta i wsie w poszukiwaniu zwłok. Tak na wszelki wypadek, bo może jakieś się znajdą. Taka służba pomocnicza dla policji. A może zatrudniliby też jasnowidzów? Takiego Jackowskiego na przykład. Ocknęłam się z krótkiego zamyślenia i wróciłam do rzeczywistości.

- Z dwojga złego wolę znajdować obcych nieboszczyków niż znajomych.

- A musisz jakichkolwiek?

- Nie - zgodziłam się bez oporu. - Nie zależy mi na trupach, a na czymś ciekawym i intrygującym. Jak wymyślisz coś bez zwłok, ale z zagadką, to zgadzam się tam jechać.

Julce zabłyśły oczy, natychmiast dostrzegła szansę na wyciągnięcie mnie w miejsce, które będzie jej odpowiadało. Warunek był jeden. Musiała znaleźć coś, co mnie zaintryguje. Na pewno będzie unikała wszelkich zbrodni lub chociaż podejrzenia o nie, o ile nie będzie to coś albo bardzo nietypowego i niekrwawego, albo historycznego. W pierwszym przypadku na pewno będzie liczyła na to, że tym razem nie spotkamy na swojej drodze mordercy, w drugim na to, że coś, co się wydarzyło dawno temu, niejako automatycznie uniemożliwi nam kontakt

z uczestnikami wydarzeń. Byłam bardzo ciekawa, co wymyśli moja przyjaciółka, ale nie przeszkadzało mi to szukać odpowiedniego miejsca na wakacje na własną rękę. Dałyśmy sobie czas do pierwszych dni czerwca, bo potem mogły się zacząć problemy z rezerwacją miejsc gdziekolwiek.

* * *

W połowie maja Julia dopadła mnie tuż przed dzwonkiem na pierwszą lekcję i tajemniczym głosem oznajmiła, że wie, gdzie pojedziemy. Trochę mnie to zaniepokoiło, bo też już miałam swoje typy, a nie wierzyłam, że jakimś nadprzyrodzonym sposobem wpadłyśmy na ten sam pomysł. W szkole nie miałyśmy jak spokojnie porozmawiać, więc Julka przyszła do mnie po południu. Była tak podekscytowana, że miałam wrażenie, iż zaraz pęknie z wrażenia.

- Co byś powiedziała na duchy? - rzuciła już w progę.

- Widziałaś ducha? - zainteresował się mój mąż, który zdążył już wrócić z pracy.

- Osobiście nie, moja znajoma zna ludzi, którzy widzieli. A w każdym razie twierdzą, że widzieli.

- Ducha? Pewnie się filmów naoglądali albo naczytali książek - zawyrokował Rafał i stracił zainteresowanie tematem, tym bardziej że miałyśmy jechać same.

- On ma rację, skąd te duchy? Kto w nie wierzy w obecnych czasach?

- Nic jeszcze nie wiesz, a już protestujesz - skarciła mnie Julka.

- Dobra, opowiadaj. Chcesz herbatę, kawę czy piwo?

- Herbatę. Kawy już piłam, a samochodem jestem. - Julka od niedawna była posiadaczką czterech kółek i podkreślała to przy każdej okazji. - No więc ci znajomi moich znajomych, o których rano mówiłam...

- Czekaj, a w jakim oni są wieku? Bo jak starzy, to mogą być bardziej podatni na duchy i inne takie.

- No właśnie nie! - stwierdziła moja przyjaciółka z satysfakcją. - Są w wieku naszych rodziców, więc do zramolenia jeszcze im daleko. I nie należą do pokolenia, które wszystko niezrozumiałe tłumaczyło siłami nadprzyrodzonymi.

- A gdzie mieszkają?

Przyszło mi do głowy, że jeżeli mamy do czynienia z mieszkańcami małej miejscowości lub wsi, wiara w duchy jest bardziej prawdopodobna niż w przypadku mieszczuchów. To akurat wiedziałam z doświadczenia. Niech sobie ludzie opowiadają o dostępie do edukacji, niwelowaniu różnic i tego typu rzeczach, ja

swoje wiedziałam. W miejscach, gdzie trzecie lub nawet czwarte pokolenie żyło w mentalności pegeerowskiej, często niewiele zmieniło się w ciągu kilkudziesięciu lat. Owszem, wszyscy mieli telewizory i inne takie, prawie wszyscy komórki, ale niektóre rzeczy pozostały. Jeżeli dziadkowie i rodzice wierzyli w duchy, to i dzieci mogły w nie wierzyć. Albo chociaż dopuszczać ich istnienie. Stąd moje pytanie.

- We Fromborku.

Te dwa słowa wypowiedziane przez Julkę wręcz ociekały satysfakcją. Wytrąciła mi z ręki argumenty dotyczące wieku i miejsca zamieszkania ludzi, którzy widzieli duchy.

- Dobra, mów.

Okazało się, że koleżanka Julii ma jakąś rodzinę w okolicach Fromborka i samym mieście i wiadomości o duchach pochodzą właśnie z tego źródła. Jakoś nie wierzyłam w siły nadprzyrodzone, ale zawsze mogło się coś za tym kryć. Na wszelki wypadek wolałam nie przypominać jej, że podczas ostatnich wakacji UFO okazało się obcym wywiadem. Lepiej, żeby nie miała takich skojarzeń, bo będzie się bała, że znowu się w coś włączymy. Na pewno sama do tego dojdzie, ale na to nie miałam wpływu. I nie mogłam liczyć na jej amnezję. Ciekawe, co się teraz ludziom może kojarzyć z duchami. Czyba nie znikające we mgłę odziane w powłóczyście białe szaty postacie? Spytałam.

- Coś im znika.

A jednak!

- Duch?

- Nie, no co ty? Znikają im różne pierdoły. Jakieś grabie, miska psa, namiot z ogródka...

- Z zawartością?

- Co masz na myśli? - W głosie Julii pojawiła się niepewność.

- Przypuszczam, że te przedmioty dematerializują się w nocy, bo wtedy łatwiej coś ukraść. A w namiocie przeważnie się śpi, a co najmniej są tam jakieś rzeczy.

- A nie, to był namiot rozstawiony do zabawy dla dzieci. Zabawki, które były w środku, zostały.

- Może ktoś robi sobie jaja? Chce wzbudzić niepokój wśród sąsiadów?

- To mu się już udało. Parę osób widziało ducha.

- Tak? I jak wyglądał? - ożywiłam się.

- No jak to jak? Jak duch!

- A precyzyjniej? Duchy też przecież mogą być różne. A w każdym razie tak mi się wydaje. W Nidzicy jest duch Białej Damy, w jednym z zamków straszy jakiś facet, ale słyszałam też

o diable albo psie.

- Jak diabeł, to nie duch - zauważyła trzeźwo Julia. - Ja się na duchach nie znam, ale przeważnie są to chyba duchy kobiet.

- A ten pod Fromborkiem?

- A nie wiem. Ludzie widzieli taką rozmytą niewyraźną sylwetkę bez nóg.

- Miał ucięte nogi? - zainteresowałam się gwałtownie, nigdy nie słyszałam o takiej zjawie.

- Nie, no coś ty, po prostu wyglądał jak w długim płaszczu lub czymś takim. Ktoś go widział na polu i twierdzi, że ten duch nie chodzi, a płynie nad ziemią.

- Matko bosko rozmaito, mamy dwudziesty pierwszy wiek! Julka, i ty w to wierzysz? W pływającego nad ziemią ducha?

Ledwo to powiedziałam, natychmiast ugryzłam się w język. Duch był mi zdecydowanie bardziej na rękę niż podejrzenie, że jest to jakiś złodziejasek.

- Zgłupiałaś? Jasne, że nie wierzę w ducha, ale ciekawi mnie, dlaczego ludzie tak opowiadają. Duch im kradnie, a nie złodziej.

- Ciekawe. Czyj to mógłby być duch we Fromborku?

- No jak to czyj? Kopernika! - obstawiła Julka.

- Czy ja wiem? Od razu tak z grubej rury? Kopernik? Nie było tam nikogo innego, kto mógłby straszyć? Sprawdźmy.

Internet to jednak spore ułatwienie, chwila moment i można poszukać różnych informacji. Kopernik jakoś mi nie pasował, wolałabym innego ducha. Pewne możliwości stwarzali inni kanonicy, Szpital Świętego (nomen omen) Ducha i... szpital psychiatryczny. Nie trafiłyśmy jednak na ani jedną wzmiankę o jakiejś zjawie pojawiającej się w okolicy Fromborka. Skąd więc takie skojarzenie?

- Trzeba przycisnąć rodzinę twoich znajomych - zdecydowałam.

- Niech powiedzą więcej o tym duchu. Bo pojedziemy, a okaże się, że to sąsiad taką rozrywkę sobie znalazł i straszy w okolicy.

- Z tego, co zrozumiałam, to ten duch nie straszy, tylko się pojawia. I samo to ludzi niepokoi. Rozumiesz, z jednej strony giną różne przedmioty, niezbyt cenne, ale przydatne, z drugiej ktoś łązi. Ktoś, kogo nie mogą rozpoznać i pojawia się znienacka. Podobno nikt nie widział z bliska tego ducha.

- A policja?

- Co policja? No też go nie widziała. A gdyby nawet wiedziała, to się przecież nie przyzna do kontaktów z duchami. Dopiero by ludzie mieli używanie!

- Julka, jak rany, myśl. Giną im różne rzeczy i nie zgłosili tego gliniarzom? Ja rozumiem, że jakieś pierdoły za dziesięć złotych

można olać, ale namiot jest już droższy. Poza tym jak tak im ktoś łązi, to po prostu powinni się tym zaniepokoić. Kto wie, co takiemu typowi przyjdzie do głowy.

- W sumie racja.

- Dowiedz się, czy gadali z policją, co dokładnie ginie, i czy ten duch pojawia się wtedy, kiedy znikają jakieś przedmioty, czy też niezależnie od tego.

- No jak on to kradnie, to chyba wtedy go widzieli? - zauważyła Julia.

- A powiedzieli to wprost? Bo z twojej wypowiedzi wynika, że ludziom coś ginie i pojawia się duch. W sumie mogą to być niezależne sprawy. Powinnyśmy to ustalić, zanim zdecydujemy się na wyjazd, a rezerwować pokoje trzeba jak najszybciej. Zapowiadają nam się wakacje z duchem.

Przez chwilę myślałyśmy nad tym, gdzie się zatrzymać. Z punktu widzenia łapania ducha najwygodniej byłoby w miejscu, gdzie się pokazuje, ale na razie nie wiedziałyśmy, czy jest miejsce, w którym pojawia się częściej. Poza tym nie było wiadomo, czy w okolicy, w której go widywano, można coś wynająć i jakie byłyby to warunki lokalowe. Zdecydowanie wolałabym pokój z własną łazienką niż coś dzielonego z innymi wczasowiczami. Czasy, kiedy lubiłam spartańskie warunki i mogłam się kąpać w zimnej wodzie, bo ciepłej dla mnie zabrakło, już minęły. Nie znaczyło to, że szukam hotelu pięciogwiazdkowego, ale wygodne łóżko z czystą pościelą i własny prysznic to była podstawa. Może lepiej zatrzymać się we Fromborku i robić wypadki?

- Zdecydujemy, jak już się czegoś dowiesz - postanowiłam.

- Żebyśmy tylko miały się gdzie zatrzymać. Sezon będzie - zaniepokoiła się Julka.

- To się sprężaj! Im szybciej przyciśniesz znajomych, tym szybciej będziemy mogły zdecydować, gdzie coś wynajmiemy. W międzyczasie sprawdzę, jakie w ogóle są możliwości zakwaterowania. Zobaczymy, co nam z tych duchów wyjdzie. I powiem ci, że ja też wymyśliłam, gdzie jechać!

- Masz coś, co przebije duchy? - zaniepokoiła się Julia.

- Przebije jak przebije. Ja bym pojechała na Mierzeję.

- A co tam masz ciekawego?

- Bursztyn, dziki, ryby i interesuje mnie to przekopanie kanału.

- Nie wolisz sił nadprzyrodzonych?

- Nie wiem.

- Boszsz, ale marudna jesteś. Duchy mogą być fajne. - Julia zachwalała zjawy jak jakieś miłe zwierzątka.

- Zauważ, że Frombork i Krynica Morska nie leżą na dwóch

końcach Polski. Możemy to jakoś połączyć.

- Część noclegów zarezerwować tu, część tu? No nie wiem. - Julia zmarszczyła nos w namyśle. - A jak się okaże, że coś ciekawego dzieje się akurat nie tam, gdzie jesteśmy?

Miała rację. Przez Zalew z Krynicy do Fromborka jest niedaleko, ale my miałyśmy samochody, a nie motorówki. Na komunikację wodną nie miałyśmy co liczyć. Julka przypomniała sobie, że ci jacyś jej znajomi bardzo narzekali na takie połączenie. Według nich za mało było takich rejsów i trudno było się do nich dostosować. Jako znane niedowiarki sprawdziłyśmy w sieci i ku naszemu zdziwieniu okazało się, że połączenie z Krynicy jest tylko do Tolkmicka. Może w sezonie będzie inaczej? Jeżeli jednak chciałyśmy być mobilne, należało liczyć na własne siły. Sprawdziłyśmy Google Maps i, jakby nie patrzeć, na dojazd z jednej miejscowości do drugiej było trzeba poświęcić półtorej godziny. Niezależnie od tego, czy jechałybyśmy przez Elbląg, czy przez Tolkmicko.

- Jasna dupa, nie damy rady szybko podjechać do Fromborka, jakby coś się zaczęło dziać.

Nie da się ukryć, wciągnęłam się w te duchy. Chociaż to głupie, bo kto w nie wierzy? Pewnie dlatego tak mnie to zaintrygowało. Dorośli ludzie, a mówią o duchu, a nie po prostu o kimś obcym, kto chodzi po okolicy. Niewyjaśnione rzeczy przyciągały moją uwagę niczym magnes, być może dlatego, że jestem historyczką. Nie liczyłam na spotkanie z duchem Kopernika, ale na rozwiązanie zagadki, która była na tyle intrygująca, że wieść o niej dotarła już do Gdańska. A w każdym razie do kilku osób, które tu mieszkają.

- To może wynajmiemy coś we Fromborku, a do Krynicy będziemy dojeżdżać?

- A bursztyn i dziki?

- Co do dzików, to nie mam pojęcia, po co chcesz je spotkać, ale jeżeli chodzi o bursztyn, to wydaje mi się, że w lecie i to przy takiej liczbie turystów masz słabe szanse, żeby coś znaleźć.

- Może i racja - zgodziłam się niechętnie. - We Fromborku też będzie tłum, pewnie przyjeżdża tam wycieczka za wycieczką, żeby zwiedzić Wzgórze Katedralne. Jeżeli zdecydujemy się na nocleg w miasteczku, to musimy się liczyć z turystami.

Po zeszłorocznym pobycie w leśniczówce mojego kuzyna ciągnęło nas do podobnego miejsca. Ciągnęło nas również tam, gdzie się coś działo, bo jak się okazało, leniwe wakacje z książką i spacerami po lesie są fajne, ale jak się przy okazji trafią jakieś atrakcje w postaci prawie trupa, to robi się jeszcze bardziej interesująco.

- Może uda się wynająć coś u tej rodziny mojej znajomej albo gdzieś w okolicy? A do Fromborka byśmy dojeżdżały albo dochodziły. To blisko jest.

Dałyśmy sobie dwa tygodnie na sprawdzenie wszystkiego, co wydawało nam się istotne, i umówiliśmy się na naradę pierwszego czerwca. Jasne, że widywałyśmy się codziennie w szkole i często poza nią, ale to miało być spotkanie robocze przed wyjazdem na wakacje.

Siedzący przy komputerze w drugim pokoju Rafał jakoś dziwnie patrzył na nas, gdy Julka wychodziła. Najwyraźniej słyszał część naszej rozmowy, ale duchy nie wydały mu się na tyle niebezpieczne, żeby zaprotestować. Po zeszłorocznej aferze, do której rozwiązania zdecydowanie się przyczyniliśmy, miał na mnie oko. Najnormalniej w świecie bał się, że połknęłam jakiegoś kryminalnego bakcyła i będę wszędzie szukała zwłok. Martwych albo i nie. Ta druga opcja chyba bardziej go niepokoiła.

* * *

Pierwszego czerwca w szkole był dzień sportu, zajęcia skończyły się szybciej i miałyśmy chwilę, żeby skonkretyzować plany wyjazdowe. Czas był najwyższy, bo niedługo jako jedyne miejsce do spania zostanie nam własny namiot. To znaczy, jeżeli chodzi o Krynice Morską, to już tak było.

- Dupa blada, nie ma miejsc - poinformowałam Julkę. - A te kobiety w pensjonatach miały mnie za idiotkę, bo kto to widział tak późno rezerwować pokoje. Cała Polska jedzie na Mierzeję? Nie mają innych miejsc? Tam jest wąsko!

- Trudno, będziemy tam dojeżdżać. - Julka westchnęła współczująco i obłudnie. - Ja wstępnie zaklepałam pokój pod Fromborkiem u znajomych rodziny moich znajomych. Tak na wszelki wypadek. Z balkonem i własną łazienką.

- To mamy gdzie spać. Chyba że zdecydujemy się na Frombork.

- Miałybyśmy dalej do tych duchów.

- Pytałaś o gliny i o to, czy jednocześnie pojawia się duch i coś ginie?

Okazało się, że miejscowi rozmawiali z policjantami, ale prywatnie. Nikt się nie wygłupiał z oficjalnym zgłoszeniem kradzieży ani nie sugerował, że za tym stoi nieznanomy duch. Nieoficjalnie pogadali sobie jednak przy piwie z jednym takim sierżantem i podzielili się obawami. Niepokojące było nie to, że coś ginie, bo za tym mógł stać zwykły złodziej, a prawie każdy kiedyś spotkał się z kradzieżą, która, aczkolwiek mogła być bardzo

dotkliwa, to od razu było wiadomo o co chodzi. I normalni złodzieje starali się, aby nie było ich widać. A ten działał inaczej. Dawał się zauważyć, ale nic sobie z tego nie robił.

- Ale czy to czasem nie jest tak, że oni nigdy nie widzieli go blisko miejsca, z którego coś zginęło? - przycisnęłam Julkę.

- Zdefiniuj blisko.

- W momencie kradzieży.

- Nigdy nie było takiego przypadku, nikt nie złapał złodzieja na gorącym uczynku.

- Na podwórku?

Okazało się, że nie, a ludzie po prostu łączą fakty. Coś zniknęło, a ktoś widział sylwetkę zjawy. Albo odwrotnie. Czasem dopiero na wieść, że duch się znowu pojawił, wszyscy rzucali się do sprawdzania stanu posiadania i często stwierdzali, że coś zginęło. Nie zawsze były to rzeczy takie jak namiot, który był dobrze widoczny, lub grabie, których ktoś często używał.

- Może oni po prostu gubią te rzeczy i zwalają na ducha? - zasugerowałam.

- E, chyba nie, nie gadaliby wtedy z gliniarzami.

- Jakies to takie niepoważne jest. Wiesz, mnie by chyba bardziej wkurzyło, jakby mi ktoś coś podpierzdzielił spod domu i byłabym tym zaintrygowana do granic możliwości. Starabym się złapać złodzieja i sprawdzić, kto to jest. Nawet gdyby wyglądał jak duch. A oni nic. Uważają, że duch ma prawo kraść? To jakaś lokalna tradycja? A poza tym, skąd ta pewność, że kradnie duch? Tak jest wygodniej?

- No właśnie - ucieszyła się Julia. - Oni tam może mają inny charakter? A dla nas to akurat zagadka w sam raz.

- Dobra, jedziemy! - zdecydowałam. - Duch nie duch, ale pewnie i tak nie damy rady załatwić noclegów gdzieś indziej. Trzeba wykorzystać to, co nam wpadło w ręce.

- W sensie zakwaterowanie?

- W sensie zakwaterowanie i te lekko kryminalne akcenty.

- Kradzieże SĄ kryminalne - powiedziała z naciskiem Julka.

- Ale duch jest niepoważny i trochę osłabia efekt kradzieży. Chociaż intryguje. Wyobraź sobie takie doniesienie: panie sierżancie, bo mi zjawa bieliznę ukradła. Na pewno przez gardło by mi nie przeszło.

- Bo ty to byś od razu trupa chciała!

- Zaraz tam chciała! I zaraz trupa! Ale nie przeczę, że „nieboszczyk ukradł mi gacie” na pewno brzmiałoby dla policji ciekawiej. Na kiedy zarezerwowałaś pokój?

- Od siódmego lipca.

- To mamy miesiąc. Dobrze byłoby mieć jakiś konkretniejszy trop już teraz, żebyśmy wiedziały, od czego zacząć. Pogadaj z tymi znajomymi, czy nie udałoby się dostać spisu przedmiotów, które zginęły. Jeżeli ci okradzeni rozmawiali o tym z policją, to musieli im jakieś konkrety podać. Niech je podadzą i nam. Pokombinujemy sobie jeszcze w Gdańsku. I musimy się zastanowić, co ze sobą zabrać.

- No jak to co? To, co normalnie zabiera się na letnie wyjazdy. - Julka popatrzyła na mnie, jakbym chciała spakować się na wyprawę do Afryki.

- Nie pamiętasz już, jak nam w zeszłym roku brakowało rozmaitych rzeczy? A to mapy, a to sznura, a to czegoś innego.

W wyniku zastanawiania się, co nam się może przydać, powstała całkiem pokaźna lista. Oprócz rzeczy oczywistych, takich jak ciuchy na różną pogodę, kosmetyki, lekarstwa, książki i latarki, znalazły się tam też: śpiwory i koce (bo może będzie trzeba spędzić noc na dworze), składane krzeselka (takie jak na ryby), saperka (zawsze się może przydać), sznur (do zastosowań rozmaitych), scyzoryki (według Julki na grzyby, według mnie do wszystkiego), koszyki na grzyby (do zastosowań zgodnych z nazwą, ale też jako świetny pretekst do włóczenia się po okolicy) i zapas piwa (żeby nie było trzeba za każdym razem do sklepu chodzić). To ostatnie wzbudziło pewne kontrowersje, bo albo piwo, albo jazda samochodem w pogoni za duchem, więc dopisałyśmy alkomat. Nie wpadłyśmy z nagle w alkoholizm, ale obie piwo lubiłyśmy, za to nie lubiłyśmy pijanych kierowców.

- Jeszcze trochę i będziemy musiały we dwa samochody pojechać - przyjrzałam się krytycznie naszej liście.

- Ja tam nie chcę nic mówić, ale większość tych rzeczy do zabrania to twój pomysł - wytknęła mi przyjaciółka.

- A wolisz czatować na ducha lub złodzieja zmarznięta, siedząc w kucki czy na rozkładanym siedzisku zawinięta w kocyk?

- CZATOWAĆ? Alka, myśmy miały rozwiązywać zagadkę! Jeszcze nas tam nie ma, a ty się zastanawiasz, jak złapać kogoś, kto się wymyka miejscowym.

- Czysto teoretycznie. Poza tym siedzieć możemy nad zalewem, oglądając zachód słońca lub jedząc drugie śniadanie gdzieś w plenerze. Na grzybach na przykład - uspokoiłam przyjaciółkę.

- Akurat ci wierzę. - Julka wzruszyła ramionami.

Dalsze kompletowanie sprzętu przerwali nam nasi faceci, czyli mój mąż i poderwany rok temu przez Julkę sierżant policji. Niby go nie podrywała, tylko wydobywała informacje potrzebne nam w prywatnym śledztwie, ale jakoś tak się złożyło, że Podgórski

zaczął często przyjeżdżać do Gdańska, a ostatnio udało mu się przenieść na stałe. Mężczyźni oświadczyli, że trzeba uczcić Dzień Dziecka i zabierają nas na lody, ciasto, spacer albo cokolwiek. Przez ten rok zdążyli się już zaprzyjaźnić i miałam niejasne podejrzenia, że planują trochę nas popilnować. Podgórski jako profesjonalista zdecydowanie protestował przeciwko pchaniu się w sprawy kryminalne, a mój mąż po prostu się o mnie bał. Dawid pewnie bał się o Julkę, ale z racji zawodu mógł udawać, że chodzi mu tylko o to, że to policja, a nie cywile, powinna zajmować się przestępcami. Jasne. Jakbyśmy nie znalazły tego faceta w malinach, to policja nic by nie wiedziała o aferze. Albo zdecydowanie mniej. Teraz ratowały nas te duchy, które stanowiły świetną zasłonę dymną. Intrygował mnie ten złodziej kradnący, według informacji znajomych Julii, już od zimy, a traktowany tak pobłażliwie. Poza tym, czy on się nie bał, że w końcu ktoś się na niego zaczai i go złapie? I po co kraść różne małowartościowe duperele? Ryzyko większe niż zysk. Ciekawe...

Spis skradzionych rzeczy dotarł do Julki po dziesięciu dniach. Przetarłam oczy, gdy zobaczyłam, ile tego było i co padło łupem złodzieja. Listę otwierały jajka podbierane z kurnika, a dalej były: trzy kury, szczeniak, grabie, dwie łopaty, suszące się pranie, garnek z zupą, gąsior wina, buty i kalosze, radio samochodowe leżące na ławeczce przed domem, różne narzędzia, dwa stare albumy ze zdjęciami, płetwy, srebrny lichtarz, dwa koła od samochodów, ale różnych, kosz z ziemniakami, namiot i wiertarka.

- Rany boskie, Julka, co to jest? To przecież wygląda jak spis rzeczy zgubionych, a nie skradzionych. W każdym razie w większości.

- I właśnie dlatego nikt tego nie zgłasza. Przyznałabyś się, że ci ktoś jajka z kurnika podprowadził? Od razu by było na lisa, kunę czy łasicę.

- To jest takie... bez sensu - skrzywiłam się z niechęcią.

- No właśnie. Rozumiesz, taka zasłona dymna - przekonywała mnie Julia.

- Puknij się! Jaka zasłona dymna? Ktoś coś ukrywa poprzez dokonywanie idiotycznych kradzieży? Zdecydowanie lepiej byłoby cicho siedzieć.

- No właśnie! Rozumiesz, wszyscy mówią, że to głupie.

Nie byłam przekonana, Julka być może też nie, ale wolała się nie przyznawać. Wiedziała, że tajemnica jest dla mnie niezłą przynętą i pewnie nie będę marudziła, że nie udało się pojechać do Krynicy Morskiej.

Nie musiała tak agitować, wybrałyśmy już przecież miejsce wyjazdu na wakacje. Teraz pozostało tylko czekać na koniec roku

szkolnego i kompletować nasz ekwipunek.

* * *

Pokój miałyśmy dostępny od soboty wieczorem, ale wyjechałyśmy z Gdańska rano. Pogoda była przyzwoita i postanowiłyśmy obejrzeć Frombork. Przypuszczaliśmy, że tak naprawdę to, co jest warte obejrzenia, znajduje się na Wzgórzu Katedralnym i w okolicy, więc na pierwsze rozeznanie, zjedzenie obiadu i pogapienie się na zalew powinno nam wystarczyć kilka godzin. Co prawda Julia już coś zaczęła przebąkiwać o lesie i grzybach, ale to mogło trochę poczekać, nie musiałyśmy od razu po opuszczeniu samochodu lecieć sprawdzać, czy nie ma gdzieś kurek.

Zaparkowałyśmy na niewielkiej uliczce niedaleko posterunku policji, pewnie wiodło nas jakieś przeznaczenie, bo nie miałyśmy pojęcia, gdzie go szukać. Wyszło niezłe, bo po cichu liczyłam na to, że kontakty z gliniarzami okażą się konieczne. Nic nie powiedziałam na ten temat i udałam, że nie zauważam szarego budynku i tablicy do niego przymocowanej. Wolałam na razie nie narażać się Julce, która miała nadzieję na wakacje spokojniejsze niż w zeszłym roku. Ja liczyłam na kolejną porcję adrenaliny i przygody. Nie paliłam się do znajdowania zwłok, szczególnie w stanie lekko przechodzonym i z pewnymi ubytkami ciała, ale zagadka, niechby nawet kryminalna, nie musi się wiązać z morderstwem. Moja przyjaciółka uważała, że najlepiej by było, gdybyśmy trafiły na coś intrygującego, ale bezpiecznego i niezwiązanego z przestępstwami, ale ja miałam na ten temat inne zdanie. Nie interesowały mnie rzeczy prozaiczne, a wszystko inne według mnie musiało się w jakiś sposób wiązać z kryminałem. Powód był prosty. Ludzie przeważnie trzymają coś w tajemnicy, bo boją się konsekwencji po jej ujawnieniu. Oczywiście może to dotyczyć reakcji rodziny, znajomych, utraty autorytetu czy skandalu. Dla mnie to był za mały kaliber, poza tym nie miałam ochoty grzebać się w ludzkich życiorysach i brudach. Interesowało mnie coś większego, ciekawszego, wymagającego kojarzenia faktów, logicznego myślenia, a nie tylko wścibstwa. A według mnie prawie zawsze wiązało się to z jakimś, większym lub mniejszym, naruszeniem prawa. Poza tym ludzie wtedy na pewno bardziej się boją, że tajemnica wyjdzie na jaw i pilniej jej strzegą. Czyli będzie więcej zabawy, żeby dociec, o co chodzi. W tym momencie rozmyślałam zawsze wracałam tego samego: nie chciałam, żeby to było coś osobistego typu zawód miłosny i odgrywanie się na niewiernym. Miałam również czas przemyśleć kradzieże i pojawianie się tego

ducha i wyszło mi, że te sprawy nie muszą się wcale ze sobą łączyć. Chyba nawet wolałbym, żeby się nie łączyły, w razie czego miałybyśmy dwie zagadki do rozwiązania.

- Coś ty tak zastygła jak słup soli? - pogoniła mnie Julia. - Gdzie idziemy? Katedra czy port?

- Do portu mamy bliżej.

- Niech ci będzie, chodźmy nad zalewę.

Akurat piłam i prychnęłam wodą na ulicę i drzwi samochodu, dobrze, że nie na siedzenia.

- Nad co?

- No nad wodę, a co?

- Powiedziałaś, że nad zalewę. Rodzaje ci się pomyliły? TA woda, nad którą leży Frombork, to jest TEN zalew.

- TA zalewa - roześmiała się Julia. - Słyszałam, jak ktoś kiedyś tak mówił na zalew i strasznie mi się spodobało. I podłapałam.

Nad zalew, sorry, nad zalewę miałyśmy rzeczywiście blisko. Ponieważ pogoda była ładna, uliczki prowadzące do portu zastawione były samochodami i pogratulowałam sobie w duchu, że nie przyszło mi do głowy parkowanie pod portem. Dochodziło południe, ale na wodzie przewalały się leniwie żaglówki. Nie wypływają? Nie korzystają z pogody i wiatru? Żeglarzem nie jestem, ale pogoda wydała mi się niezła na żeglowanie. Powód okazał się prozaiczny. Wieczorem żeglarze zrobili sobie niewielką imprezę i teraz wszyscy odsypiali. Obejrzałyśmy port, przespacerowałyśmy się kawałek wzdłuż brzegu do plaży i przeszłyśmy się po falochronie.

- Jednak nie wszyscy żeglarze odsypiają - zauważyła Julia. - Całkiem sporo tych żaglówek.

- I nie tylko. Zobacz, tam chyba płynie jakiś statek. - machnęłam ręką w stronę Tolkmicka. - A tam są jakieś łodzie motorowe.

- Oni chyba nurkują. A w każdym razie tak mi się wydaje, chociaż mam wątpliwości, czy zalewa to najlepsze miejsce do tego. Idziemy obejrzyć katedrę?

Postanowiłyśmy pójść inną drogą. Nie było obawy, że zabłądzimy, katedra górowała nad miastem, a w każdym razie nad tą jego częścią, w której się znajdowałyśmy. Przeszłyśmy ścieżką prowadzącą od trawiastego terenu nad zalewem w głąb lądu, a potem, kierując się widokiem, na skróty do wzgórze. Byłam przekonana, że w wakacyjną sobotę ludzi będzie znacznie więcej, Kopernik powinien przyciągnąć turystów.

- Zwiedzamy teraz czy innym razem?

- Nie wiem - zastanowiłam się. - Może obejđmy wszystko

i wtedy zdecydujemy.

Do zobaczenia we Fromborku miałyśmy kompleks katedralny wraz z planetarium, dawny szpital, a obecnie muzeum z przyległym ogrodem, cmentarz, na którym leżą pochowani kanonicy, i jeszcze parę miejsc. Nie wspominając o obserwatorium. To ostatnie mieściło się kawałek za Fromborkiem, było nowe i z tego, co wiedziałyśmy, warto było tam pójść. Nie żebyśmy odkryły w sobie nagłą pasję astronomiczną, ale pooglądać zawsze warto.

Pod katedrą był może nie tłum, ale zdecydowanie się zagęściło i momentalnie zdecydowałyśmy się, że zwiedzimy ją kiedy indziej, w środku tygodnia. Podobnie jak wszystko inne na wzgórzu. Dzisiaj postanowiłyśmy się zadowolić spacerem i oglądaniem budynków z zewnątrz.

- Ty, popatrz, część ludzi tylko chodzi i zdjęcia robi - zauważyła Julia. - Nie interesuje ich, co jest w środku?

- Może bilety są drogie?

- To po co przyjeżdżają? Mogliby w sieci zdjęcia obejrzieć.

- Nie mają czasu? Mają na trasie Braniewo, Frombork i coś tam jeszcze do obskoczenia w jeden dzień? Albo do pochwalenia się znajomym wystarczą im zdjęcia z zewnątrz, a zaoszczędzony czas spędzą w jakimś sklepie? A zresztą, co cię to obchodzi? My sobie zwiedzimy dokładniej. Chodź, pójdziemy na ten stary cmentarz koło psychiatryka, a potem zejdziemy w dół do starego szpitala, tego z wystawami dotyczącymi medycyny.

- Może zobaczymy ducha kanonika? - roześmiała się Julka.

- Jeszcze nie słyszałam o zjawie dziennej, ale ta tutaj jest tak nietypowa, że czort ją wie. Może i snuje się przed zmrokiem - Wyminęłam jakąś grupę rodzinno-towarzystwą i wyszłam za bramę. - Słuchaj, musimy nawiązać kontakty ze społeczeństwem i wypytać o tego ducha i kradzieże.

- To chyba nie we Fromborku, a gdzieś tam, gdzie to się dzieje?

- O duchu można i tu. Pójdziemy sobie na jakiś obiad i spróbujemy zasięgnąć języka na zasadzie, że w takich starych murach to pewnie jest jakaś biała dama lub inny duch.

- A pytany popuka się palcem w czoło i stwierdzi, że rzadko widuje się takie idiotki.

- A co ci szkodzi? Zna cię tu ktoś? Niechby sobie nawet pomyślał, że same jesteśmy nawiedzone. Powinno im zależeć, żeby poopowiadać o mieście, bo przecież to reklama.

Tak pogadując, doszłyśmy do muzeum, które mieściło się w dawnym szpitalu. Budynek nie był duży i uznałyśmy, że tę wystawę oglądniemy od razu, ale w proggu nas zastopowało. Nie lubię tłumy i już! A akurat weszła wycieczka i to młodzieżowa!

Żadnych małałatów, wakacje są! Wymiotło nas stamtąd natychmiast i poszliśmy zobaczyć przyszpitalny ogród. No coś pięknego! Nie dość, że było co pooglądać, to jeszcze te opisy! „Popularny lek przeciwko zarazom, czarom i stanom zapalnym” przy walerianie bardzo pasował do ducha, bo jak duch, to może i czary? Tojad obejrzałam sobie z uwagą, bo nigdy nie widziałam go w naturze, a Julka prawie oszalała z zachwytu nad całością. Wiadomo, biolog. W pewnej chwili podniosliśmy wzrok znad roślin, bo coś zahłasowało na dachu starego szpitala.

- Rany boskie, Alka, patrz!

- No patrzę przecież. Ale masz rację, jest gigantyczne.

Na kominie było olbrzymie gniazdo bocianie. Nie mam pojęcia, od ilu lat tam tkwiło, ale nigdy w życiu nie widziałam tak wysokiego. Aż dziw brał, że nie spadało. Nasze zachwyty usłyszał przechodzący akurat obok pracownik muzeum i od razu skorygował nasz pogląd. Gniazdo nie znajdowało się na kominie tylko na małej sygnaturce, gdzie kiedyś był zainstalowany niewielki dzwon.

- To co? Idziemy coś zjeść? - Julia po oglądnięciu wszystkich roślin i zrobieniu im mnóstwa fotek poczuła głód.

- Tu obok coś jest, możemy spróbować tam.

- Myślisz, że rybę tu mają?

- Nie wiem, ale rybę to chyba najlepiej w porcie? - zasugerowałam, stojąc już pod restauracją. - Sądząc po nazwie, to raczej pizzę bym tu zamówiła.

- „Don Roberto”, może i racja.

Usiadłyśmy przy stoliku na zewnątrz i czekałyśmy na zamówioną pizzę. Czułam pewien niedosyt, nie natknęłyśmy się jeszcze na nic intrygującego. Nie nudziłam się, ale moje rozbudzone w zeszłym roku ciągoty kryminalne popiskiwały lekko. Julka wróciła z toalety i przejęta zdawała mi relację z wystroju wnętrza, które obejrzała po drodze. Jej zachwyty wzbudziły wyeksponowane słoiczki z różną zawartością spożywczą - głównie swojskimi przetworami, a niepokój broń widoczna na tejże szafie. Bez chwili wahania poszłam to sprawdzić. Na szafie leżał *tommy gun*. Nie jestem znawczynią broni, ale jak dla mnie wyglądał tak, jak na starych filmach gangsterskich. Może dałoby się z niego postrzelać?

Młody kelner, który podawał nam smakowicie wyglądającą pizzę, na pytanie, czy na wzgórzu katedralnym straszy, zrobił ruch jakby chciał się palcem w głowę popukać, ale zdecydowanie przeszkodziła mu w tym trzymana w rękach taca, co pozwoliło mu zachować grzeczność wobec klientek. Rozbudowałam pytanie, precyzując, że chodzi nam o legendę, a nie rzeczywistość. Niestety, chłopak nie wiedział o niczym takim. Trudno.

Do naszego wakacyjnego lokum dojechałyśmy koło piątej po południu, niby nie wieczorem, ale pokój okazał się już dostępny. Spory, z dwoma łózkami, niedużą kanapką, fotelami, stolikiem, szafą, skromnym aneksem kuchennym i łazienką. Gospodyni od razu spytała nas, czy chcemy się u niej stołować, czy wolimy same kucharyć. Bez namysłu zdecydowałyśmy się na obiady przez nią serwowane, nie chciało nam się zajmować kuchnią. Uprzedziłyśmy tylko, że może się tak zdarzyć, że spóźnimy się na posiłek, ale wtedy po prostu odgrzejemy sobie obiad u siebie w pokoju. Nie zwracając sobie na razie głowy rozpakowywaniem bambetli, poszłyśmy na spacer po okolicy, w końcu trzeba sprawdzić, gdzie się mieszka. Dom, w którym spałyśmy, znajdował się na końcu wsi, co nam zdecydowanie odpowiadało. Miałyśmy w planach wypady w różne miejsca o rozmaitych porach i nie widziałyśmy powodu, żeby od razu wszyscy o tym wiedzieli. Nocne spacery letniczek mogłyby kogoś zainteresować i wzbudzić plotki. Problem był tylko jeden. Nasz pokój znajdował się na piętrze, wymykając się, obudziłybyśmy domowników.

- Nasze okna wychodzą na tył podwórka - zaczęłam zachęcająco, ale Julka mi przerwała.

- Oszalałaś? Mamy skakać z pierwszego piętra? Niechby nawet niskiego! Czy ja jestem ninja czy biolog?

- Jedno drugiego nie wyklucza. Poza tym mamy balkon, co stwarza pewne możliwości. Chodź, zobaczmy, jak to wygląda. - Pociągnęłam Julię w głąb podwórka.

Nasz balkon był zadaszony i spory. To jeszcze nic nam nie dawało, ale z radością stwierdziłam, że pod domem rośnie duże drzewo, a całkiem gruba gałąź dotyka samego balkonu. Była ucięta, najwyraźniej gospodarze nie chcieli, żeby zacieniła pokój. Widząc, gdzie patrzę i jaką mam minę, Julia natychmiast popukała się w czoło.

- Oszalałaś? Ile ty masz lat? Piętnaście? Naprawdę oknem chcesz wychodzić? I po pniu drzewa?

- Jak nie będzie innej możliwości, to tak.

- JA nie. Poza tym jak wrócisz? W dół to jeszcze może się da, ale w górę? Co ja, mała jestem? Lewitować też nie umiem.

- No dobra, jeszcze zobaczymy. - Wołałam nie stresować jej niepotrzebnie. - Może da się wychodzić z domu bezszmerowo. W którą stronę najpierw idziemy?

- Do lasu, potem możemy zatoczyć koło i wrócić.

- Po drodze spróbujemy pogadać z ludźmi. Z tego, co pamiętam, to w tej wsi też ginęły różne przedmioty.

- Tak się zastanawiam - Julia przeskoczyła przez kałużę - czy

powinnyśmy. Bo rozumiesz, jak zaczniemy wszystkich wypytywać, to złodziej może się dowiedzieć i nie złapiemy go.

- W ogóle będzie ciężko - westchnęłam. - Cholera wie, jak często on kradnie. Właściwie potrzebna by nam była jakaś osoba przejęta tematem, może nawet przestraszona i małowólna zarazem, ale też nie za bardzo. I sporo wiedząca.

- Trochę sprzeczne te cechy - skrytykowała mnie Julia. - Może po prostu spytamy naszą gospodynię? Przy okazji dałybyśmy jej do zrozumienia, że może się spodziewać naszych wyjść i powrotów o różnych porach.

- Spróbujemy pogadać, jak wrócimy. A teraz skup się na zapamiętywaniu terenu, żebyśmy spokojnie mogły tu po ciemku latać.

- Coś ty się tak uparła na łożenie po okolicy po ciemku?

- A widziałaś ducha w dzień?

- No nie, masz rację.

Szłyśmy drogą i rozglądałyśmy się dookoła. Postanowiłyśmy, że jeżeli nie znajdziemy innej, którą powinnyśmy wrócić do wsi, to cofniemy się do domu i pójdziemy w drugą stronę. Szczerze mówiąc, z takiego łożenia żadnych zysków śledczych raczej się nie spodziewałam. Powinnyśmy się skupić na miejscach, w których bywał złodziej i duch, a nie szukać na chybił trafił.

- Chodź szybciej! - pogoniła mnie Julka. - Wlazłyśmy w jakąś strefę końskich much! Zaraz nas pożrą, bo rzuciły się, jakby od stu lat człowieka nie widziały. Albo może jesteśmy wyjątkowo smaczne, taki przysmak z dalekich stron.

Rzeczywiście, dawno nie widziałam ich tylu naraz. Leciały za nami całą chmarą, ewidentnie miały ochotę na posiłek. Hm, to tak okresowo czy zawsze tu tak jest? Miałam nadzieję, że to pierwsze. Przebiegłyśmy odcinek opanowany przez muchy i już normalnym krokiem ruszyłyśmy dalej. Udało nam się tak wybrać trasę spaceru, że do domu zbliżałyśmy się od strony przeciwnej. Gospodyni porządkowała coś koło płotu, ale robiła to bez zbytniego zaangażowania i uznałyśmy, że chętnie wda się w pogawędkę. Od czego zacząć i jak ją przeprowadzić? Po wstępnych uprzejmościach i krygowaniu się, że jej czas zajmujemy, dałyśmy się zaprosić do altanki na herbatę i ciasto.

- Panie tu pierwszy raz?

- Byłyśmy kiedyś we Fromborku, ale to już dawno temu.

- W sumie aż tak dużo to tu do zwiedzania nie ma, jeden dzień by paniom starczyły spokojnie, a nawet mniej. - W tym stwierdzeniu zawarte było pytanie: „Co będziecie potem robiły?”.

- Ale jest zalew, można skoczyć do Braniewa lub Tolkmicka albo

nawet na mierzeję.

- To prawda.

- Poza tym chcemy trochę odpocząć i poleniuchować. Pospacerować po okolicy, pójść na grzyby albo posiedzieć na balkonie z książką.

- Kurki już są - powiadomiła nas gospodyni ku wielkiej radości Julki. - Słyszałam, że interesuje panie nasz duch?

No proszę, kobieta sama zaczęła temat, jak miło. Przyznałyśmy się do zainteresowania duchem, nie wspominając o tym, że liczymy na jakieś sensacyjne wydarzenia, tylko motywując to tym, że w obecnych czasach rzadko się słyszy takie opowieści. Pomijając oczywiście duchy historyczne, jak wszelkiego rodzaju białe damy.

- Ja tam w duchy nie wierzę, ale tego czegoś nikt z bliska nie widział, pojawia się i znika i nigdy nie wiadomo, kiedy znowu będzie. Jak taka zjawa - kontynuowała kobieta.

- A wiadomo chociaż, czy pojawia się zawsze w tych samych miejscach?

- Tak. Ludzie mówią, że ma swój rejon i nawet jak nie jest to dokładnie to samo miejsce, to wiadomo, gdzie można go spotkać.

- Pokaże nam pani, gdzie to jest? - poprosiłam zachłannie. - Zaraz mapę przyniosę.

Postanowiłam od razu nanieść te punkty na mapę, może to nam coś da? Mapę miałyśmy dokładną, tylko okolice Fromborka, w bardzo przyjaznej skali. Kobieta pokazała nam, gdzie się pojawia domniemany duch, a potem, gdzie grasuje złodziej czy też złodzieje. Wiedziała znacznie więcej, niż Julka dowiedziała się od znajomych. Okazało się, że zapanowała istna plaga kradzieży w okolicach miasta. Nie w samym mieście, ale w pobliskich wsiach, szczególnie tych położonych od strony Tolkmicka. Mniej więcej od zimy co chwilę coś ginęło, ale przeważnie straty były tak małe, że ludzi bardziej denerwowało to, że ktoś chodzi im po obejściu niż to, że zginął jakiś duperel.

- Nigdy nic cennego?

- Tylko kilka razy i zawsze były to stosunkowo nieduże przedmioty.

- Kradnie tylko z obejścia? - podpuściłam kobietę.

- A gdzie tam, co pani! Włazi do domów. I większość ludzi jest przekonana, że kradzieże miały miejsce w nocy, jak oni sobie smacznie spali.

- Może złodziej wykorzystał okazję, gdy nikogo w domu nie było?

- W większości przypadków nie. Tu nie ma zbyt wielu rozrywek, ludzie noce spędzają w domach.

- Nie bał się, że ktoś się obudzi i go zobaczy? - zdziwiła się Julka.

- No właśnie. - W głosie naszej gospodyni pojawiła się nuta satysfakcji, nie wszędzie jest taki nietypowy złodziej.

- Intrygujące. Nikt nie próbował go złapać?

- Wszyscy. To znaczy wszyscy dbają o to, żeby zamykać drzwi, nie zostawiać nic na wierzchu i ogólnie pilnować swojego dobytku, ale to nic nie daje.

- A może to ktoś znajomy? Wie pani, na sąsiada można nie zwracać uwagi, szczególnie, gdy często przychodzi.

- Uważamy, że nie. Nikt nowy tu ostatnio nie zamieszkał, a jak ktoś by miał takie skłonności złodziejskie, to chyba nie od zimy, tylko wcześniej. Ktoś przyjeżdża i kradnie - stwierdziła stanowczo kobieta i dołożyła nam ciasta.

- Wie pani - zaczęłam, zawahałam się, kombinując, jakich użyć słów, i kontynuowałam ostrożnie - to bardzo ciekawe. Nigdy nie spotkałyśmy się z takim dziwnym działaniem, chociaż nasi uczniowie pomysły mają czasem naprawdę niesamowite.

- W sumie nie wiem, co jest bardziej intrygujące, złodziej czy duch - przysłała mi Julka z pomocą. - Zna pani kogoś, kto widział ducha?

Najwyraźniej śledzenie i łapanie ducha wydało jej się ciekawsze niż kradzieże. Nasza gospodyni знаła sporo osób, które twierdziły, że widziały zjawę. Według niej co najmniej sześć z nich zechce porozmawiać z nami na ten temat.

- Oni chętnie o nim opowiadają, bo kto to widział, żeby duch po wsiach w dwudziestym pierwszym wieku grasował.

Zabrzmiało to tak, jakby zjawy kilka wieków temu były czymś naturalnym, powszechnie spotykanym i zamieszkiwały co drugi dom. Chciałyśmy jeszcze dowiedzieć się, z kim w miarę dyskretnie możemy poplotkować o złodzieju, i uprzedzić, że możemy wychodzić lub przychodzić w nocy, ale do domu wrócił gospodarz z zakupami i naszej rozmówczyni skończył się czas wolny.

Rozpakowanie ciuchów i zrobienie kolacji zajęło nam pół godziny, a potem z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku rozsiadłyśmy się na balkonie. Było ciepło, a przed komarami zabezpieczyłyśmy się, zapalając spiralę.

- Tu nam nikt przez okno nie wlezie - zauważyła Julka z zadowoleniem. - Nie musimy ustawiać na parapecie instalacji antywłamaniowej.

- Oszalałaś? Bez specjalnego wysiłku po tym drzewie wejdziesz. - Machnęłam w odpowiednią stronę rękę, ale zapomniałam, że trzymam w niej szklankę i wylałam sobie trochę piwa na nogi. -

Cholera!

- To nie machaj tak, bo napój marnujesz, a nie słyszałam o kuracji piwnej dla stóp. Sama mówiłaś, że z balkonu to nawet my byśmy zlazły, ale w drugą stronę gorzej - przypomniała Julia.

- Dla nas gorzej. Średnio wysportowany facet jest silniejszy od nas, ma lepszy chwyt i spokojnie się tu dostanie. Tylko po co? Jeszcze nie zdążyłyśmy się nikomu narazić - powiedziałam z pewnym smutkiem w głosie.

- Ty chyba jednak zwariowałaś. - Julka dołała sobie piwa i spjrzała na mnie krytycznie. - Po cholereę chcesz się znowu narażać?

- Nie po cholereę, tylko ze względu na to, co planujemy. Myślisz, że i złodziej, i duch tak chętnie dadzą się zdemaskować? Obawiam się, że nie.

- Dobrze chociaż, że dzisiaj na pewno będziemy miały spokojną noc - westchnęła moja przyjaciółka. - Nigdzie nie idziemy, to i nikt do nas nie przyjdzie z niezapowiedzianą wizytą.

- Mogłybyśmy...

- Nie! Wypiłyśmy piwo i nie mamy jak pojechać, a nie wiem, czy zauważyłaś, że te miejsca z duchami nie są przy naszej wsi. Trzeba dojeść albo dojechać. Zaraz będzie ciemno, więc nie będziemy łązić po nieznanej okolicy w poszukiwaniu guza, a pojechać nie możemy. Znaczący przesypiamy całą noc.

Miała rację. Dzisiaj musiałyśmy zrezygnować z nocnej wyprawy, ale mogłyśmy usiąść nad mapą i spróbować coś wykombinować. Chociażby miejsce, w którym możemy poczatować na ducha lub złodzieja. Przeniosłyśmy się do domu, bo zrobiło się chłodno, a komary wzmożyły aktywność. Może chciały spróbować nowego pożywienia? Nie zdążyłam rozłożyć mapy, gdy odezwały się komórki, najpierw Julki, a chwilę później moja. Kie lichy?

Okazał się, że nie lichy, a nasi faceci. Rafał i Dawid woleli sprawdzać, co robimy, żeby nie przyszło nam do głowy znajdować kolejne zwłoki, niezależnie, jak bardzo martwe. Sprytnie wykombinowali, że zadzwonią jednocześnie, nie dając nam czasu na ustalenie zeznań. Z tym, że był to numer na raz, bo już wiedziałyśmy o ich niecnym planie. Ciekawe, co wymyślą jutro. Zdałyśmy relację, zapewniłyśmy, że na nic się dzisiaj nie narażałyśmy, i zostałyśmy ostrzeżone, że będziemy pilnowane. Poczuliśmy się prawie jak drogocenne klejnoty w muzeum regaliów w Tower.

- Dobra, dawaj tę mapę. - Julka jako druga skończyła rozmowę, być może dlatego, że Podgórski nie był jeszcze jej mężem. Dłużej wymieniali pewnie czułości i inne takie.

Podczas naszej rozmowy z gospodynią pozaznaczałam miejsca ukazywania się ducha i wizyt złodzieja różnymi kolorami. Ewidentnie było widać, że duch wybrał sobie pewien rejon, niejako od zalewu w głąb łądu, ale nie w samych wsiach. Złodziej natomiast kradł we wsiach, bo niby co miał ukraść na polu lub w lesie? Pani Zosia zrobiła chyba przegląd wszystkich znajomych, bo kropek „złodziejskich” było aż dwadzieścia siedem, tych oznaczających ducha dwanaście.

- Mam od razu takie dwie uwagi - oznajmiła Julka, wpatrując się w mapę.

- Tylko dwie?

- A ty masz więcej?

- Pewnie!

- Czemu mnie to nie dziwi? - Julka była do mnie przyzwyczajona. - Chodzi mi o te kropki. W obu przypadkach tych miejsc może być więcej niż mamy zaznaczone.

- Zgadzam się. Według ciebie dlaczego?

- Pani Zosia nie wie o wszystkich zdarzeniach. Po pierwsze, mimo że pewnie ludzie się tu dobrze znają, to jednak nie mówią sobie wszystkiego, a po drugie pewnie część tych, którzy widzieli ducha, w ogóle się do tego nie przyznała.

- Dokładnie. Co prawda mamy sześć nazwisk osób, które ponoć chętnie z nami pogadają o zjawie, ale niektórym pewnie głupio się przyznać, że też go widzieli. To takie niepoważne. Poza tym duch na wsi w dwudziestym pierwszym wieku budzi jednak pewne opory. Żeby chociaż na wzgórzu katedralnym lub przy starym szpitalu - podałam ciekawsze dla ducha lokalizacje.

- Niby opory, ale jednak ludzie twierdzą, że to duch, a nie ktokolwiek inny, na przykład obcy.

- Pewnie wszyscy mamy to w genach. A jeżeli chodzi o złodzieja, to niektórzy mogą nawet nie wiedzieć, że coś zginęło. Na tej liście były jajka z kurnika. Ja tam się na nioskach nie znam, ale jak on buchnął wieczorem dwa, a kury zniosły w nocy jeszcze kilka jajek, to właściciele nawet by nie wiedzieli, że coś zginęło. Pewnie tak samo jest z innymi małymi rzeczami, szczególnie takimi, których się nie używa co chwilę.

- Jak to zrobić, żeby się więcej dowiedzieć, ale żeby się to nasze wypytywanie po okolicy nie rozeszło? - Julka zapatrzyła się w wiszący na ścianie obraz w poszukiwaniu natchnienia.

- Nie mam pojęcia. Nie wiem, czy moje wyobrażenie o wsi jest dobre, ale wydaje mi się, że ludzie w mniejszych zbiorowościach chętniej plotkują. No po prostu jak kogoś nie znasz, to raczej mu nie będziesz opowiadała, że ktoś ci coś ukradł. O duchu nawet nie

wspominam, bo w tym przypadku można być posądzonym o lekkiego świra albo robienie durnia z rozmówcy. Jutro niedziela, możemy pojechać pod najbliższy kościół...

- Na żebrzy?

- Na rozpoznanie. Przyjrzymy się mieszkańcom, może wytypujemy jakichś rozmówców.

- Tak na oko? Myślisz, że trafimy od razu na odpowiednich ludków? Na czole będą mieli to napisane?

- Może być i na ucho. Może jest jakaś ławka pod kościołem albo po prostu otworzymy okna w samochodzie i będziemy się wsłuchiwać w rozmowy.

- Ta, jasne. I wszyscy nam zrobią uprzejmość i będą rozmawiali koło nas. Chyba oszalałaś. Ławeczka daje znacznie większe szanse, podobnie jak wmieszanie się w tłum - nauczyła mnie Julka, kobieta gliniarza. - Ale na razie chętnie wmieszam się w pościel i skorzystam ze spokojnej nocy, bo nie mam pojęcia, co wymyślisz jutro.

Wzięła ze stołu szklanki, bo z natury była zdecydowanie bardziej porządna ode mnie, umyła je i zniknęła w łazience. Zostałam sama nad mapą. Nie chciałam jej straszyć, ale jeżeli jutro udałoby nam się coś ustalić w sprawie ducha albo złodzieja, to mogłybyśmy w nocy zrobić rekonesans po okolicy. Musiałam tylko pilnować, żebyśmy się piwa nie napiły, bo jedyny środek transportu stanie się dla nas niedostępny. Wbrew sobie musiałam przyznać, że na razie mamy większą szansę na ducha niż na złodzieja, który działał na znacznie większym terenie. A może dałoby się jakoś ustalić kolejność kradzieży? Może to by nam coś powiedziało? Może przestępca działa według jakiegoś schematu? Raz jedna wieś, raz druga? Albo dwie kradzieże tu, a kolejne dwie gdzieś indziej? I co za wariat kradnie bezwartościowe przedmioty? I to nie raz, nie dwa, a już od pół roku? I dlaczego policja nie interesuje się tym? Niska szkodliwość czynu? Czekają, aż doprowadzi coś naprawdę cennego? Coś z katedry?

Hałasy obudziły nas koło drugiej w nocy. Ktoś był na naszym balkonie. Rany boskie, w złym momencie Julka powiedziała o spokojnej nocy. Kto to jest, co chce i dlaczego przylazł do nas? Nie miałyśmy na czole napisane, że chcemy wykryć złodzieja i zdemaskować ducha, a nie zwiedzać okolicę i obżerać się rybami. Przyciągamy do siebie złoczyńców czy co? Zdążyłam to pomyśleć już w momencie otwierania oczu.

- Co robimy? - wyszeptwała Juka, która nie wiem jak zmaterializowała się przy moim łóżku.

- Zaczaimy się koło okna, chodź. - Wstałam po cichu z łóżka

i obie ostrożnie podeszłyśmy w upatrzone miejsce.

- I co teraz?

- Nie wiem - odszepnęłam tak cicho, jak się dało. - Cały czas się tłucze. Myśli, że go nie słyszczać?

- Okna nie otworzy, musiałby wybić - stwierdziła Julia. - A otwarty został tylko ten lufcik pod sufitem.

Jak na komendę spojrzałyśmy w stronę małego okienka. Coś się tam kotłowało. Nie było opcji, żeby ktokolwiek mógł się tamtędy przecisnąć z balkonu do pokoju. Chce nam coś wrzucić?

- Jak coś tu wleci, to wiejemy - wyszeptalam do Julki.

W tym momencie do pokoju wpadł jakiś czarny przedmiot. Rzuciłyśmy się w kierunku drzwi, ale przedmiot poruszał się szybciej. Wpadł mi pod nogi, prawie się o niego potknęłam. Co to może być i dlaczego ktoś wrzuca nam cokolwiek przez okno? Przestraszona Julka już otwierała drzwi, gotowa do wybiegnięcia na korytarz. Może to jakiś gaz albo coś w tym rodzaju?

- Miau! - rozległo się z okolic moich kolan.

Jasna dupa! Kot? Julia zapaliła światło i naszym oczom ukazał się koci podrostek. Już nie kociak, ale jeszcze młodziak. Czarny, z białymi włoskami na uchu i ogonie. Dlaczego w środku nocy postanowił nas odwiedzić, naprawdę nie potrafiłyśmy zgadnąć. Kot domagał się pieszczot, których mu nie pożałowałyśmy. Taki włamywacz był w pełni akceptowalny, wołałybyśmy tylko, żeby nas nie budził. Postanowiłyśmy ułatwić mu wchodzenie przez okienko, żeby tak nie hałasował. Kociak rozejrzał się po pokoju, wskoczył na łóżko Julki i zwinął się w kłębuszek koło poduszki. Jednym słowem uznał, że czas iść spać. Byłyśmy tego samego zdania.

* * *

Pod katedrę we Fromborku podjechałyśmy tuż przed zakończeniem mszy. Nasza gospodyni utrzymywała, że na jedenastą chodzi najwięcej osób, więc zastosowałyśmy się do jej rady. Nie zamierzałyśmy spędzić niedzieli na czatowaniu pod coraz to innymi kościołami, to był taki próbny strzał. Potem chciałyśmy porozmawiać z tymi, którzy widzieli ducha i otwarcie o tym mówili. Jeszcze przed wyjściem z domu udało nam się namówić panią Zosię, żeby nas zapowiedziała. Inaczej rozmawia się z kimś poleconym, a inaczej z jakimiś obcymi namolnymi babami. Do pięciorga naszych przyszłych rozmówców gospodyni dodzwoniła się, w jedno miejsce miałyśmy pójść z zaskoczenia.

Z powątpiewaniem patrzyłam na drzwi kościoła i byłam coraz bardziej przekonana, że to był chybiony pomysł. Siedziałyśmy sobie

na ławeczce przy wejściu i udawałyśmy, że odpoczywamy po zwiedzaniu albo przeczekujemy, aż się msza skończy, żeby nie przeszkadzać wiernym.

- Naprawdę miałaś nadzieję na jakiś zysk z takiego siedzenia? - Julka powachlowała się mapą.

- Miałam, już mi przeszło. Jakoś mi się wydawało, że kościół to taki punkt zborny.

- Więcej pod kościołem nie siedzę - oznajmiła Julka tonem, jakby siedziała na ziemi koło wejścia i żebrała, a nie rozmawiała na ławce. - Poza tym zobacz, jakiś facet nam się przygląda, blondyn taki. Tam pod drzewem stoi i wygląda, jakby na kogoś czekał.

- Nawet całkiem przystojny - zawyrokowałam po wnikliwych, aczkolwiek w miarę dyskretnych oględzinach obiektu.

- No i co z tego? I tak go poderwać nie możemy.

- Na potrzeby śledztwa mogłybyśmy. No może nie poderwać, a popodrywać.

- Ja tam wolę nie.

- Bo co? Dawid pomyśli, że go kantem puszczasz?

- Może niedokładnie tak, ale mogłoby mu się źle skojarzyć. Wiesz, na zasadzie co wakacje, nowy facet albo urlop mija, a ja niczyja.

Faktycznie początkowo Julka sierżanta Dawida Podgórskiego podrywała w celach czysto śledczych. Nie wiadomo jednak, kiedy to się zmieniło i już od jakiegoś czasu tworzą parę. Facet pod drzewem miał koło czterdziestki, należał do typu tych zadbanych i dbających o formę oraz należyłą konserwację nieomal od kołyski.

- Nie wiem, czy nie za bardzo lalusiowaty. - Julia skrzywiła się krytycznie. - Zobaczk, jak ma wszystko do siebie podobierane.

Rzeczywiście. Facet ubrany był w odcienie niebieskiego. Jeansy, koszula, buty i nawet plecak zarzucony na ramię. Buty najciemniejsze, koszula najjaśniejsza. Aż się zaciekawiłam, w jakim kolorze ma bieliznę. Jakby wiedział, że go obgadujemy, spojrział w naszą stronę. Nie mając innego wyjścia, udałyśmy bardzo zainteresowane przestrzenią za jego plecami i nawet pokazałam coś palcem. Facet nie wytrzymał i obejrzał się. Najwyraźniej był podatny na sugestie. Od zajmującej obserwacji oderwali nas ludzie wychodzący z kościoła. Poczułam zawód. Na oko sądząc, spora ich część to byli turyści. Mimo to dokładnie się wszystkim przyglądałyśmy, a Julka dyskretnie robiła zdjęcia. W zeszłym roku taka zrobiona przez nią fotka przyczyniła się do ujęcia mordercy i teraz najwyraźniej miała nadzieję na powtórzenie sukcesu.

- Tego pod drzewem też zrób.

- Już mam, nawet kilka fotek. Nie wiem, po co nam podobizny

obcego faceta, ale z nudów pstryknęłam.

Poczekaliśmy, aż wszyscy uczestniczący w mszy rozejdą się i dopiero potem opuściliśmy nasz punkt obserwacyjny i odjechaliśmy. Oczywiście nic interesującego nie udało nam się ani zobaczyć, ani usłyszeć. Zmarnowałyśmy pół godziny, czego nie omieszkała mi wypomnieć Julka. Zwariowała czy co? Pół godziny to nie tak dużo, nie musiałyśmy łapać ducha na akord. A poza tym wcale nie zmarnowałyśmy. Udało mi się usłyszeć, gdzie są podobno najlepsze ryby we Fromborku.

- Skoczmy tam na obiad? - ożywiła się Julia.

- Obiad mamy na miejscu, ale można na kolację. W sumie mogłybyśmy pójść wieczorem na piechotę do Fromborka, zajmie nam to z godzinę.

- Chyba w jedną stronę! Możemy iść, ale tak, żeby po ciemku nie wracać.

- Coś ty się taka strachliwa zrobiła? A może byśmy przy okazji spotkały ducha albo złodzieja?

- Zwariowałaś? Na szosie? Tak by wędrowali? Tu skracaj!

Rzeczywiście, prawie przegapiłam miejsce, w którym powinnyśmy skręcić, żeby dojechać do naszego pierwszego rozmówcy. Mieszkał w Narusie, niedaleko stadniny koni, i już na nas czekał. Jakoś nie przyszło nam do głowy, żeby zapytać panią Zosię o wiek ludzi, którzy przyznali się do spotkania z duchem, i teraz poczułyśmy się zaskoczone. Czekał na nas mężczyzna koło pięćdziesiątki, a opowieści o zjawach i innych takich kojarzyły mi się z ludźmi starszymi.

Zostałyśmy poczęstowane herbatą i od razu zasypane gradem słów. Najwyraźniej mężczyzna nie miał z kim rozmawiać o tym, co zobaczył. Mieszkał sam, może gdyby miał żonę i dzieci, to oni by byli najlepszymi słuchaczami.

- Łazi tu ten duch. Sporo ludzi go widziało, ale tylko niektórzy się przyznają. Głupio widzieć ducha, nie? I zara mówią, że na pewno ten, co widział, to był pijany. Ja tam za kołnierz nie wylewam, ale zwidów nie mam. Jak mówię, że był duch, to był!

Mężczyzna zapalił papierosa, którego przed chwilą pracowicie sobie skręcił. Nie cierpiałam dymu, ale przecież nie zabronię mu palić we własnym domu. Dłonie miał aż żółte od tytoniu, najwyraźniej często karmił raka. Popatrzył na nas badawczo, pewnie sprawdzał, czy nie będziemy się z niego natrzęsały, i wrócił do opowieści. Ducha widział, jak wracał od kolegi z sąsiedniej wsi. Szedł sobie na skrót, bo tu dobrze wszystko zna i nie musi chodzić drogami, i jak raz ten duch był na polu. To znaczy tak, jakby leciał nad polem.

- Wysoko? - spytałam zaskoczona, mając od razu przed oczami ducha unoszącego się na sznurku niczym balonik dziecięcy.

- A gdzie tam! Nad samiutką ziemią.

- To skąd pan wie, że nie szedł, ale leciał?

- Jakby szedł, to bym nie gadał, że duch.

Aha. Czyli duchy nie mogły chodzić. Niby dlaczego? Popatrzyłam przynaglająco na faceta, który poddał się presji i wyjaśnił, że w miejscu, gdzie normalnie są stopy, u tej zjawy była taka jakby lekka mgiełka. Ale tylko tam, a nie na całym polu.

- Widział pana?

- A nie wiem, ale może nie, bo nie zareagował. Sunął dalej w tym samym kierunku. Dosyć szybko.

- A jak wyglądał?

- Taki szary jakiś był, w kapocie albo co? Na głowie wielki kaptur i nie było mu twarzy widać.

Jak to możliwe, że facet zauważył brak twarzy u ducha, a duch ponoć nie zauważył faceta? Spytałam.

- A bo on się tak leciutko odwrócił w moją stronę i wtedy zauważyłem, że pod tym kapturem nic nie ma. Gdyby to był normalny człowiek, to na pewno bym zobaczył twarz. Normalnie jak na takim jednym filmie wyglądało, zamiast twarzy taka pustka. Aż mi włosy na karku dęba stanęły.

Facet należał do tych nieźle owłosionych i wyobraziłam sobie jak razem z włosami na korpucie podnosi mu się koszula, co powoduje, że wygląda jak nadmuchany. Zaniemówiłam na chwilę, a coś w moim wyglądzie zaniepokoiło Julię, która szybko spytała, ile razy nasz rozmówca spotkał zjawę. Okazało się, że tylko raz i nie marzył o ponownym kontakcie. Na wszelki wypadek nie chodził już na skróty, tylko korzystał z dróg. Chyba że w dzień, wtedy tak, bo nikt jeszcze nie spotkał ducha, gdy było jasno. Pokazałyśmy mu mapę z zaznaczonymi miejscami spotkań ze zjawą i kradzieży. Po namyśle mężczyzna dołożył jeszcze kilka punktów, ale tych dotyczących kradzieży. Duch był bardziej tajemniczy. Jak to duch.

Kolejne cztery osoby mieszkały w Narusie, Krzyżewie i Przylesiu. Potwierdziły to, co mówił ich poprzednik, i nie wniosły do sprawy nic nowego. Różnicą było to, że jeden z mężczyzn pracujący we Fromborku i wracający często do domu rowerem widział zjawę aż trzykrotnie, prawie dokładnie w tym samym miejscu koło Przylesia. Nie żeby się specjalnie starał, ale najwyraźniej wracał z pracy o tej samej porze, w której duch wychodził na przechadzkę.

- I nie przyszło panu do głowy, żeby się na niego ze znajomymi zacząć? - spytałam z niedowierzaniem.

- A co ja, głupi jestem? Takie duchy to niech inni sobie łapią, jak tam nie wiem, co taki może zrobić. A może on tu przylazł zemścić się za coś? Nie ma głupich, lepiej się nie narażać. Tu ledwo kilka domów jest, nie musiałby mnie długo szukać.

O cholera, facet naprawdę myśli, że to coś niematerialnego, nieludzkiego i obcego? Dlaczego? Znowu przez to, jak się porusza? Spytałam. Okazało się, że tym razem czynnikiem powodującym określenie postaci mianem ducha był brak twarzy, bo nasz obecny rozmówca też to zauważył.

- Ja to tak myślę, że może ksiądz się powinien tym zająć - stwierdziła jego żona.

Rany boskie, jeszcze trochę i egzorcystę wezwą! Ciekawe czy latałyby po polach z walizką z zestawem rzeczy potrzebnych przy egzorcyzmach. Inna rzecz, że ksiądz pewnie w to nie uwierzy. Skąd nagle tak jednoznaczne twierdzenie, że to duch? Przeważnie pięciu świadków podaje pięć różnych opisów przestępcy, a tu nagle taka zgodność w zeznaniach? Dlaczego? Coś musiało być na rzeczy. Pokazałyśmy mapę, poprosiłyśmy o jej uzupełnienie, pogadałyśmy jeszcze chwilę o kradzieżach i pożegnaliśmy się z farciarzem, który trzy razy widział zjawę.

Zrobiła się już czwarta i miałyśmy mały dylemat. Do domu na obiad czy do starszej pani na kolejną rozmowę? Mieszkała w Roninie, mogłyśmy podjechać. Zdecydowałyśmy się na to drugie, starsza pani mogła chodzić wcześniej spać i być bardziej kontaktowa teraz niż za trzy godziny.

Czekała na nas na ławeczce przed domem z psem u nóg. Stary kundel spojrział na nas jednym okiem i nawet nie podniósł się na przywitanie lub obszczekanie. Tylko ogon mu lekko zafalował.

- Panie to są pewnie te letniczki od Zosi. - Staruszka dzwignęła się z ławeczki i gestem zaprosiła nas do domu. Potwierdziłyśmy i przedstawiłyśmy się. - Ja się nazywam Maria Nowak. A kompotu się napijecie? Akurat dzisiaj zrobiłam.

Na stole w pokoju stał już dzbanek z kompotem i trzy kubki, znak, że kobieta przygotowała się do spotkania z nami. Wypiłyśmy trochę i pochwaliliśmy z całego serca. Był znakomity.

- A tego ducha to ja widziałam koło Przylesia. Wnuczkę tam mam, czasem u niej spędzam parę dni. Wyszłam przed dom wieczorem, spać nie mogłam, bo to najlepiej we własnym łóżku. Poszłam przejść się kawałek po wsi, a nawet ciut dalej. O lasce, pomalutku. Ja strachliwa nie jestem, a poza tym kto by chciał napadać na takie stare próchno. I widziałam, jak on przez drogę przełaził. Aż się spod niego kurzyło, tak szybko laźł.

- Przez drogę? Chyba tylko pani udało się go tak zobaczyć. Inni

widzieli ducha na polach albo łąkach.

- Ja na drodze. Ale tylko raz. Ale przyjrzałam się dobrze, bo już wiedziałam, co ludzie opowiadają. Nawet tak sobie myślałam, że to może nie duch, a diabeł.

Matko bosko rozmaito! Nawet diabła już mamy! Czy zaraz pojawią się strzygi, wampiry i inne takie? O co tu chodzi? Dlaczego duch stał się z jednej strony czymś, o czym się mówi, a z drugiej nie wszyscy się przyznają, że go widzieli? A teraz doszedł diabeł. Pani Maria, widząc nasze miny, pospieszyła z wyjaśnieniami.

- A bo taka legenda jest o diable.

- Jaka?

- Nie wiem dokładnie. Teraz już prawie nikt jej nie pamięta i nie opowiada, ale babcia o tym mówiła. Ten diabeł pojawiał się w okolicy, ale nie wiem dlaczego. I jak ludzie zaczęli gadać o duchu, to miałam nadzieję, że to jednak ten czort jest. Teraz nikt w chodzące po wsi diabły nie wierzy, w duchy też za bardzo nie, ale jednak mówi się o tym.

- Może dlatego duch, że nie ma rogów i ogona? - zasugerowała Julka.

- A może to i prawda. I jasny był, nie czarny. Duchy są jaśniejsze i inaczej ubrane. W coś powłóczyłego przeważnie - stwierdziła staruszka.

Przez lata przekazywany jest wizerunek duchów i diabłów i skojarzenia są jednoznaczne. Pewnie jakby to coś, co się pojawia, było zielone, to w świat poszłaby informacja o ufoludku. Jakoś nie wierzyłam w istotę nadprzyrodzoną, bardziej byłam skłonna uwierzyć, że ktoś sobie jaja robi z sąsiadów. Pani Maria, podobnie jak poprzedni rozmówcy, uzupełniła naszą mapę. Gdy wychodziłyśmy, przestrzegła nas przed złodziejem, bo co prawda do tej pory nikomu po łbie nie dał, ale lepiej uważać. Duch nie budził jej obaw, tylko zainteresowanie.

Obiad był podgrzewany, ale całkiem smaczny. Daleko mu było do zeszłorocznych obiadów żony mojego kuzyna, ale powodów do narzekań nie miałyśmy.

- Nie wiem, czy nie wolałbym diabła, a nie ducha - zagaiła Julia, rozsiadając się na fotelu.- Takiego z racicami, rogami, ogonem i woniejącego siarką.

- Trudno, nie poradzisz, mamy ducha. - Zajęłam drugi i postawiłam na stole herbaty, uważając, żeby nie zalać mapy. - Mnie zastanawia, dlaczego, do licha, ludzie uważają, że to duch.

- Ktoś ich wkręcił na początku i tak zostało - stwierdziła bez namysłu Julia.

- Całkiem prawdopodobne. Mógł opowiedzieć, że widział tego

ducha, opisać go i jeszcze jakąś historyjkę dołożyć. Inni, jak zobaczyli charakterystyczną postać na polu czy łące, czy gdzieś tam, od razu kojarzyli ją z opowiadaniem i identyfikowali jako ducha. Tylko po co? Dla zgrywy?

- Za długo. Gdyby trwało kilka tygodni, tobym się z tym zgodziła, ale to trwa od zimy. Na robienie z ludzi balona, bez sensowniejszej przyczyny, to za długa akcja. Komu by się chciało?

Julia miała rację. Podtrzymanie zainteresowania duchem wymagało zaangażowania tego, kto go udawał. Duch pojawił się prawie w tym samym czasie, co złodziej. Gdyby nie to, że według naszych informacji do kradzieży dochodzi w innych rejonach, niż grasuje duch, pomyślałabym, że to taki kamuflaż złodzieja. Czy „twórca” zjawy osiągnął już cel? Chyba nie, bo duch nadal się pojawia. Co w ogóle zmieniło się od momentu pojawienia się ducha? Powiedziałam to głośno.

- Ludzie podzielili się na dwie grupy. Jedna wierzy w ducha, a w każdym razie mówi o nim, druga udaje, że nie ma tematu, bo duchy nie istnieją. Przyznanie się do zwidów nie ma wielu zwolenników.

- To na pewno. Co jeszcze? - zapytałam sama siebie. - Na pewno informacja o duchu może zaintrygować turystów i przyciągnąć ich do miasta.

- Oszalałaś? Gdyby to chociaż był duch Kopernika! A nie jakiś taki anonimowy przybłąda, o którym nikt nic nie wie. Ludzi do Fromborka przyciągają zabytki, nie jakieś niesprawdzone opowieści.

- A nas co przyciągnęło? - wytknęłam przyjaciółce. - Duch i złodziej!

- Ale my nie jesteśmy normalne!

- Mów za siebie. Moje wszystkie szare komórki czują się wyśmienicie i bardzo im się podoba taka wakacyjna rozrywka.

- Twoje szare komórki zostały zainfekowane kryminałem w zeszłym roku i mają zdecydowane odchylenia od normy - zawyrokowała Julka.

- Niemniej jednak mają się świetnie, a i synapsy też nie szwankują. A wracając do tematu, to doskonale wiesz, że ludzi przyciągają sensacje, skandale, tajemnice i tym podobne. A jakby wszystko naraz, to już zupełny szal i upręży - zacytowałam Joannę Chmielewską.

- A powinno być inaczej. Mają tu co zwiedzać.

- Owszem. I co? Tak wielu turystów wczoraj widziałyśmy?

Szczerze mówiąc pyskowałam trochę na wyrost, bo we Fromborku spędziłyśmy wczoraj kilka godzin, a dzisiaj tylko chwilę.

Mogłyśmy nie trafić na największą falę zwiedzających miasto. Ale nawet gdyby przyjeżdżało tu wielu turystów spragnionych oglądania pamiątek po Koperniku, to na pewno byli i tacy, którzy mieli historię w czterech literach, ale chętnie by zapolowali na ducha. Im więcej przyjezdnych, tym większy ruch w hotelach, restauracjach i sklepach. Dla podniesienia atrakcyjności miasteczka i zwiększenia obrotów ktoś mógł się pokusić o wyprodukowanie lokalnego ducha jako atrakcji turystycznej. Problem był jednak w tym, że jak na razie wieść o nim nie pojawiła się nigdzie, bo to sprawdziłyśmy jeszcze w Gdańsku. A gdyby chodziło o tego typu reklamę miasta, to informacja o tym powinna trafić do gazet, a co najmniej do sieci. A tak nie było. Trudno zakładać, że ten, kto stał za wykreowaniem ducha, nie pomyślał o tym. Tak więc najprawdopodobniej było to coś innego.

- Co ten twórca ducha osiągnął?

- Zwabił nas do Fromborka - mruknęła Julka i poszła zrobić kolejną herbatę. Wolałabym piwo, ale postanowiłyśmy pojechać jeszcze w miejsce, gdzie widywano zjawę.

- Czekaj, czekaj, coś w tym jest...

- Niby co? Nie mamy pewności, ale z rozmów ze społeczeństwem wynika, że nikt się nie pali do spotkań z duchem.

- No właśnie! Może o to chodziło? Zobacz na mapę, on obstawił okolice trzech wsi: Narusy, Przylesia i Krzyżewa. I pewnie ludzie unikają spacerowania tam po nocy, chyba że muszą.

- Nie wiesz tego na pewno.

- Nie wiem. I nie wiem, jak się dowiedzieć.

- Poprosimy panią Zosię, żeby zasięgnęła języka - zaproponowała Julka.

- A jak to uzasadnimy?

- Ciekawością, bo czym?

- E tam. Akurat będzie chciała spełnić fanaberie wścibskich letniczek, ona ma co robić i bez naszych pomysłów. Co by tu...

W zeszłym roku bardzo dobrze zdawało egzamin robienie z siebie słodkich idiotek i udawanie uczuć do zwłok, które okazały się nie do końca martwe. Teraz niestety taka opcja odpadała, trupa jeszcze nie miałyśmy, a trudno przypuszczać, że ktoś by uwierzył, iż żywimy jakieś cieplejsze uczucia do ducha. Chyba że zrobiłybyśmy z siebie kompletne idiotki. Albo nawet wariatki. Powód musiał być inny, ale taki, żeby nasza gospodyni się zgodziła powypytywać znajomych.

- A może planujemy wycieczkę szkolną? - zaproponowała Julia z wahaniem. - I wiesz, wolałybyśmy sprawdzić, jak to jest z tym duchem, żeby się dzieciaki nie przestraszyły.

- No co ty? Ozłociłyby nas za taką atrakcją! Załóż się, że wolałyby ducha zamiast katedry, szczególnie chłopcy. Ale pomysł dobry. Powiemy, że nie chcemy, żeby się nam młodzież po okolicy rozpełzła w poszukiwaniu zjawy. A co maolaty potrafią wymyślić, pani Zosia na pewno wie, więc powinno do niej trafić.

- Złapiemy ją rano. Teraz przebierzmy się i możemy jechać posprawdzać te miejsca z mapy. Ciemno się robi, więc jest szansa na ducha - pogoniła mnie Julka.

- Coś ty taka wyrywna? Przeważnie trzeba cię wyciągać.

- Im wcześniej pójdziemy, tym szybciej wrócimy. A przez tego kota oczy mi się kleją. Chcę się dzisiaj wyspać.

Najbliżej miałyśmy do Narusy i tam postanowiłyśmy dzisiaj rozejrzeć się za zjawą. Do innych wsi też właściwie daleko nie było. Wymienioną jako miejsce kradzieży najdalej położoną Nowinkę od naszego wakacyjnego lokum dzieliło piętnaście kilometrów. Dzisiaj jednak w planach miałyśmy ducha, a nie złodzieja.

Nie było jeszcze późno i nie musiałyśmy uważać, żeby nie hałasować przy wychodzeniu z domu, gorzej będzie w drodze powrotnej. Oczywiście miałyśmy klucz do drzwi wejściowych, więc nikogo nie musiałyśmy budzić, żeby nas wpuścił, ale nie wiedziałyśmy, jak mocno śpią gospodarze i czy nie obudzi ich skrzypienie schodów. Nie chciałam, żeby gospodarze wzięli nas za złodziei i wezwali wsparcie w postaci policji. Nawet gdyby bardzo szybko okazało się, kto się po nocy skrada po domu. Wolałyśmy nie podpadać tak od razu. Pomne czekających na kolację komarów i nocnego chłodu zabrałyśmy z pokoju psikadło odstraszające i koce, po czym wyszłyśmy z domu.

Nie wiem, jak to jest w rzeczywistości, ale jako osoba obca na tym terenie miałam wrażenie, że niezależnie do której wsi bym nie chciała pojechać, to trasa wiedzie przez Frombork. Tubylcy pewnie znają jakieś skróty, my niestety nie. W Narusie była stadnina koni i po drodze zastanawiałyśmy się, jaki może mieć związek z duchem albo złodziejem. Po krótkiej dyskusji stwierdziłyśmy, że złodziej na pewno ma ciekawsze miejsca do okradania, a to ze względu na czujność koni i obecność psów. Co do zjawy nie miałyśmy zdania. Dojechałyśmy w miejsce, które wskazał nam jeden z dzisiejszych rozmówców, zaparkowałyśmy samochód tak, żeby nie rzucał się w oczy i poszłyśmy na skraj łąki. Przy kępie drzew i krzewów znalazłyśmy całkiem wygodne miejsce. Zasłaniały nas i nie byłyśmy widoczne na ich tle. Ciuchy miałyśmy ciemne, koce też.

- Ja bym wolała się gdzieś schować. - Julia niespokojnie spojrzała na łąkę.

- Przecież sprawdzałam, że nas nie widać!

- Mimo wszystko. To jakoś tak głupio siedzieć prawie na widoku. Sprawdzę, czy się nie da w te chaszcze wejść.

- Byle cicho, bo ducha nam spłoszysz.

- Cicho to trzeba być na rybach. Poza tym tak mówisz, jakby to był prawdziwy duch.

Julia poszła na obchód krzaków, przyświecając sobie od czasu do czasu latarką, a ja wpatrywałam się w pole. Przyjdzie czy nie? Ludzie widzieli go w tylu miejscach, że trudno było przypuszczać, żebyśmy trafiły na niego za pierwszym razem. W ogóle niełatwo będzie go spotkać. Może powinnyśmy czatować tam, gdzie był widziany trzy razy? Na zmianę miejsca było już za późno, do Przylesia pojedziemy następnym razem.

- Chodź, można wleźć w te krzaki. - Julka szturchnęła mnie w ramię.

- Żle ci tu?

- Mam wrażenie, jakby wszyscy nas obserwowali - zabrzmiało to tak, jakbyśmy siedziały na scenie lub na plaży taksowane wieloma spojrzeniami.

Julia zabrała swój koc i poszła w krzaki, mając pewność, że zaraz do niej dołączę. Nie pomyliła się, nie chciało mi się samej siedzieć na poprzednim miejscu. Nie było z kim pogadać.

- No nie wiem, czy tu jest tak świetnie - skrytykowałam wybór.

- Pole widać? Widać. I możemy usiąść na tych korzeniach, a nie na ziemi.

- Sucho jest, można siadać nawet na trawie.

- Do której siedzimy?

- Do dwunastej? Jakoś nikt nie wspominał, żeby widział ducha później. A północ z duchami się kojarzy.

Usiadłyśmy tak, żeby widzieć jak najwięcej, i zaczęłyśmy obgadywać Dawida. Siedziałyśmy tak blisko siebie i mówiłyśmy tak cicho, że aby usłyszeć, podsłuchujący musiałyby przedrzeć się przez okalające nas krzaki. Obgadywanie Podgórskiego oczywiście nie było złośliwe, zastanawiałyśmy się po prostu, czy uda mu się trafić do dochodzeniówki, bo taki miał plan. Z Olsztynka do Gdańska już się przeniósł, ale był w innym wydziale. Znajomy gliniarz bardzo nam się w zeszłym roku przydał, a potem okazał się po prostu fajnym kumplem. Z Julką od jakiegoś czasu tworzyli parę i nawet snuli plany zamieszkania razem. Na razie były to tylko plany, bo każde z nich przyzwyczajone było do życia w pojedynkę, ale ja im dawałam maksymalnie trzy miesiące do przeprowadzki.

- Ty, popatrz! Coś się tam rusza. - Julia wskazała na skraj pola.

Wyteżyłam wzrok i wszystkie zmysły. Czyżbyśmy miały takiego farta i trafiły od razu na zjawę? Widoczny cień poruszył się

i rozmnożył.

- Sarny - rozpoznałam widziane nieraz sylwetki.

Zwierzęta nie wyczuły nas i spokojnie przeszły przez pole, pojawiając się i znikając w zbożu. A jak szedł duch? Niszcząc żyto? Zostawiał za sobą wydeptany pas? Jakoś nikt nie wspomniał, że przedzierał się przez uprawy, wszyscy widzieli go z daleka i pewnie woleli nie podchodzić, żeby sprawdzić cokolwiek.

- Alka, a jak go zobaczymy, to co?

- No jak to co?

- No tak po prostu. Co wtedy zrobimy? Podejdziemy do niego? A może pójdziemy za nim? Ja bym wtedy pewnie najchętniej uciekła.

Nie pomyślałyśmy wcześniej o tym. Chciałyśmy zobaczyć zjawę, która krąży po okolicy, niejako przekonać się na własne oczy, że istnieje, ale nie zastanawiałyśmy się, co dalej. Mogłyśmy go oczywiście śledzić, ale to pewnie nie byłoby takie łatwe. Bezpośredni kontakt mógł być niebezpieczny.

- A cholera, nie wiem. Musimy się zastanowić. - Owinęłam się dokładniej kocem, bo jakoś zimno się zrobiło.

- Jeszcze pół godziny i wracamy. - Julia sprawdziła godzinę. - On mi się podoba, chyba się zdecyduję.

- Duch? Przecież go nie widziałaś? I na co się zdecydujesz? Na bezpośredni kontakt?

- Oprzytomnij! Dawid. A zdecyduję się chyba na to mieszkanie razem...

- I tak spędzacie razem większość czasu, więc zaoszczędzicie na dojazdach.

Julka zdecydowanie czuła potrzebę omówienia tematu i nie przeszkadzało jej w tym czatowanie na tajemniczą postać. Zresztą czas zdecydowanie szybciej płynie, gdy nie siedzi się w ciszy i napięciu, spoglądając raz po raz na zegarek.

Po dwunastej przestałyśmy czekać na ducha i wróciłyśmy do domu. Wbrew obawom udało nam się cicho przejść do naszego pokoju. Kot już był i spał. Przyszedł się połasić, ale zaraz znowu zasnął. Zrobiliśmy to samo.

Obudziło nas słońce, które przebiło się przez zasłony. Niby taka mała szczelina została, ale dało radę. Obie nie umiemy spać, jak jest jasno. Było po dziesiątej i po dziewięciu godzinach snu powinnyśmy być wyspane. Tak przynajmniej by wypadało. Niemrawo zwlekłyśmy się z łóżek, umyły, ubrały, a nieco wigoru zyskałyśmy dopiero przy porannej kawie.

- To co dzisiaj robimy?

- Może pojedziemy do Ronina?

- Takiego samuraja? - Julii daleko było do normalnego

kojarzenia. - W jakim sensie? Żywego człowieka? Jakieś spotkanie jest organizowane ze współczesnym samurajem? Są w ogóle jeszcze tacy? Jeżeli tak, to ja chętnie, na pewno ciekawy jest taki facet. Bo chyba nie myślisz o jakiejś wystawie? Nie słyszałam, żeby tu było muzeum z czymś japońskim.

- Julka, oprzytomnij! Nie chodzi mi o ronina, takiego samuraja bez pana, a o miejscowość pod Fromborkiem! Włącz myślenie!

- A, ok. Szkoda w sumie. A dlaczego akurat tam mamy jechać? Jakoś o duchu w tym rejonie nikt nie wspominał.

- Popytamy tym razem o złodzieja.

- A nie lepiej skupić się na jednym?

- Nie. Przemyślałam to. Musimy sprawdzać dwa wątki jednocześnie. Gdybyśmy teraz skupiły się na duchu, to podczas rozmów z ludźmi czy sprawdzania czegoś mogłybyśmy pominąć informacje dotyczące kradzieży. Poza tym po co dwa razy jeździć w te same miejsca i rozmawiać z tymi samymi ludźmi? Pytajmy tak jak wczoraj, o obie rzeczy.

- Niech ci będzie. Ale na razie wygląda na to, że oni mają różne tereny działania.

- Wiem. Pewnie jedni będą nam mówić więcej o jednym, drudzy o drugim. - dobrze, że nie było więcej tajemniczych przypadków, bo byśmy się mogły w tym nie połapać. - A wracając do Ronina, tam niedaleko jest obserwatorium, to je sobie od razu obejrzymy.

- Poobserwujemy obserwatorium. Zgoda.

Obserwatorium znajdowało się kawałek przed Roninem, jadąc od strony Fromborka. Szary budynek stał na ogrodzonym płotem terenie, a dostępu broniła zamknięta kłódka. Powinno być otwarte, sprawdziłyśmy godziny zwiedzania. Mogłyśmy przyjechać tu ponownie albo sprawdzić w drodze powrotnej, ale już się nastawiłam na oglądanie różnych teleskopów i teraz byłam rozczarowana niczym dziecko, które nie dostało upragnionej zabawki.

- Chodź, przejdziemy się po lesie, może otworzą w międzyczasie - zaproponowała Julka stęskniona za zielenią.

Las koło obserwatorium był zbity, a na skraju rosły krzaki, przez które musiałybyśmy się przedrzeć, więc zostawiłyśmy samochód na parkingu i odeszłyśmy kawałek dalej, szukając jakiejś ścieżki. Była i prowadziła w dół. Schodziło się nawet dobrze. Julia już zaczęła rozglądać się za grzybami, ale moją uwagę przyciągnęła zryta trawa. Dziki? Nie musiałabym jechać do Krynicy, żeby spotkać się ze zwierzątkami. Chociaż te na Mierzei są podobno prawie oswojone, a te tutaj pewnie nie. Wpatrzona w ziemię wlałam na Julię, która stanęła znienacka pośrodku ścieżki.

- Coś ty tak przyrosła? Pole kurek znalazłaś?

Julia trwał w bezruchu, uniemożliwiając mi spojrzenie na to, co ją tak zainteresowało. Do grzybów by się rzuciła, chcąc jak najszybciej wziąć łup w ręce. Może to jakieś zwierzątko?

- Wiewiórka? - spytałam szeptem.

- Niebieska?!

W głosie Julii pojawiły się jakieś nietypowe nuty, ale nadal nie ruszała się z miejsca. Po chwili wskazała ręką na jakiś kształt leżący pod drzewami. Spojrzałam w tym kierunku, szukając czegoś intrygującego i niebieskiego jednocześnie, bo bezruch i zamilknięcie mojej przyjaciółki wskazywały na to, że zobaczyła coś ciekawego. Też chciałam to zobaczyć. Tak mi się w każdym razie wtedy wydawało...

To, na co trafił mój wzrok, nie było sympatyczną rudą wiewiórką ani dzięciołem, ani niczym równie przyjemnym. Dwadzieścia metrów od nas, trochę zasłonięte przez gałęzie, leżało coś na ziemi. Było głównie niebiesko-brunatne. Nie jestem fachowcem ani nie mam dużego doświadczenia w znajdowaniu trupów, ale skojarzenie było natychmiastowe. Chyba że się ktoś wygłupił i ucharakteryzował bardzo realnie manekina, żeby nastraszyć spacerujących po lesie.

- Powiedz, że to mi się wydaje - poprosiła cicho Julka.

- Może to kukła - pocieszyłam ją. - Chodź, musimy to sprawdzić.

- Oszalałaś? Nigdzie nie idę! Będzie tak, jak z tym facetem z malin!

- Jeżeli to jest prawdziwy człowiek, a nie jakaś chora inscenizacja, to gwarantuję ci, że nie ma szansy zniknąć.

- O boże... - westchnęła Julia i spróbowała zobaczyć coś więcej z miejsca, w którym stała.

Nie dziwiłam się jej, też nie miałam ochoty oglądać trupa. Ale jeżeli to rzeczywiście był człowiek, a nie jakaś kukła, to powinniśmy poinformować gminy. Nie powiemy przecież, że coś leży w lesie i może jest to trup, a może nie. Wyminęłam scaloną z podłożem Julię i podeszłam bliżej. Nie za blisko, tylko na tyle, żeby zyskać pewność.

Żeby to szlag trafił! Znalazłyśmy nieboszczyka! Przyciągamy ich? A może oni nas? Dobrze chociaż, że nie znajdujemy ich w jednym miejscu, tak jak to się dzieje w części filmów i książek. Normalnie w niektórych miasteczkach tylko zmarli na cmentarzach powinni zostać. I gliniarze, bo może przyjadą obcy i też się tam zamordują. Pokonując opór, przyjrzałam się dokładniej mężczyźnie, starannie omijając okolice twarzy, bo wiedziałam, jak może

wyglądać. Jeszcze bym zanieczyściła pawiem miejsce zbrodni, a gliny by mnie za to na pewno nie pokochały. Facet wyglądał tak, że nie było mowy o nieszczęśliwym wypadku. Dostał po głowie i to całkiem mocno. I na pewno nie żył. Znowu znalazłyśmy ofiarę morderstwa.

- Ciekawe, co mu się stało - Julia odzyskała głos.

- Co się głupio pytasz, nie żyje, nie widzisz? I nie zszedł przecież ze starości.

- Nie czepiaj się, w szoku jestem. Chodzi mi o to, dlaczego go zabito.

- A skąd mam wiedzieć? Morderca nie konsultował tego ze mną - powiedziałam z lekkim roztargnieniem.

Roztargnienie wynikało z faktu, że coś w tym mężczyźnie wydawało mi się znajome. Że nie twarz, to pewne, bo była prawie nie do rozpoznania. Może rozmawiałyśmy z nim wczoraj? Obeszłam go naokoło, nie podchodząc blisko, żeby nie nanieść dodatkowych śladów. Muchy brzęczały jak wściekłe i było ich zatrząsienie. Mogłam sobie darować rozważanie, czy facet przypadkiem żyje, chociaż gdzieś w zakamarkach mojego oszołomionego umysłu popiskiwał nakaz upewnienia się, czy nie możemy mu pomóc.

- Co tak łazisz? Trupa nie widziałaś?

- Właśnie chodzi o to, że go już gdzieś widziałam. A ty?

- A ja wolę go nie oglądać. Jakoś nie gustuję w ofiarach morderstw. Zdecydowanie wolę żywą część społeczeństwa.

- Popatrz na ciuchy, nie na twarz - poradziłam, bo już wiedziałam, skąd go znamy.

Bardzo niechętnie Julka podeszła bliżej i spojrzała na faceta. Nie posłuchała mnie i w swoich oględzinach dotarła do twarzy. Pobladała.

- Po cholere go tak dokładnie oglądasz? Skup się na ubraniu!

- Za późno - wycedziła przez zaciśnięte zęby. - To ten spod kościoła. Chodźmy stąd.

- Idź, a ja zdjęcia zrobię.

- Oszalałaś? Po co ci zdjęcia trupa?

- A jak było w zeszłym roku? Trup zniknął do przyjazdu glin i podejrzewali, że robimy z nich idiotów. Wolę się zabezpieczyć.

Julia nie skomentowała tego, ale już nie protestowała. Odwróciła się i odeszła ścieżką, którą przyszłyśmy. Pstryknęłam parę fotek, prawie nie patrząc, co robię, i poszłam za nią. Na policję zadzwonimy z parkingu. Tym razem mogłyśmy podać dokładną lokalizację miejsca znalezienia trupa i nie musiałyśmy jechać na posterunek, żeby pokazać jak dojechać.

Informację o nieboszczyku przyjęli z niedowierzaniem, ale

obiecali zaraz przyjechać. Pewnie myśleli, że to fałszywy alarm, a my nie sprawdziłyśmy, co widzimy. Dużo czasu do przyjazdu policji nie miałyśmy, powinni być za mniej niż dziesięć minut. Tu jest wszędzie blisko i nie ma korków.

- To ten facet spod kościoła. Ten taki dobrany kolorystycznie. Poznałaś?

- Ale nie po twarzy. On chyba oberwał też przed morderstwem - stwierdziła Julia i przełknęła nerwowo ślinę.

- Nie wiem, na twarz nie patrzyłam. Za to sprawdziłam, że ma plecak.

- Żartujesz? Ktoś go napadł, zamordował, a facetowi plecak nie spadł? Dziwnie.

- No właśnie. Ale pomyślimy o tym potem, bo zaraz gliny będą. Mówimy, że go znamy? - spytałam.

- Znamy jak znamy, raz go widziałyśmy.

- I możemy chyba o tym powiedzieć, na wzgórzu katedralnym jako turystki wręcz powinnyśmy być. Ciekawe, czy powiedzą nam, kto to jest.

Nasze rozważanie przerwał przyjazd radiowozu. Zaparkowali koło nas i wysiedli: facet w cywilu i starszy posterunkowy. Cywil był niski, pękaty, idealnie łysy, ale za to z wąsem. Na oko sądząc, mógł mieć ze czterdzieści pięć lat. Chłopak w mundurze był bardzo młody, najwyraźniej dopiero zaczynał swoją przygodę z policją.

- Sierżant Adam Korczyński. To panie dzwoniły?

- My, a dokładnie ja - potwierdziłam i zamilkłam, czekając na pytania.

- Przyjechały tu panie na spacer?

- Właściwie nie. Chciałyśmy zwiedzić obserwatorium, które okazało się zamknięte, więc postanowiłyśmy chwilę poczekać, wykorzystując ten czas na przechadzkę po lesie.

Sierżant spojrział na krzaki na skraju lasu, a potem na nas. Nie wyglądałyśmy, jakbyśmy się przedzierały przez chaszczę. Mamy zgadnąć, o co mu chodzi, czy sam zapyta?

- Tu raczej nie wygląda zachęcająco.

A skąd to mógł niby wiedzieć? Może jesteśmy miłośniczkami trudnych terenów, lubimy być pokłute przez jeżyny i podrapane przez rozmaite gałązki? Tak od razu nas ocenił? Na jakiej podstawie? Obie byłyśmy w krótkich spodenkach, T-shirtach i adidasach. Może to te krótkie spodenki.

- Nie pchałyśmy się przez te zarośla, tam dalej jest ścieżka - wyjaśniła Julia.

- Na pewno ją pan zna - dodałam, bo wydawało mi się, że policja w takim małym miasteczku powinna znać doskonale teren.

- Znam - stwierdził krótko sierżant i polecił młodemu: - Zostań tu z paniami, a ja sprawdzę, co tam jest.

To była dyplomatyczna forma „popilnuj ich”. Naprawdę myślał, że mu nawiejemy? Najpierw wezwaliśmy policję, potem poczekałyśmy na ich przyjazd, pogadałyśmy, a teraz miałybyśmy uciec? Musiałybyśmy być naprawdę głupie. Posterunkowy przyglądał się nam z ciekawością, ale milczał, a my nie miałyśmy ochoty rozmawiać przy nim na temat znaleziska, więc czekaliśmy na przyjście sierżanta Korczyńskiego w milczeniu. Wrócił po chwili, o dziwo nie zdyszany, chociaż musiał prawie biec, a jego sylwetka wskazywała raczej na siedzący tryb życia.

- Dzwon po resztę - polecił posterunkowemu. - Mają panie rację, to ciało człowieka.

- A pan myślał, że czyje? - spytałam i natychmiast ugryzłam się w język, nie każdy musiał być tak cierpliwy jak facet Julki.

- Ktoś mógł zrobić głupi dowcip i podłożyć kukłę.

No proszę, pierwsze podejrzenie sierżanta było takie jak nasze. Czyżby było tu tak mało zbrodni albo ktoś już kiedyś zrobił coś podobnego?

- Jakby to był manekin, to bym powiedziała od razu.

- Mogła się pani nie zorientować.

- No co pan? Naprawdę pan myśli, że nie ma różnicy pomiędzy leżącym od wczoraj facetem, wokół którego lata chmara much, a manekinem lub czymkolwiek w tym stylu?

- Skąd pani wie, ile ten mężczyzna tam leży? - sierżant połknął przynętę. - Zna się pani na tym?

- Nie, niech pan nie liczy na to, że poopowiadam panu o zmianach pośmiertnych, lekarzem nie jestem. Po prostu widziałyśmy tego faceta wczoraj we Fromborku, a ponieważ raczej nie oglądałby katedry po śmierci, więc dłużej nie może być nieboszczykiem.

- No chyba że jako lokator, jakby go tam pochowano - wyrwało się Julce.

Korczyński trochę oniemiał, a młody posterunkowy wyglądał jakby już sobie wyobrażał pogrzeb naszego trupa w jakiejś katedralnej krypcie. Sierżant opanował się pierwszy.

- I od razu tak dobrze go panie zapamiętały? Co on takiego robił?

- Stał i czekał na kogoś, a my akurat miałyśmy na niego dobry widok. To pod katedrą było.

- Obserwowały go panie? - Sierżant stał się czujny. Nigdy nie widział kobiet oceniających pierwszy raz widzianego faceta?

- Trochę tak. Niech pan zobaczy, jak on jest ubrany, wszystko

pod kolor. Właśnie to zwróciło naszą uwagę. Poza tym stał i czekał, rozglądał się, a nie zwiedzał.

- Panie są tu przejazdem? - zmienił temat gliniarz i poprawił koszulę na brzuchu.

Co znaczy przejazdem? Na dwa dni? Wyjaśniłyśmy, że będziemy tu jeszcze prawie trzy tygodnie, co zdecydowanie ucieszyło Korczyńskiego. W razie konieczności przesłuchania nie musiał szukać nas po całej Polsce. Spisał nasze dane, dopytał, gdzie mieszkamy, i najwyraźniej czekał, aż sobie pojedziemy. Jeszcze czego.

- Pan zna tego trupa? - przejęłam inicjatywę.

- Nie. Na pewno nie jest to nikt z mieszkańców Fromborka lub okolicy.

- Obcy trup - wyrwało się Julce z niestosowną uciechą.

- Przyjechał, żeby umrzeć - powiedziałam grobowym głosem, usiłując sprowokować Korczyńskiego. - To pewnie kłątwa.

Posterunkowy wydał dźwięk absolutnie niepasujący do policjanta na służbie, bo zabrzmiało to tak, jakby kwiknęła znieńacka. Sierżant był odporniejszy.

- Panie jakoś dziwnie reagują na nieboszczyka.

Korczyński spojrzał na nas z odrobiną ciekawości pomieszanej z niesmakiem. Pewnie oczekiwał, że zemdlejemy, będziemy wrzeszczeć, domagać się soli trzeźwiących albo co. Może byliśmy nietypowe, ale reagowałyśmy inaczej. Julka milkła i nie chciała mieć z nieboszczykami nic wspólnego, a mnie zżerała ciekawość, dlaczego ktoś zabił. Oczywiście współczułyśmy ofierze, ale nie wywoływała ona u nas strachu. Zawsze się zastanawiałam, dlaczego na filmach kobiety na widok zwłok krzyczą, żeby nie powiedzieć wrzeszczą. Ja bym chyba krzyknęła, gdybym na trupa trafiła na przykład we własnym domu i to znieńacka. Może jestem dziwna. Nie zamierzałam tego wyjaśniać sierżantowi, ale coś powiedzieć musiałam.

- To chyba pana cieszy, że nie zarzygałyśmy miejsca zbrodni? - Cholera, nie zabrzmiało to dobrze. - Wie pan, koleżanka jest biologiem, więc może dlatego trochę inaczej reaguje, a mi się udzieliło. - Z tym udzieleniem to akurat guzik prawda, ale skąd facet miałby o tym wiedzieć.

- Rozumiem.

Akurat! Nic nie rozumiał, ale nie chciałam mu tego jeszcze uświadamiać. Ciekawe, czy przy okazji trupa powie coś o kradzieżach lub duchu. Postanowiłam zrobić z siebie zaniepokojoną blondynkę.

- Wie pan - starałam się mówić niepewnym głosem -

słyszałyśmy, że w okolicy grasuje jakiś złodziej. Może to jakieś porachunki?

Julka wyglądała, jakby z całych sił powstrzymywała się od popukania palcem w czoło, jednocześnie zastanawiając się, czy da radę kopnąć mnie w kostkę. Na szczęście stała za daleko.

- Złodzieje przeważnie się nie mordują - pocieszył mnie sierżant. - Nie sądzę, żeby to była tego typu sprawa. A gdzie pani słyszała o tych kradzieżach?

- Od naszej gospodyni i jeszcze kogoś. - Nie zamierzałam przyznawać się do tego, że do Fromborka przyciągnął nas złodziej i duch, a nie zabytki. - Wie pan, trochę nas to niepokoi.

- Nie mają panie powodów do obaw - zapewnił sierżant. - Ginę mało wartościowe przedmioty i ani jeden turysta nie padł ofiarą tego złodzieja.

W tym zdaniu były dwie wiadomości. Czy sierżant zdawał sobie z tego sprawę? Pewnie tak, bo przecież głupi nie był, ale nie miał pojęcia, że postaramy się wykorzystać to, co powiedział. Ten złodziej okrada tylko tubylców, ale inne kradzieże też się zdarzają. Pewnie tak bardzo różnią się od siebie, że policja już wie, co jest sprawką którego złodzieja.

- Myśli pan, że nie powinniśmy się go bać? - spytała Julia, która już się zorientowała, o co mi chodzi.

- Oczywiście, że nie. Panie chyba zresztą do strachliwych nie należą. Proszę jednak uważać i nie zostawiać na wierzchu w samochodzie niczego cennego, żeby nie kusić losu. A teraz proszę pojechać na plażę albo coś pozwiedzać, zaraz przyjedzie tu reszta ekipy.

- Miałyśmy zwiedzić obserwatorium - przypomniała Julia.

- Niestety, to niemożliwe. Za blisko miejsca zdarzenia, zaraz zamkniemy dojazd na parking.

- Mogłybyśmy popatrzeć, jak pracujecie? Na pewno wygląda to inaczej niż w filmach. - Zawsze warto było spróbować.

- Nic z tego. Nie znam pań, być może potrafią panie milczeć jak głąz, ale z doświadczenia wiem, że świadkowie natychmiast wszystkim opowiadają, co widzieli. Wolałbym uniknąć plotek.

- Mamy nie mówić o tym obcym trupie?

- Byłbym zobowiązany. Poza tym, czy panie kiedyś słyszały o tym, żeby świadkowie uczestniczyli w działaniach policji?

Owszem, słyszałyśmy. A właściwie same uczestniczyłyśmy w nich w zeszłym roku i spodobało nam się to. Tego też nie zamierzałyśmy mówić sierżantowi.

- Ale powie nam pan, kim jest ten tru... ten mężczyzna? Jakoś tak głupio nawet nie wiedzieć, kogo się znalazło.

Nie wiem, co w przypadku innych ludzi zmieniłaby znajomość personaliów nieboszczyka, ale nam się mogła przydać. Nie wiedziałam jeszcze do czego, ale wychodziłam z założenia, że lepiej wiedzieć więcej niż mniej. Sierżant chwilę pomyślał, a potem obiecał dać nam znać, kogo znalazłyśmy. Pewnie doszedł do wniosku, że taka wiadomość nam się do niczego nie przyda, a w śledztwie to nie zaszkodzi.

Poganiane przez Korczyńskiego, który kazał nam pojawić się następnego dnia rano na posterunku w celu podpisania zeznań, wsiadłyśmy do samochodu i pojechałyśmy do Fromborka, zamiast do Ronina. Zdecydowanie musiałyśmy omówić znalezienie trupa, zanim zaczniemy rozmawiać z ludźmi. Zaparkowałyśmy blisko portu i poszłyśmy do knajpy. Głodne nie byłyśmy, ale postanowiłyśmy napić się piwa. Samochód samochodem, ale nie co dzień znajduje się nieboszczyka. Poza tym były to nasze pierwsze takie zwłoki.

- A jak wrócimy? - spytała Julka.

- Normalnie - wrzuciłam ramionami. - To jedno piwo wchłonie nam się za jakieś dwie godziny i będziemy mogły jechać.

- Może lepiej ze trzy odczekać.

- Może być nawet trzy, najwyżej pójdziemy się przejść wzdłuż zalewy - pasowała mi ta zalewa zamiast zalewu i prawie cały czas posługiwałam się tym określeniem.

- Jak myślisz, kto to?

Z odpowiedzią poczekałam, aż odejdzie kelnerka. Mogłaby się zdziwić tematem rozmowy, poza tym sierżant prosił o dyskrecję.

- Nie mam pojęcia. Ale na pewno nie zwyczajny turysta.

- Dlaczego? Po zeszłorocznych szpiegach to chyba wszędzie zaczęłaś widzieć rzeczy podejrzane i niezwykle.

- E tam. Pomyśl, czy normalny człowiek zostałby zamordowany w lesie.

- Pewnie, że tak! Bardzo często ofiarami są właśnie tacy ludzie. To nie jest tak, że mordują się tylko wszelkiego rodzaju czarne charaktery, ich ofiarami padają nieznajomi, którym chcieli coś na przykład ukraść.

- A także zgwałcić, zemścić się za coś albo po prostu pobić - uzupełniłam wypowiedź Julki. - Zgoda, ale mi chodziło o to, że zwykły TURYSTA raczej zwiedzałby katedrę, planetarium lub muzeum, a nie nerwowo czekał na kogoś. Poza tym zwykły turysta raczej nie naraża się tak od razu komuś w miejscu, do którego dopiero co przyjechał.

- Morderca mógł przyjechać razem z nim.

- Owszem. Ale normalny turysta nie przyjechałby na odpoczynek śledzony przez zabójcę.

- Dobra, wiem, o co ci chodzi. Gdyby zginął jakiś tubylec, to byłaby większa szansa na to, że jest przypadkową ofiarą.

- Tak mi się wydaje. Zastanawiam się, czy to morderstwo jakoś wiąże się z kradzieżami albo zjawą.

- Nie mam pojęcia. - Julka wzruszyła ramionami. - Sierżant powiedział, że złodzieje rzadko mordują.

- Może i nie mordują, ale nie możemy tak do końca tego wykluczyć. Pewnie to dwie różne osoby, ale dziwne jest to, że pojawiły się tu mniej więcej w tym samym czasie. A poza tym może zabijają, jak się nie opłaca?

- A temu naszemu niby się opłaca? Jemu to się nawet do tych wsi przyjeżdżać nie opłaca. Więcej wyda na paliwo.

Julka miała i nie miała racji jednocześnie. Kradzieże rzeczywiście bardziej ludzi irytowały niż zubożały, a dla złodzieja zysk z łupu był mizerny. Jeżeli do tego dołożymy fakt, że zarywał noce, ryzykował, że w końcu ktoś go zobaczy albo złapie i ponosił koszty dojazdu, to jego działanie staje się kompletnie niezrozumiałe. O co może mu chodzić? Chce się sprawdzić, zobaczyć, czy potrafi coś podwędzić komuś sprzed nosa albo nawet z domu podczas obecności właściciela? Po co?

- Musiałby być nienormalny, żeby się tak narażać - zawyrokowała Julia.

- Albo mieć jakiś konkretny cel.

- Niby jaki? Kilka jajek z kurnika?

- E tam. Może to zasłona dymna? Wszyscy gadają o tym, jaki to ten złodziej jest dziwny i praktycznie nieszkodliwy. Chyba się trochę do niego przyzwyczaili.

- Do złodzieja? Poza tym pani Zosia mówiła, że pilnują, czy im coś nie ginie.

Mówiła. I co z tego? Opowiadać o tym, że się pilnuje obejścia i domu zawsze można, tym bardziej, że wszyscy sąsiedzi też o tym mówią. Możliwe, że więcej było gadania niż troski o dobytek. Albo przez kilka dni po kradzieży u sąsiada lub nawet u siebie wszyscy bardziej uważali na złodzieja, a jak się nic nie działo, to zapominali o tym. Straty były na tyle małe, że nie powodowały zdecydowanych działań okradzionych.

- No nie wiem, czy takie małe. Jakieś srebra zginęły - przypomniała Julia.

- No to może ci byli właściciele sreber pilnują domu niczym Fortu Knox, ale reszta pewnie już nie. Po cholere on w ogóle kradnie te duperele? - Niezrozumiałe działanie złodzieja nie dawało mi spokoju.

- Nie mam pojęcia. Motywy działania rozmaitych przestępców

są dla mnie często mało czytelne.

- A nie powinny! W końcu masz faceta gliniarza - wytknęłam.

- Z własnym facetem to wolę robić inne rzeczy niż omawiać rozmaite zbrodnie.

- A jakie? - spytałam i już w momencie stawiania znaku zapytania zdałam sobie sprawę z idiotyczności pytania.

- Naprawdę nie wiesz, co się robi z facetem? - nie mogła sobie podarować Julka. - A dorosła jesteś i nawet zamężna.

- Dobra, wycofuję pytanie i wracam do złodzieja.

Z wymyślonych przez nas motywów najbardziej przemawiał do mnie ten, że kradzieże tych wszystkich dupereli mają odwrócić uwagę od czegoś innego. Ale od czego? Może wbrew ogólnie panującej opinii ginęło jednak coś cenniejszego? Tylko dlaczego nikt by o tym nie mówił? Poszkodowany natychmiast powinien postawić policję na nogi.

- Jak myślisz, ile mógł być wart ten srebrny świecznik? - spytała Julka i smętnie spojrzała na pusty kufel.

- Zamów drugie, a dla mnie bezalkoholowe, byle nie jakieś świństwo o posmaku owocowym. A ja sprawdzę cenę.

Internet to fajna sprawa. Sprawdzić można prawie wszystko, bez konieczności szukania specjalistów. Oczywiście większość informacji trzeba weryfikować, ale w przypadku ceny srebrnego świecznika raczej mało prawdopodobne było, że trafię na jakąś kompletnie bzdurną informację. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że cena zależy od wieku świecznika, wielkości i wykonawcy, ale jakieś ramy cenowe powinnyśmy mieć. Okazało się, że możemy przyjąć, że minimalna wartość to kilkaset złotych, jeżeli rzeczywiście był srebrny. A najwyższa? To już trudno było sprawdzić, ale za kilka tysięcy oferowano świeczniki z dziewiętnastego wieku. Czy w podfromborskiej wsi mógł się znaleźć taki egzemplarz? Zapewne tak, tak samo jak w każdym innym miejscu.

- No i co? - Julia postawiła kufle na stole.

- Od kilku stów w górę.

- Kilka stów to jeszcze niedużo, ale kilka tysięcy i owszem. Czyli mógł się całkiem nieźle obłować.

- Nawet gdyby to była dycha, to jeżeli weźmiemy pod uwagę, że kradnie od pół roku, to nie jest to jakaś oszałamiająca kwota. Nie wyżyłyby z tego.

- Myślisz, że ten obcy trup wiąże się jakoś z kradzieżami? Konkurencja?

- Nie wiem do czego, bo nie do jakichś ogromnych łupów! Mówię ci, że to ma jakieś drugie dno.

- Które to? Morderstwo czy kradzieże? - Moja przyjaciółka była precyzyjna.

- Kradzież. Co do morderstwa nie mam zdania, bo nic o nim wiemy.

Ku mojemu zaskoczeniu Julka zdecydowanie zaprzeczyła. Najwyraźniej zeszłoroczne śledzenie mordercy i bardzo bliskie kontakty z Podgórskim miały na to wpływ, bo kiedyś nie zastanawiała się, co wiemy o zamordowanym. Teraz oświadczyła, że po pierwsze wiemy, kiedy mężczyzna zginął, może niezbyt dokładnie, ale jakieś ramy czasowe mamy. Pomiedzy momentem, gdy widziałyśmy go na wzgórzu katedralnym, a chwilą, gdy go znalazłyśmy, minęły mniej więcej dwadzieścia trzy godziny. Facet nie przebrał się, nie miał swetra, wyglądał tak, jak pod katedrą.

- Gdyby chciał gdzieś w nocy iść, to powinien ubrać się w coś ciemniejszego, bo tę jego koszulę to z daleka było widać - przyznałam.

- I mógłby zmarznąć. Myśmy miały koce.

- Ale nikt nie mordowałby go za dnia! Ktoś mógłby to zobaczyć!

- Czekaj, sprawdzę, do której czynne jest obserwatorium. - Julia włączyła komórkę i po chwili z satysfakcją podała godziny. - Od dziewiątej trzydzieści do szesnastej trzydzieści. A potem to nie wiem, czy ktoś tam w ogóle po coś przyjeżdża.

- Mogłybyśmy przyjąć, że morderca poczekał jeszcze trochę, bo może pracownicy są tam dłużej. Niechby nawet do siedemnastej. Myśmy były tam koło dwunastej, czyli musiało to się stać w ciągu, czekaj, niech policzę, dziewiętnastu godzin.

- E tam. To musiało być wieczorem. Nie jestem specem, ale chyba możemy założyć, że raczej bliżej tej siedemnastej niż północy.

Znowu mnie zaskoczyła. Biologiem, co prawda, była, ale pracowała z uczniami, a nie z martwymi ciałami, czyimikolwiek. I nie wiem, co jest bardziej stresujące: praca biologa wykrywającego jakieś niebezpieczne substancje w organizmie czy nauczyciela w liceum. Właściwie zgadzałam się z nią. Jeżeli teren jest odludny, to chyba wygodniej jest kogoś zamordować przy świetle dziennym. Wszystko widać, łatwiej sprawdzić, czy nie zostawiło się jakichś śladów, a samochód stojący w dzień pod obserwatorium na pewno wzbudziłby mniej podejrzeń niż w nocy. Oczywiście, o ile ktokolwiek postronny by się tam pojawił.

- I musimy brać pod uwagę jeszcze jedno. Propozycja nocnej przejażdżki z kimś, komu się nie ufa albo go nie zna, budzi obawy. W dzień wszystko wydaje się bezpieczniejsze.

- Dlaczego nie ufa? Skąd to wiesz? Może zabił go ktoś, komu ufał? - zaprotestowała Julka.

- Wykluczyć się nie da, ale jakoś bardziej pasuje mi ktoś znajomy.

- Nie ufa się wszystkim znajomym jak leci - oświadczyła Julia tonem odkrywcy.

- No dobra, więc zostanemy przy znajomym, niekoniecznie zaufanym. Ale to nie zmienia faktu, że ten obcy trup raczej by nie jeździł po nocy w odludne miejsce z kimś nieznanym.

- Chyba że w jakimś konkretnym celu.

- Pretekst w postaci zwiedzenia obserwatorium w nocy odpada, chyba że w nocy robią jakieś obserwacje, ale to chyba muszą być jacyś pasjonaci. W dzień przyjeżdżają tu zwykli turyści. Słuchaj, a zauważyłaś tę zrytą trawę? - przypomniałam sobie, że widziałam ślady, które skojarzyły mi się z dzikami.

- Nie. Gdzie były?

- Wzdłuż tej ścieżki. No nie całej, ale dobrze widoczne. Miałam nadzieję na dziki, ale teraz tak sobie myślę, że to mogły być ślady po ciągnięciu nieprzytomnego obcego trupa.

- Zdecyduj się. Albo nieprzytomnego albo trupa - zażądała Julia.

- A nieboszczyk to według ciebie jest przytomny? - podpuściłam ją.

- Nie denerwuj mnie. Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

Wiedziałam, dlaczego nie. Facet mógł dostać po łbie na parkingu i zostać zawleczony na dół nieprzytomny, a tam zabity. Mógł jednak zostać zabity już na górze, a potem zniesiono na dół jego zwłoki. Morderca zadał sobie sporo trudu. Po co? Podzieliłam się wątpliwościami. Julka też nie miała pomysłu.

- Ale może ten morderca nie chciał, żeby zwłoki leżały na parkingu i liczył, że nikt tak szybko nie będzie szedł tą ścieżką? Że znalezienie nastąpi później?

- Może.

- Dobrze by było, gdyby ten sierżant nam coś powiedział, bo same nic nie wymyślimy. - Julia poddała się.

- Spróbujemy go wypytać, ale odpadł sposób z zeszłego roku. Nie możemy go podrywać.

- Absolutnie nie jest w moim typie - zastrzegła Julka. - I nie zapominaj, że Dawid, podobnie jak Rafał, nie byłby zachwycony.

- Wiem. Trzeba znaleźć na sierżanta inny sposób, wieczorem zastanowimy się jaki. Słuchaj, czy zwróciłaś uwagę, że facet nadal miał plecak? Może są w nim dokumenty albo coś w tym stylu i policja od razu będzie wiedziała, kto to jest i po co tu przyjechał. Ile mamy jeszcze tego przymusowego czekania? Dwie godziny? To chodźmy się przejść. Możemy obejść Wzgórze Katedralne, a jak zostanie jeszcze czas, to pójdziemy na ten cmentarz, gdzie leżą

pochowani kanonicy.

- I tak możemy tam iść. - Julia podniosła się z ławy i spojrzała na zalewę. - Przepłynęłabym się na mierzeję.

Nie miała oczywiście na myśli wyprawy wpław. Planowałyśmy wycieczkę do Krynicy Morskiej i okolic, ale trzeba było się zorientować, kiedy i skąd odpływają statki. Albo pojechać samochodem. Na razie nieśpiesznie powędrowałyśmy w stronę górującego nad miastem Wzgórza Katedralnego. Wiedziałyśmy, że od niedawna na Rynku Miejskim przy fontannie na ławeczce „siedzi Kopernik” i chciałyśmy go zobaczyć. Szerzej znany jest wielki pomnik stojący tuż pod wzgórzem katedralnym, ale siedzący astronom bardziej nam przypadł do gustu. Niczym rasowe turystki zrobiłyśmy sobie fotki z Kopernikiem i ruszyłyśmy dalej. Nie planowałyśmy wchodzenia na dziedziniec katedry, a obejście wszystkiego dookoła. Schodami czy po płaskim, ale też pod górkę?

- Chodź tędy. - Julka odciągnęła mnie od schodów. - Jak wejdziemy po schodach, to będziemy niedaleko miejsca, w którym powinnyśmy skręcić, żeby dojść do cmentarza, i nie obejdziemy tych murów dookoła.

Miała rację. Wolnym krokiem ruszyłyśmy ulicami Fromborka dookoła wzgórza. Może to zabrzmiało tak, jakbyśmy miały do przejścia kawał drogi, ale po zrobieniu kolekcji zdjęć, wlokąc się noga za nogą, po piętnastu minutach byłyśmy na górze. Odbiłyśmy w bok i parkową alejką poszłyśmy w stronę psychiatryka i starego cmentarza kanoników.

- W sumie tu też byłoby fajne miejsce dla ducha - zauważyła Julia, gdy dochodziłyśmy do celu. - Zobacz, dom wariatów, stare drzewa, stary cmentarz.

- Stary i opuszczony. Chodź, obejrzymy te groby.

Podobał mi się ten cmentarz, a raczej cmentarzyk. Był klimatyczny, inny niż pozostałe znane mi cmentarze. Wiedziałyśmy, że powinny być tu dwadzieścia trzy groby, i odruchowo policzyłyśmy je.

- Jakiś taki opuszczony ten cmentarz - stwierdziła Julka.

- Nieużywany już, nie ma nowych grobów - pewnie rzadko ktoś tu zagląda. Jest taki trochę tajemniczy.

- No, w sam raz dla ducha kanonika.

- Ciekawe, jak się ci kanonicy ubierali.

- A co cię to obchodzi? - Julka starannie zamknęła furtkę. - Ma to mieć jakiś związek z grobami? Zbyt wystrojeni nie zmieściliby się do trumny?

- Nie, z duchem. Z opisów wynika, że duch paraduje w czymś w rodzaju kapoty z kapturem. Jakoś mi się skojarzyło z mnisim

habitem.

- Duch ma jasne ubranie.

- Dominikanie mają jasne habity, jakieś inne zakony pewnie też.

- To już chyba prędzej powinien być duch Krzyżaka - zauważyła Julia, skręcając w parkową alejkę.

- W sumie mógłby to być płaszcz krzyżacki, gdyby nie fakt, że nikt nie zauważył czarnego krzyża. Salezjanie też nie.

- Salezjanie nie zauważyli krzyża? - Julia zatrzymała się i spojrzała na mnie z naganą. - Weź może trochę mniej skręcaj i werbalizuj to, co myślisz.

- Oni mają czarne habity, więc nie może to być duch jakiegoś braciszka z tego zakonu.

- Oszalałaś? To w ogóle nie może być duch! Tak mówisz, jakbyś wierzyła w zjawy rozmaite.

- Rozważam, skąd taki, a nie inny wygląd postaci, która pokazuje się mieszkańcom. Jak wrócimy, to sprawdzimy, jak się ubierali kanonicy, tak na wszelki wypadek.

- Jedziemy jeszcze do Ronina?

- Możemy skoczyć po obiedzie. Blisko jest. Głupio drugi dzień pod rząd się spóźniać.

Gdy zaczynałyśmy spacer, wydawało nam się, że będziemy miały jeszcze trochę czasu do wytracenia, żeby piwo się ze mnie całkowicie ulotniło. Okazało się jednak, że po dojściu do portu i samochodu mogę już sięść za kierownicę. Najwyraźniej obfotografowywanie wszystkiego w zasięgu wzroku i omawianie tego, co akurat mijałyśmy, zajęło nam więcej czasu niż przypuszczałyśmy. I dobrze.

Po obiedzie pani Zosia zrobiła tajemniczą minę i opowiedziała nam o ostatniej kradzieży. Okazało się, że podczas gdy my polowałyśmy na ducha, tuż pod naszym nosem działał złodziej. Okradł ludzi mieszkających dwa domy dalej. I znowu wartość przedmiotów była znikoma, bo zginął koszyczek z włóczką. Zastygłyśmy wpatrzone w gospodynię z niedowierzaniem. Ktoś się połakomił na wełnę? Złodziej chce sobie sweter wydziergać? Nie było już nic sensowniejszego do zabrania?

- Koszyczek stał na wierzchu, na takim małym stoliku w pokoju - wyjaśniła pani Zosia.

- Łatwo go było złapać i wyjść - podesunęłam.

- Oczywiście. Tylko...

Nasza gospodyni wzruszyła ramionami, co zapewne miało obrazować jej stosunek do tak głupiej kradzieży, i dokroiła ciasta. Jasny gwint, znowu nas ktoś tuczy!

- Czy w tym domu nie było bardziej wartościowych rzeczy? -

Julia nałożyła sobie kolejny kawałek utopca z truskawkami.

Tego pani Zosia nie wiedziała. Dom należał do starszego małżeństwa, które żyło z niewielkich emerytur. Na pewno nie było tam drogiego sprzętu fotograficznego, audiowizualnego lub AGD. To wiedzieli wszyscy. Ale czy starsi państwo nie mieli schowanego czegoś cennego? Może na czarną godzinę, może jako pamiątkę albo prezent dla któregoś z wnucząt?

- Porozmawiają z nami? - spytałam, dopijając herbatę.

- Pójdę z paniami, bo obcym się zwierzać nie będą. Ale muszę coś jeszcze powiedzieć. - W głosie kobiety pojawiła się troska. - Złodziej i duch to małe piwo. W nocy kogoś zamordowano. Znaleźli ciało niedaleko obserwatorium. Panie wiedzą, gdzie to jest?

I tyle z naszego milczenia na temat obcego trupa. Mogłyśmy się nie wysilać, plotka już poszła w świat. Ciekawe, kto o tym rozpowiedział. I czy sierżant uwierzy, że to nie my? Zwłoki nie leżały na widoku, a jak widać, wieść o nich już się rozeszła. Przyznałyśmy się gospodyni, że to my znalazłyśmy nieboszczyka, ale starannie ominęłyśmy nasze rozważania na jego temat. Pani Zosia najwyraźniej miała obawy, że porzucimy okolicę, w której ściele się trup, grasuje złodziej, a zjawa przechadza się wieczorami. Zapewniłyśmy ją, że nie planujemy rejterady, i uświadomiłyśmy, że zamierzamy zapolować na ducha i złodzieja. Na wszelki wypadek o chęci odkrycia, kto jest mordercą, nie wspominałyśmy, bo mogłaby w trosce o nas zataić jakieś fakty.

- Nie boicie się?

- Będziemy bardzo ostrożne i nie zamierzamy się narażać - zapewniłam nieco kłamliwie. - Na razie zbieramy informacje, rozmawiając z ludźmi, więc to nie jest nic niebezpiecznego.

- A na tego trupa trafiłyśmy przypadkiem, naprawdę - zapewniła Julia. - Gdyby obserwatorium było czynne, nie poszłybyśmy tam na spacer.

- Tak mi przyszło do głowy - udałam namysł, chociaż zastanawiało nas to już wcześniej - czy może przypadkiem to nie jest tak, że ktoś się z kimś kłóci, nie lubi, robi na złość? Myśleli państwo o tym?

- Tak. Na początku, może w lutym albo w marcu, rozmawialiśmy na ten temat. Wiedzą panie, to nieduże miasteczko, a wsie wokół położone są blisko siebie. Część ludzi mieszka tu już bardzo długo. Wiemy o sobie sporo. Kto z kim się nie lubi albo kto komu zaszedł za skórę. Teraz albo kiedyś. Tak więc najpierw pomyśleliśmy, że to taki sposób odegrania się, może niezbyt mądry, ale i niespecjalnie szkodliwy. Ale kradzieże dotyczą prawie wszystkich.

No proszę, wbrew temu, co nam się wydawało na pierwszy rzut oka, a właściwie ucha, bo opierałyśmy się przecież na rozmowach, kradzieże były dosyć dokładnie omówione przez mieszkańców okolicy. Zostały też zgłoszone policji, a złodziej nadal był na wolności. Gliniarze olali go, bo mieli co innego do roboty, czy też po prostu był sprytny i nie dawał się złapać?

Dom, z którego skradziono koszyk z robótkami ręcznymi, był stary. Nie oznaczało to jednak ruiny, bo był dosyć dobrze utrzymany, a teren wokół zadbany. Pani Zosia zapukała i weszła, nie czekając, aż jej ktoś otworzy drzwi. Najwyraźniej była z sąsiadami blisko i czuła się nieomal jak u siebie. Przywitało nas małżeństwo na oko siedemdziesięcioletnie. Już wiekowi, ale jeszcze na chodzie, więc była szansa, że powiedzą coś ciekawego o kradzieży. Nasza gospodyni przedstawiła nas, zarekomendowała i wyszła. Pani Honorata poczęstowała nas oczywiście herbatą i jakimiś ciasteczkami, bo przecież goście nie mogą siedzieć przy pustym stole. Nie pytana o nic wskazała na niewielki, dosyć wiekowy, stół stojący w rogu pokoju.

- Tam miałam robótkę. Nie mam pojęcia, po co złodziejowi moje druty i włóczka.

- Nic więcej nie zginęło?

- Nie. Sprawdziliśmy i wszystko jest - zapewnił pan Antoni.

- A wiedzą państwo, jak mu się udało do domu wejść?

- Tak sobie myślę, że pewnie oknem.

- Coś ty, stary. Musiałby ten złodziej być cyrkowcem jakimś! - nie zgodziła się żona.

- Dlaczego?

- Ja pani pokażę to okno - gospodyni wstała i pogoniła Julkę. - Chodźmy na dwór, a mąż drugą panią zaprowadzi do tego okna w domu.

Poczułam się zaintrygowana. Co mogło być takiego w oknie na parterze, że złodziej nie mógł tamtędy wejść? A jeżeli to okno było niedostępne, to były przecież inne. Pan Antoni zaprowadził mnie do niewielkiego pokoiku, jak wyjaśnił, gościnnego. Pod oknem stały słoiki. Puste i z przetworami. Według gospodarza nie zostały przesunięte i stoją tak, jak wczoraj. Włamywacz musiałby niezłym susem zeskoczyć z parapetu, żeby je ominąć. To jednak pewnie nawet ja dałabym radę zrobić i gdybym nie bała się, że wpadnę w szkło, to pewnie pokusiłabym się o jakąś próbę. Może starsi ludzie ocenili to według siebie? Przez tak ustawioną zaporę ze słoików nie dałoby się natomiast wyjść z mieszkania przez okno i włamywacz wy dostał się pewnie przez drzwi. Spytałam, a pan Antoni potwierdził, rano okazało się, że drzwi wejściowe zamknięte

są tylko na klamkę. Klucz jak zwykle tkwił w zamku. Zza okna zawołała nas pani Honorata. Spojrzałam w tamtą stronę i ujrzałam Julkę i naszą gospodynię stojącą na czymś w rodzaju skarpy. Przez to parter przestawał być parterem, a robił się niskim pierwszym piętrem. Rozejrzałam się dookoła, w okolicy nie leżało nic, na czym mógłby stanąć złodziej, żeby sięgnąć do parapetu. Ciekawostka...

- A nie mógł wejść inną drogą? - spytałam, gdy Julka i pani Honorata wróciły do domu.

- Nie. Tylko to okno zostawiamy otwarte, właśnie dlatego, że nie ma jak przez nie wejść. To znaczy tak nam się wydawało. To okno jest teraz praktycznie cały czas otwarte, to przez te słoiczki, nie ma jak do niego sięgnąć, żeby zamknąć. Ciepło jest, niech się wietrzy.

Jakoś nie przyszło im do głowy, że słoiczki można przesunąć w inne miejsce. Wróciliśmy do stołu i podsunęłam temat znikomej wartości przedmiotów, które padły łupem złodzieja. Starsi państwo mieszkali w Bogdanach od wojny, znali wszystkich i na pewno mogli sporo powiedzieć o swoich sąsiadach nie tylko z tej wsi. Złodziejowi musiało o coś chodzić, ale o co? Może pani Honorata i pan Antoni dadzą nam jakąś wskazówkę?

- Może on po prostu głupi jest, ten złodziej?

- Nie wydaje mi się. Wie pani, musi planować te kradzieże, wiedzieć, jak, kiedy i gdzie wejść, postarać się o to, żeby go nikt nie zobaczył.

- A tu ma pani rację - zgodziła się ze mną starsza pani. - Nikt tego łotra nie widział.

- Może jednak kradnie coś cenniejszego, ale nikt się do tego nie przyznaje? - rzuciłam przynętę.

- Ale co, pani! Co tu można ukraść?

- No właśnie nie wiemy - włączyła się Julia. - Wie pani, czasem można mieć jakąś jedną cenną rzecz, na przykład po rodzicach.

- Może coś w tym jest, co mówicie - pan Antoni zamyślił się na chwilę. - Chruścińskim ukradli srebrny świecznik, pamiętasz? - spytał żonę, a gdy ta potwierdziła, mówił dalej. - Nigdy bym nie powiedział, że złodziej będzie miał co u nich ukraść, bo przecież pralki czy lodówki nie wyniesie, a to ludzie w naszym wieku, więc tych wszystkich kosztownych drobiazgów nie mają. Nawet komputera. Ukradł im jedyną cenną rzecz, ten świecznik.

- Wie pan, jak to było?

- Tak. Ktoś się do nich włamał dwa razy. Najpierw skradł jakiś drobiazg, cukierniczkę bodajże, a potem to srebro.

Chruścińscy mieszkali w Roninie, w niewielkim parterowym domu. Pierwsza kradzież miała miejsce jeszcze w zimie, druga

jakieś dwa, trzy miesiące później. O świeczniku mogli wiedzieć nawet wszyscy sąsiedzi, bo od czasu do czasu, na przykład z okazji świąt, stawał się on ozdobą stołu. Czy jednak zdawano sobie sprawę z jego wartości, tego pan Antoni nie wiedział. Sam zresztą też jedynie podejrzewał, że jest to cenny przedmiot. Stary, dosyć spory ozdobny świecznik robił po prostu takie wrażenie. Chruścińska kiedyś powiedziała, że ma go po babci, więc mógł pochodzić nawet z dziewiętnastego wieku.

Dwa włamania do tych samych ludzi. Rozpoznanie i kradzież właściwa? Zależy, ile czasu złodziej spędził w domu i co mógł spenetrować.

- Jak długo ten złodziej był wczoraj u was, wiecie może?

- Nie. Rano zobaczyłam, że nie ma koszyczka z robótkami, a drzwi są otwarte. Gdyby nie te drzwi, to nawet podejrzewałabym, że może wieczorem się zakradł na chwilę, bo byliśmy zajęci w kuchni, a radio grało głośno.

- Bo my teraz bardzo pilnujemy, żeby drzwi były zamknięte na noc - wyjaśnił pan Antoni. - Jak widać, to nie wystarczyło.

Do tego domu złodziej włamał się po raz pierwszy i ukradł byle co, chociaż pani Honorata na pewno była przywiązana do swoich robótek. Będzie próbował drugi raz czy przeszukał dom i nic nie znalazł?

- Ja bym na państwa miejscu zamknęła to okno - powiedziałam z troską.

- Myśli pani, że on wróci?

- Do państwa znajomych wrócił. Nie wiem, czy mają państwo w domu coś cennego, ale złodziej może myśleć, że tak.

- Nie mamy, nasza rodzina nigdy bogata nie była.

- Ale złodziej może tego nie wiedzieć. Lepiej uważać - ostrzegła Julia.

- Zgłosili państwo kradzież na policji?

- Nie. Przecież nie będą szukali mojej włóczki.

- Może niech państwo zgłoszą? Złodziej mógł zostawić jakieś ślady na parapecie.

- Sam nie wiem. Potraktują nas jak natrętne muchy. - Starszy pan nie był przekonany.

- Na to już pan nic nie poradzi. Ale może ktoś tam myśli i w końcu złapią tego złodzieja.

- Teraz mają nieboszczyka, to co im po złodzieju. Słyszały panie? Zwłoki znaleźli koło obserwatorium.

Ponownie przyznałyśmy się do odkrycia zwłok. Skoro wiedziała już o tym pani Zosia, to pewnie niedługo i inni się dowiedzą, a starsi państwo czuliby się pewnie urażeni, gdybyśmy to zataiły. Przez

chwile stanowiłyśmy dla nich niebywałą atrakcję, najwyraźniej złodziej i duch już wszystkim spowszednieli, a taki obcy trup intrygował. Jak zwykle wypytałyśmy ich jeszcze o inne przypadki kradzieży i pojawiania się ducha, nanosząc od razu informacje na mapę, co zaniepokoiło naszych rozmówców. Bali się, że narazimy się i ktoś nam krzywdę zrobi. Obiecałyśmy uważać, nie pchać w niebezpieczne miejsca, informować, gdyby udało nam się coś odkryć, i wróciłyśmy do siebie. Miałyśmy sporo materiału do przemyślenia.

- Piwo? - spytała Julia, sięgając do lodówki.

- Piwo, nigdzie nie jedziemy. Nie wierzę, że po takiej nocy jak ostatnia dzisiaj się też coś wydarzy. Włamanie i morderstwo!

- Tylko duch nawalił i się nie pokazał.

- Skąd wiesz? Mógł się pojawić gdzieś indziej. Napiałabym się jakiegoś kraftowego - westchnęłam z tęsknotą niczym alkoholik za butelką.

- Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. Skąd ja ci kraftowe wezmę? Poza tym przeważnie ma więcej procentów, a my tu dochodzenie prowadzimy, a nie imprezujemy.

Julia postawiła koncertowe piwo na stoliku i wygodnie rozsiadła się na fotelu, przygotowując na dłuższe pogaduchy. Miała rację, trzeba się zaopatrzyć we wszystkie śledcze gadżety, żeby się nie zrywać co chwilę. Przyniosłam zeszyt, długopis, mapę i laptopa, bo może będzie trzeba coś sprawdzić w sieci.

- Od czego zaczynamy?

- Od obejrzenia zdjęć z miejsca zbrodni. Czekaaj, przerzucę na kompa, będzie lepiej widać.

- Naprawdę chcesz oglądać trupa w powiększeniu? - Julia skrzywiła się z niesmakiem.

- To są świeże zwłoki, a nie takie przechodzone. Nie przesadzaj. Poza tym ciuchy, buty i całe otoczenie wyglądają neutralnie, twarz jest tylko trochę nie tego.

- Powiedziałyabym, że nawet bardzo nie tego. - Julka łyknęła wzmacniający bursztynowy napój.

- Dużo tych zdjęć nie ma, damy radę.

- Jak będę potem miała koszmary, to będzie twoja wina.

- Po topielcu jakoś nie miałaś - wytknęłam. - Dobra, mam, oglądamy.

Zdjęć było czternaście i rzeczywiście skupiłam się na mało drastycznych elementach. Wysłałam z założenia, że widok zmienionej pośmiertnie, i to jeszcze po pobiciu, twarzy obcego trupa nic nam nie da. Miałyśmy jego zdjęcie za życia zrobione przed katedrą i mogłyśmy się nimi posługiwać podczas rozmów

z mieszkańcami. Cała reszta natomiast miała szansę do czegoś nam się przydać. Po pierwsze od razu było widać, że facet jest w tych samych ciuchach, w których go widziałyśmy, i nie musimy się tu opierać tylko na naszej pamięci. Po drugie ubranie było gdzieś powalane ziemią, co sugerowało, że zawleczono go na dół, a nie zszedł z własnej woli. Oczywiście mógł upaść, ale miałby wtedy brudne inne miejsca. Dalej dziwił nas trochę plecak. Według mnie powinien mu spaść, gdy morderca włókł go po ziemi, a może podczas szamotaniny czy nawet walki. Jednak tkwił jak przyspawany do jego ramion. To sugerowałoby, że morderca specjalnie założył go swojej ofierze. Po co? Może w tym plecaku było coś, co powinno wyjść na jaw, gdy ciało zostanie znalezione? Może uda się od sierżanta wycygnąć listę rzeczy, które trup miał przy sobie. Oglądaliśmy wszystkie zdjęcia, łącznie z tym, na którym była zryta ziemia na ścieżce, i zostało nam to z twarzą mężczyzny. Mimo znalezienia prawie zwłok i zwłok w zeszłym roku nie byliśmy przyzwyczajone do takich widoków. Wzięłam głęboki oddech i spojrzałam na twarz mężczyzny. Już była opuchnięta. Poza tym sina i zakrwawiona. Gdyby nie ciuchy, nie poznałybyśmy go.

- Dobra, jak dla mnie wystarczy. - Julia odwróciła wzrok.

Zamknęłam komputer, bo miała rację. Wpatrywanie się w twarz obcego trupa nie było przyjemne i raczej na nic nam się nie mogło przydać. Ta konkluzja wywołała skojarzenie: trup - policja - Podgórski - nasi faceci.

- Julka, zanim sobie to wszystko uporządkujemy, zastanówmy się, co im powiedzieć - dokonałam lekkiego skrótu myślowego.

- Im to znaczy komu?

- Rafałowi i Dawidowi. Pewnie zadzwonią niedługo i spytają, co porabiamy.

W wyniku błyskawicznej narady uzgodniłyśmy, że to my zadzwonimy do nich, żeby trochę uspić ich czujność. Przyznamy się do przypadkowego znalezienia zwłok, ale pominiemy nasze śledztwo w sprawie kradzieży i ducha. Obcy trup był w miarę bezpieczny, obserwatorium było niezłym wytłumaczeniem. Obaj wiedzieli, że chcemy tam pójść, a chyba nie będą podejrzewali, że dzień po przyjeździe już zdążyłyśmy się w coś wplątać. Znalezienie nieboszczyka naprawdę było przecież przypadkiem. Co innego duch lub złodziej, na których polowałyśmy.

Obaj zareagowali podobnie. Niedowierzenie, lekki szok, zakaz mieszania się w sprawę morderstwa, nakaz uważania na siebie i rozważanie, czy nie powinnyśmy wrócić do Gdańska. Sierżant dołożył jeszcze informację, że zadzwoni do Korczyńskiego i poprosi, żeby nas przypilnował. No masz babo placek! Tylko nam policji na

karku brakowało.

- Nie mogłaś mu powiedzieć, że nie chcesz, żeby cię gliniarze pilnowali?

- Powiedziałam! - zapewniła Julka. - Akurat mnie słuchał! Ciesz się, że sam nie może przyjechać.

- Chyba bym wolała, żeby Dawid przyjechał, niż Korczyński nas pilnował.

- A coś ty! Na pewno nie będzie miał czasu. A może poprzez tę pośrednią znajomość więcej nam powie? Staniemy się bardziej godne zaufania? - kombinowała Julia.

- No może, zobaczymy. Z tym obcym trupem więcej nie wymyślimy, za mało mamy informacji. Musimy pogadać z ludźmi również o nim.

- Ale zapomnij, że wystąpimy w charakterze porzuconych kochanek. Tym razem ten numer nie przejdzie, zwłaszcza gdy Dawid pogada z lokalnym sierżantem - ostrzegła Julka.

Miała rację. W zeszłym roku świetnie nam szło wypytywanie ludzi o szukanego przez nas mężczyznę, bo twierdziłyśmy, że szukamy gacha. Nie wspólnego oczywiście, nie posunęłyśmy się do tego, żeby sugerować trójkąt miłosny. Sprawa była o tyle łatwiejsza, że Rafał siedział na kontrakcie w Stanach, a Julka nawet nie zaczęła podrywać jeszcze Dawida. Trzeba wymyślić coś innego.

- A może sugerować, że facet nas okradł? O tych kradzieżach to większość tubylców słyszała, więc pewnie się za bardzo nie zdziwią, że ktoś nam coś podwędził.

- Tylko wymyślimy coś innego, niż to, co rzeczywiście kradnie, bo inaczej ludzie pomyślą, że nie żyje ten, kto ich okradał, i przestaną uważać - zasugerowałam.

- Najpierw musieliby skojarzyć twarz pokazywanego przez nas faceta ze zwłokami w lesie.

- Mogą skojarzyć. Policja może przepytować ludzi, pokazując im zdjęcie z dowodu na przykład. O ile znajdą dowód.

- Dobra, to może opowiadajmy, że nam wieczorem w porcie koc ukradł? Nie w dzień, bo on wtedy nie działa, przedmiot małowartościowy, więc zawsze możemy powiedzieć, że dlatego nie idziemy na policję - zaproponowała Julia.

- I tak ten koc koniecznie chcemy odzyskać? Trochę się zdziwią, ale w sumie niech się dziwią. Zawsze możemy powiedzieć, że po prostu jesteśmy wkurzone samym faktem tak bezczelnej kradzieży. Z rąk nam wyrwał. No dobra, to wracamy do złodzieja - zmieniłam temat.

O złodzieju i kradzieżach wiedziałyśmy znacznie więcej niż o morderstwie. Wypraktykowanym w zeszłym roku zwyczajem

postanowiłyśmy robić notatki. Na pierwszy ogień poszły opisy kradzieży. Miejsce, data, informacja, co ukradziono, jak złodziej dostał się do domu. Nie wiedziałyśmy jeszcze zbyt wiele, ale miałyśmy nadzieję, że wraz z uzupełnianiem informacji będziemy potrafiły coś wywnioskować z tych zapisków.

- Ciekawe, ile jest domów, w których była podwójna kradzież - zastanowiła się Julia.

- Musimy o to pytać. Nie wiem, czy wszyscy się będą chwalili drugim włamaniem.

- Dlaczego?

- Bo wiemy tylko o jednej cennej rzeczy, o tym świeczniku. A ja naprawdę nie wierzę w tak idiotyczne kradzieże bez drugiego dna. To raz. A dwa, za kolejnym razem facet mógł wejść drzwiami.

- Niby jak?

- Normalnie. Był w domu, mógł sobie klucze odbić w jakiejś masie, a potem dorobić.

- I w ten sposób może wejść w dowolnej chwili do każdego z domów, który okradł - powiedziała Julia z nagłym zrozumieniem. - Drzwiami, wtedy gdy właścicieli nie ma. Nie musi się włamywać, wybijać okien i tak dalej.

- No właśnie. Pierwszy włam to zasłona dymna i uzyskanie dostępu do kluczy.

- Myślisz, że tak łatwo dorobić klucze z odcisku? A może to w ogóle nielegalne?

- Nie mam pojęcia, ale gdybym planowała taką akcję, to na pewno znalazłabym odpowiednich ludzi, którzy nie pytaliby, dlaczego mają dorobić z odcisku, a nie na podstawie oryginału - wzruszyłam ramionami.

- Czyli uważasz, że on czegoś szuka?

- Zdecydowanie. Tylko nie wiem czego.

- Przecież nie trzeba być bogaczem, żeby w domu było coś, co warto ukraść. Sprzęt AGD, telewizor, że nie wspomnę o komórkach, które łatwo schować do kieszeni i nawet z nimi uciekać w razie konieczności.

- Nie zgadzam się. - Energicznie pokręciłam głową, zastopowałam ruch, napiłam się piwa i kontynuowałam. - Weź pod uwagę, że ani razu nie zginęło nic z rzeczy, które wymieniłaś. Tak jakby złodzieja to nie interesowało. Pewnie ma dobrze wyposażony dom i wypasioną komórkę.

- To co interesuje? Ten jeden świecznik?

- Może po prostu rzeczy małe i cenne.

- Komórki takie są, a teraz wszyscy mają.

- Coś ty się tak tych telefonów uczepliła? Może i wszyscy mają,

ale niekoniecznie zaraz iPhony i smartfony.

- Bo doskonale wiem, do czego zmierzasz. Małe i cenne. I na pewno stare.

Znała mnie i mojego szmergla, to fakt. Już w zeszłym roku preferowałam motywy zbrodni, które zahaczały o historię. Zresztą od zawsze coś cennego nie kojarzyło mi się z wypasionym sprzętem komputerowym czy audiowizualnym, ale z antykami w rozmaitej postaci. Takie przedmioty znajdowały się jednak głównie w muzeach lub w rękach kolekcjonerów. Oczywiście każdy mógł mieć jakieś drobiazgi po przodkach, jeżeli byli wystarczająco bogaci, ale dwie wojny i czasy po nich przyczyniły się do upłynnienia rodzinnych kosztowności. Za coś trzeba było żyć. Jednak Frombork leży w takim miejscu, że kosztowności, praktycznie z całego świata, mogłyby się tu pojawić. W styczniu czterdziestego piątego roku przez zalew na mierzeję przechodziło nie tylko wojsko, ale i cywile. I jedni, i drudzy mogli mieć przy sobie coś cennego. Swojego albo zrabowanego.

- A ty znowu swoje. Znowu ci zgrzybiali hitlerowcy - westchnęła Julka.

- Oszalałaś? Chodzi mi o przedmioty, nie o ludzi. Ile to się mówi, że ktoś gdzieś ukrył kosztowności, bo się bał, że przepadną po drodze, że mu ktoś ukradnie, bo liczył, że tu wróci.

- No jeśli wrócił, to młody nie jest - stwierdziła zgryźliwie moja przyjaciółka.

- Odczep się od ludzi. Nigdy nie czytałaś, co tu się działo? Zalew był zamarznięty i zrobił się skrót na mierzeję, nad morze. Niemcy szli po tym lodzie, który się załamywał pod ciężarem ich, ich dobytku i sprzętu wojskowego. A Ruscy bombardowali to z góry. Jak ktoś myślał, to mógł sobie wykombinować, że łatwiej mu będzie przejść bez zbędnego balastu.

- Jasne. I zakopał to gdzieś w okolicy.

- No, a dlaczego nie?

- Coś ty ostatnio czytała? Znowu jakieś brednie wymyślasz. Zawsze szukasz jakichś historycznych powiązań. A życie jest prozaiczne.

- No to proszę bardzo, wymyśl prozaiczny powód tych dziwnych kradzieży.

Julka zamilkła. Tak samo jak ja nie miała zielonego pojęcia, o co może chodzić złodziejowi.

- A widzisz? Nic innego nie przychodzi do głowy.

- I uważasz, że ten twój złodziej...

- Nie mój.

- No dobra, nasz złodziej, przeszukuje domy okolicznych

mieszkańców w nadziei, że coś znajdzie? Tak nagle teraz? Nie wcześniej, bliżej wojny, gdy ludzie więcej pamiętali? Przecież teraz to już tu chyba nie ma nikogo, kto w czasie wojny był w sensownym wieku, żeby coś pamiętać.

- Nie mam pojęcia, dlaczego teraz - wzruszyłam ramionami. - Ostatnio sporo się mówiło o zalewie w kontekście przekopania kanału przez mierzeję. Może to w jakiś sposób przypomniało historię? Pobudziło ludzką wyobraźnię?

- Uwierz mi, że poszukiwaczy skarbów musiało tu być już zatręsenie. Poza tym złodziej nie szuka gdziekolwiek, a w domach. Dlaczego?

Trafiła w punkt. Gdyby złodziej okradł lub próbował okraść jeden dom, to rozumiałe, ale nie wszystkie w okolicy! Nie wiedział, gdzie jest to coś, czego szuka i sprawdzał na ślepo? Wydawałoby się, że przed rozpoczęciem jakichkolwiek poszukiwań trzeba zebrać informacje, a włamywacz zachowywał się tak, jakby działał po omacku lub na podstawie bardzo skromnych danych.

- I wybij sobie z głowy te wszystkie skarby - kategorycznie zażądała Julia. - Takich rzeczy to sobie mogą szukać bohaterowie książek sensacyjnych, a nie realni ludzie. Tu na pewno chodzi o coś bardziej przyziemnego.

- Sama nie potrafiłaś wymyślić motywu, ale ten ci się nie podoba!

- Za bardzo naciągany.

- Weź pod uwagę, że z Fromborka wywożono łupy jeszcze po wojnie. Na wschód.

- No to co? Jak wywożono do Ruskich, to bez sensu byłoby chyba, żeby ich tu szukać?

- A może ktoś zabezpieczył coś przed wywiezieniem i ukrył tu niedaleko?

- I dopiero po upływie ponad siedemdziesięciu lat ktoś trafił na informację o tym? Odpuść, bo zaraz będziemy szukały Bursztynowej Komnaty!

- No dobra - zgodziłam się niechętnie. - Na razie pomyślimy o innych możliwościach, ale o tym tak zupełnie nie zapominajmy.

- Ja bym na razie za dużo nie kombinowała, tylko jak najszybciej obskoczyła tych okradzionych i uzupełniła nasze zestawienie. - Julia machnęła w stronę zeszytu. - Może coś nam z tego wyjdzie? Zauważymy jakąś prawidłowość albo co?

- Na razie nie. Ale wiesz co? Ja tam jeszcze rubrykę dodam na informację, jaki to był dzień.

Była rubryka „kiedy”, ale uświadomiłam sobie, że ludzie mogą nie pamiętać daty dziennej i po informacji „na początku lutego” nie

będziemy w stanie ustalić, jaki to był dzień tygodnia. A to mogło być przydatne, bo jeżeli włamywacz działał tylko w weekendy albo inne konkretne dni, można by było na tej podstawie wysnuć jakieś wnioski. Tubylec mógłby się włamywać kiedykolwiek, mieszkający dalej musiał dojeżdżać. Ktoś mógł też zwrócić uwagę na obcy samochód.

- Ja nie wiem, czy ten złodziej tu mieszka. Za duże ryzyko rozpoznania, gdyby go ktoś przyuważył. Nawet w nocy i z daleka - zawyrokowała moja przyjaciółka i zmieniła temat. - Zjadłabym coś. Co prawda ten obcy trup podziałał na mój żołądek zniechęcająco, ale już mi przeszło.

- Dobra, zrobimy kanapki i obgadamy ducha.

Punkt trzeci naszych wieczornych rozważań był najbardziej nietypowy. Nie miałyśmy żadnego doświadczenia w kontaktach z duchami, nigdy nie uczestniczyłyśmy w seansach spirytystycznych i nawet do wrózek nie chodziłyśmy, więc nic nie wiedziałyśmy o duchach. Może oprócz tego, że, przynajmniej teoretycznie, powinny straszyć lub choćby czegoś chcieć. Pomijając fakt, że nie wierzyłyśmy w duchy. Za to w to, że ktoś wykorzystuje nastawienie innych do tego typu zjawisk do własnych celów jak najbardziej. Jedząc kanapki, wymyślałyśmy cele, jakie mógł mieć twórca ducha. Jeden już wcześniej wykombinowałyśmy: ludzie nie chcą stawać na drodze zjawie, więc unikają miejsc, gdzie się ona pokazuje.

- Może to takie memento? Duch ma o czymś przypominać? - zasugerowała Julka.

- Musiałby być do czegoś podobny albo się z czymś kojarzyć, a na razie nikt nic takiego nie stwierdził.

- Nie wszyscy się przyznali, że go widzieli, więc na sto procent nie wiemy. Co jeszcze?

- Ma od czegoś odstraszać - zaproponowałam.

- To już mamy.

- Mam, że przepłoszył ludzi z jakiegoś rejonu, ale może on tamtędy tylko przechodzi, a straszy gdzieś indziej?

- Znaczący ludzie widzą ducha w drodze do pracy? - Julka uśmiechnęła się na myśl o regularnie pracującej zjawie.

- Dokładnie, dlatego pojawia się w różnych miejscach.

- Ciekawa jestem, dokąd tak wędruje. I skąd. Może straszy na wzgórzu?

- Nie sądzę - pokręciłam głową z lekkim żalem, bo duch w katedrze bardzo by mi się podobał, nawet jeżeli był materialny. - Gdyby ktoś go tam zauważył, na pewno byłoby o tym głośno. Ale możemy porozmawiać z jakimś lokalnym miłośnikiem Fromborka i spytać, co o tym myśli. Jutro spróbujemy kogoś namierzyć.

Intrygował mnie ten duch i sama przed sobą nie przyznawałam się, jak bardzo. Rozumiałam swoje podekscytowanie na myśl o łapaniu złodzieja, a nawet mordercy. Tu kumulowała się niechęć do przestępstwa, potrzeba zmierzenia się z problemem i tęsknota za zesłorocznym dreszczykiem emocji. W przypadku ducha trudno było dopatrzeć się znamion przestępstwa, każdemu wolno przechadzać się w stroju dowolnym o dowolnej porze. A to, z kim inni skojarzą jego postać, to już ich problem. A może tak rzeczywiście było? Może ludzie podenerwowani złodziejem wymyślili sobie ducha? Jednej osobie się tak ta postać skojarzyła, a reszta powielala stwierdzenie? A wszyscy już byli nastawieni na to, że zobaczą zjawę? Czułam coraz większą potrzebę spotkania się z tym przedstawicielem świata nadprzyrodzonego. Chyba nic nam nie zrobi? Nikt nie wspominał, żeby był agresywny.

- Ciekawe, czy trudno jest załatwić sobie broń.

- Oszalałaś? Po co ci broń? - Julia spojrzała na mnie z niesmakiem. - Do ducha chcesz strzelać?

- Oj tam, zaraz do ducha. Co i rusz coś nas spotyka nietypowego, może warto by było pomyśleć o jakimś zabezpieczeniu?

- Znam takie. Możemy nie pchać się w te różne trupy, duchy i morderstwa. Co ty na to?

- To nie my się pchamy, to samo do nas przychodzi. Wczoraj pojechałyśmy obejrzeć obserwatorium, a nie znajdować zwłoki. W zeszłym roku też tak było.

Pociągały nas, a szczególnie mnie, wszelkie tajemnice i historie z dreszczykiem, które mogłyśmy spróbować rozwikłać, to fakt. Ale przecież nie musiałyśmy trafić na zwłoki zaraz na początku urlopu. Większość ludzi nie ma tego typu przygód przez całe życie. A my tak. I to bez specjalnych starań, proszę bardzo, wyjazd do obserwatorium, krótki spacer po lesie i wlażyłyśmy na trupa. Nie szukałyśmy go, nie planowałyśmy spaceru w tym miejscu i nie wiedziałyśmy, że jest tam ścieżka, na której końcu będą zwłoki. Najwyraźniej przyciągałyśmy takie wydarzenia albo one nas. Stąd mój pomysł z bronią. Na razie miałyśmy scyzoryki i latarki, którymi można by od biedy przywalić komuś w głowę. Czułam się niedozbrojona.

- Jutro zaczaimy się na ducha - zakomunikowałam bojowo.

- A na złodzieja?

- Trudniej. Ma większy rejon działania. Najpierw zbierzemy o nim więcej informacji. Też jutro.

- Znowu mamy pracowite wakacje. - Julia westchnęła teatralnie i wstała z fotela, żeby wpuścić kota, który zamiast wejść oknem,

miauczał pod drzwiami. - Idę zaraz spać, skoro mamy jutro zarwać nockę.

- Ja też, idź pierwsza do łazienki, ja sprzątnę ze stołu. I powiem ci jeszcze, że intryguje mnie ten podział terenu: tu duch, tu złodziej. Umówili się?

- E tam. Poczekajmy, co nam wyjdzie za jakieś dwa-trzy dni. Może się okazać, że to tylko teraz tak wygląda.

Julia zniknęła w łazience, a kot natychmiast wlaźł na jej fotel. Gdyby to była zima, pomyślałabym, że czekał na wygrzane miejsce, ale w lecie? Patrzył na mnie zmrużonymi bursztynowymi ślepiami, gdy sprzątałam ze stołu, najwyraźniej mając nadzieję, że może dostanie jakiś smakołyk. Nie ze mną te numery. Lubię wszystkie zwierzaki, ale bez ustalenia z właścicielką nie będę go dokarmiła. Może jest na coś chory i to, co bym mu dała, zaszkodziłoby mu? Nie znałam żadnego kociaka na diecie, ale psy owszem. Jutro porozmawiam z panią Zosią i jeśli pozwoli, kupię mu jakieś frykasy. Dzisiaj musi jeszcze przecierpieć. Spojrzał na mnie z miną, jakby wiedział, o czym myślę, odwrócił głowę w drugą stronę i zwinął się w ciasny kłębek. Może z pogardą dla mojej niedomyślności? Kot wolno chodzący raczej nie powinien być na nic uczulony. Trudno, wytrzyma do jutra.

* * *

Czy gdy na wakacjach obudzi się o dziesiątej, to powinno się powiedzieć, że się zasnęło? Teoretycznie rzecz biorąc nie, ale tak się właśnie czułam. O dziwo, Julka też zasnęła, chociaż normalnie wstaje znacznie wcześniej ode mnie. Nie ustawiłyśmy godziny pobudki, nie nastawiłyśmy zegarków i teraz byłyśmy złe na siebie. Spałyśmy prawie dwanaście godzin, o wiele za dużo jak na dorosłego człowieka.

- Weźmy wszystko co trzeba, łącznie z dresami na wieczorne polowanie na ducha i powiedzmy pani Zosi, że dzisiaj jemy poza domem - zasugerowała Julia, dopijając poranną kawę.

To była sensowna propozycja. W planach miałyśmy wizytę na posterunku, rozmowy z ludźmi, o których wiedziałyśmy, że ich okradziono lub że widziały ducha, i rozejrzenie się za jakimś miłośnikiem miasta. Chciałyśmy z nim porozmawiać o zjawie w kontekście historii Fromborka lub potencjalnych miejsc, w których mogłaby się pojawiać. A gdy zapadnie ciemność, znowu zaczniemy się na ducha. W międzyczasie mogłyśmy skoczyć na rybkę i posłuchać ploteczek.

- E tam - zaprotestowała Julia. - W knajpie na obiedzie będą pewnie głównie turyści, plotkujący o tym, ile czego wypili wczoraj, jakich kremów UV używają, a w najlepszym razie narzekający na pogodę. O tym chcesz posłuchać?

Coś w tym było, ja w Gdańsku obiady też najczęściej jem w domu, a nie gdzieś w mieście. Jakie jest ulubione miejsce mieszkańców Fromborka? A może ta sama knajpa, tylko po prostu wieczorem? Spróbujemy.

- Tylko piwa nie mamy jak wypić - zauważyła z rezygnacją Julka.

- Trudno. Poświęcimy się. Chodź, i tak jesteście spóźnione.

W drodze na posterunek, żeby podpisać wczorajsze zeznania, ustawiłyśmy, że potem pojedziemy do Ronina, do tych Chruścińskich, których okradziono dwa razy. Być może będą skłonni porozmawiać z nami szczerze, bo strata srebrnego świecznika na pewno była bolesna. Miałyśmy nadzieję, że przy podpisywaniu zeznań uda nam się porozmawiać z Korczyńskim, ale niestety sierżanta nie było, a starszy posterunkowy był bardzo małowówny. Dobrze, że dzień dobry powiedział.

Plotka roznosi się szybko, tym bardziej wspomagana telefonem, i już na nas czekano. Poczuliśmy się trochę głupio, bo tak naprawdę zawracaliśmy głowę obcym ludziom i chcieliśmy zająć

im jak najmniej czasu, a tu się okazało, że stanowimy atrakcję. Turystów w okolicy jest sporo, ale raczej przyjeżdżają zwiedzić Frombork albo do stadniny w Narusie. A my zainteresowałyśmy się lokalnym problemem, więc byłyśmy nietypowe. Być może, gdybyśmy pracowały dla jakiejś gazety i zbierały miejscowe plotki, żeby potem wysmażyć z tego sensacyjny artykuł, nie rozmawiano by z nami chętnie. Jednak jak na razie byłyśmy przyjmowane nad wyraz przyjaźnie. Oczywiście polecenie przez kogoś, u kogo już byłyśmy, robiło swoje.

- Jak wczoraj Honorata zadzwoniła, to od razu sobie pomyślałam, że pewnie z nami też będziecie chciały porozmawiać. - Chruścińska wskazała nam stolik i krzesła stojące w cieniu rozłożystej jabłunki. - Ładnie jest, to po co w domu siedzieć. Zaraz zrobię herbatę, chyba że wolą panie kawę?

- Nie chciałybyśmy robić kłopotu - krygowała się Julka.

- Żaden kłopot, a może nam zaschnąć w ustach. Poza tym moja wnuczka cały czas mi przypomina, że musimy pamiętać, żeby dużo pić w upały.

Przeczekałyśmy te gospodarskie zabiegi, obserwując dwa małe kociaki ganiające jakieś zeschnięte listki. Były tak pocieszne i pełne radosnej energii, że niechętnie oderwałam od nich wzrok, gdy Chruścińscy pojawili się z herbatą i oczywiście ciastem. Wyglądało smakowicie. Jeżeli choć część naszych rozmówców będzie nas tak gościła, to jak bum cyk cyk utyjemy. Postanowiłam zaproponować Julce poranne lub wieczorne spacerunki szybkim krokiem, bo jak na razie głównie jeździłyśmy samochodem i sadełko mogło nam rosnąć. Jak ją znałam, nie zaprotestuje przeciwko chodzeniu, byle tylko nie w niebezpieczne rejony.

- Panie chcą złapać tego złodzieja? Dlaczego? - spytał Chruściński.

On pierwszy zadał takie pytanie. Do tej pory ludzie pytali, czy się nie boimy, ale nie dlaczego chcemy złapać włamywacza. Nie przypuszczam, żeby podejrzewali, że mamy związek z policją, a nawet gdyby coś takiego przyszło im do głowy, to wystarczyło jedno pytanie zadane pani Zosi, żeby rozwiązać te wątpliwości. Byłyśmy tu dopiero trzeci dzień, ale od razu zaciekawiliśmy się kradzieżami, ja na miejscu naszych rozmówców zadawałabym pytanie o powód takiego zainteresowania. A może zmylił ich duch? Pytałyśmy przecież też o niego, a zainteresowanie duchem było bardziej zrozumiałe niż chęć ujęcia przestępcy własnymi rękoma. Najprawdopodobniej tak właśnie było. W przypadku naszych obecnych rozmówców nie spytałyśmy o zjawę. Tak naprawdę nie wspomniałyśmy też o złodzieju, ale pan Antoni i pani Honorata

załatwili za nas sprawę. Zostałyśmy przedstawione jako te, które interesują włamania. Nie zamierzałam wtajemniczać nikogo w nasze plany, ale skąd wiemy o tym, co się ostatnio dzieje koło Fromborka, mogłam powiedzieć.

- O tych włamaniach i o duchu dowiedziałyśmy się od znajomych jeszcze w maju i zaciekawilo nas to. Muszą państwo przyznać, że nie co dzień zdarzają się takie nietypowe kradzieże, a duch przechadzający się po wsi to już naprawdę unikat.

- Łazi wszędzie - mruknął niechętnie Chruściński.

- Wszędzie? Z tego, co udało nam się ustalić, zjawia najbardziej lubi rejon Przylesia, Narusy i Krzyżewa.

- Ja go tu widziałem. - Mężczyzna skrzywił się, jakby go ząb zabolął. - Ale nikomu oprócz żony się do tego nie przyznałem. Jakoś mi głupio mówić, że widziałem ducha.

- A może to nie był duch?

- Wyglądał jak duch. Ja tam za bardzo nie wierzę w takie rzeczy, ale najbardziej przypominał właśnie jakąś taką zjawę. I nie miał twarzy.

Kolejna osoba mówiła o tym samym. Prawdopodobnie „duch” posmarował sobie twarz czymś czarnym dla zwiększenia efektu, nie trzeba być geniuszem, żeby wpaść na taki pomysł. Zasugerowałam to. To znaczy uczernienie twarzy, a nie iloraz inteligencji zjawy.

- Niby ma pani rację, ale to wyglądało jakoś inaczej. I nie mam pojęcia, na czym ta różnica polegała. Zresztą czy to nie wszystko jedno? Na pewno ktoś taki durny żart robi, bo nie sądzą panie chyba, że widujemy tu prawdziwego ducha.

Julia już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale Chruścińska nie dopuściła jej do głosu. Może i dobrze, bo to nasi rozmówcy mieli być dla nas źródłem informacji, a nie odwrotnie.

- A ty, stary, taki pewny tego nie bądź.

- Kobieto, ty znowu swoje! - Chruściński zapalił papierosa i wydmuchał kłęby dymu, dobrze, że na bok. - Żona uważa, że jeśli tyle osób widziało tę postać, to może to i jest duch. Nigdy wcześniej nie miałem do czynienia z czymś takim, tylko w telewizji widziałem, a wiadomo, że tam to były sztuczne duchy. Z tym pewnie jest podobnie. Ale jak się go widzi, to się człowiekowi jednak jakoś tak nieprzyjemnie robi.

- A dajże ty już spokój z tym duchem, nudzisz panie. Panie chciały na pewno o tego złodzieja spytać, a nie o zwidach rozmawiać.

- Nie, dlaczego? - zaprotestowała Julia. - My też nigdy nie spotkałyśmy ducha. Pan go tu gdzieś niedaleko widział?

- A tak. Na skraju wsi. Chcą panie zobaczyć, gdzie, to

zaprowadzę.

Zgodziłyśmy się na to ochoczo. Oczywiście nie liczyłyśmy na jakieś ślady po zjawie, ale chociaż zobaczymy, gdzie dokładnie się pokazała. Poszłyśmy razem z mężczyzną, jego żona odmówiła spaceru pod pretekstem, że w międzyczasie zaparzy świeżej herbaty. Pewnie nieraz już omawiała z mężem spotkanie z duchem i nie chciała ponownie wysłuchiwać jego opowieści.

Miejsce, w którym Chruściński widział tajemniczą postać, nie wyróżniało się niczym szczególnym. W pobliżu nie zauważyłyśmy nic, co mogłoby zainteresować ducha. A przynajmniej tak nam się wydawało, bo licho wie, co może interesować takie indywiduum.

- O tu szedł, tędy. - Mężczyzna wskazał na wydeptaną ścieżkę, która przecinała drogę. - Przechodził z jednej strony na drugą. Zauważyłem go, jak był koło tamtego drzewa.

Obie spojrzałyśmy tam, gdzie pokazał. Obok drogi, tuż przy ścieżce, rosła stara wierzba. Duch musiał przejść koło niej, co podsunęło mi pewną myśl.

- A dokąd on sięgał?

- Donikąd, tak sobie szedł, nie wyciągał rąk w żadną stronę.

No tak, grunt to precyzja wypowiedzi. Wytłumaczyłam, że chodzi mi o to, do jakiej wysokości wierzby sięgała tajemnicza zjawa. Na tej podstawie mogłybyśmy oszacować jej wzrost. Mężczyzna podszedł do drzewa i bez wahania wskazał miejsce.

- Jest pan pewien? - nie mogłam ukryć zdziwienia.

Potwierdził. Niesamowite, duch był bardzo wysokim facetem, o ile był facetem. Stałam przy drzewie i sprawdziłam, ile mi brakuje do wskazanego miejsca. Ponad trzydzieści centymetrów. Koszykarz czy co? Ilu tak wysokich mężczyzn może mieszkać w okolicy? Jeżeli miałybyśmy szukać ducha po wzroście, bardzo by nam to ułatwiło sprawę.

- Wielkolud - stwierdziła Julia i od razu wyobraziłam to sobie. Nie dość, że duch, to jeszcze olbrzym.

- A rzeczywiście, jakoś nie przyszło mi to wcześniej do głowy - przyznał gospodarz. - Wracajmy do domu, bo żona na pewno już na nas czeka.

Dobrze znał swoją drugą połowę, świeża herbata czekała na stole, a Chruścińska spoglądała na furtkę w oczekiwaniu na nas. Miała dosyć rozmowy o duchu i od razu zaczęła opowiadać o kradzieżach. Uśmiechnęłam się nieznacznie, zjawę widział tylko jej mąż i to on mógł o tym opowiedzieć, natomiast o kradzieży mogli mówić oboje. Kobieta nie była na drugim planie.

- Wiedzą panie, że nas okradziono dwa razy? Raz tak jakoś przed końcem roku, a potem w połowie marca. Drań jeden, wrócił

i ukradł jedyną cenną rzecz, jaką mieliśmy. Ciekawe, skąd wiedział o tym świeczniku.

- Przecież go pewnie nie ukrywaliście - zdziwiła się Julia.

- No nie. Ale skąd obcy mógł o nim wiedzieć?

No proszę. Obcy trup, obcy złodziej, ciekawe, czy duch też jest obcy. Do złodzieja i mordercy nikt się nie przyznaje, ale może duch jest „nasz”, lokalny? Trochę taka duma okolic Fromborka?

- Może nie jest taki zupełnie obcy? Może to jakaś rodzina kogoś, kto mieszka niedaleko? - zaproponowała rozwiązanie Julia.

- No chyba że tak - zgodziła się kobieta.

- Pamiętają państwo, jak to było z tymi włamaniami? Tak dokładnie?

- Za pierwszym razem to od razu wiedzieliśmy, że ktoś był, bo zginęła nam siekiera.

- Z domu? - Jakoś wydawało mi się, że miejsce tego typu narzędzi jest w piwnicy, warsztacie, garażu czy jakiejś szopie.

- Przyniosłem ją wieczorem i włożyłem do zlewu w kuchni, żeby trzonek namókł, bo się zsechł. A rano nie było. Myślałem, że żona wyjęła, bo od razu jej się nie podobała ta siekiera w kuchni, ale okazało się, że nie. A potem jak wychodziłem z domu, to drzwi nie były zamknięte.

- A my zamykamy na klucz i zasuwkę. - Chruścińska przejęła opowieść. - I z kolei ja myślałam, że mąż nie zamknął. Pokłóciliśmy się wieczorem o tę siekierę, bo zlew to jest do czego innego potrzebny, a nie do moczenia narzędzi, i myślałam, że z tej złości zapomniiał zamknąć. Ale mówi, że nie.

- Od tylu lat to robię wieczorem, nawet jak wracam ciut pijany - tu kobieta lekko prychnęła, dając znać, co sądzi o tym „ciut” - to zamykam. Odruch taki.

- I dlatego od razu wiedzieliśmy, że ktoś był w domu. Od tego czasu zamykamy wszystko, nie zostawiamy okien otwartych na noc.

- A pamiętają państwo, w jaki dzień tygodnia to było?

- W piątek - natychmiast odpowiedział Chruściński. - Pamiętam, bo się umówiłem z sąsiadem, że mu w sobotę w robocie pomogę. I do tego ta siekiera była mi potrzebna.

- A ten świecznik kiedy zginął? - spytałam z nadzieją, że też będą dobrze pamiętali.

- A cholera go wie - wzruszył ramionami mężczyzna.

- Jak to? - Julka nie ukrywała zaskoczenia.

- Schowany był. Ja tam takich drogocенności na wierzchu nie trzymam - oświadczyła kobieta i zabrzmiało to trochę tak, jakbyśmy my trzymały. - Jak były jakieś święta albo co i trzeba się było pokazać, to wyjmowałam, czyściłam i stawiałam na stole. A potem

znowu chowałam.

Nie podejrzewałam Chruścińskich o sejf, świecznik pewnie schowany był w szafie, może za ciuchami albo pościelą dla niepoznaki. Nie spytałam o to, bo byłby to zbyt duży nietakt. Niezależnie gdzie by go nie schowali, niechby nawet pod poduszką, to złodziej dysponujący kluczem mógł spokojnie przeszukać cały dom pod ich nieobecność. Kiedykolwiek. I nie zostawić śladów swojego pobytu. Gdyby zrobił bałagan, starsi państwo na pewno by to zauważyli.

- Wiemy tylko, kiedy mniej więcej to było, bo żona robiła porządki i go wyjęła, a potem była rocznica naszego ślubu i już go nie było. Musiał zginąć w ciągu dwóch tygodni - wyjaśnił Chruściński.

Poprosiliśmy o opis świecznika i spytałyśmy, czy wiedzą, ile kosztował. Nie wiedzieli. Według młodszego pokolenia był wart sporo, najmarniej kilka tysięcy. Syn nawet kiedyś chciał zawieźć go do wyceny, ale do niczego nie doszło. Wszyscy traktują świecznik jak pamiątkę rodzinną, a nie jak eksponat muzealny czy przedmiot targu. Ciekawe, skąd go mają. Popatrzyłam dyskretnie na dom i obejście. W miarę zadbane, ale tym ludziom na pewno się nie przelewa. I pewnie mieszkają tu od młodości, być może ich rodzice też mieli tu dom. Nie kojarzył mi się z nimi zabytkowy srebrny świecznik.

- A jak długo był w rodzinie? - wykombinowałam neutralne pytanie, nie chcąc pytać „skąd go macie?”.

- Dostałam od babci w prezencie ślubnym. A skąd babcia miała, to nie wiem. Kiedyś służyła w jakimś dworze niedaleko, może stamtąd? Albo wymieniła po wojnie.

- Wymieniła? - nie zrozumiałam, o co chodzi.

- Jedzenie na świecznik. Wtedy ciężko było z jedzeniem, ludzie pozbywali się wszystkiego, żeby przeżyć.

To fakt, mogło i tak być. Może u sąsiadów też można znaleźć takie przedmioty? Może złodziej właśnie ich szuka? Niekoniecznie musiały pochodzić z wymiany na jedzenie, mogły być formą zapłaty za cokolwiek. Chociażby udzielenie schronienia w czterdziestym piątym roku. Jak tu było? Ktoś został? Na pewno. Jasny gwint, wracam znowu do czasów wojny, Julka mnie zabije. Nie zwerbalizowałam myśli, za to spytałam, czy ktoś z sąsiadów też może pochwalić się takimi artefaktami. Spowodowałam tym lekką konsternację gospodarzy. Nie wiedzieli, nie chcieli mówić obcym czy jeszcze coś innego? Okazało się, że nie wiedzą. To znaczy wiedzą, kogo uważa się za bogatszego, kto ma lepiej wyposażony dom lub dzieci za granicą przysyłające pieniądze. Nie widzieli

jednak, czy ktoś ma przedmiot w rodzaju świecznika. Stary i cenny. Znajomi mają różne rzeczy, ale nigdy nie zastanawiali się, jaką wartość ma to, co widzą u któregoś z sąsiadów na półce czy stole.

- Wie pani, ja tam patrzę bardziej, czy coś jest miłe dla oka, czy mi się podoba - wyjaśniła kobieta. - Albo czy jest przydatne.

I to by było chyba na tyle, jeżeli chodzi o złodzieja i ducha. Wyciągnęłam jeszcze mapę z plecaka i poprosiłam o wskazanie miejsc, gdzie widziano jednego i drugiego. Doszły nam trzy nowe lokalizacje. Dwie dotyczyły ducha i, co ciekawe, były w miejscach, które do tej pory nie były wymieniane. Zaraz się okaże, że zjawia grasuje wszędzie. A może jednak duch to złodziej?

Po wymianie porozumiewawczych spojrzeń z Julką i zerkaniu na telefon osiągnęłyśmy nieme porozumienie i pokazałyśmy Chruścińskim zdjęcie obcego trupa. Oczywiście w wersji „za życia”, a nie „z miejsca zbrodni”, bo zależało nam na informacjach o facecie, a nie wywołaniu szoku u rozmówców. Nie znali go. Trudno, może za którymś razem trafimy. Gospodarze odprowadzili nas do furtki i zaproponowali ponowne odwiedziny za jakiś czas. Pewnie liczyli, że uda nam się zebrać ciekawe informacje. Dlaczego sami tego nie zrobili? No tak, są dwa razy starsi, może to to. A młodszych to nie intrygowało? Czy tylko my jesteśmy takie ciekawskie?

- Brakuje mi Dawida - oznajmiłam, przekręcając kluczyk w stacyjce.

- Mam być zazdrosna? Tobie powinno brakować Rafała.

- Jako gliniarza. Fajnie się z nim współpracowało w zeszłym roku.

Nam fajnie, nie wiem jak sierżantowi Podgórskiemu. Na pewno trochę się denerwował, że mu wchodzimy w paradę, ale dostarczałyśmy mu też różne informacje, znajdowały zwłoki, a jeszcze okazało się, że poderwał sobie Julię. Albo Julia jego. Na tyle skutecznie, że dokonał wyczynu nie lada i udało mu się bardzo szybko przenieść do Gdańska. I tak chciał to zrobić, ale to Julka była czynnikiem zdecydowanie motywującym.

- Może tutejszy sierżant też się nada? - W głosie mojej przyjaciółki brzmiały nuty wątpliwości.

- Spróbujemy. Ale tu też nam odpada podrywanie go.

- Coś ty się tak uparła na ten podryw?

- A co? Źle działało? Faceci łapali się na to bardzo ładnie, a kobiety nam współczuły i też były skłonne pomagać.

Podczas poprzednich wakacji i naszego pierwszego śledztwa czasem przedstawiłyśmy się jako porzucone kochanki szukanego przez nas faceta. Teraz to odpadało. Mój mąż nie siedział już na

kontrakcie w Stanach i mógł na weekend przyjechać do mnie, a Julka przestała być singielką. Jak znam Dawida, to na pewno się tu pojawi. Obaj raczej nie byliby zadowoleni, gdyby się okazało, że w celach śledczych podrywamy jakichś facetów albo podajemy się za kochanki obcego trupa. Za jego życia oczywiście. Musiałyśmy wykombinować inny sposób postępowania. Kontakt ze społeczeństwem miała nam zapewnić opowiadka o ukradzionym kocu i oburzeniu z tego powodu, może to wykorzystamy. Ale jak podejść policję?

- Może powiemy prawdę? - zaproponowała Julia.

- No coś ty? Jakbyśmy w zeszłym roku Dawidowi powiedziały, co robimy, to by nas pilnował jak wściekły. Szczególnie ciebie. Nie możemy powiedzieć, że tak bardzo się interesujemy złodziejem i trupem.

- Od kiedy interesujemy się nieboszczykiem? Ja mam zupełnie inne zainteresowania, zwłoki w ich zakres nie wchodzi!

- Od wczoraj, od momentu, gdy go znalazłyśmy.

- Tego nie było w planach!

- A w zeszłym roku było? Plany mają to do siebie, że czasem się zmieniają. Chyba nie porzucimy nieboszczyka, który sam nam wpadł w ręce?

Julia przez moment wyglądała, jakby wyobraziła sobie znalezionego przez nas faceta w swoich ramionach. Skrzywiła się z niesmakiem. Zdecydowanie wolałaby wakacje z mniejszą dawką adrenaliny. Ja nie.

- Ja bym go zostawiła glinom, ale jak znam życie, to będziemy teraz szukać złodzieja, mordercy i ducha. Kurczę, jakiś bardzo wysoki ten duch - przypomniała sobie Julia.

- Może ma buty na koturnach? Albo bardzo duży kaptur?

- Może. A gdzie my w ogóle jedziemy? Do Fromborka?

Pytanie nie było pozbawione podstaw, bo dojeżdżałyśmy do miasta.

- Nie, jeszcze skoczmy do Krzyżewa i Pogrodzia. Leżą w jednym kierunku, zobaczymy, czy uda nam się z kimś porozmawiać.

Miałyśmy co prawda nazwiska okradzionych ludzi, ale to nie oznaczało, że przyjmą nas z otwartymi ramionami. Był dzień pracujący, ludzie mogli być zajęci i nie mieć czasu na pogaduchy z dwiema turystkami, niechby nawet w miarę atrakcyjnymi. Znałyśmy nazwisko jednego faceta z Krzyżewa, który widział ducha, i trzech osób z Pogrodzia, u których pojawił się włamywacz. Postanowiłyśmy zacząć od rozmowy o zjawie. A w każdym razie takie miałyśmy plany.

Zaparkowałyśmy samochód w cieniu i już zaczęłyśmy się rozglądać za jakimś tubylcem, który wskazałby nam drogę, gdy naszą uwagę przykuło coś innego. Niedaleko nas zawzięcie, chociaż niezbyt głośno, dyskutowało dwóch mężczyzn. Na oko sądząc turysta i tubylec. Miejscowy mocno machał rękoma i wskazywał na pięknego psa towarzyszącemu wczasowiczowi. Nie znam się aż tak dobrze na psach, ale sprawiał wrażenie myśliwskiego. Poza tym był najwyraźniej dobrze ułożony i grzeczny. O co chodziło? Szturchnęłam Julię w żebra, pokazałam mężczyznom i krokiem spacerowym zaczęłam iść w ich stronę.

- Oj, będzie pan płacił! Nawet nie wie pan, ile ten interes będzie pana kosztował!

- Jakby miał pan lepsze zabezpieczenia, to do niczego by nie doszło! - zaprotestował turysta.

- Niech pan teraz kota ogonem nie odwraca. Dobrze, że na policję nie zgłosiłem. Dopiero by się panu do skóry dobrali!

Na te słowa obydwie zastrzygłyśmy uszami niczym rasowe konie. Jeżeli padała groźba wezwania policji, to najczęściej nie bez powodu. Turysta nie wyglądał co prawda na przestępcę, ale pozory mogą mylić.

- Ma pan forszę? - spytał tubylec.

- Mam. Ale liczy pan sobie słono.

- Co pan chce, takie są ceny. Nie moja wina...

Dalszego ciągu zdania nie usłyszałyśmy, bo mężczyźni weszli na posesję, przy której stali. Jasny gwint! Jakby ich podsłuchać?

- Od tyłu. Zobacz, idą za dom, może siądą w ogródku - tym razem Julia przejęła inicjatywę.

Obleciałyśmy na około dwie posesje, bo ta, która nas interesowała, niestety nie była narożna, i trafiłyśmy pod płot. Dostyc lichej, ale i tak lepszy niż ogrodzenie z siatki, poza tym rosło tu trochę krzaków. Za jednym z nich schowałyśmy się i ostrożnie zerknęłyśmy na posesję. Gdyby ktoś zobaczył dwie obce, zdecydowanie dorosłe, kobiety uprawiające podchody w nieznanym sobie wsi, pewnie czym prędzej wezwałby lekarza. Ale nie pierwszego kontaktu, a psychiatrę. Na szczęście nikt nie oglądał tego spektaklu. Za to my miałyśmy znakomite miejsce i doskonale widziałyśmy obu mężczyzn siedzących przy zbitym z desek stole. Turysta wykladał na stół pieniądze. Przetarłam oczy ze zdumienia, bo kupka banknotów stułotowych była już całkiem spora.

- Ciekawe za co mu płaci.

- Może to duch albo złodziej zatrudniony przez tego obcego? - zaproponowałam.

- Prędzej złodziej. Duch nie pasuje mi do wzywania policji -

zawyrokowała Julia. - Chodź pod tamten krzak, może coś usłyszymy.

- Zobaczą nas.

- No to co? Przecież możemy iść tędy. Będziemy udawać, że spacerujemy.

Nie czekając na moją odpowiedź, ruszyła do lepszego punktu obserwacyjnego. Pograżeni w rozmowie mężczyźni w ogóle na nas nie spojrzeli. Miała rację, nasze nowe miejsce dawało szansę na usłyszenie rozmowy. Może nie całej, ale chociaż tych głośniejszych fragmentów, bo nie przebiegała spokojnie.

- No kurwa, mówię, żeby się pan liczył z dalszymi kosztami, głuchy pan jest?

- Zobaczymy. Minęło dopiero kilka godzin, może jeszcze się znajdą - zaprotestował turysta.

Dalszych kilku zdań nie usłyszałyśmy, ale wyglądało to tak, jakby miejscowy szantażował czymś właściciela psa. Ten, najwyraźniej zły, ale i zrezygnowany, wstał i bez pożegnania odszedł, pies razem z nim. Gospodarz nie kwapił się z odprowadzaniem gościa do furtki.

- Ty, gazu! - zarządziłam i prawie biegiem ruszyłam w drogę powrotną.

Facet miał psa, a to dobry pretekst, żeby go zaczepić i rozpocząć rozmowę. Może coś mu się wymknie? Jest zdenerwowany, więc była na to szansa. Miałyśmy szczęście, szedł w naszą stronę.

- O, jaki piękny pies - zachwyciłam się całkiem szczerze. - Czy można go pogłaskać?

- Można, nie gryzie. A wie pani, że nie wszyscy o to pytają. Niektórzy od razu wyciągają ręce do głaskania. - miałam rację, rozmowa zaczęta zachwytem nad czworonogiem miała szansę powodzenia.

- No co pan powie? Tak bez pytania? - Julia pokręciła głową z dezaprobatą.

- Ale on grzeczny - pochwaliłam, wygłaskując psa.

- No... grzeczny, tak - w głosie mężczyzny pojawiły się dziwne tony.

- Szkolił go pan? - udałam, że nie zauważyłam tego.

- Trochę tak, owszem.

- To pies myśliwski?

- Oj, tak, nawet za bardzo!

- Chodzi pan z nim na polowania? - zaciekała się Julia.

- Nie, ja nie poluję. Po prostu podoba mi się ta rasa i dlatego go kupiłam. Ma bardzo rozwinięty instynkt łowiecki.

- Tak? A to można stwierdzić, nie polując z psem?
- Niestety, można. Przekonałem się o tym bardzo boleśnie.
- Mojego znajomego pies kiedyś upolował kurę - rzuciłam

przynętę.

- Żeby kurę! Panie wiedzą, co on zrobił? - facet nie wytrzymał. - Podkopał się pod płótnem i urządził polowanie na gęsi. Dziesięć zadusił, pół stada wygonił na jezioro.

- O rany - popatrzyłam na psa z lekkim niedowierzaniem, nie wyglądał na takiego rozbójnika.

- A jedna gęś to czterysta złotych.

- Wartość psa panu wzrosła - wyrwało mi się.

- Żeby pani wiedziała. I nie wiadomo, czy wszystkie z tego jeziora wrócą. No nic, idę pilnować.

- Gęsi?

- Tak. Przed chwilą już zapłaciłem cztery tysiące, a właściciel gęsi wyglądał na zadowolonego, że nie musiał nic robić, pieniądze same do niego przysły. Nie chcę, żeby mnie oszukał i wmówił, że kolejne dziesięć zostało na jeziorze.

- Tu gdzieś blisko jest jezioro?

- Nie, nie tu, dalej. Ten facet tu mieszka, a tam ma gęsi. A ja niestety zamieszkałem w gospodarstwie agroturystycznym tuż przy tej hodowli. Posiedzę na tarasie z piwem i sprawdzę, ile ptaków wróci. Do widzenia paniom.

Odszedł w stronę zaparkowanego nieopodal samochodu, a jego grzeczny morderczy pies razem z nim.

- Cholera, a zapowiadał się nieźle - mruknęłam z żalem.

- Trudno. Ale w sumie to niesamowite. Taki przyjazny pies nagle przeobraził się w drapieżnika.

- Ten pies ma szczęście, że ma takiego właściciela. Inny na jago miejscu już by go do schroniska oddał albo w lesie przywiązał. Chodź, znajdziemy tego faceta, który widział ducha.

O Jana Kowalca zapytałyśmy pierwszą osobę, którą spotkałyśmy. Trafiło na zakładającego łańcuch w rowerze piętnastoletniego na oko chłopaka, który najpierw popatrzył na nas nieufnie, ale wykazał zrozumienie, gdy powiedziałyśmy, że interesuje nas duch, a słyszałyśmy, że Kowalec widział go na własne oczy.

- Ja tam w duchy nie wierzę, ale ktoś tu łązi, to fakt. Nawet z kumplami zastanawiamy się, czy nie zrobić na niego zasadzki.

O, do licha, miałyśmy konkurencję. Jak planują namierzyć ducha? To nie było proste, pojawiał się w różnych miejscach, według nas raczej losowo wybranych. Interesujące, co młodzież wymyśliła i czy w ogóle pomyśleli o trudnościach.

- A macie już wybrane miejsce na zasadzkę?

- Nie. Problem w tym, że on się włóczy po całej okolicy. Nigdy nie słyszałem o takim spacerującym duchu. To znaczy te z legend owszem, chodzą sobie, ale na przykład po własnym zamku, ale nie gdziekolwiek. Zresztą to i tak nie ma znaczenia, bo przecież wiadomo, że ktoś się pod niego podszywa. Ale nie wiemy, gdzie go dopaść, jak tylko coś wymyślimy, to go złapiemy.

Aha, czyli nie wiedzą, jak się do tego zabrać. Pewnie nawet nie zadali sobie trudu, żeby zobaczyć, jak to na mapie wygląda. No i bardzo dobrze, absolutnie nie potrzebowałyśmy jakichś małolatów jako konkurencji. Chłopak pokazał nam jedną z posesji i powiedział, że szukany przez nas mężczyzna powinien być teraz w domu. O duchu pewnie opowie, chociaż trochę mu głupio mówić o czymś nadprzyrodzonym. Bo on wierzy, że to nie był człowiek. W tym momencie chłopak popukał się znacząco w czoło. Najwyraźniej nie dopuszczał myśli, że duch może być duchem, a nie jakimś dowcipnisiem. Nie był w tym odosobniony, miałyśmy podobne zdanie, ale nie powiedziałyśmy mu o tym. Już nieraz udawanie głupszych i łatwowerniejszych niż jesteśmy okazało się przydatne. Podpuszczony przez nas umiejętnie, bo z takimi nastolatkami miałyśmy na co dzień do czynienia, opowiedział, co ludzie myślą o zjawie. Słuchałyśmy już którejś opinii, ale uważałyśmy, że w każdej może kryć się jakieś ziarno prawdy, coś, co nam pomoże odkryć, kto jest duchem i po co tak się zabawia. Jak na razie z tą postacią nikomu nie kojarzyło się nic złego. Część ludzi unikała spotkań z duchem tak na wszelki wypadek, ale inni pewnie chętnie przekonaliby się, czyja twarz kryje się pod kapturem. Problem tkwił jednak w tym, że nie było wiadomo, gdzie zjawa się ponownie pojawi, a trudno obstawić wszystkie drogi, pola i łąki. Trzeba było zdać się na łut szczęścia albo na logikę i coś wykombinować lub znaleźć jakąś zależność w tym, gdzie pojawia się duch. Złodziej zresztą też. Myśli Julki musiały biec podobnym torem, bo spytała chłopaka o włamanie. Skoro był pod ręką i nie miał nic przeciwko pogawędce ze starszym pokoleniem, to należało to wykorzystać.

- Słyszałyśmy też o włamaniach, podobno całkiem dużo było ich ostatnio. - Julia zarzuciła przynętę.

- No. - Oczy chłopaka rozbłysły. - Normalnie co chwilę facet włamuje się gdzieś indziej. Do moich starych też się włamał. Nikt nic nie słyszał, a on sobie wszedł, ukradł wszystkie kotlety, które matka nasmażyła wieczorem, i wyszedł. Drzwi zostawił otwarte, mógł nas ktoś naprawdę okraść.

Bo kotlety to nie była prawdziwa kradzież. Złodziej się całkiem dobrze ustawił, wszyscy traktowali go jak niepoważnego amatora,

który co prawda do domu wejdzie, ale szkód za dużo nie narobi. Uspił czujność idealnie. Powiedzieć małolatowi, że przesadzają z tym zaufaniem do włamywacza?

- A nie boicie, że kiedyś coś cennego ukradnie?

- Niech mnie pani nie rozśmiesza. Co tu kraść?

- Komputery? Komórki? Może jakąś biżuterię?

- Co do świecidełek to nie mam zdania, ale generalnie nikt się tu złotem po wsiach nie obwiesza. A włamania były do wiejskich domów, nie do tych nowych. Sprzęt trudno wynieść. Gdyby ten złodziej coś dźwigał, od razu rzucałby się w oczy. Tak sobie myślę, że może to jakiś zakład. Z każdego domu wynosi jakąś pierdołę.

- Z domu albo i nie. Słyszałyśmy o jajkach, kurczakach i gąsiorze wina. To chyba nie z domu?

- A właśnie, że z domu. To wino to ukradł takim jednym, o - z tamtej chałupy. - Słowom towarzyszył gest. - W domu je mieli. Kurczaki były małe, na dworze zimno i ludzie też wzięli do domu, żeby nie padły. A jajka leżały w przedpokoju, bo położyli na chwilę i potem zapomnieli włożyć do lodówki.

Chłopak był bardzo dobrze zorientowany w tym, co i komu zginęło. Może to wykorzystać jakoś bardziej?

- Masz trochę czasu?

- A co?

- A bo mógłbyś nam pokazać na mapie, gdzie były te kradzieże, o których wiesz, i opowiedzieć o nich trochę.

- A panie to nie z policji przypadkiem? - W oczach chłopaka pojawiła się ostrożność.

- A wyglądamy jak policjantki?

To było jedno z najgłupszych pytań, jakie znałam. Czy wyglądam jak... i tu należało wstawić odpowiednią profesję. Tak jakby wygląd i zawód zależały od siebie. Owszem, jak ktoś był zawodowym koszykarzem, to raczej nie miał metra pięćdziesięciu wzrostu, a kobiety rzadko bywają tragarzami, ale w większości przypadków trudno określić zawód po wyglądzie. Chyba że informatyka: T-shirt i jeansy. Jak powinna wyglądać policjantka? Normalnie. Jak każda kobieta. Chyba.

- No raczej nie.

- Na wakacjach jesteśmy, nudzi nam się - wyjaśniła Julia.

- No dobra, pani pokaże tą mapę - zdecydował się chłopak.

W ten sposób dowiedziałyśmy się o jeszcze kilku kradzieżach i miejscach odwiedzanych przez ducha. Podziękowałyśmy nastolatкови i uwolniłyśmy go od swojego towarzystwa, niech sobie wreszcie założy ten łańcuch i jedzie, gdzie miał jechać. Nas czekały dwie rozmowy. Jedna o duchu, druga o włamywaczu. Dom, do

którego się włamano, stał bliżej, więc postanowiłyśmy porozmawiać najpierw z jego mieszkańcami. Podeszłyśmy bliżej i przemknęło mi przez myśl, że to raczej chałupa, a nie dom. W obejściu nie było widać psa, więc weszłyśmy na podwórko. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki otworzyły się drzwi i na próg wyszła kobieta. Mogła mieć zarówno sześćdziesiąt, jak i siedemdziesiąt lat, był zaniedbana i bardzo chuda. Gąsior z winem własnej roboty pasował do niej jak ulał.

- No? Czego chcecie? - zapytała „przyjaźnie”.

- Porozmawiać. - Julia przywołała na twarz specjalny uśmiech na takie okazje.

- A ja nie. Nie znam was i zajęta jestem.

- Czym? - spytałam i natychmiast ugryzłam się w język. Co mnie to obchodziło?

- A co pani do tego?

Miała rację, mogła sobie robić cokolwiek, na przykład opróżnić butelkę wina. To była pierwsza czynność, jaka mi się z tą kobietą skojarzyła. Miała prawo nie chcieć z nami gadać, a ja nie byłam w stanie jej do tego zmusić. Mogłam tylko próbować przekonać.

- Słyszałam, że pani dobre wino robi - walnęłam pierwszym tekstem, który przyszedł mi do głowy, i poczułam łokieć Julki na swoich żebrach.

- A kto tak powiedział?

- Nie pamiętam kto, bo jesteśmy tu tylko na wczasach i nie znamy ludzi. Ale była mowa o kradzieżach i że pani złodziej ukradł gąsior wina. I że to spora strata, bo dobre było.

Kobieta się zawahała, w jej pancerzu niechęci pojawiła się rysa. Każdy chętnie słucha pochwał, a ona nie była wyjątkiem. Wpuści nas czy nie? Chociaż może lepiej porozmawiać w progę, bo nie wiadomo, jak wygląda w środku domu. Sądząc po właścicielce, sprzątanie nie było jej priorytetem.

- No dobre robię, a co?

- A można u pani kupić? - Julia wsparła moje wysiłki.

- No tera to akurat nie, bo wypi... tego, skończyło się.

- Szkoda. I tego skradzionego żal - wróciłam do tematu kradzieży.

- A żeby pani widziała! Skurczysyn jeden całą butelkę dziesięciolitrową podpierdolił! Musiałam sobie odkupić.

- I tak w biały dzień? - cmoknęłam z niedowierzaniem, a kobiecie to wystarczyło.

- A gdzie tam, co pani! W nocy wlaż jak zbir jakiś! I ukradł. Człowiek to się już nie może czuć bezpiecznie we własnej chałupie!

- Dobrze, że nie ukradł nic więcej - podpuściła ją Julka.

- Na całe szczęście. A obok stało pięć butelek bimbru. Może nie miał jak chwycić.

- Dawno to było?

- A kilka tygodni temu. Ja tam za bardzo nie zwracam uwagi na czas, po co?

Ze środka domu dobiegł jakiś hałas i kobieta drgnęła nerwowo. Mąż?

- Stary się obudził, muszę kończyć - rozviała nasze wątpliwości i zniknęła za drzwiami, zatrzasnąwszy je z hukiem.

I bardzo dobrze. Dowiedziałyśmy się tego, co nas interesowało, a ani wejście do domu, ani rozmowa z mężem kobiety jakoś nas nie nęciły.

- Naprawdę chciałaś kupić to wino? I pić? Cholera wie, jak je robi.

- Jakby było trzeba kupić, to tak, ale pić niekoniecznie. Chodź, pogadamy z tym facetem od ducha.

Jan Kowalec zgodnie z zapewnieniem chłopaka w domu był. Z tym że za nic nie chciał z nami rozmawiać o duchu. Był uprzejmy, ale udawał, że pierwszy raz słyszy, iż w pobliżu grasuje zjawa. Nie dałyśmy rady namówić go na zwierzenia dotyczące spotkania z niezidentyfikowaną postacią, a na pytanie o kradzieżę wzruszył tylko ramionami. No tak, wie, że się ostatnio zdarzają, ale jego jeszcze nikt nie okradł. I tyle.

Wsiadłyśmy w samochód i pojechałyśmy do Pogrodzia, gdzie mieszkały trzy rodziny, u których pojawiał się włamywacz. Może ktoś będzie w domu i będzie skłonny porozmawiać z nami. Miałyśmy szczęście, zastałyśmy ludzi w domach. Faktem jest, że we wszystkich tych trzech przypadkach byli to już emeryci. Rozmawiali z nami mniej lub bardziej chętnie, czemu się trudno dziwić, gdy nagle jakieś dwie obce kobiety przychodzą na pogawędkę. Staraliśmy się być jak najmniej inwazyjne, ale i tak czułyśmy się niekomfortowo. Gdy wyszłyśmy od Wincentego Adamczyka i jego żony, z którymi rozmawialiśmy na końcu, Julia odetchnęła z ulgą.

- Wybij sobie z głowy, że będę tak chodziła po ludziach chociaż dzień dłużej. Czuję się jak domokrażca, oferujący jakieś tandetne badziewie za grubą kasę. Aż dziwne, że nikt nas psami nie poszczuł.

Miała rację, ale jakoś trzeba było zebrać trochę informacji, jeżeli chciałyśmy rozwiązać zagadkę. Będziemy musiały znaleźć inny sposób.

- Głodna jestem. I to koniecznie chcę rybę, a nie cokolwiek innego - oznajmiła moja przyjaciółka. - Jedziemy do portu na obiad.

Byłam za. Poza tym w knajpie na pewno też będą ludzie, których da się wciągnąć w rozmowę. Oczywiście nie z turystami,

k którzy przeważnie przyjeżdżają do Fromborka na krótko i nie interesują się lokalnymi sprawami. Było już koło piątej i w knajpie udało nam się znaleźć wolny stolik. Po zamówieniu obiadu omówiliśmy plon dzisiejszych rozmów. Dwie rzeczy wychodziły na prowadzenie. To, że duch był bardzo wysoki, i to, że złodziej po pierwszym włamaniu najprawdopodobniej dorabiał sobie klucz i mógł bywać w raz odwiedzonych domach, kiedy chciał. Tyle razy, ile było mu potrzebne. Tylko po co?

- Ten gówniarz w ogóle o tym nie pomyślał - zauważyła Julia z lekką pogardą dla braku kojarzenia faktów.

- Albo nam nie powiedział, w końcu nie musiał się dzielić całą wiedzą na temat ducha i złodzieja. Ty, zobacz, sierżant!

Przez port szedł Korczyński i rozglądał się dookoła. Nie mam szóstego ani siódmego zmysłu, ale od razu przyszło mi na myśl, że kogoś szuka. Niby godziny były już popołudniowe, jednak mając na karku śledztwo w sprawie morderstwa, sierżant na pewno pracował dłużej. Może ustalił personalia obcego trupa i szukał jego znajomych przebywających albo nawet mieszkających we Fromborku? Szukał. Owszem. Nas. Gdy tylko nas zauważył, uśmiechnął się jak do dobrych znajomych i przyspieszył kroku.

- Dawid z nim rozmawiał - zgadłam natychmiast i od razu zapowiedziałam: - Zamorduję go, zobaczysz!

- Sierżanta?

- Tak, ale nie tego. Twojego osobistego - powiedziałam półgłosem, bo Korczyński już był blisko. - Dzień dobry, panie sierżancie! Znalazł pan mordercę?

- Dzień dobry. Od razu przyznam się, że rozmawiałem z sierżantem Podgórskim, który mnie przed paniami ostrzegł.

A to zdrajca! Nie ma go na miejscu, to uprzedził kumpla po fachu, żeby na nas uważał.

- W nic się nie wdajemy - zapewniłam kłamliwie.

- Po opowieściach sierżanta jakoś w to nie wierzę. Tym bardziej że do Fromborka przygnał panie złodziej i duch.

- Zabytki też.

- Coś panie już zwiedziły? - spytał podstępnie i nie doczekawszy się odpowiedzi, kontynuował. - Ja muszę się zająć tym nieboszczykiem - zabrzmiało to tak, jakby miał go ugościć i po mieście oprowadzić - i nie mam szansy was pilnować. Chociaż nie powiem, chętnie bym to zrobił, bo sądząc z opisu waszych zeszlórocznych dokonań, możecie na coś trafić.

Czekałyśmy, wpatrując się w sierżanta prawie jak zahipnotyzowane. Zakaże nam wychodzenia z domu czy zaproponuje coś ciekawego?

- A jak trafimy, to co? - spytałam ostrożnie.

- Natychmiast mi powiedzcie. Tu macie moją wizytówkę, możecie dzwonić o każdej porze dnia i nocy. - Korczyński westchnął, jakby sobie już wyobrażał, że codziennie budzimy go telefonami podczas snu. - Nawet jeżeli nie będziecie pewne, czy to, na co się natknęłyście, wiąże się z przestępstwem. Lepiej na zimne dmuchać.

- Dobrze - obiecałam, bo najwyraźniej na to czekał, i schowałam wizytówkę do kieszeni.

- I od razu spytam, bo kolega już mnie uprzedził, że znajdowanie zwłok i pakowanie się niebezpieczne sytuacje idzie wam bardzo dobrze, czy natknęłyście się na coś, o czym powinniście mi powiedzieć?

- Nie - zaprzeczyła kategorycznie Julia z jakimś dziwnym wyrazem twarzy. Nie chciałam być w skórze Dawida, gdy do niego zadzwoni.

- Nie wiemy - złagodziłam wypowiedź. - Wie pan, rozmawialiśmy z ludźmi, ale jeszcze tego nie omówiliśmy. - Trochę minęłam się z prawdą. - Zadzwonimy i powiemy.

- Będę czekał.

Powodzenia. Naprawdę myślał, że będziemy mu donosić, co udało nam się ustalić i co zamierzamy zrobić? Żeby nam zabawę zepsuł? Julia na wszelki wypadek zmieniła temat.

- A wie już pan, kto to jest ten trup?

- Wiem, pani Julio. - O, do licha, już zapamiętał, która z nas jest która. - Lech Minkowski z Elbląga.

- Co on tu robił? Na wakacje przyjechał?

Julia zadała o jedno pytanie za dużo i sierżant z zadowoloną miną stwierdził, że to całkiem możliwe, bo sezon wakacyjny sprzyja odpoczynkowi. Łgał i pewnie wiedział, że wiemy, ale nie mogliśmy nic na to poradzić.

- A kim był z zawodu?

- Kiedyś studiował prawo, ale nie skończył.

- A gdzie pracował? - obudził się we mnie „pyton”.

- Miał własną firmę.

- Jaką? - docisnęła tym razem Julia.

Sierżant roześmiał się i stwierdził, że już wie, dlaczego Podgórski ostrzegał go przed nami. Najnormalniej w świecie mamy ochotę przejąć śledztwo albo co najmniej bardzo aktywnie w nim uczestniczyć. Ponieważ ominął odpowiedź na pytanie, podtrzymując opinię Dawida o nas, przypomniałam mu o tym.

- Miał biuro detektywistyczne.

- O, cholera - wyrwało mi się. - Ciekawe, czego tu szukał.

- Od niego się tego nie dowiemy, musimy porozmawiać z jego pracownikami. Ale to niech panie nam zostawią.

- A długo tu był?

- Przyjechał w niedzielę rano. - Sierżant najwyraźniej uważał, że informacje, które podał, na nic nam się nie przydadzą.

Był tu cały dzień, ktoś go mógł widzieć. Postarałam się, aby na twarzy nie odbiły mi się myśli i nadzieje, i zmieniłam temat, pytając o włamanie. W tym momencie kelnerka przyniosła nam obiad i sierżant na moment zamilkł. Może był głodny i nasze spore porcje sandacza pobudziły jego soki trawienne? Poczulałam się głupio, co najmniej tak, jakbym odpowiadała za wyżywienie Korczyńskiego. Rzuciłam szybko okiem na jego dłonie, miał obrączkę, co jakoś przedtem mi umknęło. Może dlatego, że nie zaczynam znajomości od sprawdzenia, czy facet jest zaobrączkowany, i przeważnie mam to w nosie. Tym razem jednak jedzenie skojarzyło mi się z domem, żoną i obiadem. Był żonaty, więc teoretycznie jakiś posiłek na niego powinien czekać.

- Dlaczego panie nie jedzą?

- A pan? - spytała Julia, biorąc do ręki widelec.

- Już jadłem. Nie przeczę, że lubię ryby i spokojnie zjadłbym taką porcję nawet po obiedzie, ale rozum mówi, że bym tego nie robił. I tak dobrze wyglądam. Za dobrze.

Z uprzejmości zaprzeczyłyśmy, ale sierżant doskonale wiedział, że ma nadwagę. Jak chyba co drugi człowiek. Może miał nadzieję, że przy jedzeniu nie będziemy rozmawiały na temat przestępstwa. Jeżeli tak, to się przeliczył. Nieraz już trupi temat poruszałyśmy przy posiłku, a przecież teraz chcieliśmy spytać o włamanie.

- A co z tym złodziejem? - spytała Julia.

- Nic. Krąży po okolicy i kradnie mało wartościowe przedmioty.

- I tak ma krążyć w nieskończoność niczym jakiś wolny elektron? - spytałam ze niesmakiem. - Traktujecie go jak lokalną atrakcję i dlatego nie łapiecie?

- A ma pani pomysł jak go złapać?

- To pan jest gliniarzem, my tu tylko wakacje spędzamy.

- I już drugiego dnia znajdujecie trupa. Niezwykle, bo do tej pory jakoś mało tu ich było.

- No przecież nie przywiozłyśmy go ze sobą - prychnęła Julia. - A poza tym nie zwłoki nas tu zwabiły.

- Wiem - westchnął sierżant. - Zdecydowanie wolałbym, żeby ludzie przyjeżdżali do nas ze względu na walory miasta, a nie kręcących się tu przestępców. A wracając do pani pytania, to oczywiście próbujemy złapać tego złodzieja, ale on działa na dosyć dużym terenie, włamując się bez żadnego planu, a tu dużo

policjantów nie ma. Nie obstawię wszystkich okolicznych wsi, tym bardziej że mógłbym postawić policjanta przy pierwszym domu, a włamywacz ukradłby coś z ostatniego.

- Skąd pan wie, że kradnie bez planu? - spytałam, prawie wylizując talerz.

- Sprawdziłem. - Korczyński najwyraźniej nie zamierzał rozwodzić się nad tym, co i jak sprawdził, ale mogłam to sobie wyobrazić.

- Zawsze kradnie takie duperele? - udałam niewiedzę w tej materii.

- Nie. Czasem wpada mu w ręce coś cennego.

Informacja była lakoniczna i na chwilę zamilkłam, wpatrując się w unoszące się na wodzie łódzie rybackie. „Czasem” to nie „raz”. Wynikałoby z tego, że łupem oprócz świecznika padło coś jeszcze. Drobiazgi pominąwszy. Powie nam czy nie?

- To musi być stresujące - oznajmiła nagle Julka.

- Dla kogo?

- Dla pana. Znaczy generalnie dla policji, bo wygląda na to, że jesteście bezradni.

Tym razem sierżant zapatrzył się w zalewę. Najprawdopodobniej nie miał ochoty tak wprost przyznawać się, że policja jest bezsilna i musi czekać na jakiś duży błąd włamywacza. Przez pół roku go nie popełnił, więc trudno było przypuszczać, żeby miało się to zmienić. Jakoś jednak muszą się go w końcu pozbyć i nie miałam tu na myśli uśmiercenia złodzieja, tylko jego ujęcie. A może jednak liczą, że w końcu zmieni rejon? Wołałam o to nie pytać i nie testować tolerancji sierżanta. Podgórski miał wyjątkowo dużą, ale to ze względu na podrywaną Julkę. Przyszedł mi do głowy jednak pewien pomysł.

- A co jeszcze zginęło? - spytałam i od razu umotywo wałam ciekawość. - Bo wie pan, może trafimy na kogoś, kto będzie opowiadał o takim skradzionym przedmiocie. Wtedy damy panu znać.

Oczywiście po uprzedniej samodzielnej próbie sprawdzenia, jak ten przedmiot trafił w ręce obecnego właściciela, ale tego nie zamierzałam mówić głośno. Okazało się, że oprócz świecznika zginęły jeszcze złote spinki do mankietów i podobno srebrna cukiernica będąca prezentem ślubnym rodziców. Nie za dużo, poza tym spinki mogły zostać zgubione.

- Wie pan co? To jednak i tak mało na taką liczbę włamań - zawyrokowała Julia. - Dziwny ten pana złodziej.

- Mój? Osobisty? - roześmiał się Korczyński, ale zaraz spoważniał. - Wiem i dlatego bardzo niepokoi mnie jego obecność.

Nie wiem, o co mu chodzi.

- To tak jak my - ucieszyłam się nie wiadomo dlaczego.

Sierżant rzucił okiem na zegarek i podniósł się z za stołu. Wyglądało na to, że spotkanie dobiegło końca. I tak dobrze, że z nami porozmawiał, pewnie po tej rozmowie z Dawidem wolał sprawdzać, co wiemy, w zamian dostarczając informacji, które wydawały mu się nieszkodliwe z punktu widzenia śledztwa. Usprawiedliwił się, że jest umówiony, obiecał być w kontakcie i szybkim krokiem odszedł w stronę miasta. Poruszał się bardzo sprężysto, właściwie lekko, co przy nadwadze nie jest częste. Może wbrew pozorom coś trenuje?

Nie chciało nam się ruszyć. Julka przeniosła się na ławę koło mnie i też miała widok na zalew. Łagodny i kojący. Łodzie kołysały się sennie, tafla wody była prawie gładka, a wiatr taki mały, że żaglówki płynęły bardzo wolno. Jeszcze trochę i zapanowałyby flauta.

- Fajnie tu - oświadczyłam z zadowoleniem.

- Tak spokojnie i bezstresowo. Bez takiego ciągłego pośpiechu jak w Gdańsku.

Właściciele restauracji i przewodnicy pewnie by się z Julią nie zgodzili. Ale doskonale wiedziałam, co ma na myśli. Ogarnęło mnie lenistwo. Na pewno miał na to istotny wpływ wchłonięty przed chwilą obiad. Mała sješta nam nie zaszkodzi.

- Widziałaś, że sierżant jest zaobrączkowany? - spytałam Julię po chwili spędzonej na kontemplacji krajobrazu.

- Tak, a co?

- Udawanie podrywania odpada jeszcze bardziej. Mogłybyśmy się tej żonie nieźle narazić, a to małe miasto.

- Alka, odczep się od tego podrywania, bo ci w nawyk wejdzie, a Rafał padnie z zazdrości, nawet jeżeli będzie widział, że to w celach śledczych. Spróbujemy współpracować z sierżantem, co ty na to?

- Akurat będzie chciał! - Nie miałam złudzeń co do tego.

- Może będzie musiał? - spytała Julia takim tonem, że spojrzałam na nią zaintrygowana. - Skoro Dawid wciągnął Korczyńskiego w NASZE śledztwo, to spróbujmy to wykorzystać.

- Chcesz się posłużyć Dawidem jako katalizatorem? Sprytnie, ale nie wiem, czy się uda. Twój facet głupi nie jest.

- Zobaczmy. Skoro się wtrącił, to niech się teraz do czegoś przyda.

Julia była zła na Podgórskiego, co jej się zdarzyło chyba po raz pierwszy, od kiedy byli razem. Nie dziwiłam się, wtajemniczył obcego faceta w ich osobiste sprawy. Też bym nie chciała, żeby

Rafał swojemu koledze opowiadał, że trzeba mnie pilnować, bo inaczej spędzam wakacje na szukaniu trupów, złodziei i duchów. Większość ludzi miałaby mnie za wariatkę, a z tym bym się chyba jednak źle czuła. Postrzelona, lekkomyślna, wszędobylska – proszę bardzo, tak sobie mogą o mnie myśleć. Snucie planów co do tego, jak zapewnić sobie współpracę Korczyńskiego, przerwało nam jakieś brzęczenie narastające od strony miasta. Zaintrygowane porzuciłyśmy kontemplowanie zalewy i spojrzaliśmy, co się dzieje z tyłu. Najpierw pojawił się dron, a zaraz za nim facet. Szedł wpatrzony w ekran kontrolera, cud, że na ludzi nie wpadał i nie wywracał się. Przeszedł obok nas i poszedł na koniec falochronu. Za obiad już zapłaciłyśmy, dron nas zaintrygował, więc bez namysłu poszłyśmy za nim. Tubylec czy turysta? Przez jakiś czas obserwowaliśmy, jak lata (dron, nie facet), nie my jedne zresztą. Nie znałyśmy się na dronach, ale wyglądało na to, że wie, co robi, i nie rozbije swojej zabawki przy szybkim locie nad łodziami rybackimi i żaglówkami. Po dziesięciu minutach facet wylądował, a gapie rozeszli się. Oprócz nas. Co prawda Julia już miała taki zamiar, ale widząc, że podchodzę do faceta, westchnęła cichutko i poszła za mną.

- Dzień dobry, często pan tu lata?

- Często. Lubię oglądać swoje miasto z lotu ptaka.

No proszę, od razu wyjaśniło się, że nie mamy do czynienia z kimś przyjezdnym. Może taki zakochany we Fromborku facet wie również, co dzieje się okolicy? Dobrze by było dłużej z nim porozmawiać, ale chyba trzeba zacząć od drona, najwyraźniej to jego konik. Spytałam o model, zasięg i sterowanie, a Julia dołożyła pytania dotyczące nagranych i planowanych filmików. Ani się spostrzegłyśmy, a przeniosłyśmy się z powrotem do restauracji, cały czas rozmawiając z nowym znajomym. Zamówił piwo, my niestety colę, i z opowieści o dronach gładko przeszedł do opowiadania o Fromborku. Trafiliśmy na istną kopalnię wiedzy, jeżeli chodzi o historię miasta, i szczerze mówiąc, zapomnialiśmy, że chcieliśmy wypytać go o złodzieja i ducha. Dopiero informacja o jednej z wystaw przypomniała nam o tym.

- A czy Wzgórze Katedralne ma swojego ducha?

- A to już trafiły panie na ludzi, którzy opowiadają o duchu w okolicy?

- Ja chciałam tak dyplomatycznie, a pan prosto z mostu! Ale tak, o tym krążącym w okolicy duchu słyszałyśmy już nawet w Gdańsku, znajomi opowiadali. I tak się zastanawiałyśmy, czy może jest jakaś legenda związana z duchami i Fromborkiem i ktoś to teraz wykorzystuje.

- Nie trafiłyśmy na nic takiego, ale może źle szukałyśmy. - W głosie Julki było słycać pytanie.

- Ja wiem o tylko jednym, ale to raczej nie może być ten sam duch.

- Dlaczego? - zdziwiłam się, bo co wyróżnia duchy? Może tamten z legendy nie miał głowy albo był kobietą?

Prawie trafiłam. Co do płci to trudno powiedzieć coś o tym, czy współczesny duch jest kobietą czy mężczyzną, ale zdecydowanie różniła ich sylwetka. Ten z opowieści naszego nowego znajomego był garbusem. Podobno kiedyś jednemu z kustoszy pokazywał się taki duch. Pojawiał się w nocy na wzgórzu i wskazywał ręką jakieś miejsce. Kustosz zawsze widział go przez okno, ale gdy wychodził na zewnątrz, ducha już nie było. W końcu mężczyzna zdecydował się sprawdzić, o co zjawie chodzi, przekopano wskazane miejsce i trafiono na szczątki mężczyzny z garbem. Ta historia według Marcina, bo już zdążyliśmy przejść na „ty”, była mało znana, głównie w dosyć wąskim gronie muzealników. Rzeczywiście garbus nie pasował do obecnego prawie dwumetrowego ducha i ten, kto stał za pojawianiem się tej postaci na pewno nie inspirował się opowieścią o garbusie. To odpadało.

- O co może chodzić z duchem?

- Nie mam pojęcia. Pierwszy raz mamy taką zjawę pod nosem. Zwróciłyście uwagę, że on nie pojawia się we Fromborku, tylko poza miastem?

Opowiedziałyśmy Marcinowi o naszej mapie i nanoszonych na nią lokalizacjach. Faktem było, że nie rozmawiałyśmy jeszcze z nikim, kto widział ducha we Fromborku, ale mogło to być tylko kwestią czasu. Marcin mógł mieć jednak lepsze informacje.

- Z tego, co wiem, to Frombork omija, nikt go tutaj nie widział.

- Zaciekawiał cię?

- Tak. Interesuje mnie wszystko, co jest związane z miastem i okolicą, więc i na ducha zwróciłem uwagę. Zresztą ludzie o nim gadają, wystarczy posłuchać.

- Jesteś miejscowy, my nie. Obcym nie tak chętnie opowiada się o wszystkim. Tym duchem to się ludzie albo chwala, albo woła nie mówić, że go widzieli. I wcale się temu nie dziwię - zauważyła Julia.

- O tych kradzieżach pewnie też wiesz?

- Wiem. I nie rozumiem tego włamywacza. Bo że złodziej kradnie, to normalne, taki ma, że tak powiem, fach. Ale dlaczego robi to tak głupio? Musi się przecież liczyć z tym, że kiedyś mu się noga podwinie.

- A większa liczba włamań to większa szansa na wpadkę. Gdyby łupem były cenne rzeczy, to byłoby to ryzyko związane

z zarobkowaniem...

- No wiesz! Mówisz o nim jak o kimś, kto normalnie pracuje - oburzyła się Julia. - Złodziej czy lekarz, co za różnica?

- Złodzieje włamują się do swoich ofiar, a lekarze nie - wyjaśniłam z roztargnieniem, a Marcin o mało się piwem nie udławił.

- Naprawdę uważasz, że pacjenci są ofiarami? Nie wszyscy chyba?

- Nie wszyscy - zgodziłam się i wróciłam do tematu złodziejskiego. - Wymyśliłeś, czemu kradnie takie byle co?

- Nie. Najbardziej mnie kuszą możliwości historyczne.

- Coraz bardziej cię lubię - poczułam, że wreszcie mam sojusznika w poszukiwaniu motywów sprzed kilkadziesiątu lat. - Ona - wskazałam oskarżycielsko na Julię - nie wierzy, że złodziejowi może chodzić o coś takiego.

- Ja chyba też nie wierzę. Fajnie by było, gdyby się okazało, że facet szuka jakichś kosztowności pozostawionych tu przez Niemców uciekających na zachód albo jakieś ukryte zbiory z katedry, ale tyle lat po wojnie wydaje mi się to mało prawdopodobne. Co było do znalezienia, zostało znalezione, a co zostało dobrze schowane, to pewnie jest nie do odzyskania.

- No wiesz, a już miałam nadzieję...

- Że znajdziecie Bursztynową Komnatę - nie wytrzymała Julka. - Uważaj na nią, potrafi nieźle wkręcić w temat, nawet taki, który jest absurdalny.

- Nie, to nie - prawie strzeliłam focha. - Czyli jeśli nie chodzi o zagadkę historyczną, to nie masz pomysłu?

- Może czegoś szukać.

- Też nam to przyszło do głowy, ale czego?

Streściłyśmy Marcinowi nasze rozważania dotyczące złodzieja. Potwierdził obserwacje, powiedział o jeszcze paru kradzieżach i tyle. Temat wydawał się nie do ugryzienia, mieliśmy za mało informacji. Podobnie jak sierżant, Marcin spojrzał w pewnym momencie na zegarek, a potem zerwał się od stolika.

- Żona mnie zamorduje. Obiecałem, że będę w domu ponad godzinę temu.

Poczułyśmy się winne i zaproponowałyśmy, żeby zwałił na nas swoje spóźnienie. Po prostu spotkał dwie takie natrętne turystki i opowiadał im o Fromborku. Widząc nasze miny, Marcin zapewnił, że tak źle nie będzie, a żona już się przyzwyczaiła, że jak idzie latać, to o bożym świecie zapomina. Wymieniliśmy się telefonami i wstępnie umówiliśmy się na piwo za dwa dni.

- Niedługo zrobi się ciemno, jeśli mamy czatować na ducha, to

musimy sobie znaleźć jakieś miejsce – przypomniała Julka.

Miała rację, znacznie lepiej szuka się miejsca na zasadzkę, gdy jest jasno. Po ciemku można się władować w pokrzywy, błoto albo jakieś chaszczce. Nie ustaliłyśmy, gdzie dokładnie chcemy czatować, ale po rozmowie z Marcinem wpadłam na pewien pomysł. Może duch omija Frombork, bo tu mieszka i istnieje większa szansa, że ktoś go rozpozna? Poza tym zakapturzona postać w mieście, które jest oświetlone, na pewno nie robi takiego wrażenia jak na polu w świetle księżyca. I na pewno jest mniej wyraźna, ludzie nie widzą dobrze całości, tylko jej zarys, a potem dopowiadają sobie resztę. Jeżeli nasz odtwórca ducha robi piesze wypady z Fromborka, to trzeba wybrać miejsce, przez które musi przejść.

- Na piechotę?! - zaprotestowała Julia.

- A widziałas, żeby ktoś szedł samochodem?

- Odczep się od mojego skrótu myślowego! Wiesz, ile jest kilometrów do Krzyżewa, bo tam najdalej go widziano? Prawie siedem. Półtorej godziny na piechotę. W jedną stronę.

- Tak mówisz, jakbyś nigdy nie przeszła piętnastu kilometrów i nie spacerowała przez trzy godziny. A ten facet może mieć lepszą kondycję od nas i jest wyższy. Ma dłuższe nogi i na pewno szybciej chodzi.

- Ale znika w nocy z domu na kilka godzin. Nikt tego nie zauważa i nie kojarzy?

- Może mieszka sam? Albo reszta domowników już śpi? Nie marudź, tylko kombinuj, gdzie możemy się schować.

- Ja bym zostawiła samochód gdzieś niedaleko - zasugerowała Julia. - W razie gdybyśmy musiały się szybko stamtąd wynosić.

- Dobra, to się rozglądaj.

W efekcie znalazłyśmy sobie miejsce zupełnie blisko miasta. Schowałyśmy i auto, i siebie, a widok miałyśmy bardzo dobry. Problem był tylko jeden. Nasze dzisiejsze miejsce czatowania znajdowało się przy szosie, a nie wiedziałyśmy, którędy duch wychodzi z Fromborka. Jeżeli tu mieszkał, to w odróżnieniu od nas znał wszystkie drogi i dróżki. Postanowiłyśmy przy najbliższej okazji wypytać o nie Marcina.

Zanim znalazłyśmy miejsce, schowały samochód, a potem siebie, zrobiło się już zupełnie ciemno. Nie miałyśmy już nastu lat, więc postawiłyśmy na wygodę i obserwacje prowadziłyśmy, siedząc dosyć wygodnie na składanych krzeselkach. W tym miejscu było to akurat możliwe. Zrobiło się prawie zupełnie cicho, może nie tak, jak u mojego kuzyna w leśniczówce, ale na tyle, że nie słyszało się szumu miasta. Widziałyśmy drogę prowadzącą z Fromborka aż do zakrętu. Nie była oświetlona, ale noc była jasna i dawało się

odróżnić szosę od lasu.

- Jesteś pewna, że zobaczymy człowieka na tle jezdni? - Julia miała wątpliwości.

- Nie wiem. Ale powinien mieć latarkę, bo inaczej rozjedzie go pierwszy lepszy samochód.

- Duch z latarką to już naprawdę wytwór dwudziestego pierwszego wieku. Co zrobimy, jak ktoś będzie tędy szedł?

- Zobaczymy, jak się będzie zachowywał, może będzie coś niósł? Możemy kawałek za nim pójść.

- Ty chyba oszalałaś. - Julia tylko dlatego nie popukała się palcem w czoło, że miała ręce schowane pod kocem.

- Boisz się ducha?

- Nie wiem. Chyba nie, do tej pory nic nikomu nie zrobił. Ale jak sobie wyobrażasz to śledzenie? Zanim wypłaczymy się z kocy i ostrożnie zejdziemy na szosę, jego już nie będzie widać.

Jasny gwint, nie pomyślałyśmy o tym wcześniej. W ogóle nie pomyślałyśmy o śledzeniu ducha, tylko o zobaczeniu go. Teraz przyszło nam do głowy, że ten człowiek może się wcielać w ducha gdzieś dalej. Skąd będziemy wiedziały, z kim mamy do czynienia? Z wracającym późno do domu tubylcem czy ze zjawą przed przeobrażeniem? Nasze ciche rozważania przerwały głosy dochodzące od drogi. Na razie nie widziałyśmy, kto idzie, tylko słyszałyśmy dosyć głośną rozmowę. Po chwili pojawiło się rozkołysane światelko, ktoś niósł latarkę. W jej świetle ujrzałyśmy dwóch mężczyzn prowadzących zażartą dyskusję. Jeden z nich prowadził rower. Nie słyszałyśmy słów, ale ten z rowerem najwyraźniej robił jakieś wyrzuty towarzyszowi. Gdy przechodzili obok, dobiegło nas tylko jedno zdanie: „Coś trzeba zrobić z tymi pierdolonymi nurkami”. Zaraz potem mężczyźni zniknęli w mroku.

- To nie był nasz duch - stwierdziła od razu Julia.

- Hm, dlaczego tak się ich czepiają? Może oni coś wyławiają?

- Proszę cię, tylko nie zatopione w czasie drugiej wojny skrzynie - prawie jęknęła Julia.

- Nie, to nie. Pewnie wolałyby ryby. Ale nie zawadzi sprawdzić, co tu robią.

- Jak to co? Są na wakacjach i nurkują dla przyjemności.

- Widziałaś wodę w zalewie? Taka najbardziej przejrzysta to nie jest. I wydaje mi się, że zalewa jest za płytka, żeby mieć z tego przyjemność.

Nie zdążyłyśmy się pokłócić na temat nurkowania, o którym obie zbyt dużo nie wiedziałyśmy, gdy za naszymi plecami rozległ się dźwięk przypominający ostatni krzyk mordowanego człowieka i wszystkie włoski na karku stanęły mi dęba. Od razu wyobraziłam

sobie nasze szczątki wyglądające tak, jak nieboszczyk Minkowski pod obserwatorium, co nie było miłą perspektywą. Tak naprawdę ten dźwięk oznaczało tylko, że nie wszystkie zwierzęta poszły spać, a niektóre są nawet bardzo aktywne i najprawdopodobniej właśnie coś upolowały. Wiedziałyśmy, że możemy się spodziewać takich odgłosów, ale i tak zamarłyśmy, a potem serca zaczęły nam bić przyspieszonym rytmem. Dobrze, że tu nie ma niedźwiedzi lub innych dużych drapieżnych zwierząt, bo nie mogłybyśmy tak spokojnie siedzieć sobie za krzakami i spoglądać na drogę.

- Prawie umarłam ze strachu - wyszeptała Julia.

- Cii, ktoś idzie.

Na drodze pojawiło się kolejne światełko. Tym razem szła jedna osoba i to tak cicho, że gdyby nie niewielki jasny punkt, to nie zauważyłybyśmy jej. Gdy przechodziła koło nas, światło latarki padło na jej buty. Były męskie i dosyć duże. Nie widziałyśmy nic więcej, co nas zdecydowanie rozczarowało. Już chciałam to skomentować, gdy od strony Fromborka usłyszałyśmy samochód. Idący szosą mężczyzna też. Błyskawicznie zszedł z jezdni i ukrył się za najbliższym drzewem. Taki ostrożny i boi się piratów drogowych czy ma coś na sumieniu? Po chwili warkot samochodu ucichł, a na szosie pojawiło się światełko, które od razu zaczęło się oddalać. Cholera!

- Poszłabym za nim.

- Nie masz szansy, czujny jest. I nie wiem, czy to nasz duch.

- Ja też nie. Równie dobrze mógł to być złodziej albo morderca.

- Albo zwykły człowiek. Śledzenie mordercy wybij sobie z głowy, ja za nim nie będę chodziła - ostrzegła mnie Julka.

- Widziałaś, co miał pod pachą?

- Nie zwróciłam uwagi.

- Coś jasnego. Torbę albo na przykład zwinięty płaszcz z kapturem. Musimy się na niego ponownie zacząć.

- Siedzimy jeszcze? - Julia miała nadzieję na powrót do domu.

- Tak. Może pojawi się ktoś jeszcze.

Opatuliłyśmy się szczerzej kocami i pogadując po cichu, czekałyśmy. Prawie jak gliniarze w zasadzce. Szosą przejechało kilka samochodów, dwa rowery i przeszła jakaś grupa turystów. Nie działo się praktycznie nic i nudziłyśmy się lekko. Koło dwunastej spasowałyśmy, zlikwidowałyśmy nasz punkt obserwacyjny i wróciłyśmy do domu. Nie wjeżdżałam na podwórko, nie chciałam budzić gospodarzy. Po cichu weszłyśmy do domu i prawie skradając się na piętro do naszego pokoju. Kot już był.

* * *

Julia obudziła mnie starym i wypróbowanym sposobem. Po prostu zaparzyła kawę, której zapach wypełnił cały pokój. Sadystka. Sięgnęłam po komórkę i sprawdziłam godzinę, dziewiąta. W sumie nie tak wcześnie, ale chętnie pospałabym jeszcze trochę.

- Chciałam zauważyć, że w planach miałyśmy również grzyby, nie tylko trupa, złodzieja i ducha.

- Chcesz jechać do lasu? - spytałam niemrawo, bo jeszcze kawa nie dotarła do mojego organizmu.

- Tak. Może sobie chociaż do jajecznicy nazbieramy, bo na taki wysyp jak w zeszłym roku to nie liczę.

Nie miałam nic przeciwko spacerowi, tym bardziej że wieczorem znowu zamierzałam czatować przy szosie i wolałam, żeby Julia nie wytykała mi, że robimy tylko to, co ja chcę.

- Słuchaj, a może pojedziemy do obserwatorium?

- Zamiast na grzyby? Chcesz tam kolejnego nieboszczyka znaleźć?

- Nie. Tylko przy okazji spaceru grzybnego możemy zwiedzić obserwatorium. Może będzie otwarte. Nie jesteś ciekawa?

- Jestem. Dobra, możemy jechać w lasy z tamtej strony, ale nie schodzę tą ścieżką koło trupa.

- Już go nie ma, cała okolica by śmierdziała, jakby go tam zostawili.

Julia przełknęła szybko kęs kanapki i wyjaśniła, że i tak nie ma zamiaru tam iść. Nie, to nie, możemy spacerować gdzieś indziej. Nie wiedziałyśmy zresztą, gdzie w pobliżu są najlepsze lasy. Nic nie stało jednak na przeszkodzie, żeby to sprawdzić. Przy okazji może uda się porozmawiać z kimś na tematy związane z ostatnimi wydarzeniami? A może ktoś rozpozna na zdjęciu tego Lecha Minkowskiego? Czego mógł tu szukać prywatny detektyw? Musiało to być coś poważnego, jeżeli zginął. Nie omówiłyśmy tego jeszcze z Julią i teraz to nadrabiałyśmy. Niestety nic nie wiedziałyśmy o sprawie, która spowodowała przyjazd Minkowskiego do Fromborka. Sierżant być może już się tego dowiedział, trzeba będzie go o spytać przy okazji.

- Ale dzisiaj pierwszeństwo mają las i grzyby - przypomniała Julia, wsiadając do samochodu.

- A propos sierżanta, rozmawiałaś wczoraj z Dawidem?

- Nie, a co?

- Podejrzane. Rafał też milczy.

- Ja ci powiem, że oni razem wymyślili to napuszczenie na nas Korczyńskiego. I teraz przeczekują, żebyśmy ich nie objechały przez telefon.

- Sama mówiłaś, że to wykorzystamy - przypomniałam. -

I miałaś rację, gdyby nie telefon Dawida, sierżant by nas wczoraj nie znalazł i z nami nie pogadał. Może mu żyły nie przegryzają.

- Zobaczymy, może ujdzie z życiem. Ale wolałabym, żeby takich numerów nie robił. Zobacz, ten las wygląda obiecująco, próbujemy?

Moja przyjaciółka była maniaczką grzybową i nie tylko. Po prostu uwielbiała zbieractwo. Mogło to być jakiegokolwiek runo leśne, ale równie dobrze truskawki czy ogórki. Teraz, nie oglądając się na mnie, natychmiast weszła między drzewa i ze wzrokiem wbitym w ziemię zaczęła szukać grzybów. Według pani Zosi największe szanse miałyśmy na kurki, w sam raz do jajecznicy. Poszłam za przykładem Julii i przez następne trzy godziny przeczesałyśmy las. Plony były raczej mizerne, ale na wieczorną i poranną jajówę powinno wystarczyć. Nie spotkałyśmy w lesie nikogo, najwyraźniej miejscowi wiedzieli, że grzybów nie ma albo są, ale nie tutaj. Jak się nie zna lasu, to trudno od razu trafić na odpowiednie miejsce. Chyba że ma się szczęście. Tak jak my przy znajdowaniu nieboszczyków.

Z lasu wyszłyśmy spocone, brudne i nieco podrapane, bo trafiłyśmy na jakąś gęstwinę prawie nie do przebycia. W tym stanie raczej nie chciałyśmy pokazywać się ludziom, więc zwiedzanie obserwatorium znowu odłożyłyśmy.

- Wcześniej dziś wróciliście - skomentowała nasz przyjazd pani Zosia.

Miała rację, było dopiero po drugiej, zazwyczaj lądowałyśmy w domu znacznie później. Nie powiemy jej jednak przecież, że dzisiaj nie prowadziłyśmy śledztwa, tylko zbierałyśmy grzyby. Chociaż właściwie to powinno wyjaśnić nasz tak krótki pobyt poza domem.

- Na grzybach byłyśmy - powiedziałam i ze smętną miną wskazałam nasze mizerne zbiory.

- Jeszcze nie sezon, potem będzie więcej - pocieszyła nas gospodyni. - A przy okazji, co panie wolą na obiad: mięso czy rybę?

W sumie ryba też mięso, ale doskonale wiedziałyśmy, o co jej chodzi. Pewnie, że wolałyśmy rybę, bo jak się jest w pobliżu wody, to się powinno jeść ryby. O ile są świeżo złowione, a nie w postaci zamrożonych kostek. Miałam nadzieję, że tak jest, ale jakoś głupio było mi spytać.

Oczyściłyśmy grzyby i wyszłyśmy na balkon. Czułam niedosyt informacji na wszystkie interesujące nas tematy, ale nie miałam pomysłu, jak to zmienić. W przypadku włamywacza miałyśmy albo za dużo pomysłów co do motywu, albo za mało. Zbyt wiele było tych mało realnych, praktycznie ani jeden sensowny. O duchu może będziemy mogły coś więcej powiedzieć, gdy go spotkamy, a potem

pośledzimy. Nie miałyśmy pewności, czy widziany wczoraj przez nas facet chowający się za drzewami na dźwięk samochodu jest zjawą i trzeba było to sprawdzić, powtarzając nocne czaty. Trup był zdecydowanie najmniej „dostępny”. Nie pochodził z Fromborka, pojawił się tu i od razu został zamordowany. Wszystkim, z którymi rozmawiałyśmy już po jego znalezieniu, pokazywałyśmy zdjęcie sprzed katedry, ale nikt go nie rozpoznał. Albo się nie przyznał. Albo pokazywałyśmy nie tym ludziom, co trzeba. Nie wiedziałyśmy, jak to ugryźć, bo przecież w tej jego agencji detektywistycznej nic nam nie powiedzą.

- A może zostałybyśmy klientkami tych detektywów? - zaproponowałam trochę rozpaczliwie.

- Czyś ty naprawdę zgłupiała? Skąd wiesz, że nie zabił go jakiś zazdrosny pracownik? Zacznesz pytać i to nasze zwłoki będą leżały koło obserwatorium.

- No co chcesz? Dobre miejsce, przynajmniej będziemy miały blisko i może je w końcu zwiedzimy. A tak poważnie, to raczej podejrzewam, że zamordował go ktoś, kto bał się, że Minkowski coś odkryje. Pamiętasz tych ludzi w nocy? Mówili coś o pletwonurkach - przypomniałam.

- Ty znowu...

- Jeśli nie chcesz skrzyń ze zrabowanymi skarbami, to może zgodzisz się na coś współczesnego? - doskonale wiedziałam, co chciała powiedzieć przyjaciółka.

- Niby co?

- Musiałyby być drogie i takie, żeby mu woda nie zaszkodziła. Dobrze zapakowane mogłyby być w sumie wszystko od narkotyków zaczynając, na jakichś łupach z włamania kończąc. Ale nie upieram się przy tych nurkach, możliwości jest sporo. Ciekawe, co to za agencja detektywistyczna. Może zajmuje się konkretnymi rodzajami spraw i to by nam trochę zawężyło poszukiwania. Zaraz sprawdzę.

Aby mieć klientów, trzeba się jakoś reklamować, trudno przypuszczać, żeby dali radę utrzymać się ze świadczonych usług. Bez problemu znalazłam kilka biur detektywistycznych, które oferowały usługi w bardzo szerokim zakresie: od sprawdzania wierności małżonków po badania wariografem. Prawie odruchowo sięgnęłam po komórkę, żeby zadzwonić do pierwszej z nich i poprosić o połączenie z Lechem Minkowskim, ale przeszkodziła mi Julia.

- Dojdą po numerze.

- Będzie im się chciało? Na pewno kupa ludzi dzwoni w sprawie zleceń, a przecież wiadomość o nagłym zgonie właściciela nie została podana na pierwszych stronach gazet. Dzwonię.

- No dobra, tylko zastanów się, co powiesz, jak ci zaproponują kogoś innego.

- Umówię się z nim na spotkanie, bo co mi szkodzi. Będę udawała, że jestem zadowolona, a potem najnormalniej w świecie nie przyjdę.

- I będą dzwonili, żeby się spytać, co się stało. Bez sensu, wymyśl coś innego.

- No dobra, uprę się, że nie chcę nikogo innego, tylko Minkowskiego, bo mi go ktoś polecił.

Nie czekając, aż Julia znowu zaprotestuje, zadzwoniłam do pierwszej na liście agencji. Dowiedziałam się od razu, że to pomyłka, bo Lech Minkowski jest właścicielem innego biura detektywistycznego. Kobieta najwyraźniej nie była zazdrosna o konkurencję, bo od razu podała mi adres i numer telefonu. Być może mieli taki układ? Nie zabierali sobie nawzajem klientów, szkalując innych z branży, tylko pomagali? W sumie nie byłoby to dziwne, mogli się specjalizować w różnych sprawach. Weszłam na stronę odpowiedniego biura i sprawdziłam, czym się zajmują.

- Leżymy - poinformowałam Julię ponuro. - To jedni z tych, co działają niczym aspiryna: przerywa ciążę i krawaty wiąże. Mógł śledzić zdradzającą drugą połówkę, szukać czegoś lub kogoś, sprawdzać wiarygodność kontrahentów i parę innych rzeczy.

- Ja bym tych zdradzanych i kontrahentów jednak odpuściła - stwierdziła Julia i podniosła się z fotela. - Raczej czegoś szukał. Chodźmy na obiad.

Obzarłyśmy się do granicy wytrzymałości, pozerając dokładkę ryby, chociaż postanowiłyśmy uważać na to, ile jemy. Trudno, pouważam kiedy indziej, dorsz był znakomity. Przy okazji obiadu poplotkowałyśmy z panią Zosią, bo liczyłyśmy, że morderstwo w okolicy zaniepokoi mieszkańców i będą rozmawiali na ten temat. Rozmawiali, dlaczego nie, ale ponieważ nikt nie znał ofiary, na razie najbardziej popularna był hipoteza, że to morderstwo nie jest związane z Fromborkiem i okolicą. Po prostu morderca przyjechał za ofiarą i tu ją zabił, pechowo dla okolicy. Sądziłyśmy podobnie, z jedną małą poprawką. Lech Minkowski musiał mieć jakiś cel, do Fromborka przyjechał najprawdopodobniej w związku z jakimś zleceniem, nie było to więc zupełnie przypadkowe morderstwo.

- A kto w okolicy najbardziej się interesuje duchem? - przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

- Chyba moi siostrzeńcy - stwierdziła pani Zosi po krótkim namyśle. - Jeden ma piętnaście, drugi czternaście lat, trochę się nudzą i szukają dreszczyku emocji.

- Nie mieliby większego przy łapaniu złodzieja? - zdziwiła się

Julia.

- Sądzę, że ten duch wydaje im się bardziej tajemniczy. Wiedzą panie, o co chodzi złodziejowi, jest jasne, ale dlaczego się pojawił duch, już nie. Już w czasie roku szkolnego kombinowali, jakby tu ducha złapać, teraz mają więcej czasu, więc może gdzieś się na niego zaczajają.

Do licha, byle nie tam, gdzie my! Szczerze mówiąc, pytając naszą gospodynię o kogoś najbardziej zainteresowanego zjawą, miałam nadzieję, że będzie to jakiś nastolatek. Nie żebym nagle zaczęła tęsknić za ludźmi w tym wieku, przesył po roku szkolnym nie miał jeszcze kiedy ustąpić, ale doskonale wiedziałam, że mogą wiedzieć więcej niż dorośli, jeżeli temat ich zaintrygował. Nie zamierzałam jednak razem z małolatami polować na ducha. Trzeba to będzie jakoś sprytnie rozegrać. Ku zdziwieniu Julii spytałam panią Zosię, gdzie mogę znaleźć siostrzeńców.

- Jak chce pani z nimi pogadać, to ich zaraz zaproszę do siebie.

- Ale to dla pani kłopot - certoliłam się pro forma.

- Żaden kłopot. A oni chętniej pogadają bez rodziców i przy cieście.

Co fakt, to fakt, miała rację. Chłopcy wykazali nie tyle zainteresowanie perspektywą rozmowy, co wręcz entuzjazm, i obiecali przyjść za godzinę. Postanowiłyśmy poczekać w altance, przy kawie.

- Ja nie powiem, co myślę, bo bym musiała nieźle bluznąć, ale weź pod uwagę, że nie mam ochoty na współpracę z małolatami. Dwa miesiące bez smarkaczy to jest to, co mi się od życia należy! - prychnęła Julka.

- Uspokój się, bo ci ciśnienie skoczy! Pogadamy z nimi raz i wystarczy. Załóż się, że są wszędobylscy i ciekawscy, może powiedzą coś ciekawego.

- Masz tak rozmawiać, żeby nie myśleli, że nas to interesuje bardziej, niż gdybyśmy były zwykłymi turystkami - zażądała Julia.

- Dobra, nie gorączkuj się. Może wykorzystamy ten czas na telefon do facetów?

- Tak same z siebie?

Nie zdziwiło mnie to pytanie. Niby częsty kontakt z ukochaną drugą połówką jest czymś normalnym, ale w naszym przypadku wiązało się to z pytaniami typu: co robicie i czy się nie narażacie. Jak na nie odpowiedzieć tak, żeby nie poczuli potrzeby natychmiastowego ściągnięcia nas do Gdańska? Przecież nie mogłyśmy milczeć.

- Tak. Jak nie chcesz, to nie dzwoń, ja z Rafałem pogadam. W końcu napuścili na nas sierżanta, mamy prawo być oburzone,

nie?

Nic nie poradzę na to, że rozmowy z własnym mężem nieodmiennie sprawiają mi przyjemność, nawet wtedy, kiedy bywają nieco trudne. Rafał najpierw usiłował wyprzeć się udziału w spisku, ale skapitulował po chwili.

- Bo co ty sobie wyobrażasz? Zachowujecie się tak, że mamy prawo się o was bać!

- Macie, macie. I my to doceniamy, ale nie róbcie z nas wariatek albo blondynek specjalnej troski.

- W zeszłym roku same z siebie robiłyście.

- Ale wtedy, gdy było nam to potrzebne, a nie zawsze.

- A jak tam wasze śledztwo w sprawie ducha?

Rafał wolał zmienić temat na bezpieczniejszy. I tak miał dobrze, to nie on rozmawiał z sierżantem. Spacerująca dookoła domu z telefonem przy uchu Julia na pewno była bardziej wojowniczo nastawiona niż ja. Tym bardziej że nie była jeszcze do Podgórskiego przyzwyczajona tak jak ja do swojego męża. Rozmawiać skończyłyśmy prawie równocześnie, z tym że Julia wyglądała jak po ciężkiej słownej potyczce.

- No? Chce cię ubezwłasnowolnić? - spytałam, gdy już usiadła przy stoliku.

- Prawie. Mam się nie narażać. To zabrzmiało tak, jakbyśmy co najmniej ścigały jakąś mafię strzelającą co chwilę. No kurde, dorosła jestem, nie?

- Ale on jest zakochany, daleko od ciebie i się niepokoi - starałam się ją uspokoić.

Julka sapnęła wrogo pod adresem Dawida jeszcze kilka razy i stwierdziła, że wydaje jej się, że nasi faceci planują przyjazd na weekend. Proszę bardzo, niech przyjeżdżają, tylko ciekawe, gdzie będą spali.

- Na wszelki wypadek musimy tak sobie wszystko zaplanować, żeby nam nie przeszkadzali.

- A może by ich trochę wtajemniczyć? Mogą mieć jakieś dobre pomysły - zaproponowała Julia.

- Mogą. I polecą z tym do Korczyńskiego, a my zostaniemy odsunięte na boczne tory.

- Też racja. Patrz, to chyba ci siostrzeńcy pani Zosi.

Przez furtkę właśnie wchodzili dwaj chłopacy. Gdybym nie wiedziała, ile mają lat, trudno by mi było to określić. Wysocy i szczupli, ostrzyżeni modnie i bardzo krótko, niebieskoocy i bardzo do siebie podobni. Widząc nas w altance, od razu podeszli. Przywitali się i powiedzieli, że są siostrzeńcami pani Zosi, punkt dla nich. Zaproszeni usiedli i popatrzyli na nas z zainteresowaniem.

Założyłabym się o nie wiem co, że doskonale wiedzieli, jaki mamy zawód, i teraz zastanawiali się, jakie są te potwory ze szkoły na wakacjach. Na pewno byli zaintrygowani tym, że zajmujemy się duchem. Wziąć ich na historię czy na ciekawość świata? Zaczniemy od tego pierwszego, zobaczymy, jak zareagują.

- Na pewno wiecie, że uczę historii - zagaiłam, a dwie prawie łyse głowy skinęły zgodnie - więc taki duch skojarzył mi się niejako zawodowo. Wiecie, te rozmaite zamurowane żony, przechadzające się białe damy i tego typu sprawy. Oczywiście sprawdziłam, że tu się żaden duch do tej pory nie pojawiał, i dlatego mnie to intryguje. Dwudziestopierwszowieczny duch? Trochę dziwne, nie sądzicie?

- No przecież nie jest prawdziwy - oświecił mnie młodszy chłopak, obrzucając przy tym spojrzeniem, jakby sprawdzał, czy na pewno mam wszystkie klepki na miejscu.

- Pani to na pewno wie, ale przecież jakoś trzeba o nim mówić - uspokoił go brat. - No właśnie, proszę pani. Nas to też fascynuje, ale dorośli tego ducha olali. Chodzi sobie po okolicy, nikomu nie szkodzi, to co się nim przejmować.

- Ale do tego, że go widzieli, nie wszyscy się przyznają - zauważyła Julia.

- No pewnie. Nasz ojciec tylko w domu powiedział i zakazał mówić dalej. Nie chce, żeby się ludzie z niego nabijali.

- Ten duch pokazuje się nocą i nie wiem, jak wasz ojciec, ale część z tych, co go spotkała, na pewno była, jeżeli nie pijana, to po alkoholu.

- Zgadza się, nasz ojciec też. Wracał od kolegi z Fromborka, pijany nie był, ale coś tam wypił. I jak miał powiedzieć, że duch mu się pokazał?

Czyli dzieciakom wyszło to samo co nam, cześć ludzi wołała nie mówić o spotkaniu. A już ci, którzy coś tam procentowego wypili, tym bardziej. Zaraz by się zaczęły docinki, że jedni w pijanym widzie widzą białe myszki, inni zakapturzone duchy.

- Udało się wam coś ustalić?

- Nie chodzi, gdy jest deszcz. - Młodszy z chłopaków pochwalił się wiedzą.

- On ma rację. Nikt nie mówił, że widział zmokniętego ducha albo że sam zmókł.

To było ciekawe spostrzeżenie. Najwyraźniej duch nie był wodoodporny, może bał się, że zmyje mu się z twarzy to zaczerwienienie? Chłopcy pochwalili się, że wiedzą o większości spotkań ze zjawą i usilnie myślą nad tym, jak ją złapać. Nie musiałyśmy udawać zaciekawienia, wpytując tak o jedno, jak i o drugie. Starszy z braci nieomal jednym tchem wymienił miejsca

spotkań z duchem i ledwo zdążyłam włączyć pod stałem nagrywanie w komórce. Spokojnie to sobie potem porównamy z naszą mapą. Młodszy poczekał, aż bratu zabraknie tchu, i opowiedział, w jaki sposób chcą złapać tajemniczą postać. Nie wpadli na razie na pomysł, że duch mieszka we Fromborku, chyba nawet nie zastanawiali się nad tym. Skupili się na tym, w jaki sposób go pojąć, a nie jak go zlokalizować. Nie zauważyli problemu? Okazało się, że jednak tak, ale nie wiedzieli, jak go rozwiązać i tylko dlatego jeszcze się nie zaczęli.

- Mamy kilka wybranych miejsc, nawet sprawdziliśmy, jaka jest tam widoczność, to znaczy, wie pani, czy krzaki nie zasłaniają - pochwalił się starszy.

- Tu gdzieś blisko? - zdziwiła się Julia, bo według nas ducha w Bogdanach nie było.

- A nie, w różnych miejscach. - Młodszy spojrział na brata i wypalił nagle. - A może panie chcą z nami pójść?

O mało nie zginął pod morderczym spojrzeniem starszego. Już się rozpędzał, żeby brać ze sobą dwie nauczycielki, na dodatek obce i miastowe. Jak nic mogłyśmy mu polowanie zepsuć albo potem sobie przypisać zasługi w ujęciu ducha. Czym prędzej odżegnałyśmy się od chęci spędzenia nocy w krzakach. Ciemno, zimno i komary mogą pogryźć. Chłopcy spojrzeli na siebie porozumiewawczo, jako konkurencja do łapania ducha nie liczyłyśmy się. Poczułam wyrzuty sumienia. Dłużej po tym świecie chodzimy, łąć umiemy lepiej, ludzkie zachowania odczytujemy bezbłędnie i potrafimy je przewidzieć, małolaty były bez szans. Żeby im zrobić przyjemność, poprosiłam, żeby wpadli od czasu do czasu z nowymi doniesieniami, bo jesteśmy bardzo ciekawe, kim okaże się zjawia. Chłopcy potraktowali to jak zakończenie rozmowy, wzięli po jeszcze jednym kawałku ciasta na drogę i poszli sobie.

- Z czasem przestaną być tacy ufni - podsumowała Julia. - Która to godzina? Niedługo siódma, strasznie szybko ten czas leci.

- Mamy jeszcze chwilę, nie ma co tam jechać za wcześnie.

- A może właśnie pojedźmy? - Julce najwyraźniej przyszedł do głowy jakiś pomysł. - Siedziałyśmy tam po zmroku, ale może duch wychodzi z Fromborka jeszcze, gdy jest widno? Żeby szybciej dojść na miejsce? I właściwie, dlaczego założyłyśmy, że on idzie, a nie jedzie? Przecież może chować samochód w pobliżu miejsc, w których się pojawia.

- Nie.

- Co nie?

- Nie może albo nie zawsze może. Ludzie go widzą na przykład na polu, to niby gdzie by miał mieć samochód?

- Zaparkowany na pobliskiej drodze.

- Oglupiła cię ta przymusowa rozmowa z nastolatkami czy co? Przecież jeżeli duchem jest mieszkaniec okolicy, to jego samochód mógłby zostać rozpoznany. Jeżeli parę razy pojawiłby się w tej samej okolicy co duch, to ktoś mógłby to skojarzyć.

- Masz rację, odmóździli mnie ci smarkacze. Ale to tym bardziej od razu jedźmy, bo jeżeli duch w jeszcze ludzkiej postaci planuje się pojawić gdzieś dalej, to musi wcześniej wyjść.

- Nie sądzę, żeby chodził codziennie, więc weź pod uwagę, że możemy nikogo podejrzanego dzisiaj nie zobaczyć.

- Biorę, ale lubię siedzieć w lesie, nawet czatując na zjawę.

No i wydało się, dlaczego Julka tak chętnie jeździ na czaty. Nieważny był powód, grunt, żeby być w lesie. Zaopatrzone w niezbędne wyposażenie składające się z bluz z długim rękawem, koców, OFF-a, latarek i wody, zaraz po wczesnej kolacji wyjechałyśmy zająć miejsce obserwacyjne. Tym razem postanowiłyśmy nie brać rozkładanych krzesełek, było jasno i gdyby ktoś nas zobaczył, to chyba mniejsze zdziwienie wzbudziłyby dwie kobiety siedzące w lesie na ziemi niż na krzesłach turystycznych. Tym bardziej że samochód stał kawałek dalej i wyglądałoby to tak, jakbyśmy spacerowały z tymi krzesłami pod pachą. Mokro nie było, mogłyśmy siedzieć na ziemi bez obawy. Przez chwilę zastanawiałyśmy się, czy nie wybrać innego miejsca, ale po krótkim rekonesansie okazało się, że nasze wczorajsze stanowisko jest chyba najlepsze. Urządziłyśmy się w nim w miarę wygodnie, Julia sprawdziła, czy nas nie będzie widać z drogi, dopóki nie zapadnie zmrok, i zaczęło się czekanie. Czekać można rozmaicie: z niecierpliwością, z obawą, ze strachem lub z niechęcią. U nas dominowała ciekawość podszyta niecierpliwością. Chciałyśmy się przekonać, kto i po co został duchem. W obecnych czasach raczej spodziewałabym się kreacji jakiejś współczesnej postaci, niechby nawet filmowo-książkowej, ale nie zjawy. Być może jestem jednak zbyt racjonalna.

Wzięłyśmy ze sobą nasz zeszyt śledczy i nie polegając na pamięci, która jak wiadomo czasem szwankuje w najmniej odpowiednim momencie, odnotowywałyśmy wszystkie przejeżdżające samochody i przechodzących ludzi. Z tymi samochodami to było trochę bez sensu, ale i tak tkwiłyśmy prawie beczynnym, więc co nam szkodziło. Ruch panował taki sobie, nie przemęczałyśmy się i miałyśmy czas, żeby pogadać. Tym razem nie o tym, co się dzieje pod Fromborkiem, a o Dawidzie. Przyzwyczajonej do życia w pojedynkę i niemającej za sobą długotrwałych związków Julce trudno było się dostosować do

obecności drugiej osoby. Nie mieszkali razem, ale nocowali u siebie, widywali się prawie codziennie, wychodzili gdzieś razem i zaczęło brakować jej swobody. Nie była przyzwyczajona do tego, żeby mówić komuś, co robi, gdzie idzie i co zamierza. Dawid broń boże nie kontrolował jej, ale jak zniknęła nagle, wyjeżdżając na weekend, to się wkurzył, bo nie wiedział, co się z nią dzieje. Wyobrażnia mu pracowała, a umysł gliniarza podsuwał coraz mroczniejsze obrazy.

- No i rozumiesz, nie wiem, co z tym zrobić. Nie umiem chyba być zależna od kogoś.

- Oszalałaś? Dlaczego zależna? Jesteś dorosła i samowystarczalna, gdzie tu zależność?

- Nie wiem - przyznała Julia. - Mówię, jak się czuję. Nie masz tak z Rafałem?

- Nie, ale my jesteśmy do siebie przyzwyczajeni już od ponad dziesięciu lat. I powiem ci, że czułabym się zaniepokojona, gdyby Rafał nie spytał, gdzie idę, albo teraz nie zadzwonił i nie dopytał się, co robię. Jak pyta i troszczy się, to znaczy, że mu zależy, nie jest obojętny.

- No niby racja.

- To nie marudź. Wolałabyś kogoś innego na miejscu Dawida?

- Nie, no co ty? - szczerze zdziwiła się Julia. - Mówię tylko, że muszę zrezygnować z kawałka siebie.

- Za to zyskasz kawałek Dawida. Coś za coś.

- Ale o tym, że zadzwonił do tutejszego sierżanta, i tak z nim jeszcze pogadam - zapowiedziała Julia i sprawdziła godzinę. - Dopiero po dziesiątej, myślałam, że później.

Czas na czatach się dłużył. Niedawno odparłyśmy zmasowany atak komarów i teraz nerwowo reagowałyśmy na najcichsze „bzzz”. Było już prawie ciemno i obserwowanie szosy stawało się trudniejsze. Samochody prawie nie jeździły, ludzie też przechodzili rzadko. Po dwudziestu minutach, podczas których jedynym dźwiękiem dobiegającym od strony szosy było rechotanie żab w rowie po drugiej stronie, w zasięgu naszego wzroku pojawiło się rozkołysane światelko. Ktoś szedł szybkim krokiem. Wkrótce doleciały do nas odgłosy rozmowy, może nawet kłótni. Dwóch mężczyzn spierało się na temat czegoś na zalewie. Mimo że mówili głośno, nie udało nam się zorientować o czym, bo usłyszałyśmy tylko urywek rozmowy, bez kontekstu.

- A to nie byli ci co wczoraj? - zasugerowała Julia. - No wiesz, od tych nurków, co to nie wiadomo dlaczego wybrali sobie zalewę, a nie coś ciekawszego.

Mogło tak być. Mężczyźni mogli pracować we Fromborku i na piechotę wracać do domów. Tak późno? Zależy, gdzie pracowali, nie

wszyscy wychodzą do domów o szesnastej. Niemrawo rozważaliśmy, co też, oprócz nurkujących turystów, mogło się facetom nie podobać na zalewie. Połów? Zanieczyszczona woda? Żaglówki? Plany przekopania kanału? Nie potrafiłyśmy się zdecydować, co jest bardziej prawdopodobne, ale rozmowa umiłała i skracała czas.

A także powodowała, że robiłyśmy się mniej czujne. Hałas, jaki nagle dobiegł z głębi lasu, spowodował nasze chwilowe znieruchomienie, a potem paniczne poszukiwanie lepszej kryjówki. Sprawdziłyśmy, czy nie jesteśmy widoczne z drogi, ale zaniedbałyśmy tyły. Teraz to się mściło. Przez las szli ludzie i kłócili się zawzięcie. W ich głosach było tyle agresji, że nie miałyśmy ochoty stanąć im na drodze. Przywarłyśmy do pni najbliższych drzew, prawie stapiając się z nimi, i czekałyśmy w bezruchu i na bezdechu. Kto to jest i dlaczego łązi po lesie po nocy? Człowiek udający ducha na pewno nie, bo jemu zależało na dyskrecji i zawsze był sam, podobnie miała się sprawa ze złodziejem. Mógł to jednak być morderca z kolejną ofiarą lub morderca ze zleceniodawcą. Ale czy nie byłby ostrożniejszy? Dominował jeden głos, drugi był cichszy, ale też wrogo nastawiony. Ten pierwszy miał o coś pretensje, drugi się zajadle bronił. Byli już blisko i zdałam sobie sprawę, że zaraz koło nas przejdą. Nie ma innych ścieżek w lesie?

- Kurwa, patrz koce, ktoś tu sobie miłosne gniazdko uwił. Pewnie jakaś twoja konkurencja - zarechotał głośniejszy mówiący człowiek. - Jak mi zaraz nie dasz, to ja se znajdę jakieś inne dupy. Daleko nie muszę szukać!

- Pierdol się. Ja tu konkurencji nie mam. Pewnie jakieś gówniary na wakacjach dorabiają - odpowiedziała kobieta o wyjątkowo niskim głosie.

- To co? Wykorzystujemy kocyki? Mogę cię przelecieć i w lesie, nie potrzebuję do tego łóżka.

- Ja też nie. Nie zarobiłabym na życie, jakbym wszystkich do domu zabierała. Skąd miałam wiedzieć, że rodzice znajomych pozapraszają.

- I dlatego mnie po lesie włóczysz? Weź się do roboty jak normalna kurwa, a nie cyrki odstawiaj.

- Chciałeś na całą noc, nie? To przecież nie na dworze!

Żeby to cholera! Tego tylko brakowało, żeby ta „strażniczka leśna” zaczęła świadczyć usługi na naszych kocach i tuż obok nas. Głupio przecież wyleźć zza drzew, tym bardziej że kobieta węszy w nas konkurencję, jeszcze by się awanturować zaczęła. Poza tym facet najwyraźniej był zniecierpliwiony i napalony, mógłby się ucieszyć, że ma zapewniono kolejne damskie towarzystwo. Cała

nadzieja w tym, iż kobieta przekona klienta, że jednak co dach nad głową i kilka godzin, to nie szybki numer pod chmurką. Na pewno będzie się starała, bo to większy zarobek. Pewnie teraz prowadziła go jakimś skrótem do awaryjnego lokalu.

- Zaraz dojdziemy - zapewniła klienta.

- Ja na pewno. Zabieramy te koce?

- Nie. Niech tu leżą, bo potem nie znajdę, a jak to jakieś cichodajki, to muszę je pogonić. Idziesz?

Poszli! Odczekaliśmy w bezruchu jeszcze chwilę, żeby nas na pewno nie usłyszeli, i wróciliśmy na nasze, wydawałoby się, dobrze ukryte miejsce obserwacji.

- Ja pierdzielę, już myślałam, że się zaczną tu rozmnażać - powiedziała Julia z niesmakiem.

- Ja też. Jakby ten las był wielkości ogródka! Tyle miejsca, to nie, musieli iść tędy.

- Bo tędy prowadzi ścieżka, wąska, bo wąska, ale zawsze.

- Całe szczęście, że go poprowadziła dalej, ale dużo chyba nie brakowało, a mogłybyśmy podziwiać ich w akcji. No co tak stoisz? Już nie przyjdą, możemy sobie usiąść.

- Teraz to mam wrażenie, że znowu zaraz ktoś z lasu wylezie - Julka spojrzała za siebie, jakby mogła cokolwiek zobaczyć w ciemnym lesie, ale usiadła.

Postanowiłyśmy nie zmieniać planów i posiedzieć jeszcze trochę. Trudno było przypuszczać, że drugi raz tej samej nocy ktoś będzie tędy szedł. Przed dwunastą uznałyśmy, że facet z czymś jasnym pod pachą już się dzisiaj nie pojawi i wróciliśmy do domu. Mimo że wstałyśmy późno, byłyśmy zmęczone, właściwie nie wiadomo czym. Spacer po lesie nie był aż tak intensywny i doszłyśmy do wniosku, że to po prostu wpływ świeżego powietrza.

Przy śniadaniu zjedzonym w towarzystwie kota ułożyłyśmy plan działania na najbliższe dwa dni. Musiałyśmy wziąć pod uwagę, że na weekend przyjadą nasi faceci i zajmą nas czym innym niż śledzenie włamywacza, ducha lub mordercy.

- Mordercy nie damy rady śledzić - zauważyła trzeźwo Julia. - Nie mamy pojęcia, kto to jest, nie wspominając o tym, że może nie ma go już we Fromborku.

Miała rację, co nie znaczyło, że nie kusiła mnie próba ustalenia, dlaczego zginął Lech Minkowski. Żeby to wszystko pogodzić, musiałyśmy działać planowo, a nie chaotycznie.

- Nie wiem, jak ty chcesz cokolwiek zaplanować, jeżeli włamywacz działa na oślep. Tu coś ukradnie, tam się włamie i nikt nie wie, gdzie będzie następnym razem.

- Jestem ciekawa, czy to jego pierwszy występ, czy to

doświadczony złodziej.

- Ja bym obstawiła, że tu debiutował. Dał jeden występ i bisuje, mimo braku aplauzu. I nie wiem, czy nawet po tych kilkudziesięciu włamaniach można go nazwać starym wyjadaczem. To, co robi, jest monotonne, w sumie nie zdobywa zbyt dużego doświadczenia.

I znowu miała rację. I uzmysłowiła mi coś jeszcze. Cały czas mówiłyśmy o bardzo dużej liczbie włamań, ale nie wiedziałyśmy, ile ich naprawdę było. Wiedziałyśmy o dwudziestu ośmiu, czyli rzeczywiście można już było powiedzieć, że to kilkadziesiąt. Mniej więcej cztery na miesiąc, ale z tego, co wiedziałyśmy, złodziej nie włamywał się regularnie, na przykład raz na tydzień. Jasny gwint! A policja nic? Niska szkodliwość czynu niską szkodliwością czynu, ale czy ich to nie wkurza? Statystyk nie zaniża?

- Trzeba by Dawida podpuścić, żeby podpytał Korczyńskiego, dlaczego to olewają. Tłumaczył się zbyt dużym terenem, ale uważam, że mogliby się jednak bardziej przyłożyć. Co myślisz o tym, żeby dzisiaj skoczyć do Chojnowa? Jeszcze nas tam nie było, a to rejon działania włamywacza.

- Ale ducha nie.

- Nie mamy pewności. Mógł się tam pojawić, ale nikt się nie przyznaje.

- Znowu chcesz po ludziach chodzić jak domokrążca jakiś? - skrzywiła się Julka.

Trochę racji miała, ale jakoś do tej pory nikt nas psami nie pogonił. Jasne, że zdecydowanie lepiej byłoby dostać te wszystkie informacje o zjawie i włamywaczu podane hurtem na tacy, ale nie miałyśmy na to szansy. Może by się tak teraz posłużyć innym pretekstem? Mamy przecież zdjęcie Minkowskiego, a taki świeży nieboszczyk to dobry pretekst do nawiązania rozmowy. A potem spróbujemy zmienić temat i zahaczyć o zjawę i złodzieja. Nie mogłyśmy co prawda tym razem robić za zrozpaczone kochanki szukające faceta, który nagle zniknął bez podania przyczyny, ale zawsze mógł być naszym znajomym.

- Nie mógłby być! - zaprotestowała Julka.

- A to niby czemu? Przecież tylko teoretycznie?

- Bo o znajomych coś tam się wie. I na przykład ma do nich numer telefonu, pod który można zadzwonić, zna ich rodzinę lub innych znajomych i to z nimi się kontaktuje, jak ktoś nagle znika. A nie lata ze zdjęciem po wsiach i opłotkach.

Jeden zero dla niej. Ale jadąc do Chojnowa, nie mogłyśmy wykorzystać motywu wymyślonego dla Fromborka. Tam pretekst kradzieży jakiegoś dosyć cennego lub ulubionego drobiazgu i rozpytywanie o faceta, który to zrobił, miał szansę być

wiarygodny. W Chojnowie nie. Nie mieszkaliśmy tam i trudno byłoby komuś wmówić, że ledwo wysiadliśmy z samochodu, to ktoś podleciał do nas i nam coś buchnął.

- Julka, zgódź się na tego znajomego, może być mój. Najwyżej powiemy, że nikt nie ma z nim kontaktu od tygodnia, a komuś wspomniał, że tu przyjedzie. A ten ktoś wiedział, że my też, więc poprosił nas o popytanie. W ten sposób możemy mówić, że to taki daleki znajomy, a my tylko przysługę robimy.

- Dobra, ale ty gadasz.

- Mogę ja. Potem wrócimy na obiad, a po południu skoczmy do Fromborka i spotkamy się z Marcinem. Zaraz potwierdzę spotkanie.

Marcin chyba czekał na telefon od nas, bo najwyraźniej był zadowolony z perspektywy wieczornego spotkania. Jako maniak fromborski pewnie miał nadzieję, że będzie nam mógł poopowiadać coś ciekawego o mieście. Też na to liczyliśmy, bo co innego suche fakty, a co innego opowieść snuta przez pasjonata. Poza tym oczywiście chcieliśmy go jeszcze trochę pomaglować o ostatnie wydarzenia. Być może jako tubylec zwrócił uwagę na coś, co nam umyka?

- A wieczorem znowu się zasadzimy na ducha. - Zabrzmiało to tak, jakbyśmy polowały na grubego zwierza.

- Tak codziennie? - zaprotestował Julia, ale zaraz dodała. - Dobra, możemy, ale pod dwoma warunkami.

Tego mogłam się spodziewać. Julka ze względu na nocne spotkanie chciała przenieść zasadzkę w inne miejsce, a przy okazji wyjazdu do Chojnowa chciała pójść na grzyby. Te z wczoraj już zjadłyśmy i nie było śladu po naszych zbiorach, więc jej natura zbieracza popiskiwała niezaspokojona. Zerknęłam na mapę, las obok był. Były też dwa gospodarstwa agroturystyczne i stajnia w pobliżu, co dawało nam lepszy pretekst do wypytywania o Minkowskiego. Mógł się tam przecież zatrzymać. Poza tym, niezależnie od jego rzeczywistego stosunku do koni, mogłyśmy opowiadać, że chciał się nauczyć jeździć albo że już umiał i chciał doskonalić umiejętności.

- To dzisiejszy dzień mamy wypełniony po brzegi, a co robimy jutro? Może byśmy wreszcie coś zwiedziły? - zaproponowała Julia.

- Zwiedzimy z chłopakami, pewnie też chętnie obejrzą katedrę i wszystko obok. Możemy pojechać na grzyby w okolicę innej wsi, na przykład do Jędrychowa. Tam też były kradzieże. Wokół wsi są pola albo łąki, mógł tam się duch pojawić.

- A las?

Raz obudzona mania grzybobrania dała o sobie znać. Zresztą Julka las kochała w każdej postaci, grzyby były dodatkowym

bodźcem i zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem to nie mnie mają do tego lasu przekonać.

- Jest, nie przy samej wsi, ale jest.

- To znowu sobie skoczmy na grzyby.

- Skoczmy. A co będziemy robiły po południu, to się okaże.

Dawid i Rafał mogą przyjechać.

Skończyłyśmy śniadanie, nakarmiłyśmy kota przysmakami i pojechałyśmy prowadzić śledztwo. Znowu przejechałyśmy przez Frombork, bo tak nas nawigacja prowadziła. Nie ufałam jej w stu procentach, bo raz mnie zaprowadziła na szczerze pole, a raz na schody i upierała się, że mam tamtędy koniecznie zjechać, ale na razie prowadziła do celu po jezdni, a nie po polnej drodze, więc niech jej będzie. Tyle tylko, że zaczynałam mieć wątpliwości, czy wszystkie drogi prowadzą przez miasto. Nie ma sensownych i przejezdnych skrótów?

Chojnowo duże nie było, domy zbudowano po obu stronach drogi, a las podchodził do wsi tylko z jednej strony. Z drugiej były pola. Sierżant miał rację, mówiąc o trudności w zorganizowaniu zasadzki na złodzieja. Mógł podejść lasem i włamać się do wybranego domu, podczas gdy policja pilnowała innego, albo po prostu patrol chodziłby po wsi. Wystarczyłaby, żeby włamywacz wyczekał, aż policjanci odejdą kawałek dalej. Oczywiście przy założeniu, że uda się im odgadnąć, w jaki dzień i w jakiej wsi dojdzie do kradzieży. Nie zazdrościłam sierżantowi, razem z nim we Fromborku było sześciu policjantów i na brak zajęć na pewno nie narzekali, tym bardziej w sezonie.

Gospodarstwa agroturystyczne w Chojnowie położone są na obu końcach wsi. Zaparkowałyśmy przy tym bliższym i postanowiłyśmy przejść na piechotę do drugiego i stadniny. Miałyśmy nadzieję, że po drodze spotkamy kogoś, z kim będziemy mogły porozmawiać, udając zatroskane znajome trupa. W gospodarstwie agroturystycznym od razu powiedziałyśmy, że nie szukamy wolnych pokoi, tylko chciałybyśmy chwilę porozmawiać, czym wzbudziłyśmy zaciekawienie i lekki niepokój. Nie czekając na pytania, wyjęłam z kieszeni komórkę i podetknęłam naszemu rozmówcy pod nos.

- Przystojny - zauważył natychmiast.

Co go obchodzi, czy przystojny czy nie? Jaki to ma związek z zaginięciem? Brzydki nie znikają?

- Raczej tak.

- Raczej? Zdecydowanie - uparł się facet wpatrzony w zdjęcie jak sroka w gnat. - To pani chłopak?

- Nie, znajomy, mówiłam przecież.

- Aha - ucieszył się facet. - Nie, nie było go tutaj,

zapamiętałbym na pewno. I twarz, i strój, bo ma ciuchy dobrane kolorystycznie.

Taki spostrzegawczy i wrażliwy na piękno czy zakochał się w Minkowskim od pierwszego kopa? Sądząc po tym, jak się ucieszył, że to nie facet któregoś z nas, pewnie to drugie. A niech się zakochuje w trupie, co mnie to obchodzi.

- Niech pan powie, kogo najlepiej popytać, czy go nie zauważył. Nie chcemy się nikomu narzucać, ale obiecałyśmy znajomym, że popytamy o niego.

- Myślę, że mogą panie zajść do drugiego domu po prawej i... moment... - facet najwyraźniej liczył w myślach - szóstego po lewej. Właściciele powinni być na miejscu i pewnie chętnie pomogą. Oni już są na emeryturze, więc siłą rzeczy widzą, co się dzieje we wsi.

Nie podał nazwisk, ale w sumie nie były nam potrzebne. Julia wcieliła się w rolę zaniepokojonej wczasowiczki i spytała jeszcze, czy facet wie coś o grasującym w pobliżu złodzieju. Mężczyzna uspokoił nas, zapewniając, że nic podobnego, okolica jest spokojna i nie ma pojęcia, kto rozpowiada jakieś głupoty o złodzieju. Jasne, lepiej turystów nie straszyć, bo jeszcze pojedą gdzieś indziej. W tym momencie zrozumiłyśmy, że wszystkie miejsca, w których zarabia się na wczasowiczach, nie są dobrym źródłem informacji o włamywaczu. Co innego o duchu.

Zgodnie ze wskazówkami mężczyzny poszłyśmy szukać bardziej chętnych do rozmowy. W pierwszym wskazanym przez niego domu mieszkało starsze małżeństwo z czterema kotami i psem. Ten zwierzyniec był nad wyraz przyjaźnie nastawiony do gości i natychmiast zostałyśmy osaczone. Głaskać, głaskać, głaskać.

- Panie wejda, co tak będziemy gadać na progu - zaprosiła nas kobieta, gdy tylko przedstawiłyśmy się i powiedziałyśmy, o co chodzi. - Poza tym ja do oglądania zdjęcia muszę okulary wziąć.

Wymówiłyśmy się od poczęstunku, nie chciałyśmy robić gospodarzom kłopotu, tylko chwilę porozmawiać. Bez specjalnej nadziei pokazałyśmy zdjęcie Minkowskiego i starsi państwo zaskoczyli nas. Oboje stwierdzili, że widzieli go, i to nieraz. Kiedyś we Fromborku, gdy byli na zakupach, a drugi raz tu we wsi. Dziwne, aż tak go zapamiętali? Ja nie zwracam uwagi na ludzi w sklepie.

- A bo widzi pani, rozerwała mi się siatka z cytrynami, a ten człowiek był tak uprzejmy, że mi je pozbiarał. A potem poszliśmy z mężem na rynek, fontannę pooglądać.

- Ciemno już było, a ona podświetlona jest na kolorowo, warto zobaczyć - dodał mężczyzna.

- I tak sobie siedzieliśmy na ławeczce koło Kopernika, a on

przyszedł i robił zdjęcia. I fontannie, jak się te kolory zmieniają, i domom, i katedrze. Jak każdy turysta, ale ponieważ już się poznamyliśmy w sklepie, to chwilę pogawędziliśmy. Ot tak, wiedzą panie, skąd jest i co tu robi. Ale to panie pewnie widzą.

- Skąd jest tak, ale nie, co tu robił. Nagle zniknął, nie mówiąc, dokąd jedzie, więc nie wiemy, po co przyjechał do Fromborka.

- Szukał jakiegoś znajomego, jeszcze z liceum. Stracili kontakt, a jakieś spotkanie miało być, wie pani, takie jak to teraz organizują. Ale pewnie ktoś mu źle powiedział, że ten znajomy w okolicy mieszka, bo inaczej szybko by go znalazł. A tydzień potem był tu u nas we wsi i jeszcze szukał. Wyrwały taki.

Ciekawe, czego szukał naprawdę. Starsi państwo stwierdzili, że Minkowski bardzo krótko rozmawiał z sąsiadami, praktycznie w progu lub na ulicy. Najwyraźniej w odróżnieniu od włamywacza nie pchał się do domów, a interesowała go jakaś konkretna informacja.

- A kiedy to było? - spytała Julia, najwyraźniej tknięta jakimś podejrzeniem.

- W maju, ale dokładnie nie pamiętam - stwierdził mężczyzna. - Ciepło już było w każdym razie.

No proszę! Minkowski interesował się czymś związanym z Fromborkiem i okolicą już od dwóch miesięcy. Co najmniej. Czyli tak, jak w przypadku ducha i włamywacza nie było to nic świeżego. Korczyński celowo wprowadził nas w błąd, mówiąc, że obcy trup przyjechał do Fromborka w niedzielę. A może tylko nie powiedział całej prawdy? Może tym razem przyjechał dzień przed morderstwem? Zaczynało mi się lęgnąć pewne podejrzenie graniczące z pewnością, ale to nie był dobry moment i odpowiednie towarzystwo, żeby o tym porozmawiać. Tak jak poprzednio Julia, spytałam o złodzieja, tym razem powołując się również na faceta z gospodarstwa agroturystycznego, który bagatelizował problem. Więc jak to jest naprawdę?

- Panie się nie boją, on tylko miejscowych okrada - uspokoił nas starszy pan. - Jakoś tak sobie upodobał ten teren, chociaż Bogiem a prawdą, to tu nie ma nic ciekawego do ukradzenia. No gdyby okradł katedrę czy muzeum, to co innego, ale takich ludzi jak my?

- On pewnie nienormalny jest - stwierdziła kategorycznie jego żona. - Bo inaczej nie włamywałyby się po takie byle co. No wiedzą panie, co nam ukraść? Karmę dla kotów. Głupi jakiś. Gdyby chciał, to wzięłby coś cenniejszego, chociażby pieniądze z portfela, akurat listonosz emeryturę przyniósł.

- A może to jest ten duch, co krąży po okolicy? - zasugerowałam, bo tak naprawdę tylko przypuszczaliśmy, że to nie

jedna i ta sama osoba.

- E, chyba nie. Ducha to różni ludzie widują, złodzieja nie.

Jeszcze chwilę porozmawialiśmy o włamywaczu i zjawie i pożegnałyśmy rozmownych starszych państwa. Podejrzewam, że nie byli niezadowoleni z naszego wtargnięcia, pewnie byliśmy dosyć atrakcyjnym przerywnikiem monotonnego dnia.

Kolejne dwie rozmowy nie były tak owocne, Minkowski nie został rozpoznany. Opinie o duchu i złodzieju były podobne do poprzednich i zaczynałam tęsknić za jakąś odmianą. Może ktoś by wreszcie powiedział, że poznał żartownisia? Albo widział, jak ucieka złodziej, i opisał jego sylwetkę?

Została nam jeszcze stajnia Lubiłam konie, podobnie jak wszystkie inne zwierzęta, ale jakoś tak się złożyło, że nigdy nie nauczyłam się jeździć. Miałam kilka przymiarek, ale za każdym razem kończyło się na słomianym zapale. Główną przyczyną było to, że jeżeli sama jazda trwała godzinę, to razem z przejazdem zajmowało to ze trzy, a nigdy nie miałam nadmiaru wolnego czasu. Stadnina okazała się gospodarstwem agroturystycznym, stawiającym na miłośników konnej jazdy. Z zazdrością patrzyłam na ludzi jeżdżących po padoku.

- Panie w jakiejś sprawie? - rozległ się damski głos za nami. - Jestem instruktorką jazdy.

Kobieta ubrana była w strój do konnej jazdy i trzymała za uzdę osiodłanego konia. Byłyśmy tak zapatrzone w wybieg, że nie usłyszałyśmy, jak podchodzą.

- Szukam znajomego, miał być w tej okolicy, a lubił jeździć, więc sprawdzam również w stadninach.

- A nie prościej zadzwonić? - w głosie kobiety nie było słyhać podejrzenia, tylko zdziwienie.

- Prościej. To taki znajomy znajomych i to oni dzwoniли, a pewnie nadal do niego wydzwanają. Bezskutecznie. Wiedzieli, że tu będziemy, więc poprosili nas, żebyśmy popytały. Facet zniknął jak sen złoty. Nikt nie wie, gdzie jest.

- Powinni zgłosić na policję - stwierdziła kobieta. - Mogło coś mu się stać.

- Pewnie zgłosili, ale nas też poprosili.

- A jak się nazywa ten znajomy?

- Lech Minkowski.

- To nie znam. Chyba że z widzenia. Może był popatrzeć na konie albo wykupił tylko jedną jazdę.

- Tak wygląda - podsunęłam komórkę z fotką Minkowskiego.

- No no no. Przystojny facet w odpowiednim wieku. Nie dziwię się, że wszyscy go szukają - uśmiechnęła się kobieta domyślnie. -

Ale niestety nie widziałam go. Jeżeli jeździł konno, to spytajcie w Narusie, tam też jest stadnina.

Kobieta straciła zainteresowanie tematem, gdy okazało się, że nie zna faceta. A jak zareagowałby na wieść, że interesujemy się trupem spoczywającym najprawdopodobniej w kostnicy? Koń parsknął niecierpliwie, nudziło mu się tak stać. Nasza rozmówczyni zgrabnie wskoczyła na siodło, pożegnała się i wjechała na padok.

- To teraz do lasu!

- Dobra, ale może jakiś koszyk weźmy.

- Mam w plecaku reklamówkę, na jakieś superzbiory nie liczę, więc się zmieści. A potem przesypiemy. Samochód mamy na drugim końcu wsi. Chodź - pogoniła mnie Julia.

Las nie zaczynał się przy stajni, tak dobrze nie było. Musiałyśmy przejść kilkaset metrów i odbić w bok, żeby znaleźć się między drzewami. Za to idąc skrajem, mogłyśmy sprawdzić, jak wygląda od tej strony możliwość wejścia na tereny posesji. Tylko do niektórych domów można było podejść lasem, do większości trzeba było przejść po otwartej przestrzeni. A przecież na wsi pełno jest psów, które mogą narobić rabanu. Złodziej musiał brać to pod uwagę. Jak sobie z tym radził? Na pewno nie truł zwierząt, bo byłoby o tym głośno. Nasi dzisiejsi rozmówcy też mieli psa i postanowiłam ich o to zapytać, gdy będziemy wracać z grzybów.

Las na początku nie wyglądał obiecująco, poza tym pochłonięta byłam myślami, a grzybów w pobliżu wsi się nie spodziewałam. Miałam rację, Julia wpatrzona w ziemię zachłannym okiem znalazła zaledwie kilka niewielkich kurek. Dopiero trochę dalej poczułam, że jestem tam, gdzie powinny być grzyby. Odpowiednia ściółka, bez chaszczy trudnych do przebycia, jednym słowem, aż się chciało chodzić i zbierać runo leśne, jakiegokolwiek. Chodzić, owszem, chodziłyśmy, ale ze zbieraniem było gorzej. Od czasu do czasu trafiałyśmy na kurki w niezbyt dużej ilości. Nie było też ani jagód, ani nic innego nadającego się do zbierania. Chyba że weźmiemy pod uwagę pozostałości po jakiejś imprezie koło ogniska. To ognisko zresztą znajdowało się na niewielkiej polanie i jestem skłonna założyć się o wszystkie pieniądze świata, że było nielegalne.

Z lasu wyszłyśmy spocone i niezadowolone. Grzybów nie było, bo te kilka garstek kurek trudno uznać za udane grzybobranie. Praktycznie jedyny zysk to spacer jako taki, poruszałyśmy się trochę.

- Chodź jeszcze do wsi, spytamy o psa - zawróciłam Julię zmierzającą do samochodu.

- No był pies, o co chcesz pytać? - nie skojarzyła Julia zajęta wyciąganiem gałązek z włosów.

- Do nas się łąsił, to fakt, ale najpierw stałyśmy przed domem, a właściciele z nami rozmawiali. Złodziej wszedł w nocy. Myślisz, że pies przywitał go jak dobrego znajomego?

- O cholera, nie pomyślałam!

- Ja też nie. A tu dużo ludzi ma psy. Albo w domach, albo w obejściu. I nie reagują na włamywacza? Nie szczekają i nie alarmują? Że o pogryzieniu nie wspomnę.

Starsi państwo byli zaskoczeni naszym tak szybkim powrotem i myśleli, że chcemy im powiedzieć o czymś, czego dowiedzieliśmy się od innych mieszkańców wsi. Pytanie o psa nie zaskoczyło ich, przyznali, że sami też się nad tym zastanawiali.

- Krzywdy mu nie zrobił, to pewne. Ale to stary pies, dużo śpi.

W pierwszej chwili nie zrozumiałam. Stary, dużo śpi i przespał włamanie do własnego domu? To chyba niemożliwe, nawet u bardzo leciwych psów. Musiałby być głuchy, ślepy i sparaliżowany, żeby nie dać znaku, że coś podejrzanego się dzieje. Nie był. Kręcił się koło nas, szturchając w ręce, żeby go głaskać, i nastawiał łeb i grzbiet. Ruszał się już sztywno i miał siwą mordkę, ale poza tym był w dobrej kondycji.

- Podejrzewamy, że włamywacz dał coś na sen naszemu psu - uściślił starszy pan. - A ponieważ on i tak dużo śpi, to nie zwróciliśmy uwagi, że coś jest nie tak. Zdarza mu się przesypiać całą noc i nie reagować na hałasy.

Spytałyśmy o innych okradzionych ludzi. Starsi państwo nie o wszystkich wiedzieli, ale tak na oko sądząc, to pewnie połowa miała psy. A jednak złodziej wszedł i wyszedł bezpiecznie. Ciekawe. Pewnie poczęstował je jakąś spreparowaną kiełbaską albo innym mięsem. Jeżeli odpowiednio dobrał dawkę i środek, mógł to zrobić jakiś czas przed włamaniem, odczekać, aż specyfik zacznie działać, i spokojnie wejść do upatrzonemu domu. Inaczej sobie tego nie wyobrażałam, bo opcja, że kradzieży dokonuje ktoś, kto tu mieszka i po prostu zna te psy, jakoś do mnie nie przemawiała.

Wczorajsza rozmowa z panią Zosią o naszych gastronomicznych preferencjach poskutkowała tym, że na obiad znowu miałyśmy rybę. Tym razem sandacza w warzywach, którego pożarłyśmy w tempie i ilości takich, jakbyśmy od wczorajszego obiadu nic nie jadły. Ciasto dopełniło obżarstwa i postanowiłyśmy przejść się po okolicy, żeby trochę tych kalorii stracić. Tym razem chciałyśmy pójść drogą między polami, a potem dojść do szosy. A jak się nie da, to poszukać innej drogi powrotnej, w najgorszym wypadku wracając po własnych śladach. Julia narzuciła szybkie tempo niesprzyjające rozmowie. Słusznie, jeśli miałyśmy zgubić obiadowe kalorie, to nie mogłyśmy się wlec noga za nogą. Pięćdziesiąt minut szybkiego

marszu to może nie jakieś nadzwyczajne osiągnięcie, ale poczułyśmy się rozgrzeszone z dodatkowej porcji ryby i szarlotki. Ekwipunek, który zabierałyśmy na nocne czatowanie, był w samochodzie, więc nawet nie zachodziłyśmy do pokoju, tylko od razu po powrocie ze spaceru pojechałyśmy do Fromborka, żeby nie spóźnić się na spotkanie z Marcinem.

Już był i czekał na nas w porcie. Poszliśmy do najbliższej knajpy, bo zdecydowanie lepiej rozmawia się na siedząco, a widok od stolika na zalewę był prawie tak dobry jak z falochronu.

- Piwo czy coś innego?

Czy ja przez te wakacje cały czas będę się zastanawiała, co mogę wypić? Było ciepło i zimne piwo wydawało się najlogiczniejszym wyborem napitku, ale wieczorem zamierzałyśmy czatować na zjawę. Była osiemnasta, jeżeli nie ruszymy się stąd wcześniej niż o dwudziestą pierwszą, jedno mogę wypić.

- Niech będzie piwo, ale jesteście samochodem, więc dla mnie tylko to jedno. Potem będę piła wodę z cytryną - zapowiedziałam.

- Mogłyście przyjść na piechotę - stwierdził Marcin, przywołując kelnerkę i składając zamówienie. - Miałybyście godzinny spacer.

- W tę stronę to luz, ale weź pod uwagę, że wracałybyśmy po ciemku, a tu grasuje złodziej, duch i morderca. Może nawet w jednej osobie... - przypomniała Marcinowi Julka.

Miała rację, to nie było rozstrzygnięte. Przeważnie mówiłyśmy o grasujących tu indywiduach jak o osobnych bytach, ale czort je wie. Może to jedna osoba? Chociaż jakoś nie chciało mi się w to wierzyć.

- A na ducha znowu wieczorem będziemy polować - uzupełniłam. - Samochód z trzeźwym kierowcą jest nam potrzebny.

- Jak go chcecie złapać? - Marcin upił łyk piwa i popatrzył na nas lekko rozbawiony.

Opowiedziałyśmy mu o dwóch wieczorach spędzonych na obserwacji drogi wyjazdowej z Fromborka, o wczorajszym spotkaniu ze „strażniczką leśną” i jej klientem i swoich przemyśleniach na temat poruszania się zjawy. Argumentem, który przemówił do Marcina, było to, że samochód czasem trudno schować i można być po nim dosyć łatwo rozpoznany, więc lepiej poruszać się na piechotę.

- Niektóre wsie położone są dalej, dojdzie zajmuje nawet koło dwóch godzin, pewnie wtedy podjeżdża kawałek.

- Masz rację, bo nawet jakby ktoś zauważył jego samochód, to nie w miejscu straszenia - zgodziłam się z Marcinem.

- Myślicie, że ten facet chowający się za drzewo może być

duchem? Może po prostu ma z kimś na pieńku i wolał nie rzucać się w oczy?

- Może. Ale pod pachą niósł coś jasnego, może to było to, co zakłada, gdy zaczyna być duchem?

- I tak w rękę to niósł? Nie wygodniej w plecaku na przykład?

Na pewno wygodniej, ale to, co miał pod pachą, wyglądało jak zwinięty płaszcz, a nie torba. Niezależnie od sposobu przenoszenia rzeczy facet jako jedyny zachowywał się dziwnie i podejrzanie, więc uparłam się to sprawdzić.

- Ala, jaki jedyny! Ile wyście tam ludzi widziały? Ja wiem, że Frombork jest nieduży, ale naprawdę trochę ludzi tu jednak mieszka. Plus turyści i mieszkający w okolicznych wsiach.

Niechby nawet, teoretycznie rzecz biorąc, było więcej podejrzanych osób, to my na razie miałyśmy możliwość zweryfikować zachowanie tylko jednej z nich. Tego faceta z szosy. Nie zamierzałam tego odpuścić. Jeżeli się okaże, że nie jest duchem lub na przykład złodziejem, będziemy szukać dalej.

- Ty wiesz, że to szukanie igły w stogu siana? - upewnił się Marcin.

- Wiem. Może mój kolor włosów sugeruje coś innego, ale zdarza mi się myśleć.

- Ja podejrzewam, że u niej to działa trochę na zasadzie: im coś trudniejszego do sprawdzenia, tym bardziej ją korci - wyjaśniła Julia.

- A ciebie to nie? Też chcesz wiedzieć, kto stoi za tymi wszystkimi wydarzeniami.

- Chcę, ale niekoniecznie mam zamiar łapać mordercę naszego trupa własnymi rękoma.

Marcin nie był przyzwyczajony do naszych skrótów myślowych i prawie zakrztusił się resztkami piwa. Najwyraźniej nie miał nigdy nieboszczyka na własność.

- Nie przejmuj się. W zeszłym roku miałyśmy swoje zwłoki, tym razem mamy własnego trupa. Jakieś urozmaicenie musi być. Chcesz z nami poczatować?

- Chcę, tylko żonę uprzedzę.

- A wiecie, co mi przyszło do głowy w związku ze złodziejem, a nie duchem? - Julia porzuciła temat zjawy. - On pojawia się głównie u starych ludzi, w starych domach.

- Tu w okolicy większość domów jest starych. Raczej mało się buduje - zauważył Marcin.

- Ona ma rację - poparłam Julkę. - Oczywiście nie znamy tych wszystkich ludzi i nie byliśmy u nich w domach, ale najczęściej mówi się o emerytach, a my rozmawialiśmy właśnie z takimi

starszymi okradzionymi. I to były stare domy. Może coś w tym jest? Może złodziej szuka jednak czegoś, co pochodzi sprzed wielu lat?

- No. Bursztynowej Komnaty albo „złotego pociągu” - nie mogła sobie podarować Julia.

Nie miałyby nic przeciwko temu, ale siedziałam cicho. Gdybym coś napomknęła na ten temat, Julka natychmiast wykorzystałaby sytuację i rzuciła się na mnie z pazurami, roztaczając wizję, w której latam wszędzie w poszukiwaniu złota lub bursztynu. Albo jednego i drugiego. W sumie, dlaczego nie? Taka mała kumulacja: Bursztynowa Komnata ukryta w tym samym miejscu co „złoty pociąg”. Głośno tego nie powiedziałam.

- Marcin, nie słuchaj jej, to maniaczka. Jakbym jej słuchała, to byśmy teraz szukały po lasach niedobitków Wehrmachtu pilnującego zrabowanych dzieł sztuki.

- O niczym takim tym razem nie wspominałam - zrobiłam urażoną minę.

- Tylko dlatego, że protestuję, gdy rozmowa schodzi na tematy historyczno-sensacyjno-mordercze.

- To fajne tematy, ekscytujące. Ale chyba istnieje mała szansa na odkrycie czegoś takiego. - Marcin przyznał rację i Julce, i mi. Dyplomata.

- Nie wiem, nigdy nie znalazłam transportu zrabowanych kosztowności wszelakich - przyznałam bez oporów. - Ale weźcie pod uwagę, że oprócz teoretycznych dzieł sztuki i innych takich ktoś może szukać czegokolwiek prywatnie.

- A podejrzewałaś, że ten złodziej włamuje się służbowo? Konserwator zabytków w połączeniu z Różową Panterą? - nie mogła się powstrzymać moja przyjaciółka.

- To nie tak. Chodzi mi o to, że ludzi czasem próbują dotrzeć do czegoś prywatnego, że tak powiem.

- To raczej powinien szukać oficjalnie - zasugerował Marcin.

- Może szukał? Przez agencję detektywistyczną?

- Masz rację, mogło tak być - zgodziłam się z Julią, ale zaraz zmieniłam zdanie. - Albo nie.

- Zdecyduj się.

Zażądałam wody z cytryną, a potem wyjaśniłam, o co mi chodzi. Gdybym to ja zleciła profesjonalście jakiekolwiek zadanie, to nie przeszkadzałabym mu, próbując nieudolnie zrobić to samo. Idąc tym tropem rozumowania, nie mogłabym jednocześnie zatrudnić Minkowskiego i szukać czegoś na własną rękę, przeszkadzając mu. A jak się do tego ma morderstwo prywatnego detektywa i duch? Są powiązane ze sobą czy nie?

- Nie mam pojęcia. - Marcin wciągnął się w nasze rozważania. -

Według mnie możliwości jest kilka, niezależnie od tego, czego szuka złodziej.

- Owszem. I z kradzieżami da się te wszystkie wydarzenia powiązać. Ale nie będziemy mieli pewności, czy te nasze kombinacje są poprawne. Za dużo niewiadomych. - Julia pokręciła głową z niezadowoleniem, prawie jak szef ekipy śledczej martwiący się o wyniki dochodzenia.

- Poza tym mogą to być zupełnie niezwiązane ze sobą sprawy. Duch może być pewnego rodzaju dowcipem, złodziej szuka sobie tylko wiadomej rzeczy, a Minkowski miał jakieś zlecenie w tej okolicy.

- Jakoś za dużo tego w jednym miejscu jak na przypadek. We Fromborku nieczęsto dzieją się takie rzeczy - zauważył nasz nowy znajomy.

Naszą uwagę przykuł nagle mężczyzna idący przez port. Zataczał się, czasem podpierał, ale wytrwale dążył w naszym kierunku. Doszedł do knajpy i z ulgą usiadł przy pierwszym wolnym stoliku. Nie wyglądał na notorycznego pijaka, ale dzisiaj zdecydowanie sporo wypił. Jeszcze do zalewy wpadnie i będziemy miały kolejne zwłoki, tym razem topielca.

- Nic mu nie będzie - uspokoił mnie Marcin. - Znam go, wypije jeszcze jedno piwo i pójdzie do domu. Trafi, nie ma obawy.

- Facet najwyraźniej żywi głębokie uczucie przywiązania do barów.

- Chyba do piwa, nie do baru - poprawiłam Julkę. - Diabli wiedzą, gdzie pił. Może z gwinta nad wodą?

- Może - zgodziła się bez oporu. - To co? Skończyliśmy na jakiś czas śledztwo? To może opowiedz nam coś o mieście.

- Zwiedziłyście już coś?

- Nie. Najprawdopodobniej w weekend przyjadą nasi faceci, więc będziemy zwiedzać razem.

- O czym chcecie posłuchać?

- Tak jak poprzednio, o czymś, czego nie ma w przewodnikach - poprosiłam.

Marcina nie trzeba było dwa razy namawiać i do dziewiątej słuchałyśmy opowieści o Fromborku. Tym historycznym i tym obecnie. Lubię słuchać, jak ktoś opowiada z pasją, niezależnie na jaki temat, a tym razem historie dotyczyły miejsca, w którym byliśmy, a którego nie znałyśmy. Nawet gdybyśmy zwiedziły Frombork z przewodnikiem, to o wielu ciekawostkach byśmy się nie dowiedziały. Na przykład o Wieży Wodnej, studni i o systemie podziemnych rur, którymi dostarczano wodę na wzgórze, oraz o przedwojennej zabudowie miasta.

Równy o dziewiątej podnieśliśmy się od stolika. Dzisiejsze czatowanie na ducha miało się odbyć we wzmocnionym składzie i pomyślałam sobie, że dobrze by było, żeby podejrzany facet się pojawił. W przypadku jakiejś konfrontacji wsparcie Marcina zapewne się przyda. Dopiero teraz zaczęłam się zastanawiać, jak zagadać do mężczyzny z czymś jasnym pod pachą. Przecież nie spytam go, czy to on udaje ducha, a pojawienie się na szosie i niewinne pytanie o godzinę też nie wydawało się dobrym pomysłem. W lekkim popłochu przyznałam się Marcinowi i Julii do kompletnego wyjałowienia z pomysłów.

- No wiesz, to do ciebie niepodobne. - Rzadko zaskakiwałam czymś Julkę, ale tym razem mi się udało. - To niby jak ty sobie to wyobrażasz?

- Sę w tym, że sobie nie wyobrażam - mruknęłam w zadumie.

Zaparkowałam tam, gdzie poprzednio, a Julia od razu przypomniała, że musimy znaleźć nowe miejsce, żeby nasza wczorajsza nocna „znajoma” nie skojarzyła nas przypadkiem.

- Nie sądzę, żeby się tu cały dzień na nas czaiła, ma co innego do roboty. A wieczór to na pewno dobry czas na wyhaczenie klienta.

Julia niby się ze mną zgodziła, ale niezbyt daleko znalazła inne odpowiednie miejsce, a Marcin sprawdził, czy dobrze stąd widać szosę. Dopiero w tej chwili zdałam sobie sprawę, że ma na imię tak, jak mój kuzyn leśniczy, u którego spędzałyśmy wakacje w zeszłym roku i który był lekko przerażony naszą działalnością śledczą.

- To nie jest najlepsze miejsce - stwierdził.

- A czego mu brakuje? Nas nie widać, ale za to my widzimy szosę, a siedzi się wygodnie. Na komary mamy Off-a.

- Faceta rozpoznacie, jak będzie bardzo blisko. Zgadza się? - Potwierdziłyśmy, kiwając głowami. - Zanim stąd zejdziecie na szosę, zdąży nawiać. Same mówiliście, że jest ostrożny.

Tego nie wzięłyśmy pod uwagę. Nie mieliśmy jak wyjść wprost na drogę, chyba że przedzierając się przez krzaki. Kryjówka jako punkt obserwacyjny był niezła, ale odpadała jako baza wypadowa. Marcin kazał nam czekać i poszedł poszukać innego, lepszego miejsca. Wrócił po kwadransie i przenieśliśmy się kawałeczek bliżej Fromborka. Nie było tu tak wygodnie, jak w poprzednich miejscach, ale dosyć łatwo i szybko wychodziło się na szosę. Po krótkiej dyskusji postanowiliśmy całą trójką naraz wyjść na jezdnię, jeżeli pojawi się podejrzany osobnik. A potem zamierzaliśmy improwizować, mając nadzieję, że jego reakcja coś nam podpowie. Jednym słowem - pełen spontan, na który na pewno nie zdecydowałybyśmy się, gdyby nie Marcin. Ciekawe, czy on zawsze tak chętnie wplątuje się w coś takiego. Może mu się trochę nudzi?

Czekanie praktycznie nie różniło się niczym od tych z poprzednich wieczorów. Do odgłosów lasu już zdążyliśmy się przyzwyczać i teraz skupialiśmy się tylko na drodze. Z lekkim roztargnieniem, głównie z powodu poczucia „obowiązku śledczego”, odnotowywałam przejeżdżające samochody. Dwa z nich rozpoznał Marcin. Ludzi przechodziło mało i trochę się nudziliśmy, nie mogąc swobodnie rozmawiać. W pewnym momencie pojawiły się dwa słabo oświetlone rowery, które skrzypiąc niemiłosiernie, przejechały koło nas i zniknęły za kolejnym zakrętem.

- Ty, popatrz, czy to nie było takie światełko?

Julia szturchnęła mnie na tyle energicznie, że jak nic będę miała siniaka.

- Chyba tak, przygotujcie się do akcji.

Zabrzmiało to tak, jakbyśmy mieli dokonać desantu. Marcin przysiadł na piętach i wpatrywał się w zbliżającą się postać. W pewnym momencie w skąpym świetle księżyca zobaczyłam na jego twarzy zdziwienie, powątpiewanie i ciekawość jednocześnie. Rozpoznał faceta na szosie?

- Teraz - zakomenderował i wszyscy razem wypadliśmy na szosę.

Mężczyzna zatrzymał się zdezorientowany i wykonał taki ruch, jakby chciał dać susa w bok, w las. Powstrzymał go od tego Marcin.

- Dobry wieczór, panie sierżancie!

Jasna cholera, co jest grane? Przed nami stał Korczyński z dość głupią miną. Ubrany był na czarno, na głowie miał kaptur od bluzy, a pod pachą coś, co nieodparcie kojarzyło mi się ze strojem ducha. O co tu chodzi?

- A to pan. I panie. - Sierżant nie był zadowolony ze spotkania. - Podgórski uprzedzał mnie, że jesteście wszędobylskie, łatwo nie odpuszczacie i prościej pozbyć się pijawek niż was.

- Co to jest to coś, co ma pan pod pachą? - spytałam zachłannie, nawet bez „dobry wieczór” i protestu przeciwko pijawkom.

Na tak zadane obcesowe pytanie należałoby oczekiwać odpowiedzi „a co to panią obchodzi?”. Jednak sierżant, który nie spodziewał się nagłej „napaści” na środku szosy, najwyraźniej zapomniał, że może mnie zbyć tym jednym zdaniem. Popatrzył na nas ponuro i z niechęcią i powiedział, żebyśmy może zeszli z drogi, bo jeszcze nas co rozjedzie. Zaproponowałam własny samochód jako niezłe miejsce do rozmowy, a reszta bez oporów przystała na to. Marcin i Korczyński usiedli z tyłu, my z przodu w dosyć niewygodnych pozycjach, bo chciałyśmy widzieć rozmówców, a nie powietrze przed sobą.

- Co panie robią wieczorem na drodze? - sierżant opanował już

zaskoczenie.

- Czatujemy na ducha - stwierdziłam zgodnie z prawdą. - Widziałyśmy pana dwa dni temu, z tym że nie wiedziałyśmy, że to pan.

- Pan pomaga paniom?

- Owszem, też mnie ten duch intryguje. Jak sporą liczbę ludzi w mieście i okolicy. Uznałem więc, że mogę dzisiejszy wieczór poświęcić na łapanie zjawy. Złapaliśmy pana.

W samochodzie zapanowała cisza. Sierżant najwyraźniej zastanawiał się, co ma zrobić. Niezależnie od tego, gdzie i po co szedł, nie chciał być widziany i rozpoznany, a tu takie dwie postrzelone wczasowiczki zrobiły na niego zasadzkę. Na dodatek współpracując z przedstawicielem lokalnej społeczności, więc zapewne trudniej było całą naszą trójką zbyć jakimś niewiele mówiącym wytłumaczeniem. A osobisty gliniarz Julii uprzedził Korczyńskiego, że jesteśmy upierdliwe niczym wrzód na czterech literach i drążymy interesujący nas temat. Miał facet ciężki orzech do zgryzienia.

- Nie wygodniej by panu było tę kapotę nosić w plecaku? - spytałam podstępnie.

- Nie, ona ma... - odruchowo odpowiedział sierżant myślący najwyraźniej o czymś innym. W język ugryzł się odrobinę za późno. - Cholera!

- Teraz to już chyba nie ma pan wyjścia - stwierdził Marcin z lekkim współczuciem.

Nie zdążyłam rozstrzygnąć, czy dotyczyło ono tak niefortunnego złapania, czy też odpowiedzi na moje ostatnie pytanie, bo Korczyński podjął decyzje.

- Zacznę może od końca. Tak, to, co mam ze sobą, to kapota ducha. Jest nią stary, wielki płaszcz przeciwdeszczowy. Noszę to pod pachą, a nie w torbie czy plecaku, bo do tego dochodzi konstrukcja na ramiona, źle by się to pakowało. Zwijam wszystko w pakunek, obwiązuję sznurkiem i przewieszam przez ramię. Zaspokoilem pani ciekawość?

- W tej materii tak. Ale po jakie licho z policjanta zmienia się pan w zjawę, strasząc w okolicy? Za mało ekscytującą ma pan pracę?

- A tam zaraz strasząc. Szczerze mówiąc, to nie ja wymyśliłem ducha, a ktoś, kto mnie zobaczył w tym płaszczu podczas paskudnej pogody. Ja to tylko wykorzystałem.

- Ale dlaczego?

Korczyński pogładził się po łysinie, potem po wąsach i westchnął tak, że gdyby te wąsy miał odrobinę dłuższe, to

powiewałyby mu niczym u Asterixa, i zdecydował się wyjaśnić nam cel swojego przeobrażenia. Nie miałam złudzeń, że powie nam wszystko, tak dobrze to nie ma, ale coś powiedzieć musiał. Okazało się, że włamania prawie od początku nie dawały mu spokoju. Nie mógł znaleźć ani motywu, ani podejrzanego, ani klucza według jakiego działa sprawca. Miał zbyt mało informacji i ludzi, żeby zrobić jakąkolwiek zasadzkę, ale wbrew pozorom nie zlekceważył zgłoszeń. Starał się ustalić cokolwiek, co pozwoliłoby mu chociaż trochę zawęzić możliwości. Pierwszy raz wybrał się w teren po to, żeby zobaczyć, z jakimi trudnościami musi się spotkać wieczorem włamywacz. Chciał zaobserwować, kiedy ruch we wsiach robi się mały albo prawie zamiera, kiedy gasną światła czy ludzie zabierają psy do domów, czy zostawiają luzem na podwórkach i jeszcze parę innych, istotnych szczegółów. Traf chciał, że było zimno, zaciął wiatr i padał śnieg, który od razu się topił. Korczyński nie odłożył jednak nocnej eskapady, tylko wygrzebał ze strychu stary, podgumowany płaszcz i nałożył go na kurtkę. Płaszcz jest za duży, praktycznie włókł się za sierżantem po ziemi i dokładnie go okrywał, zabezpieczając przed złymi warunkami atmosferycznymi. Korczyński nikogo tej nocy nie zauważył, ale jego ktoś widział. Niewyraźna postać, w długim jasnym chałacie i w kapturze zsuniętym na oczy skojarzyła się z duchem i plotka poszła w świat. Sierżant to wykorzystał, podrasowując trochę wizerunek ducha. Zrobił zgrabną konstrukcję zakładaną na ramiona i napinającą kaptur, stąd wrażenie, że zjawa nie ma twarzy.

- Wygodnie tak panu w tym?

- Bez tego stelaża byłoby lepiej, ale da się wytrzymać. Wyciąłem z przodu kawałek materiału w okolicy twarzy, więc spokojnie mogę patrzeć.

- Sporo zachodu - stwierdziła Julia. - A przecież nic by się nie stało, gdyby ktoś pana rozpoznał. W końcu sprawdzający coś policjant, nawet o pierwszej w nocy, nie jest czymś niespotykanym.

- Owszem - sierżant znanym nam już gestem pogłaskał się po łysinie. - Jednak zdecydowanie wolałem, żeby po okolicy krążyła plotka o duchu niż o węszącej wszędzie policji. Miałem nadzieję, że duch nie spłoszy włamywacza, policjant mógłby.

- A nie boi się pan, że ktoś się pana naprawdę przestraszy? - spytał Marcin.

- Trochę tak - przyznał Korczyński. - Ale staram się nie włączyć ludziom w oczy, a ci, co mnie widzieli, to raczej ludzie zdrowi i w sile wieku, a nie schorowani starcy.

- Ustalił pan coś podczas tych rajdów ducha? - spytałam zachłannie.

- Coś tam ustaliłem.

Teraz zaczynały się schody. O ile przyznanie się do odgrywania roli zjawy nie wiązało się z ujawnieniem jakichkolwiek informacji dotyczących złodzieja i jego zwyczajów, to moje ostatnie pytanie nie było już pod tym względem neutralne. Ciekawe, czy sierżant się złamie i coś nam powie. Nie wyglądał na takiego, który opowiadałby o szczegółach śledztwa osobom postronnym, a tym bardziej dwóm wścibiającym nos w nie swoje sprawy turystkom. Przed chwilę zyskałyśmy jednak przewagę. Wiedziałyśmy, kto jest duchem i jakbyśmy były wredne, to mogłybyśmy o tym rozpowiedzieć. Inna rzecz, czy ktokolwiek by nam w to uwierzył, ale Korczyński na pewno wolał, żeby ta informacja nie wyciekła poza naszą czwórkę.

- To znaczy, że jest szansa na złapanie tego dziwnego złodzieja?
- wyręczył mnie Marcin.

- Większa niż była.

- Dlaczego? - docisnęła Julka.

- Bo więcej wiem - wyjaśnił Korczyński jak małym dzieciom.

Myślał, że jesteśmy takie głupie same z siebie, czy że brałyśmy korepetycje? I czy naprawdę liczył, że odpuścimy?

- To akurat zgadłyśmy - wyjaśniłam z uśmiechem głupiej blondynki. - Koleżance chodziło o to, czego się pan dowiedział.

- Udało mi się zawęzić krąg poszukiwań. - Zabawa w kotka i myszkę trwała.

- Motywów czy włamywacza? - nie podarowała sobie Julka, a Marcin zaczął nam się dziwnie przyglądać.

- Jednego i drugiego.

- Co pan wykluczył w przypadku motywów? - zaczęłam od tego, bo o sprawcy nie wiedziałyśmy nic.

- Czy to przesłuchanie? - sierżant zrobił unik.

- Ależ w żadnym wypadku, zwykła ciekawość - zapewniłam gorąco i kłamliwie.

- My sobie wymyślałyśmy różne motywy włamań i jesteśmy ciekawe, czy trafiłyśmy - dodała Julia.

- A jak nam pan coś powie, to być może się zrewanżujemy - postanowiłam pójść na handel wymienny informacjami.

- Czy to szantaż?

- Ale gdzieżby tam. Po prostu może się okazać, że pan już o tym wie, więc nasze informacje nie będą dla pana nowością.

Korczyński zamilkł, najwyraźniej zastanawiając się, co może powiedzieć. Pewnie chciał nam podrzucić niewiele mówiącą informację na odczepnego. Taki ochłapek, którym mogłybyśmy się zadowolić i nie zanudzałybyśmy go pytaniami. W normalnych warunkach na pewno by nas olał, ale sytuacja nie była zwyczajna.

Nie co dzień odkrywa się, że sierżant policji jest jednocześnie miejscowym duchem. Co prawda poniekąd służbowo, ale jednak niejawnie. Działanie policyjne pod przykrywką w postaci zjawy mogłyby wzbudzić sensacje.

- Wśród poszkodowanych jest moja bardzo daleka rodzina - wyznał Korczyński na pozór bez związku z pytaniem, ale siedzieliśmy cicho, czekając, aż rozwinie wypowiedź. - To ci od srebrnego świecznika i informacje na temat obu włamań do nich miałem nie dość, że z pierwszej ręki, to jeszcze rozmawiali ze mną jak ze swoim, a nie z policjantem. Przy okazji tej kradzieży udało mi się ustalić, że co prawda nie są w stanie powiedzieć, o której ktoś się do nich włamał, ale na pewno było to już w godzinach nocnych. Nie na przykład tuż po zapadnięciu zmierzchu. Poza tym porównałem wszystkie daty i miejsca i coś mi z tego wyszło.

- CO?

- A to już pozwolą państwo, że zostawię dla siebie. W każdym razie to było pierwsze przybliżenie. Oprócz tego, że byłem duchem, rozpytywaliśmy też ludzi o to, co zginęło i o przebieg nocy, podczas których dokonywano włamań. Robiliśmy to jednak bardzo dyskretnie, bez wielkiej akcji.

- A co z psami? - spytała nagle Julia. - Nie otruł śmiertelnie żadnego?

- A to już doszłyście do tego? Nie, wszystkie dostawały środek nasenny, nieszkodliwy.

- Jaki motyw pan obstawia? - wróciłam do pytania sprzed chwili.

- Powiem tak: według mnie nie chodzi o samą kradzież, tylko o szukanie czegoś.

- Tyle to wiemy same z siebie - prychnęłam zawiedziona. - Nie wie pan, czego szuka?

Korczyński zamilkł, więc miał jakieś podejrzenia, o których nie chciał mówić. Może wynikały z tego, co zaobserwował podczas nocnych przechadzek pod postacią ducha, a może z dedukcji.

- Jedynie przypuszczam.

- To ma związek z historią czy jest współczesne?

- Alka, opanuj się - syknęła Julia.

- Można powiedzieć, że jest historyczno-współczesne - stwierdził z nieukrywaną satysfakcją sierżant.

Punkt dla niego, niech to licho. Odpowiedział na pytanie w taki sposób, że mamy o czym myśleć, i on doskonale to wiedział. Cwaniak. Już otwierałam usta, żeby zadać kolejne pytanie, ale Korczyński był szybszy.

- A teraz niech mnie pani podwiezie kawałek do Krzyżewa, bo

tam siedłem, zanim mnie zatrzymaliście.

- Pan obserwuje złodzieja czy chce go złapać, licząc na ślepy fart? - spytałam, włączając silnik.

- Ani jedno, ani drugie. Co to są za informacje, które chciała pani przehandlować?

- Co? - spytałam zaskoczona. - A tak, już wiem. Rozmawialiśmy z różnymi ludźmi i niektórzy twierdzą kategorycznie, że duch nie pojawia się w deszczu. A pan powiedział coś zupełnie innego.

- Pierwsza moja wyprawa była w deszczu, a inne... - zamyślił się sierżant - ...a inne być może nie. Nie zwracałam na to uwagi, ale fakt, że nie przypominam sobie, żebym zmókł.

- Biorąc pod uwagę, że pan jako duch operuje głównie przy ładnej pogodzie, to czy oznacza to, że złodziej też? Że wybiera dni, kiedy nie zmoknie?

- Też już o tym myślałem, to jedna z hipotez. A jaka jest kolejna informacja?

No proszę, jaką miał dobrą pamięć, mówiłam w liczbie mnogiej i teraz nie zadowolili się tylko elementem pogodowym. Powiedziałam, że wydaje nam się, iż złodzieja interesują stare domy i starzy ludzie. Nie wiemy jednak, czy te dwa warunki muszą być spełnione jednocześnie, czy wystarczy jeden z nich. I to był strzał w dziesiątkę. Wzmiankę o pogodzie Korczyński przyjął spokojnie, informacja o starych domach zdecydowanie go ruszyła. Nie zaskoczyła, więc na pewno też brał to pod uwagę, ale był niemile zaskoczony, że przyszło nam to do głowy. Podobnie jak poprzednio, stwierdził, że to też jedna z alternatyw, ale widać było, że nie jest zadowolony, iż rozważamy taką możliwość. Czyli trzeba będzie podrażnić ten temat. Nim zadałyśmy kolejne pytanie, sierżant zażądał, żeby go wysadzić i po chwili zniknął w ciemnościach. Bez słowa zawróciłam do Fromborka.

- Nieźle jesteście - odezwał się wreszcie Marcin, jakoś bardzo małomówny do tej pory.

- Odzyskałeś głos?

- Ja tu mieszkam, co się będę Korczyńskiemu narażał. A o duchu i złodzieju wiecie więcej ode mnie. Dziwię się tylko, że w ogóle z nami rozmawiał.

- Zaskoczyliśmy go, nie spodziewał się, że ktoś na niego z krzaków wyskoczy. Gdyby nie to, powiedziałby, że spaceruje dla zdrowia albo coś takiego - zawyrokowała Julia.

- Poza tym wydaje mi się, że trochę zgłupiał, gdy zobaczył i nas, i ciebie.

- Może i tak. Dobra, tu mnie wyrzuć - zadysponował Marcin.

Chce tu, to proszę bardzo, ale nie lepiej byłoby gdzieś pod

domem? Nie wiedziałem, gdzie mieszka, ale chyba nie na wzgórzu katedralnym. Musiałam mieć dziwną minę, pewnie widoczną w lusterku, bo wyjaśnił od razu.

- Skorzystam z okazji i zrobię zdjęcia nocą.

Co to znaczy pasja! Ja myślałam już tylko o wygodnym łóżku, a on jeszcze szedł robić zdjęcia.

Ponieważ niestety nie mam elektryka i moja škoda nieźle hałasuje, znowu zostawiłyśmy samochód na drodze przed domem, nie wjeżdżając na podwórko. Przemykając do pokoju miałyśmy już opanowane i nie bałyśmy się, że obudzimy gospodarzy. Kot, rozwalony na Julki łóżku, spojrział na nas z wyrzutem, gdy zapaliłyśmy światło. Sorry, ludzie w ciemnościach nie widzą.

Obudziło mnie przygrzewanie w dłoń. Było to tak intensywne, że miałam wrażenie, iż będę miała oparzenia pierwszego stopnia. Wieczorem dokładnie zasłoniłam okna, ale teraz była niewielka szpara i to wystarczyło. Rozejrzałam się po pokoju, kota nie było, więc to pewnie on był winowajcą. Wychodząc rano oknem, wpuściłam do pokoju światło. Opanowując chęć zrobienia zimnego kompresu, wstałam po cichu, wzięłam książkę i prawie bezszelestnie wyszłam na balkon. Dosyć nietypowo jak dla mnie zrezygnowałam z dalszego porannego snu. Słońce wywabило mnie na zewnątrz.

Trochę przed dziewiątą zaspana i zdziwiona Julia zajrzała na balkon. Przeważnie to ona musiała mnie budzić na wszystkich wspólnych wyjazdach, a nie odwrotnie. Jak ją znałam, to już zaczynała żałować, że sobie pospała, bo mogłaby mnie w tym czasie na grzyby wyciągnąć. Las miałyśmy w planach, ten w pobliżu Jędrychowa.

- Polowanie na ducha nam odpadło, możemy skupić się na włamywaczu i mordercy - stwierdziłam, gdy kończyłyśmy śniadanie.

- Prawie jeszcze jestem w szoku. W życiu bym nie pomyślała, że sierżant wciela się w zjawę.

- Ja też. Nie znam się, ale to chyba dosyć nietypowe postępowanie jak na gliniarza. Nawet po godzinach. Niemniej jednak jedną sprawę mamy z głowy i nie musimy szukać zależności pomiędzy pojawianiem się złodzieja i ducha. Możemy się skupić na tym pierwszym.

Julia w milczeniu dojadła grzanek z dżemem. Wyglądała, jakby była negocjatorem w jakimś konflikcie wewnętrznym. Najwyraźniej czegoś chciała i nie chciała jednocześnie.

- Wyduś z siebie, bo cię zadławi.

- Trochę wbrew sobie muszę przyznać, że jeżeli sierżant też uważa, że złodziej z bliżej niewiadomego powodu interesuje się starymi ludźmi i starymi domami, to powinniśmy to sprawdzić.

Tylko nie szukaj jakichś wątków wojenno-rabunkowych. To może być zupełnie coś innego. Wojna i czasy powojenne sprzyjały rozmaitym nadużyciom, machlojom i przekrętom.

- Wiem. Możemy zrobić taki rajd po miejscach, w których dokonano kradzieży, i sprawdzić, z jakiego czasu są te domy.

- Poznasz tak na oko?

- Niektóre pewnie tak. Czasem nad wejściem jest AD i data, to nawet nie musiałybyśmy nikogo pytać.

- A grzyby?

- Jak będzie po drodze odpowiedni las, to zobaczymy, czy coś nie rośnie, ale na zbyt wiele nie licz. To jeszcze nie sezon na grzyby. Możemy zgodnie z planem zacząć od Jędrychowa. - Podniosłam się z fotela.

- Ja bym zaczęła od pani Zosi. Może nam pomóc.

Pomysł nie był głupi. Mogłyśmy zaoszczędzić sporo czasu, gdyby nasza gospodyni wiedziała, kiedy zostały wybudowane wskazane przez nas domy. Nawet jeśli nie wszystkie, to zawsze będziemy miały mniej do sprawdzania. Pewnie gdybyśmy dokładnie obejrzały wszystkie, wpadłybyśmy na jakiś pomysł. Może mają w sobie coś charakterystycznego oprócz wieku? Doskonale wiedziałam, że nie mamy szansy na dokładne sprawdzenie, co najwyżej będziemy mogły rzucić okiem zza płotu.

Rafał zadzwonił, gdy wychodziłyśmy z pokoju. Bez długich wstępów i czułości oznajmił, że przyjeżdżają wieczorem, obaj. Pokój sobie wynajęli w tej samej wsi, więc nie ma problemu. Obiecał zadzwonić, gdy wyjadą z Gdańska, bo Dawid nie był pewny, o której skończy pracę.

- Dobrze mówiłam, że przyjadą na weekend - odpowiedziałam na nieme pytanie Julii. - Pokój już mają, też w Bogdanach.

- To musimy zawiesić nasze śledztwo do poniedziałku.

- Pewnie tak, ale od wieczora. W weekend możemy pozwiedzać i skoczyć do Krynicy.

- Kto się do kogo przenosi?

- Mogę ja do Rafała - zdecydowałam i prawie potknęłam się o kota, który przyszedł się przywitać.

Pani Zosia siedziała przed domem, robiąc coś na drutach. Zerknęłam z ciekawości i zamarłam. To był sweter, ale jaki! Jednobarwny, dosyć obszerny, z ciekawym wzorem. Już w zimie szukałam czegoś podobnego. To było takie swetrzysko na chłodne zimowe wieczory. Wpatrzona w szybko śmigające druty spytałam, czy nasza gospodyni zrobiłaby mi taki sweter na zamówienie. Okazało się, że tak, bo nawet sobie dorabia w ten sposób, muszą tylko wybrać odpowiednią włóczkę i wzór.

- Właściwie przyszyliśmy do pani z takim jednym pytaniem - oznajmiła Julka, a zabrzmiało to tak, jakby słowo „takim” zawierało więcej treści, niż się wydawało.

- O ducha czy o złodzieja? - zgadła od razu pani Zosia.

- Poniekąd o złodzieja - przyznałam. - Zastanawiamy się, jakie są cechy wspólne tych wszystkich włamań, pomijając to, że w większości przypadków łupem padają niezbyt wartościowe przedmioty. I przyszło nam do głowy, że powinnyśmy sprawdzić, jak wyglądają domy, do których się ten typ włamał.

- Wiedzą panie, ile ich jest?

- Kilkadziesiąt. Ale tak sobie pomyślałyśmy, że może pani nam coś powie chociaż o niektórych? Bo pomijając liczbę zabudowań, to po prostu nie chcemy nachodzić ludzi i im głowy zawracać. No i nie każdy ma ochotę być wypytywany.

- Macie jakiś spis tych domów?

Pani Zosia odłożyła druty. Albo pytanie ją zaintrygowało, albo była ogólnie ciekawa, co uda nam się odkryć, albo chciała się nas pozbyć i wrócić do robótki.

- Mamy i spis, i pozaznaczane na mapie - pochwaliła się Julia.

- To chodźmy do altanki, tam będzie wygodniej.

We trzy pochyliłyśmy się nad zeszytem i mapą. Pytałyśmy o kolejne miejsca, a nasza gospodyni je opisywała. Oczywiście w większości przypadków nie pamiętała dokładnie, kiedy domy były budowane, ale wiedziała, które są najstarsze. Mieszkała tu od dziecka, wszystkie okoliczne wsie znała bardzo dobrze i jej opinie były cenne. W większości okradzionych domów mieszkali starsi ludzie. Niekoniecznie stuletni starcy, ale już w wieku emerytalnym. Tam gdzie właściciele byli młodszy, starsze pokolenie już nie żyło, a dom został odziedziczony.

- Nie okradł żadnego w miarę nowego domu - zauważyła ze zdziwieniem Julka.

- Przecież tak podejrzewałyśmy, co cię tak zaskoczyło?

- To, że miałyśmy rację.

Już chciałam powiedzieć coś więcej, ale powstrzymałam się w ostatniej chwili. Nie było sensu wtajemniczać pani Zosi w nasze śledcze rozważania. Obiecałyśmy, że wrócimy punktualnie na obiad, bo planowała coś, co nie lubi podgrzewania i pojechaliśmy na wizję lokalną. O wielu domach sporo już wiedziałyśmy, ale nie zmieniłyśmy planów na dzisiaj. Praktycznie w każdej wsi było kilka włamań, chciałyśmy na własne oczy zobaczyć, jak tam wygląda.

- A co do tych domów, to tu mało jest nowych.

- Wiem. Ale zobacz - Julka potrząsnęła zeszytem - według informacji od pani Zosi te okradzione są sprzed tysiąc dziewięćset

siedemdziesiątego.

- Czego on szuka? I dlaczego musi to być stary dom?

- Nowe mogą mieć lepsze zabezpieczenia - zauważyła Julia.

To prawda. Ale z punktu widzenia złodzieja chyba nie miało sensu wielokrotne włamywanie się do miejsc słabo zabezpieczonych, w których nie było nic wartościowego. Trening taki czy co? Lepiej byłoby się włamać raz, ukraść możliwie jak najwięcej i zniknąć. Chyba że to nie chęć wzbogacenia się była główną przyczyną włamań. Owszem, parę razy zginęły cenne przedmioty, ale wyglądało na to, że wpadły złodziejowi w ręce niejako przy okazji. I to nas prowadziło do już wcześniej rozważanej opcji: złodziej czegoś szukał. To coś było dla niego dużo ważniejsze niż możliwość wzbogacenia się przy każdej kradzieży. O dziwo, Julka nie protestowała przeciwko mojej teorii, choć zakładała ona, że motywów działań włamywacza należy szukać w przeszłości. Moja dusza historyka się radowała, ale powtrzymałam się od komentarzy w obawie, że Julia zaprotestuje przeciwko moim ciągłom do czasów minionych.

Jędrychowo, pierwszy cel naszej dzisiejszej objazdówki, otoczone było polami. Las w pobliżu był, ale nie podchodził pod samą wieś, nie graniczył z domami. Zabudowa nie była zwarta i nie ciągnęła się również wzdłuż jednej drogi. Z mapą w ręku wysiadłam z samochodu i rozejrzałam się ciekawie. Złodziej nie miał tu łatwo. Według naszych informacji włamał się do kilku domów, a co najmniej jeden z nich położony był w samym centrum wsi. To właśnie koło niego zaparkowałyśmy i teraz zza płotu, starając się zachować pewną dyskrecję, przyglądałyśmy się obejściu. Biegał po nim niewielki ciekawski kundelek, który natychmiast postanowił zawrzeć z nami znajomość i sobie tylko znaną dziurą w płocie wy dostał się na zewnątrz. Najpierw dosyć nieufnie poszczeakał na nas z pewnej odległości, a potem podszedł i zaczął nam się przyglądać. Obejrzałyśmy dom i poszłyśmy sprawdzić, jak wygląda kolejny zaznaczony na naszej mapie. Psiak podreptał za nami. Po kilku minutach był już na tyle oswojony, że dał się pogłaskać.

- Włamywacz nie miałby z nim problemów - zauważyła Julia. - Kiełbaskę przerzuconą przez płot na pewno by pożarł. Nie wierzę, że ktoś nauczył go, że nie można jeść z ziemi, nawet na własnym podwórku. Zobacz, to jest ten dom, o którym nic nie potrafiła powiedzieć pani Zosia. - Moja przyjaciółka wzrokiem wskazała najbliższe zabudowania. - Wygląda staro, ale jest też zaniedbany, więc czort wie, ile ma lat. W każdym razie nie jest nowoczesny. Pewnie też sprzed kilkudziesięciu lat.

- Zobacz, jak wygląda stodoła. Głowę dam, że jest wiekowa,

ledwo się trzyma. Przypuszczam, że była budowana w tym samym czasie, co dom.

Ten dom stał koło bocznej drogi i mogliśmy zobaczyć go również z boku. Podwórko nie wyglądało nowocześniej niż zabudowania. Wszystko było wiekowe. Łącznie z dwoma kotami, które wylegiwały się na parapecie w takich pozycjach, że chyba tylko cudem nie spadały z niego.

Kundelek towarzyszył nam podczas całego spaceru po wsi, od czasu do czasu dając się pogłaskać. Mijani mieszkańcy albo przyglądali nam się ciekawie, albo nas praktycznie nie zauważali zajęci swoimi sprawami. Na pewno pojawiało się tu sporo wczasowiczów, którzy nawet jeżeli w Jędrychowie nie nocowali, to mogli zwiedzać okolicę.

- Jedziemy do sklepiku - zarządziłam.

- Koniecznie do takiego małego wiejskiego? Nie lepiej do większego? - zaprotestowała Julia.

- Kupimy wodę i sok pomidorowy, bo już nam się kończą, a przez weekend spożycie będzie większe.

- To i piwo kupmy.

- I spytamy, czy tu są jakieś możliwości noclegu.

- Po cholere? W każdej wsi tak będziesz pytała?

- Dokładnie. Świetny pretekst do zadania pytania o naszego trupa.

- Ja tam się nie poczuwam do takiego stanu posiadania, może sobie być tylko twój - zaprotestowała od razu Julia, co było do przewidzenia. - Ale masz rację, od pytania o kwaterę można zacząć.

W sklepie była tylko sprzedawczyni, która z braku klienteli zajęła się czytaniem jakiejś kolorowej gazety. Na nasz widok podniosła wzrok znad czasopisma i czekała, aż powiemy, po co przyszliśmy, sama nie wychodziła z inicjatywą. Kupiliśmy to, co zaplanowałyśmy, i spytałyśmy o możliwości noclegu w okolicy. Okazało się, że w tej chwili w Jędrychowie nie ma takiej możliwości, ale tak w ogóle niektórzy wynajmują pokoje turystom. Sprzedawczyni była tak zdziwiona tym, że przyjechaliśmy bez wcześniejszego zapewnienia sobie noclegów, że musiałyśmy wyjaśnić, że teraz, owszem, mamy gdzie spać, ale zastanawiamy się, czy dla urozmaicenia nie przenieść się gdzieś indziej. Tym bardziej że nasz znajomy był w okolicy i podobało mu się. Może nawet robił tu zakupy? Podetknęłam kobiecie pod nos telefon z podobizną Minkowskiego i czekałam na reakcję.

- A taki tu był, rzeczywiście - przyznała kobieta tonem, który sugerował, że do tej pory uważała, iż tylko tak sobie gadamy, żeby pogadać. - Ale to już jakiś czas temu.

- Bo on bywał tu wielokrotnie, lubił Frombork i okolice - stwierdziła pewnym tonem Julia.

- Raz przyjechał, jak jeszcze zimno było. Miał bardzo fajną kurtkę, dlatego tak zapamiętałam. A potem jeszcze raz i to niedawno, gdy już się ociepliło.

Podziękowałyśmy za informację i wyszliśmy ze sklepu. Ewidentnie Minkowski kręcił się po okolicy, realizując zlecenie jakiegoś swojego klienta. I to nie jakieś ostatnie, a takie sprzed kilku miesięcy. Tylko, czy wiedział, że może być to niebezpieczne?

- Zastanawiam się, czy konkurował z włamywaczem.

- Myślisz, że obu do Fromborka zaprowadziła ta sama sprawa? No nie wiem. - Julia tak energicznie wzruszyła ramionami przy wsiadaniu do samochodu, że prawie uderzyła głową w dach.

Już się nad tym zastanawiałyśmy. Ale zanim okazało się, kim jest duch, kombinacji było zdecydowanie więcej. Teraz mogłyśmy zjawę wykreślić i skupić się na dwóch pozostałych elementach. Przyszły mi do głowy trzy opcje, ale mogło być ich więcej.

- A ile według ciebie w takim Fromborku może być zagadek wartych morderstwa? To nie jest duże miasto, tu jest spokojniej. Według mnie mogli albo działać razem, albo niezależnie, albo być konkurencją.

Więcej nie zdążyłam powiedzieć, bo dojechałyśmy do kolejnej wsi. Wiedziałyśmy już, na co zwracać uwagę, i nie zastanawiałyśmy się nad tym, więc kolejna wizja lokalna przebiegła sprawniej. Potem od razu pojechałyśmy dalej. Miałyśmy stosunkowo niewiele czasu, jeżeli chciałyśmy dotrzymać obietnicy i wrócić punktualnie na obiad. Postanowiłyśmy omówić spokojnie wszystko przy posiłku, a teraz skupić się na zbieraniu informacji i rejestrowaniu faktów. Robiłyśmy też oczywiście zdjęcia i rozmawiałyśmy z ludźmi, o ile nadarzała się taka okazja.

Pod domem pani Zosi zaparkowałyśmy pół godziny przed wyznaczoną godziną. Nie wiedziałam, czy uważać nas wyjazd za owocny czy za stratę czasu. Potwierdziło się to, co przypuszczałyśmy, ale czułam się znużona pewną monotonią. Prawie odruchowo sprawdzałyśmy, jak wyglądają miejsca odwiedzone przez włamywacza, ale nie zdarzyło się nic ekscytującego, a chyba podświadomie byłam na to nastawiona. Owszem, dwie osoby rozpoznały na zdjęciach Lecha Minkowskiego, ale na tym się atrakcje skończyły. Nikt nie widział, jak trup spod obserwatorium robi coś niestosownego, dziwnego lub podejrzanego. Najwyraźniej za życia nie wzbudzał tyle zainteresowania co po śmierci, nagle stał się atrakcyjny.

- A co ty byś chciała? Ścigać złodzieja po polach? - spytała Julia,

wycierając włosy.

Zdążyliśmy wziąć już kąpiel, bo było ciepło i parno, a moja Octavia miała zepsutą klimatyzację.

- W dzień? Odpada, on działa nocą.

- Popatrz, a trup operuje za dnia - zauważyła odkrywco Julka, powodując, że na moment zastygłam w bezruchu.

Moja wyobraźnia funkcjonuje całkiem niezłe i przed oczami pojawił mi się obraz nieboszczyka Minkowskiego stojącego nad stołem operacyjnym. W dzień. W stanie takim, jak go znaleźliśmy.

- Co cię tak zamurowało? Nie mam racji?

- Masz, masz - zapewniłam przyjaciółkę. - I niezłe skróty myślowe. Zostaw te włosy w spokoju, same z siebie zaraz ci wyschną, i chodź na obiad.

Jadłyśmy w altance, bo tu było znacznie przyjemniej niż w środku domu. Dodatkową zaletą było to, że byłyśmy same i mogłyśmy kontynuować śledcze rozważania. Niedługo przyjadą nasi faceci i przez dwa dni najprawdopodobniej będziemy robić co innego. Może nawet daliby się namówić na jakieś nasze zwariowane pomysły, ale na pewno chcieliby mieć wszystko pod kontrolą. A to była nasza przygoda.

- No więc jak to było z tymi trzema możliwościami?

- Złodziej i Minkowski mogli działać w porozumieniu: jeden się włamywał, drugi działał legalnymi metodami. Mogli też pracować zupełnie niezależnie od siebie, próbując odkryć to samo, a trzecia możliwość to konkurencja.

- Jakbyśmy się zdecydowały na konkurencję, to mogłybyśmy rozważyć, czy złodziej przypadkiem nie zabił detektywa - zaproponowała Julia.

- No nie wiem. Morderstwo jest ryzykowne i trudno przypuszczać, żeby policja nie zrobiła wszystkiego, co się da, żeby złapać sprawcę. Jeżeli to włamywacz by zabił, to chyba tylko w sytuacji absolutnie podbramkowej.

- Albo po to, żeby przejąć ten tajemniczy łup.

- Fakt. Wydaje mi się jednak, że najbardziej prawdopodobne jest to, że działali niezależnie. Zobacz, zupełnie inaczej podchodzą do sprawy. Jeden facet penetruje na bezczela domy obcych ludzi, drugi rozmawia i poszukiwania prowadzi oficjalnie.

- Nieoficjalnie też mógł, tylko nikt o tym nie wie.

- To nie zmienia faktu, że mają inny sposób działania.

- A morderca?

Na to pytanie trudno było nam znaleźć odpowiedź. Jeżeli zabił Minkowskiego, traktując go jako konkurencję, to mógł być w jakiś sposób związany z włamywaczem. Mógł jednak działać niezależnie

od nich obu. A to by oznaczało, że możemy się spodziewać kolejnych zwłok, tym razem złodzieja.

- Moje potrzeby w zakresie znajdowania martwych facetów zostały już zaspokojone! Nie szukam kolejnych trupów po lasach i polach! - natychmiast zaprotestowała Julia.

- Zapomniałaś, że nasze trupy same się znajdują? A jak było w zeszłym roku? Nie szukałyśmy, samo się znajdowało. Jak już się zabrałyśmy za szukanie, to znalazłyśmy starą bimbrownię - przypomniałam. - Ciekawe, na ile ten włamywacz jest zorientowany w tym, co się tu stało. Może nie wie, że miał konkurencję, która została brutalnie zlikwidowana?

- Chcesz go ostrzec?

- Zwariowałaś? Jak niby? Tyle tylko, że jeśli jest nieświadomy, to pewnie stanowi łatwiejszy cel.

- Dosyć mam tych złoczyńców na dzisiaj - stwierdziła nagle i kategorycznie Julka. - Cały dzień się z nimi kotłujemy, nawet w lesie nie byliśmy. Jedźmy do Fromborka, zrobimy sobie spacer nad zalewą.

Obie posługiwałyśmy się tą „zalewą”, zamiast „zalewem”. Spodobała nam się i natychmiast weszła do słownika. Nie miałam nic przeciwko, mogłyśmy poczekać na chłopaków nad wodą. A może by tak nawet pójść tam na piechotę? Julia była za, trzeba było tylko powiedzieć facetom, gdzie na nich czekamy. Okazało się, że jeszcze nie wyjechali i najprawdopodobniej wyjadą za godzinę, czyli o osiemnastej. Lekko licząc, miałyśmy dwie i pół godziny do ich przyjazdu, spokojnie mogłyśmy przespacerować się do Fromborka, wypić piwo w porcie i powgapiać w wodę, czekając na ukochane drugie połówki.

Nie było aż tak upalnie jak przedtem, ale do Fromborka doszłyśmy zgrzane i zasapane. Być może dlatego, że postanowiłyśmy nie wlec się noga za nogą, tylko przejść te prawie pięć kilometrów najszybciej, jak się da. Gdy siadłyśmy przy stoliku w restauracji w porcie, od razu podeszła do nas kelnerka z uśmiechem świadczącym, że już nas poznaje. Po tych dwóch razach?

- Byłyśmy z sierżantem i z Marcinem, pewnie dlatego jesteście rozpoznawalne. Nie każdy turysta je obiad w towarzystwie Korczyńskiego - zgadła bez pudła Julia.

Spojrzałam na zegarek, miałyśmy jeszcze ponad godzinę do przyjazdu Rafała i Dawida. Zastanawiałam się, co będą chcieli robić w weekend. Zaplanowałyśmy zwiedzanie i Krynicy, ale oni mogą mieć inne plany.

- E tam - rozwiąła moje wątpliwości Julia. - Na pewno chętnie

coś zobaczą.

- I trzeba ich zająć czymś, co nie będzie się im kojarzyło z ostatnimi wydarzeniami, może trochę przestaną się czepiać, że się narażamy. Inna rzecz, że zawsze możemy im powiedzieć, że jakie narażamy, przecież duchem jest szef miejscowego posterunku, więc raczej z jego strony nic nam nie grozi.

- Poza uduszeniem za wtykanie nosa w nie swoje sprawy - mruknęła Julka.

- Tego mówić już nie musimy. Idziemy się przejść? Mamy jeszcze trochę czasu do wytracenia.

- Po mieście czy nad wodę?

- Możemy schodami na wzgórze, zobaczymy, jak tam jest wieczorem.

- Pewnie tak jak w dzień, różnicę zrobi oświetlenie, a jeszcze jest jasno. Ale mogę iść.

Wysłałam Rafałowi SMS-a, że mają dać znać, jak będą dojeżdżali, i czekać na nas w porcie i poszliśmy na kolejny spacer. Tym razem czysto rekreacyjny, bez bicia rekordów w pokonywaniu trasy i szukania czegokolwiek, co według nas mogłoby wiązać się ze śledztwem. Kusiło nas, żeby wejść do katedry, ale doskonale wiedziałyśmy, że dziesięć czy piętnaście minut absolutnie nie wystarczy nam na zwiedzanie. W środku będziemy się miotać, nie wiedząc, na co popatrzeć, a po wyjściu poczujemy niedosyt. Jutro lub pojutrze spokojnie sobie wszystko obejrzymy bez presji czasowej. Teraz oglądałyśmy wszystko niejako z wierzchu. Byłyśmy co prawda na wzgórzu w niedzielę, ale wtedy skupiłyśmy się na ludziach, nie na zabytkach. Poza tym teraz było mało turystów i nie było się trzeba przepychać przez stojące tu i ówdzie mniejsze i większe grupy. Gdy podeszłyśmy do katedry, okazało się, że i tak jest zamknięta. Nie przewidziano popołudniowego zwiedzania zabytku.

- Jutro zwiedzamy Frombork, na mierzeję skoczmy w niedzielę - stanowczo stwierdziła Julka, gdy tylko wyszłyśmy za mury kompleksu katedralnego.

- Ja tam zgodliwa jestem, ale dlaczego?

- To kościół przecież. Czynny. W niedzielę będą msze, nie będzie jak wtedy zwiedzać. Sklerozę masz?

- Nie, skojarzenie mi nie zadziało. Przed chwilą myślałam, że tak tu fajnie teraz, bo nie ma tłumów jak w niedzielę. Jakoś nie przełożyłam tego na niemożliwość zwiedzenia katedry.

W tym momencie Julka tak mocno szturchnęła mnie w bok, że prawie sobie język przygryzłam, wypowiadając ostatnie słowo. Zanim zaprotestowałam, wskazała znikającego za zakrętem faceta.

O co jej chodzi?

- Nieboszczyk - wyszeptała z niedowierzaniem, a nawet lekką zgrozą.

- Zwariowałaś? Minkowski leży w kostnicy, pewnie była sekcja, nie wierzę, żeby lekarz kroił żywego faceta. I ten, którego znalazłyśmy, na pewno był martwy.

Ostatnie słowa wypowiadałam, biegnąc za Julią, która miała w czterech literach to, co do niej mówię. Wydawało jej się, że zobaczyła żywego trupa, i chciała to zweryfikować. Dopadłyśmy do zakrętu i spojrzaliśmy w dół. Na końcu schodów biegnących niejako z tyłu katedry było widać mężczyznę. Po chwili skręcił i zniknął nam z oczu. Faktycznie, sylwetkę miał zbliżoną do Minkowskiego, ale to nie przesądzało przeciw sprawie. Musiałyśmy go zobaczyć z bliska. To znaczy Julia musiała.

- Gazu! - zarządziła i zaczęła zbiegać po schodach.

Nie podejrzewała jej o aż taką determinację, schody były dosyć strome i na pewno nie nadawały się do biegów na czas. Co ona chciała zrobić? Zagadać do faceta? Gdy dobiegłyśmy na dół, po facecie nie było śladu. Po prostu zniknął z naszego pola widzenia. Stałyśmy na dole i rozglądałyśmy się bezradnie.

- Rozdzielamy się! Daleko nie odszedł - zarządziła Julia.

I właśnie w tym momencie zapikowała jej komórka. Dawid przysłał zdjęcie z portu, czyli już dojechali. Cholera! Nie mogli jechać chociaż dziesięć minut dłużej? Popatrzyłyśmy na siebie prawie z rozpaczą. Nie mamy rady teraz szukać faceta, bo niby co im powiemy? Że byłyśmy na drugim końcu Fromborka nie wiadomo po co?

- Przyśni mi się - zapewniła Julia, gdy posłuszne wezwaniu szłyśmy w stronę zalewy. - Chodzący nieboszczyk, to nie jest coś normalnego.

- Podobny był, wyluzuj. Innej możliwości nie ma.

- Pewnie tak. Ale wolałabym to sprawdzić.

- Co chciałabyś sprawdzić? Przecież to nie mógł być Minkowski. Chłopakom ani słowa! - dodałam na wszelki wypadek w obawie, że podekscytowanej Julii coś się wyrwie.

Dawid i Rafał czekali na nas, patrząc na wodę i w stronę katedry jednocześnie. Dobrze, że zeza rozbieżnego nie dostali.

- Gdzie was poniosło? - spytał mój mąż po odpracowaniu powitalnych uścisków.

- Na spacer do katedry, teraz jest tam prawie pusto.

Wymienili spojrzenia i byłam pewna, że zastanawiali się, gdzie nas diabli pognali w celach śledczych. Nie powiedziałam jednak nic, żeby im przypadkiem nie sugerować, że doskonale wiem, co ich

gryzie. Znałam ciekawsze tematy do rozmów z mężem i facetem przyjaciółki niż spowiadanie się z tego, gdzie chodzimy, i omawianie sytuacji, które mogły być dla nas niebezpieczne. Zresztą jak na razie tak naprawdę nie naraziłyśmy się na nic. Według mnie jedynie to nocne czatowanie mogłoby wzbudzić protest chłopaków, ale w chwili zatrzymania ducha był z nami Marcin, czyli miałyśmy obstawę. Ale oni pewnie mieli inne zdanie, bo po zeszłorocznych wakacjach zdecydowanie byli przeczuleni. W sumie z punktu widzenia uczuciowego to dobrze, zdecydowanie gorzej by było, gdyby nie interesowało ich, co robimy. Wolałybyśmy mieć jednak pełną swobodę działań śledczych.

- I jak tam wasz duch? - spytał Dawid na pozór bez nacisku.

No tak. Ponieważ rozmawiając z chłopakami, jak ognia unikałyśmy omawiania tego, co robimy w związku ze zjawą, złodziejem i morderstwem, nie powiedziałyśmy również o tym, kto przechadza się po okolicy wieczorami i wzbudza niepokój mieszkańców. Najwyraźniej Korczyński sam z siebie nie doniósł Podgórskiemu o naszej nocnej zasadzce, pewnie było mu głupio powiedzieć, że to jego złapaliśmy.

- Duch został już zdemaskowany - oświadczyła Julka z zadowoleniem.

Na szczęście staliśmy nad wodą i patrzyliśmy na żaglówki, a nie siedzieliśmy przy piwie lub jakimś jedzeniu, bo Podgórski na pewno by się zadławił. Rafał znał mnie dłużej niż sierżant Julkę, więc tylko popatrzył na mnie badawczo, a widząc, że jestem zarówno pełna satysfakcji, jak i nieco rozbawiona, czekał, aż się sytuacja wyjaśni.

- Kto odkrył, kim jest duch? - prowadził śledztwo Dawid, a ja słuchałam go zachłannie. Sposób wypytywania może nam się przydać w rozmowie z ludźmi.

- My - przyznałam z satysfakcją i jakoś nie dodałam, że w męskim towarzystwie.

- Oszalałyście? Cud, że nic wam się nie stało! - Podgórski wyglądał tak, jakby się zastanawiał, jak nas ubezwłasnowolnić.

- Miałyśmy obstawę, Marcin był z nami - uspokoiła go Julia.

- Marcin? Twój kuzyn? - spytał zdziwiony Rafał.

- Nie. Marcin z Fromborka. Facet, który wie wszystko o tym mieście - wyjaśniłam czym prędzej i dodałam, widząc podejrzliwy wraz twarzy Dawida. - Żonaty. Lata dronem i tak go poznałyśmy, bo akurat filmował okolice portu i był tutaj. Pasjonat, też zainteresowany duchem, więc dał się namówić na wieczorne czatowanie w krzakach.

- I złapaliście ducha - powiedział powoli Podgórski.

- Owszem - przyznała Julka. - I spróbuj zgadnąć, kto tu straszy

po nocy.

Sierżant Podgórski był bystrym facetem, we Fromborku znał tylko jedną osobę, więc długo zastanawiać się nie musiał.

- Żartujesz? Korczyński?

- Tak, we własnej osobie. W życiu bym nie pomyślała, że sierżant lubi przebieranki.

Dawid i Rafał przez moment wyglądali tak, jakby wyobrazili sobie Korczyńskiego w roli drag queen. Postarałam się zrobić to samo, a potem czym prędzej wyrzuciłam ten obraz z pamięci. Jeszcze mi się przypomniał podczas rozmowy z sierżantem, tfu, na psa urok.

- Kiedy zorientowaliście się, z kim macie do czynienia? - opanował się Podgórski.

Rany boskie, co w niego wstąpiło. Ja rozumiem, że jest gliniarzem z powołania, ale teraz jest tu prywatnie, a nie służbowo, i nie musi nas przesłuchiwać.

- Wyluzuj, Marcin go poznał z daleka. To znaczy zanim podeszliśmy. Nie narażaliśmy się na nic - zapewniłam. - Chyba że uważasz, że twój kolega po fachu może być niebezpieczny. W sumie, może i racja, nie znam innego policjanta udającego zjawę.

- Ala, uspokój się - poprosił Rafał.

- Ale czy ja coś mówię? Zdaję tylko relację.

- Zdaj ją porządniej. Chodźcie usiąść, nie będziemy przecież stać do jutra nad wodą - zaproponował mój mąż. - Piwa chcecie?

- Pewnie, co się głupio pytasz. Bezalkoholowe też mają.

Poganiane spojrzeniem Podgórskiego opowiedziałyśmy, jak to było z nocnym czatowaniem na ducha i złapaniem Korczyńskiego. W końcu nawet Dawid musiał przyznać, że nie było to niebezpieczne, a skoro Marcin wyszedł z kryjówki dopiero po tym, jak poznał sierżanta, to pewne względy bezpieczeństwa zostały zachowane. Opowieść dobiegła końca akurat, gdy dopiliśmy piwo. Chętnie posiedzielibyśmy dłużej nad zalewem, ale faceci nie mogli zgłosić się do swoich gospodarzy zbyt późno, wyrrywając ich z pierwszego snu. Właściwie dotyczyło to mnie i Rafała, bo Dawid i Julka mieli zostać u pani Zosi.

* * *

Tak jak sobie z Julią wstępnie planowałyśmy, sobotę poświęciliśmy na poznawanie Fromborka. Zwiedzenie katedry, muzeum, obserwatorium i działu historii medycyny Muzeum Mikołaja Kopernika mieszczącego się w szpitalu św. Ducha, zajęło nam cały dzień. Nie spieszyliśmy się nigdzie, mogliśmy spokojnie wszystko pooglądać. Koło trzeciej zrobiliśmy sobie przerwę na obiad, tym razem nie w porcie, ale też zamówiliśmy ryby. Praktycznie aż do wieczora udawało nam się unikać tematu związanego z wydarzeniami, które nas tak intrygowały. Muszę jednak przyznać, że opisy roślin w ogrodzie przy dawnym szpitalu aż prowokowały do podjęcia zbrodniczych tematów. Oglądaliśmy sobie tojad, zwany też mordownikiem, co natychmiast nasuwało skojarzenia z morderstwem, i walerianę, która, jak głosiła tabliczka, była również używana przeciwko czarom, co oczywiście skierowało nasze myśli ku duchowi, chociaż już wiedziałyśmy, kto nim jest. Udało nam się jednak nie rozpocząć rozmowy na ten temat, za to bez oporów zachwycaliśmy się roślinami. Naprawdę było czym.

Wieczorem sami zrobiliśmy kolację, wykorzystując do tego nazbierane przez nas wcześniej grzyby. Dawid i Rafał pożarli tak olbrzymie porcje jajecznic, że przez myśl mi przemknęło pytanie, czy obiad nie był tylko wytworem mojej wyobraźni. Następnego dnia chcieliśmy spędzić na mierzei i postanowiliśmy pojechać dwoma samochodami, żeby nasi faceci mogli bezpośrednio stamtąd wrócić do Gdańska.

- Powinnyście dostać jakąś nagrodę za umiejętne omijanie niewygodnych tematów - stwierdził Podgórski, gdy plan na niedzielę już został przez wszystkich zaaprobowany.

- Jakbyś nas nie znał.

- Znam was całkiem nieźle od tej strony, a w każdym razie tak mi się wydaje - zapewnił Dawid i nie zamierzałam wyprowadzać go z błędu. - Ale myślałem, że jednak poopowiadacie coś więcej o waszym śledztwie.

- Po co? I tak nie możecie nam w niczym pomóc, bo jutro wracacie - zauważyła Julka.

- Może moglibyśmy wam coś podpowiedzieć? - zasugerował Rafał.

- Świeże spojrzenie zawsze jest cenne - dołożył z nadzieją sierżant.

- Owszem, jest. Ale wasze rady pewnie sprowadzałyby się do stwierdzenia, że mamy się nie narażać, najlepiej nie wychodzić poza

podwórko pani Zosi – stwierdziłam, nie owijając w bawełnę.

- Naprawdę byście chciały, żeby widok waszych zwłok sprawiał nam przyjemność? – spytał retorycznie Podgórski.

- A gdy widzisz innego trupa, to sprawia ci radochę? – nie podarowałam sobie. – Nasze, nie nasze, w takim stanie jak nieboszczyk spod obserwatorium chyba by ci się nie spodobały. Chyba że masz taki wypaczony gust.

Podgórski przymknął oczy i wyglądał, jakby sobie wyobrażał nieboszczyków w różnym stadium rozkładu i zastanawiał się, który obraz najbardziej mu odpowiada. Kto wie, może nawet dopasowywał wygląd zwłok do nas?

- Coś tak zamilkł? Zastanawiasz się, w jakich zwłokach gustujesz? – na te słowa Rafał o mało nie oblał się piwem. – Te zesłoroczne przeleżały się w wodzie, te tutejsze dostały wycisk za życia i nie wyglądały wyjściowo – przypomniałam.

- Alka, czy ty możesz być poważna przez chwilę? Mówisz tak, jakbyś nie wiedziała, o co nam chodzi.

Doskonale wiedziałam, obie wiedziałyśmy. I obie starałyśmy się uniknąć tej rozmowy. Pewnie, że byłyśmy zadowolone z ich troski o nasze bezpieczeństwo, ale odkryta w zeszłym roku żyłka detektywistyczna dawała o sobie znać. Chciałyśmy wszystko sprawdzić i odkryć same lub prawie same. Z Dawidem i Rafałem było to niemożliwe. Mieliby swoje pomysły i na pewno uważaliby, że ich są lepsze. W przypadku sierżanta miałoby to uzasadnienie, ale jeżeli chodzi o mojego męża, to niekoniecznie. Poza tym dla nas przygodą było ŁAPANIE mordercy albo złodzieja, a nie samo ZŁAPANIE go. Te wszystkie rozważania, kombinowanie, rozmowy z ludźmi i nawet nanoszenie na mapę kropek w miejscach, gdzie się pojawiali włamywacz i zjawa, budziły nasz szczerzy zachwyt i niosły za sobą dreszcz emocji.

- Wiem, ale traktujecie nas, jakbyśmy zamierzały gołymi rękoma łapać uzbrojonych przestępców. Nam chodzi o samo śledztwo – Dawid nabrał powietrza, ale wstrzymał się z uwagą na temat tego, co jako gliniarz myśli o cywilach utrudniających dochodzenie – nie o narażenie życia lub zdrowia.

- Uważamy, pilnowałyśmy się.

Julia miała rację, do tej pory praktycznie nikomu nie podpadłyśmy. Ciekawe, czy wyłapią tę różnicę. Nie wyłapali. W ogóle nie zwrócili uwagi na czas przeszły zastosowany w wypowiedzi.

- I bardzo dobrze. Rozmawiajcie sobie z ludźmi, a wszystkie spostrzeżenia przekazujcie Korczyńskiemu. Naprawdę wolę, żebyś wróciła z wakacji w jednym kawałku – zapewnił Rafał.

Nie skomentowałam tego jednego kawałka, ale korciło mnie, żeby spytać czy obcięte paznokcie albo włosy należy traktować jak rozkawałkowanie żywego człowieka. Podgórski też milczał, bo znał nas od tej strony lepiej niż mój mąż, który podczas poprzednich wakacji siedział na kontrakcie w Stanach. Wiedział, że nie odpuścimy, a ciekawość najprawdopodobniej będzie silniejsza niż zdrowy rozsądek. Nie prowadził śledztwa, a nawet nie był na miejscu, więc nie potrafił przewidzieć, w co możemy się wpakować i jaki numer wyciąć fromborskiemu sierżantowi. Przypuszczam, że sama myśl o tym podnosiła mu ciśnienie, bo nie włosy na głowie, wyglądał normalnie.

- Nie myśl tak bardzo, doskonale widać, że kombinujesz, jak nas ukrócić - wyrwało mi się, zanim zdążyłam się powstrzymać. Jasny gwint, po co ja mu damę pretekst do dalszej rozmowy na tak niewygodny temat?

- Mało wam było w zeszłym roku? Ta strzelanina u leśniczego mogła się źle skończyć!

- Zauważ, że to nie myśmy strzelały i nie myśmy poszły się włamać do kogoś, tylko wręcz odwrotnie - przypomniała Julka.

- Ale to był efekt waszych działań. Poza tym cały czas się bałam, że natknę się gdzieś na wasze zwłoki.

- Oj, co ty taki lękliwy jesteś! Nikt nam nic nie zrobił - przypomniałam i rozgoniłam komary, które zrobiły się nader aktywne i koniecznie chciały się na nas posilić. - Nie wiem, jak wy, ale ja ich karmić nie zamierzam, chodźmy do domu.

Przez moment patrzyli na mnie, jakbym mówiła o, na przykład, kilku kotach lub psach, ale gdy rozgonione komary wróciły i przystąpiły do ataku, natychmiast zrozumieli, o co mi chodzi. Podnieśliśmy się w trybie przyspieszonym i uciekliśmy do domu przed żadnymi krwi stworzeniami. Po drodze Julia i Dawid zdążyli zdecydować, że pojedą już do siebie. Weekendowego siebie. Popatrzyliśmy z Rafałem porozumiewawczo.

- Dawid nie odpuści - zauważyłam.

- Ja też nie. Możesz sobie mydlić oczy Korczyńskiemu, ale nie mnie. Nie wierzę, że coś was powstrzyma przed podpatrywaniem złodzieja lub śledzeniem mordercy.

- Jak nie wierzysz, to po co w ogóle drążysz temat?

- Bo nie mam pojęcia, co z wami zrobić - przyznał Rafał. - Najchętniej bym został, ale nie mam jak. Albo zabrał cię z powrotem do Gdańska.

- Przestań, mówisz, jakbym miała pięć lat. Naprawdę uważasz, że jesteśmy tak głupie, że na widok przestępcy przestaniemy zwracać uwagę na własne bezpieczeństwo?

- Z tego, co Podgórski opowiadał, to właśnie tak robicie.

- Dramatyzuje. Owszem, mamy rozmaite pomysły, ale musisz przyznać, że jak dotąd włos nam z głowy nie spadł.

- Chyba tylko przez przypadek i nie wiem, czy to wasza zasługa. Jak chcecie namierzyć tego złodzieja?

- Nie wiemy jeszcze, na razie zbieramy informacje.

Rafał uśmiechnął się nieznacznie i z lekką ulgą. Doskonale wiedziałam, co go tak ucieszyło. We Fromborku miałyśmy być jeszcze dwa tygodnie, więc istniała szansa, że będziemy miały za mało czasu na uzyskanie konkretnych efektów pracy śledczej. Zdawałam sobie z tego sprawę i już kombinowałam, jak przyspieszyć dotarcie do włamywacza, a może i do mordercy. Na wszelki wypadek udałam, że nie dostrzegam tego uśmiešku zadowolenia, i poszłam się kąpać.

* * *

Wyjazd do Krynicy zaplanowaliśmy na dziewiątą rano, żeby na miejscu spędzić jak najwięcej czasu, więc zbyt długo nie pospaliśmy. Gdy zeszliśmy na dół, Julia i Rafał już na nas czekali. Julka miała taką minę, jakby nie mogła się zdecydować, czy jest zadowolona, czy wściekła i niewątpliwie to Dawid był odpowiedzialny za jej rozterki. Dostyc łatwo mogłam je sobie wyobrazić: z punktu widzenia osobistego była zadowolona, że Podgórski przyjechał, ale z punktu widzenia śledztwa wściekła, że się wtrąca. Mogło oczywiście być coś jeszcze, co mi od razu do głowy nie przyszło, a o czym mi Julka pewnie powie przy pierwszej nadarzącej się okazji. Załadowaliśmy się w dwa samochody i ruszyliśmy na podbój mierzei. Co prawda na dzikach położyłam krzyżyk, bo nawet najbardziej oswojone sztuki zapewne nie paradują środkiem Krynicy w biały dzień pośród wczasowiczów, ale i tak chciałam zamoczyć nogi w morzu i przejść się po plaży. Tak, jakbym w Gdańsku tego nie miała.

- Pokłócili się? - spytał Rafał, wyjeżdżając z podwórka pani Zosi.

- Pokłócili to może nie, ale na pewno Dawid wkurzył Julkę.

- Nie mieli innych zajęć?

- Myślisz, że ile czasu potrzebowałbyś, żeby doprowadzić mnie do stanu warczenia?

- Zależy, kiedy - stwierdził rzeczowo Rafał. - I zależy, na co miałabyś się wściec.

- Uwierz mi, że jakbyś próbował mnie odwieść od próby znalezienia złodzieja, to zaczęłabym kąsać bardzo szybko. Pewnie

wystarczył im kwadrans rano.

- Normalnie czuję się sterroryzowany - roześmiał się mój mąż. - Ale i tak będę cię pilnował, choćby zdalnie. Wolę wiedzieć o twoich najgłupszych pomysłach i się nawet z tego powodu denerwować, niż wściekać dlatego, że mi nic nie mówisz. I naprawdę chcę, żebyś była w jednym kawałku. Obiecuj mi, że dwa razy pomyślisz, zanim zrobisz coś głupiego.

Rafał sprytnie wykorzystał sytuację, wracając do tematu narażania się. To był motyw przewodni weekendu, bo nawet jeżeli zachwyty nad katedrą lub obserwatorium na chwilę były tematem numer jeden, to po jakimś czasie naszym facetom znowu włączała się opcja „trzeba je pilnować”. Bokiem już mi to wychodziło.

Po półtorej godzinie jazdy zatrzymaliśmy się na parkingu w Krynicy Morskiej. Nie dziwiłam się, że swojego czasu taką popularnością cieszyło się w zimie jechanie na skrót przez zalew. Niby blisko, drugi brzeg widać, a normalną trasą jedzie się długo. Teraz taka wyprawa przez skutny lodem akwen chyba nie byłoby możliwa, zimy są mniej mroźne. Nawet nie wiem, czy cały zalew zamarza, nie mówiąc już o tym, że lód musiałby być odpowiednio gruby, żeby po nim jeździć. Staliśmy na tym parkingu w środku miejscowości i rozglądaliśmy się z lekkim powątpiewaniem. Mimo że było przed jedenastą i słońce grzało całkiem nieźle, po ulicach przewalały się prawie tłumy. Rany boskie, czy ci ludzie nie mieszczą się już na plaży? Pogoda i bliskość wody oraz piasku według mnie wykluczała spacer po asfalcie.

- Myślicie, że da się wykąpać czy trzeba się przebijać przez zwarty tłum na plaży i w morzu? - Rafał chyba myślał dokładnie o tym samym.

- Nie wiem. Chodźcie zobaczyć. Możemy się przejść do Piasków plaż - zaproponowała Julia.

- Ale to chyba ponad dziesięć kilometrów. A potem musimy wrócić - zauważył Dawid. - Ja tam mogę iść, ale nie wiem, czy o to wam chodziło, jak mówiłyście, że chcecie mierzeję zobaczyć.

- Zdecydowanie nie o to - zapewniłam i wyciągnęłam z samochodu plecak. - Chodźmy się przekąpać, możemy się przejść kawałek plażą albo lasem, a potem zjemy jakieś lody, pojedziemy do Piasków, zobaczymy, jak tam jest, i zdecydujemy, gdzie się zakotwiczamy na obiad.

- Tylko uwzględnij w planach, że muszę być o dwudziestej w Gdańsku - przypomniał Dawid.

Torując sobie drogę wśród kolorowego tłumu, poszliśmy na plażę. Mijaliśmy wczasowiczów ubranych typowo wakacyjnie, ale i takich, którzy robili wrażenie, jakby przyjechali tu, żeby zrobić

wrażenie. Na kim? Na innych odpoczywających? Minęły nas trzy kobiety w pełnym makijażu, fryzurach chyba prosto od fryzjera, szpilkach i sukienkach. Co prawda nie wieczorowych, bo pora była nieodpowiednia, ale zdecydowanie nie wakacyjnych. Julka aż się obejrzała za nimi.

- Nie patrz, bo ci zaszkodzi. Normalni ludzie tak nie wyglądają na wakacjach - zawyrokowałam.

- Może one tu na podryw przyjechały? - zastanowiła się moja przyjaciółka.

- I całe dni spędzają, parując po miasteczku? - spytał sceptycznie Rafał. - Zgrabne były, plaża wydawałaby się sensowniejsza.

- Może ci, na których polują, nie należą do grupy miłośników plaży i fal? - wzruszył ramionami Dawid. - Co was tak to ruszyło?

- Wygląd mi nie zagrał z miejscem i pogodą.

- Nie wszystkie kobiety jadą na wakacje po to, żeby złapać mordercę, a co najmniej złodzieja - nie mógł sobie darować Podgórski.

- Jasne. Niektóre jadą po to, żeby sobie popodrywać rozmaitych facetów - stwierdziła niemiłosiernie Julka. - Co wolisz?

- A muszę wybierać?

Dawid wyglądał tak, jakby sobie wyobraził wystrojoną Julkę podrywającą kogokolwiek. Gdzieś tam coś mu się w środku uśmiechnęło do wyobrażenia tak wyglądającej Julii, a jednocześnie zazdrość go ukąsiła. Morderca czy podryw?

- A czy wy nie mogłybyście po lesie spacerować, pływać, zbierać grzyby i zwiedzać? - zapytał z nadzieją.

- Ale my właśnie to robimy - zapewniłam go natychmiast. - Jedlicie przecież jajecznicę z grzybami, prawda? Suszonych jeszcze nie mamy, bo jeszcze sezon grzybowy się nie rozpoczął. A przy okazji tych spacerów po okolicy rozmawiamy z tubylcami, trochę wypyujemy...

- ...i znajdujemy trupa koło obserwatorium - dodał Rafał.

- No cóż, wygląda, że na trupy to sezon akurat już jest - zauważyłam.

Chłopaków zatkało. Na pewno nigdy nie przyszło im do głowy, że może być coś takiego jak sezon na nieboszczyków.

- Dokładnie. Tak właśnie to wygląda - podsumowała Julia i zmieniła temat, bo okazja była znakomita. - Zobaczcie, myślałam, że jednak więcej ludzi będzie na plaży.

Absolutnie nie oznaczało to wyludnionej plaży, ale rzeczywiście dało się ręczniki rozłożyć. Kapaliśmy się na zmianę: jedna para w wodzie, druga pilnuje grajdoła, a potem poszliśmy się przejść

wzdłuż brzegu. Koło pierwszej byliśmy z powrotem w Krynicy i zaczęliśmy się rozglądać za jakimiś lodami, z tym że nie satysfakcjonowało nas zjedzenie ich na stojąco. Potrzebny był stolik i krzesła, żeby można było chwilę posiedzieć. Najlepiej w cieniu. Z cieniem był pewien problem, bo na pomysł zjedzenia czegoś słodkiego wpadła chyba ta część odpoczywających w miasteczku, która akurat nie była na plaży. W końcu udało nam się zdobyć miejsce siedzące i zamówić po pucharku lodów z dodatkami. „Zdobyc” jest właściwym określeniem, bo na to samo miejsce czatowali również inni. Na szczęście Rafał był szybszy.

- Nie chciałabym spędzać wakacji w takim zagęszczonym miejscu.

- Nie chcę ci wypominać, ale to ty miałaś pomysł, żeby jechać na mierzeję - nie podarowała mi Julka.

- Na mierzeję tak, ale nie w tłok. Pewnie są tu mniej zatłoczone rejony.

- Na to zbyt nie licz. Mam wrażenie, że tam, gdzie jest się jak zatrzymać i przenocować, jest dużo ludzi. - Rafał pochłaniał lody w tempie przyspieszonym. - Zamówię drugie, chcecie?

Dawid chciał, my postanowiłyśmy oprzeć się pokusie w trosce o kalorie, a właściwie przeciwko kaloriom. Im mniej, tym lepiej.

- Jeśli macie ochotę na pobyt w wyludnionej Krynicy, to trzeba przyjechać tu w zimie, pewnie nie ma takiego szaleństwa.

Byłam skłonna zgodzić się z nim. Na pewno wakacje i wszystkie długie weekendy były bardziej atrakcyjne niż miesiące zimowe. Wtedy przyjeżdżali tu pewnie ci, którzy chcieli pospacerować i pooddychać morskim powietrzem. I może pojeść ryb. Na pewno nie było aż tak tłoczno.

Rafał i Dawid poszli domówić lody, bo uznali, że na kelnerkę będą czekali do śmierci, nie interesował jej obsłużony już stolik. Dojadając desery, wpatrywałyśmy się w przechodzących ludzi i w ogródek kawiarniany po drugiej stronie ulicy. Nagle obie drgnęłyśmy nerwowo i spojrzałyśmy zdezorientowane na siebie. Po drugiej stronie siedział nasz obcy trup. Czyżby się Julce wczoraj nie przywidziało?! Siedział, wcinał jakieś ciasto, popijał kawą, rozmawiał z mężczyzną siedzącym z nim przy stoliku i nie wyglądał na martwego.

- Kurwa, nie wierzę... - zakląłam oszołomiona.

- Tylko koloryt zmienił - szepnęła Julia.

Rzeczywiście. Trup spod obserwatorium był dzisiaj ubrany w czarne krótkie spodenki, czarne adidas i ciemnoszary T-shirt. Zmienił image? A może był w żałobie po sobie? Wczoraj jakoś nie zwróciłam uwagi na jego strój. Wychyliłam się trochę i spojrzałam

w stronę lady, przy której stali nasi faceci. Przed nimi były jeszcze dwie osoby. Zerwałam się z krzesła, jakby mnie zniecka w odwłok ukąsiło, wzbudzając tym nadzieję czekających na stolik i niepokój Julii.

- Co chcesz...

- Idę go obejrzeć, wymyśl, co powiedzieć chłopakom. Cokolwiek, tylko nie mów, że tam nasz trup siedzi.

Przeszłam przez ulicę i udając namysł, stanęłam niedaleko stolika, przy którym siedział nieboszczyk. Jak Boga kocham, nie wyglądał źle. Nie mogłam tak tkwić prawie pośrodku wąziutkiego chodnika, musiałam coś wykombinować. Na szczęście na stoliku obok leżało menu i, udając zainteresowanie asortymentem kawiarni, grzecznie spytałam siedzących przy nim ludzi, czy mogę zerknąć, co tu się serwuje. Mogłam. Tkwiałam więc pomiędzy stolikami, przeglądając propozycje lodów, ciast i napojów i usiłując podsłuchać, o czym rozmawia trup. Na szczęście nie ściszał głosu, pewnie dlatego, że wszyscy rozmawiali i byli zainteresowani swoimi sprawami. Nie mogłam w nieskończoność tkwić mu nad głową z menu w ręku i udało mi się usłyszeć tylko kilka zdań. Ich sens był taki, że nieboszczyk musi pojechać do Fromborka i kogoś odnaleźć, bo inaczej inny ktoś się wkurzy. W tym momencie kątem oka zauważyłam, że Dawid i Rafał z pucharkami w ręku wracają do naszego stolika, więc oddałam menu i zrobiłam to samo. Julka wpatrywała się we mnie tak, że ich nie zauważyła.

- Nie smakowały ci lody? - Rafał rzucił okiem na moje niedojedzone słodkości.

- Co? A nie, dobre są. - Czym prędzej zaczęłam wyjadać roztopioną mieszaninę wszystkiego, co zawierał pucharek. - Chciałam tylko sprawdzić, czy po drugiej stronie mają to samo, czy są na przykład jakieś specjalności kawiarni.

- Sądząc z tego, jak się wpatrujesz w to, co ludzie tam jedzą, to coś dobrego tam wypatrzyłaś - roześmiał się mój mąż. - Ale nic z tego, nie zdobywamy następnej miejscówki, tylko jedziemy do Piasków.

- Ciekawe, gdzie na mierzei można zjeść dobrą rybę? - zmieniła temat Julia i wszyscy spojrzeli na nią, a nie na kawiarnię po przeciwnej stronie. Brawo.

Przypuszczam, że takich miejsc jest tu sporo, w końcu mając z jednej strony zalew, a z drugiej morze, trudno nie mieć świeżych ryb. Nie znaleźmy jednak ani jednej knajpy na mierzei, nie popytaliśmy znajomych i teraz byliśmy skazani na wybór w ciemno.

- Pewnie wszędzie jest dosyć smacznie, trudno zepsuć świeżą rybę - zawyrokował Dawid. - Poszukamy czegoś z niedużą kolejką

do stolika i sensownymi cenami. Jak wracaliśmy z plaży, to mijaliśmy jakąś knajpę i słyszałem, jak rozmawiali ludzie, którzy wyszli akurat z obiadu. Nie wiem, co jedli, ale byli oburzeni, bo wyszło im prawie po sto pięćdziesiąt złotych od osoby.

- Może węgorki? To by mogło tłumaczyć cenę. Plus przystawki i alkohol i by się uzbierało - zauważyła Julia.

- Niby tak, ale robili wrażenie, jakby zjedli kawałek flądry za stówę.

- Może dopiero przyjechali i trafili do najdroższego lokalu, bo akurat tylko tam były wolne stoliki, a oni nie mieli rozeznania - wysnułam przypuszczenie.

Cały czas usiłowałam obserwować fromborskiego nieboszczyka, co było o tyle trudne, że Marcin i Rafał trochę mi go zasłaniali. Odsunęłam krzesło, widok się polepszył, ale szafu nie było. Widziałam tylko pół trupa, który cały czas rozmawiał ze znajomym. W pewnym momencie dosiadły się do nich dwie osoby, kobieta i mężczyzna, i widać było, że całkiem dobrze się znają. Dawało nam to szansę na sprawdzenie, co facet robi w Krynicy. Od razu postanowiłam, że jutro znowu tu przyjedziemy i, pokazując zdjęcie Minkowskiego, popytamy o niego. Dzisiaj nie było na to szans, towarzystwo chłopaków uniemożliwiało swobodne pytanie o innego mężczyznę. Pomijając już fakt, że obaj natychmiast zainteresowaliby się tym, co robimy, a Dawid przejąłby zaraz sprawę w swoje policyjne ręce.

Usiłując udawać, że bardzo chętnie jadę na dalszą wycieczkę po mierzei, podniosłam się od stolika i poszłam za resztą towarzystwa.

- Nie wiem, kogo wczoraj widziałam, ale to nie może być trup - szepnęła mi Julka na ucho. - Za dobrze wygląda.

- Bo jest jeszcze świeży, nienapoczęty przez robale i nietknięty procesem rozkładu.

- Głupia jesteś! Człowiek zaczyna się rozkładać natychmiast po zgonie! Ale masz rację, ten się nie rozkłada, jest najnormalniej w świecie żywy.

- Walnęłyśmy się? To nie był trup? - spytałam z niedowierzaniem i to było wszystko, co udało mi się powiedzieć, bo doszliśmy na parking.

Następne trzy godziny minęły mi jak we śnie i podejrzewam, że Julii podobnie. Nagle ożyły nieboszczyk intrygował nas tak, że prawie nie zwracaliśmy uwagi na to, co oglądamy, gdzie spacerujemy i co jemy. Musiałyśmy za to uważać na to, co mówimy i jak się zachowujemy, żeby Rafał i Dawid nie nabrali podejrzeń, że mimo ich stałego nadzoru i tak na coś trafiłyśmy. A swoją drogą, to ciekawe. Wystarczyło, żeby odeszli na kilka minut po lody, a my

w tym czasie zauważyliśmy naszego trupa w kawiarni. Jakiś taki urodzaj na zwłoki, również z nagła zmartwychwstałe tu panuje, czy co? Pożegnaliśmy się na ostatnim parkingu mierzei i rozjechaliśmy w dwie strony.

- Żałuję, że nie dopadliśmy tego faceta wczoraj, bo nie wiemy, czy to był ten sam co w kawiarni. Ale wydaje mi się, że to nie jest nasz nieboszczyk - stwierdziła kategorycznie Julia, gdy tylko skręciłam na Tolkmicko.

- Jest identyczny.

- Ale tamten tak oberwał, że nie wygoiłoby mu się to w ciągu kilku dni. Nie ma takiej opcji. Ten facet przy stoliku był w znakomitej formie, nie miał nic w gipsie czy w bandażach.

- Na twarzy też nie miał zadrapań ani siniaków - dodałam. - Znowu mamy znikające zwłoki?

- E tam, gdyby Lech Minkowski nie był martwy, to sierżant i ten młody chłopak reanimowaliby go, a nie czekali na ekipę na parkingu. Pod obserwatorium na pewno był trup.

- Sobowtór?

- Alka, czemu ty zawsze szukasz takich nieprawdopodobnych rozwiązań? Bliźniak po prostu - Julia porzuciła wczorajszą wizję spacerujących zwłok.

- I tak sobie siedzi ze znajomymi na kawie? Po tragicznej śmierci brata?

- A co ma robić? Grób kopać?

- Niekoniecznie, ale powinien chyba być przygnębiony? A nie kwitnąć towarzysko na kawie. Tym bardziej jeżeli zginął tragicznie jego bliźniak. Znacząca nie jestem, ale więź między bliźniakami jest podobno wyjątkowo mocna - przypomniałam.

- No ale pomyśl, co on mógłby robić teraz? Przygotowaniami do pogrzebu na pewno zajmuje się jakaś firma pogrzebowa, stypa będzie w knajpie. Mógłby siedzieć w domu i patrzeć w ścianę albo...

- Albo spróbować skończyć to, co zaczął jego brat. Jesteś genialna! - pochwaliłam przyjaciółkę.

- No proszę, tak samo z siebie mi wychodzi, w ogóle nie muszę się przykładać do tych przebłysków geniuszu. Ale rozwiń temat.

Nie miałam kiedy powiedzieć Julii o tym, co usłyszałam, tkwiąc z menu nad głową brata naszego trupa. Jeżeli miał jechać do Fromborka, żeby coś zrobić, to istniała duża szansa na to, że będzie kontynuował działania brata. Być może śledząc go, odkryjemy, o co chodzi, i nawet dotrzemy do mordercy?

- Jeżeli miał dzisiaj jechać do Fromborka, to nie jego wczoraj widziałam - zauważyła Julia.

- Teoretycznie mógł być wczoraj tam, dzisiaj tu, ale tak to

powiedział, jakby dopiero miał jechać do Fromborka.

- Czyli wczoraj przeleciałyśmy się po schodach za jakimś obcym facetem.

- Nieboszczyk też jest obcy, ale masz rację. Dobrze, że sobie nóg nie połamałyśmy.

- Ciekawe, jak zareagują ludzie, którzy widzieli Lecha Minkowskiego, wiedzą, że on nie żyje, bo sierżant z nimi rozmawiał na ten temat, a potem nagle pojawi się w okolicy zmartwychwstały nieboszczyk - zastanowiła się Julia.

- Trup, który pojawia się i znika, normalnie pasuje do ducha. Podobny klimat. Fajne miejsce na wakacje wybrałaś.

- Powinnaś być zadowolona, chociaż nie przypuszczałam, że aż tak dobrze mi wyjdzie. Zwłok w planach nie miałam.

- Jutro wracamy do Krynicy - przerwałam rozważania i zaczęłam planować.

- Możemy wrócić, ale co chcesz zrobić? Nie możemy udawać, tak jak w zeszłym roku, że go szukamy w celach erotycznych, bo sytuacja jest zdecydowanie inna. Jeden facet na pewno nie żyje, a drugiego, identycznego, możemy spotkać w każdej chwili. Znając złośliwość losu, akurat w momencie, gdy będziemy pytały o jego brata.

- Ale możemy szukać po prostu Lecha Minkowskiego. Nie ma obawy, że go znajdziemy, a pokazując zdjęcie, możemy dojść do jego brata. Albo go po prostu spotkać w Krynicy.

- A po co go będziemy szukały? Najlepiej od razu mieć dobre wytłumaczenie.

- Wiemy, że jego brat wie, że Minkowski był we Fromborku, więc może pójść tym tropem? Też tam jesteśmy, spotkaliśmy się kiedyś na przykład w porcie...

- Na piwie?

- Lepiej nie precyzować, jeszcze się złośliwie okaże, że facet jest abstynentem. Spotkałyśmy, pogadałyśmy z nim, umówiliśmy się na kolejne pogaduchy i facet nie przyszedł.

- To trochę podobne do naszej zeszłorocznej bajki. Tej o tym, że nie przyszedł na schadzki.

- No co ty, różni się! Po pierwsze nie będziemy wciskać kitu o romansie z trupem...

- Przestań, bo mi się przyśni! Żeby chociaż był dobrze zakonserwowany! Ten z zeszłego roku lepiej się prezentował. Wolę romansować z Dawidem.

- No przecież mówię, że NIE będziemy. Po prostu ściemnimy, że gadałyśmy z nim, bo kto nam udowodni, że nie. I śmiało możemy się przyznać do tego, że po przyjeździe do Krynicy zobaczyłyśmy go

znowu, a on się zachowywał tak, jakby nas w ogóle nie znał. To nas zaintrygowało.

- Normalnie, gdyby nie te wszystkie zbrodnie, szukałabyś prawie obcego faceta po tym jak cię wystawił do wiatru, nie stawiając się na spotkanie?

- Oszalałaś? Olałabym go.

- No właśnie. Więc wymyśl coś innego, bo ludzie sobie dopowiedzą resztę. I załóż się, że pójdą w romans. A ja nie mam ochoty, żeby mi ktoś przypisywał podrywanie kogokolwiek, nawet nieboszczyka.

- A właśnie, a propos podrywania. Rano byłaś wkurzona na Dawida.

- A bo mnie zeźlił tym swoim pilnowaniem, żebym się nie narażała. Do diabła, dorosła jestem, żyję na tym świecie ładnych parę lat, udało mi się skończyć studia, a nawet daję sobie radę z licealistami. A on mi dupę truje, że muszę na siebie uważać, nie wdawać się w afery, nie narażać i zgoła nie oddychać. Oszalał.

- Zakochał się w tobie na maksa - zawyrokowałam.

- A czy ja mu bronię? Ale niech da mi żyć! Rafał cię tak nie męczy.

- Bo zna mnie dłużej, nie było go w zeszłym roku z nami na wakacjach, a poza tym ja jestem już zaobrączkowana od dawna i pewnie wie, że nie mam skłonności do podrywania obcych facetów pod jego nieobecność.

- Ja też nie mam.

- Ale Dawid nie musi być o tym do końca przekonany. I nakłada mu się ta lekka obawa o konkurencję i dużo większa o ciebie.

- No, ale żeby zupełnie poważnie chciał, żebyśmy wróciły do Gdańska? Rafał nie miał takiego pomysłu?

- Nie, ale mam mu mówić o wszystkim, uważać i nie pchać się w niebezpieczne miejsca.

- Oszaleli, zachowują się, jakbyśmy były specjalnej troski.

- Weź pod uwagę, że zdecydowana większość kobiet raczej zajęłaby się odwiedzeniem SPA, fryzjera, pójściem na spacer, czytaniem, opalaniem, plotkowaniem i tego typu sprawami, a nie łapaniem przestępców. Jesteśmy nietypowe, a oni muszą się z tym pogodzić.

- Nie bardzo chcą - mruknęła Julia.

- Miałam na myśli to, że nie mają wyboru, ale trudno im zaakceptować nasze nowe hobby. A Dawid ma jeszcze naleciałości zawodowe i boi się bardziej, bo potrafi sobie wyobrazić więcej sytuacji dla nas niebezpiecznych. I to, co się nam może stać. Dzwon do niego codziennie, niechby i dwa razy, może się uspokoi.

- Dobra, spróbuję. A co do tego, co będziemy ludziom mówić, to może przyznajmy się do wiedzy, że Minkowski nie żyje?

- Powiemy, że go znalazłyśmy?

- Nie, no co ty? Powiemy, że Korczyński łązi po ludziach i pyta, kto znał trupa. Trup obcy, my obce, więc mógł sobie pomyśleć, że może się znamy.

- Niech ci będzie. Ale zdziwienie na widok brata zwłok zostaje i możemy dlatego się tak podpytywać. Kto nam zabroni być ciekawskimi? - moje pytanie było ze wszech miar retoryczne.

- Nikt. Musimy Marcina uprzedzić, bo facet może do Fromborka przyjechać i Marcin będzie zaskoczony.

Nie wiem, czy nasz nowy znajomy zapamiętał, jak wygląda Lech Minkowski, ale rzeczywiście lepiej było mu powiedzieć, że trup może się pojawić w mieście w postaci jak najbardziej żywej.

* * *

Padać zaczęło jeszcze w nocy, czego pierwszym dowodem był mokry kot, który próbował wpakować się Julce do łóżka. Do tej pory nie miała obiekcji, pozwalała mu spać obok, ale mokra i śmierdząca sierść pod nosem to nie było to, co lubiła najbardziej. Kot dostał eksmisję i musiał się zadowolić fotelem.

Wyjeżdżałyśmy w deszczu, odprowadzane nieco zdziwionym spojrzeniem pani Zosi. Wiedziała, że jedziemy do Krynicy i była zaskoczona, że nie zmieniliśmy planów ze względu na pogodę. Mogłyśmy przecież przełożyć wyjazd. Teoretycznie tak, ale bałyśmy się, że brat Minkowskiego stamtąd wyjedzie. Mógł się od razu pojawić we Fromborku, ale to nie był pewnik, a przecież trudno go było szukać gdzieś indziej, nawet w Elblągu. Im mniejsza miejscowość, w której przebywał, tym większa szansa, że go znajdziemy.

- I co wtedy? - spytał Julka.

- No jak to? - w pierwszej chwili nie wiedziałam, o co jej chodzi.

- Metodą kolejnych przybliżeń dotrzemy do trupiego brata...

- Matko z córką, żebyś tylko tak nie powiedziała przy ludziach. To zabrzmiało prawie jak trupi odór.

- Dobra. Jak dotrzemy do brata nieboszczyka - poprawiła się Julia - to co wtedy? Porozmawiamy z nim? Spytamy, czego dotyczyła sprawa, która skierowała Lecha Minkowskiego do Fromborka? Po pierwszym pytaniu facet powie, że o niczym nie wie, a po drugim ulotni się i będzie się nas wystrzegał.

- Może i racja.

Rzeczywiście, facet mógł od nas uciec czym prędzej, a potem

unikać spotkań. Co prawda utrudniłoby mu to działania, ale nie o to nam chodziło. Chciałyśmy zobaczyć, co będzie robił. Zdecydowanie lepiej będzie go śledzić, jeżeli wcześniej się nie spotkamy. Prawie zawróciłam na drodze.

- No to nie wiem, co lepiej. Może poczatujmy na niego we Fromborku?

- A jak w Krynicy też czegoś szukali? Jeden brat we Fromborku, drugi na mierzei? Mogło tak być?

Julia miała rację. Wiedziałyśmy tylko o tym, co się dzieje w okolicach Fromborka, a nie o tym, co się ostatnio wydarzyło na mierzei. Jak zwykle jedynym dostępnym dla nas sposobem dowiedzenia się czegoś więcej były rozmowy z ludźmi. Ale z kim rozmawiać? Pewnie większość mieszkańców zajęta jest obsługą turystów i nie ma czasu się podrapać, nie mówiąc już o poplotkowaniu z dwiema nachalnymi kobietami. Co by tu wykombinować?

- Może poszukajmy jakiejś knajpy czy czegoś w tym stylu poza Krynica albo na jej skraju? Jest szansa, że tam będzie mniej ludzi.

- W duchy wierzysz? - spytała Julka i obie parsknęłyśmy śmiechem. Jedyne spotkanie okazało się policjantem po godzinach.

- Sprawdźmy, co nam szkodzi. Tam poszukamy plotek, a potem spróbujemy się zorientować, co bliźniak zwłok robi na mierzei.

Przez całą drogę snułyśmy rozważania na tematy morderczo-złodziejskie, próbując zdecydować, czy te dwie rzeczy łączą się ze sobą, czy nie. Gdy wjechałyśmy do Krynicy, nadal stanowiło to nierozwiązaną kwestię. Jechałyśmy tak wolno, jak to było możliwe bez tamowania ruchu, i rozglądałyśmy się dookoła. Przy głównej ulicy, praktycznie będącej szosą ciągnącą się przez całą mierzeję, też były restauracje i inne punkty gastronomiczne, co jakoś wczoraj nam umknęło. Zapewne nie damy rady pogadać dzisiaj we wszystkich miejscach, trzeba się będzie zastanowić, czy wybrać niektóre, czy przyjechać jeszcze raz.

Wycieraczki zgarniały pracowicie z szyb krople deszczu przez całą drogą, ale siedząc w środku, jakoś zapomniłyśmy, że pogoda się zmieniła. Było to widać na ulicach. Ludzie poubierani byli w rozmaite stroje przeciwdeszczowe, chowali się pod parasolami, a niektórzy przemykali bez żadnej osłony przed deszczem. Tych ostatnich było zdecydowanie najmniej.

- Ciekawe, co się robi nad morzem podczas takiej pogody.

- To samo, co wtedy, gdy świeci słońce, z wyjątkiem opalania - wzruszyłam ramionami. - Większość wczasowiczów przyjechała z daleka i morze ich przyciąga, więc pewnie chodzą na spacer po

plaży w kurtkach, sztormiakach i kaloszach. Albo po lesie szukając grzybów.

Przejechaliśmy przez Krynice i skręciłyśmy w lewo. Droga wiodła do ośrodków wczasowych, a stojąca obok drogi reklama informowała o tanich i smacznych obiadach dla każdego. Miejsce wydało nam się idealne na pierwszą rozmowę. Reklamująca się przy drodze restauracja położona była przy jednym z ośrodków, ale można było do niej wejść również od strony drogi, w tym miejscu już leśnej. Przed restauracją był ogródek, bardzo przydatny w upalne dni, ale dzisiaj odstraszaający mokrymi ławkami i stołami. Weszliśmy do środka i rozejrzałyśmy się po wnętrzu. Przy kilku stolikach siedzieli miłośnicy kawy, ciasta i piwa, ale mimo podłej pogody miejsca było sporo. Gdy usiadłyśmy, kelnerka pojawiła się prawie od razu, czyli nie była niczym zajęta i miałyśmy szansę na chwilę rozmowy. Zamówiłyśmy kawę, na ciasto przyjdzie czas, gdy wróci. Zawsze to jakiś pretekst do dalszej rozmowy. Była starsza od nas i miałam nadzieję, że mieszka gdzieś niedaleko, a nie przyjechała na wakacje, żeby sobie dorobić.

- Chciałyby panie zamówić coś jeszcze? - spytała, stawiając kawy na stoliku.

- Tak się właśnie zastanawiamy, może coś słodkiego?

- Ciasto czy raczej lody?

- A jakie ciasto pani poleca? Może macie jakąś specjalność restauracji?

Okazało się, że według kelnerki najlepszy jest sernik. Nie miałyśmy nic przeciwko i po chwili pojawiły się przed nami dwa spore kawałki ciasta. Zanim kelnerka odeszła, zadałam przemyślane wcześniej pytanie.

- Wie pani, my jesteśmy tu pierwszy raz, ale już się zorientowałyśmy, że większość restauracji przeżywa istne oblężenie. Obie lubimy ryby. Czy jest jakieś miejsce, w którym nie trzeba rezerwować stolika albo czekać godziny aż się coś zwolni, żeby zjeść obiad? Może u państwa?

- U nas jest smacznie, ale w rybie się nie specjalizujemy. - Kelnerka nie poczuła się dotknięta. - Najlepszą rybę można zjeść chyba na prywatnych kwaterach, często ktoś z rodziny łowi. Ale jak panie mieszkają w jakimś ośrodku, to trudno teraz będzie stołować się prywatnie. Wszędzie pełno ludzi. Co innego zimą.

- Pani tu mieszka? Przepraszam, że pytam... - zawiesiłam głos, nie wyjaśniając powodu pytania.

- Tak.

- To z nieba nam pani spadła! - ucieszyła się Julka. - Obiecałyśmy koleżance, ona jest socjologiem, że podczas wakacji

będziemy pytać o to, jak wygląda życie w miejscowościach takich jak Krynica.

Julia wymyśliła „bajkę” na poczekaniu, ale była to dobra bajka. Tłumaczyła nasze pytania, ale przerzucała ich pochodzenie na kogoś innego, mającego taki zawód, że nie budziły zdziwienia.

- Teraz to wszystko jest podporządkowane turystom. My zarabiamy głównie w sezonie.

- To jest oczywiste, naszej koleżance chodzi o to, czego nie widzą właśnie turyści, tacy ludzie z zewnątrz.

- Bo ja wiem? Chyba jest tu dosyć nudno poza sezonem. Wyludnia się, zostają tylko stali mieszkańcy. Oczywiście są okresy, kiedy i poza latem jest większy ruch, ale nie aż tak duży.

- Taka mała społeczność, to pewnie jest tu spokojnie, gdy nie ma obcych?

- Raczej tak - kelnerka zawahała się i z roztargnieniem spojrzała na wchodzących gości. - Ostatnio jednak było kilka kradzieży. Za każdym razem ginęły niezbyt wartościowe przedmioty, a raz dokumenty. Takie stare i chyba już nikomu do niczego niepotrzebne.

- O rany, macie swojego lokalnego włamywacza? Bo to chyba nikt obcy? - zdziwiłam się podstępnie.

- Nie wiemy.

Nowi goście spojrzeli wymownie na kelnerkę, bo ile można tkwić przy jednym stoliku. Kobieta poszła ich obsłużyć, ale miałyśmy nadzieję, że wróci dokończyć rozmowę. Postanowiłyśmy zamówić jeszcze po herbacie, żeby dać jej jakieś alibi. W końcu przy stoliku gości obsługa stoi tyle, ile musi, a nie czeka, aż podane ciasto zostanie zjedzone. Pomysł zrealizowałyśmy, a mina kelnerki świadczyła o tym, że nie był on głupi.

- Więc mówi pani, że nie wiadomo, czy ktoś przyjeżdża i okrada mieszkańców, czy po prostu to ktoś stąd - wróciłam do rozmowy.

- No właśnie. Te kradzieże miały miejsce również wtedy, kiedy tu prawie nie ma obcych i każdy turysta rzuca się w oczy.

- No właśnie o takie rzeczy chodzi tej naszej znajomej - ucieszyła się Julia.

- To jeszcze mogę powiedzieć, że duże emocje wzbudza projekt przekopania kanału. Kilka razy nawet doszło do bójki na tym tle.

No tak, planowany przekop mierzei budzi sporo kontrowersji nie tylko wśród ludzi mieszkających w pobliżu. Z jednej strony ma usprawnić żeglugę i transport, z drugiej jest ingerencją w naturę i może spowodować szkody w zakresie ekologii. Czytałam też wypowiedzi, których autorzy uważali, że żegluga większych jednostek po Zalewie Wiślanym stoi pod znakiem zapytania, bo jest

on za płytki. Przekopanie połączenia nie załatwi wszystkiego. Poza tym zastanawiało mnie to, jak sobie poradzą statki na zalodzonej zalewie i czy port w Elblągu rzeczywiście będzie przyjmował ich więcej. To ostatnie pytanie związane było z samą budową portu, jak i z tym, co jest transportowane drogą wodną. Specem nie jestem, ale port w Elblągu chyba za duży nie jest. Nie zdziwiłam się, że temat jest tu często omawiany i może być kontrowersyjny. Ale naszych przestępców chyba nie dotyczy.

- A tak z ciekawości, zupełnie prywatnej, wczasowicze wam problemów nie sprawiają? Bo mówiła pani o tym włamywaczu jak o takim zakłóceniu porządku i spokoju. A przecież zjeżdżają się tu ludzie z całej Polski i niekoniecznie same anioły.

- No tak, ale gdy jest jakaś kradzież, to ginie coś właśnie przyjezdnym. Na przykład biżuteria kobietom albo jakiś drogi sprzęt mężczyznom. Albo portfele. To zupełnie coś innego i do tego jesteśmy przyzwyczajeni w pewnym stopniu. Dzieje się to u nas, ale nas nie dotyczy.

Rozmowę przerwało nam pojawienie się kolejnych gości. Zdążyłyśmy tylko pokazać jeszcze zdjęcie Lecha Minkowskiego i kelnerka odeszła. Nie poznała go, ale nie zdziwiło nas to. Trudno, żeby bywał we wszystkich lokalach w Krynicy. Zaopatrzone w wiedzę o włamaniach postanowiłyśmy wstąpić tam, gdzie go wczoraj widziałyśmy.

- Ale może nie jedzmy tam nic słodkiego - zasugerowała Julka. - Ja lubię ciasto, ale ile tego w siebie zmieścimy?

- Nie przesadzaj, zjadłyśmy dopiero po kawałku sernika. Ale może brak miejsca uratuje nas przed zamówieniem czegośkolwiek. Bo pomijając przeżarcie, grozi nam jeszcze bankructwo. Tanio to tu nie jest.

W kawiarni kłębił się tłum, zgadłyśmy to bezproblemowo. Mogłyśmy udawać, że czekamy, aż się stolik zwolni, i tak sobie gadamy z personelem dla zabicia czasu. Problem był tylko jeden. Kelnerzy uwijali się jak w ukropie, nie mieli czasu na pogawędki z nudzącymi się turystkami. Rozglądnęłyśmy się poszukiwaniu kogoś, z kim mogłybyśmy zamienić kilka słów. Tylko jeden człowiek niewyglądający na wczasowicza nie miotał się, obsługując klientów, ale stał i wszystko bacznie obserwował. Szef? Właściciel? Wszystko jedno, grunt, że może da się z nim porozmawiać.

- Przepraszam... - zaczęłam i postarałam się zrobić minę zgubionej sierotki Marysi.

- Tak? - mężczyzna oderwał wzrok od sali i widząc dwie całkiem atrakcyjne kobiety, odruchowo się uśmiechnął.

- Czy tu zawsze jest taki tłok? - Julka nieomal zatrzepotała

rzęsami, mimo że odzęgnywała się od podrywania źródeł informacji.

- W sezonie tak. Panie czekają na stolik?

- Chyba nie będziemy, jeżeli może to dłużej potrwać. Wczoraj widziałśmy tu przelotnie znajomego i myślałyśmy, że może dzisiaj też będzie. Niektórzy mają ulubione kawiarnie i restauracje.

- Znajomy nie odbiera telefonu? - zdziwił się domniemany właściciel lokalu.

No masz babo placek! Znowu to samo. Komórki to zdecydowanie fajna rzecz, ale czasem przeszkadzają. Teraz wszyscy są na „smyczach”, żeby kogoś znaleźć, wystarczy do niego zadzwonić i spytać. Chyba że ktoś specjalnie nie odbiera telefonu od nękających go znajomych. Wolałam, żeby mężczyzna nie wziął nas za prześladowane żyjącego Minkowskiego amatorki letnich romansów.

- Nie mamy do niego telefonu, po prostu spotkaliśmy się we Fromborku i pogadaliśmy. Wie pan, jak to na wakacjach. Chciałyśmy go tylko ostrzec... - zawiesiłam głos.

- Przed czym? - facet dał się złapać.

- Koło Fromborka grasuje jakiś włamywacz. Nie wiemy, czy ten nasz znajomy wie o tym, więc jak go zobaczyłyśmy, to chciałyśmy mu powiedzieć. Po co mają mu coś ukraść?

- Paniom już coś zginęło?

- Nam nie, ale kilka domów dalej było włamanie parę dni temu - powiedziała Julia zgodnie z prawdą.

- Ale to przecież we Fromborku, a nie tutaj?

- No tak. Ale on mówił, że część wakacji spędza tu, część po drugiej stronie zal...ewu - o mało nie powiedziałam „zalewy”.

Policja ma zdecydowanie łatwiej. Zadaje konkretne pytania i dostaje odpowiedzi. Może nie zawsze zgodne z prawdą, ale pewnie też mogą z nich coś wywnioskować. My musimy działać podstępnie i często udawać, że nie interesuje nas to, co nas tak naprawdę stanowi powód pytań.

- A mają panie jego zdjęcie?

- Mamy. Robiliśmy sobie zdjęcie koło katedry - podetknęłam mu pod nos komórkę.

- Znam go! - stwierdził mężczyzna, gdy tylko rzucił okiem na zdjęcie. - Był ze cztery razy na kawie, raz sam i wtedy porozmawialiśmy. I mogę panie uspokoić, on wie o tych kradzieżach koło Fromborka, bo pytał, czy u nas też jest taka plaga.

- A jest? - spytałam zachłannie, dobrze, że Julka stwierdziła „uf, to dobrze”. - Powinniśmy na coś uważać?

- Na złodziei kieszonkowych na pewno, bo jak zwykle takie typy też tu w lecie przyjeżdżają. Ale na tego kradnącego i pod

Fromborkiem, i u nas chyba nie. On okrada miejscowych, a panie są letniczki.

- To nas pan uspokoił - uśmiechnęłam się promiennie. - Ale przykro nam, że macie takie kłopoty z włamywaczem.

- Takie straszne kłopoty to nie są, ten włamywacz jest dziwny, kradnie tylko jakieś duperele.

W tym momencie na sali zrobiło się jakieś zamieszanie, a nasz rozmówca przeprosił nas grzecznie i poszedł sprawdzić, o co chodzi. Ponieważ dowiedziałyśmy się tego, na czym nam zależało, nie czekałyśmy, aż wróci, tylko wyszłyśmy na ulicę.

- Co dalej? Wiemy, że nasz złodziej kradnie i na mierzei, a brat wie o tym i pewnie próbuje tutaj go namierzyć.

- Myślisz, że działali równolegle? Jeden na mierzei, drugi pod Fromborkiem? Ten tutaj miał zdecydowanie mniej roboty - zauważyłam.

- Może tylko pomagał bratu? Pewnie nikt by się nie zorientował, że jest ich dwóch, o ile nie zobaczyłby ich razem. Nam też nie przyszło to do głowy.

Takie rozwiązanie wydawało się logiczne. Bracia działali w porozumieniu, mało tego, w pewien sposób się zastępowali. Podśłuchana przeze mnie rozmowa również to potwierdzała. Ale z kim mógł rozmawiać żyjący Minkowski?

- No jak to z kim? Z jakimś innym pracownikiem tej agencji detektywistycznej. - Julia nie miała wątpliwości. - Może przekazywał mu jakieś wiadomości albo co.

- Od tego jest telefon. Niemniej jednak masz rację. To mógł być pracownik naszego trupa, który będzie teraz czatował na włamywacza tutaj. Zrobią wymianę. Bardziej doświadczony i więcej wiedzący o sprawie Minkowski pojedzie do Fromborka, a tutaj zostanie ten nowy.

- Jak go znaleźć?

- Kogo? - spytała Julia z przekąsem.

Do znajdowania lub śledzenia miałyśmy tyle osób, że lada chwila będzie trzeba je ponumerować, dobrze, że chociaż duch nam odpadł. Chciałyśmy namierzyć włamywacza i mordercę, teraz doszedł nam jeszcze brat nieboszczyka, a na upartego również ten jego pracownik. Cztery sztuki, nas dwie.

- Żyjącego Minkowskiego - sprecyzowałam. - Może dzięki temu zgadniemy, o co chodzi włamywaczowi?

- Ciekawe, jak go chcesz... - zaczęła Julia, ale dalszej części już nie słyszałam.

Jak dźgnięta ostrogą pognałam z powrotem do kawiarni. Szef czy też właściciel skończył zażegnywanie konfliktu i wrócił na swoje

miejsce. Chciałam zadać mu jeszcze jedno pytanie, takie, które by nam znacznie ułatwiło namierzenie Minkowskiego. Brat nieboszczyka na pewno jeździ samochodem, a auto łatwiej znaleźć niż człowieka, który może być w jakimś budynku lub na przykład w lesie. Może dowiem się, co to za samochód? Co prawda przed samą kawiarnią trudno było zaparkować, ale stąd było widać parking, więc pewna szansa istniała.

Właściciel restauracji spojrzał na mnie zdziwiony i zaintrygowany. Większość gości nie wbiega do lokalu z rozwianym włosom i nie przepycha się do niego między stolikami.

- A wie pan, czym on jeździ?
- Białym citroenem C5, a co?
- Bardzo dziękuję! Do widzenia!

Nie powiem mu przecież, co zamierzamy, a nie chciało mi się wymyślać nic sensownego, co by było choć trochę wiarygodne. Wróciłam do czekającej na mnie Julki zadowolona z uzyskanej informacji. Nie dość, że znamy markę samochodu brata nieboszczyka, to jeszcze wiemy, w jakim jest kolorze.

- Szukamy białego citroena.
- Łatwiej by było, gdyby był czerwony - zauważyła Julia.

- Nie marudź, i tak sporo wiemy. Chodź, spróbujemy jeszcze popytać o Minkowskiego i zobaczyć, czy gdzieś nie parkuje.

- Optymistka - mruknęła Julka, ale posłusznie poszła za mną. - Masz szczęście, że przestało padać, inaczej nie namówiłabyś mnie łażenie po Krynicy. Nawet pod parasolem.

Rozglądając się w poszukiwaniu samochodu i miejsc, gdzie według nas mógł bywać brat zwłok, przeszłyśmy całą Krynicę wzdłuż i wszerz. Po informacji od właściciela czy też szefa kawiarni szukałyśmy lokali, które miały szanse być czynne dłużej niż tylko w sezonie letnim. Jeżeli włamywacz działał tu tak długo, jak pod Fromborkiem, a Minkowski już wtedy tu przyjeżdżał, to musiał gdzieś jeść. Trop okazał się dobry, jeszcze w dwóch miejscach go rozpoznano. W jednym dlatego, że zawsze zamawiał węgorza, co się wiązało z dużymi rachunkami, a w drugim podrywał kelnerkę. Według nas wyłącznie w celach śledczych, bo Minkowscy byli przystojni, a kelnerka wręcz odwrotnie. Istotne było to, że został zapamiętany.

- Tak jak my, gdy wypyujemy o naszego obcego trupa i jego bliźniaka. Nie wspominając o duchu i włamywaczu.

- Ducha możesz już wykreślić. A co do reszty - wzruszyłam ramionami - nic na to nie poradzimy. Jemy coś?

- Byle nie węgorze.
- Nie lubisz?

- Lubię, ale mój portfel już niekoniecznie. Może być dorsz?

- Może być.

Znalazłyśmy nieduży lokal prawie na końcu Krynicy, o dziwo, dosyć pusty. Targnęła nami rozterka: tak źle karmią, mają mały wybór czy też ludziom nie chce się tu przyjść i wołą bardziej wypasione jadłodajnie?

- Piąta. - Julia zerknęła na komórkę. - Może dlatego jest mniej ludzi? Zjedli wcześniej?

- Nieważne. I tak nie chce mi się czekać gdzieś indziej godzinę na obiad. Ryzykujemy.

Złożyłyśmy zamówienie, dowiedziałyśmy się, że trzeba poczekać kwadrans, poprosiłyśmy o herbatę i w tym momencie zadzwoniła komórka Julii. Dawid. Obiecała, że oddzwoni, gdy tylko będzie w miejscu, gdzie może swobodnie porozmawiać, bo akurat czekamy na obiad, a pada, więc nie ma jak wyjść na zewnątrz. To drugie akurat było łągarstwem, ale musiałyśmy uzgodnić zeznania. Ledwo skończyła, zadzwonił Rafał. Dałabym sobie uciąć rękę, że umówili się, iż zadzwonią do nas o piątej. Powiedziałam mniej więcej to samo, co Julia, i popatrzyłam na nią porozumiewawczo. Nasi faceci pilnują nas zdalnie.

- Jak dostaniemy obiad, to zrobię zdjęcie i mu wyślę - stwierdziła Julka.

- Żeby nie pomyślał, że akurat śledzimy mordercę albo włamujemy się gdzieś w ślad za złodziejem?

- Dokładnie tak.

- Nie chcę cię martwić, ale zawsze mogłoby być tak, że przesyłasz zdjęcie sprzed dwóch godzin.

- Nie przesadzaj - skrzywiła się Julka.

W tym momencie kelnerka przyniosła nam obiad i okazało się, że trafiłyśmy na całkiem fajny lokal. Dorsz był smaczny, surówek sporo, a frytki nie były nasączone olejem do granic możliwości. Julia zgodnie z zapowiedzią pstryknęła zdjęcie i wysłała Podgórskiemu razem z informacją, że trafiłyśmy na małą knajpkę z dobrymi rybami.

Przerwa w deszczu skończyła się, gdy wychodziłyśmy z lokalu. Kryjąc się pod parasolami i gratulując sobie przezorności, prawie biegiem dopadłyśmy samochodu zostawionego w centrum Krynicy. Miałam nadzieję, że dzisiejsza pogoda nie jest zapowiedzią deszczowego tygodnia, bo to by zdecydowanie kolidowało z naszymi śledczymi planami. Co innego chodzić w nocy po lesie, polach lub wsiach, gdy jest sucho i ciepło, a co innego, gdy trzeba się ubrać w kurtki i kalosze, a mimo tych zabezpieczeń człowiek i tak jest mokry. Doskonale to przetestowałam. Kiedyś poszłam na grzyby po

dużym deszczu, który przeszedł w mżawkę. Wydawało mi się, że kurtka i kalosze wystarczą, ale nie wzięłam pod uwagę wysokich traw. Spodnie miałam tak mokre, że wilgoć podpełzła w górę i dotarła do bielizny. Zupełnie suchy miałam tylko stanik.

- Musimy wieczorem sprawdzić pogodę, żebyśmy gdzieś się nie wybrały bez kurtek.

- A czy musimy gdzieś łązić po deszczu? - zaprotestowała Julia.

- Jak będzie padało, to ja z przyjemnością mogę jeszcze raz przejść się po muzeach.

- A morderca sam się znajdzie?

- Nie, przy pomocy policji. Zapomniałaś, że to gliny się tym zajmują, a nie nauczycielki na wakacjach? Nawet takie trochę nietypowe?

- No przecież wiesz, o co mi chodzi. Mamy dwa tygodnie, nie możemy siedzieć z założonymi rękoma, gdy pogoda jest do niczego.

- Latania po nocy w deszczu odmawiam!

- To najwyżej pójdę sama, a ty się będziesz wylegiwała w łóżku z kotem.

- Czemu z kotem?

- Bo nie ma Dawida, a kot na bank przyjdzie ci dotrzymać towarzystwa.

Wiedziałam, że jak uprę się przy wyjściu z domu w ciemną, deszczową i nawet burzliwą noc, to Julka wbrew wcześniejszym protestom pójdzie ze mną. Szczerze mówiąc, nie miałam na razie pomysłu, jak i gdzie mogłybyśmy śledzić któregoś z bandytów, i zła byłam, że nie potrafię wymyślić sposobu dotarcia do nich. Nie miałyśmy pojęcia, gdzie i kiedy znowu włamie się złodziej ani czy morderca jest gdzieś w pobliżu. Spokojnie mógł zamordować naszego trupa, a potem zniknąć, wyjeżdżając na drugi koniec Polski. Jediną naszą szansą, jeżeli chodzi o zabójstwo, było namierzenie żyjącego Minkowskiego we Fromborku i sprawdzenie, co tu robi. Być może również śledzenie go.

- A jak jego też ktoś zabije? - spytała Julia, gdy dojeżdżałyśmy już do Bogdan.

- Nie bądź pesymistką.

- Jestem realistką. Jeżeli zabił naszego trupa, to może zabić i jego brata, myśląc, że obaj wiedzą tyle samo i tak samo mu zagrażają.

- Ale brat powinien być ostrożniejszy, wie, co może mu grozić - stwierdziłam i zaparkowałam pod domem pani Zosi. - Idę się wykapać, a potem można się zastanowić, co robimy jutro.

- O wpół do ósmej?

- No to co? I tak już nigdzie nie będziemy wychodzić, a jakbym

się jakimś cudem wybrudziła w pokoju, to nie ma zakazu drugiej kąpieli.

- Może i racja. Zadzwoń w tym czasie do Dawida, bo pewnie już tam przytupuje z niecierpliwości. Mówimy im, że byliśmy w Krynicy?

- Mówimy, i tak byśmy się pewnie wygadały wcześniej czy później. Po co mogłyśmy tam pojechać?

- Żeby zobaczyć, jak wygląda Krynica poza weekendem i w deszczowy dzień?

- No niech będzie, ale dorzuć do tego bursztyny.

- O tej porze roku?

- Raczej nie, ale przecież nie musimy o tym wiedzieć, nie? Mogłyśmy liczyć, że w taką pogodę będzie mniej ludzi na plaży i większe fale, więc może morze coś wyrzuci.

Julka przyznała mi rację i rozsiadła się wygodnie w fotelu, rozmowa zapowiadała się na dłuższą. W sumie myśl nie była głupia, ja też mogłam pogadać teraz z Rafałem. Leżąc w wannie, zdawałam relację z dzisiejszego dnia, omijając elementy śledcze. Tak, pojechaliśmy znowu do Krynicy. Miałyśmy nadzieję na bursztyny (tu pominęłam fakt, że nie postawiłyśmy stopy na plaży), pochodziłyśmy po całej miejscowości, znalazłyśmy mało obleżoną restaurację na jednym końcu Krynicy i fajne miejsce obiadowe na drugim. Nie, nie zmokłyśmy, miałyśmy parasolki. Pominęłam wszystko, co dotyczyło wypytywania o Minkowskiego, ale dodałam kilka barwnych opisów z knajpy i z ulicy, na której było całkiem sporo zabezpieczonych przed deszczem wczasowiczów. Rafał wydawał się usatysfakcjonowany i uspokojony, spędziłyśmy dzień prawie jak matrony, a nie postrzelone wariatki. Podejrzywałam, że Julka ma więcej trudności z przekonaniem Dawida, że dzisiaj nie przyszło nam do głowy nic głupiego. Miałam rację.

- Nie do końca mi uwierzył - powiedziała, gdy tylko wyszłam z łazienki.

- Bo doskonale wie, czego może się po nas spodziewać. Rafał nie widział, co robiłyśmy w zeszłym roku, i nawet jak go Dawid uświadomił, to jednak nie jest tak przeczulony. Jeżeli ci nie uwierzył, to myśli, że niby co robiłyśmy w Krynicy? W deszczowy dzień, w miejscowości pełnej ludzi?

- No właśnie tego nie zgadł - w głosie Julki pojawiła się satysfakcja. - Nie zauważył wczoraj, że wgapiamy się w brata zwłok spod obserwatorium i nic sensownego nie przyszło mu do głowy.

- Trzeba pogadać z Korczyńskim.

- Rany boskie, Alka, ja jestem do ciebie przyzwyczajona, ale przeskoki myślowe masz czasem nawet jak dla mnie zbyt odległe.

- No jak to? Dawid jest gliniarzem, sierżantem. Korczyński też. To bardzo proste skojarzenie.

- Oczywiście, jak mogłam na to nie wpaść. To oświeć mnie jeszcze na temat tego, o czym będziemy z nim rozmawiały.

- Spróbujemy go wypytać o tego brata.

- A jak nie będzie chciał z nami gadać?

- Dał nam numer telefonu i kazał się informować o wszystkim, prawda? To mu powiemy, że widziałyśmy trupa i jak to możliwe, że się nagle pojawił w Krynicy? Czy ten znaleziony przez nas człowiek był tylko pobity i nieprzytomny?

- Nie przejdzie.

- Dlaczego? Nie musimy być dla niego jakoś szczególnie inteligentne.

- Nie przesadzaj, w końcu studia skończyłyśmy i nawet udaje nam się wbić co nieco do głowy naszym uczniom.

- Inteligencja i wykształcenie to nie to samo. I weź pod uwagę, że możemy być takie mało inteligentne życiowo, a nie zawodowo.

- Możemy. Ale to nie przejdzie ze względu na Dawida i Rafała. Korczyński może im donieść, że widziałyśmy trupa, który nagle ożył i pojawił się w Krynicy. A wtedy będą wiedzieli, po co tam jeździmy.

- O cholera, masz rację - przyznałam i zamilkłam na chwilę. - Ale gdy go spytamy, jak tam śledztwo, to raczej nic nam nie powie. Może przyznajmy się do telefonu do tej agencji detektywistycznej i powiedzmy, że ktoś nas spytał, z którym Minkowskim chcemy rozmawiać?

Pomysł wydawał się niezły. Tłumaczył, skąd wiemy o bracie Minkowskiego, i nie mówił nic o tym, że widziałyśmy go na własne oczy. Do agencji detektywistycznej każdy może zadzwonić. Naszym dodatkowym atutem było to, że wiedziałyśmy, iż to sierżant jest duchem. Liczyłyśmy, że w związku z tym potraktuje nas trochę inaczej, niż potraktowałby dwie wścibskie, natrętne niczym muchy w upalny dzień i niemające co zrobić z czasem wczasowiczki.

Julka oznajmiła nagle, że jest głodna, i zerwała się robić kolację. Nie miałam nic przeciwko, co prawda jadłyśmy nie tak dawno, ale też czułam lekki wakat w żołądku. Najprawdopodobniej był to wpływ świeżego powietrza, normalnie nie jadłam co cztery godziny, chociaż podobno częste jedzenie małych porcji jest zdrowe.

Kot przyszedł, gdy już leżałyśmy w łóżkach z książkami w dłoniach. Był mokry i wyglądał jak siedem nieszczęść. Dał się wytrzeć, zjadł kilka przysmaków i nie protestował przeciwko zakazowi wstępu do łóżka Julki. Wystarczył mu fotel.

Padło całą noc i świat za oknem nie wyglądał zachęcająco, co od razu uzmysłowiło mi, że miałam wczoraj sprawdzić, jak

zapowiada się pogoda na najbliższe dni, i nie zrobiłam tego. Niemrawo wydłubałyśmy się z łóżek, przy czym najpóźniej wstał kot, który najwyraźniej odsypiał wczorajsze przemoknięcie. Teraz pokręcił się po pokoju i głośnym miauczeniem dawał znać, że chce, aby go wypuścić, z tym że nie na balkon, a do domu. Chce, niech idzie.

- Jesuuu, co za pogoda, ciśnienia to chyba w ogóle nie ma - mruknęła Julia, pstrykając czajnikiem. - Chcesz kawy?

- A co ja, chora jestem? Pewnie, że tak. Jeszcze jutro ma tak padać, a potem znowu będzie ładnie - zakomunikowałam znad komputera. - Trzeba pomyśleć, co możemy zrobić, żeby zbytnio nie moknąć.

- Poczytać w łóżku - ziewnęła Julka.

- Poczytać możemy wieczorem. Zjemy i się zastanowimy.

Krótką pośniadaniową naradą jasno wykazała, że możliwości śledczych zbyt dużo nie mamy. Zgodnie z wczorajszym postanowieniem miałyśmy porozmawiać z Korczyńskim, z tym że postanowiłyśmy pojechać do Fromborka i odwiedzić go na posterunku, bo to gwarantowało dłuższą rozmowę niż złapanie go na telefon. A w każdym razie tak nam się wydawało. Poza tym po wczorajszych rozmowach doszłyśmy do wniosku, że włamania i morderstwo są ze sobą powiązane, więc szukając włamywacza, możemy trafić na mordercę i odwrotnie. Do rozmowy z kelnerką nie wiedziałyśmy, że na mierzei też dochodziło do kradzieży o podobnym charakterze, jak w okolicy Fromborka. Teraz to się ładnie połączyło, bo skoro Lech Minkowski został zamordowany pod obserwatorium, a jego brata spotkałyśmy na mierzei, to oznacza, że sprawdzali te kradzieże tu i tu. Teoretycznie możliwe jest, że chodzi im o coś zupełnie innego, ale - umówmy się - ile afer naraz może mieć miejsce koło niewielkiego miasteczka?

- Wykluczasz, że złodziejem jest jeden z Minkowskich? - spytała Julka, dopijając resztkę kawy.

Już to omawiałyśmy, ale przed odkryciem, że nasz trup nie działał sam. Wtedy byłyśmy pewne, że działa konkurencja, nawet potrójna, teraz to się zmieniło. Lech Minkowski nie żył już co prawda, gdy ktoś się włamał do sąsiadów naszych gospodarzy, ale nie mogłyśmy wykluczyć, że zrobił to jego brat. Mogło być tak, że działali tu Minkowscy i jakaś konkurencja, która zamordowała Lecha.

- Nie wiem. Wydaje mi się, że nie, bo wyszło nam, że jeden z braci obstawiał Frombork, a drugi mierzeję, ale jest to teoretycznie możliwe. Nie mamy jak sprawdzić, czy daty włamań pokrywają się z przyjazdami naszego trupa.

- Może sierżant to zrobi?

- Może. Ale nie wiem, czy będzie miał jak, to pół roku jest. Pomijając już fakt, że nawet jeśli mu coś z tego sprawdzania ciekawego wyjdzie, to nie musi nam mówić.

- Łatwiej miałyśmy z Dawidem - westchnęła Julka. - Całkiem sporo udawało się z niego wyciągnąć, jak go podrywałam.

- Wyszło ci to tak skutecznie, że masz go na stałe - roześmiałam się. - Intryguje mnie kilka rzeczy: dlaczego takich włamań nie było w samym mieście, czego może szukać zarówno detektyw, jak i jakiś anonimowy złodziej oraz morderca i czy przypadkiem w okolicy nie ma miejsc, gdzie się można zatrzymać tak, żeby nikt się nie zorientował - wyliczyłam.

- Jeżeli chodzi o to pierwsze, to najwyraźniej wszyscy szukający wiedzą, że chodzi o wieś pod Fromborkiem, a nie o samo miasto.

- Wiedzą też, o którą mniej więcej wieś - zaczęłam i zamilkłam.

- No o jedną z tych, w których pojawił się złodziej, logiczne chyba, nie?

- Logiczne, ale wtórne. Złodziej prowadzi poszukiwania tam, gdzie spodziewa się znaleźć to coś, czym chce zawładnąć, ale nie szuka zupełnie na ślepo.

- A niby jak? Doszedł do tego upragnionego przedmiotu jak po sznurku? Według mnie skacze po tych domach i miejscowościach zupełnie przypadkowo.

- Ale tylko po tej stronie Fromborka, od strony Tolkmicka, a nie od strony Braniewa i granicy. Czyli musi znać przybliżony rejon - stwierdziłam i w nagrodę za tak olśniewającą dedukcję dolałam sobie kawy.

- I na mierzei. Nie zapominaj, że teraz musimy brać pod uwagę dwie lokalizacje - sprecyzowała Julia.

- Masz rację.

- Co do tego, czego mogą szukać, to nadal nie potrafię zgadnąć, może za mało kryminalistycznie oblatana jestem.

- Pewnie jakiejś informacji - westchnęłam z żalem.

- Nie dmuchaj tak, bo mi kawę wystudzisz! - zażądała Julia. - Dlaczego uważasz, że akurat tego, a nie kosztowności? Porzuciłeś myśl o Bursztynowej Komnacie i szukających jej byłych żołnierzach niemieckich?

- Porzuciłam. Wydaje mi się, że wtedy te poszukiwania byłyby mniej chaotyczne. No wyobraź sobie, że uciekasz przed Armią Czerwoną ze zrabowanymi na całym świecie artefaktami.

- Jakoś mi chyba wyobraźnia szwankuje...

- Wysil się i zagoń ją do roboty. Wiesz, że możesz nie przeżyć albo trafić do niewoli, więc chcesz ten swój zrabowany skarb

zabezpieczyć.

- No, szczególnie będzie mi potrzebny po śmierci - mruknęła z przekąsem Julia.

- Jesteś optymistką i liczysz na to, że przeżyjesz. Albo przekażesz informację o skarbie jakiejś rodzinie.

- No dobra, będę miała fart i ujdę cało - zgodziła się Julia.

- Żeby ten skarb ocalał, musisz go zabezpieczyć. Co robisz?

- Nie wiem.

- To pomyśl, Ruscy dyszą ci już nad karkiem, a ty jesteś niemieckim żołnierzem, może nawet gestapowcem lub SS-manem. No?

- Pozbywam się tatuażu.

- Olej tatuaż, skup się na tym zrabowanym mieniu.

- Szukam jakiejś dobrej kryjówki.

- Masz mało czasu.

- To musi być coś albo na drodze ucieczki, albo niedaleko.

Chowam i uciekam czym prędzej dalej.

- Czyli wiesz, gdzie schowałeś?

- O ile nie zostałam ranna i nie doznałam amnezji, to tak.

- Jakbyś straciła pamięć, to w ogóle być nie pamiętała, że coś schowałeś.

- No dobra, to pamiętam.

- I co? Jeśli pamiętasz, że schowałeś w piwnicy drugiego domu z brzegu w jednej z wsi, to będziesz szukała gdzieś indziej?

- Raczej nie. Chyba że jestem kolejnym pokoleniem, a informacja jest bardzo mglista.

- Raczej w to wątpię. Takie rzeczy przekazuje się precyzyjnie.

- Chyba że ktoś czekał do ostatniej chwili, a na łożu śmierci wydusił tylko: „pod Fromborkiem” - nie dawała za wygraną Julia.

- Dobra, przyjmijmy, że tak było, informacja jest mało precyzyjna. Ale nawet wtedy włamywacz szukałby czegoś ukrytego, a nie przeszukiwał domy i miejsca, do których właściciele mogą zajrzeć tysiąc razy dziennie. Jakby ktoś znalazł coś cennego, to by się wieść rozeszła.

- Może i racja.

- A informacja w formie pisanej może sobie spokojnie leżeć w domowych dokumentach u kogokolwiek. Niestety, to wydaje mi się bardziej prawdopodobne niż zrabowane mienie. Nadal nie potrafię sobie jednak wyobrazić, o co może chodzić - zakończyłam wywód.

- To zostaje nam trzecia rzecz, która cię intryguje. Po cholere ci opuszczony dom? Tak cię do bimbru ciągnie?

To była aluzja do naszych zeszłorocznych poszukiwań, gdy

zamiast miejsca związanego z morderstwem, znalazłyśmy bimbrownię. Nie powiem, sierżant Podgórski był wyraźnie zadowolony. Do opuszczonych budowli nie pchała mnie nagła namiętność do tego typu napojów wyskokowych, lecz spostrzeżenie wynikające z panującej pogody. Drogą kolejnych przybliżeń deszcz skojarzył mi się ze schronieniem, schronienie z noclegiem, to z kolei z włamywaczem i mordercą, o których nie było wiadomo, gdzie śpią, gdy są we Fromborku, i to dało już efekt: mogą spać w pustych domach, o ile takie są w okolicy. Wyjaśniłam to Julce.

- To zadzwoń do Marcina, może odbierze - zarządziła od razu Julia, której oglądanie domów, nawet opuszczonych, nie wydało się specjalnie niebezpieczne.

Marcin odebrał po kilku sygnałach i zgodził się chwilę porozmawiać. Spytany o opuszczone domy jako pierwszy wymienił ośrodek wczasowy znajdujący się mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Narusą i Fromborkiem, a po namyśle dodał jeszcze dom wystawiony na sprzedaż w Roninie i kanonię św. Pawła we Fromborku. To ostatnie nas trochę zdziwiło, ale w sumie, dlaczego nie? Przecież temu, kto szukał schronienia, zależało najpewniej na dachu nad głową i schowaniem się przed ludzkimi oczami, a nie na rodzaju zabudowań. Marcin opisał te opuszczone domy i ich lokalizację, umówił się z nami na wieczorne piwo i rozłączył. Jakby nie było, pracował.

- Znowu będę piła bezalkoholowe - skrzywiłam się z niechęcią.

- Następnym razem zaprosimy go tutaj, do altanki.

- Oglądnijmy te domy na mapach Google - zaproponowała Julka.

Najbardziej interesujący wydał nam się ten opuszczony ośrodek wypoczynkowy. Nie jeden dom, a cały kompleks stwarzający zdecydowanie więcej możliwości niż budynek, niechby nawet duży. W razie gdyby do jednego budynku nie można było wejść, pozostają inne. Jakoś nie wierzyłam, że wszystko jest zabite na głucho i nie da się tam dostać. Takie miejsca zawsze przyciągają ciekawskich, mało tego, są nawet strony internetowe z opisami miejsc „porzuconych” i relacjami z ich penetrowania, a penetrujący je jakoś omijają zabezpieczenia i płoty. Poza tym ten kompleks wypoczynkowy położony był na uboczu, a nie w pobliżu wsi. Trzeba było do niego skręcić z szosy, a budynki zasłonięte były drzewami. Nie miałyśmy pojęcia, czy jest tam jakiś stróż, ale nawet gdyby tak, to sądząc z tego co widziałyśmy na mapie, trudno byłoby mu dobrze pilnować całego obiektu. I komu by się chciało chodzić i sprawdzać, czy nikt się tam nie wałęsa?

- Szkoda, że nie ma go na Street View - skrzytkowała Julia. -

Wiedziałybyśmy, jak dokładnie tam wygląda.

Też żałowałam, ale co zrobić. Dokładne zdjęcia obejmowały szosę, ale boczna droga i zabudowania nie były już tak dobrze widoczne. Budynków było kilka, dwa obok siebie po tej samej stronie drogi, a trzeci i jakieś mniejsze zabudowania po drugiej. Nie wiedziałyśmy, czy wszystko należało kiedyś do ośrodka wypoczynkowego, czy tylko te dwa położone obok siebie domy. Wyglądały podobnie, ten oddalony miał zdecydowanie inny dach.

- To może pojedźmy zobaczyć, jak to wygląda?

- Oszalałaś? Pada - zaprotestowała Julia i otrząsnęła się z obrzydzeniem na myśl o zmoknięciu.

- Owszem. A ośrodek jest w lesie. Mam mówić dalej czy masz jakieś skojarzenia?

- Grzyby! - Niechęć do spacerów w deszczu przeszła jej jak ręką odjął, instynkt zbieracza odziedziczony po praprzodkach zwyciężył. - Idziemy?

- Możemy. Podjedziemy w pobliże, ale nie zatrzymamy się tuż przy ośrodku, przejdziemy się lasem, może coś nazbieramy, nie mam tu na myśli kleszczy, i zobaczymy, jak wygląda ten ośrodek. I czy ma dziurę w płocie i stróża.

- Jak chcesz tam wejść?

- Tak, żeby nikt nie zauważył, dlatego potrzebne nam rozpoznanie. I w nocy, bo teraz to jednak ktoś może zobaczyć. Jakiś inny amator grzybów lub nie daj Boże jakieś wścibskie dzieci na spacerze.

- Dzięki Bogu nie ma tu dzieci twojego kuzyna! - westchnęła pobożnie Julia.

Dzieci mojego kuzyna, czyli Jaś i Małgosia, miały po kilkanaście lat, odznaczały się wyjątkowym wścibstwem i bardzo utrudniały nam w zeszłym roku próby odnalezienia mordercy. Żeby nie mieć smarkaczy na karku, musiałyśmy ukrywać przed nimi nasze zainteresowanie ekscytującymi wydarzeniami, co nie było łatwe. Teraz miałyśmy wolną rękę, nikt nas nie śledził i nie podglądał zza winkła.

- I żadnych innych wścibskich małych. Ale niezależnie od dzieci te koszyczki na grzyby będą naszym alibi.

- To może wejdźmy tam jednak w dzień? Nie sądzisz, że to będzie bardziej naturalne? Szukałaś kiedyś grzybów z latarką? Poza tym w nocy widać światło latarki - zauważyła przytomnie Julka. - Mogłybyśmy udawać, że specjalnie weszłyśmy na teren ośrodka w nadziei, że inni grzybiarze tam nie chodzą. Jak będzie ciemno, to takie tłumaczenie odpada.

Coś w tym było, ale potajemne wyprawy kojarzyły mi się

z osłoną ciemności i trudno było mi się przestawić. Nie tylko my w dzień będziemy lepiej wszystko widziały, ten, kto tam pilnuje albo koczuje też. Jeżeli włamywacz urządził sobie tam metę, to nas zauważy i nawieje. W nocy łatwiej go podejść.

- Ty chyba oszalałaś! Chcesz go złapać własnymi rękoma? Miałyśmy go śledzić.

- No to tym bardziej. Jak nas zobaczy, to ucieknie i tyle go będziemy widziały!

- Niby skąd miałyby wiedzieć, że w ogóle nas interesuje?

Przestałam protestować, zrobiłam herbatę, zastanawiając się w międzyczasie. Właściwie miała rację. Pod pozorem zbierania grzybów mogłyśmy pomyszkować po terenie ośrodka, a do budynków wejść, udając zainteresowanie na przykład tym, czy w środku zostało wyposażenie, albo ciekawość dotyczącą stanu technicznego takich opuszczonych zabudowań. Gdybyśmy coś zauważyły, zawsze mogłyśmy wrócić w nocy i dokończyć lustracji ośrodka.

- Niech ci będzie. Pojedziemy po wczesnym obiedzie, trzeba uprzedzić panią Zosię, że chciałybyśmy zjeść o drugiej.

- Dlaczego nie teraz?

- Może przestanie padać, poza tym od razu stamtąd możemy pojechać na spotkanie z Marcinem. I jeszcze coś mi do głowy przyszło, ale to zaraz, tylko skoczę do pani Zosi.

Bez problemów załatwiłam przesunięcie obiadu i wróciłam do Julki, która czekała na mnie niecierpliwie i z lekką obawą.

- Co ty znowu wykombinowałaś i dlaczego mam obawy, że to nas może w coś wplątać? - spytała, gdy tylko pojawiłam się w drzwiach.

- Zrobimy zestawienie tych włamań.

- No przecież mamy? Pozapisywałyśmy daty przy nazwiskach. - Julia wyraźnie pozbyła się obaw, nieświadoma tego, co mi zaczęło nieśmiało majaczyć na horyzoncie umysłowym. A może szarokomórkowym?

- Tak, ale nie wiemy nic o tych ludziach. Zróbmy spis w kolejności włamań, bo mamy pozapisywane tak, jak się o nich dowiadywałyśmy. Zobaczymy, co nam z tego wyjdzie.

- Nie znamy dokładnych dat większości kradzieży.

- Ale takie mniej więcej tak. Ja będę pisała, a ty mi dyktuj.

Otworzyłam nasz śledczy zeszyt na środku, obróciłam tak, żeby pisać wzdłuż, a nie wszerz, żeby potem widzieć całość danych, a nie tylko część. Zrobiłam trzy dosyć wąskie rubryki: nazwisko, miejscowość, data i spojrzałam ponagląco na przyjaciółkę.

- Czekaaj, moment, muszę to ogarnąć. Nie lepiej byłoby

w kompie? Wpisałybyśmy tak jak jest, a potem posortowały po dacie.

- I nosiłybyśmy lapka ze sobą? Zeszyt łatwiej.

- No niby tak, ale nie marudź, że mi wolno idzie.

Zajęło nam to ponad pół godziny, ale miałyśmy dane dotyczące działalności włamywacza ułożone chronologicznie. Na razie nic nam to nie dawało, oprócz tego, że od razu było widać, że tam, gdzie złodziej „odwiedzał” domy dwa razy, nie następowało to po sobie. Zaraz. O dwóch wiedziałyśmy, a mogło być więcej. Po pierwszej wizycie miał klucz i mógł bywać w takim domu, kiedy chciał, i wybrać moment, kiedy nie ma gospodarzy.

- Po cholerę on w ogóle coś zabierał? Ludzie nie wiedzieliby, że mają nocnego gościa i nie donieśliby policji. - Julia po raz kolejny zadała to samo pytanie, które nurtowało wszystkich.

- Nie mam pojęcia, może potrzebuje kopa adrenaliny? Chodź, pogadamy z panią Zosią, ciekawe, co nam powie.

- Przecież już z nią nieraz rozmawiałyśmy, liczysz na jakieś olśnienie? - zaprotestowała z przyzwyczajenia Julia, podnosząc się z fotela.

- Ale nigdy nie rozmawiałyśmy o całości włamań i nie widziała tego w ułożeniu chronologicznym. Jest stąd, może to jej coś powie.

Pani Zosia wieszała akurat pranie na strychu i chętnie dała się oderwać od tej pasjonującej czynności. Zaprosiła nas do siebie, zrobiła herbatę i podsunęła talerz z ciastem. Nie było opcji, żebyśmy nie skorzystały z okazji. Nie wiem, jakim cudem nie byłyśmy grube, bo obie lubiłyśmy słodkie. Może to jakieś geny?

- Panie cały czas zastanawiają się nad tymi włamaniami?

- Tak, to takie intrygujące i niecodzienne. Pobudza do kombinowania. Zrobiłyśmy rano takie zestawienie chronologiczne, proszę spojrzeć. - Podsunęłam pani Zosi zeszyt pod nos, prawie wylewając jej herbatę. - My nie znamy tu nikogo, ale może pani coś przyjdzie do głowy? Widać dwie rzeczy: nie włamuje się do kilku domów w jednym miejscu i po tym przenosi dalej, tylko działa raz tu, raz tam. I pomiędzy podwójnymi włamaniami robi przerwę. A w każdym razie tak nam się wydaje.

Nasza gospodyni przez dłuższy czas przyglądała się zapiskom, a potem spytała, czy może tam coś podpisywać. Pełne nadziei ochno zgodziłyśmy się na to i w ten sposób powstała czwarta rubryka: koligacje. Okazało się, że w większości przypadków schemat działania włamywacza jest taki sam. Po włamaniu do Iksińskich „wizytował” domy ich rodzin i krewnych, ale tych, którzy nie mieszkali w tej samej wsi. Potem wracał do tego samego miejsca, jeżeli mieszkał tam jeszcze jakiś krewny pierwszych

poszkodowanych. Czyli wbrew temu, jak to sobie pierwotnie wyobrażaliśmy, facet działał planowo i systematycznie. Z zapisków wynikało jeszcze jedno, na co wcześniej jakoś nie zwróciliśmy uwagi. Włamywał się co kilka dni, przy czym kilka oscylowało w okolicy tygodnia. Czasem miał jednak dłuższą przerwę. Dlaczego? Nie mógł tu przyjechać? Podziękowałyśmy pani Zosi i wróciłyśmy do pokoju. Pomogła nam niewątpliwie, ale nie miałyśmy zamiaru omawiać z nią naszego dochodzenia. Pomijając wszystko inne, treść rozmowy mogła się rozejść po całej okolicy, a nie miałyśmy pewności, czy włamywacz nie ma tu rodziny albo chociaż kogoś znajomego.

- Ale trafiłaś! - pogratulowała mi Julka. - Same nie odgadłybyśmy tego, potrzebny był ktoś stąd.

- I taki spis chronologiczny. Bo do tej pory to ludzie pogadywali o tych włamaniach, nie wszyscy się tym chwaliли, a pewnie nikt nie zwracał uwagi na daty. Ale to nam daje realną możliwość podglądnięcia włamywacza.

- Chcesz na niego czatować?

- Tak. Według pani Zosi, a ona się pewnie nie myli, jedynymi mieszkającymi w okolicy krewnymi Chruścińskich, takimi, do których nie było jeszcze włamania, są Wilińscy z Jędrychowa.

- Do Chruścińskich włamał się dwa razy - przypomniała Julia.

- Owszem. Ale zobacz na ten spis. Innych ma zakończonych, nie mają więcej rodziny. Albo więc musi zacząć włamania do nowych ofiar, albo skończyć to, co zaczął. Ponieważ wszystko inne jest zakończone, więc obstawiałabym, że włamie się najpierw do Wilińskich.

Ostatnie włamanie miało miejsce tu, w Bogdanach, w nocy z niedzieli na poniedziałek, tuż po naszym przyjeździe. Od tego czasu minęło osiem dni, była więc całkiem realna szansa na to, że włamywacz lada dzień złoży wizytę Wilińskim. Bardzo chciałam go zobaczyć podczas włamania, a potem śledzić. Julia była pełna obaw.

- A jak to on jest mordercą? Chcesz wyglądać jak ten obcy trup?

- Już nie taki obcy, trochę o nim wiemy.

- Obcy we Fromborku i okolicach, nie mieszkał tu. Niezależnie od tego, czy tylko pojawiał się tu i znikał...

- Prawie jak w tekście Bajmu: „pojawiam się i znikam”.

- Prawie, ale i tak nie mam ochoty wyglądać jak Lech Minkowski.

- W sumie całkiem przystojny był.

- Nieważne. Po śmierci mógłby grać w horrorze, a w Halloween dostałby pierwszą nagrodę za przebranie.

- Będziemy uważać i trzymać się od niego z daleka.

- Może Marcina wyciągniemy?
- Może, ale nie licz zbyt na to.
- Dlaczego? Też go intryguje ten złodziej.

- Owszem, ale my jesteśmy tu na wakacjach, same. A on tu mieszka, pracuje i ma rodzinę. Chciałabyś, żeby ci facet zniknął wieczorami z jakimiś dwoma turystkami?

- Z dwoma to jeszcze pół biedy, gorzej jakby z jedną. Ale masz rację.

Spojrzałam na zegarek, dochodziła pierwsza. Udało nam się przegadać śledczo całe przedpołudnie i jeszcze trochę, ale plon tych pogaduszek był całkiem niezły, poza tym skryzalizowały nam się plany. Powinnyśmy spenetrować opuszczone budynki, zacząć się na włamywacza i spróbować odszukać brata zwłok spod obserwatorium.

- Dobra, pakujemy się i od razu po obiedzie jedziemy oglądać ten opuszczony ośrodek - zarządziłam i rażno podniosłam się z fotela.

- A co ty chcesz takiego pakować?

- No jak to? Jakieś cieplejsze ciuchy na nocne czatowanie, na wszelki wypadek buty na zmianę, jakbyśmy nogi przemoczyły, wodę i jakieś batony w razie głodu.

- Boszsz... jakbyś na wojnę szła. Kamizelki kuloodpornej nie bierzesz? I noktowizorów?

- Jakbym miała, to bym wzięła. Biorę latarkę, scyzoryk i sznur.

- Po cholere ci sznur? Chcesz kogoś nim związywać?

- A pamiętasz, jak by się nam przydał w zeszłym roku? O mało co i byś utknęła w tej piwnicy.

Julia otrząsnęła się z lekkim obrzydzeniem na wspomnienie zeszłorocznej przygody. Rzeczywiście wleciała do piwnicy w opuszczonym domu, zebrała na siebie cały kurz i wszystkie pajęczyny, jakie napotkała podczas lotu w dół, ale na szczęście nic nie złamała. Z wyjściem był problem, bo drewniana drabinka prowadząca w dół była już właściwie tylko wspomnieniem. Gdybyśmy miały przy sobie jakąś linę, wyciągnięcie Julki byłoby znacznie prostsze. Nauczona doświadczeniem w tym roku zabrałam odpowiednie akcesoria z Gdańska.

- Nie będę znowu łąziła po jakichś walących się domach - zastrzegła moja przyjaciółka, ale bez mrugnięcia oka spakowała do plecaka czołówkę, swój scyzoryk i resztę potrzebnych rzeczy.

Przed obiadem zdążyłyśmy jeszcze chwilę poczytać. Podobnie jak w zeszłym roku przywiozłyśmy ze sobą lektury, ale znowu nie było na nie czasu. Pech?

Zaparkowałyśmy jakieś pięćset metrów od skrętu do

nieczynnego ośrodka wypoczynkowego, starając się, aby samochód był jak najmniej widoczny z drogi. Cały czas padało, ale już nie tak intensywnie i miałyśmy nadzieję, że las zatrzyma większą część deszczu i nie przemokniemy na wylot. Kurtki i kalosze miały nam to zapewnić. Julka uparła się, że musimy znaleźć jakieś grzyby i dopiero potem przejść na teren ośrodka. Nie miałam nic przeciwko, też lubiłam zbierać grzyby, jeść grzyby, a nawet je czyścić i marynować. Obie miałyśmy jeszcze trochę zeszłorocznych zapasów, ale odnowienie ich było jak najbardziej wskazane. Sezon na grzyby jeszcze się nie rozpoczął, ale coś tam znaleźć mogło się udać. Doskonale zdawałyśmy sobie sprawę, że jeszcze nie sezon, a na taki wysyp w lipcu jak w zeszłym roku nie ma co liczyć. Niemniej jednak byłyśmy optymistycznie nastawione, jakieś kurki, kozaki, maślaki czy nawet prawdziwki mogły się trafić. A jak będzie za mało na ususzenie lub zamarynowanie, to najwyżej wszystko przejemy w jajówie. Weszłyśmy pomiędzy drzewa i odbiliśmy od razu od drogi. Co prawda doskonale wiedziałyśmy, że grzyby rosną w różnych miejscach, niekoniecznie tam, gdzie by się wydawało, że powinny, ale akurat tutaj las wydał nam się mało grzybny. Szłyśmy z wzrokiem utkwionym w poszycie i wypatrywałyśmy łupów. Szczęście do grzybów Julia ma zdecydowanie większe niż ja i dosyć szybko znalazła całkiem spore stadko kurek. Były młodziutki, a padający od wczoraj deszcz pozwalał mieć nadzieję na więcej. Kurki rosną bardzo szybko. Pamiętam, jak kiedyś byłam z Rafałem pod namiotem i codziennie rano chodziliśmy w to samo miejsce na kurki do śniadaniowej jajecznicy. Ze wzrokiem utkwionym w ziemię szłyśmy wolnym krokiem w stronę ośrodka. Gdyby ktoś nas obserwował, na pewno nie nabrałby podejrzeń, że naszym celem jest coś innego niż zapełnienie koszyków. Obie umiałyśmy zbierać grzyby, więc nie szłyśmy prosto, ale kluczyłyśmy i sprawdzałyśmy miejsca, w których spodziewałyśmy się większej ich ilości. Efekt może nie był powalający, ale gdy doszłyśmy do siatki ogrodzającej ośrodek, miałyśmy już tyle kurek, że może by z nich dało się zrobić ze dwa słoiczki marynowanych. Znalazłyśmy też dwa kozaki, które też postanowiłyśmy wrzucić do octu.

- Obchodzimy naokoło ten ośrodek? - spytała Julia, dokładając do koszyka kolejną kurkę.

- W sumie dlaczego nie? Oglądniemy go sobie z bezpiecznej dla ludzkich oczu odległości, zobaczymy, czy nie ma gdzieś dziury w ogrodzeniu, a przy okazji może jeszcze trochę grzybów nazbieramy.

Siatka ogrodzeniowa była dosyć stara, pokryta rdzą i gdzieś tam miała dziury. Większość z nich jednak była zbyt

mała, żeby się tamtędy precyzyjnie. Byłyśmy mniej więcej w połowie okrążania ośrodka, gdy trafiłyśmy na miejsce wręcz idealne do wejścia na jego teren. Pomiędzy dwoma kolejnymi słupkami siatka praktycznie leżała na ziemi i wręcz zachęcała do przejścia na drugą stronę ogrodzenia.

- Wchodzimy? - spytała Julia nie wiadomo dlaczego szeptem.

- Tak - odpowiedziałam normalnym głosem i już chciałam ruszyć z miejsca, ale mnie zatrzymała.

- Słuchaj, a jeżeli będziemy musiały nawiewać, to którądy?

- No tędy, a co?

- A potem przez las do samochodu? To bez sensu, ten włamywacz jest bardzo sprawny, morderca zapewne też, dogonią nas bez problemu. Wolałabym znaleźć takie przejście bliżej samochodu.

- Teraz nie mamy w planach żadnej szybkiej ewakuacji. Idziemy zbierać grzyby, a gdyby ktoś nas zaczepił, to będziemy twierdziły, że weszłyśmy w nadziei na ich większą ilość za ogrodzeniem.

- Może jakieś będą. - Julka pozbyła się obaw i spojrzała z nadzieją na samosiejki. - Maślaki lubią takie klimaty, chodź, sprawdzimy. I zobaczymy, czy nikt z pyskiem nie przyleci.

Przeszłyśmy po leżącej na ziemi siatce ogrodzeniowej i z lekkim niepokojem weszłyśmy na teren ośrodka. Udając zainteresowanie tylko i wyłącznie tym, co możemy znaleźć pod nogami, przez chwilę pokręciłyśmy się przy dziurze w ogrodzeniu. Nikt nie przyleciał z wraskiem, że wchodzimy na zakazany teren, a my zostałyśmy nagrodzone za przezorność kilkoma kurkami. Najwyraźniej grzyby w ośrodku rosły, być może dlatego, że był opuszczony. Gdyby chodziło tam dużo ludzi, pewnie wszystko byłoby wydeptane.

- Zobacz, jakie tu wszystko zarośnięte. Trawa, mech, samosiejki i pokrzywy przy płocie. - Julia najwyraźniej myślała o tym samym.

- Chodź, musimy podejść do budynków. Możemy udawać, że chodzimy od jednych drzew do drugich i szukamy grzybów. W ten sposób obejdziemy budynki.

- To te dwa, a jest jeszcze jeden po drugiej stronie tej takiej jakby drogi. Ten z - powiedzmy, że - czerwonym dachem. Spadzistym, a nie płaskim.

Mając oczy wkoło głowy i obserwując wszystko dyskretnie, ruszyłyśmy na obchód ośrodka. Interesowało nas, czy nie dostrzeżemy świeżych śladów obecności człowieka. Może jakieś pudełko po papierosach, gazeta sprzed kilku dni albo opakowanie po czymś spożywczym z datą ważności? Wiedziałyśmy i pamiętałyśmy, że włamywacz jak dotąd nie zostawił śladu swojej obecności, ale miałyśmy nadzieję, że nie pilnował się cały czas. Co

innego w miejscu, w którym dokonywał przestępstwa, co innego w ewentualnej, praktycznie ogólnodostępnej kryjówce. Teren niestety był zadziwiająco czysty. Tu i ówdzie poniewierały się rozmaite przedmioty, ale były one związane z ośrodkiem jako takim, a nie z ludźmi. Zardzewiałe wiadro, stara miotła czy plastikowa skrzynka po piwie nie były tym, czego szukałyśmy. Doszłyśmy do końca drugiego budynku i już chciałyśmy skręcić w prawo, żeby obejść go z drugiej strony, gdy Julia szturchnęła mnie w bok.

- Ej, popatrz, tu jest jakby wydeptane - pokazała palcem coś, co przy dużej dozie dobrej woli można było uznać za mało uczęszczaną ścieżkę.

- Schowaj ten palec! - zażądałam natychmiast. - Jakby ktoś na nas patrzył, to po co ma wiedzieć, że coś nas tam zainteresowało?

Julka zastygła na moment w bezruchu, a potem podeszła parę kroków i „zebrała” kolejnego grzyba do koszyka. Dobry pomysł! Nikt nie byłby w stanie zauważyć, że tylko udawała, chyba że przyglądałby się nam przez lornetkę. W to jednak wątpiłam.

Pokazana przez Julię ścieżka wiodła do drzwi wejściowych, które wyglądały na całkowicie nie do sforsowania, w każdym razie dla nas. Oprócz tego, że pewnie były zamknięte na klucz, to jeszcze ktoś zamontował sztabę z kłódką. Ale po co w takim razie ktoś chodził ścieżką do schodów i zamkniętych na amen drzwi? Tknięta jakimś przeczuciem podeszłam bliżej i zamachałam na Julkę.

- Chodź, tu są całkiem wygodne schody, możemy chwilę odpocząć i napić się. Wyglądają na w miarę suche.

Nie mając wyjścia, Julia posłusznie podeszła do mnie i klapnęła na schodku. Nie mogła energicznie zaprotestować i tylko jej wzrok mówił, co o mnie sądzi. Zgodnie z zapowiedzią przysiadłam na stopniu i wyciągnęłam picie z plecaka. Tak na wszelki wypadek, gdyby ktoś nas podglądał z jakichś krzaków lub z lasu. Porozglądałam się naokoło, a potem oparłam plecami o drzwi, które niespodziewanie ustąpiły pod naciskiem. Nie były zamknięte nawet na klamkę!

- Co ty robisz! - syknęła zdenerwowana Julia.

Delikatnie przymknęłam drzwi z powrotem i spojrzałam na kłódkę na sztabie. Kto to wymyślił? Drzwi otwierały się do wewnątrz i tak naprawdę takie zabezpieczenie nie dawało nic, jeżeli drzwi nie były zamknięte na klucz. No dobrze, jeżeli ktoś nie pomyślał, to mogły odstraszać z daleka. Z zamkiem w drzwiach poradzić zapewne potrafiło sobie wiele osób i nie był on wyzwaniem dla naszego włamywacza. Sprawdzić teraz, co jest w środku, czy przyjść kiedy indziej? W mgnieniu oka zdecydowałam się na drugą tę wersję. Samochód miałyśmy za daleko. To znaczy może i nie stał

tak bardzo daleko w linii prostej, ale w razie czego uciekać musiałybyśmy przez prawie cały ośrodek, a potem przez las.

- Chodź, sprawdzimy, czy da się przejść przez ogrodzenie blisko szosy. - Wstałam i poczekałam, aż Julka zrobi to samo. - Może tam też coś znajdziemy - powiedziałam głośniej, mając w pamięci ewentualnego obserwatora, i wskazałam koniec ośrodka.

- W sumie całkiem sporo kurek tu było, będzie trzeba częściej przychodzić. - Julia wykazała się reflekssem.

Grzyby to bardzo wygodne wytłumaczenie do chodzenia po lesie i sprawdzania rozmaitych rzeczy, oczywiście w sezonie, a nie na przykład w zimie. W zeszłym roku wykorzystywałyśmy ten sam pretekst i miałyśmy już w tym wprawę. Udając, że jesteśmy całkowicie pochłonięte szukaniem kolejnych łupów, doszłyśmy do ogrodzenia i ruszyłyśmy wzdłuż niego. Nie znalazłyśmy dziury ani takiego szerokiego przejścia jak z drugiej strony ośrodka, ale w jednym miejscu siatka była trochę opuszczona, a po jej obu stronach znajdowały się podwyższenia umożliwiające całkiem wygodne przejście górą. Z jednej strony było to stare zwalone drzewo, z drugiej wygodnie ułożone kamienie. To przejście nie rzucało się z daleka w oczy i gdybyśmy go nie szukały, nie zwróciłybyśmy na nie uwagi.

- Wychodzimy? - zaproponowała Julia. - Nie chcesz chyba teraz sprawdzać, czy ktoś jest w domu?

Nie chciałam. A właściwie bardzo chciałam, aż ssało mnie do tego, ale byłoby to zbyt ryzykowne. Zero zaskoczenia.

- Przyjdziemy, jak się ściemni.

- Miałyśmy czatować pod domem tych krewnych Chruścińskich - przypomniała Julka.

- Cholera, zapomniałam, nie rozdwoimy się. Zastanowimy się zaraz, a teraz proponuję wyjść stąd, ale tak, jak przyszłyśmy. Jeżeli ktoś na nas patrzy, to niech myśli, że nie znamy tego przejścia.

Nie wypadając z roli, cały czas szukając grzybów i głośno komentując każdą najmniejszą zdobycz, wróciłyśmy do dziury w płocie, obchodząc kompleks z drugiej strony. Nie poszłyśmy już obejrzyć trzeciego budynku, choć bardzo nas to kusilo, i najkrótszą drogą wróciłyśmy do samochodu. Ze zdziwieniem spojrzałyśmy na nasze grzybowe łupy. Głównie kurki, ale całkiem sporo, cztery słoiczki wyjdą jak nic. Trzeba kupić ocet i inne składniki do zaprawy.

- Kto by pomyślał, że nasz spacer będzie taki owocny. - Julka z zadowoleniem spojrzała po raz kolejny na koszyk i otrzepała się z igliwia. - Zauważyłaś, że w międzyczasie przestało padać?

- Chyba w połowie wycieczki po ośrodku.

- A właśnie, kiedy chcesz tu wrócić?

- Jutro. - Włożyłam kluczyki do stacyjki, ale nie ruszyłam z miejsca. - Teraz skoczmy porozmawiać z Marcinem, bo zdążyła się już zrobić szósta, a potem pojedziemy poczatować na włamywacza. A tu wrócimy jutro, jak się będzie robiło szaro. Sprawdzimy, a potem znowu pojedziemy pod dom Wilińskich.

- A przewidujesz dla nas jakieś spanie w nocy?

- Wyśpisz się po powrocie z wakacji - wzruszyłam ramionami i wreszcie ruszyłam z miejsca.

- Jakby to powiedzieć... Ostatnio spanie mam nieco ograniczone przez inne formy aktywności nocnej - wyznała Julia.

- To przenieście te formy na inne pory dnia, a w nocy śpijcie. - jakoś nie miałam wątpliwości, że Dawid aktywnie w tym uczestniczy. - Przecież on nie pracuje codziennie po dwanaście godzin.

- Ale nie mieszkamy razem.

- To zamieszkajcie, nie będziecie czasu i kasy marnować na dojazdy.

Z Marcinem umówiliśmy się w tej samej knajpie co poprzednio. Dobrze się tam siedziało, stoliki stały na zewnątrz, zadaszenie gwarantowało osłonę przed słońcem albo deszczem i było widać zalewę. Pomijam już fakt, że było to praktycznie w samym porcie, a obie lubiliśmy przyglądać się łodziom i żaglówkom przycumowanym do nabrzeża, wpływającym do portu lub pływającym gdzieś dalej.

- Jak tam wasze śledztwo? Jest coś nowego?

- Jest, zaraz ci wszystko opowiemy.

- Jakie chcecie piwo?

- Obie bezalkoholowe, mamy plany na wieczór.

W tym momencie uprzytomniłam sobie, że Marcin nie wie o bracie Lecha Minkowskiego. Miałyśmy mu powiedzieć, ale najpierw nie było jak, bo Dawid i Rafał byli niezwykle czujni, a potem po prostu dotknęła nas skleroza. Teraz nadrabialiśmy zaległości. Miałyśmy nadzieję, że Marcin zwróci uwagę na C5-tkę na obcych numerach i od razu da nam znać. My do Fromborka tylko przyjeżdżaliśmy, on był tu cały czas. Oczywiście nie spędzał całych dni na spacerach po okolicy, ale i tak miał większe niż my szanse na zauważenie samochodu brata naszego trupa. Powiedziałyśmy mu też o tym, co rano zasugerowała pani Zosia. Marcin nie zawiódł naszych oczekiwań, był zaintrygowany i od razu omówiliśmy płynące ze znalezienia przypuszczalnej reguły włamań możliwości. Wniosek był identyczny jak rano, trzeba zacząć się na włamywacza. Marcin jednak sugerował, żeby może jednak włączyć w to

Korczyńskiego, bo do ewentualnego zatrzymania przestępcy policjant wydawał się niezbędnym.

- Nie zamierzamy łapać go własnymi gołymi rękoma - zapewniłam. - Chcemy go zobaczyć, sprawdzić, dokąd odjedzie i takie różne. Jak sierżant pójdzie z nami, to go aresztuje, a potem nic nam nie powie. A chcemy wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

- Bierzecie pod uwagę, że gdyby Korczyński go złapał, byłoby po sprawie?

- Niby tak, ale on ma dużo roboty, a tak my wyśledzimy włamywacza, damy znać sierżantowi i on go sobie złapie.

- I tak będziecie pilnowały tego domu Wilińskich przez dwa tygodnie?

Zawahałam się. Dwie, trzy, niechby nawet cztery noce, owszem, mogłyśmy spędzić pod domem krewniaków Chruścińskich. Ale dwa tygodnie? Coś mogło najnormalniej w świecie wypaść włamywaczowi, mógł gdzieś wyjechać na przykład. Mój upór w kwestii niewtajemniczenia Korczyńskiego nieco zmalął.

- No dobrze, jeżeli przez kilka dni nic się nie wydarzy, to mu powiemy.

Marcin nie zaproponował, że pojedzie z nami, więc nie spytałam go, czy chce. Widać było, że złodziej go intryguje, więc gdyby mógł, to pewnie już by powiedział. Opowiedziałyśmy mu o tym, co widziałyśmy w ośrodku wypoczynkowym, i o naszych podejrzeniach, że ktoś może tam pomieszkiwać. Przy opisie naszych śledczych podchodów Marcin o mało się piwem nie opluł, szczególnie przy fragmencie dotyczącym odnalezienia ścieżki. No tak, pewnie takie „spacery” nie przyszłyby mu do głowy, ale on, to nie my, my miewamy nietypowe pomysły.

- Aż żałuję, że mnie z wami nie było!

- Jakbyś był, to może od razu byśmy weszli do środka i sprawdzili, co tam jest - zauważyłam.

- Pewnie tak. Ale wy macie luz, możecie nie brać pod uwagę pory dni przy waszych wyprawach śledczych, a ja pracuję i powinienem być wtedy mniej więcej przytomny. - To była poniekąd odpowiedź na niezadane pytanie „dlaczego z nami nie idziesz?”.

- Damy ci jutro rano znać, czy spotkałyśmy włamywacza - obiecałam.

- Już chcecie iść?

- Nie, poczekamy, aż się zacznie ściemniać. Słuchaj, a czy ty często latasz dronem nad zalewem?

Pytanie nie wynikało z nagłej chęci posiadania filmiku znad

wody, ale skojarzenia z idącą przez port rodziną z dziećmi. Małolaty w liczbie trzech sztuk dumnie niosły płetwy i maski, co przypomniało mi o płetwonurkach.

- Zauważyliśmy, że oprócz żeglarzy i kajakarzy są tu nurkowie...

- Ala! Odczep się od tych zatopionych skarbów! Od wojny to one już są przykryte chyba tonami mułu, pomijając to, że nie wierzę w takie poszukiwania.

- To nie wierz, nikt ci nie każe. Nie muszą zresztą szukać czegoś aż tak starego. może ktoś coś współcześnie utopił? Bo jakoś zalew nie kojarzy mi się z rewelacyjnym miejscem do nurkowania. Na ich miejscu wolałabym głębsze przejrzyste wody z dobrą widocznością.

- Chcesz, żebym polatał nad nimi?

- A doleczysz tam?

- Bezproblemowo, Mavic ma zasięg około trzech kilometrów. Nie wiem tylko, czy będą zachwyceni, jak im będę tak warczał nad głowami.

- A możesz polecieć wyżej i potem zrobić zbliżenie? Zawsze to mniej nachalne będzie - zaproponowała Julia.

- Tak to nie mogę. Kamera w Mavicu nie ma zoomu optycznego. Trzeba byłoby z niezbyt wysoka zrobić fotki. Chociaż nie mam pojęcia, co można by było znaleźć w zalewie. Też się nie znam, ale jakoś wydaje mi się, że do poszukiwań powinni mieć więcej sprzętu niż same pianki, butle i płetwy.

- A skąd wiesz, że nie mają? Właśnie trzeba to sprawdzić. Nie zapominajcie o tym, że złodziej w jednym przypadku ukradł właśnie płetwy.

- Nie sądzę, żeby ci nurkujący ludzie, nawet jeżeli szukają czegoś, jednocześnie zajmowali się włamaniami. Poza tym prawie na sto procent ich płetwy są znacznie lepsze niż te ukradzione - zauważył Marcin. - Ale zgoda, polatam nad nimi.

Jeszcze chwilę porozmawialiśmy o naszym prywatnym śledztwie, a potem Marcin znowu zaczął opowiadać o Fromborku. Było to prawie tak zajmujące, jak omawianie przez nas wcześniej działania włamywacza i mordercy. A nawet tak samo interesujące, aczkolwiek zupełnie inne. Tak jak poprzednio, nie tylko słuchałyśmy, ale co chwilę przerywałyśmy mu i dopytywałyśmy o rozmaite szczegóły. Zasluchane nie zauważyłyśmy, kiedy zaczął zapadać zmrok, dopiero Marcin nam to uświadomił, pytając, czy przypadkiem nie musimy się już zbierać.

- Do licha, masz rację! Ale tak dobrze opowiadasz, że zupełnie zapomnieliśmy, co chcemy zrobić.

Umówiliśmy się z Marcinem, że gdyby udało nam się zauważyć włamywacza, to zadzwonimy do niego od razu, a nie dopiero rano, a jeżeli wyprawa skończy się fiaskiem, to tylko puścimy SMS-a. Najpierw pomyślałam, że jest aż tak ciekawy efektów naszego czatowania, ale potem przysłała druga myśl. Nie może pójść z nami, może się po prostu niepokoi naszym nocnym łazikowaniem i woli wiedzieć, czy bezpiecznie dotarliśmy do domu.

Przed Jędrzychowem skręciłyśmy w lewo, w boczną drogę, i odjechałyśmy kawałek, żeby schować samochód między drzewami. Oglądaliśmy wcześniej teren na mapie i wiedziałyśmy, że przed samą wsią przy głównej drodze nie możemy na to liczyć. Nie chciałyśmy też przejechać przez wieś i ewentualnie wzbudzić ciekawości mieszkańców albo obserwującego już dom Wilińskich włamywacza. Miejsce udało nam się wybrać całkiem dobre, samochód nie był widoczny z drogi, ale łatwo było do niego dotrzeć, nawet gdybyśmy musiały się szybko ewakuować. Tyle tylko, że musiałyśmy do niego kawałek podejść. Niestety, inaczej się nie dało. Nauczone zeszłorocznym doświadczeniem zadbałyśmy o to, żeby pasażer i kierowca mogli wsiąść do samochodu w tym samym momencie, a żadnych drzwi nie blokowały zarośla. W pierwszym odruchu chciałam zostawić auto ustawione w kierunku Fromborka, tak, żebyśmy od razu mogły wracać do siebie, ale po przemyśleniu zmieniłam zdanie. Jeżeli dojdzie do śledzenia włamywacza, powinnam mieć jak najlepszy wyjazd w obie strony, żeby niepotrzebnie nie zawracać. Wyjęłyśmy z samochodu plecaki i kurtki, bo niestety zaczęło znowu padać.

- Kataru się nabawimy - mruknęła Julia, zapinając się pod szyję i naciągając kaptur na czoło.

- Zaaplikujemy sobie coś rozgrzewającego po powrocie - obiecałam, co wzbudziło natychmiastowe zainteresowanie mojej przyjaciółki.

- A co masz? Nie widziałam, żebyś przywiozła jakieś „lekarstwo”.

- Bo nie wyjęłam z torby, od razu byśmy je spożytkowały pod byle jakim pretekstem albo i bez. Cytrynowkę mam.

- To ja na pewno będę się dzisiaj leczyła - zapewniła mnie Julia.

Obie lubiłyśmy nalewki, może nie tak jak piwo, ale bardziej niż pozostałe alkohole. Robiłyśmy je same i wyszukiwałyśmy różne ciekawe przepisy. W zeszłym roku przyjechała z nami z wakacji pod Olsztynkiem bardzo dobra malinówka, która niestety miała jedną wadę: na długo nie wystarczyła.

- Musimy spytać panią Zosię, czy przypadkiem nie zna jakiegoś ciekawego przepisu na nalewkę.

- Nie musi się chcieć z nami nim podzielić. - Julia doskonale wiedziała, że niektóre przepisy są prawie wiedzą tajemną. - Ale spytać możemy.

Tak pogadując, przygotowaliśmy się do czatowania na złodzieja. Nasza jedyna broń, scyzoryki, powędrowała do kieszeni, plecaki na plecy, a latarki w dłonie. Miałyśmy też czołówki, ale na razie postanowiłyśmy ich nie wykorzystywać z bardzo prostego powodu. Szybciej zgasimy coś, co mamy w rękę niż na czole.

Do Jędrychowa nie poszłyśmy drogą, a polami, wzdłuż linii drzew, bo tak nam się wydawało bardziej konspiracyjnie. Pewnie miałyśmy rację, bo przy takiej pogodzie nikt normalny raczej nie spacerował po trawie, żeby sobie nie zafundować mokrych nóg i spodni. Miałyśmy kalosze, ale i tak musiałyśmy uważać, żeby nie wleźć w miejsca, które gwarantowały przemoczenie od stóp do pasa. Od czasu do czasu przyświecałyśmy sobie latarkami, ale starałyśmy się iść po ciemku. No dobrze, nie były to egipskie ciemności, ale my nie widziałyśmy w nocy jak koty i raz po raz wpadałyśmy na coś. Na szczęście wiedziałyśmy, gdzie jest dom Wilińskich, nie musiałyśmy go szukać. Tak się dobrze dla włamywacza, a przy okazji i dla nas, złożyło, że mogłyśmy podejść tam pod osłoną drzew. W pewnym momencie Julia poklepała mnie po ramieniu, sygnalizując, że chce coś powiedzieć.

- A jak on się schowa tam, gdzie my?

- Nie sądzę. Pewnie przyjdzie i od razu się włamie, po co ma czekać?

- Żeby zasnęli?

Nie mogłam odmówić jej racji. A to oznaczało, że mogłyśmy sobie wybrać do czatowania to samo miejsce co złodziej albo tuż koło niego. Ciekawe, czy gdyby się zorientował, że ktoś jest obok, to też by się włamał. Cała nadzieja w tym, że przyjechałyśmy przed nim, znajdziemy sobie odpowiednie miejsce i będziemy tam cicho siedzieć.

- Nie stój tak, chodź szybciej - pogoniłam przyjaciółkę. - Musimy znaleźć dobrą miejscówkę.

Z dobrym miejscem był pewien problem, bo wszystko było mokre, a my musiałyśmy mieć widok na dom Wilińskich i jednocześnie schować się przed kimś, kto mógł nadejść praktycznie z każdej strony. Dopiero po chwili znalazłyśmy odpowiednią kryjówkę, która miała dodatkową zaletę. Leżał tam pień drzewa, na którym dało się usiąść, nie tracąc nic z widoku, a zyskując na suchości. Gdyby nie to, to albo musiałybyśmy cały czas stać, co nam się nie uśmiechało, albo siąść na mokrym podłożu, co było chyba jeszcze gorszym rozwiązaniem. Oczywiście

pień też nie był suchy, ale nasze kurtki były na tyle długie, że być może nie przemoczymy sobie spodni. Zagnieździłyśmy się i zamilkłyśmy. Włamywacz mógł nadejść lada moment, więc rozmowa była zdecydowanie niewskazana. Siedziałyśmy w ciszy, wsłuchując się w padający deszcz i odgłosy dobiegające od strony wsi. Mieszkańcy jeszcze nie spali, ktoś chodził i wołał jakiegoś Waldka, ktoś inny groził psu, że jeżeli natychmiast nie wróci do domu, to będzie spał na dworze, a przez to przebijał się głos jakiegoś dzieciaka żądającego misia. Było przed dwudziestą drugą i miałam nadzieję, że zaraz zapanuje spokój i cisza, co da szansę włamywaczowi.

Zdrętwiałyśmy całe, było nam zimno, a wilgoć przeniknęła nas na wylot. Miałam wrażenie, że lada moment zacznę szcząkać zębami, mimo że, obiektywnie rzecz biorąc, nie było jakoś specjalnie chłodno. Noc, deszcz, napięcie i bezruch powodowały jednak takie odczucie. Julka popatrzyła na komórkę, żeby sprawdzić godzinę. Siedziałam tuż obok niej, więc też zerknęłam z ciekawością. Tkwiłyśmy na czatach trochę ponad godzinę, a wydawało nam się, że zaraz będzie świtało. Jeżeli włamywacz miał przyjść, to naszym, a głównie moim zdaniem, niezbyt późno. To znaczy wtedy, gdy już ruch we wsi ustanie, światła u Wilińskich pogasną, a oni sami zasną. Nie miał po co dłużej czekać. Podobno z pierwszego snu najtrudniej jest się wybudzić, więc wtedy powinien czuć się najpewniej. Uznałyśmy, że pół godziny na zaśnięcie powinno wystarczyć wszystkim, którzy nie cierpią na bezsenność. Dom od czterdziestu minut pogrążony był w ciemności i wydawało nam się, że również w pokojach po drugiej stronie wszystkie światła są pogaszone, więc złodziej powinien niedługo zacząć działać. O ile dzisiaj przyjdzie, bo tego nie mogłyśmy być pewne. Postanowiłyśmy, że poczekamy do północy, a dokładniej do kwadrans po, i jeżeli nic się nie wydarzy, to wrócimy do domu.

Gdzieś za nami nagle coś zaszeleściło i obie zamarłyśmy, starając się nawet nie oddychać. W krzakach na skraju linii drzew coś się działo, nie było takiej opcji, żeby to był wiatr. Ktoś się zbliżał. Julka złapała mnie za rękę i wbiła mi paznokcie w dłoń. Jak Boga kocham, sama jej je jutro obetnę! Hałas zbliżał się z naszej prawej strony i wyglądało na to, że ktokolwiek to jest, nie wlezie nam na plecy, tylko minie naszą kryjówkę. Miała ona tę zaletę, że siedziałyśmy niejako otoczone krzakami i trudno nas by było wypatrzyć nawet w dzień. My za to pomiędzy gałęziami mogłyśmy obserwować, co się dzieje dookoła. Tym bardziej że akurat na chwilę pokazał się księżyc. Wyteżyłyśmy wzrok, niczym przy znajdowaniu elementów różniących dwa obrazki, i starałyśmy się

zobaczyć coś w ciemności. Nasze wysiłki zostały nagrodzone i po chwili dostrzegłyśmy majaczącą w mroku sylwetkę. Mężczyzny, bo rzadko zdarzają się kobiety o takim wzroście. Przez chwilę stał nieruchomo, opierając się jedną ręką o drzewo, a potem rozejrzał się dookoła, co spowodowało nasze nerwowe drgnięcie, bo mimo całkiem dobrego ukrycia od razu wyobraziliśmy sobie, że na pewno doskonale nas widać. Po chwili, podczas której, według nas, na pewno nasłuchiwał i obserwował teren, mężczyzna puścił drzewo i ruszył w stronę najbliższych zabudowań. Zamarłyśmy, czekając, aż odejdzie na tyle daleko, że nie będzie mógł nas usłyszeć, gdy ruszymy za nim. Obserwowany przez nas osobnik szedł wolno, jakby wybierał miejsca, w których postawić stopy, pewnie nie chciał, aby przypadkowy hałas zwrócił na niego uwagę. Nie dziwiłyśmy się mu zbyt, było cicho, a dźwięk w nocy niesie się daleko. Już się podnosiłyśmy, gdy mężczyzna potknął się o coś i wywalił jak długi, rzucając w locie wiązaną absolutnie budowlaną. Zaskoczone zastygłyśmy w połowie wstawania. Nie dziwiło nas słownictwo, bo pewnie też byśmy rzuciły mięsem, lądując w mokrej trawie na pysk, ale to, że facet rzucał kurwami tak głośno, że słychać go było chyba nawet w sąsiedniej wsi. Jasna cholera, to nie nasz włamywacz. Jak na komendę przysiadłyśmy z powrotem na pieńku w oczekiwaniu, co się dalej wydarzy. Facet pozbierał się z pewną trudnością, głośno beknął i lekko chwiejnym krokiem ruszył do wsi. Miałam ochotę zakląć podobnie jak on przy upadku! Jeżeli złodziej już tu był, to mógł zostać spłoszony. A może nie? W końcu czy taki pijaczek byłby przeszkodą, szczególnie jeżeli nie zauważył czającego się gdzieś w pobliżu włamywacza? Najcichszym szeptem powiedziałam Julce, że dalej czekamy.

Z trudem dotrwałyśmy do kwadransa po północy. Po pojawieniu się pijaka byłyśmy zawiedzione, bo już miałyśmy nadzieję na rozwiązanie zagadki, i nawet logiczne rozumowanie, że pijany facet nie wyklucza złodzieja, do nas nie przemawiało. Nie chciałyśmy jednak, żeby potem okazało się, że myśmy odjechały, a do Wilińskich ktoś się włamał chwilę później. Równo piętnaście po Julia szturchnęła mnie w bok, dając sygnał do odwrotu. Podniosłam się bardzo chętnie i od razu mnie zastopowało. A jeżeli włamywacz jednak tu jest i wleziemy na niego? Jasna cholera! Pociągnęłam Julię nie w stronę, skąd przyszłyśmy, ale trochę po skosie w stronę wsi i dopiero wtedy zawróciłyśmy w stronę samochodu. Układ terenu nam sprzyjał, księżyc akurat zasłoniły chmury i miałam nadzieję, że tamten zmyłkowy kawałeczek uda nam się przejść niezauważalnie. Niech w razie czego złodziej nie ma podejrzeń, że siedziałyśmy gdzieś blisko niego. Zdecydowanie wolałam, żeby

myślał, że idziemy od wsi.

Nie dbając już o suchość spodni powyżej kaloszy, wróciliśmy do samochodu. Dopiero wtedy Julka odezwała się.

- Zmarzłam, wynudziłam się i mam przemoczone portki. Nie podoba mi się takie czatowanie!

- Nie marudź, co poradzę, że deszcz pada? Niedługo ma przestać. Jutro ubierzemy się ciepłej.

- O Boże - westchnęła Julia. - Nie odpuszczisz?

- Nie. Wiesz, jak to jest. Jutro posiedzimy w domu, bo leje, to on się akurat włamie. Zawsze tak jest.

- Maniaczka!

- Zauważ, że siedzieliśmy w lesie, na łonie natury. Przecież to lubisz.

- Ale niekoniecznie z tyłkiem na mokrym próchniejącym konarze, podczas deszczu i przy prawie ujemnej temperaturze!

- Jakieś ujemnej, piętnaście stopni jest! Ale ja ci nie bronię, ubierz jutro barchanowe gacie i kufajkę.

Znowu zaparkowałam na drodze koło domu pani Zosi, nie chcąc hałasować na podwórku. Po cichu weszliśmy do domu, a potem na palcach przekradliśmy się do naszego pokoju. Kot już był i spał na łóżku Julii. Jak zwykle rozwalony w poprzek, najwyraźniej wykorzystywał okazję.

- Dawaj tę leczniczą cytrynowkę - zażądała moja przyjaciółka. - Chłapnę sobie, wezmę gorący prysznic i może mnie przeziębienie nie złapie.

Posłusznie wyjęłam butelkę i nalałam szczerze do dwóch szklanek. Obie wypiliśmy z przyjemnością i Julka natychmiast zniknęła w łazience. Cwaniara. Jutro ja się idę pierwsza kąpać.

* * *

Poprzedniego dnia zapomnieliśmy o nazbieranych grzybach i o tym, że zamierzałyśmy zrobić marynowane kurki. Żeby rozpocząć produkcję, musiałyśmy skoczyć do sklepu po ocet i inne składniki, słoiczki przywiezłyśmy ze sobą. Pojechałyśmy zaraz po śniadaniu, po drodze dyskutując o tym, jakie nalewki mogłybyśmy zrobić. Zeszłoroczne łupy przywiezione z leśniczówki mojego kuzyna spowodowały, że zapragnęłyśmy i w tym roku wzbogacić nasze umowne spiżarnie. Jakże teraz mamy owoce?

- Truskawki! - zaproponowała od razu Julia.

- Z tego, co wiem, nalewka z truskawek nie jest zbyt dobra - ostudziłam jej zamiary.

- Skąd wiesz? Piłaś?

- Raz. Była tak przeraźliwie słodka, że gdyby wypadła, to bym ją zostawiła. Czułam cukier, a nie owoce.

- Może ktoś zrobił ze złych proporcji? Albo owoce były niedojrzałe?

- Może. Ale byłam ciekawa, bo lubię truskawki, i wszyscy twierdzili zgodnie, że są do niczego, jeżeli chodzi o nalewki.

- Szkoda. To może jagody?

To mógł być niezły pomysł. Nigdy nie piłam, nie mówiąc już o robieniu, nalewki z jagód. Nie wiedziałam też, czy już jest na nie sezon.

- Widziałam, jak sprzedawali - uświadomiła mnie Julia. - Może to jeszcze nie największy wysyp, ale są.

- To spróbujemy, tylko trzeba sprawdzić, czy są na pewno dojrzałe.

Po zrobieniu odpowiednich zakupów wróciłyśmy do domu i zajęłyśmy się grzybami. Nasze łupy nie były zbyt obfite i po umieszczeniu ich w słoiczkach poczułyśmy niedosyt. Rada była jedna: trzeba dozbierać. Julka zerknęła za okno w nadziei, że przestało padać.

- Nadal mży - mruknęła z niesmakiem.

- Ma dzisiaj przestać. W lesie prawie nie będzie tego czuć, idziemy?

Postanowiłyśmy pojechać w miejsce, w którym jeszcze nie byłyśmy, nieco oddalone od Bogdan. Poszukałyśmy na mapie, gdzie możemy spodziewać się lasu większego niż kępa drzew, i wyruszyłyśmy w drogę. Daleko nie jechałyśmy, po dwudziestu minutach zaparkowałyśmy octavię na poboczu i zaopatrzone w koszyki i scyzoryki ruszyłyśmy w las. Nie miałam nadziei na superzbiory, ale było w miarę ciepło i wilgotno, więc coś tam mogło urosnąć. Przez pierwsze trzysta metrów znajdowałyśmy tylko śmiecie w rozmaitej postaci. Naprawdę nie potrafię zrozumieć kogoś, kto postanowił wywalić stare biurko i przywiózł je w tym celu do lasu. Dlatego, że drewniane? I jeszcze zatachał je kawałek w głąb, a nie porzucił przy pierwszych drzewach. Co kieruje kimś takim? Zaśmieca las, a jednocześnie musi się przy tym napracować: przywieźć wyrzucany obiekt i nieść go spory kawałek. Nie lepiej byłoby wystawić przed dom, żeby ktoś sobie wziął? Albo poczekać na wywózkę miejską?

- Chodźmy bardziej prostopadle, nie równolegle do drogi - zaproponowała Julia. - Wydaje mi się, że tam jest ciekawiej.

Nie miała oczywiście na myśli większej różnorodności śmieci, a las. Obie wolałyśmy ten wysoki, z mchem lub igliwem pod stopami, a nie krzaki pomiędzy drzewami i trawę do kolan.

Oczywiście najważniejsze było to, co lubią grzyby, bo nie przyszłyśmy tu dla przyjemności spacerowania, a w konkretnym celu. A właściwie dla przyjemności, ale takiej wynikającej ze zbierania grzybów, a nie moczenia sobie portek. Zbierałam grzyby, teoretycznie skoncentrowana na tym, ale cały czas gdzieś tam w tle i niejako bezwiednie myślałam o włamaniach i morderstwie. To była zagadka i przyciągała moje myśli niczym magnes, grzyby zbierały się same. Wzrok rejestrował znany sobie kształt, a nogi same niosły mnie w tamtą stronę. Czy nikt nas dzisiaj nie zauważy, gdy będziemy przechodziły przez płot do ośrodka, pomyślałam, kucając przy całkiem przyzwoitym kozaku. Jeżeli nie chciałyśmy sprawdzać, co jest wewnątrz budynku po ciemku, tylko z latarkami w dłoniach, musiałyśmy wejść tam, gdy będzie jeszcze jasno. Ktoś mógł jednak wtedy zobaczyć i nas, i samochód stojący w pobliżu bramy. Korzyści mogło być jednak więcej niż niedogodności, bo już samo wtargnięcie w nocy na teren ośrodka będzie bardziej podejrzane niż za dnia, a światło z latarek da się zauważyć z daleka. O ile ktoś popatrzy w odpowiednią stronę.

- Ile masz? - Julia przerwała moje rozmyślenia i sprawdziła, co mam w koszyku. - No nie powiem, żeby to było jakieś szaleństwo, ale coś tam mamy. Idziemy dalej, czy skoczymy sprawdzić, co jest po drugiej stronie szosy?

Wybrałam drugą opcję, bo przed nami pojawiły się młode drzewka, co gwarantowało mokre spodnie, a nawet wodę w kaloszach, przy mniej korzystnym układzie.

- Zobacz, jagodowisko! - ucieszyła się nagle Julka, która maniacko lubiła zbierać prawie wszystko.

Rzeczywiście, trafiłyśmy na krzaczki jagód. Niestety, dojrzałych prawie nie było.

- Pewnie jeszcze nie sezon.

Byłam lekko zawiedziona, bo wiadomo, że najwięcej wszystkiego jest w sezonie. Te niewielkie ilości dojrzałych jagód podsunęły mi myśl, że właściwie nie musiałyśmy ich zbierać osobiście, mogłyśmy kupić. Być może w innych miejscach były bardziej dojrzałe. Julka trochę protestowała, bo uważała, że zbierane własnoręcznie są zdecydowanie lepsze, ale dała się przekonać, że możemy spróbować umówić się z kimś, kto zbiera zarobkowo. Niech nazbiera dla nas. Pani Zosia na pewno zna kogoś takiego.

Dozbierałyśmy jeszcze trochę grzybów i wróciłyśmy prawie dokładnie na obiad. Pani Zosia zapytana o kogoś, kto zbiera zarobkowo jagody, wskazała nam swoich siostrzeńców, z którymi już rozmawiałyśmy o duchu. Bardzo dobrze, umówimy się z nimi,

niech pozbierają dla nas. Przed wieczornym wyjściem musiałyśmy jeszcze zrobić porządek z grzybami. Kurki i część kozaków zamarynowałyśmy, resztę podsmażyłyśmy do kolacyjnej lub śniadaniowej jajówki. Tak jak w zeszłym roku pod ścianą pojawiły się kolejne słoiczki, na które popatrywałyśmy z zadowoleniem i nadzieją, że będzie ich więcej.

- Idę poczytać - oznajmiła Julka, a ja przez moment zastanawiałam się, gdzie chce wyjść. Ułożyła się wygodnie na łóżku z książką w ręku.

- Może to i dobry pomysł. Przy okazji odprostujemy sobie wszystko. - Poszłam za jej przykładem.

Czytałyśmy do szóstej, potem zrobiłyśmy sobie kanapki, kawę do termosu i spakowałyśmy wszystkie niezbędne rzeczy do plecaków. Julia cały czas miała obiekcje co do wchodzenia do budynków na terenie opuszczonego ośrodka. Według niej było to jawne włamanie, bo przecież te budynki do kogoś należały. Właściwie miała rację, ale zastosowałam metodę wyparcia. Jakie włamanie? Przecież drzwi do budynku są otwarte. W tym momencie przyszło mi do głowy, że nawet jeżeli bez problemu wejdziemy do środka, to może się okazać, że następne drzwi będą zamknięte. Do diabła, chyba powinnam przejść szybki kurs praktyczny u jakiegoś włamywacza i zaopatrzyć się w komplet wytrychów. Co może zastąpić wytrych? Nasze scyzoryki raczej się do tego nie nadawały. Otworzyłam szufladę ze sztućcami i przez chwilę wpatrywałam się w nie z nadzieją. Niestety według mnie nic z tego, co się tam znajdowało, nie nadawało się jako imitacja wytrychu. Nie wezmę przecież tłuczka do mięsa albo długiego noża do chleba. Chyba że do obrony.

- Czego szukasz?

- Wytrychu.

- W sztućcach? Myślisz, że to tutaj taka norma? Obok łyżek i widelców leżą narzędzia przydatne przy włamaniu? I na cholere ci wytrych?

Zawahałam się. Julia była zdecydowanie sceptycznie nastawiana do naszej wieczornej wyprawy, uświadomienie jej, że rozważam opcję włamania do jakichś pomieszczeń, mogłoby ją jeszcze bardziej zniechęcić. Głupio jednak skłamać.

- Nie wiem, czy wszystko tam będzie otwarte, a jak już wejdziemy do środka, to warto by było sprawdzić możliwie najwięcej. Stąd myśl o wytrychu.

- Ja się włamywać nie będę! - zaprotestowała Julia zgodnie z moimi oczekiwaniami.

- Postoisz na czatach, ja się włamię.

- Miałyśmy odnaleźć włamywacza, a nie zamieniać się w niego!
- Czy ja ci proponuję włamania do domów prywatnych ludzi? Chcę tylko sprawdzić miejsce, w którym może czasem bywać złodziej.

- Nie idę! - zaprotestowała nagle Julia. - A jak tam ktoś będzie?
- Przecież szukamy...

Zaczęłam i zamilkłam, bo jakoś dopiero uzmysłowiłam sobie, co chcemy zrobić. Kurczę, kurczę, a jak tam naprawdę ktoś będzie? Usiłowałam szybko pomyśleć. Może nam coś grozić? Włamywacz nigdy nikogo nie skrzywdził, dlaczego miałybyśmy być pierwsze? Dlatego, że odkryłyśmy jego kryjówkę? Chyba mało prawdopodobne, bo tym samym znacznie bardziej naraziłby się policji. Co może zrobić, gdyby był w tym opuszczonym domu? Pewnie uciec przed nami, ewentualnie naskoczyć na nas z pretensjami, że tam włączymy.

- Według mnie włamywacz nic nam nie robi, pewnie nawieje, żeby go nikt nie widział. Ale jakieś ślady po nim zostaną.

- A morderca?!

- Mordercy się tam nie spodziewam - powiedziałam kategorycznie, bo już to zdążyłam przemyśleć. - On już zabił i nie powinien się włóczyć po okolicy.

- Przeczysz sama sobie! Ma tu jednocześnie nie być i być, bo poluje na brata trupa.

No fakt. Ale jakoś mi się wydawało, że opuszczony ośrodek wypoczynkowy to nie najlepsze lokum dla mordercy. Łatwe do sprawdzenia przez policję. Z dużym wahaniem Julia przyznała mi rację, ale kazała obiecać, że będziemy bardzo ostrożne i uciekniemy, gdy tylko coś nas zaniepokoi.

Zgodnie z planem zaparkowałyśmy niedaleko bramy ośrodka i udając chęć spaceru, poszłyśmy skrajem drogi w stronę przeciwną do Fromborka. Tak na wszelki wypadek, gdyby ktoś się nam przyglądał. Za zakrętem skręciłyśmy w las i wróciłyśmy. Bez problemu odnalazłyśmy przejście przez siatkę, to po zwałonym drzewie i kamieniach. Mimo że żadna z nas nie uprawia czynnie sportu, nie chodzi na siłownię trzy razy w tygodniu, nie biega ani nie pływa, jesteśmy ogólnie rzecz biorąc sprawne, więc przejście na drugą stronę ogrodzenia nie sprawiło nam trudności. Stałyśmy i przez chwilę rozglądałyśmy się dookoła. Nikt nie zareagował na nasze wtargnięcie, a w każdym razie nie zauważyłyśmy tego. Pilnującego terenu ośrodka psa wykluczyłyśmy już wczoraj, gdyby był, to siatka musiałaby być szczelna, bez takich dziur jak ta, którą poprzednio dostałyśmy się tutaj.

Ośmielone szybkim krokiem podeszłyśmy do drzwi, o których

wiedziałyśmy, że są otwarte. Tym razem nie udawałyśmy zbierania czegokolwiek, tylko jak najszybciej chciałyśmy zniknąć wewnątrz domu. Nie namyślając się, pchnęłam drzwi i weszłam do środka, Julka zrobiła to samo, bo przecież nie mogła i nie chciała zostać sama na zewnątrz. Zamknęła drzwi i stałyśmy w półmroku, jednocześnie przyzwyczajając oczy do światła, a właściwie jego braku, i z niepokojem czekając, czy nikt nie wyjdzie nam na spotkanie. Po paru chwilach zdecydowałyśmy się wejść dalej. W korytarzu było prawie ciemno, najwyraźniej drzwi do pomieszczeń znajdujących się po obu jego stronach były zamknięte. Chociaż może nie wszystkie, bo dalej robiło się jakby jaśniej. Zapaliłam latarkę i przyglądałam się ciekawie temu, co zobaczyłam. W dosyć szerokim korytarzu stały jakieś meble, nawet niezbyt zniszczone. Na pewno nie chciałabym takich w domu, ale były kompletne i nie rozwały się pod wpływem naszych spojrzeń. Pokrywał je kurz, ale na blacie niewielkiego stolika biegła świeża „rysa”, ktoś musiał przeciągnąć czymś po wierzchu i zebrać cały brud. Samo to się na pewno nie zrobiło. Na ścianach, z których obłaziła farba, były rozmaite graffiti – znak, że to miejsce było czasem odwiedzane.

- Ale tu śmierdzi – szepnęła Julka z niechęcią.

- A myślałaś, że będzie konwaliami pachniało? Pewnie są tu zbutwiałe i zawilgłe rzeczy, może jakieś truchło myszy lub nawet trochę większego zwierzęcia, to i śmierdzi – wzruszyłam ramionami.
- Chodź, zobaczymy, co jest tam dalej.

Już chciałam ruszyć w kierunku pomieszczeń, które na pewno były otwarte, ale coś mnie tknęło. Jeżeli od razu tam pójdziemy, nie sprawdzając, co jest za kolejnymi drzwiami, to teoretycznie możemy mieć odcięty odwrót, gdyby ktoś tam był i wyszedł, jak go miniemy. Jakoś zapomniałam, że doszłam do wniosku, że włamywacz powinien przed nami uciec. Z duszą na ramieniu nacisnęłam najbliższą klamkę. Drzwi uchylły się z lekkim oporem, a gdy naparłam na nie ramieniem, otworzyły się. Światło dostające się przez okno wystarczyło, żeby zobaczyć wnętrze. Najwyraźniej kiedyś była to pralnia. Chyba, bo zawsze mogłyśmy się mylić. W każdym razie nie było tam nic, co sugerowałoby niedawny pobyt jakiegokolwiek człowieka. Wycofałyśmy się, a potem sprawdziłyśmy kolejne pomieszczenie. Też nic. To znaczy, nie było tam nic, co by nas zainteresowało z punktu widzenia naszego śledztwa, bo może ktoś, kto zbiera makulaturę lub butelki byłby zachwycony. Następne pokoje były co prawda zróżnicowane pod względem zawartości, bo niektóre zupełnie puste, a w innych było prawie całe wyposażenie, ale nie było w nich nic, co by nas zelektryzowało.

Czułam się zawiedziona, z wyprawy, która powinna być ekscytująca, zrobił się przegląd opuszczonego ośrodka, w którym nie ma nic ciekawego. Zostały nam jeszcze pokoje z otwartymi drzwiami.

- Ja pierdzielę, jeżeli coś tu zdechło, to na bank w którymś z tych pokoiów. - Julia skrzywiła się, demonstrując swój stosunek do woni. Fakt, śmierdziało.

- Może zostały tu jakieś zapasy jedzenia, które się psują?

- Może. Ale żaden normalny człowiek nie siedziałby w takim smrodzie, tylko poszukał sobie lepszej kryjówki albo wywalił stąd to, co cuchnie.

To było logiczne. Pocieszyłam się tylko tym, że jeżeli nic tu nie znajdziemy, to jeszcze wejdziemy do drugiego budynku. Stałam w drzwiach najbliższego pokoju i zajrzałam do wnętrza. Do tej pory to wystarczało, od razu widziałyśmy wszystko, teraz jednak tak nie było, musiałam wejść dalej. Było tam sporo mebli, a część z nich stała tak, że nie widziałyśmy, co się za nimi znajduje. Już chciałam przekroczyć próg, gdy powstrzymała mnie Julia.

- Tu ktoś był - odruchowo ściszyła głos. - Zobacz na podłogę, jest czysta.

Czysta to może za dużo powiedziane, gdybym miała sprzątaczkę, która po sobie zostawia coś takiego, to bym ją natychmiast zwolniła, ale wyglądało tu tak, jakby ktoś wymiół kurz. Nie na tyle jednak, żeby nie było widać śladów prowadzących w stronę okna i niknących za szafą ustawioną na środku pokoju. Ślady były niewyraźne i mogłybyśmy przyjąć, że zrobiło je jakieś zwierzę, ale na pewno nie odkurzyłoby ono pokoju. Ktoś tu zapewne był nie tak dawno. Pytanie tylko, kto. I kto by wytrzymał w takim smrodzie? Miałam wrażenie, że ta obrzydliwa woń okleiła mi już nos od wewnątrz. Tu musiała być jakaś padlina.

- Idziemy dalej? - pogończyła mnie Julka.

- Czekaj, trzeba sprawdzić...

- Sprawdzaj sama, tu cuchnie najbardziej, to teoretyczne padłe zwierzę musiało być chyba wielkości świni - oznajmiła Julia i natychmiast zrozumiała, co powiedziała.

Poczułam, jak jeżą mi się włoski na karku. Taką samą woń wydzielaloby truchło świni, jak i ciało martwego człowieka. A może nie taką samą? Może jakiś patolog by to odróżnił, ale przecież nie my. Otoczona smrodem stałam jak przyrośnięta w progu i nie mogłam się zdecydować na wejście dalej. Wiedziałam, że co najmniej jedna z nas powinna sprawdzić, co tam jest, bo jeżeli to jednak nie było zwierzę, to trzeba było natychmiast powiadomić sierżanta Korczyńskiego.

- Jeżeli miałam jakiegokolwiek wątpliwości, to się ich pozbyłam - szepnęła Julia. - Posłuchaj.

Było cicho, nie robiłyśmy hałasu, chodząc po domu, ale dopiero teraz zwróciłam uwagę na ten dźwięk. Muchy. No jak są takie ich takie ilości, nie ma opcji, żeby tu nie było jakichś zwłok. Kurwa mać! I ja mam tam wejść? Popatrzyłam z nadzieją na Julkę, jako biolog mogła mieć nieco inny stosunek do much.

- Na mnie nie licz! Sama chciałaś!

Chciałam, chciałam, ale przecież nie znaleźć przechodzone zwłoki! Nieważne czy były ludzkie czy zwierzęce. Świeże nie były na pewno, bo co prawda muchy pojawiają się natychmiast po wyczuciu krwi, ale zapach, a raczej smród, wykluczał zgon przed półgodziną. Przełknęłam ślinę, nie bardzo wiedząc po co, dobytek z kieszeni broń w postaci scyzoryka i niechętnie przekroczyłam próg. Ja pierdołę, co za smród! Odór uderzył mnie ze zdwojoną siłą. Jakoś pozbyłam się złudzeń i wątpliwości i na pewniaka poszłam w stronę szafy. Zatrzymałam się przy niej i z wahaniem zajrzałam za. Kurwa, będzie mi się śniło! Na dmuchanym materacu i śpiworze leżał człowiek, a po nim spacerowały miliony much. Kolejne miliony latały naokoło i od razu zainteresowały się mną, bo może nowe zwłoki przyszły. Przemogłam się i spojrzałam ponownie na ciało. O ile much były miliony, to ich larw chyba pierdyliony!

Usłyszałam jakiś szmer za sobą i o mało nie zesłam na zawał. Zapomniałam o Julce i przez moment byłam pewna, że to morderca przyszedł zapolować na kolejną ofiarę. Musiałby być co prawda nienormalny, żeby wracać na miejsce zbrodni, ale logiczne myślenie było w tej chwili odległe ode mnie o lata świetlne.

- Co widzisz? - spytała Julia, stojąc za moimi plecami i nie patrząc na trupa.

- Nie możesz sama zobaczyć?

- Mogę, ale nie chcę. Mów.

- Facet, na bank nieżywy. Pełno much i larw.

Spojrzałam jeszcze raz i poczułam, jak mi obiad podchodzi do gardła. O, żadne takie, nie zostaję tu dłużej! Schowałam scyzoryk, wyjęłam komórkę i pstryknęłam kilka fotek. Nie, nie na pamiątkę. Zadzwonimy do Korczyńskiego i wyślemy mu zdjęcie. Poza tym może potem je obejrzymy i wywnioskujemy coś o tym kolejnym trupie. Ciekawe, czy też obcym.

Dopiero po wyjściu na zewnątrz i kilku oddechach świeżego powietrza zdałam sobie sprawę, jak bardzo śmierdziało wewnątrz budynku. Może nie w całym, ale w tym ostatnim pokoju. Smród narastał, a my powoli przyzwyczajaliśmy się do niego. Poza tym cały czas brałyśmy pod uwagę, że w opuszczonych zabudowaniach

śmierdzieć może cokolwiek, niekoniecznie ludzkie zwłoki.

- Podejrzewam, że my też tak śmierdzimy. - Julia obwąchiwała się z obrzydzeniem. - I niedobrze mi.

- A komu dobrze? Tylko nie rzygaj tu, bo glinom miejsce zbrodni zanieczyścisz.

- E tam, tu to już nie jest miejsce zbrodni.

- Ale mogą sprawdzać, czy morderca czegoś nie zgubił albo coś w tym stylu.

- Jak myślisz, kto to jest?

- Czekaj, zaraz pomyślimy, tylko do Korczyńskiego zadzwonię.

Odeszłyśmy jeszcze kawałek od budynku, wyciągnęłyśmy z plecaków butelki z wodą, przepłukałyśmy usta, a potem wydmuchałyśmy nosy w nadziei na pozbycie się zapachu, który cały czas czułyśmy. Dopiero wtedy wybrałam numer do sierżanta. Nie był zachwycony, słysząc, kto dzwoni, pewnie myślał, że chcę go powypytywać o śledztwo. Na moje krótkie oświadczenie, że znalazłyśmy kolejnego trupa, zareagował tak, jak przypuszczałam.

- Jest pani pewna?

- Jestem. I niech pan nie pyta, dlaczego. Gdy go pan zobaczy, to będzie pan wiedział.

- Gdzie tym razem?

- W opuszczonym ośrodku wypoczynkowym.

- A po co tam panie poszły?

O cholera, nie ustaliłyśmy zeznań. Trzeba będzie to szybko nadrobić przed przyjazdem Korczyńskiego.

- Po grzyby. Panie sierżancie, porozmawiamy na miejscu, my naprawdę nie uciekniemy panu, jakby nawet, to przecież nas pan znajdzie. Niech pan tu przyjedzie, bo zaraz się zrobi ciemno, a jakoś nam nieswojo w towarzystwie zwłok. Wysyłam zdjęcie, żeby nie myślał pan, że jakieś bzdury opowiadam.

Ta ciemność przemówiła do niego, pewnie w odwłoku miał nasze odczucia, jednak zdawał sobie sprawę, że im samym trudniej będzie pracować po ciemku, to znaczy przy świetle reflektorów.

- Przyjadą? - spytała odruchowo, aczkolwiek bez sensu Julia. Jeszcze nie słyszałam o policji, która nie przyjechałaby do zwłok.

- Tak. I to pewno bardzo szybko, w każdym razie sierżant. Nie mam pojęcia, jak z resztą ekipy, ich tu jest tylko kilkoro, techników muszą skądś ściągnąć. Może z Elbląga? Ty się zastanów, co mu powiemy, jak spyta, po co tu przyszłyśmy. Znaczy już spytał, a jak przyjedzie, to pewnie nas dociśnie.

- Słyszałam, jak mówiłaś, że na grzyby.

- No owszem. Możemy powiedzieć, że pierwszy raz byliśmy w okolicy na grzybach i włożyliśmy tu, bo sobie pomyślałyśmy, że tu

nikt nie chodzi, więc może będzie więcej. Słoiczki w naszym pokoju świadczą o tym, że rzeczywiście chodzimy na grzyby. Może sobie sprawdzić. Ale raczej nie uwierzy, że zbierałyśmy grzyby w środku.

- Zaciekawiał nas ten budynek i przyszłyśmy sprawdzić? - zaproponowała Julia.

- A co nas zaciekawiało?

- To, że jest pusty i ktoś mógł w nim nocować. Ten złodziej, bo do szukania mordercy to bym mu się nie przyznawała, jeszcze Dawidowi doniesie.

- Czyli w sumie mówimy prawdę, tylko taką trochę okrojona. Bardzo dobrze, na łgarstwie łatwo można się wyłożyć.

Stałyśmy w pewnym oddaleniu od budynku, bo wydawało nam się, że trupi odór czuć przez ściany. Wczoraj nic nie czułyśmy, ale w końcu minęło już trochę czasu, ciało bardziej się rozłożyło i na pewno woń jest intensywniejsza. Jakoś zapomniwałyśmy o tym, że nic nie czułyśmy przed wejściem do środka.

- Słuchaj, ale mimo wszystko jakoś mało śmierdziało - zastanowiła się moja przyjaciółka.

- Wolałabyś większy odór? Ja nie. I tak prawie się porzygałam.

- Ale pomyśl. Tyle much i larwy. On tam pewnie leży kilka dni. Teraz jest chłodniej, ale było ciepło. Według mnie w korytarzu powinno bardziej śmierdzieć.

Na moment zamilkłam. Nie miałam doświadczenia w tej materii, ale zapach przeważnie roznosi się całkiem swobodnie. Jesteśmy aż tak nieczułe na trupie odory, że nas nie odrzuciło od razu?

- On leżał na za szafą, taka dużą. Może ona trochę blokowała rozprzestrzenianie się woni? Albo myśmy się nastawiły, że śmierdzi tak czymś innym i nas to tak nie obrzydziło? Bo jak do niego podeszłam, to prawie padłam od smrodu. Zeszłoroczny topielec to pies pikuś przy tym.

W tym momencie usłyszałyśmy warkot samochodu i po chwili na teren ośrodka, tą samą drogą co my, wszedł sierżant i jeszcze jeden policjant. Sądząc z tego, że nie próbowali wejść przez bramę i od razu wybrali niezbyt legalną, ale wygodną drogę po drzewie i kamieniach, bywali tu nieraz. Sierżant spojrzał na nas z mieszaniną zainteresowania, niechęci i niedowierzania.

- Nie wiem, czy nie powinienem poprosić pań o powrót do Gdańska. Od waszego przyjazdu mamy dwa zabójstwa - najwyraźniej stwierdził, że nieboszczyk na przysłanym przeze mnie zdjęciu nie wygląda, jakby zmarł sam z siebie.

- Psujemy panu statystyki? - spytałam przyjaźnie. - Niech się pan nie martwi, złapie pan sprawcę, to od razu słupki wzrosną.

- Pewnie macie teraz sezon na trupy - wyraziła przypuszczenie Julia.

Sierżanta zatkało na dłuższą chwilę. Kiedy wreszcie odzyskał głos, popatrzył na nas jakimś dziwnym wzrokiem i pogonił sierżanta.

- Idź sprawdź, tylko tak, żeby nas technicy nie zabili. Niczego nie dotykaj.

- Przefrunąć mam?

- A panie będą łaskawe powiedzieć mi, po co tu przyszły.

- No przecież mówiłam, po grzyby.

- Wieczorem, tuż przed zmrokiem? Wewnątrz budynku?

- E tam. Wczoraj byliśmy na grzybach, dzisiaj przyszliśmy obejrzeć ten budynek.

- Nie zauważyły panie, że to teren zamknięty?

- Zauważyliśmy, owszem, dlatego tak nas tu ciągnęło.

Widząc minę sierżanta, czym prędzej opowiedziałam o naszych wnioskach dotyczących ewentualnego nocowania włamywacza gdzieś w okolicy, o maniactwie grzybowym, trafieniu na ośrodek, tu ukryłam udział Marcina, i postanowieniu sprawdzenia, co jest w środku.

- Ten facet nie żyje już kilka dni - dodała Julka, gdy zamilkłam.

- Skąd pani wie?

- Kiedy go pan zobaczy, to też pan będzie wiedział. Świeży trup wygląda zupełnie inaczej - zabrzmiało to tak, jakby znajdowała zwłoki codziennie, była patologiem lub pracownikiem prosektorium.

- Rozumiem. Panie tam czegoś dotykały?

- Zwariował pan? Miałam macać rozkładające się zwłoki? Było widać, że na jakąkolwiek akcję ratunkową jest za późno - zaprotestowałam.

- Nikt chociaż trochę żywy nie dałby chodzić po sobie muchom i larwom - dodała obrazowo Julia.

Korczyńskim trochę miotnęło, chyba usiłował sobie wyobrazić to, co Julia przed chwilą powiedziała. Pogłaskał się po łysinie, jakby poczuł łaskotanie pełzających larw, przygładził wąsa i zaproponował, żebyśmy wróciły do domu. Podobnie jak poprzednio, zeznanie miałyśmy podpisać na drugi dzień. Teraz na pewno czekał na jakieś wyższe szarże i prokuratora, nie byłyśmy mu do niczego potrzebne. Nie było nam trzeba tego dwa razy powtarzać. Szansy na to, żeby posłuchać, o czym będą rozmawiali gliniarze, nie było żadnej, bo na pewno nas nie wpuszczą do budynku, a od stania zaczynały nas już boleć nogi. Poza tym w domu, przy piwie, spokojnie sobie omówimy nasze ostatnie odkrycie. O nocnych planach zasadzki pod domem Wilińskich

zupełnie zapomnieliśmy.

- No powiem ci, że tym razem przebiliśmy same siebie, jeżeli chodzi o trupa - powiedziałam z pewnym podziwem, gdy już wygodnie rozsiadaliśmy się w fotelach. Po uprzedniej kąpieli i zmianie ciuchów.

- Jeżeli chodzi o mnie, to nie upieram się przy znajdowaniu zwłok. Jakichkolwiek. Niezależnie, czy to będą takie częściowo nieżywe, czy też zdecydowanie przechodzone.

- One znajdują się jakoś tak mimochodem, już w zeszłym roku było to widać. Bo pomyśl, czy myśmy się dzisiaj nastawiały na znajdowanie trupa? Absolutnie nie!

- Ale chciałyśmy nakryć włamywacza! Albo tam, gdzie potajemnie nocował, albo podczas włamania. Czyli nastawiliśmy się na jakieś sensacje i, proszę bardzo, mamy je! Może znalazłyśmy nie tego, co chciałyśmy, ale jednak.

- Zaraz, moment, czy na pewno?

- Masz jakieś wątpliwości co do tego, czy w ośrodku na pewno natknęliśmy się na trupa? Ja jakoś nie. Jeśli doznałaś zaniku pamięci na skutek szoku, to zerknij na zdjęcia.

- Zaraz zerknę...

- Ja nie! Sama go sobie oglądaj.

- Dobrze - zgodziłam się z roztargnieniem. - Kogo mogliśmy znaleźć?

- Niby skąd mam wiedzieć? Dowód osobisty koło niego nie leżał.

- Nie o to mi chodzi. Ale nawet gdyby leżał, to i tak na sto procent nie wiemy, czy to włamywacz.

- A niby kto? - zdziwiła się Julka. - Nie morderca przecież.

- Jakiś przypadkowy człowiek?

- Nie wierzę w taki zbieg okoliczności. To na pewno jest ktoś związany z aferą. Nie morderca. Zostaje nam włamywacz i drugi Minkowski. - Julia dopiła piwo i otworzyła następne. - Przez tych nieboszczyków wpadniemy w alkoholizm. Jak się dzisiaj upiję, to będzie to jego wina. Myślisz, że to jest brat? Ten, który pojawiał się i znikał?

- Jako żywy, nie jako nieboszczyk! Jakby jakiś trup pojawiał się w Krynicy, znikał stamtąd i pojawiał się pod Fromborkiem, to uwierz mi, od plotek już by huczało. Widziałyśmy go żywego w sobotę, nawet jeżeli od razu zginął, to nie wiem, czy zwłoki były w takim stanie.

- Nie przypominaj mi!

- Ale mogłyby to być złodziej. Ostatni raz włamał się zaraz po naszym przyjeździe. Jeżeli został zamordowany niedługo potem, to zwłoki na bank mogą tak wyglądać.

Oczywiście to było twierdzenie trochę na wyrost, ale w końcu Frombork to nie wielka metropolia i morderstwa nie są tu częste. Logiczne wydawało się, że dwa zabójstwa w odstępie paru dni są wynikiem działania jednego sprawcy, a nie dwóch. Bo inaczej trzeba by przyjąć, że nagle w spokojnej okolicy coś zaczęło popychać ludzi do zbrodni. Poza tym, jeżeli morderca pozbył się detektywa wężącego przy jakiejś sprawie, to mógł się pozbyć również i innej konkurencji. Teraz został tylko on i drugi Minkowski. Ciekawe, czy morderca wie, że zamordowany detektyw miał brata bliźniaka. Jeżeli nie, to się bardzo zdziwi, gdy mu się trup pojawi w postaci jak najbardziej żywej.

- Porządny morderca powinien o tym wiedzieć - zawyrokowała Julia. - Przeprowadziłby rozeznanie i sprawdził wszystko, właśnie po to, żeby potem nie było niespodzianek.

- Pewnie sprawdził. We Fromborku i okolicach. Nie musiał wiedzieć, że w Krynicy były podobne włamania i tam też ktoś czegoś szuka. A Minkowscy podzielili się strefami działań, jeden obstawiał mierzeję, drugi te tereny. Jak się razem nie pokazywali, to raczej nikt nie wie, że Lech Minkowski miał brata bliźniaka. Mogli specjalnie tak robić.

- Ale ten żyjący Minkowski chce tu przyjechać! Narazi się! - zaniepokoiła się Julia.

- Owszem. Dlatego dobrze by było z nim pogadać i go uświadomić.

- Najpierw trzeba go znaleźć!

- Marcin się rozgląda za samochodem, może mu się uda trafić.

- Możemy jutro go poszukać w okolicy. Jeżeli założymy, że trup to włamywacz, bo to chyba najbardziej prawdopodobne, to odpadło nam czatowanie na niego - zauważyła Julia.

- Odpadło, żeby to szlag trafił!

- Żałujesz, że nie siedzisz po ciemku w mokrych chaszczach?

- Żałuję, że nie pogadamy z tymi zwłokami!

- Oszalałaś? Znasz jakąś spirytystkę?

- Za życia! Może by się coś wyjaśniło. A tak to co? Nadal nic nie wiemy.

- Akurat by nam cokolwiek powiedział, spławiłby nas i tyle - zawyrokowała Julka.

- Może nie byłby bardzo ostrożny i coś by mu się wymknęło. Policja będzie знаła jego personalia, może coś nam się uda wynioskować.

- Myślisz, że nam powiedzą? Sierżant na bank będzie chciał zatrzymać informacje dla siebie, Dawid mu za dużo poopowiadał o nas.

- To tak delikatnie przypomnimy mu, że wiemy, że jest duchem
- zasugerowała Jula.
- Chcesz szantażować gliniarza? Nieźle!
- Nie szantażować, ale przypomnieć, że nie wygadałyśmy się o tym i nikt nie wie, że to miejscowy szef posterunku udawał zjawę. Chyba więc może nam na tyle zaufać, żeby podać personalia tego trupa?
- Może się bać, że będziemy chciały sprawdzić, kto to jest i po co tu przyjechał.
- Chyba tylko po to są nam potrzebne te dane? Gdyby nie to, nie kombinowałabym, jak wydobyć z Korczyńskiego takie informacje.
- No owszem, ale mi chodzi o to, że sierżant może się bać, iż będziemy mu bruździły w śledztwie. Będziemy chciały pogadać z ludźmi, posprawdzać coś i pewnie będzie tym zaniepokojony.
- Poniekąd słusznie. Dawid łatwo z nami nie miał w zeszłym roku.
- Ale teraz same wszystko odwalamy i nie zwracamy policji głowy. Nawet nie miałybyśmy jak, to jest zupełnie inny przypadek niż ten spod Olsztyńka. Ale niezależnie od wszystkiego sądzę, że Korczyński zapyta nas o to, czy znałyśmy tego trupa, czy go kiedyś spotkałyśmy i o inne takie.
- Jakbym spotkała go w takim stanie jak jest teraz, to możesz być pewna, że narobiłabym wrzasku na całą okolicę. W Tolkmicku i Braniewie byłoby mnie słychać - zapewniła z naciskiem Julia.
- Spotkałaś trochę ponad dwie godziny temu i jakoś nie wrzeszczałaś.
- Bo był nieżywy i się nie ruszał. Ale gdybym zobaczyła takiego przechodzonego nieboszczyka w nocy, gdy czatowałyśmy na ducha lub włamywacza, to byłoby zupełnie inaczej.
- Julka, opanuj się! Jakiś horror tworzysz. Spotkały za życia, w postaci właściwej ludziom żywym. A nie rozkładającego się i siejącego naokoło larwami. A wracając do sierżanta, to możemy powiedzieć, że nie mogliśmy go rozpoznać, bo wyglądał jak wyglądał, ale że może na podstawie nazwiska coś będziemy wiedziały.
- W sumie racja, bo z tego, co mówiłaś, to twarz mu obsiadły muchy. Ty, a one się nie spłoszyły? - W Julii chyba obudził się biolog.
- Odleciały, sprawdziły, czy przypadkiem nie przyszły kolejne zwłoki, i wróciły do naszego trupa.
- Chyba twojego! Ja go nie chcę!
- To nie. Niezależnie od zwyczajów much...
- Wiesz co? To chyba muchówki raczej - uściśliła Julia.

- Wszystko jedno. Niezależnie od tego, jak wyglądały zwłoki, znając nazwisko, będziemy mogły posprawdzać różne rzeczy. Może ktoś go tu zna?

- Znowu będziemy po ludziach łązić?

Julka skrzywiła się z niesmakiem i poszła po kolejne piwo. Trzecie. W sumie trzy piwa na twarz to jeszcze nie tak dużo, szczególnie po takich przeżyciach. Julia rozlała napój do szklanek i w tym momencie rozległo się pukanie. Kogo niesie o tej porze? Niby jeszcze nie noc, ale już zdecydowanie wieczór. Mogłyśmy przecież pójść spać. Czyżby pani Zosia się czymś zaniepokoiła? Po gromkim „proszę!” drzwi się otworzyły i nasza gospodyni nieco zaniepokojona zaanonsowała gościa, przepuściła go w drzwiach i wyszła. Sierżant Korczyński we własnej postaci. Nie mógł się doczekać, aż przyjedziemy na posterunek rano?

- Panie jeszcze nie śpią?

- A jak pan myśli? No chyba że sądzi pan, że śpimy w ciuchach i na siedząco - nie udało mi się powstrzymać.

- Nie śpimy. Jeszcze - stwierdziła Julia i zaproponowała sierżantowi piwo.

- Nie, dziękuję, samochodem jestem.

- A myślałam, że policjantem. No może czasem duchem - znowu nie ugryzłam się w jęzor, nie wiem, może piwo miało w tym swój udział.

Sierżant spojrział na mnie podejrzliwie, a potem badawczo na stolik. Nie ukrywałyśmy butelek po piwie i teraz stało ich tam sześć. Nie zna kobiet lubiących piwo? I to po takich traumatycznych przejściach? Przecież nie znajdujemy zwłok codziennie, a takie przechodzone zdarzyły się nam po raz pierwszy.

- Panie teraz to wypili?

- Tak, a co? - spytała Julia, zapewne zastanawiając się, jaki będzie ciąg dalszy wypowiedzi sierżanta. Znałam ten ton i już czekałam, co powie.

- Może przełożymy rozmowę?

- Sądzi pan, że jesteśmy pijane?

- Nie, skądże znowu - sierżant wolał się nie narażać - ale na pewno są panie zmęczone, zszokowane i nawet te trochę piwa może spowodować...

- Jeżeli już coś by miało spowodować, to raczej brak kontroli tego, co mówimy, więc powinno być to panu na rękę. Mam rację? - Julka uśmiechnęła się promiennie do sierżanta.

- I niech pan nie przesadza, trzy piwa, do tego niekraftowe, to nie jest wiele. Za kierownicę na pewno bym nie siadła, ale myślenia mi to nie zakłóca. Musiałyśmy opić znalezisko - powiedziałam,

zanim pomyślałam.

Sierżanta zatchnęło i na pewno utwierdził się w przekonaniu, że jesteście pijane. No nie po takiej ilości przecież. Rozejrzył się czujnie dookoła w poszukiwaniu innych alkoholi i oczywiście zauważył napoczętą butelkę cytrynówki.

- Niech się jej pan tak nie przygląda, bo panu zaszkodzi. Tyle wypiliśmy od przyjazdu, a dzisiaj ani kropli - wyjaśniła Julia.

- I niech pan weźmie pod uwagę, że jesteśmy w lekkim szoku po znalezieniu zwłok, więc czasem może nam się coś głupiego wyrwać.

- Znależisko...

- Coś, co jest znalezione, jest znależiskiem - stwierdziłam kategorycznie. - Niezależnie czy kryminalnym, czy archeologicznym. Nie czuł pan, jak tam śmierdziało? Ten zapach okleił nam całe drogi oddechowe, łącznie z jamą ustną. Musiałyśmy się pozbyć tego zapachu.

To chyba przemówiło do sierżanta, bo odruchowo pokiwał głową. Na pewno spotkał się już z wonią rozkładających się zwłok i wiedział, że dla kogoś, kto po raz pierwszy miał z nią do czynienia, jest to trudne do wytrzymania.

- Nawet się zdziwiłem, że panie tam, za przeproszeniem, nie narzygały.

- Powstrzymałyśmy się, żeby wam miejsca zbrodni nie zanieczyścić. Ale odruch wymiotny miałyśmy, niech mi pan wierzy.

- Przyjrzały się mu panie?

- No co pan?! Gdybym mu się przyglądała sekundę dłużej, to mój żołądek by zaprotestował.

- Ja w ogóle go nie widziałam. Sama woń i opis mi wystarczyły - przyznała Julia.

- Ale zdjęcie zdążyła pani zrobić.

W głosie sierżanta pobrzmiwały nuty dezaprobaty. Myślał, że zaraz wrzucę zdjęcie na Facebooka? Poczulałam się zobligowana do wyjaśnień. Nie wdając się w szczegóły, powiedziałam, że zdjęcie miało na celu uwiarygodnienie naszego zgłoszenia, bo już raz nam się zdarzyło, że policja nam nie uwierzyła. Wolałyśmy teraz uniknąć takiej sytuacji. Przemilczałam fakt, że zdjęć było więcej.

- Rozumiem. I mam nadzieję, że nie rozpowszechni pani tego. Czy rozpoznała pani tego mężczyznę?

- Nie, niby po czym? Twarz... No czy ja muszę opisywać, jak wyglądała jego twarz? Po muchach nie poznałam.

- Czasem jest coś charakterystycznego w ubraniu, butach lub czymkolwiek innym - zasugerował Korczyński.

- Nie przyglądałam się - przyznałam z miną świadcząca, że co innego było mi wtedy w głowie.

O zdjęciach zrobionych po to, żeby potem obejrzeć miejsce zbrodni, konsekwentnie milczałam. Policja na pewno ma swoje, zdecydowanie lepsze.

- Rozumiem. - Sierżant miał zawiedzioną minę.

- Ale właściwie nie możemy wykluczyć, że gdzieś go spotkałyśmy, a nawet z nim rozmawiałyśmy - wkroczyła do akcji Julia. - Wie pan przecież, że rozmawiałyśmy tu z wieloma osobami...

- Wiem, wiem. W poszukiwaniu ducha.

- Nie tylko. Intrygują nas te, głównie bezsensowne, kradzieże, więc i o włamania pytałyśmy - uzupełniłam.

- A więc może tego trupa spotkałyśmy przy okazji. Ale niech pan nie liczy, że go rozpoznamy w takim stanie.

- A po nazwisku?

Nie wierzę! Złapał się na to! Albo po prostu bardziej mu zależy na ustaleniu, co robił w okolicy zamordowany facet, niż na tym, żebyśmy się nie wtrącały. A może mimo ostrzeżeń Dawida uważa, że nie damy rady mu w śledztwie namieszać? Oczywiście nie było to naszym celem, ale od strony policji właśnie tak to wyglądało. Dwie obce kobiety węszą w okolicy, zbierają informację na własną rękę i znajdują zwłoki w odstępie kilku dni. Jeżeli spytał, czy zidentyfikujemy faceta po nazwisku, to znaczy, że nieboszczyk miał przy sobie dokumenty, bo po niczym innym nie zdążyliby tego ustalić.

- Nie wiemy, może tak. To jak on się nazywał?

- Łukasz Nojman.

Popatrzyłyśmy z Julią na siebie, próbując przywołać wspomnienia z ostatnich kilku dni. Słyszałyśmy sporo nazwisk, bo ludzie, z którymi rozmawiałyśmy, mówili o sąsiadach, znajomych i rodzinie. Ale tego nazwiska sobie nie przypominałyśmy. Jak na komendę obie pokręciłyśmy głowami.

- Niestety, nie. Ani razu nikt nie wymieniał tego nazwiska. A gdzie on mieszkał? Gdzieś niedaleko?

Korczyński popatrzył na nas tak, jakby szykował się do wywinięcia jakiegoś numeru. O co chodzi? Co może być takiego w miejscu zamieszkania dzisiejszego trupa? Sierżant po mistrzowsku wytrzymał chwilę, powodując wzrost naszego zainteresowania, i od niechcienia podał adres. No, może niezbyt dokładny adres.

- W Nowej Zelandii. Ale bardzo proszę, żeby tak miejsce zamieszkania, jak i nazwisko zachowały panie dla siebie - zastrzegł policjant.

Rany boskie, dobrze, że nie na biegunie! Facet przyjechał dać się zamordować? I czy w takim razie mógł to być nasz włamywacz?

- Nie znamy nikogo, kto mieszka w Nowej Zelandii. - Julka była tak samo zaskoczona jak ja. - Przyjechał tu na urlop?

- Najwyraźniej tak, bo jest u nas już kilka miesięcy. Może rodzinę odwiedza, tego jeszcze nie wiemy. No nic, szkoda, że panie go nie widziały - najwyraźniej sierżant przyjechał po to, żeby nas w cztery oczy zapytać, czy znamy zwłoki.

- Może z innymi będzie miał pan więcej szczęścia - pocieszyłam Korczyńskiego. - My tu jesteśmy dopiero kilka dni. A on tu mieszkał w okolicy, w jakimś hotelu może?

- Nie ustaliliśmy jeszcze tego. Już nie będę paniom dzisiaj przeszkadzał. - Korczyński zerknął na nasze piwa. - Proszę rano podjechać złożyć zeznania, a ja się skontaktuję później.

Dobrze, że nie wiedział, jakie mamy zapasy piwa, bo może przewencyjnie by nas zamknął w izbie wytrzeźwień. Zapasy brały się z tego, że nie chciało nam się jeździć czy chodzić do sklepiku za każdym razem, gdy zechcemy napić się piwa. Poza tym w weekend byli chłopacy, więc na wszelki wypadek kupiliśmy więcej. Nie wypilo się i teraz miałyśmy całkiem sporą piwną rezerwę. Co nie oznaczało, że zamierzamy od razu wszystko wypić. Poruszanie się samochodem i kolejne rozmowy zdecydowanie to wykluczały.

Sierżant pożegnał się i wyszedł, a my popatrzyłyśmy na siebie z podziwem. No, no, no, takiego nieboszczyka to jeszcze nie miałyśmy. Zagraniczny.

- W sumie to może być ten włamywacz. Kradzieże zaczęły się kilka miesięcy temu i on przyjechał kilka miesięcy temu.

- Nowa Zelandia nie kojarzy mi się z krajem, z którego przyjeżdża się do Polski coś ukraść. - Julka zgarnęła butelki i szklanki ze stołu.

- Przecież już ustaliłyśmy, że te kradzieże to takie mydlenie oczu. On czegoś szuka.

- Szukał. O ile to ten trup szukał. Teraz to już raczej byłoby mu trudno.

- Szuka też tego biuro detektywistyczne i morderca. I wiemy, że oni wszyscy są dla siebie konkurencją.

- Owszem, ale weź pod uwagę, że w grę wchodzi ktoś jeszcze. Minkowscy nie zaczęli szukać tak sami z siebie, ktoś im musiał to zlecić.

- Sierżant pewnie już o tym wie. Jasna dupa! Na pewno nie będzie chciał nam o tym powiedzieć. Zasłoni się podwójną tajemnicą. Raz śledztwa, a dwa tych detektywów. Pomyśl, jak z niego wydobyć te informacje.

- Teraz to myślę tylko o spaniu. - Julka ściągnęła pled z łóżka. - Wykąpana jestem, zaraz kropnę się spać.

- Wcześniej jest - zauważyłam z lekkim zdziwieniem, bo rzeczywiście było dopiero po dwudziestej drugiej.

- No to co? Wczoraj czatowałyśmy, więc się nie wyspałam. Swoją drogą ciekawa jestem, rzeczywiście nasz dzisiejszy trup to włamywacz, tak naprawdę pewności nie mamy. A teraz, po tych emocjach, czuję się wyprana z energii i mój organizm domaga się snu.

- Ja jeszcze poczytam. Kota nie ma. - Rozejrzałam się zaskoczona, ostatnio stał się prawie domownikiem w naszym pokoju.

- Nie pada, pewnie korzysta z okazji i gdzieś polazł. Jak go znam, to wlezie w nocy przez okno.

- I taki ubłocony wskoczy ci do łóżka.

- Trudno. Najwyżej poproszę panią Zosię o zmianę pościeli. W końcu to jej kot.

Julka zgasiła górne światło, wskoczyła do łóżka i zawinęła się w kołdrę. Po chwili już spała, co zauważyłam ze zdziwieniem. Zazdrościłam jej. Chciałam poczytać, ale ostatnie wydarzenia nie dawały o sobie zapomnieć. Julia nie widziała zwłok Łukasza Nojmana, ja tak. I ten obraz cały czas tkwił mi pod powiekami. Poprzednio znalezione zwłoki nie zrobiły na mnie takiego wrażenia, te owszem. Być może dlatego, że do wrażeń wizualnych dołączyły się dźwiękowe i zapachowe. Może to na mnie tak podziałało? Spróbowałam skupić się na czymś zupełnie innym, ale dopiero wakacje, na które wybieraliśmy się z Rafałem, wygrały z obrazem nieboszczyka. Zasnęłam z widokiem palm, plaży i morza przed oczami.

Gdy się obudziłam, w pokoju było zupełnie cicho. Niby nic nadzwyczajnego, bo jak się śpi, to się nie hałasuje (pomijam chrapanie), ale gdy w pokoju jest druga osoba, to ta cisza nie jest tak absolutna. Zawsze ktoś westchnie przez sen, poprawi sobie kołdrę, przewróci na drugi bok. Przez chwilę zastanawiałam się, co mi nie pasuje, i dopiero po spojrzeniu na łóżko Julii zdałam sobie sprawę, że jestem sama. Gdzie ją diabli ponieśli z samego rana? Była dziewiąta, godzina nijaka, ani wcześniej rano, ani południe. Siadłam na łóżku i lekko nieprzytomna rozejrzałam się po pokoju w poszukiwaniu wskazówek lub natchnienia. Gdy zahaczyłam wzrokiem, o tej porze i tuż po obudzeniu z lekka nieprzytomnym, o słoiczki z marynowanymi grzybkami, już znałam odpowiedź. Poszła na grzyby! Obudziła się wcześniej i gnana namiętnością i chęcią uzupełnienia zapasów poszła do lasu. Miałam tylko nadzieję, że nie spotka mordercy. Chociaż... Morderca nic o nas nie wie, nie weszliśmy mu w paradę (chyba), nie spotkałyśmy się z nim

nigdy (mam nadzieję), więc nawet gdyby wpadli na siebie, to chyba bez szkody dla Julii. W końcu ludzie się co chwila spotykają w rozmaitych okolicznościach, w lesie też. Jakoś nie pomyślałam, co by ten zabójca miał tam robić.

Julka wróciła, gdy nastawiałam wodę na herbatę. Radosna, świeża niczym szczypiorek na wiosnę i najwyraźniej wyspana. I zadowolona, bo w koszyku miała kilka kozaków, jakieś maślaki i kurki. Najwyraźniej deszcz posłużył grzybom, a może zaczynał się sezon.

- Nie wiem, czy to tak do końca bezpiecznie, że sama łazisz - powiedziałam wbrew własnym przemyśleniom.

- Szłam praktycznie wzdłuż drogi. W lesie byłam tylko trochę. Poza tym dlaczego niebezpiecznie?

- Tak mi się skojarzyło z zeszłym rokiem, kiedy obawialiśmy się, że spotkamy mordercę w lesie.

- Teraz mamy inne przestępstwo, ani włamywacza, ani ducha, ani mordercy nie interesuje las, a okoliczne wsie.

- Niby tak, ale na wszelki wypadek lepiej być czujnym.

Nie padało i właściwie zaraz po śniadaniu, na które składała się głównie jajecznica na grzybach i pomidory, mogłyśmy pojechać „prowadzić śledztwo”. Żeby to jednak zrobić, musiałyśmy ustalić, o co, kogo i jak pytamy. I obejrzeć zdjęcia ostatniego trupa, bo może coś nam się skojarzy i na podstawie tego ułożymy listę pytań.

Włączyłam laptopa i przerzuciłam zdjęcia z telefonu. Julia, widząc, co robię, skrzywiła się z dezaprobatą.

- Znam ciekawsze widoki.

- Ja też, ale wczoraj nie byłam w stanie na niego patrzeć, a może tam było coś istotnego.

- Muchy w liczbie niepoliczalnej i wręcz nie do ogarnięcia.

- Jakoś muchy nie wydają mi się charakterystyczne.

- Są bardzo pomocne w ustaleniu czasu zgonu.

- No przecież wiem, ale to nie my będziemy się tym zajmować, a gliniarze.

- No to mi ulżyło, bo już się bałam, że i to nas czeka.

- Nie kombinuj i nie zasłaniaj się muchami, tylko popatrz tutaj.

- Muszę?

Julia zaprotestowała po raz ostatni, ale bez specjalnego nacisku. Szczerze mówiąc, ja też nie paliłam się do oglądania tych zdjęć. Faceta zabito, pewnie jakoś brutalnie, może przedtem cierpiał i najnormalniej w świecie było nam go żal. Oglądanie zdjęć na pewno potwierdzi to, a jakoś nie chciałyśmy się wdawać w omawianie obrażeń. Bardziej interesowała nas zagadka niż sposób morderstwa i wygląd ofiary, mogły jednak one powiedzieć

coś o sprawcy.

Zdjęcia nie wyszły najlepiej, bo przejęta znalezionym nieboszczykiem nie włączyłam lampy, a w pokoju panował lekki półmrok. Niemniej jednak było widać, że mężczyzna leży w nienaturalnej pozie, śpiwór jest odrzucony, obok stoi plecak. Czyżby morderca zaskoczył go podczas snu? Mogło tak być. Zamordowany usłyszał coś w ostatniej chwili, chciał się zerwać, ale napastnik mu na to nie pozwolił.

- Jak śpisz w śpiworze?

- Normalnie, a co? - spojrzałam na Julię zdziwiona.

- W środku, nie? To nie miałybyś szansy go odrzucić. Zanim byś się z niego wydłubała, morderca już by cię załatwił.

Spojrzałam jeszcze raz na zdjęcia. Jakoś umknęło mi, że zamordowany jest zupełnie ubrany, nawet buty miał. A jak miał buty, to pewnie nie wchodził do śpiwora, tylko się nim przykrył jak kołdrą, to by tłumaczyło, dlaczego zdążył jakkolwiek zareagować. Ale dlaczego spał w ciuchach? Mógłby chociaż buty zdjąć, na pewno byłoby mu wygodniej.

- Może się bał? - zasugerowała Julia.

- I wolał być taki zwarty i gotowy? Żeby w razie czego móc się obronić? Jakbym się czegoś bała, to raczej nie wybierałbym odludnych i opuszczonych miejsc na nocleg.

- Może on się bał, ale nie aż tak?

- Bał i nie bał jednocześnie? Takie jajeczko częściowo nieświeże?

- Nie, nie o to miałam na myśli. Pomyśl, jeżeli facet bał się jakieś konkurencji, to niekoniecznie od razu musiał przewidywać swoje zejście. Może myślał o tym, że ktoś go będzie chciał napaść, żeby wydusić z niego jakieś informacje albo zniechęcić do poszukiwań? Mógł w ogóle nie myśleć, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo.

- I uznał, że w przypadku ewentualnego wycisku się obroni? Mogło i tak być. Założyłyśmy, że to włamywacz, on był sprawny, co do tego nie ma dwóch zdań. Ale i tak ryzykował, że ktoś go zaskoczy i będzie w niekorzystnej sytuacji. Nie lepiej byłoby od razu po włamaniu zniknąć z okolic Fromborka? I przyjechać ponownie?

- Jeżeli nie przyjechał samochodem, a nic nie stało na terenie ośrodka, to raczej bez szans, sama wiesz, jak tu wyglądają połączenia jakiegokolwiek. O drugiej czy trzeciej w nocy raczej nie miał jak wyjechać.

- Wiesz to na pewno czy spekulujesz? Lepiej sprawdźmy - zaproponowałam.

- Możemy, ale nawet jeżeli coś tu jeździ o tej porze, to pewnie

mało jest pasażerów i facet mógł się bać, że zostanie zauważony.

- Ale się wyrobiłaś kryminalnie przy Podgórskim.

- E tam. Tylko myślę logicznie.

Przez chwilę szperałyśmy w sieci, szukając połączeń z Fromborka. Może źle szukałyśmy albo szybko się zniechęciłyśmy, ale wyszło nam, że w nocy z miasteczka wyjechać się nie da. Chyba że własnym samochodem. Facet wolał spać w opuszczonym ośrodku niż przyjechać własnym autem? Może i słusznie, samochód dosyć łatwo zauważyć, człowiek łatwiej się przemknie. Ale zaraz! Co innego pojechać kilka czy kilkanaście kilometrów samochodem, a co innego łązić po nocy. Tam i z powrotem. Taki amator marszobiegów z tego nieboszczyka był?

- Nie musiał chodzić na piechotę.

- A co? Teleportował się? - prychnęłam.

- E tam zaraz. Mógł jeździć rowerem.

Mógł. Nawet dwadzieścia kilometrów w jedną stronę na rowerze to żaden wyczyn. Tyle tylko, że nie widziałyśmy roweru. Może stał w innym pokoju? Po odkryciu zwłok nie sprawdzałyśmy dalej, przez głowę nam nie przemknęła myśl, żeby to zrobić. Policja na pewno przeszukała wszystko, trzeba będzie spytać Korczyńskiego. Śmierć Łukasza Nojmana bardziej nas intrygowała i niepokoiła niż miało to miejsce w przypadku Lecha Minkowskiego. Być może dlatego, że detektyw był dla nas obcy, a do włamywacza, o ile to był on, w pewien sposób się przyzwyczaiłyśmy. Rozmawiałyśmy o nim, zastanawiałyśmy, kim jest i po co się włamuje.

- W sumie całe szczęście, że ich znalazłyśmy. - To stwierdzenie w ustach Julii, która zdecydowanie nie przepadała za odnajdowaniem nieboszczyków, zabrzmiało nietypowo.

- Masz na myśli, że inaczej leżeliby do zimy? Minkowski na pewno nie, za dużo ludzi tam chodzi. Ale włamywacz rzeczywiście mógłby długo poczekać. Nie mam pojęcia, jak często zapuszcza się tam ktoś ciekawski.

- Sądząc po ilości kurzu, to nieczęsto.

- Są wakacje, więc pewnie teraz jakieś łaziki w wieku szkolnym tam się pojawiają. Może i dobrze, że na nas padło. Przynajmniej nie zostawiłyśmy tam wielu naszych śladów i nie utrudniłyśmy zbyt roboty policji.

- To też. Ale jakbyśmy ich nie znalazły, szczególnie tego ostatniego, to jak te głupie czatowałybyśmy w nocy na niego. O ile to włamywacz.

- Założmy może, że to włamywacz, bo chyba najbardziej pasuje, inaczej będziemy co chwilę dodawały „oczywiście, o ile to...”.

Naprawdę wolałabym z nim porozmawiać, niż znajdować go martwego.

- I tak byś go po prostu spytała: „przepraszam, a dlaczego pan kradnie pierdoły i czy szuka pan skarbu po hitlerowcach?”. Już widzę, jak ci odpowiada. - Julia skrzywiła się z dezaprobatą.

- Coś bym wymyśliła. Słuchaj, zerknijmy, czy jest na Facebooku - zaproponowałam.

- W myśl zasady, że jak cię tam nie ma, to nie istniejesz?

Znaleziony przez nas wczoraj mężczyzna miał konto na Facebooku, ale należał do tych, którzy nie dokumentują tam swojego życia. Zdjęcie i kraj zamieszkania były, więc to na pewno był on, ale informacji jak na lekarstwo. Jakieś życzenia urodzinowe i to takie z gatunku „wszystkiego dobrego”, zero dyskusji na jakiegokolwiek tematy, jeżeli zdjęcia, to tylko ogólne i tak na oko z Nowej Zelandii, a nie z Polski. Nic nam nie przyszło ze sprawdzenia jego konta. Lista znajomych była nieprzydatna, bo głównie byli to mieszkańcy Nowej Zelandii.

- To co, idziemy gdzieś? Nie będziemy przecież siedziały w pokoju cały dzień. - Po porannym spacerze Julia tryskała chęcią działania.

- Możemy pojechać do Fromborka, pochodzimy po mieście, poszukamy samochodu żyjącego Minkowskiego.

- Myślisz, że w miasteczku parkuje? Przecież te kradzieże miały miejsca we wsiach.

- Od czegoś musi zacząć. Jeżeli nie wie wszystkiego dokładnie, to może próbować najpierw tam. Poza tym może nocować we Fromborku, jeść tam i robić zakupy.

- Może. Ale ja bym potem pojeździła i pochodziła po okolicy.

- Tak zrobimy. A jeszcze wcześniej zadzwonimy do Marcina. Ciekawe, czy już wie o nieboszczyku.

Rozmawiałyśmy, pakując plecaki. Część rzeczy jeździła z nami zawsze, część wyposażenia się zmieniała. Robiłyśmy to już automatycznie, zajęte były tylko ręce, mogliśmy przy tym rozmawiać o czymkolwiek.

Marcina złapałyśmy w drodze do Fromborka. Miałam trochę wyrzutów sumienia, że odrywamy go od pracy, ale uznałam, że gdyby nie mógł rozmawiać, to po prostu nie odebrałby telefonu albo od razu umówił się na późniejszą rozmowę. Wiedział już, że znalazłyśmy zwłoki w ośrodku wypoczynkowym, a powiedział mu o tym sierżant, który najnormalniej w świecie porównywał nasze i Marcina zeznania. Przepytał go trochę na wszelki wypadek, bo wiedział, że się widujemy. Sprytnie, ale niewiele mu to da. Marcin powiedział mniej więcej to samo, dorzucił tylko, że niewiele

brakowało, a też byłby przy znalezieniu tego ostatniego trupa, ale niestety nie mógł z nami iść. O żyjącym Minkowskim nie rozmawiali. Sierżant nie pytał, a Marcin sam z siebie nie chciał nic mu sugerować bez porozumienia z nami. Samochodu bliźniaka pierwszego trupa niestety nie zauważył. Umówiliśmy się na wieczorne pogaduchy i piwo u nas akurat w momencie, gdy dojechałyśmy do Fromborka. Zaparkowałyśmy niedaleko rynku, uznając, że jest to dobre miejsce wypadowe.

- Nie wiem jak ty, ale mnie się cały czas wydaje, że Frombork to port, Wzgórze Katedralne i okolice. Jakoś nie biorę pod uwagę tego, co jest dalej - zauważyła Julia.

- W sumie ja też. Bo co jest ciekawego w blokach lub domkach? Ale tam też pojedziemy sprawdzić, czy samochodu Minkowskiego nie ma.

- Gdzie najpierw? - spytała Julia i wymownie spojrzała w stronę zalewy.

Mnie też ciągnęło nad wodę. Szansa, na to, że biały citroen C5, najprawdopodobniej na elbląskich numerach, stoi gdzieś koło portu, była raczej znikoma, bo wszyscy turyści chcieli zaparkować jak najbliżej wody albo katedry i po prostu nie było tam miejsca. Ale z drugiej strony chyba wszyscy szli do portu. Nawet jeżeli Minkowski port i zalew jako taki miał w odwłoku, to powinien wziąć pod uwagę znajdujące się tam knajpy jako miejsce, gdzie można pogadać i być może trafić na coś ciekawego. W ostatniej chwili przypomnieliśmy sobie, że mamy pojawić się na posterunku i złożyć zeznania. Oddelegowany do tego policjant już na nas czekał, zaprosił do pokoju najpierw mnie, a po wymagłowaniu na temat znalezienia nieboszczyka, Julkę. Szkoda, że nie było sierżanta, ale pewnie miał coś ważniejszego do roboty. Inna rzecz, że podejrzewałyśmy, iż śledztwo w sprawie dwóch morderstw prowadzi jakaś wyższa szarża.

Po wyjściu z posterunku przeszłyśmy się po okolicy, wylawiając wzrokiem wszystkie białe samochody, niestety C5 nie było. Iść dalej czy popytać w restauracji? Już nas tam trochę znają i widzieli w towarzystwie miejscowych, więc istniała szansa, że nie zostaniemy potraktowane jak dwie namolne turystki.

- Panie na obiad? - spytała kelnerka, gdy tylko usiadłyśmy przy stoliku.

- Niestety, nie. Poprosimy tylko coś do picia, ale nie piwo, bo samochodem jesteśmy. Dla mnie może być sok pomarańczowy.

- Dla mnie też.

Siedziałyśmy w milczeniu, co rzadko nam się zdarza, jednak warunków do rozmowy nie było. Chyba jakaś wycieczka skończyła

zwiedzać, bo nagle zrobiło się tak tłoczno, że nawet do naszego stolika przysiadło się jakieś małżeństwo. Niech to licha! Dobrze chociaż, że zdążyłyśmy zamówić te swoje soki, zanim obsługa zaczęła mieć urwanie głowy. I jak tu teraz pogadać? Wypiłyśmy napoje w tempie ekspresowym i poszłyśmy zapłacić.

- Przepraszam, mam takie pytanie - zagałam.

- Tak? - Dziewczyna przy kasie była najmniej zajęta, większość osób dopiero zamawiała.

- Szukamy znajomego, który miał przyjechać do Fromborka. Nie odbiera telefonu. - To postanowiłam zaznaczyć od razu, bo na pewno zaraz by się o to spytała. - Próbujemy go zlokalizować po samochodzie. Jeździ białym citroenem C5, o ile dobrze pamiętamy, na elbląskich numerach. Widziała pani może taki samochód?

- Nie mam pojęcia, nie zwracam uwagi na samochody. Chyba że jest to coś naprawdę wypasionego, na przykład jakiś jaguar. A zdjęcia tego znajomego panie nie mają?

W sumie miałyśmy. Co prawda Lecha Minkowskiego, ale bracia wyglądali identycznie lub prawie identycznie. Poszukałam odpowiedniej fotki i podałam dziewczynie bez żadnych złych przeczuc. Spojrzała na zdjęcie i oddała mi komórkę, jakby ją ugryzła. Dobrze, że na podłogę nie rzuciła.

- Boże - westchnęła pobożnie. - To nieboszczyk. To znaczy nie wiem. Niby nieboszczyk, ale żywy.

Czyżby Korczyński pokazywał tu zdjęcie Lecha Minkowskiego i rozpytywał o niego personel? Całkiem możliwe, ale dlaczego tak to ruszyło tę dziewczynę?

- Zna go pani - spytała delikatnie i prawie kojącym głosem Julka.

- Widywałam go od czasu do czasu, a potem ktoś go zamordował, tu niedaleko. Sierżant do nas przyszedł popytać.

Czyli zgadłyśmy. To jednak nadal nie tłumaczyło, dlaczego dziewczyna tak gwałtownie zareagowała na zdjęcie, bardzo udane zresztą.

- Mówi pani, że nasz znajomy nie żyje? - przybrałam zszokowany wyraz twarzy.

- Nie wiem. Chyba. To znaczy sierżant tak mówił, a przecież by nie kłamał. Ale... No dobrze, powiem. Ja go widziałam wczoraj.

- Żywego?

- No chyba tak. To znaczy tak, ja w żadne zombie nie wierzę. Ale nie mam pojęcia, jak to możliwe, że facet, który nie żyje od kilku dni, wczoraj sobie po mieście spacerował.

- Jest pani pewna? - przywołałam na twarz wyraz oszołomienia.

- Jestem. I koleżanka też. Szłyśmy do pracy i zobaczyłyśmy go,

a przedtem sierżant pokazywał zdjęcie tego nieboszczyka. Czy to możliwe, żeby się pomylił?

- Sierżant czy lekarz? - spytała odruchowo Julia, a widząc minę dziewczyny, wyjaśniła. - Bo może to jednak nie był trup?

- Był. Na pewno. Policja nie robiłaby takiego rabanu, gdyby znaleźli kogoś tylko pobitego. Normalnie facet zniknął na kilka dni, a potem znowu się pojawił. Jakby ożył. Ale to niemożliwe. Nie wiem, może mamy tu dwóch podobnych do siebie turystów? Ale powiem paniom, że wrażenie to robi niesamowite, jak się widzi człowieka, o którym wiadomo, że nie żyje. Przykro mi, ale pewnie już nie zobaczą panie znajomego. Chyba że to ten drugi jest waszym kolegą.

- To możliwe i mam nadzieję, że właśnie tak jest. - Julia przywołała na twarz wyraz nadziei.

- A gdzie go pani widziała?

- Na Wzgórzu Katedralnym.

I to był koniec rozmowy, bo kolejni klienci chcieli zapłacić. Nie mogliśmy przecież dezorganizować pracy lokalu.

- No proszę - ucieszyła się Julka - już ludziom wyszło, że trup pojawił się i zniknął.

- Albo ożył. Ciekawe, ile jeszcze osób to zauważyło.

- Może nie tak dużo. Turyści przeważnie są tu krótko i co innego im w głowie, niż przyglądanie się mijanym ludziom, a miejscowi pewnie już na przyjezdnych nie zwracają takiej uwagi, przyzwyczaili się. Chyba że pracują w miejscach, które żyją z turystyki.

- Pewnie masz rację. Chodź, idziemy na spacer, znowu przejdziemy się koło katedry.

- Tamtędy to facet mógł tylko przechodzić albo pójść na spacer, albo zwiedzać. Głupie miejsce. Zdecydowanie lepiej by było, gdyby te dziewczyny widziały go pod jakimś hotelem.

- Ty się ciesz, że tak za pierwszym razem trafiłyśmy. I w sumie przysłużyła nam się ta stonka turystyczna. Gdyby było mniej ludzi, to pewnie czekałybyśmy, aż ktoś podejdzie do stolika z rachunkiem i pewnie nie trafiłybyśmy na tę dziewczynę. A parkingi koło hoteli też sprawdzimy, to akurat powinno być proste - zapewniłam Julię.

- To jak tu jesteśmy, to może jeszcze do Korczyńskiego skoczmy? Trzeba go zapytać o ten rower i czy wie, dla kogo pracowali Minkowscy.

Pomysł był dobry, mogliśmy spróbować umówić się z sierżantem. Tylko czy będzie się chciał z nami spotkać? Albo chociaż porozmawiać przez telefon? Posterunek policji był niedaleko portu, właściwie mogliśmy trochę nadłożyć drogi

i spróbować dopaść Korczyńskiego w miejscu pracy albo zadzwonić i się grzecznie umówić. Byłam niecierpliwa i na dodatek miałam podejrzenia, że sierżant może się migać przed rozmową, o ile sam czegoś od nas nie będzie chciał. Wizyta na posterunku kusiła. Zawahałam się. A jeżeli jest u niego jakiś szef? W zeszłym roku Dawid sam nie prowadził śledztwa, przyjechał komisarz. Nie miałam pojęcia, jak to jest, jakie szarże prowadzą dochodzenia w jakich sprawach i czy liczy się tylko to, co na pagonach, czy też doświadczenie. Poza tym Korczyński mógł akurat kogoś przesłuchiwać lub rozmawiać z szefem, patologiem lub technikami. Jeżeli zależało nam na dobrych układach, nie mogłyśmy wchodzić mu w paradę, a już na pewno nie przy świadkach. Wniosek był jeden. Należało najpierw zadzwonić.

Sierżant odebrał tak szybko, że miałam wrażenie, iż czekał na nasz telefon z utęsknieniem. Czyżby chciał nas o coś wypytać? Zaprosił nas do siebie.

Drugi raz w ciągu dnia odwiedziłyśmy posterunek, ale absolutnie nam to nie przeszkadzało, spotkałybyśmy się z Korczyńskim nawet w areszcie. Ważne było to, że mogłyśmy z nim porozmawiać. Cekał już na nas policjant, a ponieważ był to ten sam chłopak, który przyjechał z sierżantem do pierwszych znalezionych przez nas zwłok, nawet nie poprosił nas o dokumenty, tylko od razu zaprowadził do szefa. Po drodze usiłował dyskretnie nam się przyjrzeć, co najmniej jakby spodziewał się u nas szponów i kłów albo innego nietypowego wyglądu. Nigdy nie widział kogoś, kto znalazł zwłoki? A może podejrzewał, że robimy to niejako zawodowo? Dwa trupy pod Fromborkiem w odstępie kilku dni to chyba niezły wynik? Korczyński po normalnych w takiej sytuacji uprzejmościach i zaproponowaniu herbaty od razu przystąpił do rzeczy.

- Z tego, co wiem, to panie kilka nocy spędziły na czatowaniu na mnie w postaci ducha, a przypuszczam, że potem również na włamywacza - zagał.

W sumie do tego mogłyśmy się przyznać. To znaczy do ducha, bo wolałyśmy, żeby nie donosił o wszystkim naszym facetom.

- No przecież pan o tym wie - stwierdziła Julia dyplomatycznie, nie wdając się w szczegóły.

- A pamiętacie, kogo wtedy widziałyście?

- Jakichś spacerujących turystów i miejscowych wracających do domu, sądząc po tym, o czym rozmawiali.

- A kogoś na rowerze?

No proszę! Czyli musieli znaleźć rower, bo inaczej by nas o to nie pytał. A może nie znaleźli, a po prostu doszli do takich samych

wniosków? Okazało się, że i jedno, i drugie. Policja też założyła, że odnaleziony przez nas nieboszczyk przed śmiercią zajmował się włamaniami w okolicy. To, co nam się wydawało prawdopodobne, dla sierżanta było prawie oczywiste. Samochód rzuca się w oczy i w końcu ktoś mógł się zainteresować tym, że regularnie pojawia się w miejscach, w których dochodzi do włamań. Najłatwiej dostępnym, tanim i cichym środkiem transportu jest rower, więc już od jakiegoś czasu sierżant podejrzewał, że włamywacz porusza się głównie w ten sposób.

- A dlaczego pan nie jeździł rowerem? Nie musiałyby pan takich marszobiegów skutecznić.

- Pani Alu, duch na rowerze? To by już była zdecydowana przesada, poza tym niewygodnie by mi było w przebraniu.

- No może i tak. Znaleźliście rower w tym ośrodku?

- Owszem.

- W jednym z pokoi, do których nie weszliśmy?

- Tak. - Najwyraźniej wyjawienie nam tego nie miało wpływu na śledztwo, więc Korczyńskich nie oniemiał. - To jak było z rowerzystami? Ktoś jechał?

- Jechał, owszem. Ale chyba to nie był facet, którego wczoraj znalazłyśmy - odpowiedziała Julia.

- Dlaczego pani tak sądzi?

- Bo te rowery hałasowały.

- Ona ma rację. Gdybym była złodziejem, zależałoby mi na cichym podjechaniu do upatrzonego domu - poparłam Julię. - A w jakim jest stanie ten znaleziony przez policję rower?

Okazało się, że dobrym. Jeździł cichutko i niczym nie brzęczał. Było widać, że sierżant już chce nam podziękować za współpracę i delikatnie wyprosić, ale miałyśmy do niego jeszcze jedno pytanie.

- Lech Minkowski na pewno był tu służbowo, na czyjeś zlecenie. Wie pan coś o tym?

Sierżant popatrzył na mnie tak, jakbym poruszyła jakiś niewygodny temat albo wniosła na butach do komendy psie łajno. Dziwne. Przecież jeżeli nie chciał się z nami dzielić tą informacją, mógł po prostu zasłonić się tajemnicą śledztwa.

- Nie.

- Jak to? - Julia zrobiła oczy sierotki Marysi i weszła w rolę słodkiej idiotki chyba automatycznie, mimo że zastrzegała się, że w tym roku nie będzie tego robiła. - Nie powiedzieli panu? Mogli odmówić odpowiedzi policji? W przypadku morderstwa?

- Mówią, że nie wiedzą.

- A pan im wierzy?

- Raczej tak. Trudno podejrzewać, że wszyscy kłamią, zawsze

się znajdzie ktoś, kto się wyłamie. Poza tym po co mieliby to robić?

- Żeby chronić tego zleceniodawcę i po cichu dokończyć zlecenie? - zaproponowałam rozwiązanie.

- Mogłoby tak być, ale przeważnie czuje się, gdy ktoś łże. A oni się chyba trochę tego wstydzą. To znaczy mają obawy, że ten tajemniczy zleceniodawca będzie się ich czepiał.

- Takie biuro detektywistyczne nie powinno prowadzić jakichś akt albo co? - Julia nie kryła zdziwienia.

- Powinno i prowadzi. Wszystkich innych spraw oprócz tej.

- Może to było coś prywatnego? Takiego nieoficjalnego?

- Prawdopodobnie.

- To może jacyś znajomi coś o tym wiedzą? Albo rodzina?

- Możliwe.

Sierżant zaczął odpowiadać jednowyrazowo, co oznaczało, że pilnuje się, żeby nam za dużo nie powiedzieć. Szybko zastanowiłam się, czy możemy go jeszcze o coś spytać, ale nic takiego nie przyszło mi do głowy, a jeszcze nie chciałyśmy się przyznawać, że wiemy o bracie Lecha Minkowskiego. Na to zawsze będzie jeszcze czas.

Korczyński odprowadził nas do drzwi wyjściowych i pożegnał z widoczną ulgą. Przesadzał jak nic, najwyraźniej Dawid wyolbrzymał nasze zeszłoroczne wtrącanie się w dochodzenie.

- Kurczę, druga dochodzi. Jeżeli chcemy zdążyć zrobić to, co zaplanowałyśmy, musimy przyspieszyć - pogoniła mnie Julia.

Rzeczywiście, plany na dzisiaj uwzględniały jeszcze powęsenie w okolicach Wzgórza Katedralnego, sprawdzenie parkingów pod hotelami, przejazd po osiedlach i wyprawę do okolicznych wsi. A wszystko to w poszukiwaniu białego citroena C5. W międzyczasie jeszcze miałyśmy zjeść obiad, a wieczorem spotkać się z Marcinem.

Szybkim, prawie marszowym krokiem obeszyłyśmy okolice kompleksu katedralnego, dokładając do tego położone niedaleko kanonie i cmentarz kanoników. Wyróżniałyśmy się wśród turystów, bo oni szli zdecydowanie wolniej i na co innego zwracali uwagę. Nie dziwiłam się, słońce oświetliło katedrę, widok był naprawdę godny spojrzenia. A nawet kilku. Citroena nie znalazłyśmy, więc mało sobie nóg nie łamiąc, w pośpiechu zeszyłyśmy po schodach prowadzących na rynek, a stamtąd poszłyśmy wprost do samochodu.

- Matko, nie leć tak, bo płuca wypluję! - zażądała Julia. - Dobrze, że mamy buty na płaskich obcasach, bo na tych schodach poleciałybyśmy w dół w przyspieszonym tempie.

- Widziałaś mnie kiedyś na wakacjach na obcasie? - Pstryknęłam pilotem.

- Nie, to fakt. Dokąd jedziemy?

- Najpierw pod hotele, a potem na to osiedle. - Machnęłam ręką w odpowiednim kierunku.

Objechałyśmy wybrane miejsca, pilnie obserwując ulice i mając nadzieję na sukces praktycznie przy każdym białym samochodzie pojawiającym się w polu widzenia. Oczywiście, o ile kształtem zbytnio nie odbiegał od poszukiwanego przez nas auta. I znowu poniosłyśmy klęskę.

- O tej porze, na jego miejscu, to bym coś załatwiała, sprawdzała, rozmawiała z ludźmi, a nie tkwiła w hotelu czy wynajętym mieszkaniu.

- Hotel jest całkiem dobrym miejscem na zbieranie informacji, ale masz rację, mógł pojechać do którejkolwiek wsi.

- Tak to możemy się z nim ganiać do końca świata, wiesz?

- Wiem. I wiem, że mamy coraz mniej czasu. Jak znam życie, to wieczorem dostaniemy informację, że Dawid i Rafał przyjeżdżają. Dwa dni nam wypadną, znowu przy nich nic nie zrobimy.

- W życiu bym nie pomyślała, że będzie mi przeszkadzała obecność własnego faceta - powiedziała w zadumie Julia. - My chyba nie jesteśmy normalne.

Obiad już na nas czekał. Zdążyłyśmy i pani Zosia nie musiała odgrzewać. Jak zwykle potem było ciasto, tak dobre, że nie byłam w stanie powstrzymać się przed dokładką. I truskawki z bitą śmietaną. Oprócz posiłku pani Zosia miała dla nas informację. Byli dzisiaj u niej siostrzeńcy, z którymi rozmawiałyśmy o duchu, i wspomniała im o tym, że jesteśmy zainteresowane jagodami. Jutro rano się wybierają i przyjdą tu zaraz po zbiorach. Możemy wziąć tyle, ile będzie nam potrzebne, bo na razie nikt inny nie zamówił. W ten sposób do naszych jeszcze do końca nieskonkretyzowanych jutrzejszych planów doszło robienie nalewki z jagód. Zaraz po śniadaniu musiałyśmy skoczyć po jakieś duże słoje, cukier, alkohol i nie wiadomo co jeszcze, bo nie zdążyłyśmy sprawdzić przepisów.

- Gdyby nie to, że te wsie nie leżą tuż obok siebie, to postulowałabym spacer, a nie jazdę samochodem - westchnęła objedzona po dziurki w nosie Julia. - Nie idę, a toczę się.

- To chyba jakaś skaza genetyczna, ja też nie umiem się nie obezreć, jak jest coś dobrego.

- Jaka skaza! Po prostu łakome jesteśmy - podsumowała nas bezlitośnie przyjaciółka.

- Może jutro gdzieś pójdziemy? Czeka, jak to na mapie wygląda?

- Nie pamiętasz? - zdziwiła się Julia.

- Pamiętam, tak mi się tylko powiedziało. Właściwie najbardziej w innym kierunku jest Jędrychowo. Możemy dzisiaj pojechać gdzieś

indziej, a jutro powędrować rano do Jędrychowa. To jest jedenaście kilometrów, dwie godziny jak nic. Plus godzina na miejscu, żeby się rozejrzeć i odpocząć.

- Dorzuć jeszcze godzinę, jakbyśmy tam chciały pogadać albo zbierały grzyby po drodze.

- Razem sześć. Jak wyjdziemy o siódmej, to koło pierwszej powinnyśmy być z powrotem. Zjemy drugie śniadanie i pojedziemy pogadać do hoteli, a potem znowu poszukamy tego samochodu.

- O ile Rafał i Dawid nie przyjadą.

- Zawsze możemy ich trochę po okolicy powłóczyć, a przy okazji poszukać samochodu - zaproponowałam.

- Do dupy jest takie szukanie, wiesz? - wytknęła Julka. - My możemy być w jednym miejscu, a facet w drugim.

- Poza tym skupiamy się na polowaniu na samochód, zamiast na rozwiązywaniu zagadki - zgodziłam się. - Ale żyjący Minkowski jest kluczem. Poza tym pod czujnym okiem naszych facetów i tak nic innego nie zrobimy.

Jako pierwsze na naszej trasie były Ronin i Nowiny. Zerknęłam na zegarek i zaproponowałam, żeby zostawić samochód w jednej wsi i na piechotę przejść do drugiej. Było wpół do szóstej, Marcin miał przyjechać na ósmą. Miałyśmy więc do dyspozycji dwie i pół godziny. Spacer powinien nam zająć godzinkę i czasu zostanie tyle, że spokojnie obskoczmy resztę miejsc.

Pełna optymizmu grzybowego Julka w ostatniej chwili sięgnęła do bagażnika po koszyk. Niby racja, grzyby rosną też wzdłuż drogi, ale żeby aż koszyk brać? Jeżeli znajdziemy ze dwa - trzy grzyby, to spokojnie możemy je w rękach przynieść. Nie lubiłam nic nosić, wyjątek stanowił plecak, który nie powodował ograniczeń, że tak powiem, chwytnych. Tkwił na plecach i jeżeli nie był bardzo ciężki, można było o nim nie myśleć.

Szybko sprawdziłyśmy, czy w Roninie nie ma białego citroena, a potem ruszyłyśmy do Nowin.

Rozejrzałyśmy się, czy we wsi i okolicach nie ma upragnionego przez nas samochodu, i zawróciłyśmy przy ostatnich zabudowaniach. Nawet nie poczułam się za bardzo zawiedziona tym, że nie trafiłyśmy na Minkowskiego. Julia miała rację, to trochę jak totolotek. My możemy być tu, a on akurat w Bogdanach. Bardziej sensowne wydawało mi się popytanie w hotelach, ale to miałyśmy w planach jutro. Miałam wrażenie, że jesteśmy na pewnego rodzaju adrenalinowej huśtawce. Wczoraj znalazłyśmy zwłoki i to takie, których widok nie należał do najprzyjemniejszych, dzisiaj rozglądamy się za samochodem widmem. Oprócz rozmowy w knajpie dotyczącej trupa, który nagle pojawił się w zdecydowanie

żywej postaci, praktycznie nic nie działyśmy. Może chociaż wieczorna rozmowa z Marcinem przyniesie coś ciekawego?

Czułam się apatycznie, chociaż humor poprawiły mi kolejne grzyby umieszczone w koszyku. Ich wielkość i ilość podsunęła myśl o suszeniu. Może nie przejadać tych, które nie idą do octu?

Polowanie na białego citroena C5 również w pozostałych miejscach skończyło się porażką. Może powinniśmy popytać mieszkańców? Ale byliśmy w sumie w ośmiu wsiach i gdybyśmy chciały wypytywać o samochód, to zajęłoby nam to dużo czasu. Na dobrą sprawę musiałybyśmy porozmawiać z każdym mieszkańcem, bo przecież trudno wytypować kogoś, kto obserwuje przyjezdnych.

- Słuchaj, a może by tak tych małych namówić do współpracy? - zaproponowała nagle Julia.

- Szerszej niż w zakresie jagód?

- Znają tu wszystkich, w tym swoich wszędobylskich i ciekawskich rówieśników. Może oni by poszukali tego samochodu?

- Będą chcieli?

- Ci nasi byli wkręceni w szukanie ducha. Jak dobrze to rozegramy i ich trochę podpuścimy, to mogliby dać się namówić.

- Możemy spróbować, i tak jutro będziemy się z nimi widzieć. Kurczę, trzeba jeszcze sprawdzić, ile tych jagód potrzebujemy - przypomniałam, wysiadając z samochodu.

- Teraz?

- A kiedy? Marcina jeszcze nie ma, a sprawdzanie dużo czasu nam nie zajmie.

Zaraz po wejściu do pokoju rzuciłam się do laptopa, zostawiając Julce czyszczenie grzybów. Dużo ich nie było, nie miałam wyrzutów sumienia. Przejrzałam przepisy i wybrałam taki, który nie proponował kilograma cukru na kilogram jagód, bo chyba by nas zasłodziło. Preferowałyśmy nalewki wytrawne, a nie takie, którymi można było zastąpić piekielnie słodki deser.

- Ile tego robimy?

- A ile wychodzi z porcji?

- Kilogram jagód na litr alkoholu plus pół kilo cukru. Ja wiem? Pewnie poniżej dwóch litrów?

- Po dwie porcje?

- Ale jesteś pazerna. - cztery litry jagodzianki na twarz to według mnie było całkiem sporo.

- E tam. Skąd wiesz, kiedy będziemy miały okazję zrobić taką nalewkę następny raz? To się nie psuje, może sobie postać. Chociaż ta zeszłoroczna malinowa to wyszła w przyspieszonym tempie.

- Może zrobimy też sok z jagód? Albo dżem?

- Jak? Tu mamy do dyspozycji tylko aneks kuchenny, nie tak jak

w zeszłym roku całą kuchnię Grażynki. Ale możemy się z naszymi dostawcami jagód umówić, że nazbierają dla nas tuż przed wyjazdem i w domu sobie zrobimy.

Spojrzałam na zegarek, ósma już minęła, a Marcina nie było. Nie miałam pojęcia, czy jest punktualny, czy nie, ale od razu się zaniepokoiłam. Oczywiście wpłynęło na to wczorajsze znalezienie zwłok, bo wyobraźnia zaczęła mi podsuwać różne mroczne obrazy. Nie miała jednak szansy się rozwinąć, bo zadzwonił Rafał. Można powiedzieć, że w imieniu swoim i Dawida. Z żalem stwierdził, że przyjadą dopiero w sobotę po południu, bo on musi skończyć coś w terminie, a Podgórski ma dyżur. Teraz też siedzi w pracy, a do Julki zadzwoni za dwie godziny. Wykazując troskę o nas i zainteresowanie naszym dochodzeniem, mój mąż spytał o postępy w polowaniu na włamywacza. I co ja mu miałam, do licha, powiedzieć?

- Tylko się nie denerwuj - wybrałam opcję, która od razu powoduje u wszystkich przyspieszoną akcję serca - ale to już nieaktualne. Jego zwłoki zostały znalezione - nie zastrzegłam, że nie wiemy na sto procent, czy to rabuś.

- Co znaczy „zostały znalezione”? - Mogłam przewidzieć, że zwróci uwagę na to sformułowanie, ale nie chciałam powiedzieć „znalazłyśmy”.

- Zupełnie przypadkiem natknęłyśmy się na ciało tego faceta.

To była szczerza prawda. Szukałyśmy żywego, a nie martwego włamywacza.

- Czy wyście całkiem oszalały? Nie macie co robić, tylko szukać kolejnych nieboszczyków? Nie wiem, czy nie lepiej, żebyście wróciły do domu.

- Nie jestem małym dzieckiem. - Od razu się najeżyłam. - I weź pod uwagę, że wcale się nie narażałyśmy.

- Jak to?

- No normalnie. Widziałeś kiedyś, żeby trup rzucił się na kogoś?

- Nie. I nie widziałem jeszcze nigdy takich dwóch wariatek.

W tym momencie rozległo się pukanie i wszedł Marcin. Gestem zaprosiłam go do środka, zostawiłam Julce czynienie honorów domu i wysłałam pogadać na balkon.

- Nic nam nie jest, głównie kombinujemy, o co tu chodzi. Mogę ci powiedzieć, co teraz robimy. Właśnie przyszedł Marcin, żeby pogadać. Pewnie będzie opowiadał o Fromborku.

- Jak znam życie, to omówicie również nieboszczyka.

- Oczywiście. Ale czy to jest w jakiś sposób niebezpieczne? A wcześniej byliśmy w miasteczku i szukałyśmy samochodu, którym chyba jeździ brat tego pierwszego nieboszczyka. - Zdecydowałam

się częściowo wtajemniczyć Rafała w to, co robimy, żeby się trochę uspokoił.

- Po co?

- Żeby z nim pogadać. Chyba nie myślisz, że rozmowa z bratem ofiary niesie za sobą jakiegokolwiek niebezpieczeństwo? A jutro rano idziemy na grzyby. - No prawie prawdę powiedziałam, bo będziemy je zbierać po drodze.

- A przy okazji poszukać samochodu? - Mój mąż nie był idiotą.

- Owszem. Ale trasa będzie wiodła głównie lasami i polami, więc to chyba będzie głównie grzybobranie. Słuchaj, Marcin czeka...

- Zaczynam być o niego zazdrosny.

- Zwariowałeś? Facet ma żonę, a łączą nas jedynie zbrodnicze tematy.

- I pewnie wie na ten temat więcej niż ja. Więc i tak jestem zazdrosny.

- Zadzwoń jutro rano - obiecałam.

- Niech tak będzie.

- To jeszcze ci powiem, że jutro dostaniemy jagody, z których zrobimy nalewkę. Zadowolony?

- Bardzo, bo to przywiąże was na trochę do domu.

Po wymienieniu kilku czułości i złożeniu obietnicy odezwania się jutro Rafał z wyraźną niechęcią pogodził się z tym, że na dzisiaj koniec pogaduszek, bo Marcin czeka.

Było ładnie, dosyć ciepło mimo wieczoru, zaproponowałam więc, żeby wyjść pogadać na balkon, po co się w pokoju kisić. Ku mojemu zdziwieniu Marcin nie pił bezalkoholowego, herbaty czy soku, tylko normalne pełnoprawne piwo. Pytanie musiał wyczytać z mojego spojrzenia, bo od razu wyjaśnił.

- Żona po mnie przyjedzie.

Ciekawe, czy po to, żeby sprawdzić, co robi. Wyjątkowo ugryzłam się w język i nie spytałam o to, ale Marcin sam z siebie wyjaśnił.

- Będzie wracała od koleżanki, to mnie zgarnie po drodze, no prawie po drodze. W tę stronę przyszedłem na piechotę, dlatego się spóźniłem. Jakoś wolniej mi się szło niż zakładałem.

Nieźle. Zrobił sobie prawie pięciokilometrowy spacer. Niby nic takiego, jutro planujemy zdecydowanie dłuższą trasę, ale to będzie rano, gdy będziemy wypoczęte, a nie po całym dniu. Ale niektórzy są bardziej aktywni wieczorem, może dla niego ten prawie godzinny marsz to żaden wysiłek? W końcu facet wyglądał na wysportowanego. I muszę przyznać, że się nieźle ustawił. W jedną stronę na piechotę, w drugą żona go podwiezie, żyć, nie umierać,

piwo może wypić.

- Zżera mnie ciekawość, jak to wczoraj było z tym nieboszczykiem, bo sierżant był dosyć tajemniczy i zbyt wiele nie mówił, za to pytał.

- Jak to policjant. - W głosie Julki było słycać pewność i chyba doświadczenie osoby mającej z gliniarzem kontakt na co dzień.

- Zaraz was powypyuję, ale najpierw powiem o tych płetwonurkach, żeby nie zapomnieć. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, dlaczego akurat wybrali sobie zalew, płytko, mała widoczność i pełno mułu.

- Latałeś nad nimi?!

- Tak, wczoraj. I nie byli zachwyceni.

- Pewnie robią coś nielegalnego albo kompromitującego - podsunęłam natychmiast.

- Nie wiem. Mavic hałasuje jak wściekły, nikt by nie był zadowolony, gdyby mu nagle coś nad głową zaczęło warczeć.

- Miałeś lecieć wysoko - przypomniała Julia.

- I tak go słycać. Zrobiłem nagranie z daleka, z góry, a potem przeleciałem nad nimi, tak dosyć nisko. Generalnie pokręciłem się w okolicy przez jakiś czas latając to bliżej, to dalej. Było sporo żaglówek, udawałem, że to nimi się interesuję.

- Jeśli latasz często, to powinni być już przyzwyczajeni. A skąd wiesz, że nie byli zadowoleni?

- Z reakcji.

- Tak przypuszczam, bo chyba nie rozmawiałeś z nimi. Ale co zrobili?

- Powygrazali mi pięściami, a gdy dwóch pływających ludków wróciło na pokład, to od razu pokazali im drona. Po jakimś czasie odpłynęli, ale to widziałem już z daleka.

- Do portu?

- Nie, wzdłuż brzegu w stronę Tolkmicka. Oni nie nocują u nas w porcie, bo bym ich spotkał. Nurkują tu już dosyć długo, zawsze w mniej więcej tym samym miejscu. No może nie dokładnie, ale pi razy oko.

- Myślisz, że czegoś tam szukają? - spytałam z nadzieją.

Nie przychodził mi na myśl inny powód tkwienia płetwonurków cały czas w tym samym miejscu. No dobrze, nie dokładnie w tym samym, ale prawie. Ja na ich miejscu chciałabym zobaczyć jak najwięcej, a nie cały czas ten sam kawałek dna. Co w tym może być ciekawego? Chyba że się czegoś szuka. Mozolnie, metr po metrze. Zalew jest zamulony, pewnie to utrudnia poszukiwania. Widziałam kilka razy programy dotyczące poszukiwań podwodnych w różnych warunkach. Była tam mowa między innymi o trudnościach

wynikających z bardzo silnych prądów i dużego zamulenia. W pierwszym przypadku płetwonurkowie i wszystko, z czego korzystali, musiało być dobrze ustabilizowane, bo bez tego nie byłoby w stanie nic zrobić, w drugim przypadku korzystali z urządzeń, które częściowo odsysały muł. Nie mam pojęcia, co to było, bo nie przypuszczałam, że będzie mi ta informacja kiedyś potrzebna, ale działało jak taka podwodna dmuchawa. Czego mogli szukać? Wiedziałam, że kilka lat temu odkryto tu niemieckie pojazdy wojskowe i mieli je zbadać płetwonurkowie z Centralnego Muzeum Morskiego. Nie pamiętałam jednak, czy zostały one wydobyte. A może to tylko mi się tak wydaje, że szukanie w Zalewie Wiślanym czegokolwiek jest takie trudne ze względu na osady? Może wcale nie ma ich aż tak dużo i ci obserwowani przez Marcina ludzie nie potrzebują jakiegoś sprzętu specjalistycznego? Z historycznego punktu widzenia mogło tu być zatopione wszystko: od sprzętu wojskowego zaczynając, a na drobiazgach osobistych kończąc. Oczywiście takich, którym nie zaszkodziłoby ponad siedemdziesiąt lat leżenia w wodzie. Miałam nadzieję, że zwiadowczy lot dronem pozwoli nam zdecydować, czy nurkowie są podejrzani, czy nie.

Zanim Marcin zdążył mi odpowiedzieć, do akcji wkroczyła Julia.

- Przecież już ustaliliśmy, że włamywacz szuka jakiejś informacji, a nie skarbów! Tym bardziej nie w wodzie, skoro się włamuje do domów! Znowu zaczynasz?

- Mógłby szukać informacji o tym, gdzie coś jest zatopione - usiłowałam się bronić, ale wiedziałam, że jestem na przegranej pozycji.

- Teraz sama zaprzeczasz temu, co ustaliliśmy jakiś czas temu. Szuka informacji o czymkolwiek, bo nie wie o tym. Nieważne, czy jest to miejsce ukrycia zrabowanych podczas wojny skarbów, czy grobu pradziadka. SZUKA INFORMACJI - to było powiedziane dużymi literami. - A ci tutaj nie wyglądają, żeby szukali czegokolwiek!

- No jak to? - Zaskoczony Marcin spojrzał na Julię. - Cały czas mówicie, że pewnie czegoś szukają.

- Ale oni nie szukają miejsca, gdzie szukać, tylko szukają w konkretnym miejscu.

- Jej chodzi o to, że gdyby nie widzieli, gdzie trzeba nurkować, żeby coś znaleźć, to powinni się przemieszczać. Raz sprawdzać w jednym miejscu, innym razem w kolejnym - wyjaśniłam. - Oglądałeś te nagrania?

- Nie, nie miałem czasu, tylko je zgrałem. Widziałem tylko tyle, ile podczas lotu na małym ekranie. Chcecie zobaczyć?

Pewnie, że chcieliśmy. Marcin wetknął pendrive'a do laptopa i po chwili mogliśmy oglądać Frombork od strony wody, port, żaglówki i sam zalew.

- Będę przewijał do miejsc, w których ujęcie jest najlepsze, bo tak to by długo trwało.

Intrygujący nas ludzie rzeczywiście nie byli zadowoleni z obecności drona. Najpierw gdy było słyhać go w oddali, od czasu do czasu popatrywali w jego stronę, a gdy Marcin się zbliżył, wszyscy zeszli pod pokład i wyszli ponownie po chwili. Dlaczego? Czy coś chowali? Towarzystwo było mieszane, damsko-męskie. Po chwili na powierzchni wody pojawiły się dwie głowy i podплыnęły do łodzi. Najwyraźniej płetwonurkowie od razu dowiedzieli się o dronie, bo jak na komendę spojrzeli w stronę Mavica. Wyszli na pokład, zdjęli oprzyrządowanie, ale zostali w piankach. Tak im wygodnie w nich było? Julka nagle się ożywiła.

- Marcin, a możesz cofnąć do momentu, zanim jeszcze polecili pod pokład?

- Mogę. Zobaczyłaś tam coś ciekawego?

Marcin zatrzymał nagranie i powiększył jedną z postaci. Przed naszymi oczami ukazał się facet koło czterdziestki, golusieńki jak w chwili narodzin! Jasna cholera! Naturyści?

- Sprawdź jeszcze jednego na wszelki wypadek i czy po tej wizycie pod pokładem są już ubrani - poprosiłam.

Kobieta też nie miała nic na sobie. Biedni ludzie! Znaleźli sobie ich zdaniem dobre miejsce, żeby nikt ich nie podglądał, a tu proszę, ktoś dronem przeleciał.

- Cholera, trochę głupio - zafrasował się Marcin.

- A ci w piankach to pewnie też pod spodem nic nie mieli i czekali, aż odleczysz.

- No i masz tych swoich poszukiwaczy historycznych skarbów! - Julia nie kryła satysfakcji. - Zamiast Bursztynowej Komnaty, znalazłaś kilku golasów!

- Z Bursztynową Komnatą to bym się za bardzo nie wychylała, choć była i taka koncepcja, że ją tędy wywożono. Ale różne inne...

- Alka, odczep się. To normalnie jest jakaś obsesja. Czy ty wiesz - odwróciła się do Marcina - że ona wszędzie węszy jakieś historyczne powiązania i gdy coś się dzieje, to ma to najpewniej tło historyczne, a motywem działania są jakieś zagrabione skarby, które można odzyskać?

- W sumie gdzieś one muszą być - zauważył Marcin.

- I oczywiście my na nie trafimy. Bez żadnych przygotowań, wiedzy historycznej i innych takich. Ja uważam, że przyczyna tych wszystkich nietypowych zdarzeń koło Fromborka jest bardziej

prozaiczna.

- Jaka?

- Nie wiem. Ale nie taka powieściowa. Rozumiesz - to znowu było do Marcina - w książkach musi być nagromadzonych więcej nieprawdopodobnych faktów, żeby przyciągnęły uwagę czytelnika. Głównego bohatera spotykają niesamowite przygody, motywy działania są trudne do odgadnięcia, a w małej miejscowości trup ściele się gęsto. Nie przymierzając jak w *Ojcu Mateuszu*.

- No to trafiłaś z tym porównaniem jak kulą w płot! Mamy małe miasteczko i jak dla mnie nieboszczycy ostatnio pojawiają się często. Już zauważyliśmy, że najwyraźniej nadszedł sezon na trupy. A gdyby motyw był oczywisty, to Korczyński już dawno miałby pod kluczem włamywacza i nie musiałby udawać ducha.

Julka zamilkła, bo rzeczywiście przykład nie był najszcześliwiej dobrany. Wiedziała jednak, o co jej chodzi. Wszyscy jesteśmy przyzwyczajeni do nietypowych i ekscytujących zdarzeń w filmach lub w książkach, rzadko się jednak one przytrafiają na co dzień. My chyba podwyższamy statystykę w tym zakresie, ale tylko w czasie wakacji. I to od zeszłego roku. Wtedy był to zupełny przypadek, teraz do Fromborka przyciągnęły nas właśnie dziwne wydarzenia. Ale one były tu najpierw, my przyjechałyśmy, że tak powiem, na gotowe.

- A właśnie, a propos trup, to opowiedzcie, jak to wczoraj było. Wersja Korczyńskiego brzmiała mniej więcej tak: nie wiadomo, po jaką cholere poszły do tego ośrodka i psim śwędem znalazły kolejne zwłoki. Nie wiem, czy nie boi się, że jeszcze jakieś znajdziecie.

- Teoretycznie rzecz biorąc, mordercy do zlikwidowania został jeszcze jeden Minkowski - zauważyła Julia. - Dlatego próbujemy go zlokalizować.

- Może być i odwrotnie, Minkowski może zabić mordercę.

- No co ty?

- Jak się będzie bronił, to różnie być może, nie wiadomo, kto kogo załatwi.

- A wracając do wczorajszych wydarzeń?

Marcin wiedział, co robi. Gdyby nam nie przerwał poprzez kolejne dygresje odbiegłybyśmy bardzo daleko od tematu, a on nie posłuchałby o znalezieniu zwłok włamywacza. Mogłyśmy mu powiedzieć wszystko, bez zastosowania filtra policyjnego i prywatnego. Korczyńskiemu wołałyśmy się nie narażać i nie wtajemniczać go w to, co zamierzamy zrobić w obawie, że się temu sprzeciwi, a naszych facetów nie chciałyśmy stresować. I tak najchętniej by nas wywieźli z powrotem do Gdańska lub sami tu przyjechali. Tak w ogóle to nie mam nic przeciwko wakacjom

z mężem, ale gdyby pojawił się tutaj, to nie mogłabym prowadzić swojego śledztwa. Może nawet i dałby się namówić na takie spędzanie czasu, ale chciałby realizować swoje pomysły, a nie moje. A te mogły się zdecydowanie różnić. Jeszcze gorzej było w przypadku Julii. Sierżant Dawid Podgórski z racji wykonywanego zawodu i tego, że już widział nas w akcji, gdyby mógł, to by nałożył na nas areszt domowy. Marcinowi bez oporów opowiedziałyśmy wszystko, jedyne, co nam groziło, to możliwość, że stwierdzi, iż z takimi wariatkami to lepiej ostrożnie. Tym bardziej po tym, gdy szukający bliżej nieokreślonego, ale atrakcyjnego czegoś nurkowie okazali się nudystami pragnącymi odosobnienia. A myśmy namówiły Marcina do ich podglądania.

Zdecydowanie lepiej opowiadało się o znalezieniu ciała włamywacza, gdy nie trzeba było zastanawiać się, które informacje ominąć. Uzupełniając swoje wypowiedzi, streściłyśmy Marcinowi nie tylko wczorajszy wieczór, ale wszystko to, co się wydarzyło od naszego ostatniego spotkania. W połowie opowiadania zadzwonił Dawid i Julka weszła do pokoju, żeby z nim spokojnie porozmawiać. Jak znałam życie, Rafał już mu doniósł o kolejnym odkrytym przez nas trupie i wmówienie Podgórskiemu, że nie narażamy się na nic, będzie trudne.

- Chcesz zobaczyć zdjęcia?
- Waszego wczorajszego, nieco przechodzonego trupa?
- Tak. Nie są wyraźne, od razu uprzedzam.
- Dobra, dawaj. Może coś mi się rzuci w oczy.

No i rzuciło mu się. Sierżant o tym nie wspomniał, nam zabrakło doświadczenia, ale Marcin zauważył. Nie wiem, jak na kiepskim zdjęciu i przy takiej ilości much i larw to spostrzegł, ale prawie od razu powiedział, że facet nie zginął od razu. Krew płynie, gdy serce pracuje. Gdyby śmierć nastąpiła natychmiast, byłoby jej mniej. To znaczy możliwe jest oczywiście, że facet ma gdzieś ranę, która spowodowała jego błyskawiczny zgon, ale co najmniej część obrażeń głowy nie należała do takich, które powodują tak szybkie zejście.

- Plecak ma. - Wskazał na jedno ze zdjęć.
- Tak, też to zauważyłyśmy. Jeżeli ktoś mu coś zabrał, to wiedział, czego chce, nie zabrał całego bagażu.
- Nie. - Marcin pokręcił zdecydowanie głową. - Jak ci się wydaje? Gdyby ktoś przeszukał mu plecak, to bawiłby się w pakowanie go z powrotem? Mogę się założyć, że nie.

Jakoś nam to umknęło, a było oczywiste. Z tego wynikało, że albo morderca zabił ofiarę, bo taki miał zamiar i nie interesowało go nic poza tym, albo dowiedział się czegoś i dopiero potem uśmiercił

późniejszego trupa. Dowiedział albo coś dostał. Jakiś list albo notatkę na przykład. Coś takiego można mieć w kieszeni lub w portfelu, a nie w plecaku czy innym bagażu.

Julia wróciła w połowie naszej dyskusji o plecaku i od razu dołożyła informację, że portfel też nie zginął, bo policja znalazła w nim przecież dowód tożsamości nieboszczyka. Czyli ewentualnie morderca mógł z niego coś wyjąć, a niepotrzebną resztę zostawił. To było logiczne, noszenie przy sobie portfela właśnie zamordowanego człowieka nie byłoby chyba zbyt roztropne. Czasem głupi zbieg okoliczności może spowodować, że ktoś go zobaczy i rozpozna.

- No co ty? - nie zgodziła się Julia. - Tutaj? On się przecież ukrywał, więc kto by miał jego portfel widzieć, żeby potem skojarzyć?

- Racja, co nie zmienia faktu, że zabranie go mogło być bardziej kłopotliwe, niż zostawienie obok zwłok. Chcecie jeszcze piwa?

Nasz gość spojrział na zegarek i z lekkim żalem stwierdził, że niestety już nie. Zaraz po niego żona przyjedzie, więc nie zdążyłby wypić. Miał niezłe wycucie, bo ledwo skończył nam opisywać trasę do Jędrychowa, zapikała mu komórka. Odprowadziłyśmy go furtki, wymieniliśmy z żoną Marcina uprzejme uśmiechy i postanowiłyśmy się kawałek przejść. Nie za daleko, tyle tylko, żeby się przed snem przewietrzyć.

- Głodna jestem - oświadczyła Julka natychmiast po powrocie. - Też chcesz?

- Możesz mi zrobić ze dwa kromale.

Poszłyśmy spać najedzone, co podobno jest niezdrowe. Nie umiem jednak, Julka zresztą też nie, spać na głodniaka. Obżarta też nie, ale od obiadu minęło już tyle czasu, że nasze przewody pokarmowe i mózgi zapomniały, że jadły.

* * *

Pierwszy obudził się kot i swoim miauczeniem postawił nas na równe nogi. O co mu chodzi, do diabła? Wodę ma, okno zostawiłyśmy otwarte, więc kie licho? Nie licho, a smakołyki. Kotu się zachciało smakołyków i robił awanturę, stojąc na blacie kuchennym przy pojemniku z kocimi przysmakami. Pies pewnie stałby na podłodze, kot jednym susem dostał się w pobliże upatrzonego jedzonka. Ciekawe, dlaczego nie zrzucił na ziemię i nie spróbował się sam do nich dostać. Wiedział, że nie da rady otworzyć pudełka? Taki sprytny jest? W pierwszym odruchu chciałam dać mu to, czego się tak domaga, i wygonić z pokoju, żeby dał nam jeszcze pospać, ale sprawdziłam, która godzina. Piętnaście po szóstej. Chciałyśmy wyjść o siódmej, więc tak naprawdę nie było po co wracać do łóżka. Kot nadal miauczał przy puszcze z łakociami, jakby go ktoś ze skóry obcierał. W obawie, że zaraz wpadną tu gospodarze, żeby sprawdzić, jaka krzywda dzieje się pupilowi, wyskoczyłam z łóżka i spełniłam jego poranną zachciankę.

- Trzeba będzie te przysmaki gdzieś schować, bo gotów nas tak co rano budzić - mruknęła Julia przyglądająca się kotu.

- Prawda. Dzisiaj to akurat nic się nie stało, bo i tak powinniśmy wstawać.

- Skoro tak mówisz - ziewnęła Julia.

Zebrałyśmy się wyjątkowo szybko, obie nie byłyśmy fankami śniadania w pięć minut po obudzeniu, a to zajmuje najwięcej czasu. W sumie chyba więcej niż mycie, ubranie i kawa. Gdybyśmy nie szły na spacer śledczy, tylko na jakąś imprezę, pewnie więcej czasu spędziłybyśmy przed lustrem i przy wyborze ubrań. Nasze stroje: cienkie długie spodnie i T-shirty nie wymagały ponownego prasowania, a jeżeli miały po kilka zagnieceń, to miałyśmy to w nosie.

- Tak się zastanawiam - zawahała się Julia już w drzwiach - nie będzie nam gorąco?

- Nie ma mowy, żebym do lasu włożyła krótkie spodenki. Jak nie rzucą się na nas kleszcze, na mur beton pożrą nas komary.

- Mamy Off-a.

- Jeśli chcesz, to możesz zostać żywicielką, ja odmawiam.

To był wieczny dylemat, gdy była ładna pogoda, a my wybierałyśmy się do lasu. Lepiej się spocić czy dać pokłuć lub pogryźć. Jakiś czas temu do mrówek, komarów i meszek doszły kleszcze. Jasne, że nie jako nowo odkryty gatunek, ale mam wrażenie, że gdy byłam dzieckiem, było ich mniej. Albo może nie

było wiadomo, ile z nich przenosi boreliozę albo inne paskudztwa? W każdym razie nie zamierzałyśmy ryzykować.

Wychodząc z domu, spotkałyśmy panią Zosię i dopiero wtedy uświadomiłyśmy sobie, że podczas naszej nieobecności przyjdą chłopcy z jagodami. Oprócz tego miałyśmy do nich jeszcze jeden interes - rozejrzenie się za białym citroenem C5. Powiedziałyśmy naszej gospodyni, ile potrzebujemy owoców, dorzucając jeszcze kilogram na zjedzenie, dałyśmy pieniądze i poprosiłyśmy, żeby w naszym imieniu umówiła się z nimi na ósmą wieczorem, bo chciałyśmy dokończyć poprzednią rozmowę. Miałyśmy nadzieję, że to ich zaintryguje.

Po zejściu z szosy przez pewien czas szłyśmy polnymi drogami. I dopiero teraz uzmysłowiłam sobie, jakie zaćmienie umysłu mnie wczoraj dopadło. Jedenaście kilometrów z Bogdan do Jędrychowa to trasa wiodąca drogami przeznaczonymi do ruchu, tak jak tam jechałyśmy. Nawet przy wyborze pieszej marszruty, którą nam mapy Google'a podpowiedziały. A my przecież szłyśmy na skróty. Częściowo polnymi drogami, częściowo lasem, być może kawałek szosą. Liczba kilometrów do przejścia znacznie się zmniejszyła. Zatrzymałam się i sprawdziłam, jak to wygląda. Tak na oko czekała nas sześciokilometrowa wędrówka w każdą stronę. Co zrobić z zaoszczędzonym czasem? Mogłyśmy go wykorzystać na dłuższe chodzenie po lesie lub szybciej pojechać do Fromborka, żeby pogadać w hotelach. Kusiło mnie jedno i drugie.

- Jeżeli będą grzyby, to położymy trochę po lesie, a jeżeli nie, to szybciej wrócimy - rozstrzygnęła Julka. - Weź pod uwagę, że nie wiemy, jakie są te lasy.

To fakt, mogły należeć do tych „grzybnych” lub wręcz odwrotnie. Albo być na przykład podgrzybkowe, a na nie było jeszcze za wcześnie. Na razie szłyśmy polną drogą pomiędzy uprawami i napawałyśmy się widokami, zapachem i słońcem. Było jeszcze cicho, jeżeli nie liczyć ptaków i owadów, które pojawiały się wszędzie tam, gdzie na poboczu rosły kwiaty. Poza tym mijałyśmy pole rzepaku, do którego ściągnęły chyba wszystkie pszczoły z okolicy. Słońce już nieźle przygrzewało, ale nie było gorąco i nie panowała duchota. Być może w lesie też będzie przyjemnie, na pewno nie zdążył się jeszcze nagrzać.

- Wiesz co? To dobre miejsce na gąski - zauważyła Julia. - Piaszczysta droga pomiędzy polami.

- Ale to raczej nie teraz, a na jesieni i to później.

- A czy ja mówię, że mamy ich szukać? Chodź, odbijemy tam. - Julka wskazała kierunek. Przejdziemy pomiędzy polami i dojdziemy do lasu.

„Tam” oznaczało przejście czymś w rodzaju niskiego nasypu pomiędzy polami. Droga to już chyba nie była, ale najwyraźniej coś tędy jeździło. Nie coś, a zapewne traktor. Jednego nie przewidziałyśmy, poranna rosa jeszcze nie wyschła i natychmiast po wejściu w trawę przemoczyłyśmy adidasy. Trudno, zaraz powinny przeschnąć, były z materiału, a nie ze skóry.

Las ciągnął nas niczym magnes, a pusty koszyk na grzyby budził wyrzuty sumienia. Mając więcej czasu niż przypuszczaliśmy, nie szłyśmy najkrótszą drogą, tylko lekkimi zakosami. Oczywiście o ile teren na to pozwalał. Pilnowałyśmy się, żeby jedna z naszych ulubionych wakacyjnych rozrywek nie wciągnęła nas do reszty. Grzyby pojawiały się od czasu do czasu, nie było ich dużo, ale podsycaly zainteresowanie zbieraniem. O tej porze w lesie było jeszcze trochę chłodno po nocy i cicho. Jedynymi dźwiękami były trzaski gałązek pod stopami, oczywiście nie licząc rozmowy. Dlatego obie zamarłyśmy w pół ruchu, gdy za naszymi plecami, a zarazem kępą krzaków, coś lub ktoś zaczęło hałasować. Mimo że według nas morderca nie miał żadnego interesu w pozbawianiu nas życia, poczułyśmy się nieswojo. Rozejrzałam się po okolicy i w lekkim popłochu pociągnęłam Julię w stronę dwóch zrosniętych, całkiem sporych drzew. Kryjówka była taka sobie, ale lepsza taka niż żadna. Za krzakami cały czas coś szeleściło. Myśl o śledzącym nas mordercy powoli gasła, musiałby być nienormalny, żeby robić tyle hałasu. Może to inni grzybiarze? Zbieracze jagód nie, bo krzaczków było za mało, nie opłacałoby się im tu przychodzić.

- Długo tak tu będziemy tkwiły? - wyszeptała Julka najcichszym szeptem.

- Wolałabym wiedzieć, co mam za plecami.

- Pewnie sarny. Boisz się saren?

W tym momencie zza krzaków wyszło stado zwierząt. No może stadko. Ale za to dzików. Jednocześnie poczułam się usatysfakcjonowana, bo bardzo chciałam je zobaczyć, i zaniepokojona. W razie gdybyśmy się im nie spodobały, to nie miałyśmy gdzie uciec. Może pójdą dalej same z siebie? I najlepiej w innym kierunku niż ten zaplanowany przez nas.

- Chciałaś dziki, to masz! Co teraz?

- Musimy być cicho.

- To akurat sama zgadłam.

Dziki się nie spieszyły, wolno wędrowały przed siebie, obwąchując podłoże w poszukiwaniu jakichś przysmaków. Na szczęście nie szły w naszą stronę, tylko równolegle. Już się zaczęłam zastanawiać, ile będzie trwała ta przechadzka, bo robiły trzy kroki w przód, dwa w tył i jeden w bok, ale nagle coś głośno

huknęło. Dziki natychmiast poderwały się do ucieczki i po chwili nie było po nich śladu.

- Uff. Nie wiem, co strzeliło, ale dobrze, że się spłoszyły. - Julka rozprostowała się ulgą, bo za drzewami tkwiłyśmy pozginane wpół.

- Strzał to chyba nie był, ale masz rację, dobrze, że je ten hałas spłoszył, bo inaczej stałybyśmy tu do jutra. Idziemy?

- Idziemy. Nawet gdyby postanowiły tu wrócić, to nas już nie będzie.

- No co ty? Były przestraszone, po co miałyby wracać?

- Nie wiem. Ryły ziemię, pewnie coś dobrego tam znalazły.

Do pierwszych domów dotarłyśmy lekko zziębnięte i postanowiłyśmy chwilę odpocząć, bo szybki marsz kłócił się ze zbieraniem grzybów, a chciałyśmy wystąpić w roli miłośniczek grzybobrania. Z powątpiewaniem popatrzyłam na nasze zbiory.

- Chyba nas miejscowi wyśmieją, jak zobaczą, co mamy w koszyku.

- I dobrze. Nie będą nas traktować jak konkurencji. A może nawet wzbudzimy sympatię? Gdybyśmy miały pełny koszyk, byłiby zazdrośni.

- Dobra, to rozglądaj się za jakimś tubylcem odpowiednim do pogadania, a ja się napiję. - Wyjęłam wodę z plecaka.

Julka poszła za moim przykładem, jednocześnie pilnie obserwując okolice. Byłyśmy już tutaj, oglądałyśmy domy, ale rozmawiałyśmy tylko w sklepiku, oczywiście nie licząc wieczornego czatowania od strony lasu, a nie zabudowań. Teraz szukałyśmy kogoś, kogo można wypytać o samochód Minkowskiego.

- Zobacz, tam ktoś siedzi na ganku. - Spojrzeniem wskazała niezbyt odległy dom.

- Myślisz, że cały czas tak tkwi?

- Jest na wózku, więc to całkiem prawdopodobne. Ładnie jest, może tam sobie siedzi i patrzy, co się dzieje w okolicy.

- Nie widzę, czy to facet, czy kobieta, nie wspominając już o określeniu wieku - skrzywiłam się z niechęcią.

Niechęć brała się stąd, że wiedząc, z kim będziemy rozmawiały, przeważnie już wcześniej wybierałyśmy sposób prowadzenia tej rozmowy. Co innego osiemdziesięcioletnia babcia, co innego nastolatek. Osoba, którą sobie upatrzyłyśmy, siedziała na ganku w cieniu. Postać było widać, wózek było widać, ale to wszystko.

- Coś wymyślimy, jak podejdziemy bliżej - pocieszyła mnie Julka. - I już nie stójmy tu tak, bo to głupio wygląda. Bo niby nad czym się tak namyślamy?

- Wodę piłyśmy.

- Słusznie użyłaś czasu przeszłego.

Julka, nie czekając na mnie, ruszyła w stronę upatrzonego tubylca. Przeważnie to ja ją musiałam popędzać w takich sytuacjach, co jej się stało? Jeden gest Julii powiedział mi wszystko. Zerknęła na trzymany w rękę koszyk z taką niechęcią, że nie musiałam dalej zgadywać. Chciała jak najszybciej sprawdzić, czy citroen Minkowskiego był tutaj widziany, i ponownie zagłębić się w las.

Siedząca na ganku osoba okazała się mężczyzną, na oko sądząc, w naszym wieku. Czyli powinien być spostrzegawczy i nie przysypiać na słońku, a obserwować okolicę.

- Dzień dobry! - powiedziałam, gdy podeszłyśmy bliżej i zauważyłam, że facet zaczął się nam przyglądać.

- Dzień dobry. Panie szukają kogoś? - nie czekał, aż zadamy pytanie, od razu przejął inicjatywę. Pewnie nudził się jak mops.

- Właściwie to tak przy okazji.

- Jakiej okazji?

Trafiłyśmy na ciekawski egzemplarz. Bardzo dobrze, jak nie ma co robić, to pewnie każde najmniejsze wydarzenie w okolicy jest dla niego czymś interesującym. Zaprosi nas do siebie czy będziemy tak się przekrzykiwać przez płot?

- A może panie wejdą do mnie na chwilę? - zdecydował, zanim zdążyłam odpowiedzieć. - Unieruchomiony jestem - wyjaśnił rzecz widoczną gołym okiem.

Miał nogę w gipsie, od końców palców do pachwiny. Siedział na wózku, a nogę miał ułożoną poziomo na krześle. Posłusznie weszłyśmy i zamknęłyśmy za sobą furtkę.

- Miał pan wypadek? - spytałam i natychmiast tego pożałowałam. Co mnie to obchodzi? Może facet woli o tym nie mówić i go do siebie zrażę?

- Tak - wskazał na stojące obok plastikowe foteliki. - Na motorze, dwa tygodnie temu. I tak mi się udało, zwykłe złamania, bez przemieszczeń, nie musieli mi blach wstawiać. Ale gips mam na pięć tygodni, a potem jeszcze będę musiał mieć rehabilitację. Akurat w lecie, jak roboty dużo.

Wepchnęłam w siebie komunikat, że mógł myśleć wcześniej. To znaczy nie miałam nic przeciwko jeździe na motorze, ale kto się na nią decyduje, musi mieć świadomość, że w razie wypadku najprawdopodobniej nie wyjdzie bez szwanku. W przypadku rolników wypadek w czerwcu wykluczał pracę praktycznie przez cały sezon. Ale przecież to nie moja sprawa.

- Nudzi się pan pewnie - powiedziała Julia ze współczuciem.

- Żeby pani wiedziała jak. Żona pracuje, sam siedzę w domu. Przygotowuje mi kanapki i herbatę w termosie i tak czekam, aż

wróci. Siedzę tu i patrzę, co się dzieje. Mógłbym coś oglądać, ale już mi się trochę znudziło. Na szczęście wszyscy wiedzą, że się z domu nie mam jak ruszyć, to przychodzą, gdy mogą.

Albo sam sobie zapraszasz ludzi, tak jak teraz, pomyślałam, ale nie powiedziałam tego głośno.

- Wyrazy współczucia. Takie przymusowe unieruchomienie musi być deprymujące.

- I nudne. Ale nie robię również tego, co normalnie robiłem, a czego nie lubię, więc jakiś zysk jest - roześmiał się mężczyzna. - A panie tu na wczasach?

- Tak, zatrzymałyśmy się w Bogdanach.

- I tak na piechotę przyszyście? - spytał, jakbyśmy pokonały nie wiadomo jaki dystans.

- Tak. Chciałyśmy się przejść, a poza tym szukamy znajomego.

- W lesie?

Miał rację, zabrzmiało to tak, jakbyśmy miały nadzieję, że oprócz zwierząt zza drzew wyjdzie również poszukiwany przez nasz człowiek. Tak po prostu, znaleziony niczym kozak lub maślak.

- A nie, skądże znowu. To taka bardzo luźna znajomość - o tym nauczyłam się już od razu mówić, żeby uniknąć zdziwienia rozmówców, że po prostu nie dzwoniemy do szukanej osoby. - Wiemy, że miał tu być, a mamy do niego sprawę. Nic pilnego, ale fajnie by było się spotkać. A ponieważ grzyby to nasze wakacyjne maniactwo, więc połączyłyśmy jedno z drugim.

- Po drodze zbierałyśmy, a tutaj chciałyśmy popytać, czy go nie było. Miał się zatrzymać gdzieś w okolicy, ale nie w samym Fromborku.

- Dużo to panie nie nazbierały. - Jednym rzutem oka facet oszacował nasze zbiory.

- No nie. Chyba jeszcze nie sezon.

- Jak się wie, gdzie szukać, to i teraz można sporo znaleźć.

Ameryki nie odkrył, same doskonale to wiedziałyśmy. Wiadomo od zawsze, że tubylcy i ludzie od lat jeżdżący na grzyby w te same miejsca prawie zawsze znajdują więcej od przypadkowych zbieraczy. Nie podzieliłam się spostrzeżeniem, że w okolicy jest sezon nie na grzyby, a na trupy, a my je umiejętnie znajdujemy.

- Jesteśmy tu pierwszy raz, więc nie znamy terenu. Ale już trochę mamy zamarynowanych, więc nie jest najgorzej - pochwaliła się Julia, a ja po myśli o sezonie na zwłoki musiałam szybko pozbyć się wyobrażenia zwłok w formalinie.

- Ten wasz znajomy też grzybiarz?

- A wie pan, że nie wiemy. Jakoś nigdy nie rozmawialiśmy o tym.

- Według mnie w tej chwili są u nas tylko dwie rodziny letników. Takie z dziećmi. Ten wasz znajomek miał sam przyjechać czy w towarzystwie?

- Z tego, co wiemy, to sam.

- A więc raczej tu nie nocuje - zawyrokował nasz rozmówca.

- A czy turyści często się tutaj pojawiają? - spytała Julia. - Tacy jak my?

- Od czasu do czasu ktoś przechodzi koło mojego domu. Ludzie najczęściej zwiedzają okolicę samochodem, jeżdżąc od wsi do wsi i oglądając to, co wydaje im się ciekawe. Albo po prostu zapoznając się z terenem. U nas nie ma nic specjalnie ciekawego.

- Macie zabytkową kaplicę - zauważyła Julka.

- Taki tam zabytek - wzruszył ramionami mężczyzna i poprawił się na wózku. - Mało atrakcyjne, szczególnie jak przyjeżdżają ludzie z dziećmi. Akurat im oglądanie w głowie. Ten wasz znajomy pewnie samochodem jeździ?

- Tak, oczywiście. Białym citroenem C5.

- Widziałem tu taki samochód - ucieszył się mężczyzna. - Nie wiem, czy to ten, którego szukacie, bo nie zwróciłem uwagi na rejestrację.

- A dawno to było?

- A gdzie tam dawno. Ze trzy dni będzie. O, tam zawracał. - Wskazał najbliższe rozwidlenie dróg.

- Widział pan może kierowcę? - spytałam z nadzieją i aż oddech wstrzymałam, czekając na odpowiedź.

- Tak, szedł tędy. Widziałem, bo ja teraz z nudów na wszystko się gapię.

- Mam zdjęcie znajomego, niech pan rzuci okiem, czy to ten sam. - Kolejnej osobie pokazałam podobiznę Lecha Minkowskiego podczas rozmowy o jego bracie.

- Noo... wyglądał jak ten. Ale ubrany był inaczej, na ciemno.

Być może bracia preferowali inne ciuchy, ale twarze mieli identyczne. A to oznaczało, że najpóźniej we wtorek brat naszego pierwszego trupa pojawił się w okolicy Fromborka. Cholera jasna! Żeby go tylko ten morderca nie dopadł!

Z trudem rozstałyśmy się z mężczyzną z nogą w gipsie. Najchętniej porozmawiałby z nami jeszcze jakiś czas, na temat obojętnie jaki. Nudził się, a tu taka atrakcja w postaci pogawędki z dwoma w miarę młodymi i atrakcyjnymi turystkami właśnie dobiegła końca.

- Wracamy czy sprawdzamy?

- Właściwie jest mała szansa, że Minkowski znowu tu będzie.

- Jakby wcześniej była duża na to, że akurat na niego trafimy -

prychnęła Julia.

- Ale możemy się przejść po wsi, żeby potem sobie w brodę nie pluć.

- Dobra, niech ci będzie.

Przeleciałyśmy się po Jędrychowcie, nie znajdując Citroëna, co było do przewidzenia. Z dwóch zaczepionych przez nas osób jedna widziała taki samochód kilka dni temu. Ponieważ zauważyła go kobieta, to jeszcze dowiedziałyśmy się, że kierowca był całkiem przystojny.

- Pewnie dlatego zapamiętała auto - zawyrokowała Julka. - Wracamy?

- Wiekować tu nie będziemy. Która godzina? W pół do dziewiątej? To na dziesiątą powinnyśmy wrócić do pani Zosi i od razu możemy jechać pogadać w hotelach.

- Nie od razu, wykąpię się i przebiorę przedtem.

- Byle szybko. Spróbujemy pójść teraz trochę inną trasą, może coś dozbieramy.

Nie wiem, jak to jest, ale grzyby chyba lubią robić Julii przyjemność i specjalnie rosną tam, gdzie ona idzie. Albo przyciągają ją w jakiś tajemniczy sposób. Umiem zbierać grzyby, wiem, gdzie które rosną, ale i tak Julia zawsze zbiera ich więcej. Nie, od rana nie zrobił się wysyp, ale parę ładnych sztuk udało się nam - a głównie jej - znaleźć. Postanowiłyśmy część z nich wysuszyć. Z nosami utkwionymi w ziemi doszłyśmy do nieuprawianego pola, na którym rosły samosiejki. Iglaki. Gęste.

- Sprawdzamy? - zasugerowała Julia.

- Możemy, i tak jest po drodze. Ale tu się będziemy albo czołgać, albo łązić na kolanach, żeby coś zobaczyć.

Wybierając łatwiejsze trasy pomiędzy drzewkami, zaczęłyśmy szukać maślaków. Były. Małutkie i trzeba było dobrze się za nimi rozglądać, ale od razu wiedziałyśmy, że wzbogacą nasz zbiór. I albo je jutro zjemy na kolację, bo Rafał i Dawid też lubili grzyby, albo zamarynujemy.

Po dwudziestu minutach koszyk miałyśmy pełny, kolana mokre, dłonie oblepione śluzem maślakowym, we włosach igliwie i uśmiechy na twarzach. Poranny spacer był ze wszech miar udany. Dowiedziałyśmy się, że żyjący Minkowski jest gdzieś w okolicy i niosłyśmy całkiem przyzwoite zbiory. Może dla niektórych byłoby to mało albo kręciliby nosem, że nie ma tu prawdziwków i podgrzybków, ale my byłyśmy usatysfakcjonowane.

- To co? Teraz pędem do domu, doprowadzamy się do porządku, ładujemy grzyby do lodówki i jedziemy do Fromborka na zwiad.

- Może po drodze jeszcze coś znajdziemy?

- Nie bądź taką optymistką - przystopowałam Julię. - To jeszcze nie sezon, a poza tym nie mamy ich już gdzie wkładać.

- Tam jeszcze pewnie jakieś zostały. - Moja przyjaciółka zrobiła ruch, jakby chciała zanurkować jeszcze raz pod choinki.

- Opanuj się! W zębach będziesz je niosła?

- Szkoda zostawiać...

- Możemy tu przyjść w niedzielę przed południem z chłopakami.

To jakoś przemówiło do Julii, która nie mogła się rozstać z miejscem, w którym BYĆ MOŻE jeszcze jakieś grzyby zostały.

Pani Zosia pracowała w przydomowym ogródku i zobaczyła nas od razu, gdy weszłyśmy na podwórko. Chłopcy już zdążyli dostarczyć jagody, tak jak chciałyśmy, pięć kilo.

- Mam je u siebie w lodówce. Chcą panie teraz?

- A możemy wieczorem? Będziemy zaraz wyjeżdżać, a musimy grzyby włożyć do lodówki.

- Pewnie, niech sobie panie je wezmę, kiedy będzie trzeba. Adama i Karola umówiłam na ósmą, tak jak panie chciały.

No proszę, wreszcie wiemy, jak się nazywają bracia, których chciałyśmy napuścić na szukanie samochodu. Podziękowałyśmy pani Zosi i uprzedziłyśmy ją, że obiad zjemy pewnie odgrzewany.

- Zmieściły się? - spytała Julia, wychodząc z łazienki.

- Z trudem, ale tak. Będziemy miały pracowity dzień dzisiaj, trzeba będzie przerobić i grzyby, i jagody. Zrób po jakiejś kanapce, coś przegryziemy przed wyjściem, bo po tym spacerze głodna jestem - poprosiłam i poszłam się wykapać.

Odświeżone, przebrane i najedzone byłyśmy gotowe do wyjazdu. Jeszcze tylko zerknęłam na mapę Fromborka, żeby zobaczyć, od którego hotelu zacząć i jaka powinna być kolejność rozmów, żebyśmy się nie miotaly w tę i z powrotem. Po krótkim wahaniu wybrałyśmy Hotel Kopernik, był chyba największy, więc może najłatwiej było tu o wolny pokój.

W portierni dyżurowała młoda dziewczyna, która robiła coś na komputerze. Rozejrzałyśmy się po holu, żeby sprawdzić, czy w pobliżu nie ma gości, którymi będzie musiała się zająć. Nie było. Pora była taka, że turyści zwiedzali okolicę, a nie tkwili w murach, więc miałyśmy szansę porozmawiać z nią, o ile nie robi czegoś bardzo pilnego.

- Tak, słucham? - Dziewczyna oderwała się od kompa, gdy tylko podeszłyśmy bliżej.

- Szukamy znajomego... - zaczęłam i od razu zobaczyłam zdziwienie kobiety. - Nie odbiera telefonu, a nie ma tego w zwyczaju, więc się niepokoiimy. - Zdziwienie zniknęło.

- Miał się zatrzymać we Fromborku, więc postanowiłyśmy sprawdzić w hotelach.

- A jak znajomy się nazywa? - Palce dziewczyny zawisły nad klawiaturą. Najwyraźniej nie była zwolenniczką ścisłej ochrony danych osobowych.

- Minkowski. - Specjalnie pominęłam imię, bo nie miałyśmy pojęcia, jak się nazywa drugi z braci.

- O rany, to panie nie wiedzą? Lech Minkowski nie żyje! - Nawet nie zajrzała do rejestru gości.

- Piotr, nie Lech - zmyśliłam imię na poczekaniu.

- A nie, to chodzi o Lecha. Nie kojarzę, żeby był drugi gość o tym samym nazwisku, ale sprawdzę. - Nie zajęło jej to zbyt wiele czasu, po czym powiedziała z uśmiechem. - Niestety, u nas się nie zatrzymał. Może w następnym hotelu będą panie miały więcej szczęścia.

Pozegnałyśmy się i wyszłyśmy przed hotel. Słońce nieźle przygrzewało, a w powietrzu czuło się rozleniwienie i bezruch. Mimo pory dnia było sennie. Stałam na tym upale niezdecydowana i zastanawiałam się, co jest nie tak, bo miałam uczucie, że coś mi umyka. Popatrzyłam na Julię ciekawa, czy podziela moje odczucia.

- Wiesz co? To jakieś déjà vu. Mam wrażenie, że robimy kolejny raz to samo.

To było to! W zeszłym roku szukałyśmy pewnego mężczyzny w podobny sposób. Teraz byłyśmy jednak w dużo lepszej sytuacji, znałyśmy nazwisko i od razu miałyśmy jego podobiznę. No dobrze, jego brata bliźniaka, ale mogłyśmy się nią bez problemu posługiwać.

- O tyle, o ile. Tym razem mamy więcej danych. Idziemy dalej?

- A nie jedziemy?

- Coś się taka wygodna zrobiła? Blisko jest.

- Nie wygodna, tylko gorąco mi. - Julia zadyszała niczym pies, żeby zademonstrować przegrzanie.

- Możemy zjeść po drodze jakieś lody.

Wzmianka o lodach uruchomiła Julkę, która od razu zaproponowała, żeby może w kolejnym hotelu zamówić sobie po prostu lody i kawę. Najwyraźniej przypomnienie zeszłorocznych wędrówek po hotelach w poszukiwaniu nieznanego z malin skojarzyło jej się z deserem. Nie powiem, słusznie. I w sumie miała rację, zamawiając cokolwiek, siłą rzeczy nawiązywało się kontakt z kelnerem lub kelnerką, a ci raczej mieli w zwyczaju odpowiadać na pytania klientów w dobrze pojętym interesie tak hotelu, jak i własnym. Napiwki były miłym, a niejednokrotnie koniecznym dodatkiem do pensji.

Kelner podszedł do nas prawie od razu, gdy usiadłyśmy przy stoliku. Najwyraźniej zupełnie przypadkowo udało nam się wstrzelec w godziny mniejszego ruchu. Zamówiłyśmy po deserze lodowym i kawie i w oczekiwaniu na słodkości rozglądałyśmy się ciekawie dookoła. Oprócz nas tylko przy dwóch stolikach ktoś siedział, co wyjaśniało tak ekspresową obsługę.

- Proszę bardzo. Czy chciałyby panie zamówić coś jeszcze?

- Nie, dziękujemy. Ale mamy pytanie - zagaiła Julia, uśmiechając się do faceta promiennie.

No do licha! Dorosły facet, najwyżej ciut młodszy od nas, a już się spiął na widok uśmiechu Julii. Jak Boga kocham, ona marnuje się jako nauczycielka. O mało się nie poparzyłam kawą, widząc manewry przyjaciółki i reakcję kelnera. Julia zrobiła minę zagubionej sierotki i dosyć bezradnym głosem oznajmiła, że szuka znajomego i nie może go znaleźć, a umówili się, że spotkają się we Fromborku. Facet przejął się tak, że pominął nawet standardowe pytanie o telefon do tego jakiegoś znajomego. Było widać, że na końcu języka miał pytanie, czy może mógłby zastąpić poszukiwanego mężczyznę, i jestem pewna, że byłoby mu obojętne w czym. Dobrze, że Dawid tego nie widział, bo ugotowałby się z zazdrości.

- I wie pan, wydaje mi się, że mógł się zatrzymać u was. Bo on lubi wygodę. - To już było na konto: „macie taki fajny hotel”.

- Owszem, muszę przyznać, że standard mamy całkiem dobry. A może pani chciałaby się przenieść do nas? Chyba właśnie zwolniły się jakieś miejsca.

Julia zrobiła zawiedzioną minę i oświadczyła, że niestety nie, bo mieszka u znajomych pod Tolkmickiem i byłoby im przykro, gdyby nagle się wyprowadziła.

- A jak się nazywał ten znajomy?

- Minkowski. Ale gdyby panu nazwisko nic nie mówiło, to mam zdjęcie. - Julia zademonstrowała fotkę naszego pierwszego fromborskiego trupa, a facet prawie podskoczył z wrażenia.

- Pani go zna?

- Tak, ale niebyłoby dobrze. A co się stało?

- Niech panie nikomu nie mówią, ale chyba jest jakaś afera z tym waszym znajomym. - Kelner zdecydował zwrócić się do nas obu, nie tylko do Julii.

- Afera? O Boże, a wydawał się taki porządny! - „przestraszyła” się i Julia i przyjmując zatroskany wyraz twarzy, spytała. - Narozrabiał jakoś? Pijany?

- Nie, nie. Nic z tych rzeczy. Przykro mi to mówić, ale jakiś czas temu turyści znaleźli w lesie tego Minkowskiego - ciekawe, co by

powiedział na to, że robiąca do niego słodkie oczy Julka była jedną z tych turystek – podobno martwego.

- Podobno? No co pan mówi? Jak to jest możliwe, że ktoś jest podobno trupem? Tak się chyba nie da? I zwłoki przecież bada jakiś lekarz? – Julia „nie mogła” w to uwierzyć.

- No właśnie dlatego jest jakaś afera. Gliny stwierdziły, że facet jest załatwiony definitywnie i na amen, a parę osób go potem widziało. To co? Zmartwychwstał? Trup zniknął, a potem pojawił się żywy człowiek?

- Może ktoś podobny? – odważyłam się wtrącić.

- No co też pani! Skóra zdjęta!

- Pan też go widział? Bo wie pan, ludzie czasem głupoty gadają, ale jeśli PAN widział, to już sama nie wiem. – Julia zaakcentowała „pan”, popatrzyła wymownie na kelnera i poprawiła rozpuszczone włosy.

- No właśnie widziałem. Bardzo mi przykro, ale to rzeczywiście był żywy nieboszczyk.

Co jest z tymi ludźmi? Ani dziewczyna, z którą wczoraj rozmawialiśmy, ani teraz ten facet nie pomyśleli o bracie. Nie ma we Fromborku bliźniaków? Poza tym podobieństwa zdarzają się też między braćmi i między ojcem i synem. Kiedyś miałam takich uczniów, był między nimi rok różnicy, a wyglądali prawie jak bliźniacy. Trzeba było się dobrze przyjrzeć, żeby zobaczyć różnicę. A gdy na jedno z zebrań przyszedł ich ojciec, to wręcz oniemiałam i zamieniłam się w słup soli, bo dzieci wyglądały jak kopie taty. Bardzo udane zresztą.

- Może brat? – zasugerowałam delikatnie.

- Taki podobny? Rodzeństwo różni się między sobą. No chyba że bliźniacy!

Ten pomysł najwyraźniej spodobał się kelnerowi. Był prostym wytłumaczeniem nadprzyrodzonego zjawiska dotyczącego przeobrażeń martwego w żywego.

- To może rzeczywiście nie pani znajomy?

- A kiedy go pan widział?

- Przed czy po śmierci?

Mimo że wiedziałam, o co pyta, nie opanowałam się i parsknęłam. Dobrze, że nie lodami na całą okolicę. Udałam kaszel, chrypkę i zgoła spazmy, żeby zamaskować ten wybuch radości. Wyjęte z kontekstu pytanie przywodziło na myśl spacerujące zwłoki.

- I tak, i tak. – Julii udało się zachować spokój i nawet nie popatrzyła na mnie z naganą.

- Zanim znaleźli jego ciało, to tak ze trzy tygodnie temu chyba, a teraz chyba przedwczoraj.

To zgadzało się tym, co mówił facet ze złamaną nogą. Żywy Minkowski najwyraźniej jest w okolicy, miałyśmy szansę go w końcu znaleźć i z nim porozmawiać. Chciałyśmy go uprzedzić, żeby uważał na mordercę.

Od kelnera dowiedziałyśmy się już wszystkiego i Julia usiłowała zakończyć rozmowę tak, żeby facet nie poczuł się urażony. Dziękujemy, może pan odejść. Na szczęście przy najbardziej odległym stoliku usiadła wielopokoleniowa grupa i od razu przykuła uwagę personelu. Nie żeby akurat w tym hotelu obsługa reagowała tak szybko, ale dwójka małych dzieci najwyraźniej miała ochotę właśnie tu dać upust swojej energii i zaczęła biegać między stolikami. Prawie natychmiast z hukiem wywrócili krzesło i ściągnęli obrus z sąsiedniego stolika, przewracając przy tym wazonik i wylewając z niego wodę. Rodzina pogrążona było w wyborze napojów i nie zwracała uwagi na takie drobiazgi, zareagowali więc pracownicy hotelu. Resztką lodów stanęła mi w gardle i poczułam natychmiastową chęć ewakuacji. Lada moment któryś gówniarz coś sobie zrobi i będzie afera, nie miałam ochoty być tego świadkiem. Zapłaciłyśmy czym prędzej i uciekłyśmy.

- Niektórzy rodzice nie są normalni - skomentowała Julia.

- Od dzisiaj to wiesz? A co jest w szkole? A potem pretensje do całego świata. A skąd taki trzylatek ma wiedzieć, że nie wolno szaleć w restauracji, jeżeli nikt mu o tym nie powiedział?

- I jeszcze krzywdę sobie robi.

- I innych gości wypłoszy. Teraz wypadałoby iść tam. - Wskazałam kierunek do następnego hotelu.

- Musimy? Już przecież wiemy, że Minkowski jest we Fromborku.

- I wiesz, co możemy z taką wiedzą zrobić? Przecież nie staniemy na rynku i nie zaczniemy go wołać.

- Już lepiej byłoby ze wzgórze, głos by się lepiej niósł - zawyrokowała Julia. - Dobra, chodź, ale więcej z siebie idiotki nie robie!

- Doskonale ci to wyszło.

- I to jest przerażające, wiesz? Może ja mam takie skłonności?

- E tam, jakoś nie zauważyłam. Rusz się, bo znowu stoimy na patelni, znam przyjemniejsze miejsca do opalania.

W kolejnym miejscu trafiłyśmy niestety na jakąś wycieczkę, która się właśnie wymeldowywała i warunki do rozmowy były takie sobie. Przeczekać czy wrócić? Na szczęście Julia zajrzała do restauracji. Od razu uśmiechnęła się do kogoś i weszła do środka. Gdyby nie to, że miałam do przejścia pięć kroków, chyba bym pękła z ciekawości, bo Marcin był w pracy, a na widok sierżanta nie

ucieszyłaby się tak. Poza nimi nikogo tu nie znałyśmy. Okazało się, że przy stoliku siedzą dwie kobiety, a jedną z nich jest kelnerka z knajpy przy ośrodku wypoczynkowym pod Krynica Morską.

- Jak dobrze, że panie widzę! - powitała nas nietypowo. - To moja koleżanka, ona jest z Fromborka - dokonała prezentacji i poprosiła, żebyśmy usiadły. - Ja pamiętam, że panie pytały o kradzieże koło Krynicy.

- Tak, dla tej naszej znajomej - potwierdziłam szybko, przypominając sobie, że udawałyśmy, że zbieramy informację dla koleżanki.

- Ona jest socjologiem, tak? - Kobieta miała dobrą pamięć.

- Tak - przyznała Julia bez oporu.

- Nie wiem, czy to się jej przyda, ale właśnie z koleżanką odkryłyśmy coś dziwnego.

Prawie już wiedziałam, co powiedzą, tylko nie byłam pewna, jak to zinterpretują. Przypuszczam, że gdyby Lech Minkowski żył, nikt nie dziwiłby się, że jeździ po okolicy, bo zwiedzać każdy może. Teraz wyglądało to trochę inaczej.

- Ona zbiera przeróżne dziwne informacje, więc pewnie tak - zachęciłam kobietę.

- Bo wie pani, ja byłam niedawno w Krynicy - zabrała głos jej koleżanka - i zobaczyłam człowieka, który nie żyje.

- Na zdjęciu? - spytałam na podpuchę.

- A gdzie tam, żywego. Ja pracuję na poczcie, więc jak tu ktoś znalazł ciało tego biedaka, to Korczyński od razu mnie spytał, czy go nie widziałam. Wie pani, na pocztę przychodzą czasem również turyści, więc mógł i ten nieboszczyk. Dlatego widziałam, jak wygląda. A za kilka dni pojechałam do Krynicy, ja tam mam rodziców, i patrzę, a ten facet idzie sobie ulicą. Żywy.

- A przed chwilą znowu go widziałyśmy.

- Naprawdę? - Prawie podniosło nas z krzesel.

- A tak. Szedł sobie wolnym krokiem od strony portu. Tak mnie to zaskoczyło, że aż się zatrzymałam i wpatrywałam w niego, pewnie pomyślał, że coś nie tak ze mną. Ale o trupie, który ożywa, a potem pojawia się raz w jednym miejscu, raz w drugim, to jeszcze nie słyszałam. To znaczy, ja wiem, że to nie jest ten nieboszczyk, ale pierwsze wrażenie jest naprawdę niesamowite.

- Pewnie brat - dodała nasza znajoma kelnerka. - Biedny, może musi tu być ze względu na śledztwo? Może policja mu kazała przyjechać?

- I teraz wszyscy myślą, że nieboszczyk ożył - zasugerowała Julia.

- Głupie niby, prawda? - uśmiechnęła się pracownica poczty. -

Ale to pierwsze skojarzenie. I jeszcze w jednym miejscu pojawia się, a w innym znika.

Nie wiem, dlaczego pierwsze skojarzenie naszych dotychczasowych rozmówców dotyczyło tego, że nieboszczyk spod obserwatorium jednak nie był trupem i teraz zwiedza okolicę albo załatwia tu jakieś sprawy. Mieli małe zaufanie do policji albo do lekarzy? Uważali, że ktoś się mógł pomylić, orzekając zgon? Fakt, my miałyśmy lepiej, ale to myśmy znalazły zwłoki i byłyśmy absolutnie pewne, że są martwe. Co prawda raz nam się już zdarzyło pomylić i nieboszczyk ożył, ale teraz było zdecydowanie inaczej. Już sam wygląd praktycznie nie dopuszczał myśli o ciężko pobitym człowieku.

Szybko pożegnałyśmy się z kobietami, zasłaniając się tym, że nie chcemy im przeszkadzać w spotkaniu. Nie protestowały, pewnie miały do omówienia coś, do czego nie byłyśmy im absolutnie potrzebne.

- I co ty na to? Mijamy się z nim. Może pije teraz kawę tam, gdzie my poprzednio.

- Tam nie, te dzieciaki na pewno by go wypłoszyły. Ale może w Koperniku. Wracamy - zdecydowałam nagle.

- Matko z córką, nie nadążam za tobą.

- Musimy namierzyć samochód, inaczej go nie złapiemy. Do tego są nam ci chłopacy potrzebni, same nie damy rady. A oni może namówią kolegów do tej akcji.

- To jeszcze zastanówmy się, czego nam ze sklepu brakuje, żeby potem nie jeździć.

Zrobiłyśmy nieduże zakupy, na wszelki wypadek podjechałyśmy jeszcze pod wszystkie znane nam hotele i sprawdziłyśmy, czy gdzieś nie stoi biały citroen C5 i wróciłyśmy do Bogdan. Pani Zosia zrobiła zdziwioną minę na nasz widok, bo miałyśmy się spóźnić na obiad. Wyjaśniłyśmy, że musimy się zająć jagodami i grzybami, bo szkoda by było, gdyby coś się stało jednym lub drugim.

Zaraz po obiedzie przystąpiłyśmy do prac gospodarczych. Wyniosłyśmy się z robotą na balkon, zdecydowanie przyjemniej niż w pokoju czyściło się tam grzyby i przebierało jagody. Julia w jakimś przebłysku geniuszu w ostatniej chwili wrzuciła do koszyka z zakupami rękawiczki lateksowe i teraz sok z jagód nie był nam straszny.

- Co wybierasz? Maślaki czy jagody?

- Grzyby - zdecydowałam bez wahania.

Przyniosłyśmy wszystko, co trzeba, dołożyłyśmy do tego piwo i zabrałyśmy się za produkcję specjałów z darów lasu. Zajęte miałyśmy tylko ręce, a nie mózgi i usta, więc natychmiast

zaczęłyśmy kombinować, jak dorwać Minkowskiego, który wydawał nam się jedyną osobą, która mogła doprowadzić do rozwiązania zagadki, a jednocześnie człowiekiem, który był narażony na atak mordercy.

- Ty, ale dlaczego sierżant go nie przycisnął w sprawie tego, co robił jego brat? Powinien - zauważyła Julia.

- Skąd wiesz, że nie? Pewnie spytał. Minkowski, tak jak pracownicy agencji, odpowiedział, że nie ma pojęcia, nad czym brat pracował. I niby jak Korczyński miał mu udowodnić, że jest inaczej? Nie słyszał przecież tej rozmowy, którą ty podsłuchiłaś w Krynicy.

- I nie dziwi sierżanta, że facet tu przyjechał?

- Może dziwić, ale co ma zrobić? Zakazać mu wstępu do miasta? A na pilnowanie go na pewno ma za mało ludzi - przypomniałam, ilu ludzi ma do dyspozycji Korczyński. - Coraz bardziej jestem skłonna przyznać, że powinniśmy z nim porozmawiać. - Skrzywiłam się, jakby mnie ząb zabolął. - Ale wolałabym najpierw z Minkowskim, a potem z sierżantem. Bo odwrotnie to może się okazać, że sierżant zakaże facetowi rozmowy z nami i będziemy ciemne jak tabaka w rogu. Cała nadzieja w tych maślakach, że znajdą samochód i od razu dadzą nam znać.

- Jak znam życie, to będzie to wtedy, kiedy przyjadą nasi faceci.

- Odpukaj w niemalowane. Ale jutro rano lub w niedzielę po osiemnastej mogłoby być.

W oczyszczaniu grzybów miałam wprawę, nawet maślaki nie były mi straszne i chociaż zdecydowanie wolałabym na ich miejscu prawdziwki, skończyłam wcześniej niż Julia przebieranie jagód. Zniknęłam w pokoju i nastawiłam nową porcję zalewy, zastanawiając się jednocześnie, gdzie rozpiąć jakiś sznurek do suszenia. Spytana o to gromkim głosem Julia o mało nie usmarowała sobie czoła jagodami, bo gest popukania palcem w czoło powstrzymała naprawdę w ostatniej chwili. Miałyśmy ze sobą suszarkę, która grzecznie stała w kartonie, pod stołem. Nie rzucała się w oczy, więc zdążyłam o niej zapomnieć. Pokroiłam grzyby przeznaczone na suszenie i wyniosłam suszarkę na balkon. Na szczęście był tam kontakt. Z doświadczenia wiedziałam, że zapach suszonych grzybów będzie tak intensywny, że w pomieszczeniu zamkniętym trudno byłoby wytrzymać. Nie mówiąc o tym, że suszarka trochę szumi.

- Już kończę - zaraportowała Julia. - Nalewkę też będziemy mogły zaraz zrobić.

Prace gospodarcze pochłonęły nas tak bardzo, że śledztwo na chwilę poszło w odstawkę. Nalewkę z jagód robiłyśmy po raz pierwszy, więc polegałyśmy na znalezionym w sieci przepisie, ale

zaczęłyśmy rozważać dodanie do niej czegoś jeszcze. Liście drzewa owocowego? Laska wanilii? Bo goździki to raczej nie, jakoś nie kojarzyły nam się z jagodami.

- Przestań już wymyślać, bo zaraz dojdziemy do tego, że najlepiej dodać tam bitą śmietanę!

- A właśnie, zaraz jak skończymy, to pożremy sobie resztkę jagód.

- Resztkę! Ala, tego jest kilogram! Pękniemy i utyjemy.

- E tam, od owoców?

- Ze śmietaną!

- Możemy potem pójść na spacer.

Ustawiliśmy słoiczki z marynowanymi kurkami i maślakami koło tych zrobionych wcześniej i spojrzaliśmy na siebie z zadowoleniem. Było ich już dwanaście. Może nie jakiś specjalny szal, ale też nie totalna nędza. Co prawda nie było tam ani podgrzybków, ani prawdziwków, ale i tak cieszyły.

Z głębokimi talerzami wypełnionymi jagodami ze śmietaną i cukrem rozsiadłyśmy się wygodnie na balkonie. Zdecydowanie należała nam się chwila wytchnienia. Najpierw ustaliłyśmy, co i ile powiemy Rafałowi i Dawidowi, bo jakoś do tej pory nie zdążyłyśmy tego zrobić, a na pewno od razu zapytają o tego ostatniego trupa, a potem zaplanowałyśmy, co będziemy robili w czwórkę. Julka najchętniej zamieszkałaby w lesie w nadziei na kolejne grzyby.

- W ogóle to te nasze przetwory dają nam trochę alibi - zauważyłam. - Proszę bardzo, nie łażymy po lesie w poszukiwaniu zwłok, a grzybów. Dowód jak byk.

- Zamówimy u tych chłopaków jagody na jutro? Ze dwa litry do pożarcia?

- Pewnie. Szkoda by było z okazji nie skorzystać. Zastanawiam się, jak to zrobić, żeby być przy rozwiązaniu całej tej sprawy - zmieniłam nagle temat.

- Odbiło ci? Znowu chcesz wyręczać policję?

- Nie. Chcę tylko wiedzieć, czym to się wszystko skończy i o co chodziło. CO było warte popełnienia dwóch morderstw? A jak nie będziemy w odpowiednim miejscu o odpowiednim czasie, to policja się wypnie i nic nam potem nie powie. Co innego, jeżeli będziemy naocznymi świadkami.

- Nic nie jest warte dwóch morderstw.

- Dla ciebie, dla mnie, dla większości ludzi. Dla mordercy jednak jest coś tak ważnego. Nie mamy dowodów, tylko przypuszczenia, ale uważam, że zabójca jest jeden i morduje z konkretnej przyczyny.

- Chce znaleźć coś, co ma wartość materialną?

- Tak bym obstawiała, nie można jednak przecież wykluczyć, że morderca zabił ze strachu, że się coś wyda.

- Ale przez to też mógłby ponieść konkretną stratę.

Temat tak nas wciągnął, że rozważania przeciągnęły się aż do przyjścia naszych wieczornych małych gości. Pikający w komórce alarm oderwał nas od dyskusji. Zabrałyśmy przygotowane wcześniej smakołyki, czyli chipsy, jakąś czekoladę, mieszankę studencką i pepsi i zeszliśmy do altanki na dole. Widząc nasze kulinarne przygotowania, pani Zosia doniosła talerzyki, szklanki i ciasto. Byłyśmy w pełni przygotowane do rozmowy.

Adam i Karol przyszli punktualnie. Byli bardzo ciekawi, czego też możemy od nich chcieć. Chipsami poczęstowali się chętnie, colą też i starszy od razu nas oświecił.

- A tego włamywacza to już nie ma co szukać. Bo on się znalazł, ale martwy.

- Skąd wiesz?

- Wszyscy wiedzą. Tu się wieści od razu roznoszą, a taka informacja o znalezieniu zwłok to tym bardziej - wyjaśnił młodszy, Karol. - Od razu wszyscy się zastanawiają, kto to jest i dlaczego go ktoś zatłukł.

- A skąd wiecie, kto to?

- Bo sierżant był u naszych starych pogadać i słyszeliśmy, jak mówił, że z włamaniami teraz będzie spokój, ale za to musi szukać mordercy. - No proszę, potwierdziły się nasze przypuszczenia. - Ciekawe, kto go znalazł. Szkoda, że nie my.

Przypuszczam, że gdybyśmy powiedziały, że to my, to awansowałybyśmy znacznie w hierarchii społecznej chłopców. Miałyby to swoje dobre strony, ale niekoniecznie chcieliśmy się dzielić z braćmi tą informacją, poza tym Korczyński pewnie by nam nie darował opowiadania o znalezieniu zwłok i o tym, jak one wyglądały. A jak jeszcze do tego dodałybyśmy nasze przemyślenia, to pewnie długo musiałybyśmy się tłumaczyć.

- Mamy do was prośbę, to się wiąże w sumie z tymi włamaniami. Szukamy takiego jednego faceta, który może coś o nich wiedzieć, ale dowiedziałyśmy się tylko, że jeździ białym citroenem C5, najprawdopodobniej na elbląskich tablicach. Chcemy z nim pogadać, bo niezależnie od tego, czy włamywacz żyje, czy nie, bardzo nas intryguje to, dlaczego w ogóle się włamywał.

- Mielibyśmy poszukać tego samochodu?

- Tak, ale nie sami. Myśmy same próbowały i to jest robota głupiego. Facet jeździ po okolicy, trudno na niego trafić. Kilka dni temu był w Jędrychowie i we Fromborku.

- A we Fromborku również dzisiaj - uzupełniła Julia.

- Musiałoby na ten samochód zwracać uwagę więcej osób - zauważył Adam. - W różnych miejscach.

- Właśnie. A wy macie kolegów mieszkających w okolicy, więc przyszło mi na myśl, że moglibyście ich poprosić, żeby obserwowali okolicę. W rewanżu powiemy wam, o co tym wszystkim chodziło, bo pewnie też was to interesuje - oczywiście nie zamierzałam mówić im WSZYSTKIEGO, ale będą zadowoleni i z części informacji.

- Pewnie, że tak. - Karol zamyślił się na chwilę. - Ale on może odjechać, zanim wy przyjedziecie.

- Może, nic na to nie poradzimy. I lepiej, żebyście wy i wasi koledzy go nie pytali.

- Jest niebezpieczny? - Adamowi na tę cudowną myśl zabłyśły oczy.

- Nie, to nie o to chodzi - ostudziłam jego emocje. - Po prostu was może zlekceważyć. Z dorosłymi prędzej zgodzi się porozmawiać.

- Fakt - niechętnie zgodził się Karol. - Muszą nam panie dać jakiś telefon do siebie.

- Oczywiście, pisz i puść mi strzałkę, to od razu sobie też zapiszę.

Ustaliłyśmy jeszcze z chłopcami, że ich znajomi będą przekazywali im wiadomości, a oni nam. Nie potrzebowałam, żeby cała okoliczna dzieciarnia do mnie wydzwaniała. Bracia rano znowu wybierali się na jagody, więc od razu zamówiłyśmy dwa litry. Tak jak poprzednio mieli je zostawić u pani Zosi.

Poszli, a my sprzątnęłyśmy ze stolika w altance i zgodnie z planem, niczym przykładne kuracjuszki w jakimś sanatorium, poszłyśmy na wieczorny spacer. Nie miałyśmy szansy na przechadzkę rekreacyjno-śledczą, bo trasa wiodła przez wieś i kawałek przyległymi polami, więc nie rozglądałyśmy się czujnie w poszukiwaniu czegokolwiek, tylko szłyśmy dosyć szybkim krokiem, stawiając na ruch, a nie na zdobycie informacji.

- Co planujemy przed przyjazdem chłopaków? - spytała Julia, leżąc już w łóżku.

Fakt, przeważnie miałyśmy zaplanowany kolejny dzień, a czasem nawet dwa dni do przodu. Teraz nam się przestój zrobił przez to, że nie miałyśmy pomysłu, jak dopaść Minkowskiego. Jak również na to, jak w inny sposób znaleźć wyjaśnienie tego wszystkiego, co się tu dzieje.

- Nie wiem...

- Bo ja sobie tak pomyślałam...

- Żeby ci tylko ten wysiłek przed snem nie zaszkodził.

- ...że ten włamywacz mógł mieć w okolicy rodzinę. Ta rodzina

nie musiała wiedzieć, że on tu przyjeżdża tak często, bo przecież spał w tym starym ośrodku.

- I co z tego? - Na granicy snu mój mózg działał zdecydowanie wolniej.

- Mamy nazwisko tego faceta, mogłybyśmy popytać. Ta rodzina tutaj może nazywać się inaczej, więc nie wszyscy to skojarzą. Ale jeżeli trafimy do odpowiednich ludzi, to może coś nam o tym ostatnim nieboszczyku powiedzą.

To był całkiem dobry pomysł. Postanowiłyśmy złożyć krótkie wizyty wszystkim wcześniej przez nas odwiedzanym tubylcom i podpytać, czy nie znają Łukasza Nojmana. Oczywiście mogłyśmy także spróbować zasięgnąć języka u tych, których jeszcze nie wypytywałyśmy, ale jakoś wydawało nam się, że już poznani ludzie chętniej z nami porozmawiają. Byłyśmy pewne, że sierżant na pewno już dawno wpadł na pomysł, żeby to sprawdzić, i miał do dyspozycji lepsze narzędzia niż rozmowy z wieloma osobami i mógł to zrobić tak, że nikt o tym nie wiedział, a jego pytania nikogo nie zaalarmowały, ale o wynikach tych rozmów na pewno nie chciałby z nami rozmawiać.

- Nie nabruździmy mu? - Julka poczuła lekki niepokój.

- Chyba nie. Co innego, gdy pyta policja, a co innego, jak my pogadamy z ludźmi. Nas pewnie zlekceważą, chociaż na pytania raczej odpowiedzą - uspokoiłam ją i przewróciłam się na drugi bok.

O dziesiątej rano byłyśmy już u sąsiadów pani Zosi, tych, którzy zostali okradzeni zaraz po naszym przyjeździe. Ponieważ znaleźliśmy się już i wiedzieli, że interesują nas włamania, pytanie, czy w rodzinie nie mają Nojmanów, nie zostało potraktowane jako wścibstwo. Niestety, nikogo takiego nie znali. Co prawda dopuszczali, że jakaś kobieta z dalszej rodziny wyszła za Nojmana, a oni tego nie pamiętają, ale wydawało nam się, że jeżeli mamy rację i to złodziej jest rodziną kogoś, kto tu mieszka, to ten związek powinien być bliższy. Podziękowałyśmy, obiecałyśmy powiedzieć, czy udało nam się dotrzeć do krewnych włamywacza, i pojechałyśmy dalej.

W południe byłyśmy po kolejnych kilku rozmowach, ale nadal nie znalazłyśmy rodziny naszego nieboszczyka. Może idziemy złym tropem? Może się mylimy?

- Nie! - odpowiedziałam głośno swoim myślom, wprawiając Julię w zdziwienie. - Facet musiał się orientować w terenie i musiał mieć skądś tę wiedzę. Najłatwiej jest wypytać znajomych lub rodzinę. Jeżeli na dodatek od czasu do czasu przyjeżdżał tu tak po prostu, bez złych zamiarów, to z różnych, dobrze przeprowadzonych rozmów powinien dowiedzieć się przydatnych rzeczy, poznać

zwyczaje swoich przyszlých ofiar lub nawet rozkład domów.

- Nie rozmawiałyśmy jeszcze ze wszystkimi - pocieszyła mnie Julia. - Gdzie teraz?

- Do Chruścińskich, tych od świecznika.

W domu zastaliśmy tylko kobietę, ale jak się okazało, to zupełnie wystarczyło. Na pytanie o nazwisko zaraz się ożywiła i oznajmiła, że kuzynka jej babci wyszła za Nojmana i wyprowadziła się ze wsi. Ten Nojman nie był stąd, tylko gdzieś ze środkowej Polski i tam zamieszkali. Kontakt utrzymują do tej pory, ale tylko listowny.

- Bo wie pani, w tamtej rodzinie tak się porobiło, że żyją tylko dwie osoby, dwóch mężczyzn. Jeden mieszka w Polsce, a drugi w Nowej Zelandii. I to właśnie z nim mam kontakt.

Dopiero teraz zorientowałam się, jaką głupotę wykombinowałyśmy! Przecież wiedziałyśmy, gdzie mieszka nieboszczyk z ośrodka wypoczynkowego! A jednak wymyśliłyśmy, że przyjeżdża tu od czasu do czasu. Jasne, co drugi tydzień, z Nowej Zelandii! Już dokonałam wewnętrznej samokrytyki, ale nagle przyszło mi coś do głowy. Przecież ten facet nie musiał od dziecka mieszkać na drugim końcu świata. Mógł wyemigrować stosunkowo niedawno.

- A już będzie chyba z siedem lub osiem lat - odpowiedziała Chruścińska i niepytana ciągnęła dalej. - A szkoda, fajny był z niego dzieciak i fajny dorosły mężczyzna. Kiedyś często tu przyjeżdżał, nawet na całe wakacje kilka razy był.

- Znał tu wszystkich?

- Wszystkich to może nie, ale większość tak. Nawet w listach wypytywał, co słyhać u niektórych znajomych.

To by się zgadzało z naszymi wyobrażeniami o działalności włamywacza.

- Innej rodziny tu nie ma? Tylko was? - spytała nagle Julia.

- A co też pani! Ma! My mamy, to i on.

- Dużo?

- Tak. Wie pani, jakby policzyć krewnych i powinowatych, to będzie tego naprawdę sporo. Ludzie kiedyś mieli więcej dzieci, to i te powiązania międzyrodzinne były rozleglejsze. Młodzi nie wiedzą już takich rzeczy, ich wiedza sięga najczęściej do pokolenia dziadków.

Przeprosiłam na chwilę i pognałam do samochodu po nasz zeszyt śledczy. Otworzyłam go na chronologicznym spisie włamań i pokazałam kobiecie.

- Czy ktoś z tej listy należy do pani rodziny?

- Muszę się zastanowić.

Tą odpowiedzią Chruścińska wprawiła nas w osłupienie, szczególnie że przed chwilą opowiadała o rodzinie tak, iż byliśmy przekonani, że wszystkie koligacje ma w małym palcu.

- Część to rodzina, część powinowaci, część obcy.

- A może pani zaznaczyć, kto należy do której grupy?

Po paru minutach miałyśmy oznaczone wszystkie nazwiska. Przetarłam oczy ze zdumienia. Tylko pięć nazwisk zostało oznaczonych jako „obcy”, reszta była w jakiś sposób spokrewniona lub spowinowacana z Chruścińskimi. Czyżby tu należało szukać początku sprawy?

- Co pani wie o tej kuzynce babci?

- Była trochę młodsza od niej, wesoła i pełna pomysłów. I chyba lubiła niebezpieczeństwo - to już zostało dodane z pewnym wahaniem.

- Dlaczego pani tak uważa?

- Znam to tylko z opowieści. Podobno w czasie wojny narażała się na różne rzeczy, ale nie wiem, o co dokładnie chodziło. Z dzieciństwa pamiętam tylko, że jak do nas przyjeżdżała, to zaraz robił się ruch. Było jej wszędzie pełno. Wiekowo była między moją mamą a moją babcią, ale tryskała energią jak nastolatka. Lubiałam ją i bardzo żałowałam, gdy umarła.

- Zachorowała?

- A gdzie tam! Samochód ją potrącił. I jeszcze drań jeden uciekł z miejsca wypadku. A doktor podobno powiedział, że jakby trafiła szybko do szpitala, to może by ją uratowali. A ona leżała jakiś czas na ulicy, bo to w nocy było.

Ciekawe, czy nie była pierwszą ofiarą grasującego tu mordercy. Oczywiście równie dobrze mógł to być przypadkowy wypadek, ktoś jechał po pijaku i ze strachu, zamiast zatrzymać się i pomóc, uciekł.

- Dawno to było? - zaciekawiała się Julia.

- Dziesięć lat temu. Jeszcze przed wyjazdem Łukasza do Nowej Zelandii.

Czyli nie w jakiejś zamierzchłej przeszłości, ale całkiem niedawno. Zaraz, to ile ta kobieta miała lat? Taka długowieczna była?

- Ponad osiemdziesiąt, ale nadal sprawna umysłowo i fizycznie. Oczywiście nie tak jak kiedyś, ale radziła sobie nieźle - wyjaśniła Chruścińska.

- I taka starsza pani wędrowała gdzieś po nocy?

- Może to i dziwne, ale ja wiem gdzie. Ona koty dokarmiała i uważała, że najlepiej to robić w nocy. Mało ludzi i nikt ich nie płoszy.

To rzeczywiście wyjaśniałoby jej obecność w nocy na ulicy.

Policja na pewno zadała rodzinie kobiety te same pytania, a potem doszła do wniosku, że starsza pani padła ofiarą tragicznego wypadku spowodowanego przez nieostrożnego, a być może również pijanego kierowcę. Sprawcy śmiertelnego potrącenia nigdy nie znaleziono. Łączy się jedno z drugim czy nie?

Porozmawiałyśmy jeszcze chwilę o rodzinie Nojmanów i delikatnie wypytałyśmy o ich zamożność, ale nie dowiedziałam się niczego konkretnego. Z jednej strony Łukasz Nojman przyjeżdżał tu na całe wakacje, a nie jeździł z rodzicami na wczasy albo sam na kolonie lub obozy. Z drugiej strony nasza rozmówczyni pamiętała, że dosyć wcześnie mieli telewizor i w odwiedziny przyjeżdżali samochodem w czasach, gdy auta nie były tak powszechne jak dzisiaj.

Wyszłyśmy od Chruścińskich bogatsze o kolejny element układanki. Co dalej? Spojrzałam na zegar w samochodzie, było po pierwszej. Dalsze wypytywanie o włamywacza uznałyśmy za bezcelowe, już wiedziałyśmy, dlaczego tak dobrze orientował się w okolicy i nie chciał się nikomu pokazać. Co dalej? Do przyjazdu Rafała i Dawida miałyśmy jeszcze cztery godziny, bo mieli dotrzeć około piątej po południu. Już wcześniej zapowiedziałyśmy pani Zosi, że obiad będziemy jadły poza domem, więc mogłyśmy jechać od razu do Fromborka.

- Wiesz co? Ja bym posiedziała nad wodą - zdecydowała Julia. - Mamy pod nosem zalewę i w ogóle z tego nie korzystamy. Jest lato, ciepło, aż się prosi, żeby poleżeć nad wodą.

- Ja bym jeszcze raz poszła do tego ogródka koło starego szpitala.

- To możemy teraz się powylegiwać, a gdy przyjadą, to pójdziemy na obiad, a potem na spacer.

- Może być. Puścimy im SMS-a, gdzie nas mają szukać, jak już sobie znajdziemy odpowiednie miejsce.

Miejsce znalazłyśmy na plaży, która pamiętała lepsze czasy, a teraz była zdecydowanie zaniedbana. Rozłożyłyśmy koc i przebrałyśmy się w stroje kąpielowe, na wszelki wypadek wożone wszędzie. Podeszłam do wody i zanurzyłam palce. Zimna.

- Chcesz się tu kąpać? - spytała Julia niepewnie, co najmniej tak, jakbym chciała się wykąpać w akwarium z piraniami.

- Nie, za zimna. Poza tym, żeby popływać, trzeba wyjść prawie na środek zalewu, a nie mam ochoty na spacer.

Nie byłam gołosłowna. W wodzie taplały się dzieci i mimo że znajdowały się już spory kawałek od brzegu, było widać, że jest tam w miarę płytko. Ciekawe, czy wiedzą, od którego miejsca robi się głębiej, i nie będzie to dla nich niespodzianką. Na szczęście na

brzegu siedzieli rodzice wpatrzeni w potomstwo.

Dawno nie miałyśmy tak leniwego kawałka dnia. Wygrzewałyśmy się na słońcu i czytałyśmy. Obie lubimy robić to na plaży, niezbędne są tylko okulary przeciwsłoneczne. Po jakimś czasie przeniosłyśmy koc w półcień, bo nie chciałyśmy wieczorem przypominać raków. I dalej leniuchowałyśmy.

Rafał i Dawid przyjechali zgodnie z planem i chyba byli zaskoczeni naszym widokiem. Przypuszczam, że podejrzewali, że na plażę dotrzemy chwilę przed nimi, po dniu spędzonym na tropieniu mordercy. A tu taka niespodzianka.

- Trochę się przypiekłyście - zauważył Rafał.

- Zaraz zejdzcie. Miałyśmy krem z filtrem i w połowie plażowania przeniosłyśmy się w cień.

- Spodziewałyście się spotkać na plaży jakiegoś świadka czy wyłować kolejne zwłoki? - nie mógł sobie darować Dawid.

- Ha, ha, ha, bardzo śmieszne - prychnęła Julia. - Czytałyśmy, czasem nam się zdarza.

- Poza tym przecież wiesz, że topielcy napawają nas obrzydzeniem - przypomniałam wydarzenia z zeszłego roku. - Wolę nie wiedzieć, jak wygląda ciało po kilku dniach w wodzie przy tej temperaturze.

- Niby ci wierzę, ale z trudem, bo już nic mnie nie zaskoczy, jeżeli chodzi o wasze wyczyny.

- Idziemy coś zjeść? - Julia na wszelki wypadek zmieniła temat.

- Koniecznie, nie jedliśmy obiadu.

- To tak jak my.

Podczas posiłku i spaceru wszyscy unikali tematu śledztwa. My wolałyśmy same nie wywoływać lawiny pytań, a nasi faceci najwyraźniej taką przyjęli taktykę. Najpierw przyjemne popołudnie, żeby nie było, że przyjechali po to, aby się czepiać natychmiast, gdy nas zobaczą, a potem drążenie tematu. Wiedziałam, że ciekawość ich zżera, bo sama tak czułabym się na ich miejscu. Wytrzymali do wieczornego piwa.

- To teraz tak bez ściemniania, po co poszłyście do tego ośrodka? - W głosie Rafała brzmiała autentyczna ciekawość.

- Bo przyszło nam do głowy, że gdzieś ten włamywacz musi spać po włamaniu. Bez samochodu trudno stąd wyjechać w środku nocy, a z kolei samochód łatwo poznać. I zamiast miejsca po nocowaniu znalazłyśmy zwłoki - wyjaśniłam w skrócie.

- Korczyński wie? - docisnął Dawid.

- Przecież go wezwwałyśmy. A co? Myślałaś, że ukryjemy zwłoki?

Podgórski przewrócił oczami, co miało być komentarzem do mojej sugestii, spojrzał na Rafała i przekazał mu zupełnie czytelny

komunikat: „widzisz, jak to z nimi jest” i sprecyzował.

- Wie, dlaczego tam poszłyście?

- Wie. Tego nieboszczyka znalazłyśmy wieczorem i na dodatek w środku budynku, więc trudno byłoby mu wmówić, że poszłyśmy tam na grzyby.

- Nie przyszło wam do głowy...

- Nie przyszło. Włamywacz nikogo nie skrzywdził, nawet szkód nie narobił w tych domach, do których się włamywał. Najwyraźniej po prostu czegoś szukał, a te idiotyczne kradzieże to taki kamuflaż. W jego działaniu nie widać agresji. Chciałyśmy sprawdzić, czy mamy rację, czy rzeczywiście tam nocował, a jakbyśmy go spotkały, to może by się dało z nim pogadać. To znaczy, my wiemy, że nie przyznałby się do włamań, bo przecież mogliśmy to nagrać albo co. Ale mógł powiedzieć coś, co by nam pomogło w rozwiązaniu zagadki.

- O ile nie uciekłyby na nasz widok. Poza tym nie musiało go tam być. To był taki dosyć daleki strzał - uzupełniła Julia, bagatelizując nasze poczynania.

- Powinnyście zostać snajperami, bo wasze strzały są bardzo precyzyjne.

- Jakbym cię nie znała, to powiedziałabym, że zazdrościsz - nie udało mi się ugryźć w język.

Sierżant Podgórski cierpiał i miotały nim rozmaite uczucia. Gliniarz walczył w nim z osobistym facetem Julki, ale w sumie obie te postacie cel miały taki sam. Doprowadzić do tego, żebyśmy się trzymały z daleka od kłopotów. Dyskusja na ten temat rozgorzała po raz kolejny, ale Dawid wypowiadał się ostrożniej, raz po raz popatrując na Julię i sprawdzając jej reakcje. Najwyraźniej pamiętał, że tydzień temu nadmierna ingerencja w jej życie śledcze nie skończyła się dobrze. Żal mi go w sumie było. Rafał też nie był zadowolony, że się ładuję w rozmaite potencjalnie niebezpieczne sytuacje, ale reagował spokojniej. Nie oznacza to, że Podgórski tupał i wrywał włosy z głosa. On po prostu koniecznie chciał nam udowodnić, że nie powinnyśmy się w to mieszać.

- Ja na twoim miejscu byłabym bardziej zainteresowana tym, co tam znalazłyśmy, niż kombinowaniem, jak nas ukrócić.

Owszem, tym nasze drugie połówki też były zainteresowane i to nawet bardzo. Reszta wieczoru upłynęła więc na omawianiu naszego ostatniego znaleziska i snuciu wynikających z tego wniosków. Tylko Dawid był jakoś dziwnie milczący i głównie słuchał. Nie dziwiłam się temu. Na pewno bał się, że wykorzystamy jego pomysły lub sugestie. A może nawet komentarze.

Umówiliśmy się, że mimo niedzieli wstaniemy dosyć wcześnie

i pójdziemy na grzyby, między innymi na to pole z samosiejkami, bo miałyśmy nadzieję na kolejną porcję maślaków. Wcześniej nie oznaczało jednak szóstej rano, tylko śniadanie o ósmej trzydzieści i jak najszybsze wyruszenie do lasu.

* * *

Pojechaliśmy samochodem, bo szkoda nam było czasu na dochodzenie do miejsc, w których spodziewaliśmy się grzybów, tym bardziej że były one rozrzucone po okolicy, a Dawid i Rafał musieli wyjechać koło piątej po południu, sierżant znowu miał dyżur. Jeszcze należał do „nowych” i starym zwyczajem przypadają mu najgorsze dyżury i terminy urlopów. Na maślakowisku, być może dlatego, że nie leżało przy szosie, a polnej drodze, najwyraźniej nie było grzybiarzy od naszego ostatniego pobytu. Julia z błyskiem pożądania w oczach wręcz rzuciła się pomiędzy iglaki, nie zważając na pajęczyny i wilgotną od porannej rosy trawę. Dawid z koszykiem w rękę poszedł w jej ślady. Stwierdziłam, że jak tak bardzo chcą się przeciskać pomiędzy drzewkami i czołgać pod nisko zwisającymi gałęziami, to my obejdziemy skupisko drzew naokoło. Z doświadczenia wiedziałam, że często w trawach na obrzeżu też coś rośnie. W sezonie w takich miejscach nieraz znajdowałam nawet prawdziwki.

Buszowaliśmy w tych iglakach ponad pół godziny z bardzo dobrym skutkiem. Królem tej części grzybobrania został Rafał, który znalazł prawdziwka. Niezbyt dużego, ale zawsze. Zachwyceni łupem przenieśliśmy się w inne miejsce. Nazbierane już grzyby ułożyliśmy starannie w bagażniku i na kolejną rundkę po lesie poszliśmy bez obciążenia.

Do domu wróciliśmy przed piętnastą, wypacerowani i zadowoleni z życia. Wziąwszy pod uwagę, że byliśmy w lesie prawie pięć godzin i zbieraliśmy grzyby w czwórkę, nie był to zbyt imponujący zbiór. Jednak my byliśmy usatysfakcjonowani.

- A kurki to wam chyba damy do zamrożenia - zaproponowała Julia. - Będzie można z nich potem zrobić zupę lub sos.

- Coś z nimi trzeba będzie zrobić oprócz wrzucenia do lodówki? - spytał z lekką obawą Rafał.

- Nic. Zaraz je obierzemy, a po przyjeździe do Gdańska wrzucicie je tylko w pojemniczkach lub woreczkach do zamrażarek.

Udało nam się obrać grzyby przed obiadem, co cztery ręce to nie dwie. Na popołudnie zostało nam przygotowanie ich do suszenia i zamarynowania wybranych okazów. Te zrobione Dawid i Rafał mieli zabrać do Gdańska, podobnie jak nastawioną nalewkę

jagodową. Załadowaliśmy te wszystkie słoiczki i słoje do samochodu Podgórskiego, zabezpieczyliśmy je jak się tylko dało i nasi faceci odjechali do Gdańska.

- W sumie, gdyby nie to nasze śledztwo, to wolałabym, żeby byli tu razem z nami - zauważyła Julia.

- Wnoszę z tego, że tym razem Dawid trochę odpuścił z tym niemieszaniem się w niebezpieczne sprawy?

- Wbrew sobie i z dużym wysiłkiem, ale tak.

- Teraz i tak mamy śledczy przestój, musimy koniecznie pogadać z Minkowskim - przypomniałam, nie wiadomo po co, bo Julia znakomicie zdawała sobie z tego sprawę.

- Myślisz, że będzie chciał z nami rozmawiać?

- Biorąc pod uwagę to, że znalazłyśmy zwłoki jego brata, powinien.

- Jest tylko jeden problem. Musimy go jakoś namierzyć.

- Liczę na małolatów. Tych naszych intryguje zarówno włamywacz, jak i to, że my się tym interesujemy, więc mam nadzieję, że ta mieszanka skłoni ich do aktywności i włączenia w to kumpli.

- Trochę martwi mnie to, że na razie nie mamy od nich żadnego sygnału - zauważyła Julia, robiąc następną zalewę na marynowane grzyby.

- A co mają nam mówić? Że na razie go nie znaleźli? Przynajmniej głowy nam nie zwracają. Poza tym przy Dawidzie i Rafale i tak nie mogłybyśmy pojechać od razu na miejsce, gdzie znajdują samochód - przypomniałam i sięgnęłam po nóż, żeby pokroić grzyby przeznaczone do suszenia.

- Racja. Ale czas nam ucieka, wolałbym, żeby samochód znalazł się w miarę szybko.

- Jutro możemy go znowu poszukać - zaproponowałam.

- Możemy. Zastanawiam się, co on robi, ten żywy Minkowski.

- Kontynuuje to, co robił nasz trup spod obserwatorium.

- Ale co dokładnie?

- Gada z ludźmi?

- I nikt o tym nie plotkuje?

- No jak to nie? Parę osób już nam doniosło, że nieboszczyk zmartwychwstał i łązi po okolicy - przypomniała Julia.

- Ludzie we Fromborku o tym mówili. A przecież włamywacz czegoś szukał w okolicy, a nie w samym mieście. Według mnie powinni go widzieć okoliczni mieszkańcy.

- Dlaczego?

To pytanie mnie zaskoczyło. No jak to, dlaczego? Jeżeli szuka czegoś jawnie, to na pewno z kimś rozmawia, tak jak jego brat

najprawdopodobniej. Nie staje się przecież niewidzialny. Rozmawialiśmy wczoraj z kilkoma rodzinami „odwiedzanymi” przez włamywacza i nikt nie wspomniał o wizycie nieboszczyka spod obserwatorium.

- Może u nich nie był? Przecież nie odwiedziliśmy wszystkich ani za pierwszym razem, ani teraz.

- Tym bardziej teraz, odpuściłyśmy, gdy dowiedziałyśmy o koligacjach rodzinnych Łukasza Nojmana. Może to był błąd?

- A tam błąd. - Julia przerwała zalewanie grzybów w słoiczkach.

- Po cholere miałyśmy łązić po ludziach, gdy już dowiedziałyśmy się tego, co nas interesowało? Zdecydowanie bardziej wolałam poleżeć nad wodą. Zresztą może on wie więcej niż my...

- O to się mogę założyć, przecież jego brat pracował nad tą sprawą jakiś czas i na pewno wymieniał się z nim informacjami, a zleceniodawca musiał mu powiedzieć trochę na ten temat.

- No właśnie. Tak więc ten ocalały Minkowski może wiedzieć, z kim teraz powinien porozmawiać, a to nie muszą być osoby z naszej listy. Może istnieje jeszcze ktoś, do kogo włamywacz się nie włamał, a jest związany w jakiś sposób ze sprawą.

Miała rację, trudno zaprzeczyć. Mogłyśmy, owszem, pokusić się o wytypowanie takich ludzi, ale wymagało to kolejnych rozmów. Najlepiej ze wszystkimi okolicznymi mieszkańcami, co było nierealne. Mogłyśmy natomiast zastanowić się nad tymi osobami, które figurowały na naszej liście. O wszystkich coś tam wiedziałyśmy, łącznie z tym, czy byli spokrewnieni z Nojmanem.

Skończyłyśmy prace gospodarcze i wyszłyśmy poodpoczywać na balkonie. Z suszarki dolatywała woń grzybów, ale na zewnątrz nie była zbyt intensywna, lecz przyjemna. Wpatrywałam się przez chwilę w listę ofiar włamywacza i do głowy przyszedł mi tylko jeden wniosek. Nic nowego, tylko potwierdzenie poprzednich naszych ustaleń, ale podbudowane informacjami na temat koligacji rodzinnych Nojmanów i Chruścińskich. Wilińscy byli jedynymi, do których włamywacz nie zawitał po raz drugi. Oczywiście przy założeniu, że na naszej liście są na pewno wszyscy jego krewni i powinowaci i że ludzie mówili prawdę.

- Nie chcę cię martwić, ale jedyną rzeczą, jaką możemy zrobić, oprócz poszukiwania Minkowskiego, jest według mnie pilnowanie domu Wilińskich.

- Włamywacz nie żyje, tak tylko przypominam.

- Owszem, ale wydaje mi się, że tylko ten dom nie został porządnie przeszukany.

- Myślisz, że Minkowski się tam włamie? - W głosie Julii była sama wątpliwość.

- Tak, i to z różnych powodów.

Wyjaśniłam Julii, co mam na myśli. Opcje były dwie, ale bardzo do siebie podobne. Jedna zakładała, że Nojman i Minkowscy współpracowali ze sobą i w takim razie jedyny żyjący członek tej grupy powinien wiedzieć, co udało się osiągnąć pozostałej dwójce. Czyli jeżeli należało jeszcze przeszukać dom Wilińskich, to powinien to zrobić. W drugim przypadku brałam pod uwagę, że Nojman i Minkowscy nie byli partnerami, a konkurencją. Jednak wtedy detektywi również powinni zdawać sobie sprawę, że włamywacz nie zdążył spenetrować domu Wilińskich.

- Rozumiesz - tłumaczyłam Julii - jeżeli myśmy na to wpadły, to tym bardziej powinien o tym wiedzieć ktoś, kto zajmuje się tą sprawą od dawna.

- Owszem. I jeszcze ktoś powinien zdawać sobie z tego sprawę.

- Kto?

- Sierżant Korczyński. Węszył już przed znalezieniem przez nas pierwszego trupa, kto wie, jakie dokładnie udało mu się zebrać informacje, gdy udawał ducha. Załóż się, że wszystkiego nam nie powiedział.

Akurat tego byłam pewna, też mogłabym się założyć, że dla nas zostały przeznaczone tylko te mniej istotne informacje. Dziwne by było, gdyby było inaczej.

- To co? Czatujemy znowu?

- Niech ci będzie - Julia nie pałała entuzjazmem - ale nie dzisiaj. Dzisiaj się wyspimy.

- A on się w tym czasie włamie? - zaprotestowałam, chociaż też byłam śpiąca.

- Trzymajmy kciuki, żeby nie, i chodźmy spać. Ewentualnie jeszcze poczytam, ale niedługo.

Mając w perspektywie kilka nocnych zasadzek, bo przecież nikt nam nie mógł zagwarantować, że Minkowski włamie się do Wilińskich już jutro, poszłyśmy spać wyjątkowo wcześnie. Pięć godzin spaceru po lesie na pewno się do tego przyczyniło.

Telefon zadzwonił, gdy obie spałyśmy jeszcze martwym bykiem. Rany boskie, kto może do mnie dzwonić o wpół do ósmej rano? Nie otwierając oczu sięgnęłam po komórkę i wychrypiałam „hallo?”.

- Dzień dobry, mówi Karol. - Ta informacja rozbudziła mnie od razu. - Kumpel z Fromborka zadzwonił przed chwilą. Według niego ten samochód stoi pod jednym z hoteli.

Chłopak podał nazwę hotelu, poprosił, żeby mu powiedzieć, czy udało nam się dopaść Minkowskiego, i rozłączył się. Julka łypała na mnie z łóżka jednym okiem, mając nadzieję, że zaraz będzie można pospać dalej.

- Nic z tego, zbieraj się, i to szybko. Zapomnij o śniadaniu i kawie, a może nawet myciu. Wiem, gdzie śpi Minkowski, jedziemy tam czym prędzej.

- Sadystka!

- Nie marudź, tylko wyłaź z wyra. Może się coś wyjaśni.

Pognałam do łazienki, a kot, który jak zwykle spał u nas, popatrzył na mnie z niesmakiem. Kto to widział tak się miotać i budzić smacznie śpiące zwierzątko?

Mycie i ubieranie zajęło nam dziesięć minut, co było absolutnym rekordem, wzięwszy pod uwagę, że do dyspozycji miałyśmy tylko jedną łazienkę. Żeby przyspieszyć cały proces, zęby myłyśmy nad zlewem w kuchni.

- Jasna dupa, zapomniałam się uczesać - warknęła Julia, wsiadając do samochodu.

- W schowku jest grzebień.

Ruszyłam prawie z piskiem opon, wzbijając kurz na podwórku naszych gospodarzy i powodując u Julki protest.

- Wolniej! Podskakujesz na każdym wyboju, jak mam się uczesać!

- Możesz się uczesać na miejscu.

- Wszyscy się będą na mnie gapili.

- Zgłupiałaś? Na hotelowym parkingu o ósmej rano?

W tym momencie zastanowiłam się, czy będziemy mogły wjechać na ten parking. Niekoniecznie, może być zarezerwowany tylko dla gości hotelowych. W takim przypadku najlepiej byłoby znaleźć jakąś ławeczkę albo chociaż w miarę wygodny murek z widokiem na samochód Minkowskiego. Miałam niestety rację, parking hotelowy był dla nas niedostępny. Julka wysiadła i została przy hotelu, żeby pilnować samochodu Minkowskiego, a ja pojechałam zaparkować gdzieś w pobliżu.

- Ciekawe, ile będziemy tu kwitły - odezwała się, gdy tylko wróciłam.

- Mam nadzieję, że niedługo. Ten murek nie wygląda na zbyt wygodny.

Moja przyjaciółka siedziała na nieco wyszczerbionym niskim kamiennym ogrodzeniu z niezbyt szczęśliwą miną. Zakomunikowała, że jest głodna i wypiłaby kawę. Zawahałam się. Teoretycznie mogłyśmy zjeść śniadanie w hotelu i tam poczekać na Minkowskiego, ale nie wiedziałyśmy, czy mężczyzna na pewno będzie jadł. Mógł przecież należeć do tej części społeczeństwa, która w nosie miała posiłki o tej porze. Wtedy mogłyśmy go przeoczyć, a druga okazja porozmawiania mogła nie trafić się tak szybko. Chociaż, jeżeli parkował pod tym hotelem, to pewnie w nim

mieszkał. I zapewne nie nocował tu tylko przez jedną noc.

- Chcesz, to idź coś zjeść - pozwoliłam łaskawie. - Ja wolę poczekać.

- Boszsz... niech ci już będzie, poczekam. - Julka jakoś nie reflektowała na śniadanie w samotności. - Ale jak padnę z niedożywienia, to z twojej winy.

- To ci nie grozi.

Posłała mi spojrzenie wygłodniałego goldena i wróciła do obserwacji parkingu. Nudne to było okropnie, nic się tam nie działo. Właściciele samochodów i ich rodziny chyba jeszcze spali, jedli śniadanie lub poszli gdzieś na piechotę. Tkwiłyśmy na murku, pogadując od czasu do czasu i nudziłyśmy się okropnie. Nic nie przykuwało naszej uwagi i nie urozmaicało obserwacji. Ile on będzie spał? Która to godzina? Piętnaście po dziewiątej? Cholera, a dałabym głowę, że już południe. Dobrze chociaż, że nie musiałyśmy stać, a murek znajdował się na słoneczku. Gorzej będzie za kilka godzin, usmażymy się tutaj.

- Jeśli nie wyjdzie do jedenastej, to pójde spytać, czy jest w środku - postanowiłam.

- Do jedenastej to tu będziesz miała moje wygłodniałe zwłoki - zagroziła Julia.

Też już zaczynałam myśleć o śniadaniu. Jak zwykle na wakacjach mój żołądek przyzwyczaił się do innego trybu karmienia niż w czasie roku szkolnego. Najwyraźniej teraz wyznawał zasady: „wstałaś, to zjedz” oraz „nie jadłaś trzy godziny, najwyższy czas na posiłek”. Nie wiem, jak to jest, ale on najwyraźniej wie, kiedy są wakacje i może sobie pozwolić na takie fanaberie. Od myśli o przewodzie pokarmowym oderwał mnie szturchaniec Julki.

- Ty, zobacz, jest!

Minkowski wyszedł właśnie z hotelu i rozglądał się dookoła. Cholera, jeszcze pójdzie na piechotę w drugą stronę i będziemy go gonili. Nie czekając, co zrobi, wstałam z murku i ruszyłam w jego stronę. Julia za mną.

- Dzień dobry!

Facet spojrział na mnie zaskoczony, ale odruchowo odpowiedział na powitanie i zastygł w oczekiwaniu na ciąg dalszy z papierosem w jednej, a zapalniczką w drugiej ręce. Wyglądał dokładnie tak, jak jego brat, różnił się tylko ubiorem. Tak jak poprzednio miał na sobie ciemne ciuchy.

- Pan Minkowski? - spytała Julia pro forma.

Mężczyzna wyglądał, jakby przemknęła mu myśl o zaprzeczeniu, więc szybko wkroczyłam do akcji.

- To myśmy znalazły pana brata.

Zmienił wyraz twarzy. O ile przedtem było widać zaskoczenie, teraz zacisnął szczęki, rysy mu stężały i usiłował wyglądać, jakby moje oświadczenie było mu obojętne albo dotyczyło zeszłorocznej pogody w Peru. Nie odezwał się, czekał na nasz ruch. Kurde, jak go uruchomić? Bo będziemy tak stali do jutra. I jeszcze, nie daj Boże, Korczyński nas zobaczy. Postanowiłam narazić się sierżantowi. Trudno, najwyżej mnie zabije.

- Poza tym wiemy, kto stoi za pojawianiem się w okolicy ducha.

- I tak się złożyło, że nie udało nam się porozmawiać z Nojmanem - dołożyła Julia, ale nie powiedziała, że znowu trafiłyśmy na nieboszczyka.

Faceta odblokowało, ale w kierunku, którego nie przewidziałyśmy. Nie, nie zaczął przed nami uciekać w popłochu, za to zadał pytanie.

- Kim panie są?

No i co mu odpowiedzieć? Wczasowiczkami trafiającymi zupełnym przypadkiem na zwłoki dwóch osób w odstępie kilku dni? Miłośniczkami zagadek wszelakich? Detektywkami amatorkami? Czymś pomiędzy?

- Pan się gdzieś śpieszy? - spytałam na pierwszy rzut oka bez związku z jego pytaniem.

- Nie tak bardzo.

- Może więc chodźmy na kawę, bo wyjaśnienia zajmą chwilę. Mogę panu odpowiedzieć w dwóch słowach: jesteśmy nauczycielkami. Ale to niczego nie wyjaśnia.

- A skąd pani wie, że ja chcę cokolwiek wyjaśnić?

- Być może ułatwiłoby to panu poszukiwania albo tylko uspokoiło w pewnych kwestiach.

- Być może tak. Ale ja nie wierzę w działanie charytatywne. Co chcecie w zamian? Kasę?

Zwariował? Wziął nas na wakacyjne naciągaczki, wręcz hieny żerujące na jego nieszczęściu? Najchętniej obraziłabym się i poszła sobie, zostawiając go przed hotelem. Niech się próbuje domyślić, o co nam chodziło i co mógłby zyskać. Było tylko jedno ale: my od niego też niczego się nie dowiemy. Szukałyśmy go tak długo, że nie mogłyśmy teraz odpuścić, mimo to Julka zrobiła minę obrażonej królowej i już była gotowa do odejścia bez słowa.

- Niech pan sobie w... - Ugryzłam się w język i nie dokończyłam. - W nosie mamy pańską kasę i inne takie. Trafiłyśmy na coś, czego nie rozumiemy, a nie lubimy takiego stanu, pewnie zboczenie zawodowe. Ale jak pan nie chce rozmawiać, to nie. - To ostatnie zdanie powiedziałam wbrew sobie.

Minkowski popatrzył na nas, potem na zegarek, zawahał się

i podjął decyzję.

- Macie panie pół godziny. Potem muszę jechać.

- Może wystarczy.

Weszliśmy do hotelu, ale nie do części restauracyjnej, tylko do holu, w którym stały fotele. Bał się, że naciągniemy go na kawę?

- No więc słucham - oznajmił tonem udzielającego audiencji.

Nie lubiłam go. No nic na to nie poradzę, może i nieźle wyglądał, ale był jakiś taki antypatyczny. Być może dlatego, że rozmowa miała dotyczyć i jego zmarłego brata, i sprawy, którą prowadził. Zaczęłam wątpić, czy nam coś powie, i postanowiłam jednak nie mówić o sierżancie w roli ducha. Nich sobie ten cały detektyw nie myśli, że my mu powiemy wszystko, a on nam nic. W telegraficznym skrócie opowiedziałyśmy mu o znalezieniu zwłok jego brata, zaznaczając, że wcześniej widziałyśmy go we Fromborku. Jeszcze mniej powiedziałyśmy mu o naszych poszukiwaniach, przyznałyśmy się do zaskoczenia, gdy zobaczyłyśmy go w Krynicy, wyraziłyśmy ogólne zaniepokojenie działaniem mordercy i spytałyśmy, czy bierze pod uwagę, że może być kolejny na jego liście.

- A co panie robiły w Krynicy?

- A co pana to obchodzi? - warknęła Julia, która robiła się zła, gdy była głodna.

- Chcecie się czegoś ode mnie dowiedzieć, więc...

- Na razie to pan się od nas czegoś dowiedział, a nie odwrotnie. I żeby nie było, dowiedział się pan tyle, żeby wiedzieć, że jesteśmy trochę zorientowane w temacie - zauważyłam i natychmiast poczułam satysfakcję, widząc wyraz twarzy Minkowskiego, który chyba był pewien, że powiedziałyśmy mu wszystko. - Ale niech panu będzie, mogę powiedzieć, co robiłyśmy na mierzei. Pojechałyśmy tam z naszymi facetami w celach absolutnie turystycznych. To, że siedział pan przy stoliku w kawiarni po drugiej stronie ulicy, to czysty przypadek. A było to już po tym, jak znalazłyśmy pana brata, więc przykuł pan naszą uwagę.

- We Fromborku byłem martwy, a tam się pojawiłem żywy?

- A to już słyszał pan plotki - stwierdziłam, ale ku mojemu zdziwieniu Minkowski najwyraźniej nie wiedział, o co chodzi. - A może i nie, bo ludzie panu tego nie powiedzą. Zaczynają krążyć plotki dotyczące tego, czy pana brat na pewno zginął, czy może jednak nie. To małe miasteczko, sierżant rozmawiał z ludźmi, pokazywał zdjęcie, mówił, że to ofiara morderstwa, a teraz pan się pojawił. Jasne, owszem, wszyscy wiedzą o bliźniakach, ale najwyraźniej pierwsze skojarzenie jest inne. I niech mnie pan nie pyta dlaczego.

- Dlaczego panie szukały mojego brata?

Nasza poprzednia wypowiedź była naprawdę krótka i nie zajmowałyśmy się wyjaśnianiem wszystkiego.

- Oszalał pan? - wzdrygnęła się Julia. - Myśli pan, że szukałyśmy zwłok?

- Nie, żywego.

- A tam. Poszłyśmy do obserwatorium, było zamknięte, mimo godzin otwarcia, więc postanowiłyśmy poczekać, spacerując po okolicy. Obie maniacko zbieramy grzyby, więc poszłyśmy do lasu. I trafiłyśmy na pańskiego brata.

- A skąd w ogóle wiecie, że coś się tu dzieje?

- Musiałybyśmy być ślepe i głuche, żeby się nie zorientować. Mieszkamy pod Fromborkiem - jakoś nie wydawało mi się konieczne powiedzenie gdzie - i słyszymy od ludzi rozmaite rzeczy.

- Słyszałyśmy jeszcze przed przyjazdem - dołożyła Julia, bo co to szkodziło. - Od znajomych. - Też nie wdawała się w szczegóły.

- O co w tym wszystkim chodzi? - spytałam bez owijania w bawełnę. - Pan zapewne to wie.

- Owszem, ale nie mogę tego powiedzieć. Obowiązuje mnie tajemnica, nie oczekujecie chyba, że opowiem o czymś, co mi powierzył klient - stwierdził Minkowski z kamienną twarzą. Spryciarz.

- Wie pan, nas tajemnica nie obowiązuje, ale też możemy panu nie powiedzieć o swoich przypuszczeniach.

Zamilkł na chwilę i rozważał tę patową sytuację. Pić mi się chciało jak diabli, ale bałam się, że jak zamówię cokolwiek, to facet się spłoszy.

- A co panie takiego wiedzą? - usiłował powiedzieć to drwiąco, ale nie bardzo mu wyszło. Był ciekaw, co wiemy.

- Nie ma tak dobrze. Doskonale zdajemy sobie sprawę, że po dowiedzeniu się od nas czegoś interesującego może się pan na nas wypiąć i podejrzewam, że właśnie tak chce pan zrobić. - Wyras twarzą Minkowskiego wystarczył mi za potwierdzenie. - Niech pan powie, o co tu chodzi, to powiemy panu coś, o czym być może pan jeszcze nie wie albo nie jest pan tego pewien.

- Jaką mam pewność, że po uzyskaniu ode mnie informacji po prostu nie odejdziecie?

- Serio? Jeżeli nam pan nie uwierzy, to żadnej, bo niby jak mamy to panu zagwarantować? Decyzja należy do pana.

Walczył ze sobą, to było widać. Doskonale zdawał sobie sprawę, że nie ma jak nas przekonać do powiedzenia tego czegoś, o czym wspominamy. Musiał uchylić choć rąbka tajemnicy, nie mając gwarancji, że nasze informacje są dla niego istotne.

- Klient zlecił nam odszukanie czegoś w tej okolicy - wydusił z siebie.

- Niech pan nie będzie śmieszny, że ktoś tu czegoś szuka, to już nawet okoliczne dzieci wiedzą - prychnęła Julia.

- Czego dotyczy to poszukiwanie? - docisnęłam.

- To sprawa rodzinna.

To już było coś, ale jeszcze mało. Jak go zapytać o coś więcej, żeby nie zasugerować odpowiedzi? Brakowało mi doświadczenia w prowadzeniu przesłuchań. Nie mając pomysłu, popatrzyłam tylko na faceta przynaglająco.

- Stara sprawa rodzinna - wycedził.

- Ile osób szuka tego czegoś?

- A niby skąd mam wiedzieć?

Kurczę, źle zapytałam, zbyt ogólnie.

- Czy pan pracował tylko z bratem, czy z kimś jeszcze?

Nie odpowiedział od razu, namyślał się. Czyli najprawdopodobniej był jeszcze ktoś. Łukasz Nojman.

- Mamy jeszcze jednego współpracownika, jeżeli można tak powiedzieć.

Czyli co? Jest jednocześnie zleceniodawcą? Bo inaczej byłby współpracownikiem, bez tego „można tak powiedzieć”.

- Łukasza Nojmana? - spytała Julia.

- Skąd panie... Skąd paniom przyszło do głowy, że w ogóle znam tego mężczyznę? - zdziwił się obłudnie Minkowski.

- Często się pan z nim widuje?

- Prowadzi pani regularne przesłuchanie - skrzywił się z niesmakiem.

- No więc już się pan z nim więcej nie spotka. - Julia straciła cierpliwość, być może dlatego, że z restauracji doleciały zapachy przyprawiające o ślinotok.

- Pomijając to, że go nie znam, to dlaczego miałbym się z nim nie spotkać?

- Bo nie żyje, od ładnych kilku dni. - Przestałam się bawić w subtelności. - Mówiłam panu, że chciałyśmy porozmawiać z włamywaczem? Okazało się, że Łukasz Nojman i osobnik włamujący się do okolicznych domów to jedna i ta sama osoba. Martwa i w nie najlepszym stanie.

- Mam rozumieć, że znalazły panie kolejnego nieboszczyka? - Minkowski był chyba oszołomiony.

- Owszem. A ponieważ, jak wynika z pańskich reakcji na pytanie o niego, współpracował pan z nim, to mordercy udało się już wyeliminować drugą osobę z konkurencji. I to jest to, co chciałyśmy panu powiedzieć.

- Lepiej niech pan uważa, bo może teraz pana kolej - dołożyła niemiłosiernie Julka.

- Te drugie zwłoki, o których przebąkują tubylcy, to Nojman?

- Chyba że jest jeszcze trzeci trup, o którym nie wiemy. - Julia podniosła się od stolika. - Jestem zaskoczona, że nie kontaktował się pan tak długo ze swoim zleceniodawcą. - Miała rację, Minkowski powinien się niepokoić brakiem kontaktu z Nojmanem, a na to nie wyglądało. Dziwne.

- To on kontaktował się z nami, takie były zasady. A właściwie z moim bratem.

- No to ma pan pecha. - Też się podniosłam.

- Panie gdzie idą? - Minkowski popatrzył na nas zaskoczony.

- Owszem, chyba że pan nam coś jeszcze powie. Na przykład dlaczego zginął pana brat? Na co takiego trafił?

- Chyba pani żartuje? Niby dlaczego miałbym wam to powiedzieć? Nie liczcie na to.

- Chciałby pan, żebyśmy zostały i powiedziały coś panu? Tak bez wzajemności? Nic z tego. Idziemy na śniadanie, bo nie zdążyliśmy rano zjeść. Poza tym chyba już minęło to pół godziny, a przecież był pan umówiony.

- Ale...

- Do widzenia. - Julia zdobyła się na uśmiech, ja też.

Zostawiłyśmy lekko oniemiałego faceta i gnane głodem poszłyśmy do restauracji hotelowej. Liczyłyśmy na ciekawszą rozmowę, ale co zrobić. Kelnerka przyjęła zamówienie, a my przystąpiłyśmy do podsumowania rozmowy.

- Nie podoba mi się ten facet, jakiś taki i drętwy, i obślizgły jest. Ciekawe, czy nasz trup miał podobne usposobienie.

- Bliźniacy, więc może tak być. Też mi się nie podobał - przyznałam. - Ale nie mógł nas we wszystko wtajemniczyć, jeżeli to jest zlecenie od kogoś.

- Nie mógł. Ale mógł się inaczej zachowywać. Odmawiać można w różny sposób, i to nie tylko o słowa chodzi - stwierdziła Julka i rzuciła się na jedzenie.

Nie pasował nam ten facet wyjątkowo, ale kto powiedział, że musimy wszystkich lubić? A oni nas? Uprzedziłyśmy go, że może być kolejną ofiarą na liście mordercy, i uzyskałyśmy pewność, że on i jego brat nie stanowili konkurencji dla Nojmana. Potwierdził też, że chodzi o jakąś sprawę rodzinną.

- Ufasz mu? - spytała Julka, przelykając kęs chleba.

- Zwariowałaś? Dlaczego niby miałyby mu ufać? Ufać to mogę Rafałowi albo tobie.

- Mógł skłamać co do tego, o co chodzi.

- Mógł. Ale akurat tu nie miał po co. Bo jaka to dla nas różnica, czego dotyczy prowadzona sprawa? I tak nie będziemy miały z tego korzyści, bo zdecydowanie nie potraktował nas jak konkurencji.

- Ale rodzinna brzmi mniej atrakcyjnie niż szukanie tych twoich ukochanych skarbów.

- Poranna głódówka ci zaszkodziła? - zatroskałam się. - Przecież niezależnie od tego, co Minkowski powiedział, doszliśmy do wniosku, że oni wszyscy szukają jakiejś informacji. To się zgadza ze sprawami rodzinnymi. I jeszcze jak dodasz, że Nojman ma tu krewniaków i to u nich czegoś szukał, a jego babcia została śmiertelnie potrącona, to wychodzi całkiem spójna historia.

- Ale czego mógł u nas szukać facet z Nowej Zelandii? Musiał mieć w perspektywie jakiś zysk. Nie wierzę, że przyjechał tu, żeby znaleźć zdjęcia praszczurów albo coś w tym rodzaju. Poza tym jeżeli był tu pół roku, to nie mógł być biedny.

- Chodzi ci o to, że zysk musiał mu się wydać godny zachodu?

- Tak. Poza tym musiał porzucić pracę na te kilka miesięcy, czyli musiał mieć jakieś zapasy finansowe.

- Niekoniecznie. Sporo jest zawodów, w których nie musisz siedzieć w firmie, żeby pracować. Przykładem może być choćby Rafał. Czasem idzie do pracy, czasem pracuje zdalnie. Nie wiemy, kim był z zawodu Nojman, może pracował na odległość? Mógł mu wystarczyć komputer i internet.

- Trochę więcej spodziewałam się po tym spotkaniu. - Julia nie kryła rozczarowania.

- Ja też, kto mógł przypuszczać, że on będzie taki niesympatyczny i nieużyteczny.

Jakoś przedtem nie przyszło nam na myśl, że prowadzący śledztwo na zlecenie klienta nie będzie skłonny podzielić się z nami swoją wiedzą na ten temat. Musiał być dyskretny, bo inaczej uciekliby od niego wszyscy klienci, nikt nie lubi, gdy na prawo i lewo rozpowiada się o jego problemach. Oprócz tego istniały jeszcze co najmniej dwa powody powściągliwości Minkowskiego. Nie pracował za darmo i być może był umówiony tak, że niezależnie od tego, co dostaje za poszukiwania, to w przypadku powodzenia czeka na niego dodatkowa kasa. Wolał, żebyśmy nie pozbawiły go tego zarobku, bo przecież było widać, że też usiłujemy zorientować się, o co chodzi. I mimo dużo mniejszej wiedzy o przedmiocie poszukiwań po prostu mogłyśmy mieć szczęście i trafić na to. Ostatnim powodem było to, że każdy mógł się przedstawić tak jak my: jesteśmy bardzo ciekawskimi nauczycielkami na wakacjach. W rzeczywistości mogłyśmy być policjantkami albo współpracownicami mordercy. Na miejscu Minkowskiego też bym była ostrożna

w wypowiedziach.

- Ale i tak go nie lubię - uparła się Julia.

- Nie lub, kto ci każe? A Dawid się nawet ucieszy, że ci się Minkowski nie podoba.

- E tam.

- Nie zauważyłaś? Minkowski jest przystojny i w twoim typie, a twój osobisty sierżant zawsze patrzy podejrzliwie na takich.

- No może - zgodziła się Julka z lekką satysfakcją i zmieniła temat. - Co robimy dzisiaj? Chyba nie mamy nic szczególnego w planach?

Mogłabym się założyć, że chce mnie na grzyby wyciągnąć. W sumie nie miałam nic przeciwko, ale chętnie połączyłabym to jakoś ze śledztwem. Tyle tylko, że czego miałybyśmy szukać w lesie? Może chociaż pojechać do Jędrychowa? Pochodzimy po okolicy w poszukiwaniu grzybów i przy okazji zorientujemy się w świetle dnia, czy nie ma tam jakichś śladów świadczących o obserwowaniu domu Wilińskich. Może znajdziemy też lepszą kryjówkę niż ostatnio? Albo po prostu drugą, żeby nie czatować co noc w tym samym miejscu. I jeszcze dobrze by było znaleźć ze dwa inne miejsca do parkowania, bo ktoś w końcu zwróci uwagę na nasz samochód. Julia nie miała nic przeciwko takiemu planowi dnia.

- A Korczyński? - przypomniała.

- Co Korczyński? Ani go na grzyby nie weźmiemy, ani prosić o pozwolenie na pilnowanie Wilczyńskich nie będziemy.

- Miałyśmy pogadać z nim po rozmowie z bratem naszego pierwszego trupa.

- W sumie to nieprecyzyjne.

- Które?

- O zwłokach. To nie jest nasz pierwszy nieboszczyk. Pierwszy był prawie trup w malinach - odwołałam się do zeszłorocznych wydarzeń.

- Prawie robi wielką różnicę - przypomniała Julia.

- Potem była ta utopiona kobieta - kontynuowałam wyliczanie. - Minkowski to drugi prawdziwy nasz nieboszczyk.

- Ale pierwszy w tym sezonie - uparła się Julka.

Pierwszy trup w sezonie, to prawie jak pierwszy prawdziwek lub pierwszy szczupak. Czyżby sezon wakacyjny stał się dla nas sezonem znajdowania zwłok? Co prawda to dopiero drugi taki rok, ale kto wie? Na nieboszczykach specjalnie nam nie zależało, ale zagadki kryminalne przyciągały nas, a szczególnie mnie, a wyglądało na to, że to komplet. Zagadka i trupy.

- Mogę zadzwonić do niego. - Zabrzmiało to prawie jakbym chciała zadzwonić do nieboszczyka, ale Julia nawet nie mrugnęła

okiem, bo była do mnie przyzwyczajona i wiedziała, że chodzi o sierżanta.

- Zaraz, a co mu chcieliśmy powiedzieć?

- O drugim Minkowskim, że też tu węszy, więc wie, co brat robił. I o tym, że przedtem był w Krynicy. I spytać, czy bierze pod uwagę, że morderca chce pozbyć się drugiego z braci.

- Aha.

Sierżant odebrał po kilku sygnałach, więc miałam nadzieję, że nie jest bardzo zajęty. Nie przypuszczałam, żeby siedział i się nudził, ale wierzyłam, że uda mu się znaleźć dla nas trochę czasu. Okazało się, że niestety nie. Czekał na przyjazd kogoś ważnego i ten ktoś powinien już właściwie być. Nie powiedział, kto to, mógł to być zarówno świadek, jak i szef, ale zaznaczył, że w związku z tym dzisiaj nie będzie mógł się z nami spotkać. Czyli raczej szef, świadek nie zająłby mu tyle czasu. Umówiliśmy się na jutro na jedenastą rano w porcie. Sierżant chciał wcześniej, ale miałyśmy w perspektywie nocne czatowanie, więc nie byłyśmy takie chętne do wstawania o świcie.

- Najadłaś się? To jedziemy - pogoniłam Julkę.

Miałyśmy na nogach sandały, obuwie raczej mało leśne, ale adidas podobnie jak koszyki na grzyby jeździły w samochodzie, więc nie musiałyśmy zajeżdżać na kwaterę. Grunt to być przygotowanym na różne okazje. Mimo że przyjeżdżałyśmy w dzień i nie powinnyśmy budzić sensacji, bo niby dlaczego, postanowiłyśmy zaparkować może nie w ukryciu, ale tak, żeby samochód nie rzucał się w oczy. Kto wie, kto i kiedy zobaczy go ponownie. Biorąc pod uwagę nasze plany, mogłyśmy się zatrzymać gdziekolwiek niedaleko lasów koło Jędrychowa. W sumie przecież wszystko jedno, którędy będziemy szły.

- Z mapy wychodzi, że drzewa podchodzą do domu Wilińskich tylko z jednej strony, a i to takim wąskim paskiem - przypomniała Julia. - Nie wiem, czy uda nam się znaleźć tam drugą odpowiednią kryjówkę.

- Zobaczymy. Może coś odpowiedniego znajdziemy niekoniecznie w lesie?

- Chcesz się ukryć na łące? Niby jak? Jamę sobie wygrzebać?

Julia popatrzyła na mnie tak, jakbym chciała wykopać tam okopy i postawić zasieki. Mój pomysł dotyczący schowania się bliżej domu miał inne źródło. Wynikł z tego, co zobaczyłam, gdy pilnowałyśmy domu Wilińskich. W ciemności coś majaczyło na łące niedaleko ogrodzenia. Gdybym miała koniecznie powiedzieć, co to jest, to obstawiłabym traktor. W jego cieniu spokojnie mogłybyśmy się ukryć. Byłybyśmy bliżej obserwowanego domu, a jednocześnie

widziałybyśmy, co się dzieje za naszymi plecami i mogłybyśmy zareagować, gdyby się tam ktoś pojawił. Musiałyśmy tylko zobaczyć, jak to naprawdę wygląda, a do tego potrzebne nam było światło dzienne. Głupio by było wleźć po ciemku w jakieś doły, pokrzywy, porzucone narzędzia gospodarcze albo jeszcze coś innego, czego nie potrafiłyśmy sobie nawet wyobrazić. Pomijając wszystko inne, narobiłybyśmy pewnie hałasu i diabli by wzięli nasze podchody i zaczajanie.

Tak naprawdę dookoła Jędrychowa było mało lasów. To znaczy były, ale w pewnym oddaleniu od wioski i tylko w jednym miejscu można było korzystać z osłony drzew, podchodząc do domów. Miałyśmy szczęście, że akurat tam mieszkali Wilińscy. A może to oni mieli pecha, bo i włamywaczowi, i Minkowskiemu, i mordercy łatwiej było podejść do ich domu? Gdyby mieszkali po drugiej stronie wsi, wszyscy, którzy z jakichś powodów obserwowaliby ten dom, musieliby chyba mieć czapki niewidki.

- Tu się zatrzymaj! - zażądała Julia na widok obiecującego lasu.
- Za daleko Jędrychowa.
- Ale wygląda na grzybny.
- Najpierw tam posprawdzamy, a wracając tu.
- Zobacz, i jest gdzie samochód zostawić.

Rzeczywiście, całkiem przyzwoita zatoczka kusiała. Gdybym wjechała w nią głębiej, pewnie po ciemku octavia nie rzucałaby się w oczy. Byłyśmy mniej więcej dwa kilometry przed Jędrychowem. Zjechałam na pobocze i zatrzymałam się.

- Nie lepiej było w tej zatoczce?
- Najwyżej tam wrócimy, muszę na mapę zerknąć.

Tak jak myślałam, tu las był większy niż koło Jędrychowa, ale musiałybyśmy iść w inną stronę niż do wsi, żeby z tego skorzystać. Szkoda.

- Zobacz - pokazałam Juli mapę - bez sensu tu zostawiać samochód.

Niechętnie przyznała mi rację i już bez przeszkód dotarliśmy do wsi. Prawie do wsi, bo zgodnie z planem nie chciałyśmy się tam pokazywać z samochodem. Odbiliśmy w stronę Baudy i zatrzymałyśmy się na skraju lasu.

- Słuchaj, a może byśmy poszły brzegiem? - zaproponowała Julia. - Może jakieś kanie by były?
- Nie wiem, czy nie będzie mokro...
- Przecież mamy kalosze w bagażniku - zauważyła przytomnie moja przyjaciółka.

Przebrałyśmy buty i ponownie zerknęłam, jak wygląda teren na mapach Google'a. Odcinek brzegu, który chciałyśmy przejść, nie

wszędzie był porośnięty lasem. Najwyżej tam odbijemy w las. Gotowa do grzybobrania Julia popatrywała na mnie niecierpliwie.

- Chyba nie boisz się, że zabłądzisz?

- Nie, ale wolałbym się nie władować w jakieś bagienko albo co. Ale tego niestety na mapie nie widać.

Pstryknęłam alarmem i poszłyśmy. Natychmiast po wejściu do lasu włączył nam się tryb zbieracza i czujnie wpatrywałyśmy się w ściółkę. Kurki pojawiły się pierwsze, a może po prostu najłatwiej było je wypatrzeć ze względu na kolor. Miałam rację co do przemoczenia butów nad rzeką, adidas byłybyśmy mokre na wylot. Zachwycona wilgocią Julia nie kryła nadziei na kanie, a ja po cichu się przyłączałam. Bałam się, że jeżeli nastawimy się na nie, to ich nie znajdziemy. Wolałam nie zapeszać, bo bardzo lubiłam te charakterystyczne grzyby na długich nogach.

Lasem podeszłyśmy do miejsca, z którego poprzednio obserwowałyśmy dom Wilińskich. Obejrzałyśmy naszą kryjówkę i stwierdziłyśmy, że całkiem dobrze trafiłyśmy tam po ciemku. No OK, prawie po ciemku.

- Nie sądzę, żebyśmy tu znalazły coś lepszego - Julia rozejrzała się dookoła - ale sprawdźmy.

Właściwie zgadzałam się z nią, bo ile dobrych kryjówek może być na tak niewielkim obszarze? Las podchodził pod wieś wąskim jęzorem i po prostu nie było fizycznej możliwości znalezienia tam dużej liczby miejsc do obserwacji. I to takich, żeby samemu pozostać niezauważonym. Wbrew pozorom znalazłyśmy jeszcze dwa takie miejsca. Zupełnie inne niż to nasze, ale w sumie całkiem niezłe. Za rosnącym na skraju drzewie spokojnie mógł się w ciemności schować człowiek, z tym że tylko jeden. Z drugiej strony były niezbyt wysokie krzaki i na upartego też można było się tam ukryć, nawet w kilka osób.

- Zobacz - pokazałam na stary traktor stojący niedaleko płotu Wilińskich.

- Myślisz, że zawsze tu stoi?

- Ślepa jesteś? Zobacz na koła.

Jedno było sflaczałe, a cały traktor wyglądał na porzucony. Udając, że absolutnie nie interesuje nas ten złom, przeszłyśmy koło niego, pilnie zwracając uwagę, co mamy pod nogami. Wyglądało na to, że po ciemku też powinnyśmy przejść tędy bez problemu. Tuż obok i częściowo pod traktorem leżały jakieś deski, na pierwszy rzut oka bez wystających gwoździ.

- Naoglądałaś się?

- Tak, a co?

- To spadamy, jeszcze ktoś się zainteresuje, po co tu łazimy -

pogoniła mnie Julia.

- Wyluzuj, widać przecież po co - wskazałam koszyki.

- I jak te durne usiłujemy zbierać grzyby pod płotem zamiast w lesie?

- Zaraz durne, przecież doskonale wiesz, że grzyby mają swoje fanaberie i rosną w rozmaitych miejscach. O, na przykład tu - pokazałam palcem miejsce koło koła traktora i wycięłam dwa maślaki. Zdrowe.

- Cholera, żebyśmy po ciemku ich nie podeptały!

Julia zapomniała o chęci natychmiastowego odwrotu i zajęła się przeszukiwaniem terenu. Prędzej naraziłaby się na podejrzenia, że chcemy ukraść tę kupę złomu w postaci traktora, niż pozwoliła na stratowanie grzybów. Znalazła jeszcze trzy niewielkie maślaki i ruszyłyśmy w drogę powrotną. Tym razem nie brzegiem Baudy, lecz najkrótszą trasą. Chciałyśmy jeszcze sprawdzić lasy, które minęłyśmy. Na obiad na pewno się spóźnimy, ale pani Zosia zdążyła się już przyzwyczać do naszych powrotów o rozmaitych porach.

Kiedy wróciłyśmy, spytała, gdzie chcemy zjeść i wybrałyśmy altankę, chcąc od razu wyczyścić tam grzyby. Postanowiłyśmy nic więcej z nimi nie robić, bo zbiory, odliczając kolacyjne kanie, były mizerne. Może jutro coś dozbieramy i zrobimy wszystko razem. Było przed siedemnastą, do wieczornych chat miałyśmy, lekko licząc, cztery godziny i zamierzałyśmy spędzić je w pozycji horyzontalnej, czytając, a może nawet podsypiając trochę. W każdym razie poleniuchować przed nocnymi trudami. No dobrze, trudami jak trudami, ale tkwieniem w jednej pozycji i to skulonej. Chociaż może da się na tych dechach tak sięść, żeby wyprostować nogi?

Samochód zostawiłyśmy tam, gdzie podczas poprzedniej nocnej obserwacji, wychodząc z założenia, że pojawianie się octavii tylko dwa razy i to nie pod rząd w tym samym miejscu nie powinno zwrócić niczyjej uwagi. Znaną nam już drogą przeszłyśmy najpierw polami, potem skrajem lasu i zatrzymałyśmy się na jego obrzeżach. Było już prawie ciemno, ale wzrok zdążył nam się przyzwyczać, księżyc świecił całkiem nieźle i nie poruszałyśmy się po omacku. Teraz musiałyśmy wyjść z dającego poczucie bezpieczeństwa cienia i przejść do traktora po odkrytej przestrzeni. Przez moment poczułam nieprzewartą potrzebę przeczołgania się do upatrzonego miejsca, bo a nuż ktoś już obserwuje dom Wilińskich i okolice. Powstrzymało mnie tylko to, że na trawie była wieczorna rosa i po takim szorowaniu brzuchami po trawie byłybyśmy całe mokre. Nawet biorąc pod uwagę, że było dosyć ciepło, to podczas siedzenia w bezruchu na pewno szybko byśmy zmarzły i nasze poszcękiwanie zębami rozlegałoby się w całej wsi.

- No? Co cię tak unieruchomiło?

- Zastanawiam się, czy nikt nas nie zobaczy.

- Jak dla mnie, to jest trochę za wcześnie na włamanie, ciemno się zrobiło, ale przecież życie nie zamiera z nastaniem zmroku. Nieważne, czy Minkowski, czy morderca, każdy z nich powinien poczekać jeszcze trochę. Czyli pewnie jeszcze ich tu nie ma - wysnuła wniosek Julia.

Niby racja. Dłuższe przebywanie na jakimś terenie to większa szansa na zauważenie przez kogoś przypadkowego, a w konsekwencji na pokrzyżowanie planów.

- Dobra, to biegiem.

Wystartowałam w chwili, gdy kończyłam mówić, Julka ruszyła za mną. Trudno jest biec po ciemku, po niezbyt równym terenie, ale udało nam się nie potknąć i nie narobić dodatkowego hałasu. Zdyszane, choć odcinek, który przebiegłyśmy, zdecydowanie nie należał do długich dystansów, przykucnęłyśmy w cieniu traktora. Czekaliśmy na jakikolwiek dźwięk, który mógłby świadczyć, że ktoś się nami zainteresował. Było cicho. Przeczekałyśmy jeszcze całą wieczność, to znaczy koło dziesięciu minut, i ostrożnie przeszłyśmy na drugą stronę traktora, tę od zabudowań. Po kolejnej chwili bezruchu wyciągnęłyśmy z plecaka koc, rozłożyłyśmy go na deskach i w miarę wygodnie zagnieździłyśmy się w naszej nowej kryjówce. Widok na dom Wilińskich był dobry i miałyśmy, być może złudne, wrażenie, że od tyłu nikt nam na plecy nie wejdzie. Teraz należało uzbroić się w cierpliwość i czekać. Wsłuchiwałyśmy się w wieczorne odgłosy i doszłyśmy do wniosku, że pierwotne wrażenie ciszy jest błędne. Z otwartych okien było słychać rozmowy mieszkańców, grające telewizory i muzykę. Dwóch lekko podpitych facetów kłóciło się o coś w pewnym oddaleniu, ale za to głośno. Nie tylko prawie krzyczeli do siebie, ale jeszcze czymś stukali i szurali. Szczekały psy. Przejechał samochód, a potem chyba motor. Żaby rechotały tak, jakby sobie urządziły zawody. Biorąc to wszystko pod uwagę, stwierdziłam, że mogę się odezwać najcichszym szeptem wprost do ucha Julki.

- Głupie jesteście, wiesz?

- I to nie od dzisiaj. Co zrobiłyśmy tym razem, oprócz tego, że pod rozwalonym traktorem czatujemy na mordercę w środku nocy?

- Zanim wyszłyśmy na otwartą przestrzeń, powinniśmy sprawdzić te kryjówki na skraju lasu. Gdyby ktoś tam był, to by nas zobaczył.

- A jakbyś sprawdzały, to by nas usłyszał - odszepnęła Julia.

- E tam, ostrożnie byśmy sprawdziły.

Zamilkłyśmy, szeptanie do ucha jest dosyć uciążliwą formą

rozmowy, poza tym odwracało naszą uwagę od obserwowania otoczenia. Nie patrzyłyśmy tylko na dom Wilińskich, interesowało nas też to, co dzieje się dookoła. Według nas najłatwiej było podkraść się do wsi od strony lasu, ale Minkowski lub morderca mógł mieć inny pomysł. Może po prostu któryś z nich podejździe drogą prowadzącą przez wieś? Albo polami od drugiej strony? Może to dojście dające największą możliwość ukrycia się wyda im się zbyt oczywiste? My brałyśmy pod uwagę, że mogą tu przyjść obaj, więc oni tym bardziej powinni o tym pomyśleć.

Rozprostowałam skrzyżowane nogi i delikatnie poruszyłam barkami. Julia popatrzyła na mnie z potępieniem, tak jakbym co najmniej kichnęła. Wzruszyłam ramionami i popukałam się palcem w czoło. W tym momencie kątem oka zobaczyłam, że coś się poruszyło po naszej lewej stronie. Zamarłam, wbijając Julce łokieć w zębra. Spojrzała w tym samym kierunku. Nie miałam zwidów, ktoś tam był. Niewidoczny i przyczajony w wysokiej trawie. Dzieliło nas jakieś dwadzieścia metrów i nie mogłyśmy zrobić nic oprócz zastygnięcia w bezruchu. Wpatrywałyśmy się w miejsce, gdzie się go spodziewałyśmy, ale dosyć wysokie trawy poruszyły się nagle znacznie bliżej nas. Czołga się cholernik. Dziesięć metrów to bardzo blisko. Ogarnęła nas panika. Jedną ręką sięgnęłam do kieszeni po scyzoryk, a drugą mocno zacisnęłam na latarce typu „maczuga”. Tylko taką bronią dysponowałyśmy. Trawy znowu poruszyły się, jeszcze trochę bliżej. W tym momencie przyszło mi do głowy, że ten ktoś nie ma pojęcia, że tu jesteśmy, tylko po prostu też sobie upatrzył to miejsce. Jeżeli tak, to bardzo się zdziwi. Jak zareaguje? To wszystko pomyślałam praktycznie w ciągu dwóch sekund. W tym czasie skradający się w naszą stronę przeciwnik, a może tylko przedstawiciel konkurencji, rozchylił trawy i spojrzał wprost na nas.

Kurwa. Ja kiedyś przez te koty zawału dostanę! Przyciągamy je czy co? Najpierw kot pani Zosi włamał się do nas w nocy przez okno, teraz następny uznał, że dobrze by było przyjść się pokolegować. W nocy, na dworze, do zupełnie obcych ludzi. Fluidy jakieś wydzielamy czy jak? A swoją drogą, gdyby pod mizerną osłoną trawy skradał się człowiek, to pewnie nie dałby się rady ukryć tak jak koty.

Za kotem, a właściwie kotką, przyszły jeszcze dwa podrośnięte kociaki. Czyżby matka wyprowadziła je na nocne polowanie? Z początku nieufne, po chwili pchały się pod dłonie. Były domowe, a nie dzikie. Żeby tylko miauczeć nie zaczęły, bo ktoś się może zainteresować, co znalazły pod starym traktorem. Po kilku minutach kocica zdecydowała, że dosyć tych czułości, i dała sygnał do dalszej wędrówki. Młode z pewnym ociąganiem poszły za nią.

- Lubię zwierzęta - wyszeptała Julia. - Ale przez chwilę miałam ochotę je udusić.

Koty na jakiś czas odwróciły naszą uwagę od tego, co się dzieje naokoło i teraz nie byłyśmy pewne, czy czegoś nie przeoczyłyśmy. Nadrabiałymy chwilowy brak czujności, przyglądając się uważnie okolicy. Tęsknie pomyślałam o noktowizorze i postanowiłam, że jeżeli nie będzie zbyt drogi, to go sobie kupię. Teraz byłby jak znalazł. Rafał się na pewno zdziwi i zaniepokoi, ale co tam. Może kupić dwa, pod pretekstem spacerów nocnych po lesie i obserwacji zwierząt? Czy to ma sens? Muszę poczytać na ten temat, bo jakoś mało wiedziałam o zastosowaniu noktowizorów w, powiedzmy, życiu codziennym.

Wyglądało na to, że nadal same obserwowaliśmy dom krewnych Nojmana. Było już wpół do jedenastej i dźwięki dobiegające ze wsi straciły na intensywności. Zrobiło się chłodniej i najchętniej poruszałabym się dla rozgrzewki. Miałyśmy jeszcze drugi cienki polarowy koc, ale bałyśmy się hałasować. Wypatrywanie tajemniczej postaci, która chciałaby się włamać do domu Wilińskich, i rozmyślania o ciepłej herbacie przerwał nam warkot samochodu, który zatrzymał się pod furtką obserwowanego domu. Nie widziałyśmy tej furtki, ale musiała być właśnie tam, poza tym słyszałyśmy, jak ktoś ją otwiera, a potem idzie przez podwórko. Potknął się o coś, zaklął i zadzwonił do drzwi. O tej porze? Kto to może być?

W domu zapaliły się światła, spóźniony gość został wpuszczony, a przez otwarte okno doleciały nas strzępki rozmowy, bo mówił bardzo głośno. To był jakiś znajomy gospodarzy, jechał z Bydgoszczy do Rosji i niedaleko zepsuł mu się samochód. W warsztacie zgodzili się popracować po godzinach i dopiero niedawno skończyli. Nie miał gdzie zanoć i dlatego tak niespodziewanie przyjechał. Jutro pojedzie dalej.

Czyli dzisiaj już nikt się do Wilińskich nie włamie, dodatkowa osoba w domu, tym bardziej mężczyzna, nie zachęcała do ryzyka. Mogłyśmy i my wrócić do domu. Julia poruszyła się tknięta tą samą myślą.

- Poczekaj, jeżeli ktoś oprócz nas tu był dzisiaj, to dajmy mu chwilę, żeby sobie poszedł. Bo wleziemy mu na plecy.

Nie wiedziałam, jak daleko było słychać rozmowę Wilińskich z gościem, ale już sam przyjazd o tej porze, długa rozmowa i zapalone w kilku pomieszczeniach światła mogły sugerować zostanie na noc. Uznałyśmy, że jeżeli poczekamy kwadrans, to będzie to w sam raz. Trochę jednak bałyśmy się, że jak wstaniemy, to będzie nas widać na tle oświetlonego domu.

- Pójdziemy na czworaka - zdecydowałam.

- Oszalałaś?

- No co? Najwyżej sobie portki i rękawy zamoczymy. Zaraz będziemy w domu i się przeberzemy, nie zdążymy zmarznąć po drodze.

Spakowałam koc, sprawdziłam, czy scyzoryk tkwi głęboko w kieszeni spodni. Musiałam coś jeszcze zrobić z latarką. Po krótkim namyśle włożyłam ją pod klapę plecaka. Nie powinna wypaść, a w razie potrzeby szybko ją stamtąd wyciągnę. Opierając się na dłoniach i kolanach, obesłam traktor i ruszyłam w stronę drzew. Miałam nadzieję, że nawet jeżeli ktoś nas zobaczy, to weźmie nas za psy lub dziki, tym bardziej że nasze sylwetki były zmienione przez niewielkie plecaki. Bez problemów dotarłam do upatrzonego drzewa, powoli wstałam i rozejrzałam się dookoła. Wyglądało na to, że jesteśmy tu same. Julia doszła chwilę po mnie.

- Chyba pobiłyśmy jakiś nasz rekord. Jeszcze nie chodziłyśmy na kolanach w nocy po mokrej trawie. Zimno mi.

- A powinno być gorąco z emocji. Nie jojcz, tylko chodź. Wracamy do domu.

Wyciągnęłam latarkę spod klapy plecaka, ale jej nie włączyłam, podobnie jak Julia. Światło byłoby widać z daleka, a szłyśmy już tędy czwarty raz, więc miałam nadzieję, że nie potkniemy się o nic. Niemniej jednak dobrze było mieć możliwość natychmiastowego oświetlenia terenu lub człowieka.

W miejscu, w którym odbijałyśmy, żeby przejść przez pola, nasz wzrok przykuło coś jasnego. Prawie dałabym sobie rękę uciąć, że przedtem tego tu nie było. Była to pusta paczka po papierosach, a zobaczyłyśmy ją tylko dlatego, że dobrze odznaczała się od podłoża. Ktoś tędy szedł niedawno czy wiatr ją przywiał?

- Jaki wiatr, oszalałaś? Nie wieje ani trochę - zaprotestowała Julia, wpatrując się w znalezisko, opakowanie po papierosach to nie trup, patrzyła bez obrzydzenia.

- I nie jest mokre. Nie ma bata, musiał je ktoś zgubić niedawno. Zabieramy.

Wyciągnęłam z kieszeni przygotowany na takie dowody rzeczowe woreczek śniadaniowy i ostrożnie włożyłam do niego opakowanie po papierosach. Nie był to idealny sposób zabezpieczania śladów, ale co zrobić.

Czując w pobliżu czyjaś obecność, prawie uciekłyśmy spod lasu. Od biegu powstrzymała nas tylko świadomość tego, że ciemności nie sprzyjają takim wyczynom. Odjechałyśmy od razu, prawie z piskiem opon. No dobrze, bez pisku i niezbyt szybko, bo nie chcieliśmy zwracać na siebie uwagi, ale kluczyk w stacyjce

przekręciłam w chwili, gdy Julia zamykała drzwi.

- Minkowski pali - przypomniałam już po wyjechaniu na szosę. - Pamiętasz, co to było?

- Nie, nie zwracam uwagi na to. Dla mnie to wszystko jedno, nie znoszę zapachu papierosów.

- Chyba powinniśmy zapamiętywać takie rzeczy, bo się mogą potem przydać. Jeżeli gatunek papierosów by się zgadzał, to istniałaby sporo szansa na to, że Minkowski był dzisiaj pod domem Wilińskich. Bo ile osób palących to samo mogło iść tamtędy wieczorem?

- To popularne papierosy - stwierdziła Julia, przyglądając się naszej zdobyczy.

- Nawet jeżeli, to byłyby to pewna wskazówka.

Nie było bardzo późno i wjechałyśmy na podwórko, nie zostawiając samochodu na drodze. W pokojach gospodarzy paliło się jeszcze światło, więc przez dom też nie musiałyśmy się skradać. Pełny luksus. Obie miałyśmy ochotę na dłuższą kąpiel w możliwie jak najcieplejszej wodzie, ale łazienka była jedna, więc postanowiłyśmy ciągnąć losy i pobyt w niej ograniczyć do dziesięciu minut, żeby ta, która przegra, nie była bardzo poszkodowana. Wygrałam.

- Męczące jest takie polowanie na złoczyńców - zawyrokowała Julia, gdy już wykąpane i w piżamach jadłyśmy smażone kanie.

- Bo nie mamy wprawy, gliniarzom pewnie wychodzi to lepiej. I nie przypominają sobie o różnych rzeczach po fakcie. - Miałam na myśli sprawdzenie, czy nikt się nie ukrywa na skraju lasu.

- I mają broń. I mogą zadzwonić po wsparcie.

- I nie wpadają w panikę na widok ruszającej się w pobliżu trawy, z której po chwili wychodzi kocia rodzina. Dawid pewnie od razu by wiedział, że to nie może być człowiek - dokończyłam wylicznkę.

Obżarte poszłyśmy spać zaraz po kolacji. Jasne, to niezdrowo, szczególnie smażone grzyby, ale kto by się kaniom oparł?

Sierżant już na nas czekał w porcie, chociaż nie spóźniłyśmy się, a nawet byłyśmy chwilę przed czasem. Siedział w restauracji przy stoliku na zewnątrz i popijał kawę. Nie wiem, jaką mają na tutejszym posterunku, ale może chęć wypicia lepszej niż służbowa rozpuszczalna przywiodła Korczyńskiego do knajpy przed umówiona godziną.

- Chciały panie ze mną porozmawiać - przypomniał zaraz po przywitaniu i zamówieniu przez nas soków. Kawę wypiliśmy w domu.

- Owszem. Czy pan już wie, kto zabił Minkowskiego i Nojmana?

- Myślą panie, że odpowiem na takie pytanie?

- W sumie, dlaczego nie? Nie spytałam o personalia zabójcy, tylko o to, czy go pan namierzył.

- Wiem, dlaczego obaj mężczyźni zostali zabici, i przypuszczam, kto za tym stoi.

- To pierwsze to my też wiemy - powiedziała Julia, czym wprawiła Korczyńskiego w lekką konsternację. Naprawdę przypuszczał, że się nie domyślimy?

- Ciekawe...

Powiedział to chyba tylko po to, żeby wydać z siebie jakiś dźwięk. A może jednak wiedział więcej niż my? Przypuszczaliśmy, a właściwie byliśmy prawie pewne, że wszyscy zamieszani w tę sprawę szukają czegoś, co ma związek z rodziną Nojmanów i Chruścińskich i odnosi się do przeszłości. Jak dalekiej, tego nie wiedzieliśmy. Może policja już to ustaliła? Mieli nieporównanie większe możliwości i dostęp do przeróżnych baz danych. Świadców mogli najnormalniej w świecie przesłuchać bez żadnych podstępów, nie to co my.

- A wie pan, czego wszyscy tak zawzięcie szukają? - docisnęła Julia.

- Przypuszczam, co to jest.

- Co? - spytałam natychmiast w nadziei, że sierżant się wygada.

- Coś, dzięki czemu można odnieść korzyść materialną - powiedział oględnie.

Dużo nam nie zdradził. Wzbogacić się można na rozmaite sposoby.

- Ten Nojman miał się wzbogacić czy ktoś jeszcze? - zapuściłam sondę.

Sierżant nie odpowiedział od razu, więc popatrzyłyśmy na siebie z satysfakcją. W sprawę zamieszanych jest parę osób i każda z nich, czysto teoretycznie, mogłaby odnieść jakąś korzyść. Jeżeli Korczyński zawahał się przed odpowiedzią, to znaczy, że nie była ona prosta, nie wystarczyło „tak” lub „nie”. Mogło być też tak, że wolał nam tego nie mówić w obawie, że wyciągniemy słuszne wnioski albo wymyślimy totalną głupotę.

- Niech pan się nie wygłupia, gdyby zyskać miał tylko Nojman, to w ogóle by tych trupów nie było - zauważyła zimno Julia. - To musi być jakaś konkurencja, nie wiem tylko, czy do tego czegoś w ogóle, czy na przykład do nagrody za znalezienie tego. Minkowscy na pewno dostali kasę za poszukiwania, a może mieli też obiecaną jakąś premię za ich sukces.

- Minkowscy? - Sierżant znalazł sobie linę ratunkową.

- Chodzi panu o liczbę mnogą? - upewniłam się. - No przecież

wiemy, że zamieszani w poszukiwania są bracia. Bliźniacy.

- Skąd panie to wiedzą?

- Doszliśmy drogą dedukcji - nie wytrzymała Julia.

- Jasne. Na podstawie nieboszczyka, włamywacza i paru innych rzeczy od razu wam wyszło, że jest dwóch braci Minkowskich. - Sierżant popatrzył na nas z lekkim niesmakiem.

- No dobrze, niech panu będzie. Byliśmy w Krynicy z naszymi facetami i zobaczyliśmy tam tego drugiego Minkowskiego. Raczej nie przypuszczaliśmy, żeby nagle nieboszczyk ożył albo wasz lekarz tak się pomylił, więc uznanie go za brata trupa spod obserwatorium było logiczne - wyjaśniłam.

- A tak w ogóle, to czy pan wie, że ten żywy Minkowski tu jest? A ludzie zaczynają się zastanawiać, czy zwłoki nie ożyły znienacka.

- Chyba pani żartuje?

- No może trochę przesadziłam, ale pierwsze skojarzenie mają takie. Parę osób rzuciło już w naszej obecności zbliżonym tekstem.

- Ja nic takiego nie słyszałam.

- Naprawdę myśli pan, że ludzie coś takiego panu powiedzą? Nam mówili prywatnie, panu musieliby oficjalnie.

- Niekoniecznie, to małe miasteczko.

- A tam, w duchy pan wierzy.

Powiedziałam to odruchowo i o mało nie wylałam na siebie soku, który właśnie zamierzałam wypić. Zapomniałam na chwilę, kto udawał ducha. Sierżant zachował prawie kamienną twarz, ale wyraz oczu mu się zmienił. Nie mogłam się zdecydować, czy jest rozbawiony, czy raczej chciałby rzucić na nas jakieś czary, żebyśmy zapomniały, że to on był zjawą. W celu służbowym, ale jednak.

- Znaczą chodzi mi o to, że nawet w stosunkowo małej społeczności i tak ludzie zastanowią się dwa razy, zanim panu coś powiedzą. Choćby dlatego, żeby potem nie zrobił pan z nich świadków - rozszerzyłam wypowiedź.

- Jak rozmawiają z nami, to się nie muszą pilnować, gadają, co im ślina na język przyniesie. Czasem najpierw powiedzą, a potem pomyślą, czego przykładem jest ten pojawiający się i znikający nieboszczyk. Przecież każdy, jak się dobrze zastanowi, dojdzie do wniosku, że to niemożliwe i że w grę wchodzi brat, najprawdopodobniej bliźniak - dołożyła Julia.

- Brał pan pod uwagę, że ten żyjący Minkowski może być kolejną ofiarą? - poruszyłam kolejny temat.

- Trzecim tegorocznym trupem.

Korczyński spojrział na Julię, jakby nagle jej ośle uszy wyrosły, zamieniła się w strzygę albo stanęła na głowie. Czyli ze zdziwieniem. Nie wpadł na to?

- Trzeci tegoroczny trup... Nazewnictwo, jakim się panie posługują, zaskakuje mnie co jakiś czas.

A, to o to mu chodziło! Dobrze, że nie powiedziałyśmy nic o tym, że nastał sezon na trupy! Poczuliśmy się w obowiązku wprowadzić sierżanta w sposób numerowania przez nas nieboszczyków. Wyglądał na lekko zszokowanego i chyba wiedziałam, dlaczego. Znowu trzeba było coś wyjaśniać.

- Nie kolekcjonujemy zwłok jak motyli. - Na te moje słowa Korczyński się wyraźnie wzdrygnął, ale właśnie na to liczyłam. - To, że nie mówimy o tych ludziach po nazwisku, wynika z tego, że rozmawiamy o nich w różnych miejscach, ktoś mógłby usłyszeć. Po co ma znać nazwisko zamordowanej osoby? Wie pan, jak to jest, mogłoby się tak zdarzyć, że usłyszałby taką rozmowę ktoś, kto zna rodzinę ofiary, a potem by jakieś plotki powstały. Nawet gdy rozmawiamy na balkonie u pani Zosi, to teoretycznie ktoś może usłyszeć nasze rozważania. A my doskonale wiemy, że na przykład okoliczna młodzież jest bardzo ciekawa, co się tu dzieje.

- Rozumiem. Dlaczego panie uważają, że coś złego może spotkać Minkowskiego?

Typowy policjant. Odpowiedział pytaniem na pytanie. Zdecydowanie łatwiej było w zeszłym roku, bo wpatrzony w Julię Dawid od czasu do czasu się zapominał i mówił coś, o czym powinien milczeć. No dobrze, ale przecież my też tak potrafimy. Postanowiłam spróbować, kto będzie w tym lepszy.

- A pan tak nie uważa? - Na to pytanie powinien odpowiedzieć „tak” albo „nie”.

- Trudno w tej chwili powiedzieć. - No proszę, dał radę uniknąć jednoznacznej odpowiedzi. - To, że jeden z braci nie żyje, nie oznacza, że taki sam koniec spotka drugiego...

- To jest akurat pewne - wtrąciła się Julia.

- Jak to?

- A co? Zna pan kogoś, czyje życie nie skończyłoby się śmiercią?

- Miałem na myśli przedwczesny koniec - poprawił się Korczyński. - Były panie świadkami czegoś, co sugerowałoby, że Tadeusz Minkowski też zostanie zamordowany?

W ten sposób poznałyśmy imię drugiego z braci.

- Nie. Ale wniosek sam się nasuwa. Ktoś wyeliminował włamywacza i jednego detektywa, dlaczego miałby oszczędzić tego drugiego?

Korczyński nie spytał, skąd wiemy, że zwłoki i włamywacz to jedna i ta sama osoba. Najwyraźniej pamiętał, że powiedział krewnym pani Zosi, że już się nie muszą obawiać o swój dobytek.

- Być może dlatego, że Tadeusz wie mniej o sprawie niż Lech?

- Tak panu powiedział?

- Tak wynika ze śledztwa. Ale ciekawi mnie, dlaczego panie uważają, że coś mu grozi.

- Przecież powiedziałam - zdziwiłam się absolutnie szczerze. - Poza tym nawet jeżeli według pana Tadeusz Minkowski nie jest tak dobrze zorientowany w temacie, to morderca nie musi o tym wiedzieć - wyjaśniłam i po krótkiej przerwie dodałam, żeby zachować ciągłość pytań. - Nie sądzi pan?

- Biorę to pod uwagę - przyznał wreszcie sierżant. - Czy panie przypadkiem nie chcą same złapać mordercy? - zmienił temat.

- Niech nas ręka boska broni! - odzębowała się najzupełniej szczerze Julia. - Zdecydowanie wolę, żeby to policja łapała zabójców.

- Nas interesuje zagadka, mówiłyśmy panu kiedyś, prawda? - nie mogłam się powstrzymać od tego znaku zapytania.

- Tak, owszem. Ale wicie bardzo dużo na temat morderstw i niepokoi mnie to - Korczyński chyba dał spokój pytaniom w każdym zdaniu.

- Rozmawiamy z ludźmi i myślimy. Jak widać całkiem logicznie - wyjaśniłam, pomijając inne elementy śledztwa.

- Przy okazji znajdując zwłoki.

- Dobrze pan wie, że to było pełnym przypadkiem, szczególnie jeżeli chodzi o Lecha Minkowskiego. Poszliśmy do obserwatorium, nawet nie miałyśmy w planach spaceru po lesie w tamtym rejonie tego dnia. Gdyby było czynne, nieboszczyka znalazłby ktoś inny i zapewne dużo później - wyjaśniłam po raz enty.

- I nie zależało nam na zwłokach Nojmana, tylko na żywym człowieku - dodała Julia z urażoną miną.

- Tak, wiem, paniom to zawsze samo tak wychodzi - stwierdził sierżant z przekąsem.

- No sam pan widzi - udałam, że tego nie zauważyłam.

- Panie do kiedy są tu na wczasach?

To z pozoru towarzyskie pytanie miało zupełnie inny podtekst. Korczyński zapewne marzył, żeby dwie wtrącające mu się w śledztwo baby pojechały wreszcie do domu. Nasz powrót do Gdańska przyjmie pewnie z ulgą. Nie będzie musiał się zastanawiać, czy przypadkiem nie namieszamy mu w śledztwie albo nie narazimy się czymś mordercy. Nie mógł nas na szczęście, nasze oczywiście, a nie jego, pilnować, bo miał za mało ludzi i sprawę dwóch morderstw do rozwiązania.

- Do niedzieli, ale zastanawiamy się, czy nie zostać jeszcze tydzień. - Julka też wyczuła, o co mu chodzi, i najwyraźniej

postanowiła zasiać ziarno niepewności. - Wie pan, mamy dwa miesiące wolne, nasze drugie połówki urlop będą miały później, a siedzenie w Gdańsku przy tak ładnej pogodzie zbytnio się nam nie uśmiecha.

- Nie wiem, czy uda się paniom przedłużyć pobyt, z wolnymi miejscami może być problem - zauważył przebiegle sierżant i było widać, że kombinuje, czy nie dałoby się uprzedzić tubylców, żeby nie wynajmowali nam kwatery pod groźbę konfliktu z policją.

- Zobaczymy, jak to będzie. W sumie jeszcze się nie zdecydowałyśmy. - Postanowiłam pozostawić sierżanta w niepewności.

- Mam prośbę - sierżant dopił wystygnięte resztki kawy - uważajcie na siebie.

- Mówi pan jak nasi faceci.

- Bo przyciągacie niebezpieczne wydarzenia jak lampa ómy. - Korczyński wstał, poprawił mundur i przejechał dłonią po łysinie, jakby chciał poprawić fryzurę.

- Zgodziłabym się z częścią wypowiedzi. Może i przyciągamy wydarzenia, ale raczej ciekawe, niesamowite, nietypowe czy nawet makabryczne jak w przypadku znalezienia zwłok, ale nie niebezpieczne. Tak naprawdę jeszcze nigdy nic nam nie groziło.

- I niech tak zostanie. Do widzenia paniom, muszę trochę popracować.

Zabrzmiało to tak, jakby siedział tu z nami na towarzyskiej pogawędce. W milczeniu patrzyłyśmy, jak odchodzi, dopiero pytanie czujnej kelnerki włączyło nam fonię. Zamówiłyśmy po jeszcze jednym dobrze schłodzonym soku.

- I co myślisz?

- Nie wiem. To znaczy znowu za dużo nam nie powiedział, ale właściwie raczej potwierdził nasze przypuszczenia, więc jakąś korzyść mamy - podsumowałam rozmowę.

- Ale chyba nie przejął się za bardzo możliwością odkrycia kolejnych zwłok - zatroskała się Julia.

- Albo nie dał po sobie poznać. Nie możemy zrobić nic więcej: uprzedziłyśmy Minkowskiego i sierżanta, powinni wysnuć z tego wnioski. O ile nie zrobili tego sami wcześniej. Na miejscu brata nieboszczyka znalezionej koło obserwatorium pilnowałabym się sama z siebie.

- Teraz na grzyby? - Julia dopiła sok i zmieniła temat.

- Tak, wybierzemy sobie jakieś zalesione miejsce, gdzie nas jeszcze nie było.

Poszłyśmy zapłacić za soki i okazało się, że piłyśmy je na rachunek sierżanta. Głupio, gdybyśmy o tym wiedziały, nie

zamawiałybyśmy kolejnych. Następnym razem musimy być czujne.

Po drodze do samochodu minęła nas jakaś grupka młodzieży, co spowodowało u mnie piknięcie niepokoju. O co chodzi? Coś z nimi było nie tak? Dyskretnie obejrzałam się przez ramię, ale nic mi z tego nie przyszło, wyglądali normalnie. Zawsze na wakacjach unikam ludzi w tym wieku, teraz było tak samo, więc w czym problem? Jedynymi małolatami, z którymi miałyśmy kontakt na wakacjach, byli Karol i Adam, którzy zbierali dla nas jagody i szukali samochodu Tadeusza Minkowskiego. No właśnie, to jest to! Obiecałyśmy powiedzieć im, czy udało nam się porozmawiać z szukanym mężczyzną, i zapomnialiśmy o tym. Wyciągnęłam z kieszeni komórkę, najlepiej zrobić to od razu. Karol był już zaniepokojony brakiem kontaktu z naszej strony, ale, jak to sam określił, głupio mu było narzucać się z pytaniami. Niesamowite. Większość dzieciaków w jego wieku zadzwoniłaby pewnie jeszcze zanim zdążyłybyśmy pogadać z Minkowskim. Streściłam rozmowę, przekazując tylko to, co uznałam za słuszne. Karol i tak poczuł się usatysfakcjonowany i zadowolony, że został doceniony. Przy okazji zamówiłam litr jagód i umówiłam się, że zostawi je jak poprzednio u pani Zosi.

- Ja też o nich zapomniałam - przyznała Julia, gdy skończyłam rozmowę. - Głupio.

- Ale już to nadrobiliśmy.

Po dojechaniu do lasu przebrałyśmy się w stroje „grzybowe” i z koszykami w ręku weszłyśmy między drzewa. Drzewa dawały cień, ale jednocześnie w lesie było duszno. Prawie w ogóle nie było wiatru, a te niemrawe powiewy, które pojawiały się od czasu do czasu, zatrzymywały się chyba na drugim rzędzie drzew i nie dawały rady poruszyć stojącego powietrza. Po dziesięciu minutach czułam, jak pot płynie mi po plecach, a ciuchy przykleiły się i utrudniają ruchy. Sprawy nie ułatwiało to, że w ramach ochrony przed kleszczami i innymi stworami na głowach miałyśmy bejsbolówki, a wystające spod ubrań fragmenty ciała były lekko lepkie po spryskaniu Off-em. Grzybów na razie nie znalazłyśmy, co zniechęciło mnie dodatkowo.

- Wracamy? - zasugerowałam Julii z nadzieją.

- Po tych kilku minutach? Mowy nie ma.

Niestety, tego się obawiałam. Zresztą sama też miałam ochotę pochodzić po lesie, niezależnie od tego, ile znajdziemy grzybów. Wieczorem będziemy tkwiły w bezruchu na czatach pod domem Wilińskich, więc teraz wypadałoby spędzić czas aktywnie. Z samozaparciem postanowiłam, że będę udawała, że nie przeszkadzają mi klejące się do ciała koszulka i spodnie, a nawet

potraktuję ten spacer jak pobyt w saunie parowej. Może trochę wypocę i schudnę?

Dwugodzinny spacer był nad wyraz nieudany, jeżeli chodzi o grzyby. Parę maślaków i kilka rodzin kurek absolutnie nie zaspokoilo naszych pragnień. Za to z przyjemnością przez prawie dziesięć minut obserwowaliśmy sarny wyjadające coś na polu. Stado był spore, coś około dwudziestu sztuk. Miałyśmy szczęście, bo zobaczyłyśmy je, zanim wyszłyśmy spoza drzew, więc nie zareagowały ucieczką na nasze pojawienie się. Siadłyśmy sobie na dwóch pieńkach, które wyglądały jak specjalnie przygotowane na nasze przyście, i z zadowoleniem patrzyłyśmy na zwierzęta. Zapomniałam, że jestem spocona i chce mi się pić. Miałam tylko nadzieję, że kleszcze nie wykorzystają sytuacji i nie postanowią na nas wleźć i zabrać się z nami do domu, czekając na odpowiednią chwilę na wbicie się w skórę.

Wyjątkowo zdążyłyśmy na obiad, a nawet dałyśmy radę wykapać się przed nim i oczyścić i zamarynować nasze niewielkie zbiory z dwóch dni.

Po obiedzie, podobnie jak wczoraj, postanowiłyśmy poleniuchować, ale tym razem na balkonie, bo tam było chłodniej niż w pokoju. Albo może po prostu mniej duszno.

- Słuchaj, a tak właściwie to skąd wiadomo, że to nie Tadeusz Minkowski jest mordercą? - spytała Julia, gdy już usadowiła się wygodnie.

- Zwariowałaś? Brata by zamordował?

- No a dlaczego nie? Jakiś zakaz jest?

- Jest i dotyczy morderstw w ogóle - przypomniałam, choć wiedziałam, o co jej chodzi.

- Morderstwo kogoś krewnego nie jest szczególnie rzadkie.

- Ale własnego brata?

- Też się zdarza.

Wiedziałam, że tak jest, ale jakoś trudno było mi wyobrazić sobie, że jeden Minkowski morduje drugiego. Nie dość, że bracia, to jeszcze bliźniacy. I niby z jakiego powodu? Według nas to Nojman miał najwięcej zyskać po znalezieniu tego tajemniczego czegoś. Chyba że Minkowscy znaleźli jakiś sposób, żeby tym czymś zawładnąć i oprócz wynagrodzenia za pracę zdobyć coś ekstra. Zabiliby? A właściwie czy zabiłby, bo przecież w grę jako morderca wchodził tylko Tadeusz. Nie polubiłyśmy go, ale mimo wszystko jakoś nie widziałam go w roli zabójcy. Nawet jeżeli dopuszczałam myśl, że z zimną krwią pozbawił życia Nojmana, to wszystko we mnie protestowało, gdy próbowałam sobie wyobrazić, jak morduje brata. Poza tym czy po zabiciu włamywacza pozostały przy życiu

Minkowski dałby radę się wzbogacić? Podobno chodziło o coś rodzinnego?

- Ta wspólna przodkini Nojmanów i Chruścińskich mogła... - zaczęła Julia i ugryzła się w język.

- Dokończ, dokończ, co cię tak zadławiło. Albo ja mogę. Mogła w bliżej nieokreślony sposób wejść w posiadanie czegoś cennego i to schować w oczekiwaniu na odpowiedni moment ujawnienia stanu posiadania.

- Ona była stąd, trudno mi sobie wyobrazić, skąd by miała mieć te jakieś bogactwa.

- Mogła je zabrać z jakiegoś okolicznego majątku albo po prostu trafić na coś ukrytego przez uciekających Niemców.

- Jasne, na Bursztynową Komnatę - skomentowała natychmiast Julia.

- Chciałam zauważyć, że to ty zaczęłaś.

- A może to chodzi o coś związanego z Nojmanami, znaczy z rodziną ojca włamywacza, a nie matki?

- Niemożliwe - pokręciłam głową tak energicznie, że nie trafiłam ciastkiem do ust. - W takim wypadku szukałby gdzieś tam, skąd ten ojciec pochodzi, a nie w miejscu związanym z matką i jej rodziną.

- Masz rację, to wydaje się logiczne - zgodziła się Julia. - Piwa bym się napiła, takiego zimnego, bo mam wrażenie, że się roztapiam.

- W sumie możemy, do wyjazdu na czaty zdąży z nas wywietrzeć.

Tak jak poprzedniego dnia popołudnie poświęciłyśmy na odpoczynek przy książce. Nie wiedziałyśmy, jakie nas wieczorem czekają atrakcje, i wolałyśmy być wypoczęte. Julka nawet poszła się zdrzemnąć i byłam pełna podziwu, że to jej się udało przy panującym zaduchu. Ten zaduch nie podobał mi się, czułam przez skórę, że niedługo będzie padało. Rzut oka na prognozę pogody rozwiął moje wątpliwości. Miało padać od dwudziestej drugiej. Jasna cholera, zmokniemy! Nie uśmiechało mi się siedzenie w deszczu pod traktorem, ale przecież nie mogłyśmy założyć, że pozostała dwójka, czyli morderca i Minkowski, stwierdzi, że deszczowy wieczór spędzi w miejscu, gdzie nie pada na nos. Może ten traktor trochę nas osłoni? Kabina wyglądała na nienaruszoną, to znaczy okna miały szyby, więc przy niezbyt intensywnym deszczu część kropel zatrzyma się na niej. Niemniej jednak trzeba dzisiaj iść w kaloszach i kurtkach. I może ten dodatkowy koc wyjąć z plecaka od razu, gdy dotrzemy na miejsce? W razie czego trochę się nim osłonimy, dobrze, że jest ciemny. Przydałaby się porządna pałatka,

ale niestety nie miałyśmy takiej. A może lepiej wziąć śpiwór i się pod nim schować? Mój był ciemny, a do plecaka mieścił się bez problemów. Podjęłam decyzję i od razu zapakowałam go, żeby potem nie zapomnieć.

Julia zwróciła uwagę na mój nietypowo wypchany plecak, gdy wrzucałam go do samochodu.

- Coś ty tam zapakowała? Poduszkę, żeby nam tyłki nie zdrętwiały?

- Prawie, śpiwór.

- Zwariowałaś? Udusimy pod nim! Gorąco jest!

- O dziesiątej ma zacząć padać, spróbujemy się chociaż trochę osłonić przed deszczem. Kalosze i kurtki mamy w samochodzie.

- Chyba ci rozum odebrało! - Julia zatrzymała się w połowie wsiadania do samochodu. - Nie jadę!

- Jak to nie jedziesz? - Po cholere ja jej o tym deszczu mówiłam?

- Sama mam jechać?

- Alka, ogarnij się! Mamy siedzieć w ciemności, pod rdzewiejącym traktorem, obok mogą się czaić rozmaite zbrodnicze indywidua, a na dodatek będziemy mokły i marzły?

- Nie będzie tak źle. Mamy kurtki i kalosze, traktor nas trochę osłoni. Zwróciłaś uwagę, że koło to może ma rozwalone, ale za to wszystkie szyby w kabinie? Deszcz prawie nigdy nie pada pionowo, tylko zacina, więc zatrzyma się na traktorze.

- Chyba, że wiatr będzie wiał od strony wsi - stwierdziła trzeźwo Julia.

- Nie bądź taką pesymistką.

- Realistką raczej!

- Dlatego mam jeszcze śpiwór, zawiniemy się nim od góry i powinno być dobrze.

- Naprawdę myślisz, że ktokolwiek będzie pod domem Wilińskich podczas deszczu?

- A co mu deszcz przeszkadza? Chyba nawet pomaga, bo trochę zagłusza hałasy i zagania ludzi do domów, czyli powinno być bezpieczniej. Wsiadaj.

- Żebyś pękła! Jak się przeziębisz, to będzie to twoja wina.

- Nie przeziębisz, ciepło jest.

Po drodze zdążyłyśmy jeszcze zastanowić się, gdzie zostawimy samochód, bo w pobliżu wsi nie było zbyt wielu odpowiednich miejsc. To znaczy pewnie były, ale żeby się tam dostać, musiałybyśmy przejechać przez wieś, a potem przez nią przejść, żeby dostać się do naszej kryjówki. Od strony, z której nadjeżdżałyśmy, przed wsią nie było lasu, drzewa rosły po obu stronach drogi. Samochodu nie dałoby się tam ukryć i każdy

przejeżdżający od razu zobaczyłby octavię. Jedynym znanym nam dobrym miejscem było to, w którym się zatrzymywałyśmy poprzednio. Miałyśmy jednak pewne obiekcje, bo to już czwarty raz parkowałybyśmy w tamtym rejonie, a poza tym inni zainteresowani domem Wilińskich też musieli gdzieś zostawić swoje samochody.

- Zobaczą nasz i od razu będą wiedzieli! - wytknęła Julka.

- Niby co? Tylko tyle, że ktoś tam parkuje. Nie będą wiedzieli ani kto, ani po co.

- A jak już widzieli nasz samochód?

- No to co? Może jakaś młodzież przyjeżdża tu w celach romansowych, bo gdzie indziej nie ma warunków?

- I nie zostaje w samochodzie?

- Może chodzą na romantyczne wieczorne spacerki? Co cię obchodzi, co robią?

- Nic - zgodziła się Julia. - Ale może zostawmy wóz w trochę innym miejscu, chociaż kawałek dalej albo bliżej i spróbujmy schować go w krzakach.

Spełniłam jej żądanie i znalazłam nową kryjówkę dla octavii. Pomna zeszłorocznych problemów podczas szybkiej ewakuacji z jednej ze wsi pod Olsztynkiem już chyba zawsze będę ustawiała samochód tak, żebyśmy obie miały dostęp do drzwi. Po prostu wepchnęłam się kuprem w miękkie krzaki. Ani roślinność, ani auto na tym nie ucierpiały, bo gałązki były elastyczne. Ta boczna droga nie była oczywiście oświetlona, a samochód stał w niewielkiej zatoczce przy lesie, więc istniała szansa, że nie będzie się rzucał w oczy. Dodatkowym atutem tego miejsca było to, że od strony drogi rosły krzaki zasłaniające miejsce parkowania.

Trasę do skraju lasu miałyśmy już opanowaną i mogłyśmy ją pokonywać prawie po omacku, potem było trudniej. Wczorajsze czatowanie czegoś nas nauczyło. Musiałyśmy sprawdzić, czy w pobliżu nie ma Minkowskiego albo mordercy, co nie było proste. Zachowując ostrożność, sprawdziłyśmy wszystkie wytypowane wcześniej kryjówki i odetchnęłyśmy z ulgą. Wyglądało na to, że jesteśmy tu same. Natychmiast przemknęłyśmy się do traktora i, starając się nie hałasować, wygodnie usiadłyśmy na deskach. Wyjęłam śpiwór i położyłam obok, gdyby było się trzeba zasłonić nim od deszczu, miałyśmy go pod ręką. Było gorąco, a komary przypuściły zmasowany atak. Po chwili wzmógł się wiatr. Ze wsi dobiegały hałasy, typowe dla tej pory dnia, ale poza tym było cicho. Rozpadało się koło wpół do jedenastej, prawie zgodnie z planem. Od razu schowałyśmy się pod śpiwór, choć na razie deszcz do nas nie docierał. Stukające o traktor krople wydawały taki dźwięk, że spokojnie zagłuszyłyby niejednego nadchodzącego z tyłu mordercę,

a nawet pułk wojska, w każdym razie tak nam się wydawało. Przez głowę przemknęła mi myśl, że mordercy złodziejowi nie byłoby wygodnie włamywać się w mokrych ciuchach ograniczających ruchy. Może dzisiaj nie przyjdzie. Było nam zimno, chciało się spać i, szczerze mówiąc, nudziłyśmy się. Żeby jakoś przerwać tę monotonię, zaczęłam się zastanawiać, w jaki sposób ja bym się włamała do Wilińskich. Trochę po północy deszcz ustał, ale postanowiłyśmy poczekać jeszcze trochę, bo a nuż morderca też przeczekiwał opady. Dotrwałyśmy na posterunku do pierwszej i opuściłyśmy nasz punkt obserwacyjny. Po dwóch krokach Julka pośliznęła się na mokrej trawie i wywaliła jak długa. Była tak przemoczona, że teraz mogła się nawet turlać, dużej różnicy by to nie zrobiło. Dobiegło mnie zduszone „O, kurwa!”, a po chwili Julia pozbierała się i już w niskiej pozycji, opierając się na dłoniach i kolanach, ostrożnie zaczęła iść w stronę lasu. Teraz ta ostrożność brała się chyba z obawy przed kolejnym upadkiem, a nie przed spotkaniem kogokolwiek. Byłam pewna, że Julka była tak wściekła, że w starciu morderca Minkowskiego i Nojmana kontra moja przyjaciółka wszystkie pieniądze postawiłabym na nią.

Do lasu dotarłyśmy kompletnie przemoczone, najlepiej byłoby przepuścić się przez wyżymaczkę. Ciuchy zaczęły ważyć chyba tonę, oklejały ciało i krępowały ruchy.

- Wypiję cały zapas cytrynówki - zapowiedziała Julia stanowczo, rozglądając się dookoła, co już chyba weszło nam w nawyk. - Zdrowotnie. Chodź!

Zdeterminowana ruszyła przodem, chociaż przeważnie to ja pierwsza pchałam się tam, gdzie coś mogło nam zagrażać. Miała w nosie to, czy kogoś spotkamy i co ten ktoś sobie o nas pomyśli. Tak naprawdę, jeżeli nas nie znał, mógł wymyślić cokolwiek na nasz temat. Nie wiem, czy morderca, spotykając nas trzysta metrów od domu Wilińskich, wpadłby w ogóle na myśl, że czatowałyśmy tu pół nocy. Już chyba szybciej pomyślałby, że jakieś nie do końca trzeźwe turystki wracają skądś i być może zablądziły.

Do domu pani Zosi wróciłyśmy złe i przemoczone. Dzisiejsza zasadzka była podobna do poprzedniej. Nie wiem, jak wytrzymują policjanci obserwujący jakiś obiekt przez dłuższy czas.

- Trochę mi przeszło - oznajmiła Julia, gdy kończyłyśmy bardzo późną kolację zapijaną cytrynówką. - Wściekła byłam jak rzadko.

- Dało się zauważyć.

- Ty jednak jesteś szalona, a ja zawsze dam się namówić na jakiś wygłup.

- Zauważ, że to nie ja chciałam pokłusować w kierunku lasu, to był twój pomysł na sposób odwrotu na z góry upatrzone pozycje.

- Chodzi mi o siedzenie w deszczu na czatach.

- Zmokłaś wtedy? Nie. Dopiero gdy wracałyśmy, więc w sumie było całkiem niezłe. Wykapałyśmy się, wypiliśmy ciepłą herbatę i nic nam nie będzie.

- Całkiem niezłe jest pojęciem względnym. Nic się nie działo.

- Akurat na to jednak nic ci nie poradzę - wzruszyłam ramionami. - Musimy być konsekwentne i pilnować codziennie, bo inaczej to nie ma sensu. Nie mam pojęcia, kiedy ktoś spróbuje się włamać do Wilińskich, liczę jednak na to, że szybko, bo pewnie boją się, że policja położy temu kres.

- Aż dziwne, że Korczyńskiego tam nie było - zauważyła Julka pomiędzy ziewaniem. - Nie wiem jak ty, ale ja idę spać. I nie budź mnie rano, dopóki sama nie wstanę.

Julia delikatnie przesunęła kota, który, jakżeby inaczej, spał na jej poduszce, szczerze owinęła się kołdrą, jakby jeszcze było jej zimno, i zgasiła nocną lampkę. Bez namysłu poszłam w jej ślady. Zasnęłam chyba w momencie przykładania głowy do poduszki.

* * *

Po deszczu zostały tylko kałuże, kolejny dzień przywitał nas słońcem. Nie było jednak duszno, pogoda aż zachęcała do wyjścia na dwór.

- Jedziemy nad zalewę! - zarządziła Julia, robiąc herbatę.

- A nie na grzyby?

- Nie, damy im szansę, niech wyrosną po tym deszczu. Wczoraj nic nie było. No prawie.

- Chcesz się opalać?

Okazało się, że owszem, Julia po wczorajszym przemoknięciu odczuwa potrzebę powygrzewania się na słońcu. Nie miałam nic przeciwko. Zapakowałyśmy do plecaków plażowy zestaw rzeczy niezbędnych i chwilę po jedenastej pojechałyśmy do Fromborka. Zanim rozłożyłyśmy się na plaży, poszłyśmy jeszcze na piwo do knajpy w porcie. Potem rozłożyłyśmy w półcieniu i zadowolone z życia wyciągnęłyśmy książki. Śledztwo śledztwem, ale czytać też lubiłyśmy.

Po godzinie uznałam, że jest ciut za gorąco i po krótkich wahaniach, a także wbrew temu, co mówiłam kilka dni temu na temat niechęci do brodzenia w wodzie, zanim się dojdzie do miejsca, w którym można popływać, postanowiłam zamoczyć się w zalewie. Julka nie dała się skusić i stwierdziła, że nie jest przekonana, czy w dosyć mętnych wodach nie czyhają na nas jakieś stwory. Z nadzieją na ochłodzenie zanurzyłam prawą stopę. Do

licha, jak to jest możliwe, że przy całkiem niezłej pogodzie w sumie przecież niezbyt głęboki zalew jest taki zimny? A może to ja mam zbyt duże wymagania co do temperatury wody? Zanurzyłam drugą stopę i z determinacją weszłam głębiej. Gdy woda sięgała mi do połowy ud, poczułam się wystarczająco ochłodzona. Żeby nie było, że zamoczyłam w zalewie tylko nogi, ochlapałam sobie brzuch i wróciłam na koc.

- Dawno tak daleko nie wypłynęłaś - stwierdziła Julia z przekąsem.

- Odczep się. Woda jest zimna. Jeszcze chwila i bym do dna przymarzła.

- Żartujesz? Na takiej płyźnię?

- Jak nie wierzysz, to sama sprawdź - Ułożyłam się wygodnie na kocu.

- Jakoś mi się nie chce.

- To musisz uwierzyć na słowo. Słuchaj, wczoraj wieczorem wspomniałaś coś o Korczyńskim, ale nie pamiętam co. Śpiąca byłam.

- O Korczyńskim? - zastanowiła się Julia. - A, wiem. Pomyślałam sobie, że na miejscu sierżanta obstawiłabym Wilińskich. Przecież on musi wiedzieć więcej o całej sprawie niż my, więc też powinno mu wyjść, że ktoś będzie się chciał tam dostać.

- Myślisz, że dom krewniaków Nojmana obserwują również gliniarze? W sumie całkiem możliwe. Ale jeżeli tak jest, a nie mają dodatkowych informacji, to powinni cały czas tam być. Tylko gdzie siedzą, skoro ich nie zauważyliśmy?

- Ja jestem bardziej ciekawa, czy oni nie zauważyli nas.

- Na sto procent nie. Korczyński natychmiast by zareagował.

- Racja. Istnieje jeszcze jedna opcja - zauważyła Julia z wahaniem pomieszanim z niechęcią, co mnie zaniepokoiło. - Sierżant wie o czymś, o czym my nie wiemy, i w nosie ma to całe czatowanie. Może wie, kto jest mordercą i po prostu go obserwuje, żeby złapać na gorącym uczynku?

- Gdyby tak było, to pewnie by go już zamknął, a nie ryzykował, że pojawi się kolejny trup.

- Może tak zrobił, tylko my o tym nie wiemy?

Zastanawiałam się całe pół minuty i doszłam do wniosku, że to jest niemożliwe. Gdyby kogoś aresztował, to najprawdopodobniej cały Frombork już by huczał od plotek. Owszem, mogłyby one do nas jako obcych nie dotrzeć, ale wiedziałyby o tym Marcin, pani Zosia i prawdopodobnie chłopcy od jagód. Poza tym nawet gdyby Korczyński nie uznał za słuszne poinformowanie nas o końcu śledztwa, to pewnie powiedziałyby o tym Dawidowi. Po prostu

dlatego, żeby nie musiał się już niepokoić o Julię, a przy okazji ukrócić nasze działania.

- No może masz rację - zgodziła się Julia. - Ale niepokoi mnie to, że na pewno nie wiemy wszystkiego, i tak naprawdę to nasze czatowanie może być zupełnie bez sensu. Wystarczy, że Korczyński znalazł świadka, który miał jakąś istotną informację, na przykład na temat przodków Chruścińskich i Nojmanów, i może się okazać, że nie siedząc po nocach pod rozwalonym traktorem, a sprawdzając te uzyskane dane w rozmaitych policyjnych bazach, spokojnie złapie sobie mordercę w zupełnie innym miejscu.

- Chodzi ci o to, że najpierw pozna dane potencjalnego mordercy, a potem spokojnie go przymknie?

- Dokładnie.

- Musiałby mieć jakieś dowody łączące mordercę z ofiarami. Nie tylko przypuszczenia. Może znalazł coś na miejscach zbrodni? Jakieś odciski palców, ślady stóp, włos lub coś podobnego?

- Mógł znaleźć, policja chyba przeważnie znajduje coś takiego. Może mikroślady? - zaproponowała Julia.

- I nic nam o tym nie powie, to jest więcej niż pewne - skrzywiłam się z niesmakiem. - A swoją drogą ciekawa jestem, kim jest ten morderca. Chruścińscy coś mówili o Nojmanach, pamiętasz? Że zostały tylko dwie osoby z tej rodziny? Może to właśnie ta osoba? Konkurencja do spadku, cokolwiek by tym spadkiem nie było.

Przez dłuższą chwilę rozważaliśmy taką możliwość. Założenie wydawało się całkiem prawdopodobne, bo przecież wiadomo, że całość jest zawsze większa niż pół. Być może właśnie do takiego wniosku doszedł morderca, pozbywając się najpierw Minkowskiego pracującego dla Nojmana, a potem jego samego. Musiał być jednak pewien, że sam zawładnie tym poszukiwanym i bliżej nieokreślonym czymś. A z tego wynikało, że przypuszczalnie wiedział wszystko to, co zamordowany krewniak, a może nawet więcej.

- Pamiętasz, co Marcin mówił? - przypomniała Julia. - Włamywacz najpierw oberwał, a potem go zabito.

- A tak, rzeczywiście. Bo inaczej nie byłby taki zakrwawiony. Morderca mógł siłą wydusić z niego informacje i wszystko inne.

- Inne?

- No ja wiem co? Mapkę? Spis czegoś? Jakieś nazwiska - wyliczyłam bez zastanowienia.

- I ciekawe, gdzie on się zatrzymał. - Julia wskazała kolejny punkt do wyjaśnienia.

- Kto?

- Morderca, nie Nojman ani Minkowski przecież!

- Mógł się zatrzymać gdziekolwiek, jeśli go nikt nie zna. Nie musiał dbać o to, żeby pozostać niewidocznym - wyjaśniłam rzecz według mnie oczywistą, ale coś mnie nagle tknęło. - Pamiętasz, co Chruścińska mówiła o Nojmanach?

- Mniej więcej tak.

- Wspomniała, jakie pokrewieństwo łączy tę dwójkę, która została?

- Pewnie tak. - Julia zamilkła, przypominając sobie rozmowę. - Chociaż może nie. Wydaje mi się, że jednak o tym nie powiedziała.

- Czyli równie dobrze mogą być to bracia, jak i kuzyni lub nawet dalsza rodzina.

- Bracia? I jeden zabiłby drugiego? - taka opcja zdecydowanie znów nie podobała się mojej przyjaciółce.

- Nie o to mi chodzi. Chruścińska mówiła, że Łukasz Nojman tu przyjeżdżał na wakacje. Coś tam wspomniała o rodzicach, ale nie o bracie, a przecież nie zabieraliby do rodziny tylko jednego dziecka. Z tego wynika, że ten drugi Nojman mógł rzeczywiście nigdy tu nie być w młodości i nikt go nie zna, a więc spokojnie może udawać zwykłego turystę.

- Nie gra mi to - powiedziała Julia po chwili namysłu. - Widzę tu pewną sprzeczność. Nojmanowie nie są stąd, więc to trochę dziwne, że tu szukają czegoś związanego z tą rodziną. Tu powinni szukać czegoś, co wiązało się z tą ciotką Chruścińskiej, babcią Łukasza.

- No i pewnie tak jest.

- To co ma do tego ten drugi Nojman, niespokrewniony z żyjącymi tu nadal ludźmi, tylko z Łukaszem?

- Może po prostu Łukasz mu się zwierzył? Przecież nie musi być rodziną, żeby zawładnąć tym domniemanym skarbem. Albo czymkolwiek innym. Istnieje tylko jeden przypadek, w którym pokrewieństwo jest niezbędne. Spadek.

Gdyby Łukasz Nojman miał coś dostać w spadku po swojej rodzinie od strony matki, to jego krewni od strony ojca nie mieliby do tego spadku prawa. Tak mi się w każdym razie wydawało, ale zawsze mogły zaistnieć jakieś nietypowe okoliczności. Nie znałam się na prawie spadkowym, ale trudno przypuszczać, żeby ktoś dziedziczył po kimś niespokrewnionym. Chyba że był wyszczególniony w testamencie.

- Korczyński pewnie to sprawdził. Jak również tego drugiego Nojmana. Jego alibi i inne takie - zauważyła Julia.

- Bardzo jestem ciekawa, kto okaże się mordercą. - Przekręciłam się na brzuch i sięgnęłam po książkę. - I o co dokładnie tu chodzi.

- Jakby to ten drugi Nojman zamordował Minkowskiego,

a potem swojego kuzyna, to Korczyński pewnie już by go aresztował - przypomniała Julia.

- Chyba że nie ma dowodów. Która godzina? Już druga?

- Już jak już. W sumie wcześniej jeszcze, możemy spokojnie plażować. Potem skoczmy na rybę.

- A wieczorem pod dom Wilińskich.

- Szczerze mówiąc, nie chce mi się. To się robi monotonne.

- To w ramach walki z monotonością możemy, wracając, podjechać do kogoś z naszej listy i porozmawiać o Nojmanie. Może go pamiętają.

- A może właśnie nie? - ożywiła się nagle Julia.

- Myślisz, że lepiej już z nikim nie rozmawiać?

- Rozmawiać, ale nie z kimś spośród tych okradzionych, tylko z kimś, kto tu wszystkich zna.

- Obstawiałabym jakąś starą nauczycielkę. Wiesz, taką, która jest już od dawna na emeryturze, ale całe życie zawodowe tu spędziła.

- Albo ksiądz - zaproponowała Julia.

- Ksiądz nam może o wszystkim nie powiedzieć, bo przez usta mu nie przejdą informacje pochodzące ze spowiedzi. A nauczycielka, nawet jak ktoś powiedział jej coś w zaufaniu, to po upływie trzydziestu lat pewnie nam powie.

- A policjant? Też taki na emeryturze?

- Podobnie jak z księdzem, pewnie obowiązują go jakieś tajemnice zawodowe. Ale dobra mogłaby też być sprzedawczyni. Sklep to niezłe miejsce wymiany ploteczek.

Zamiast czytać, sięgnęłam po telefon i zadzwoniłam do pani Zosi. Doskonale wiedziała, że prowadzimy śledztwo na własną rękę, więc pytanie o emerytowaną nauczycielkę i ekspedientkę nie zaskoczyło jej tak bardzo. Zaznaczyłam, że chodzi mi o takie, które bez mała całe życie przepracowały w okolicy i wszystkich znają. Nasza gospodyni była dobrze zorientowana we wszystkim, co się tu dzieje, i dostałam dwa adresy. Obie mieszkały we Fromborku, dawna kierowniczką sklepu u córki, a nauczycielka rosyjskiego z mężem w jednym z bloków. Umawiać się czy zadziałać z zaskoczenia? Oba sposoby miały swoje dobre i złe strony, ale biorąc pod uwagę, że będziemy miały do czynienia ze starszymi osobami, postanowiłam zadzwonić i się umówić. Anna Długosz zaprosiła nas do siebie od razu, bo siedziała sama w domu i nudziła się, czekając na córkę, za to do byłej nauczycielki, Kazimierzy Radwańskiej, mogłyśmy przyjść dopiero koło osiemnastej. Ku naszemu zaskoczeniu wcześniej dawała lekcje.

Plany nam się radykalnie zmieniły. Zamiast całodziennego

wylegiwania, czekały nas dwa, być może ciekawe, spotkania. Miałyśmy już wprawę w rozmowach ze starszymi ludźmi, bo w zeszłym roku o powojennym Olsztynku rozmawiałyśmy z jego najstarszymi mieszkańcami. Poza tym starsi ludzie przeważnie mają sporo czasu i są skłonni poświęcić go na pogaduszki z obcymi, oczywiście o ile temat ich zainteresuje.

Jeszcze chwilę poleżałyśmy na słońcu, żeby nasze przyście nie wyglądało na pośpieszne, spakowałyśmy się i podjechałyśmy do sklepu po coś słodkiego. Dopiero tak zaopatrzone udałyśmy się do Anny Długosz. Wyszuszone prawie na wiór starsza pani czekała na nas w ogródku pod olbrzymim parasolem. Na nasz widok z jej kolan zeskoczył olbrzymi kot i schował się w domu. Kobieta zamachała do nas ręką, zapraszając nas do wejścia. Nie wyszła na nasze spotkanie, co było w pełni zrozumiałe, bo obok wygodnego krzesła, na którym siedziała, stały dwie laski.

- Dzień dobry - przywitałyśmy się grzecznie.

- Proszę, niech panie siądą - poprosiła. - Lubią panie kompot truskawkowy? To proszę się poczęstować.

Na stole stał dzbanek i kilka szklanek. Najwyraźniej córka albo ktoś inny z rodziny nie tylko przygotował pani Annie napój, ale pomyślał też, że może mieć gości. Dołożyłam do tego ciasteczka, dobrze, że takie, do których nie były konieczne talerzyki, bo nie postawiłyśmy starszej pani w głupiej sytuacji.

- Lubię, jak ktoś do mnie przychodzi, bo samej już mi trudno gdzieś pójść. Mam wózek i czasem ktoś z rodziny zabiera mnie na spacer po mieście lub do portu. W lecie to chociaż mogę posiedzieć na dworze, gorzej w zimie.

- Pewnie często ktoś do pani zachodzi? Na pewno zna pani wiele osób - zapytałam sondę.

- Znam, ale bardziej z okolic Fromborka niż z samego miasteczka. Chociaż, może teraz to po równo? Ja kiedyś w sklepie pracowałam, a wiedzą panie, jak to było. Sklepów mniej było, zaopatrzenie byle jakie, trzeba było polować na różne rzeczy, robić zapisy i tak dalej. To się bardziej znało swoich klientów. A ja zaraz po szkole zaczęłam pracować jako ekspedientka, osiemnaście lat miałam. To było sześćdziesiąt lat temu.

- Pani stąd pochodzi?

- Prawie. To znaczy moi rodzice przyjechali tu w czterdziestym siódmym roku, ja miałam siedem lat. Tu poszłam już do szkoły.

Julia rozmawiała z panią Anną o tym, jak wyglądał zniszczony podczas wojny Frombork, a ja zastanawiałam się, jak spytać ją o interesujące nas rodziny. Byłam prawie pewna, że jeżeli powiem, że na własną rękę szukamy włamywacza, to starsza pani, owszem,

chętnie odpowie na wszystkie nasze pytania, ale przy najbliższej okazji powie komuś o naszej rozmowie. Gdy Julia była przy harcerskiej akcji „Operacja 1001 - Frombork”, podjęłam decyzję. Musiałam tylko jakoś nawiązać do tematu. Na szczęście Julia spytała o stosunek mieszkańców Fromborka i okolic do takiego najazdu młodzieży. Pani Anna zrobiła krótką analizę relacji z harcerzami, z czego wynikało, że raczej byli lubiani.

- Pani wtedy pracowała we Fromborku?

- Nie, już byłam kierowniczką sklepu w jednej z okolicznych wiosek.

- To na pewno wszystkich pani znała, dobrze było mieć wśród znajomych kierowniczkę sklepu.

- Pewnie. Teraz to co innego. Kupi pani wszystko, chociaż muszę powiedzieć, że parę sklepów to by się u nas jeszcze przydało. W takim małym miasteczku trudno o anonimowość, podobnie jest z całą okolicą, ale i tak teraz to inaczej wygląda. Poza tym ludzie chyba więcej czasu spędzali na rozmowach. Wiedzą panie, przychodzili po coś, okazywało się, że jeszcze nie dowieźli, ale bez sensu było wracać do domu, czasem do sąsiedniej wsi, więc wszyscy czekali i rozmawiali, skracając sobie czas. Część życia spędzało się w kolejkach.

- To miała pani u siebie taki punkt wymiany informacji - podpuściłam kobietę.

- A żeby pani wiedziała! Wtedy telefonów nie było w każdym domu. W jednej wsi to się informacje roznosiły momentalnie, ale dalej to już trochę wolniej. Tu wszędzie jest blisko, więc i tak najczęściej wszyscy o wszystkim wiedzieli. Jeden przychodził i mówił: pani Długosz, a Iksińska to już urodziła, kupował i wychodził, a drugi przychodził i pytał, czy już wiem, czy nowy członek rodziny Iksińskich jest na świecie. Takim punktem informacyjnym byłam.

Pani Anna uśmiechnęła się z nieukrywanym zadowoleniem. Najwyraźniej przekazywanie wiadomości i bycie jedną z najlepiej poinformowanych osób w okolicy bardzo jej odpowiadało. Postanowiłam raz jeszcze powołać się na naszą nieistniejącą koleżankę socjolog i jej zainteresowanie ludźmi.

- Wie pani, my mamy taką koleżankę, która z racji zawodu interesuje się ludźmi, i ona twierdzi, że bardzo często w małych miejscowościach czy też w obrębie położonych niedaleko siebie wsi bardzo dużo osób jest spokrewnionych. - Nie miałam pojęcia, jak jest naprawdę, ale nie podejrzewałam, żeby nasza rozmówczyni wiedziała więcej ode mnie. - Tutaj też tak jest?

- Teraz to nie wiem - przyznała z lekką niechęcią starsza pani. -

Po prostu gdy się siedzi w domu, to się mniej wie. – Ale w ogóle to ma pani rację. Chociaż wydaje mi się, ale to pewna nie jestem, że kiedyś było to bardziej widoczne. Wiecie, teraz dzieciaki wyjeżdżają dalej do szkół albo na studia i poznają tam kogoś. Czasem wracają z sympatiami. Ale chyba najwięcej młodych jakby mogło, to by wyjechało stąd. Nudzi im się tutaj.

– My mieszkamy pod Fromborkiem, ciekawe, czy nasza gospodyni też ma licznych krewnych w okolicy. – Podałam nazwisko pani Zosi i spojrzałam pytająco na starszą panią.

– A ma, ale nie najwięcej. Są rodziny bardziej rozgałęzione.

– Byliśmy z wizytą u państwa Chruścińskich – podsunęła Julia.

– O, ci to mają pełno krewnych albo powinowatych. Po prostu w ich rodzinie kiedyś było dużo dzieci. Po jednej i po drugiej stronie.

– Mają jakiegoś młodego krewnego, który tu przyjeżdżał, jak był dzieckiem.

– A tak. Łukaszek, taki miły chłopiec. To wnuk kuzynki babci Chruścińskiej, o ile dobrze pamiętam. Podobno teraz za granicą siedzi, tak słyszałam.

– Nie ma rodzeństwa? Bo mówiła pani, że tam zawsze dużo dzieci było – spytałam podstępnie.

– A nie, on jest jedynakiem. Kiedyś słyszałam, ale nie wiem, ile w tym prawdy, że miał siostrę, ale umarła prawie zaraz po urodzeniu.

Jak na emerytkę siedzącą głównie w domu, to starsza pani była całkiem niezłe poinformowana. Co prawda większość tego, o czym nam opowiadała, nie dotyczyła czasów obecnych, ale to z kolei dowodziło, że ma dobrą pamięć.

– Ta babcia Łukasza Nojmana to podobno była dosyć nietypowa jak na swoje czasy – zagaiłam.

– Podobno tak, ale to też znam głównie z opowiadań. Była bardzo samodzielna i odważna, czasem aż do granic niebezpieczeństwa.

– A co ona takiego robiła?

– No właśnie tego dokładnie nie wiem – stwierdziła z żalem staruszka. – Pewnie coś w czasie wojny, może była w partyzantce albo coś takiego. A potem sama sobie znalazła męża i to takiego z daleka. I wyjechała do miasta. Nie przyjeżdżała chyba przez pięć lat, ale od czasu do czasu odwiedzała rodzinę.

– To dziwne, że sama wybrała?

– Kiedyś nie było tak jak teraz, przeważnie rodzice musieli zaaprobować kandydata albo nawet sami go podsuwali. Ona miała w nosie opinie innych. I muszę przyznać, że z tego, co wiem, to

dobrze wybrała.

- Miała innego kandydata?

- Rodzice mieli. To znaczy ona też go znała, nawet się lubili, ale jakoś za mąż za niego nie chciała wyjść. On potem zresztą też stąd wyjechał.

Jeszcze przez chwilę rozmawialiśmy z panią Anną o mieszkańcach Fromborka i okolic i poczułam, że mam w głowie lekki mętlik. Starsza pani operowała raz nazwiskami, raz imionami, potem przerzucała się na pokrewieństwa, żeby skończyć określeniami „to ci, którzy mieszkali za spalonym domem”. Mimo wszystko dzięki tej rozmowie poczułyśmy, że trochę poznałyśmy ludzi, którzy mogą być w jakiś sposób związani z obecnymi wydarzeniami. W końcu pożegnaliśmy się z bardzo zadowoloną z naszych odwiedzin byłą ekspedientką.

- Rany boskie, ona ma łeb jak sklep. Wszystko pamięta! - wyraziła uznanie Julka, zamykając furtkę od posesji.

- Mam nadzieję, że nie poprzekreślała faktów.

- No co ty? Widać było, że czuje się jak ryba w wodzie, snując te opowieści.

- Idziemy coś zjeść?

- Nie coś, tylko sandacza - sprostowała Julka.

Zamówiliśmy rybę w knajpie w porcie i zastanowiliśmy się, co nam dała to rozmowa. Była ciekawa, to na pewno, ale czy dostarczyła nam dodatkowych informacji? Owszem, o babci Nojmana i o nim samym. Kobieta wyjechała z mężem w jego strony i rodzinę odwiedziła dopiero po kilku latach. Dlaczego? Była z nimi skłócona? Chyba nie, ani pani Anna, ani Chruścińska nie wspominały o tym.

- Może nie miała pieniędzy na taką wyprawę? - zasugerowała Julia.

- Albo czasu? Bo zauważ, że podobno dobrze im się powodziło.

- A może miała małe dziecko? I z niemowlakiem nie chcieli podróżować?

- Może. Ale i tak nie mamy nowego punktu zaczepienia.

- A ten wzgardzony niedoszły narzeczonny? - zaproponowała Julia z lekkim wahaniem.

- Ale w jaki sposób chcesz go powiązać? Mści się na wnuku byłej prawie sympatii, mordując go? Czego w takim razie szukał i jeden, i drugi?

- A cholera, wychodzi albo, albo. Albo mści się za coś, albo szuka czegoś, żeby odnieść jakiś zysk.

- Czekaj. - Nabiłam frytkę na widelec. - Dlaczego albo jedno, albo drugie?

- Bo jak to sobie wyobrażasz? Jeżeli to ten nieznany narzeczony by się odgrywał, to raczej nie chciałby niczego zyskać, oprócz zadowolenia z uśmiercenia potomka kobiety, która go olała.

- Czy ty słyszysz, jak to brzmi? - skrzywiłam się z niesmakiem. - Gorzej niż moja Bursztynowa Komnata. Jakiś, na oko, dziewięćdziesięciolatek odgrywa się na potomku niewiernej? Na starość mu odbiło? I jest taki sprawny, że najpierw daje mu wycisk, a potem z przyjemnością wykańcza? I co z Minkowskim i szukaniem nie wiadomo czego?

- Masz rację, moja całkiem dobrze działająca wyobraźnia nie ogarnia takiej sytuacji. Chyba więc jednak musimy trzymać się rodziny Nojmanów i ich przodków i tego tajemniczego czegoś, czego szukają.

- Informacji szukają, już to ustaliłyśmy - przypomniałam.

- Ale informacja może dotyczyć różnych rzeczy.

- Owszem.

Potrafiłam sobie wyobrazić aż nadto możliwości. Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie pomyśleć o jakimś tajemniczym skrawku papieru, na którym mogło być zapisane, gdzie szukać schowanych przez Niemców podczas ucieczki przed Rosjanami kosztowności. Ich własnych lub zrabowanych. Oprócz tego mógł być to list z jakimiś tajemniczymi sprawami rodzinnymi, zdjęcie, jakaś mapa, spis wartościowych rzeczy, może jakieś stare dokumenty. Julka zgadzała się ze mną, protestując tylko przeciwko umownej Bursztynowej Komnacie.

Ponieważ do spotkania z emerytowaną nauczycielką zostało nam pół godziny, postanowiłyśmy pójść do niej na piechotę. Daleko nie było, a trochę ruchu zawsze się nam przyda. Kazimiera Radwańska i jej mąż mieszkali na parterze w bloku. Nasza kolejna rozmówczyni też już na nas czekała, najwyraźniej byłyśmy atrakcją towarzyską. Właściwie nie dziwiłam się temu. Zawsze to ciekawe spotkać się na herbatce z kimś nowym, może trochę intrygującym? Bo przecież nie wszyscy turyści dzwonią z pytaniem, czy mogliby wpaść pogadać. Drzwi otworzył nam mąż pani Kazimiery, dziarski wąsaty staruszek z doskonale zrobionym kompletem trzecich zębów. Uśmiechnął się prawie uwodzicielsko i gestem zaprosił do mieszkania. Jego żona krzątała się w kuchni, najwyraźniej przygotowując poczęstunek. Z doświadczenia wiedziałyśmy, że w większości wypadków jest to nieodłączny składnik rozmowy. Nie miałyśmy nic przeciwko temu, wręczyłyśmy ciasto i zostałyśmy zaproszone do pokoju. Stół już był nakryty i zastawiony, brakowało tylko herbaty.

- Proszę, proszę, panie spoczna.

Starszy pan wskazał nam krzesła i zaproponował poduszeczki pod plecy. Podziękowałyśmy i jeszcze raz przeprosiłyśmy za kłopot.

- Żaden kłopot, chętnie porozmawiamy z kimś spoza miasteczka. - Pani Kazimiera wniosła herbatę. - Wiedzą panie, jak to jest. Mamy bardzo oddanych znajomych, nie możemy narzekać, ale od czasu do czasu rozmowa z kimś innym jest bardzo wskazana. Nowi słuchacze są zawsze mile widziani - roześmiała się starsza pani. - Co prawda ja i tak mam kontakt z młodymi ludźmi, ale zawodowy. Dzięki Bogu umysł mi jeszcze nie szwankuje i mogę udzielać lekcji rosyjskiego. Lubię uczyć.

- W sumie my też - wyrwało się Julii.

- Panie są nauczycielkami? - ucieszyła się pani Kazimiera.

- Tak, ja uczę biologii, koleżanka historii.

- No proszę! - Tym razem na uradowanego wyglądał starszy pan. - A ja uczyłem fizyki. Razem uczyliśmy, w jednej szkole.

Chyba nigdy się tak jeszcze nie zdarzyło, żeby nauczyciele nie rozmawiali na tematy zawodowe. Nawet w sytuacji, gdy właśnie się poznali, dzieli ich spora różnica wieku i dwie sztuki są na wakacjach. Inne zawody zapewne też tak mają. Po omówieniu ostatniej reformy szkolnej i listy lektur, mimo że żadne z nas nie było polonistą, pani Kazimiera przypomniała sobie, że czegoś od niej chciałyśmy.

- Trochę głupio nam się przyznać, ale interesują nas te włamania, które miały niedawno miejsce w okolicy Fromborka - tym razem postanowiłam powiedzieć prawdę.

Zaskoczeni Radwańscy zaniemówili. Pewnie zastanawiali się, o co może nam chodzić, ale wątpię, żeby taki powód wizyty przyszedł im do głowy.

- Ale... ale dlaczego?

- Bo trafiłyśmy na coś, czego nie rozumiemy, a bardzo nie lubimy nie wiedzieć, o co chodzi. A na dodatek dzień po naszym przyjeździe było włamanie do domu obok. Takie samo, nie zginęło nic wartościowego.

- Ale tym to się powinna zająć policja - zauważyła pani Kazimiera z lekką naganą.

- Zajmuje się, owszem. Rozmawiałyśmy oczywiście z sierżantem Korczyńskim - uspokoiła ją Julią.

- Rozmawiać rozmawiałyśmy, ale przecież policja nie powie nam, co ustaliła - uzupełniłam jej wypowiedź. - A my jeździmy po okolicy, zwiedzamy, zbieramy grzyby i przy okazji rozmawiamy z różnymi ludźmi. I wyszło nam, że te włamania mają swoje korzenie w przeszłości. Nie wiemy, niestety, jak dalekiej. Niezależnie od tego jedni z naszych rozmówców, państwo

Chruścińscy, wspomnieli, że mają bardzo dużo rodziny w okolicy. Sprawdziłyśmy, jak to się ma do miejsc, w których działał włamywacz. Proszę sobie wyobrazić, że większość poszkodowanych to rodzina lub powinowaci Chruścińskich! Dlatego postanowiliśmy porozmawiać z kimś, kto ma szansę dobrze znać okolicznych mieszkańców i to nie tylko tych obecnych.

To był bardzo wielki skrót, pominęłam w ogóle kwestię morderstw, ale gdybym powiedziała, że to my znalazłyśmy ciała dwóch zamordowanych mężczyzn, to mogłoby być za wiele dla starszych państwa. Włamywacz to jednak lżejszy kaliber.

- Co do tego, że znamy tu sporo osób, to ma pani rację. - Starszy pan automatycznie sięgnął po ciastko.

- Czy to nie jest niebezpieczne? - zatroskała się pani Kazimiera.

- Ale my nie będziemy łapały tego włamywacza. - To akurat mogłyśmy obiecać, bo już nie żył, a z jego zwłokami nie chciałyśmy mieć nic do czynienia. - Chcemy rozwiązać zagadkę metodą dedukcji, ale żeby to zrobić, potrzebujemy informacji.

- Państwo znają rodzinę Chruścińskich? - Julia postanowiła zapytać wprost.

Okazało się to całkiem dobrym posunięciem, bo Radwańscy przestali się zastanawiać, po co wtykamy nos w nie swoje sprawy, a skupili się na wspomnieniach. Od czasu do czasu musiałyśmy ich trochę zawracać z bocznych torów, ale wspomnieniom oddali się z radością. Pewnie dawno nie mieli tak zachłannych słuchaczek. Interesowało nas praktycznie wszystko, co najmniej tak, jakbyśmy chciały spisać dzieje rodu Chruścińskich albo nawet ich przodków. Tak się złożyło, że Radwańscy uczyli kilkoro dzieci z tej rodziny, więc poznali i ich rodziców.

- Wie pani, jak się uczy długo w małej miejscowości, to zdarza się tak, że najpierw ma się w klasie rodziców, a potem ich dzieci - wyjaśnił starszy pan. - Wtedy poznaje się taką rodzinę jeszcze lepiej.

- Tam jakaś kobieta wyjechała gdzieś, podobno w atmosferze skandalu - rzuciłam trochę na wyrost.

- Nie pamiętam... - zamyśliła się staruszka.

- A ja tak! - stwierdził z satysfakcją jej mąż. - Nie pamiętasz tej Elki od Gromczyńskich? Pojechała do miasta gdzieś.

Tego nazwiska nie znałyśmy, więc zastrzygłyśmy uszami niczym rasowe konie. Elka to może być ta kuzynka babci Chruścińskiej, a w takim razie Gromczyńscy to ich jacyś wspólni przodkowie. Spytałam i okazało się, że mam rację.

- A czego dotyczył ten skandal? - spytałam i natychmiast dodałam. - Wiem, to było dawno. Pytam z czystej ciekawości,

obecne skandale są zupełnie inne niż te sprzed dziesiątek lat.

- A żeby pani wiedziała! - ożywiła się starsza pani. - Już wiem, przypomniałam sobie. To jakoś tak było, że ta dziewczyna był zaręczona z kimś stąd, nawet przygotowania do wesela robili, ale w ostatniej chwili zerwała zaręczyny. Po czym oznajmiła, że ślub, owszem, weźmie, ale z kimś innym. Rodzina się wściekła, ale jakoś ich przekonała, żeby nie odwoływać uroczystości, tylko poinformować o zamianie pana młodego. Ludzie się trochę podśmiewali i z całej sytuacji, i z tego wzgardzonego amanta.

- A tak, z niego najbardziej - przytaknął Radwański. - Nawet snuli przypuszczenia, że dziewczyna pewnie sprawdziła, że jako mąż nie sprawdziłby się, wiedzą panie, co mam na myśli.

- Oj, dałbyś spokój z takimi plotkami. Można człowieka skrzywdzić.

- Pewnie dlatego wyjechał, bo przecież zaraz potem zniknął. Poza tym młody był, niegłupi, pewnie wolał zawód zdobyć, niż na wsi zostać.

Praktycznie podczas każdej naszej rozmowy z okolicznymi mieszkańcami nadchodził taki moment, w którym interesujący nas temat wyczerpywał się, nie miałyśmy już więcej pytań, ale nasi rozmówcy sami z siebie opowiadali nam o lokalnych wydarzeniach. Tym razem okazało się, że podobnie jak Marcin, państwo Radwańscy są miłośnikami Fromborka i bardzo dużo wiedzą o miasteczku. Gdyby nie zaplanowane na wieczór kolejne czatowanie pod domem Wilińskich i to, że głupio nam było tyle siedzieć u obcych w końcu ludzi, wyszłybyśmy znacznie później niż o wpół do dziewiątej.

- Co robimy? - spytała Julia, gdy już siedziałyśmy w samochodzie. - Od razu jedziemy pilnować Wilińskich czy wracamy do domu?

- Wracamy, nie mamy koca i kurtek, bo się suszą po wczorajszym przemoknięciu.

- Już dawno są suche na wiór, ale masz rację. Sprawdzałaś pogodę?

- Tak, nie będzie padało.

- Dobrze i to, ale powiem ci, że zdecydowanie wolę rozmawiać niż czatować.

- Jeszcze nie tak dawno protestowałaś przeciwko nachodzeniu obcych ludzi, bo nie jesteśmy ani domokrażcami, ani świadkami Jehowy - przypomniałam.

- Tu byłyśmy zapowiedziane, to co innego.

Przed wyjazdem zdążyłyśmy jeszcze napić się herbaty i zjeść po kromce chleba. Nie byłyśmy głodne, ale zapewne czekało nas kilka

godzin na świeżym powietrzu, więc na ile znałyśmy swoje organizmy, gdyby nie dostały teraz czegoś do zjedzenia, to za jakieś dwie godziny włączyłoby nam się ssanie.

Zaparkowałyśmy w tym miejscu, co wczoraj, i chwilę posiedziałyśmy w samochodzie. Po pierwsze przyjechałyśmy trochę za wcześnie, było za jasno, a po drugie chciałyśmy sprawdzić, czy nie pojawi się nikt inny. Oczywiście jedna z zainteresowanych Wilińskimi osób mogła już przyjechać lub dotrzeć tu zaraz po tym, jak się oddalimy, ale i tak czekałyśmy, więc co nam szkodziło popatrzeć.

- Chodźmy - pogoniła mnie Julia natychmiast, gdy uznała, że jest wystarczająco ciemno.

- Co się tak śpieszysz? Po ciemku też tam trafimy.

- Bo wolę już siedzieć pod traktorem niż skradać się i sprawdzać, czy nikt nie będzie widział, jak się przemykamy do naszej kryjówki. Nie mam pojęcia, co by było, gdybyśmy na kogoś włązły.

- Lepiej wypluj te słowa. Udawałybyśmy, że tak na spacer idziemy.

Zeszłyśmy z drogi i zamilkłyśmy. Julia pewnie wyobrażała sobie konsekwencje spotkania z mordercą, a ja się zastanawiałam, ile jeszcze wieczorów spędzimy na czatach. Nie przyznałam się do tego, ale też mi się nie uśmiechało codzienne tkwienie pod traktorem. Dwa, trzy razy to było nawet ekscytujące, ale potem stawało się nudne. Kilka godzin w niewygodnej pozycji, ciemności i po cichu było monotonne. Nawet biorąc pod uwagę wczorajszy deszcz i przedwczorajsze skradające się koty, to znałam różne inne ciekawsze rozrywki. Dobrze chociaż, że zimno nie było. Przeszłyśmy szybko przez pole, pod lasem uspokoiłyśmy oddech, żeby nie było nas słychać z oddali, i już wolniej i ostrożniej poszłyśmy jego skrajem. Tak jak w poprzednich dniach bez przeszkód dotarłyśmy do upatrzonego dużego drzewa, które mogło ewentualnie stanowić kryjówkę. Dzisiaj również nikogo tam nie było, ale na wszelki wypadek, wykorzystując światło księżyca, przyjrzałyśmy się trawie. Nie wyglądała na świeżo zdeptaną. Podobną metodą jak wczoraj sprawdziłam dwa pozostałe nadające się na punkty obserwacyjne miejsca. Tam też było pusto. Nikt ich nie wykorzystał, mimo że tędy najlepiej było podejść do domu Wilińskich. Może ten ktoś przychodzi później i nie zostawia po sobie śladów? Obie możliwości wchodziły w grę. Trawa mogła od wczoraj wstać, tym bardziej że podczas deszczu na pewno każdy unikał zbytniego kontaktu z nią, a ten, kto się chciał włamać do krewnych Nojmana, nie musi pół nocy obserwować domu. My byłyśmy w innej sytuacji. Staraliśmy

się przyjść przed Minkowskim lub mordercą, a odejść po nich. Tak, żeby się nie spotkać. Może powinnyśmy w ciągu dnia zrobić dokładniejszy obchód terenu i sprawdzić, czy gdzieś indziej nie ma śladów po nocnych obserwacjach? Przedwczoraj ewentualnemu włamaniu przeszkodził gość, wczoraj deszcz. Po co najmniej dwóch pobytach w tym samym miejscu mogły zostać jakieś ślady. Problem był tylko jeden. Na pewno zauważyliby nas mieszkańcy, a tego też chciałyśmy uniknąć.

- Coś się tak zamyśliła, lecimy pod traktor, bo zaraz nie będziemy wiedziały, czy ktoś nie przyszedł i nie siedzi nam na plecach!

Julka pogoniła mnie szeptem i miała stuprocentową rację. To, że przed chwilą nie było nikogo pod drzewem ani na minipolance na skraju lasu nie oznaczało, że tak będzie już zawsze. Pokłusowałyśmy do traktora i schowałyśmy się w jego cieniu. Deski na szczęście wyschły i nie musiałyśmy siedzieć na wilgotnym, bo koc na pewno nie stanowiłby wystarczającej izolacji.

- Mam nadzieję, że dzisiaj się coś wydarzy - szepnęłam do Julii.

- Tfu, żebyś w złą godzinę nie wymówiła.

- To się zdecyduj. Jak nie chcesz co wieczór tu warować, to musi się coś stać.

- Ale trochę się tego boję - przyznała Julia. - Jesteś w stanie przewidzieć CO to będzie to coś?

- Ktoś powinien się włamać do Wilińskich.

- I?

- Co i?

- Podejrzewamy, kto się włamanie: albo drugi Minkowski albo morderca. Włamie się i co dalej?

- Zobaczymy, który to będzie. Jak Minkowski, to spróbujemy z nim znowu pogadać.

- Nie wiem jak. Spytasz go: przepraszam, skoro właśnie się pan włamał, to może wytłumaczy nam pan dlaczego? A on podtrzymując ten wersal, opowie nam o wszystkim? - wyszeptała ponuro Julka. - On się może włamać, a morderca się na niego zaczai i zabierze mu to coś zaraz po tym, jak wyjdzie z domu ofiar. Znaczący Minkowski wyjdzie.

- I w ten sposób poznamy również mordercę - wyjaśniłam.

- Nie wiem od czego, ale masz zaćmienie jakiegoś! A jak on zamorduje Minkowskiego? I my będziemy na to patrzyły?

Wiedziałam, że mamy do czynienia z mordercą, który już dwa razy zabił. Co najmniej dwa, bo kto wie, czy nie przejechał babci Łukasza Nojmana, ale jakoś do tej pory nie wzięłam pod uwagę, że po raz kolejny może kogoś zamordować na naszych oczach. To było

głupie uczucie. Gdyby zaatakował Minkowskiego gdzieś blisko, mogłybyśmy jeszcze coś zrobić, może nawet samo pokazanie się zniechęciłoby go do ataku. Ale równie dobrze mógł unieszkodliwić detektywa tak, że tego nie zauważymy, co wtedy? O kolejnej zbrodni dokonanej pod naszym nosem dowiedziałybyśmy się jutro. Brak możliwości przeciwdziałania zdenerwował mnie.

- Jak się ten Minkowski da zabić, to znaczy, że jest dupa wołowa! - stwierdziłam gniewnie. - Uprzedziłyśmy go, powinien się pilnować. Poza tym sierżant też wie i powinien śledzić brata pierwszego trupa w nadziei, że doprowadzi go do mordercy.

- A więc możemy liczyć na tłum na podwórku Wilińskich - podsumowała Julia. - Morderca, Minkowski i policjanci. Ja się tam pchała nie będę.

- A kto ci każe? Mamy całkiem niezłe miejsce obserwacyjne.

- Tak, pod warunkiem że cała akcja będzie się rozgrywała z tej strony.

Julia przeżywała rozterkę. Chciałaby i nie chciałaby jednocześnie. Chciałaby się wszystkiego dowiedzieć i mieć pewność, że morderca został złapany, a jednocześnie zdawała sobie sprawę, że konfrontacja szukających czegoś mężczyzn może się skończyć tragicznie dla jednego z nich. Poza tym bycie świadkiem takiej końcowej rozgrywki też mogło być niebezpieczne. Pomacałam się po kieszeni, w której miałam scyzoryk. Doskonale wiedziałam, że jest bardzo mizerną bronią, ale lepszy rydz niż nic. Zresztą nie miałyśmy ochoty pokazywać się nikomu. Ani Minkowskiemu, ani mordercy, ani sierżantowi, jeżeli jest gdzieś w pobliżu.

Komary nadrabiały wczorajszy częściowo stracony przez deszcz dzień. Chyba wszystkie w okolicy wyczuły nas i postanowiły przylecieć do stołówki. Spotkał je jednak zawód, bo jak zwykle napsikałyśmy na siebie odkomarzaczem. W dużej ilości. Aż dziwne, że w ogóle zdecydowały się lecieć w naszym kierunku. Najwyraźniej zapach człowieka przyciągał je jak magnes. Teraz kłębiły się nad nami niezadowolone i bzyczały jak wściekłe tak głośno, że można by je potraktować jak wskazówkę. Miałam nadzieję, że hałas przez nie robiony nie jest słyszalny daleko i nikt nie wpadnie na pomysł, że tam gdzie się kłębią komary, muszą być ludzie. Wredne stworzonka, jeszcze by zdradziły naszą kryjówkę.

- Jasna cholera, one długo tak mogą? - warknęła Julia. - Przecież już wiedzą, że z posiłku nici!

- To są następne. Jedne odlatują, mówią znajomym, że z nas się nie da nic wyssać, ale te niedowiarki same lecą sprawdzić - zawyrokowałam. - Ale masz rację, mogłyby już dać spokój, bo nas rozpraszają.

Nie miały najmniejszej szansy na posiłek, ale wytrwale brzęczały, latając tuż koło naszych twarzy. Machnęłam ręką do tej pory trzymaną w kieszeni, a te bestie natychmiast podleciały sprawdzić, czy może da się we mnie wkluć. Może już lepiej jak padało? Wczoraj je ten deszcz przepłoszył. Machnęłam ręką jeszcze raz i zatrzymałam ruch w połowie. Albo miałam omamy, albo coś się ruszyło po lewej stronie, na wysokości domu Wilińskich. Jeżeli tam ktoś był, to jak tam doszedł? Owszem, obok były zabudowania, ale i tak musiał kawałek iść po otwartej przestrzeni. Krzaczków też było mało. Może pokonywał drogę skokami? A te cholery na tyle odwróciły naszą uwagę, że nie zauważyliśmy tego?

Trąciłam Julię w bok, nie odrywając spojrzenia od miejsca, w którym przed chwilą coś zauważyłam. Wyteżyłam wzrok i udało mi się zauważyć ciemny kształt. A raczej nietypowe ukształtowanie terenu. Gdybym nie zauważyła ruchu, myślałabym, że to jeden z krzaków lub inny element otoczenia.

- Nie widzę - odezwała się najcichszym szeptem Julia.

- Pomiedzy krzakiem a płotem. Takie ciemne, jakby górka ziemi albo co.

- Mam. To się ruszało?

- Tak, przed momentem. Z tego co pamiętam płot jest cały, musi jakoś górą przejść.

Jakby zdopingowany naszą rozmową tajemniczy osobnik bardzo sprawnie pokonał płot. Ja bym tak nie umiała. Szczupły był i dosyć wysoki. Mógł to być Minkowski, ale przecież nic nie wiedziałyśmy o mordercy. Mógł mieć zbliżoną posturę.

- Raczej detektyw - zdecydowała Julia.

Też byłam tego zdania, ale mogłyśmy się mylić. Wydawało nam się, że morderca powinien jak najbardziej zminimalizować możliwość zdemaskowania, czyli najlepiej dla niego byłoby, gdyby przejął od Minkowskiego to, po co się on włamał. Nie powinien pokazywać się w domu Wilińskich, tylko dopaść detektywa tuż po włamaniu. Nasza dedukcja mogła jednak mieć spore luki, bo wiedziałyśmy o całej sprawie mniej niż obaj mężczyźni, a poza tym nikt nam nie gwarantował, że zabójca będzie postępował logicznie. I istniała jeszcze jedna możliwość.

- Chyba że Minkowski już wszedł do środka, a my tego nie zauważyliśmy.

Widziałyśmy tył i część boków domu, front był nam zupełnie niedostępny. Ale kto by się ładował od strony ulicy, na której mógł się pojawić spóźniony przechodzień? Ciemna sylwetka przez chwilę tkwiła skulona pod płotem, jakby w oczekiwaniu, czy nic się nie wydarzy, a potem się poruszyła. Obserwowany przez nas człowiek

zakradł się pod okno i tam zrobił sobie kolejny przystanek. Z tego, co zauważyłyśmy dwie noce temu, to chyba był salon lub coś w tym stylu, w każdym razie nocny gość został wprowadzony właśnie tam. Okno było uchylone. Mężczyzna wstał i prawie przyklejony do murów ostrożnie pchnął je tak, żeby otworzyło się szerzej. Był prawie niewidoczny na tle budynku i nie wiem, czy zauważyłybyśmy go, gdyby nie to, że wiedziałyśmy, gdzie patrzeć.

- Liczy na to, że się nie obudzą, jak będzie penetrował dom? - zdziwiła się Julia.

Według mnie musiałby być skrajnym ryzykantem, jeżeli tego nie przewidział, a Minkowski raczej do takich ludzi nie należał. Już wcześniej doszłyśmy do wniosku, że Nojman po pierwszym włamaniu dorabiał sobie klucze i potem mógł wejść do upatrzonego domu, kiedy nie było właścicieli, bo nie musiał „polować” na otwarte okna lub drzwi. Włamujący się teraz mężczyzna najwyraźniej nie miał takiej możliwości, bo przygotowywał się do wejścia przez okno. Co robi potem? Może ma jakiś gaz usypiający albo coś w tym rodzaju? Rozpyli go w powietrzu i właściciele nie będą mu przeszkadzać. Musiałby jednak sam się jakoś zabezpieczyć, bo inaczej zaśnie obok nich.

- Pewnie ich uspi jakoś - odszepnęłam Julce.

Mężczyzna bardzo zwinnie podciągnął się na parapet i przykucnął na nim. Musiał być bardzo sprawny, podobnie jak Nojman. Ciekawe, jak wygląda umeblowanie tego pokoju, bo może się przecież okazać, że zeskoczy na stół, krzesła, jakąś komodę lub kwiatki. Chociaż jeżeli okno było otwarte, to właściwie nic pod nim nie powinno stać, bo inaczej dostęp byłby utrudniony. Obserwowany przez nas osobnik zniknął po drugiej stronie okna. Raczej nie zeskoczył, a wśliznął się. Co teraz?

- Pilnuj, czy nie wychodzi, a ja będą patrzyła, czy nikt inny się tu nie czai. Potem się zamienimy - zarządziłam.

Julka skinęła głową, co udało mi się dostrzec w świetle księżyca. Zaczęłam metodycznie lustrować teren. Bałam się, że przeoczę jakiś ruch. Ja będę patrzyła w prawo, a kolejny zainteresowany domem Wilińskich pojawi się po lewej stronie albo odwrotnie. Nic jednak nie mogłam na to poradzić. Żeby mieć pod kontrolą cały teren, musiałybyśmy się rozdzielić albo roztroić. Jak sobie poradzi z tym ten, kto czeka na mężczyznę, który buszował teraz w domu Wilińskich? Odpowiedź nie była taka prosta, bo włamywacz nie musiał wracać tą samą drogą. Mógł przeskoczyć przez płot w jakimkolwiek miejscu i zniknąć w ciemności. Chyba nie tylko ja doszłam do takiego wniosku, bo w miejscu, w którym poprzednio przez płot przedostał się nieznany osobnik, teraz pojawiła się

kolejna zamaskowana postać. A może nie zamaskowana, a tylko ubrana na ciemno? Prawie tak samo zgrabnie przedostała się na drugą stronę i przemknęła w stronę domu. Najwyraźniej przejęcie ukradzionej Wilińskim tajemniczej rzeczy miało nastąpić właśnie tam! Cholerny świat, prawie nic nie widzimy! I nic nie możemy zrobić, jeżeli morderca będzie chciał wykończyć Minkowskiego, to nie będzie miał żadnych przeszkód.

- Minkowski powinien się z tym liczyć. - Tym razem to Julka uspakajała mnie.

- Ale to będzie z zaskoczenia. Kurde!

Nie miałam pojęcia, jak mogłybyśmy zapobiec morderstwu. Mimo że nie chciałyśmy, aby ktokolwiek nas zauważył, teraz pomyślałam, że w podbramkowej sytuacji mogłoby to odwrócić uwagę mordercy od ofiary. Mogłyśmy też wykorzystać światło latarki, kierując je na walczące postacie. Że będą się bili, tego byłyśmy pewne. No może prawie, bo morderca mógł zastrzelić detektywa natychmiast, gdy ten wyskoczy z okna.

- Zobacz!

Zaniepokojona Julia wskazała na coś, co się wolniutko poruszało po naszej prawej stronie. Szybko zerknęłam w lewo. To samo! Albo jeden z mężczyzn, którzy wtargnęli na posesję ma wsparcie, albo to policja. Nagle jakaś ciemna postać zaczęła się przesuwać w naszą stronę! Kurwa mać, jeszcze kilkadziesiąt metrów i będziemy mieli tego typu przed sobą. Drgnęłam nerwowo i już się chciałam odezwać, gdy nagle jakieś silne ramię objęło mnie, a dłoń zasłoniła mi usta. Zdrętwiałam, bo tego się nie spodziewałam. Przecież wszystko rozgrywało się przed nami, a nie za nami! W ułamku sekundy zobaczyłam, że Julia jest w takiej samej sytuacji. Rozpaczliwie napięłam mięśnie.

- Cicho, to my - rozległ się dobrze mi znany głos. - A przed sobą masz gliniarzy. Dobrze wyszkolone wsparcie przyjechało. Nie ruszaj się, żeby im roboty nie schrzanić.

Jeżeli mnie unieruchomił Rafał, to Julkę na pewno Dawid.

- Prawie umarłam na zawał - szepnęłam do ucha własnemu mężowi.

- Ciii...

Posunęłyśmy się trochę i nasi faceci przycupnęli na deskach w cieniu traktora tuż obok nas. W ręku Dawida zauważyłam broń, ale nie rwał się do akcji, tylko wszystko obserwował. Tak jak my.

Tkwiliśmy tak bez ruchu i bez wydawania najcichszych dźwięków ponad pół godziny. Wolałam nawet nie myśleć, co by było, gdyby ktoś kichnął. Nagle w oknie pojawił się cień człowieka. Stojący tuż przy domu osobnik wykonał ruch, jakby po coś sięgał,

i nagle jego ręka stała się zdecydowanie dłuższa. Co on tam miał? Pałkę teleskopową? Mężczyzna z okna wyglądał, jakby się zastanawiał, czy wyjść, czy nie, a potem nie zeskoczył, a dał potężnego susa w dal i przetoczył się po ziemi. Takiej sprawności nie spodziewałam się po Minkowskim. Czający się w mroku morderca najwyraźniej był zaskoczony, co dało się zauważyć. Nie mógł zaatakować w miejscu przez siebie wybranym, musiał zmienić plan. Odwrócił się w stronę ofiary, wznosząc uzbrojoną w pałkę rękę, i w tym momencie został oświetlony przez policjantów, którzy przestali się już kryć.

- Policja, rzuć to! - odezwał się „Minkowski” ku naszemu zaskoczeniu.

Wszystko zaczęło się dziać jednocześnie. Domniemany morderca rzucił się do ucieczki, facet udający Minkowskiego pobiegł za nim, a na podwórko weszli policjanci pod wodzą Korczyńskiego. Po krótkiej szamotaninie było po wszystkim.

- No wiesz! Co ty tu robisz! - Julka rzuciła się na Dawida natychmiast, gdy tylko mogliśmy się odezwać.

- Pilnujemy was, żebyście nie przeszkodziły policji. Taka koleżeńska przysługa - wyjaśnił Dawid, chowając broń.

- A gdzie jest Minkowski, jeżeli włamywaczem był gliniarz? - To chyba intrygowało mnie najbardziej.

- W hotelu, pilnowany na wszelki wypadek przez naszego człowieka.

- Żeby nie narozrabiał? I ilu ludzi ma Korczyński? Rozmnożyli mu się?

- Nie, żeby go przypadkiem ten morderca nie dopadł w innym miejscu. Przecież nie mogliśmy mieć pewności, że tu przyjdzie - odpowiedział mi Podgórski. - A co do liczby policjantów, to sierżant dostał wsparcie.

- No dobrze, ale...

- Naprawdę chcecie tu rozmawiać? - spytał Rafał. - Nie lepiej w domu?

- No dobra, niech wam będzie, ale dzisiaj! - zastrzegłam w obawie, że do jutra mogłabym pęknąć z ciekawości.

- Idźcie do samochodów, zaraz was dogonię, tylko z Korczyńskim zamienię dwa słowa. - Dawid zniknął w ciemności.

Na podwórku Wilińskich cały czas coś się jeszcze działo, ale ponieważ nie miałyśmy najmniejszych szans, żeby w tym uczestniczyć, nie protestowałyśmy przeciwko powrotowi do domu. Gdy doszliśmy do zatoczki, na której zostawiłyśmy octavię, okazało się, że obok stoi samochód Dawida. A myśmy myślały, że zaparkowałyśmy tak, że auta nie widać!

- Jak nas znaleźliście? - spytałam, gdy czekaliśmy na Podgórskiego.

- Popatrzyliśmy na mapę i spróbowaliśmy sobie wyobrazić, co byście wykombinowały. Jak widać, znamy was całkiem nieźle. Trafiliśmy za drugim razem.

- Wczoraj też tam byliście? - spytała podejrzliwie Julia.

- Nie, dopiero dzisiaj - odpowiedział jej Podgórski, który zmaterializował się w ciemności. - Wiedzieliśmy, kiedy ten „Minkowski” - Dawid pokazał w powietrzu cudzysłów - zacznie działać.

- I nic nam nie powiedzieliście!

- Jakbym powiedział cokolwiek, to po pierwsze Korczyński by mnie zamordował i mogłybyście szukać po okolicznych lasach moich zwłok. Przecież to nie on bezpośrednio prowadzi to śledztwo i musiałby się gęsto tłumaczyć. Po drugie mniej więcej wiedziałem, czego mogę się po was spodziewać, gdy szukacie mordercy. Nie mam pojęcia, co byście zrobiły, gdybym powiedział o ustawionej akcji na dzisiejszy wieczór.

- Zaraz tam zrobiły! Popatrzyłybyśmy sobie tylko. - Zrobiłam urażoną minę.

- Ja proponuję, żebyśmy się stąd ruszyli - zasugerował Rafał. - Znacznie wygodniej będzie nam się rozmawiało pod dachem i na siedząco.

Julka wsiadła do samochodu Dawida, a Rafał do mojego. Doskonale wiedziałam, że czekają nas długie nocne rodaków rozmowy, ale teraz intrygowała mnie najbardziej jedna rzecz.

- Dlaczego po prostu nie powstrzymaliście nas przed pójściem pod dom Wilińskich?

- Za późno się dowiedzieliśmy.

- Telefony istnieją.

- Jakoś nie mam pewności, czy po tym, jak Dawid by wam powiedział, że dom obstawia policja i należy się trzymać z daleka od tego miejsca, posłuchałybyście go. Właściwie jestem pewien, że nie.

- Czy ja wiem?

- Za to ja wiem. A dokładniej wie to Dawid, który w zeszłym roku przeżywał katusze, gdy mu się wtrącałyście w śledztwo.

- W zeszłym roku to on podrywał Julkę i nie wiem, na czym mu bardziej zależało. Na złapaniu mordercy czy na podrywie.

Pod dom pani Zosi podjechaliśmy jednocześnie i po cichu przeszliśmy do naszego pokoju. Od razu sięgnęłam po piwa i coś do jedzenia. Sądząc z reakcji chłopaków na widok bułek, wędlin i sera, byli głodni. Po zaspokojeniu pierwszego głodu Podgórski odezwał się sam z siebie.

- I właśnie tak wygląda wasze nienarażanie się i niewtrącanie.

- Przecież siedziałyśmy pod tym trupem traktora, a nie łapałyśmy mordercę - zauważyłam.

- W ogóle was tam nie powinno być! - wytknął Podgórski.

- Chyba się musisz przyzwyczać - poradziłam mu ze współczuciem.

- Dlaczego?

- A zmienisz nam charaktery? Chciałbyś, żeby Julia była zupełnie inna?

- Nie - zaprotestował sierżant natychmiast. - Zupełnie nie, ale akurat w tym zakresie tak.

- E tam. Słyszałeś kiedyś, żeby ktoś sobie zmienił osobowość tylko w wybranym fragmencie? Bez szkody dla reszty?

- Alka, ale w sumie Rafał ma rację. To dopiero w zeszłym roku coś w was wstąpiło i zaczęłyście szukać morderców na własną rękę.

- Jakaś ciemna strona mocy nas opętała - podsunęłam przypuszczenie.

- Poza tym nie zaczynałyśmy od szukania mordercy. Chciałyśmy odkryć, co to za duch tu krąży...

- A potem to już samo wyszło.

- Ale my naprawdę nie chcemy szukać waszych zwłok, tak trudno to zrozumieć?

- Nasze zwłoki siedzą obok i nie musisz ich szukać. Tu jestem. - Julia zamachała do Rafała.

- Bardzo śmieszne. Inaczej byś się zachowywała, gdybyś... - Podgórski za późno ugryzł się w język.

- Gdyby była trupem? Tu się z tobą zgadzam w całej rozciągłości, zachowywałaby się inaczej, a na pewno byłaby mniej żywa - nie mogłam się powstrzymać.

- W zeszłym roku miałem z nimi tak cały czas. - Dawid poskarżył się Rafałowi. - Masz pomysł, co z nimi zrobić?

- Związać - stwierdził kategorycznie mój mąż. - I zamknąć gdzieś, bo nie wiem, czy się z więzów nie wyswobodzą.

- Może nie powinny nigdzie razem wyjeżdżać? A na dodatek bez nas?

- Halo, my tu jesteśmy! - zamachała Julka obiema rękoma. - I nie jesteśmy ubezwłasnowolnione.

- Jak na razie - mruknął Dawid pod nosem, ale Julia dosłyszała.

- Opanujcie się! - zażądała. - Jesteśmy dorosłe i naprawdę myślimy, zanim coś zrobimy.

To akurat nie do końca była prawda, ale nie zamierzałam tego prostować, to zdecydowanie nie był najlepszy moment. Był środek nocy, a bardzo bym się chciała dowiedzieć, o co chodziło z tymi

włamaniami i morderstwami. Przypuszczałam, że Korczyński powiedział wszystko lub prawie wszystko Podgórnemu, a on Rafałowi.

- Czy omawianie naszych karygodnych poczynań możemy przełożyć na rano?

- Dlaczego?

- No jak to, dlaczego? - popatrzyłam na Rafała z dezaprobatą. - Bo jesteście ciekawe! W końcu po to rozmawialiśmy z połową okolicznych mieszkańców, znajdowaliśmy trupy, w tym jednego takiego, który się jakby trochę rozdziwił, i czatowaliśmy w deszczu, żeby się tego dowiedzieć!

- Co znaczy, że wam się trup rozdziwił? W oczach? - roześmiał się Rafał.

Opowiedziałam w skrócie o Lechu Minkowskim, który został zamordowany we Fromborku, a potem ktoś go widział żywego w Krynicy. We Fromborku zresztą też. Nie pozwoliłam rozvodzić się chłopakom nad tym fenomenem i snuć przypuszczeń, dlaczego ludzie od razu nie stwierdzili, że trup spod obserwatorium musi mieć bliźniaka, tylko dorobiłam kanapek i z taką łąpówką w ręku powtórzyłam pytanie, o co tym wszystkim chodziło.

- Chcecie od końca czy historycznie?

Spojrzałyśmy na siebie niepewnie. Od razu dowiedzieć się, kto zabił, czy raczej postawić na chronologię? Tyle wytrzymałyśmy, to te dziesięć minut nas nie zbawi.

- Od początku - zdecydowała Julka, która najwyraźniej doszła do takiego samego wniosku.

- To musimy cofnąć się o kilkadziesiąt lat. Praktycznie do czasów wojny - zaczął Dawid nieco tajemniczym głosem, co najmniej tak, jakby opowiadał o czymś, o czym nikt inny nie powinien się dowiedzieć. - Wiem, że miałyście rozmaite pomysły, łącznie z Bursztynową Komnatą i zatopionymi w zalewie skarbami o podejrzanym pochodzeniu...

- To ona! - Julia wyparła się chęci znalezienia dzieła Andreasa Schlütera.

- ...i muszę przyznać, że miałyście częściowo rację.

- Żartujesz?

Moja przyjaciółka o mało nie udławiła się przełykanym właśnie kęsem kanapki, a ja wykonałam serię gestów oznaczających zwycięstwo.

- Nie. To znaczy nie chodzi o Bursztynową Komnatę, ale wszystko zaczęło się od zakopanej gdzieś tu niedaleko niewielkiej skrzynki z różnymi wartościowymi rzeczami. Najprawdopodobniej zostały one skradzione z okolicznych

majątków. W jakich okolicznościach i kiedy dokładnie, tego już się, niestety, nie dowiemy.

- Zabijali się, żeby wejść w posiadanie informacji o tym skarbie?

- Mimo wcześniejszych sugestii nie mogłam jakoś w to uwierzyć.

- Sprawa jest bardziej złożona, ale częściowo tak - powiedział Dawid i wzbudził tym jeszcze większą ciekawość. - Babcia Łukasza Nojmana i chłopak, z którym planowała ślub, wiedzieli o tym skarbie, ale nie mamy pojęcia skąd. Będę mówił skarb, dobra? No nie wiem jak to inaczej nazwać.

- Skarb kojarzy mi się z piratami, ale niech ci będzie - zezwolił łaskawie Rafał.

- No więc sądzę, że nie dowiemy się już, w jaki sposób ta dwójka dowiedziała się o nim i czy miała coś wspólnego z kradzieżami. W każdym nie ruszyli tego skarbu, nie sprzedali kosztowności.

- Nic? - spytałam z wahaniem. - A ten świecznik Chruścińskich?

- Masz rację, ale to jest jedyna rzecz, którą stamtąd wyjęli. Przy czym też jej nie sprzedali, została w domu rodzinnym babci Nojmanowej. Według tego, co wiemy, narzeczeni pokłócili się i to tak bardzo, że zerwali zaręczyny. Nie wiemy, o co, nie wie tego również Minkowski, możemy tylko domniemywać, że było to związane właśnie ze skarbem. Może mieli różne pomysły, co z nim zrobić?

- A w końcu nie zrobili nic? Według mnie musiało być jeszcze coś - zawyrokowała Julia.

- Możliwe, ale weź pod uwagę, że osoby biorące udział w tych wydarzeniach już nie żyją, a seanse spirytystyczne są jakoś w policji mało popularne. W każdym razie ta dwójka się rozstała, babcia Łukasza wzięła ślub z Nojmanem i wyjechała. Jej były chłopak też wyjechał.

- Wyjechała na długo, nie odwiedzała rodziny przez kilka lat - przypomniałam.

- Owszem, i tu akurat wiemy dlaczego. Urodziła dziecko sześć miesięcy po ślubie.

- Patrz, do licha, nie wpadłyśmy na to! Przyjechała dopiero wtedy, kiedy trudno było stwierdzić, czy syn ma cztery czy cztery i pół roku. Ale w sumie męża miała, więc mniejszy byłby z tym problem - zauważyłam.

- To było dziecko tego niedoszłego męża, Władysława Kunowskiego. Co ciekawe, on to dziecko uznał, potem zrzekł się do niego praw rodzicielskich, a Nojman adoptował chłopca.

- Po co w ogóle mu ta Elka mówiła, że ma z nim dzieciaka? - zdziwiła się Julka. - Tym bardziej że pewnie jej mąż uznałby go za

swoje dziecko, jeżeli potem i tak małego adoptował.

- Podejrzewamy, że to też miało związek z tym skarbem. Jakby to powiedzieć, gwarantowało dziecku udział w spadku, niezależnie które z rodziców wykopałoby skrzynię i zrobiło z niej użytek. Takie zabezpieczenie.

- Ale ta skrzynia nadal jest gdzieś ukryta - bardziej stwierdziła, niż zapytała Julia.

- Owszem. Z tego, co wiemy, do tej pory nikt się nie dobrał do tego skarbu. Natomiast nie tak dawno Łukasz Nojman odziedziczył spadek po swoim dziadku, Władysławie Kunowskim.

- Rany boskie, to ile ten facet miał lat? Sto? - zastygłam w bezruchu ze zdziwienia.

- Sto to nie, on był dwudziesty piąty rocznik, tak jak babka Nojmana.

- Czyli miał... zaraz... dziewięćdziesiąt trzy lata? - policzyłam w pamięci. - Też nieźle.

- Dziewięćdziesiąt jeden, bo zmarł dwa lata temu.

- I zostawił w spadku ten skarb wnukowi, bo syn nie żyje? - zgadła Julia.

- To też. Władysław Kunowski był zamożnym człowiekiem. Po tym, jak stąd wyjechał, zrobił maturę i poszedł na studia. Pracował jako adwokat, potem miał własną kancelarię i powodziło mu się całkiem nieźle. Ożenił się, miał jednego syna i jednego wnuka. Prawników się nie doczekał. Ponieważ obaj jego synowie zmarli przed nim, to spadek powinien przejść na wnuków. I tu starszy pan miał problem. O ile Łukasz Nojman był praworządnym obywatelem...

- Jeżeli nie liczyć włamań - przypomniałam.

- To jego ostatnie wyczyny, do śmierci dziadka nic takiego nie zrobił.

- A ten drugi wnuk?

- Grzegorz Kunowski jest notowany, spędził w więzieniu siedem lat. Mało tego, dziadek podejrzewał go o zamordowanie własnego ojca.

- Rany boskie, to facet ma na sumieniu co najmniej cztery trupy! Ale nam się morderca trafił! - powiedziałam z czymś w rodzaju podziwu w głosie. - Dlaczego go zamordował?

- To tylko podejrzenie starszego pana - przypomniął osobisty gliniarz Julki. - Ale coś w tym może być, bo w końcu facet był fachowcem. Podobno chodziło o dwie rzeczy: ojciec nie dał mu alibi, a dodatkowo przestał finansować jego różne zachcianki. Synek nie pracował, kumpłował się tylko i wyłącznie z elementem przestępczym i był zakałą rodziny. Ojciec był sędzią, więc tym

bardziej go to gryzło.

- Dziadek go wydziedziczył?

- Dokładnie. Cały, niemały zresztą, majątek odziedziczył Łukasz Nojman. Wraz z kolekcją monet i listem informującym o istnieniu skrzyni ze skarbem. Tyle tylko, że dziadek nie pamiętał, gdzie ten znaleziony dawno temu skarb jest. Za to całkiem nieźle opisał, czego wnuk się może spodziewać.

- Opisał, a wy nie wiecie, skąd dokładnie to pochodzi?

- Nie wiemy. Opisy są bardzo ogólne, na przykład: stara srebrna cukiernica, całkiem duża. Korczyński przekonał Minkowskiego, że lepiej dla niego będzie współpracować z policją przy ujęciu mordercy, niż próbować na własną rękę znaleźć ukryty skarb. Stąd wszystko wiemy, bo Nojman, zatrudniając Minkowskich, dokładnie opowiedział im, o co chodzi.

- Tak im ufał? Nie bał się, że przywłaszczą sobie to, co znajdą?

- Był ostrożny. Zatrudnił ich jako własnych, powiedzmy, ochroniarzy. Ale nie takich, którzy mieli za nim chodzić i odstraszać konkurencję, ich zadanie było inne. Mieli sprawdzać, czy ta konkurencja się nie pojawiła. Łukasz Nojman wiedział od dziadka, że po swoim kuzynie może spodziewać się wszystkiego najgorszego.

- Jak widać słusznie - skomentował Rafał.

- Owszem. Poza tym Minkowscy mieli przeprowadzać wstępne rozpoznanie w terenie dotyczące tego, kto mieszka w najstarszych domach albo gdzie mieszkają najstarsi ludzie w okolicy. Stary Kunowski napisał wnukowi, że opis miejsca, podobno nawet z mapką, został u jego pradziadków, w kopercie, na której było napisane, że to, co jest w środku, należy do niego i babki Nojmana.

- Kiedyś to ludzie mieli zaufanie do siebie - westchnęła nostalgicznie Julia. - Przecież tę kopertę mógł każdy otworzyć.

- Podobno ufali matce Elżbiety Nojman. Z tym, że oni sami jakoś nie kwapili się z wydobyciem kosztowności ze skrzyni. Chyba bali się, że jak się nagle wzbogacą, to ktoś się tym zainteresuje i odbierze im ten skarb. Matka zmarła po jakimś czasie, a dokumenty, które były w jej domu, przejęły dzieci. A potem wnuki. Oczywiście ci wszyscy ludzie przeprowadzali się i Łukasz Nojman nie miał zielonego pojęcia, gdzie szukać dokumentu zostawionego przez dziadków. Stąd jego poszukiwania po prawie całej rodzinie i powinowatych.

- Nie lepiej było pytać wprost, zamiast się włamywać? - skrzywiła się Julia z dezaprobatą.

- Bał się, że ludzie zaczną gadać, iż pyta o stare papiery, i jego kuzyn dowie się o tym. Wydawało mu się, że takie włamania, na pierwszy rzut oka bezsensowne, będą znakomitą przykrywką.

- Jak widać były. Nikt z miejscowych nie zgadł, o co chodzi. Ale w takim razie jak Kunowski się o tym dowiedział?

- Przez Minkowskich. Zwrócili na siebie uwagę, węsząc w okolicy, i Kunowski zaczął ich obserwować. Wiedział, że ze spadku nici, ale jeżeli wcześniej niż kuzyn trafi na ukrytą skrzynię, to może się całkiem nieźle obłowić. Resztę w zasadzie już znacie.

- Dlaczego zabijał? Nie mógł tylko ukraść? Takie działanie wydawałoby mi sensowniejsze - zauważyłam.

- Na razie Korczyński tylko przypuszcza, że Lech Minkowski musiał się zorientować, iż jest obserwowany, doszło do jakiejś scysji i w efekcie detektyw wylądował w lesie koło obserwatorium. Morderca jest w naszych rękach, więc jeżeli nie zatnie się w milczeniu, dowiemy się pozostałych szczegółów - zakończył Dawid, ziewając jak krokodyl.

- Jeszcze tylko jedno pytanie. Ta poszukiwana koperta była u Wilińskich?

- Tak.

- Nie obudzili się, gdy wasz człowiek wszedł do nich przez okno?

- Nie, bo nie spali. O wszystkim wiedzieli, bo zostało to z nimi omówione telefonicznie.

- Idziemy spać? - tym razem ziewnął Rafał. - Jutro też jest dzień, możemy obgadać to jeszcze raz.

- Zostajecie?

- Tak, udało nam się wziąć urlopy na dwa dni, więc mamy miniwakacje. Możemy z wami chodzić na grzyby i zwiedzać okolicę.

W sumie całkiem dobrze się złożyło. Intrygująca nas sprawa jest już wyjaśniona, przynajmniej częściowo, a dzięki komitywie Dawida i Korczyńskiego pewnie dowiemy się reszty, więc towarzystwo naszych facetów w niczym nam nie przeszkadzało, a było wręcz pożądane. Będę tylko musiała przenieść swoje rzeczy do pokoju wynajętego przez chłopaków. Ale to jutro. Dzisiaj wystarczy szczoteczka, ręcznik i coś do ubrania na rano. Oczy mi się już zamykały, więc propozycję udania się na spoczynek przyjąłem z aprobatą. Spakowałam najpotrzebniejsze akcesoria, Rafał wyciągnął torbę z ciuchami z samochodu Podgórskiego i poszliśmy do siebie.

* * *

Czwartkowe śniadanie wypadło nam koło południa. Po pierwsze nigdzie się nie śpieszyliśmy, a po drugie musieliśmy odespać. A w każdym razie ja i Julka. Przy pośniadaniowej kawie toczyła się

leniwa dyskusja dotycząca mordercy. Wiedziałyśmy już dosyć, żeby wyobrazić sobie, jak to wszystko wyglądało, ale parę rzeczy pozostawało niejasnych. Wczoraj w ogóle nie spytałyśmy o Nojmana, po co go ten jego kuzyn zamordował? Dlatego, że był bardzo bliski zawiadnięcia tajemniczym dokumentem? A może po prostu stwierdził, że dalej poradzi sobie sam, bo wie tyle, ile prawowity spadkobierca? Przypomniałam wszystkim, że według Marcina Nojman najpierw dostał wycisk, a dopiero potem został zabity. Czyli mógł zostać zmuszony do powiedzenia wszystkiego, a potem usunięty jako niepotrzebny świadek. Zasugerowałam, żeby Rafał zadzwonił do Korczyńskiego, ale usłyszałam, że jest jeszcze za wcześnie, żeby sierżant mógł uzupełnić naszą wiedzę. Przypomniałam sobie, że w zeszłym roku dopiero po jakimś czasie dowiedziałyśmy się, jak to naprawdę było ze zwłokami z malin, i postanowiłyśmy cierpliwie poczekać na informację o trupie, który jako żywy pojawił się po własnej śmierci. Na razie miałyśmy w planach inne zajęcia. Sezon na trupy najwyraźniej się skończył, ale pozostały inne atrakcje. Żywiłyśmy nadzieję na uzbieranie i zamarynowanie lub ususzenie kolejnej porcji grzybów, choć nie byłyśmy pewne, czy Dawid i Rafał nie zjedzą wszystkiego na bieżąco. Poza tym chcieliśmy spotkać się z Marcinem, pojechać do Braniewa, do Tolkmicka i, jakby się udało, przepłynąć się po zalewie. Oczywiście nie wpływ. I może trochę poleniuchujemy? Poleżymy na plaży we Fromborku? O ile nam czasu wystarczy.

Niestety do naszego wyjazdu z Bogdan Korczyński nie powiedział Rafałowi, dlaczego Kunowski zdecydował się zabijać i jaki był dokładny przebieg wszystkich wydarzeń. Nie dlatego, że nie chciał, po prostu morderca poszedł w zaparte i milczał. Nie miało to wpływu na udowodnienie mu zbrodni, bo jak się okazało, dowodów policja miała całkiem sporo, nie pozwalało jednak na jakże miłe uczucie, że wszystko się wie. Być może zatrzymany mężczyzna zacznie jeszcze mówić, a wtedy sierżant da znać Rafałowi, a on nam. Na razie sprawa ducha, włamywacza i mordercy była dla nas zakończona.

W niedzielę po południu, tuż przed powrotem do domu, gdy Rafał z Dawidem pakowali bagaże do samochodu, zaczęłyśmy się zastanawiać, czy przypadkiem nie potrafiłybyśmy same odszukać tej skrzyni ze skarbem...

Podziękowania

W powstaniu książki ma udział nie tylko autor, który wymyśli i w miarę zgrabnie przeleje historię na papier. Najczęściej potrzebne są konsultacje dotyczące różnych tematów poruszanych w powieści. Ze względu na wybrany gatunek (kryminał) zazwyczaj korzystam z pomocy policjantów i specjalistów z różnych branż, odpowiadających na niezliczone pytania, którymi ich zasypuję. Jednak w przypadku serii z Julią i Alicją jest nieco inaczej niż w cyklu z nadkomisarzem Uszkierem. Tu policja i jej działania są mniej istotne, a prym wiodą dwie lekko szalone młode kobiety. Tak się złożyło, że *Zwłoki powinny być martwe* nie potrzebowały konsultacji, natomiast w przypadku *Wakacji z trupami* skorzystałam ze wsparcia. Mało tego! Mój konsultant zgodził się wystąpić w książce, twierdząc, że „dla Fromborka wszystko!”. Tym razem to Marcin Zabłocki, wielki pasjonat miasta i jego historii, odpowiadał na moje pytania, rozwiewał wątpliwości i korygował różne moje pomysły. Był też trzecią z kolei osobą (po moich „beta-czytaczach” - dziękuję!), która przeczytała gotową już powieść, jeszcze przed wysłaniem do wydawnictwa. Taka sytuacja zdarzyła mi się po raz pierwszy, ale uwagi Marcina dotyczące Fromborka i okolic chciałam od razu uwzględnić.

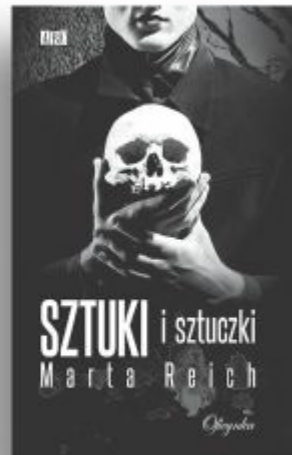
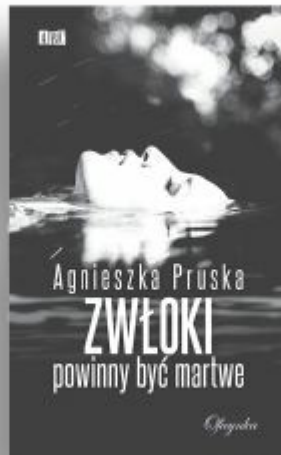
Trafia więc w Państwa ręce książka, która została zaakceptowana przez miłośnika okolicy, w której rozgrywa się akcja. Bardzo mnie to cieszy.

Marcinie, jeszcze raz bardzo dziękuję.

*OFICYNKA ZAPRASZA WSZYSTKICH
MIŁOŚNIKÓW DOBREJ LITERATURY!*

Znajdziecie Państwo u nas książki interesujące, wciągające, służące wybornej zabawie intelektualnej, poszerzające wiedzę i zaspokajające ciekawość świata, książki, których lektura stanie się dla Państwa przyjemnością i które sprawią, że zawsze będziecie chcieli do nas wracać, by w dobrej atmosferze z jednej strony delektować się warsztatem znakomitych pisarzy, poznawać siłę ich wyobraźni i pasję twórczą, a z drugiej korzystać z wiedzy autorów literatury humanistycznej.

POLECAMY



Księgarnia Oficynki www.oficynka.pl
e-mail: oficynka@oficynka.pl
tel. 510 043 387



Oficynka